

**Polskie Towarzystwo Historyczne  
Oddział w Radomsku**

# **ZESZYTY RADOMSzcZAŃSKIE**

**Prace z dziejów Radomska i powiatu  
radomszczańskiego**

**TOM XXI**

**Radomsko 2023**

**Redaktor naczelny**

dr Tomasz Andrzej Nowak

**Adres Redakcji**

Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Radomsku

ul. Narutowicza 1, 97-500 Radomsko,

[www.pthradomsko.org](http://www.pthradomsko.org), [pthradomsko@wp.pl](mailto:pthradomsko@wp.pl)

**Projekt okładki**

Marek Biesiada

**Druk i oprawa**

Studio Poligraficzne „Soldruk”, 97-500 Radomsko,

ul. Klonowa 7, tel. 501 495 595

**Wydanie I** - nakład 350 egz.

**Copyright by:** Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Radomsku

ISSN 1898-5858

# Spis treści

## **TOMASZ STOLARCZYK**

*Kazania i zbiory kazań oraz dzieła teologiczne w bibliotece paulinów wielgomłyńskich w świetle Raptularza inwentarza bibliotecznego z 1767 r. ....* 5

## **ANNA MICHALSKA**

*Historia zespołu starej synagogi w Radomsku .....* 17

## **WIESŁAW JERZY OLCZYK**

*Nasze korzenie. Wspomnienia z lat 20 i 30. XX wieku (cz. III) .....* 37

## **PAWEŁ KULIKIEWICZ**

*Wspomnienie o Franciszku Władysławie Kulikiewiczu .....* 153

## **PAWEŁ DUDEK**

*Pamiętnik Tomasza Buczyńskiego z Ciężkowic .....* 167

## **ANDRZEJ GROCHOWALSKI**

*Antoni Zębik-konstruktor radiostacji powstańczej „Błyskawica” .....* 187

## **KURKOWSKI KRZYSZTOF**

*Z wojennych losów rodziny Pomorskich w Chełmie .....* 201

## **TOMASZ ANDRZEJ NOWAK**

*Kronika szkoły powszechnej w Kraszewicach (1930-1969) .....* 211

## **DARIUSZ ZIELONKA**

*Przygotowania do niemieckiej obrony Radomska w świetle raportu niemieckich władz wojskowych z 8 grudnia 1944 r. ....* 265

**MARTA KOSZACKA**

*Działalność Towarzystwa Śpiewaczego*

*im. Stanisława Moniuszki w Radomsku w latach 2014-2019 ..... 275*

**PAWEŁ DUDEK, TOMASZ A. NOWAK**

*80. rocznica likwidacji getta wtórnego w Radomsku.*

*Sprawozdanie z akcji czytania nazwisk zamordowanych*

*w czasie wojny radomszczańskich Żydów ..... 303*



**Tomasz Stolarczyk**  
(Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi)

**Kazania i zbiory kazań oraz dzieła teologiczne w bibliotece paulinów wielgomłyńskich w świetle *Raptularza* inwentarza bibliotecznego z 1767 r.**

Celem poniższego artykułu jest przedstawienie dzieł teologicznych oraz kazań i zbiorów kazań, stanowiących podstawę każdego dawnego księgozbioru klasztornego, znajdujących się w bibliotece paulinów wielgomłyńskich w 1767 r. Temat opracowano na podstawie raptularza inwentarza bibliotecznego (dalej: *Raptularz*), sporządzonego w lipcu 1767 r. przez kaznodziejów, pełniących zapewne też rolę bibliotekarzy konwentu wielgomłyńskiego Kaspra Maniewicza i Nepomucena Płacheckiego, pt. *Libri Bibliothecae conventus Wielgomlynensi de novo conscripti* przechowywanego obecnie w Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej w Częstochowie<sup>1</sup>.

Przy identyfikacji tytułów książek, wymienionych w *Raptularzu*, w przypadku poloników opierano się na *Bibliografii polskiej* Karola Estreichera i dlatego możliwe było podawanie pełnych tytułów dzieł oraz miejsc i lat wydania<sup>2</sup>. Natomiast w przypadku literatury obcej dokonano tego częściowo w oparciu o publikacje Joanny Szady oraz wydanie krytyczne inwentarzy bibliotecznego paulinów z Wielunia w opracowaniu Tomasza Stolarczyka<sup>3</sup>.

---

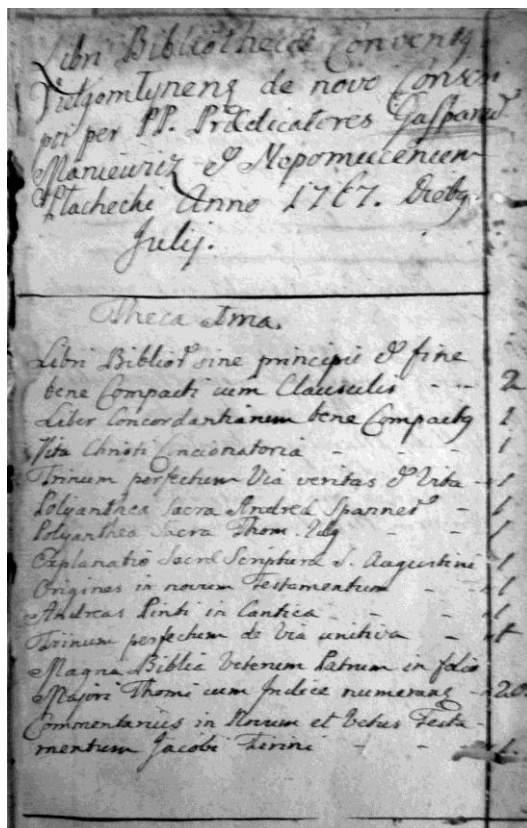
<sup>1</sup> Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej im. ks. Walentego Patykiewicza (dalej: AACz), sygn. KP 252: *Księgi Parafialne Wielgomłynny: Libri Bibliothecae conventus Wielgomlynensis de novo conscripti per P[atres] Praedicatorum Gasparum Maniewicz et Nepomucenum Płachecki anno 1767 Diebus Julij* (dalej: Wielgomłynny 1767); *Raptularz* został pokazany w czasie wizytacji kanonicznej prowincjalnej w dniu 10 grudnia 1767 r. bratu Pafnucemu Brzezińskiemu wikariuszowi prowincjalnemu (s. 16).

<sup>2</sup> K. Estreicher, *Bibliografia polska*, cz. III: *Obejmująca druki stóleci XV-XVIII w układzie abecadlowym* (dalej: Estreicher), t. 1-23, Kraków 1891-2000.

<sup>3</sup> J. Szady, *Księgozbiory parafialne w prepozyturze wiślickiej w II połowie XVIII wieku*, Lublin 2008 (dalej: Szady); *Inwentarze biblioteczne z konwentu paulinów w Wieluniu (XVIII w.)*, opr. T. Stolarczyk, Wieluń 2021.

### Charakterystyka Raptularza

Raptularz został podzielony na *Teki* (*Theca*) odpowiadające działom przedmiotowym, według których spisano w nim książki, zgodnie z typowym dla dawnych bibliotek klasztornych układem rzeczowym – tak też były ułożone w bibliotece: *Theca 1ma* – bez tytułu, *Theca 2da: Concionatores Latini in Folio* oraz *Concionatores Poloni*, (*Kaznodzieje łacińscy i Kaznodzieje polscy*) *Theca 3tia: Concionatores in Folio*, *Theca 4ta ex altera partes ad fenestram inferius: Expositores* (*Komentatorzy*), *Theca 5ta ex altera parte: Historici in Folio*, *Theca 6ta ex altera parte: Politici et Statuta*, *Theca 7ma: Morales*, *Theca 8va: Theologi Speculativi*. *Theca 9na: Concionatores Latini in 4to*, *Theca 10ma: Conciones Polonici in 4to*, *Theca 11ma: Concionatores Latini in 4to*, *Theca 12ma: Concionatores Latini in 8vo*, brak w Raptularzu teki trzynastej!, *Theca 14ta: Historici in 4to*, *Theca 15ta: Ascetici* *Theca 16ta: Ascetici* brak w Raptularzu teki siedemnastej!, *Theca 18va: Miscellani*, *Theca 19na: bez tytułu*, *Theca 20ma: bez tytułu*. Raptularz pomija całkowicie adresy wydawnicze druków. Wszystkie tytuły są zawsze skrócone – bibliotekarz spisywał je zapewne z grzbietów książek, bez dokładnego sprawdzania kart tytułowych. Często podają samo nazwisko autora bez jego imienia a czasami sam tytuł bez autora. W przypadku zakonników przed nazwiskiem stawiano czasami literę *P* czyli *Pater*. Każdy wpis zaczyna się od nowego wiersza. W niektórych działach: *Expositores*, *Concionatores Historici*, *Politici et Statuta*, *Morales*, *Theologi Speculativi*, *Historici*, *Ascetici*, *Miscellani* każdą niemal pozycję ponumerowano z wyjątkiem tytułów dopisanych w późniejszym czasie. Przy każdym tytule podana jest liczba woluminów<sup>4</sup>.



Pierwsza strona Raptularza z 1767 r.

<sup>4</sup> AACz, sygn. KKP 252, Wielgomłynny 1767, s. 1-16.

### ***Kazania i zbiory kazań***<sup>5</sup>

W polskich klasztorach paulińskich przydatne były bardzo dzieła z zakresu kaznodziejstwa<sup>6</sup>. Homiletyka rozróżnia następujące kazania: dogmatyczne, moralne, polemiczne (apologetyczne), maryjne, hagiograficzne, wielkopostne, adwentowe, pasyjne, na niedziele i święta w ciągu roku liturgicznego, okolicznościowe czyli przygodne, itp<sup>7</sup>.

Spośród kazań niedzielnych na niedziele całego roku liturgicznego (*in Dominicas, na niedziele*) należy wymienić kazania Szymona Stanisława Makowskiego<sup>8</sup>, Mathiasa Fabera, Jana Kraszewskiego<sup>9</sup>, Antoniego Węgrzynowicza<sup>10</sup>, Jana Wolskiego<sup>11</sup>, Franciszka Rychłowskiego<sup>12</sup>, Benedykta od św. Józefa Zawadzkiego<sup>13</sup>, Pelbarta de Themeswar, Pierre'a de Besse, Sebastiena Heinri Penzingera, Franciszka

---

<sup>5</sup> AACz, sygn. KKP 252: Wielgomłyn 1767, s 1-3, 8-10

<sup>6</sup> J. Szpak, *Biblioteki paulinów polskich w XVIII wieku: zarys problematyki*, [w:] *Codziennosc i niecodziennosc oswieconych*, t. 1: *Przyjemności, pasje, upodobania*, red. B. Mazurkowa, M. Marcinkowska, S. Dąbrowski, Katowice 2013, s. 70.

<sup>7</sup> J. Niedzielski, *Kazanie*, [w:] *Podręczna Encyklopedia Kościelna*, t. 21/22, Warszawa 1910, s. 51-55 ; A. Lewek, *Kazanie (Rodzaje)*, [w:] *Encyklopedia Katolicka*, t. 8, Lublin 2000, kol. 1267.

<sup>8</sup> Szymon Stanisław Makowski, *Pars Hiemalis concionum dominicalium a prima adventus usque ad Pentecosten*, Cracoviae 1668; tenże, *Pars aestiva concionum dominicalium a Pentecoste usque ad adventum*, Cracoviae 1675; tenże, *Pars Hyemalis concionum pro festivitibus Christi, B. Virginis et Sanctorum*, Cracoviae 1666; tamże, *Pars Aestiva concionum pro festivitibus Christi, B. Virginis et Sanctorum*, Cracoviae 1665; [Estreicher, cz. 3, t. 11, Kraków 1908, s. 59-60]

<sup>9</sup> Jan Kraszewski, *Impetus bonarum cogitationum ex evangelii dominicarum totius anni desumpti et per singulos hebdomadarum dies distribute meditaturis ad docendum accomodati*, Calissii 1696 [Estreicher, cz. III, t. 9, Kraków 1905, s. 242].

<sup>10</sup> Antoni Węgrzynowicz, *Syllabus Marianus Syllabarum consonantium seu Discursus Concionatorij...SS. Deiparae Laudes Praerogativae, Mysteria etc....* Leopoli 1717; *Kazań niedzielnych księga...* Cracoviae 1710-1714 [Estreicher, cz. 3, t. 21, Kraków 1938, s. 308-309, 311; o kazaniach A. Węgrzynowicza zob. M. Kuran, *Przez zarzuconą subtelną bawelnicę cognitio symbolica w kazaniach reformata Antoniego Węgrzynowicza*, Łódź 2022]

<sup>11</sup> Jan Wolski, *Dni panskie sloncem Boskiego Słowa Wypogodzone. To iest Kazania na niedziele całego roku*, Częstochowa 1714 oraz *Dni wybranych Sług Boskich jasnością przykładowych cnot swoich swietne y odswietne albo Kazania Na święta całego roku*, we Lwowie 1728 [Estreicher, cz. 3, t. 22, Kraków 1939, s. 295-296]

<sup>12</sup> Franciszek Rychłowski, [Estreicher, cz. 3, t. 15, Kraków 1915, s. 513-514]; tenże, *Kazania pogrzebne... Ku wygodzie kościelnych i publicznych oratorów do druku w iednym tomie podane w Warszawie 1700* [Estreicher, cz. 3, t. 4, Kraków 1897, s. 407-408].

<sup>13</sup> Benedykt Zawadzki, *Kazania na Niedziele Doroczne...*, wiele wydań [Estreicher, cz. 3, t. 23, Kraków 2000, s. 418].

Kowalickiego<sup>14</sup>, Atanazego Ludwika Kierśnickiego<sup>15</sup>, Stanisława Bielickiego<sup>16</sup>, Heinricha Helmesiusa, Cornelio Musso, Wilhelma Pepina, Paula Wana, Wincentego Fereriusza. Spośród kazań przeznaczonych na święta w czasie całego roku liturgicznego (*in Festa, de Sanctis, na Święta, Świętne*) należy wymienić kazania Szymona Stanisława Makowskiego, Tomasza Bogdanowicza<sup>17</sup>, Jana Wolskiego, Jana Krosnowskiego, Antoniego Szyrmy, Andreasa Kollenicsa, Juana de Matha, Jacka Liberiusza<sup>18</sup>, Stanisława Bielickiego, Anioła Ignacego Gorzyńskiego<sup>19</sup>, Cornelio Musso, Wilhelma Pepina. Wśród zbiorów kazań, znajdujących się w wielgomłyńskiej bibliotece były też takie, które zawierały zarówno kazania niedzielne jak i na święta. Były to dzieła Piotra Skargi, Bazylego Rychlewicza<sup>20</sup>, Bartłomieja Szotarewicza<sup>21</sup>, Alessandro Calamato, Philippa von Hartung, Agostino Paoletti, Felippe Luzytanusa

---

<sup>14</sup> Franciszek Kowalicki, *Post stary polski dziewięć niedzielny od S. Wojciecha nabożnie zaczęty przez lat około 300 od Polaków światobliwie chowany*, Sandomierz 1718 [Estreicher, cz. 3, t. 9, Kraków 1905, s. 172]; tenże, *Katedra kaznodzieie niedzielnego na rok cały...*, w Sandomierzu 1725 [Estreicher, cz. 3, t. 9, Kraków 1905, s. 171].

<sup>15</sup> Atanazy Ludwik Kierśnicki, *Wolny głos mow niedzielnych*, w Warszawie 1727 [Estreicher, cz. 3, t. 8, Kraków 1903, s. 254].

<sup>16</sup> Stanisław Bielicki, *Niedziele kaznodziejskie to iest, kazania na niedziele całego roku* [Estreicher, cz. 3, t. 2, Kraków 1894, s. 73; *Inwentarze biblioteczne*, s. 97] tenże, *Święta Kaznodziejskie, to iest Kazania doroczne na uroczystości Świętych Bożych...*, w Kaliszu 1717 [Estreicher, cz. 3, t. 2, Kraków 1894, s. 74].

<sup>17</sup> Tomasz Bogdanowicz, *prawdopodobnie Trąba Nowego Testamentu przy okropney ruin krwawych całego świata tragedyej słodkobrzmiacym dzieł heroicznych świętych pańskich dźwiękiem, serca wiernych strapione, różnemi ciesząca kazaniem* [Estreicher, cz. III, t. 2, Kraków 1894, s. 208].

<sup>18</sup> Jacek Liberiusz, *Gospodarz Nieba y Ziemi Jezus Chrystus, Syn Boży, Bog wcielony, Zbawiciel y Naprawca Świata... na kazaniach wystawiony od X. Jacka Liberiusza S. T. Doktora Proboszcza kościoła Bożego Ciała na Kaźmierzu przy Krakowie*, w Krakowie 1657; Kazimierz przy Krakowie 1665; w Krakowie 1669 [Estreicher, cz. 3, t. 10, Kraków 1906, s. 260; S. Rumiński, *Nauka ks. Jacka Liberiusza o świętości Matki Bożej*, „Nasza Przeszłość”, t. 45, 1976, s. 41; zob. też J. Baron, *Niebieskie krasomówstwo. Retoryka kazań maryjnych Jacka Liberiusza*, Katowice 2021].

<sup>19</sup> Anioł Ignacy Gorzyński, *Nowy ogłos chwały Świętych Boskich, obiwszy się o Skalkę Stanisława Świętego na cały świat Polski wychodzi. To iest. Kazania na wszystkie swieta roczne* [Estreicher, cz. 3, t. 6, Kraków 1899, s. 269].

<sup>20</sup> Bazyl Rychlewicz, *Kazania począwszy od Adwentu, asz do Wielkiej Nocy inclusive, na Niedziele, Święta Zbawiciela y Jego Matki Maryi Panny...*, w Krakowie 1698 [Estreicher, cz. 3, t. 15, Kraków 1915, s. 511-512].

<sup>21</sup> Bartłomiej Szotarewicz, *Schema Regulare seu sermones claustrales* [Inwentarze biblioteczne, s. 67].

Dieza (Diaza), Jana Sebastiana Piskorskiego<sup>22</sup>, Franciszka Salezego<sup>23</sup>, Juana Osorio, Thomasa Stapletona.

Wśród autorów kazań wielkopostnych (*sermones quadragesimales*) tj. kazań przeznaczonych na niedziele wielkopostne oraz na codzienne dni Wielkiego Postu<sup>24</sup>, których dzieła znalazły się w bibliotece wielgomłyńskiej należy wymienić m.in. Friedricha Nausea (Blandicampianusa), Diego Nisseno, Franciszka Kowalickiego. Z kolei kazania pasyjne pisali Stefan Poniński<sup>25</sup>, Philipp Boskhier. Z spośród kazań mariologicznych znajdujących się w bibliotece wieluńskiej należy wymienić kazania przede wszystkim Michała Rychalskiego<sup>26</sup>, Antoniego Węgrzynowicza, Stefana Ponińskiego, Antoniego Stefanowicza<sup>27</sup>, Jana Damascena Kalińskiego<sup>28</sup>, Ambrożego Szymona Nieszporkowicza<sup>29</sup>, Piusa Salisburgensis<sup>30</sup>, Bruno Osieckiego<sup>31</sup>, a także

<sup>22</sup> Jan Sebastian Piskorski, *Kazania na Dni Paskie, na Uroczystości Bogarodzice Panny Niepokalanie Poczętej. Na Święta osobliwe sług paskich...*, w Krakowie 1706 [Estreicher, cz. 3, t. 13, Kraków 1912, s. 323].

<sup>23</sup> Franciszek Salezy, św., *Kazania S. Franciszka Salezyusza Biskupa y Xiążęcia Genewskiego na niektóre święta y niedziele, którym przydane są także fragmenta niektórych kazań, y pieśni Salomonowych mistyczne objaśnienie Niegdy przez Zakonnice Nawiedzenia Najsświętszey Mpanny wiernie zebrane w Annesium a teraz przez też Zakonnice Klasztoru Warszawskiego z francuskiego języka na Polski przetłumaczone*, Warszawa 1693 [Estreicher, cz. 3, t. 5, Kraków 1898, s. 283].

<sup>24</sup> B. Szady, J. Szady, *Kazania na Wielki Tydzień w epoce nowożytnej w Polsce*, [w:] *W kręgu wielkopostnej pobożności i bractw religijnych*, red. J. Bień, Lublin 2007, s. 94.

<sup>25</sup> Stefan Poniński, *Król Bolesny Chrystus Zbawiciel kazaniem o Męce Pańskiej na postne nabożeństwa*, Poznań 1723 [Estreicher, cz. 3, t. 14, Kraków 1913, s. 56]; tenże, *Królowa Nieba y Ziemi Naydostojniejsza Boga Rodzica Marya Kazaniami na wszystkie swoje święta... Wystawiona*, w Poznaniu 1721 [Estreicher, cz. 3, t. 14, Kraków 1913, s. 57]

<sup>26</sup> Michał Rychalski, *Mundus marianus Immundorum...*, Posnaniae 1684, Posnaniae 1686 [Estreicher, cz. 3, t. 15, Kraków 1915, s. 510-511].

<sup>27</sup> Antoni Stefanowicz, *Dzieło zbawienia Ludzkiego Wystawione To Iest Przednieysze P. Iezusowego, Y Przenajświętszey iego Rodzicielki P. Maryey Taiemnice na Kazaniach po roznych Kościołach Krakowskich... Obiasnione* w Krakowie 1678 [Estreicher, cz. 3, t. 18, Kraków 1929, s. 270].

<sup>28</sup> Jan Damascen Kaliński, *Korona z prześwieatnych dostojności z cnót nieskończoney godności, z łask nieprzebraney tayości uwita. Najaśnieyszey Monarchini Krolowy Nieba y Ziemi Najswiętszey Boga matce Pannie Maryi, Tronu Dawidowego prawdziwey Dziedzicze, w kazaniach na Jey Uroczystości*, w Warszawie 1726 [Estreicher, cz. 3, t. 8, Kraków 1903, s. 58].

<sup>29</sup> Ambroży Szymon Nieszporkowicz, *Officina emblematum qua praecipuos Virginis et Matris Dei Mariae. Titulos et elogia complectuntur. Per Fr. Ambrosium Nieszporkowicz, Ordinis Eremitarium S. Pauli primi Eremitae proposita et exposita* - dwa różne dzieła o tym samym tytule - jedno wydane w Krakowie w 1680 r. omawia obrazy i symbole maryjne, natomiast drugie też w Krakowie ale w 1691 r. i jest traktatem mariologicznym [Estreicher, cz. 3, t. 12, Kraków 1910, s. 138; K. Szafranec, *Nieszporkowicz*, s. 67].

zbiór kazań najświetniej kaznodziejów polskich początku XVIII w. z okazji koronacji Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w 1717 r. wydanych przez Antoniego Nowakowskiego<sup>32</sup>. Spośród zbiorów kazań okolicznościowych (przygodnych) należy wymienić kazania Piotra Skargi<sup>33</sup>, Mathiasa Fabera (pogrzebowe), Piotra Stanisława Dunina<sup>34</sup>, Tobiasza Lohner, *Instructissima bibliotheca manualis concionatoria*.

W bibliotece znajdowały się także kazania dogmatyczne: Josepha Langa, Jacka Liberiusza, Piotra Stanisława Dunina, moralne: Nicholasa de Hanapis *Exempla Biblica in Materias Morales*, Diego Nisseno *Vita Abrahae*<sup>35</sup>, Lawrence'a Beyerlincka *Promptuarium morale super Festa* oraz kazania hagiograficzne: Jana Kantego Laskiewicza<sup>36</sup>, komentarze do *Ewangelii* i poszczególnych ksiąg *Pisma Świętego* w postaci kazań pisali z kolei: Friedrich Nausea (Blandicampianus), Diego de Estel-

---

<sup>30</sup> Pius Salisburgensis *Concionator seu pia ac devotae Conciones in Omnia totius anni B[ea]t[is]s[im]ae Virginis Festa* [Inwentarze biblioteczne, s.189].

<sup>31</sup> Bruno Osiecki, *Prymicie pracy kaznodziejskiej przez dni piętnastie solenne przebłogosławionej Maryi Panny Matki Boskiej nieograniczone łaski y dobrodziejstwa remostruiące. Przy wielkiej frequency auditora nabożnego w Bazylikach różnych Krolestwa Polskiego odprawiony* [Estreicher, cz. 3, t. 12, Kraków 1910, s. 464].

<sup>32</sup> Antoni Nowakowski] *Nowa korona chwały najwyższej Monarchini niebá y ziemie Nayiaśnieszey Krolowey Polskiej Maryi Pannie wielkiej Zbawiciela naszego matce, w przecudownym Rytrákie ná Jasney Gorze Częstochowskiej z woli Oyca Świętego Klemensa XI. najwyższego Pasterza kościoła bożego, roku páńskiego 1717 dnia 7 Septembrá. Przez Jasnie Wielmożnego J. M. Xiędza Krzysztofa z Szupowa Szembeka, Biskupa ná ten czas Chelmskiego ukoronowana. Przez tryumfalną szczęśliwey Inauguratiy Oktawę, drogimi Perlami Panegirycznych Kazań, od nayprzewielebniejszych y przewielebnych Pralatów y godnych enkomiaistów przybrana y akkomodowana.*, Jasna Góra 1718 [Estreicher, cz. 3, t. 12, Kraków 1910, s. 182-186].

<sup>33</sup> Piotr Skarga, *Conciones pro Diebus Dominicis, Et festis, Totius Anni... jam olim ab ipso Authore, cum additione de septem Sacramentis*, Cracoviae 1691 [Estreicher, cz. 3, t. 17, Kraków 1930, s. 136]; tenże, *Kazania Przygodne, o rozmaitych nabożeństwach wedle czasu, których iest wypisany na przodku registr. Czynione y napisane od X. Piotra Skargi Societatis Jesu*, Kraków 1600 [Estreicher, cz. 3, t. 17, Kraków 1930, s. 162-163; o kazaniach przygodnych Piotra Skargi zob. M. Komorowska, *Wzorzec kazania przygodnego u Piotra Skargi*, „Studia Rhetorica” 2011, s. 81-91]

<sup>34</sup> Piotr Stanisław Dunin, *Wschod y Zachod słońca sprawiedliwości To iest, kazania o narodzeniu, śmierci, y zmartwychwstaniu pańskim, Z przydaniem [...] osobliwie o niepokalanym poczęciu Bogarodzice* [Estreicher, cz. 3, t. 4, Kraków 1897, s. 410].

<sup>35</sup> Diego Nisseno, *Vita Abrahae et politicus coeli ex mysticis actionibus, et Moribus Sacrorum Patriarcharum Isaac, Et Jacob exsculptus autore Reverendissimo Domino P Didaco Nisseno ordinis S. Basilii magni Abbate. Tomus Tertius Reverendissimo P. F. Joanne Freylinck Reimbacensi Ord. Praed. SS. Theol. Magistro* [Szady, s. 235].

<sup>36</sup> Jan Kanty Laskiewicz, *Chwała B. Wincentego Kadlubka niegdyś Biskupa Krakowskiego, a potym zakonnika w klasztorze Andrzeiowskim Cystersceńskiego. W poczet Błogosławionych policzonego...*, w Krakowie 1765 [Estreicher, cz. 3, t. 10, Kraków 1906, s. 94-95].

la, Frans Polygranus oraz Michaela Pexenfeldera *Concionator historicus*, Hendrika Culensa *Spiritualium strenarum*, Waleriana Gutowskiego *Kazania panegiryczne*<sup>37</sup> czy też anonimowego autora *Rudimenta pro concionatoribus, Dictionarium pauperum*.

### *Dzieła teologiczne*<sup>38</sup>

Do dzieł z teologii dogmatycznej (spekulatywnej) należy zaliczyć następujące książki: *Theologia scholastica aegidio-augustiniana* t. 1-2 autorstwa Frederica Nicolausa Gavardi i Benignusa Sichrowský'ego, *De Sacramentis* Adama Pantini Opatoviusa (Opatowczyka)<sup>39</sup>, Giovanni Bologni *De aeterna Dei praedestinatione et reprobatione sententia Synopsis totius cursus theologici* Jacques'a Platela.

Do autorów dzieł z teologii życia wewnętrznego (ascetyki, mistyki) należeli: Benedictus van Haeften *Venatio sacra*, Jan Kraszewski, *Impetus bonarum cogitationum*, Augustyn Adam Wessel, *Mysli pokutującego człowieka*<sup>40</sup>, Franciszek Salezy, *Droga do życia pobożnego*<sup>41</sup>, Jeremias Drechsel *Wieczność piekielna*<sup>42</sup> oraz *De iudicio extremo* i *Tractatus de Ieiunio*, a także *Palestra christiana*, Lorenzo da Ponte *Monita spirytualia* oraz *Meditationes*, François de Koster *Meditationes de vita et laudibus Virginis Deiparae*, Bartłomiej Szotarewicz, Janos Nadasi, *Rok niebieski* oraz *Annus meditationum cordis de vita Jesu*<sup>43</sup> Jacob Massena *Dux viae ad vitam per-*

<sup>37</sup> Walerian Gutowski, *Dyskursy duchowne y różne insze kazania, przy celnieyszym y obfitym Audytorze, w kościołach zwłaszcza Krakowskich pewnych czasów miane...*, w Krakowie 1675 Estreicher, cz. 3, t. 6, Kraków 1899, s. 477].

<sup>38</sup> AACz, sygn. KKP 252: Wielgomłyn 1767, s. 2, 6, 7, 9, 10, 12, 13.

<sup>39</sup> Adam Pantini Opatovius (Opatowczyk), *Tractatus de Sacramentis in genere et specie quibus circa Sacraamentum Poenitentiae adiuncti sunt duo, unus de Censuris, alter de Indulgentiis...* Cracoviae 1642 [Estreicher, cz. 3, t. 12, Kraków 1910, s. 366-367].

<sup>40</sup> Augustyn Adam Wessel, *Mysli Pokutującego Człowieka, Przy Zranionych Nogach Jezusowych grzechy swoje oplakującego, w reflexyach na Siedm Psalmow Pokutnych Wyrazone Dla Pożytku Dusz Niewinną Krwią Zbawiciela Podane...*, w Krakowie 1724 [Estreicher, cz. 3, t. 21, Kraków 1938, s. 396].

<sup>41</sup> Franciszek Salezy, św., *Droga do życia pobożnego... francuskim językiem opisana. A przez X. Jana Kazimierza Denhoffa Opata Mogilskiego, po polsku przełożona, y do druku podana.* [Inwentarze biblioteczne, s. 195].

<sup>42</sup> Jeremias Drechsel, *Wieczność piekielna abo o ogniu, więzieniu y mękach, które w piekle cierpią ludzie potępieni. Obrazu Wieczności część Wtora. Wydana naprzód przez W. O. Hierem. Drexeliusza S. J. Łacińskim językiem a teraz na polski przełożona*, w Krakowie 1640 [Estreicher, cz. 3, t. 4, Kraków 1897, s. 318].

<sup>43</sup> Janos Nadasi, *Rok niebieski, albo przewodnik do szczęśliwey wieczności, Jezusowi Królowi niebieskiemu, Maryi Królowey niebieskiej, y wszystkim Świętym mieszkańcom Niebieskim, na cześć y chwałę przez miesiące y dni rozłożony, od iednego Kapłana Soc. Jesu Roku którego życie przedwieczne, w ciełe ludzkim dla nas żyć poczęło 1697, Kalisz 1697; Roku Niebieskie-*

*fectam*, Jan Skrzetuski, *Anatomia moralis*<sup>44</sup>, Jerzy Gengel, *Gradus ad atheismum*, Kasper Drużbicki *Meditationes*<sup>45</sup>, *Negotiatio spiritualis* oraz *Meditationes in Passionem*, Chryzostom Dobrosielski, *Summarium asceticae* i *Theologia ascetica*<sup>46</sup>, Vincenzo Bruno *Meditationes*, Jean Crasset, św. Augustyn *Soliloquia* oraz *Rozmyślania*<sup>47</sup> Daniel Benjamin Scheel *De vero Dei Immortalis Cultu Qui Fir Mente Et Animo Humano Libellus Asceticus*, *Thesaurus precum*, Jan Buys *Meditationes*<sup>48</sup>, św. Tomasz a Kempis *Viator christianus*, Andreas Kollenics *Augusta porta et acta via* oraz *Superior religiosus*, Simon Boehorn, *Lumen Veritatis*, *Meditationes S. Augustini et Bernardi*, Bohuslav Balbin *Vita B. Joannis Nepomuceni*, Girolamo Savaonaro *la Meditationes*, Ferdinand Meisleder *Desertum asceticum*, Piotra Lilia Salomon *sive Religione Catholica*<sup>49</sup>, Hieronim Powodowski *Speculum clericorum*<sup>50</sup>, Robert Belarmin *De arte bene moriendi* oraz *De lachrimis* i *De Aeterna felicitate*, Josse Andries *Medulla crucis perpetuae*<sup>51</sup>, Innocenty III *De contemptu mundi*, św. Bonawentura *Stimulus amoris domini*, Emilian Nieberle, *Calendarium Seraphicum tam contemplativae Magdalенаe pro affectuosa meditatione quam activae Marthae pro fruc-*

---

go część wtóra, to iest Kwiecień, Maj, Czerwiec, Kalisz 1697 [Estreicher, cz. 3, t. 12, Kraków 1910, s. 14]

<sup>44</sup> Jan Skrzetuski, *Anatomia moralis Verbi Incarnati poenitypo visui ac usui publico*, Posnaniae 1698 [Estreicher, cz. 3, t. 17, Kraków 1930, s. 201].

<sup>45</sup> Kasper Drużbicki, *In Passionem Domini Meditationes quadraginta sex iuxta numerum dierum Quadragesimae*, Calissii 1721; *Negotiatio spiritualis per varias industrias aeternis intenta lueris*, Cracoviae 1674 lub wydanie z 1738 r. pt. *Negotiatio spiritualis se XXX industriae per ordinariae piarum actionum exercitia plurimum augendi merita*, Dilingae [Estreicher, cz. 3, t. 4, Kraków 1897, s. 337, 335].

<sup>46</sup> Chryzostom Dobrosielski, *Summarium asceticae et mysticae theologiae. Ad mentem D. Bonaventurae, Seraphici ac Ecstatici Doctoris, pro maiori gloria Dei e Bmae Virginis Mariae, ac omnium Sanctorum honore, concinnatum*, Cracoviae 1655; *Theologia ascetica. Ad mentem D. Bonaventurae, Seraphici ac Ecstatici Doctoris. Continens varia exercitia et modos acquirendi perfectionem religiosam. Concinnata*, Cracoviae aprobata do druku 1703 [Estreicher, cz. 3, t. 4, Kraków 1897, s. 263].

<sup>47</sup> Augustyn św., *Rozmyślania nabożne, mowy tajemne do P. Boga*, wiele wydań [Estreicher, cz. 3, t. 1, Kraków 1891, s. 296-297].

<sup>48</sup> Jan Buys, *Enchiridion piarum meditationum in omnes dominicas, sanctorum festa, Christi passionem et caetera*; Simon Boehorn, *Lumen Veritatis sive manuduction hominis fidelis, ac religiosi, ad vitam pie, et religiose, secundum lumen fidei et intellectus instituendam, excolendamque, Brunsbergae 1716* [Estreicher, cz. 3, t. 2, Kraków 1894, s. 188].

<sup>49</sup> Piotr Lilia Salomon *sive Religione Catholica et dignitate sacerdotali*, Cracoviae 1588 [Estreicher, cz. III, t. 10, Kraków 1906, s. 275].

<sup>50</sup> Hieronim Powodowski, *Speculum Clericorum ex Sacris Eloquiis et Orthodoxa antiquitate congestum*, Cracoviae 1604 [Estreicher, cz. 3, t. 14, Kraków 1913, s. 186].

<sup>51</sup> Josse Andries, *Medulla Crucis perpetuae ex cruce perpetua*, Olivae 1681 [Estreicher, cz. 3, t. 1, Kraków 1891, s. 148].



*tuose operatione*, Grzegorz Terecki (Terecjusz) *Directorium vitae spiritualis*<sup>52</sup>, Luca Pinelli *Liber de perfectione religiosa*, Jan Kwiatkiewicz, *Fax ascetica*<sup>53</sup>, Wojciech Tylkowski *Soliloquia christiana*<sup>54</sup>, Ludwik z Granady *Vita Christi*, Paul de Barry *Recollectionibus*, Georges Gobat *De Iubilaeo*, Giovanni Bona *De sacrificio missae tractatus asceticus*, Jan Chryzostom Adamovius *Abecedarium*<sup>55</sup>, *Deliciae caelestis pro societate serafica*, Lenart Leys, *Disputatio de statu viate deligendo*, Johann Rivius *De lucta christiana*, Philippe d' Outreman *Pedagogus christianus*, André de Resende *De virtutibus*, św. Franciszek Ksawery (Francisco de Jaso y Azpilcueta) *Flores indicia* oraz Antoni Świerczyński *Via Caelestis Sapientiae*<sup>56</sup>.

Spośród dzieł należących do teologii moralnej (kazuistyki) należy wymienić prace Emmanuela Sa (prawdopodobnie *Aphorismi confessoriorum ex doctorum sententiis collecti*) Martino Bonaciny *Compendium Theologiae moralis*, Bazylego Rychlewicza *de Sacramentis*<sup>57</sup> Francisca de Victoria *Summa Sacramentorum*, Antonio de Molina *Instructio Sacerdotum*, Jeana Baptiste Taverne (Taberne) *Synopsis Theologiae moralis*, Francisco Toledo de Herrera (Toletus) *Compendium Summae Cardinalis Toleti* autorstwa *Genesio Minuciusa*, Martino Fornari *Institutio confessoriorum de modo promovendi poenitentes ad christianam perfectionem*, Antonino Diany Panormitanusa *Resolutiones*, Claude'a Lacroix *Theologia moralis*, Eligiusa van La Bassee, *Flores totius theologiae practicae tum sacramentalis, tum moralis*, Tomasso Tamburinię *Opera omnia*, Anacletusa (Johanna Georga) Reiffenstuela: *Theologia moralis*, Juana de Caramuel *Theologia regularis*, Simona Karchne *Dissertationes de Actibus humanis*, Jaime de Corella *Praxis confessionalis*, Henricusa de Odendorff *Repetitio capituli omnis utriusque sexus de poenitentiis et remissionibus*, Silvestro Prierias Mazzoliniego *Summa Silvestriana*, Tirso González de Santalla *Fundamentum theologiae moralis*, Augustina Matthaеucci *Cautela confessarii*, Mikołaja z Mościsk

<sup>52</sup> Grzegorz Terecki, *Directorium Vitae Spiritualis FF. Eremitae Ordinis S. Pavli Primi Eremitae*, Cracoviae 1649 [Estreicher, cz. 3, t. 20, Kraków 1936, s. 110].

<sup>53</sup> Jan Kwiatkiewicz, *Fax ascetica peregrino terrestri per exercitia spiritualia Aeternis intento...* Cracoviae 1680 [Estreicher, cz. 3, t. 9, Kraków 1905, s. 422].

<sup>54</sup> Wojciech Tylkowski, *Soliloquia Christiana Et Praxes Quaedam...*, wiele wydań [Estreicher, cz. III, t. 20, Kraków 1936, s. 470].

<sup>55</sup> Jan Chryzostom Adamovius, *Abecedarium vitae spiritualis*, wiele wydań [Estreicher, cz. 3, t. 1, Kraków 1891, s. 60; *Inwentarze biblioteczne*, s. 195].

<sup>56</sup> Antoni Świerczyński *Via Caelestis Sapientiae Vestigis Exercitiorum S. P. Ignatii Soc. Jesu Fundatoris. Religiosis Viatoribus. Ad Perfectionis culmen tendentibus Demonstrata...*, Sandomiriae 1727 [Estreicher, cz. 3, t. 19, Kraków 1934, s. 104].

<sup>57</sup> Bazyli Rychlewicz, *Panoplia seu Armatura septemgemina sacramentalis perfecta, teologo-speculativo-practica...*, Cracoviae 1705-1706 [Estreicher, cz. 3, t. 15, Kraków 1915, s. 512].

(Mościckiego) (prawdopodobnie *Elementa ad S. Confessiones*)<sup>58</sup>, Mauro Antonio Berarduccio *Summa corona confessoriorum*, Grzegorza Tereckiego (Terecjusz) *Confessio et instructio idiotae*<sup>59</sup>, Martina ab Azpilcueta, Navarrusa *Manuale confessoriorum et poenitentium*, Martina Alfonso Vivaldo *Candelabrum aureum theologiae*, Giovanni Luca Fenecha *Flores casuum conscientiae*, Juana Bautisty Gormaza *Tractatus de Poenitentia*, Juana de Cardenasa *Crsisi theologica bipartite sive Disputationes Selectae ex Morali Theologia*, Antonio Fernandes de Moure *Examen Theologiae moralis*.

Teologia kontrowersyjna (dzieła polemiczne): Piotr Skarga *Pro Sacratissima Eucharistia*, Jerzy Gengel *Admiranda Jansenismi tribus exposita tractatibus* oraz *Admiranda Zwingli et Calvinii tribus exposita Tractatibus*<sup>60</sup>.

\*\*\*

W bibliotece paulinów wielgomłyńskich w 1767 r. znajdowało się 189 woluminów kazań i zbiorów kazań, natomiast dzieł teologicznych było tam 191 woluminów. Gros spośród nich była napisana w języku łacińskim, w języku polskim było zaledwie 27 dzieł. Do tych ostatnich należały przede wszystkim kazania oraz prace z teologii życia wewnętrznego. Ich autorami byli najważniejsi polscy kaznodzieje i teolodzy XVI, XVII i XVIII w. m. in. Franciszek Rychłowski, Fabian Birkowski, Szymon Starowski, Marcin Białobrzski, Hieronim Powodowski, Szymon Stanisław Makowski, Paweł Kaczyński, Piotr Skarga, Antoni Węgrzynowicz, Benedykt od św. Józefa Zawadzki, Piotr Stanisław Dunin, Jacek Liberiusz, Grzegorz Terecki (Terecjusz). Spośród autorów obcych należy wymienić przede wszystkim św. Augustyna, Pelbarta de Themeswar, Emmanuela Sa, Cornelio Musso, Thomasa Stapletona, Franciszka Kostera, Paula Wana (Wana), Petrosa, Juana de Cartagena, Pierre'a de Besse, św. Jana de Matha, Martinusa Bonaciny, Antonino Diany Panormitanusa, Francesco Toletto, Antonio Fernandes de Moure, św. Franciszka Salezego, Jeana

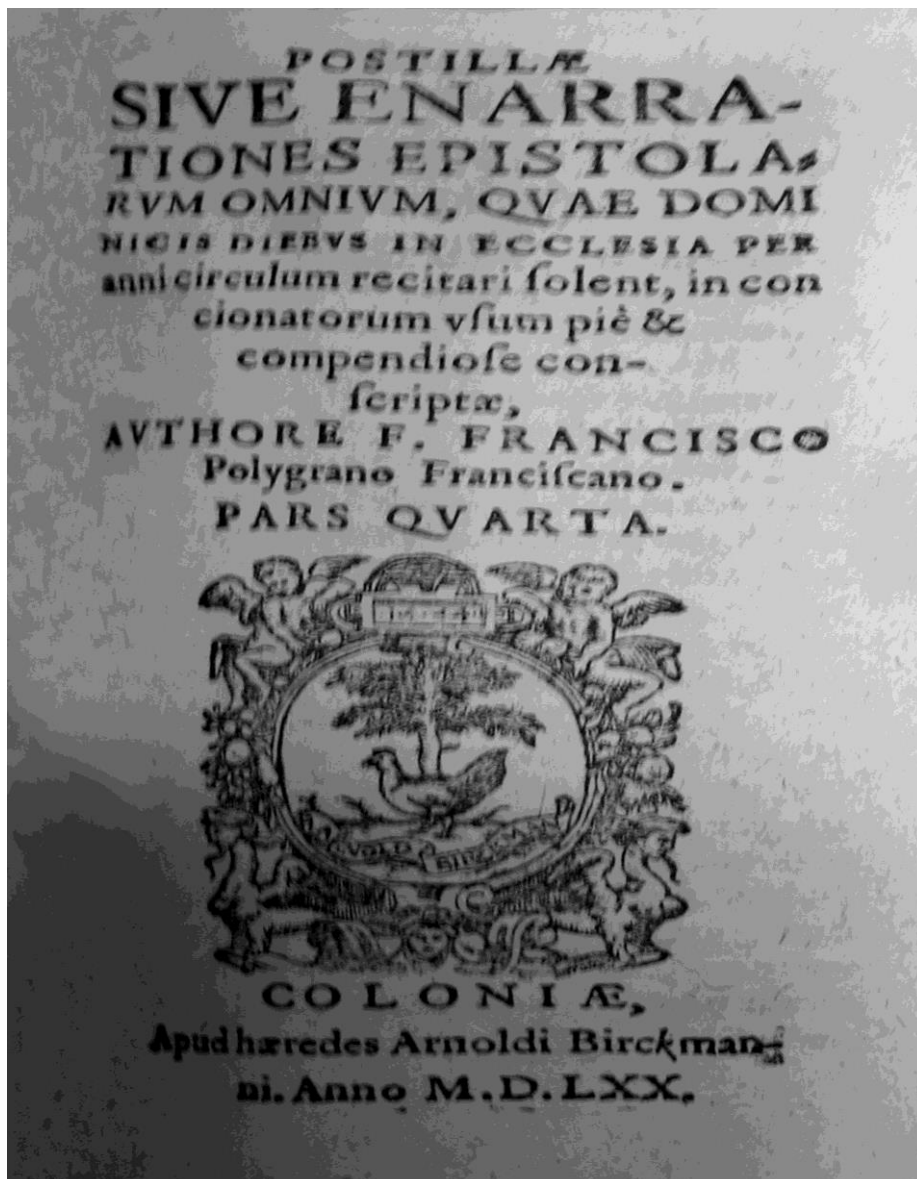
---

<sup>58</sup> Mikołaj Mościcki (z Mościsk), *Elementa ad S. Confessiones non tantum sacerdotibus in foro poenitentiae tyronibus aprime necessaria* [Estreicher, cz. 3, t. 11, Kraków 1908, s. 583].

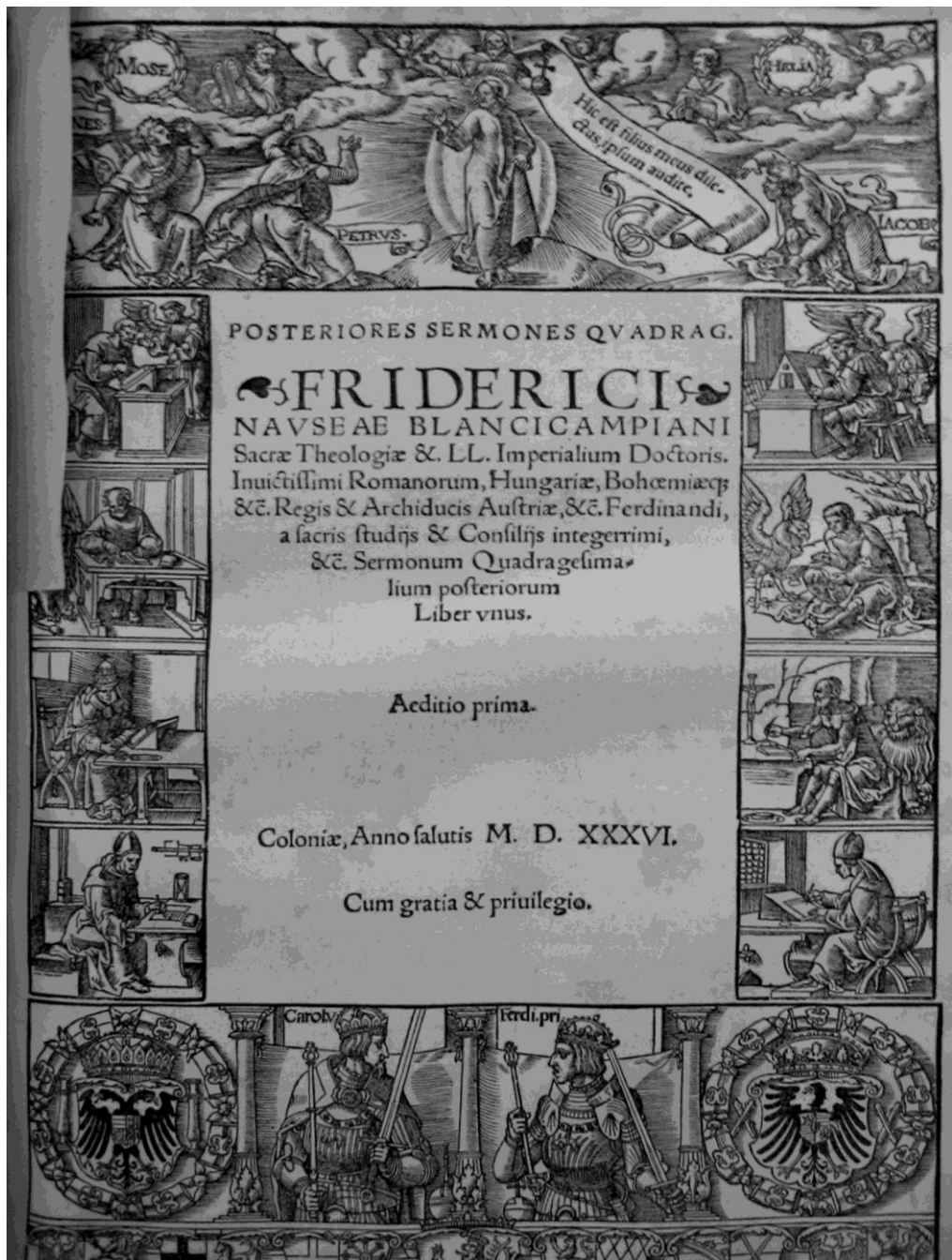
<sup>59</sup> Grzegorz Terecki, *Confessio et instructio idiotae. Sive modus excipiendi confessiones sacramentales rusticorum, pueorum in peccatis inveteratorum ac ignorantium profectum in vita christiana a R. P. Gregorio Teretio Ord. FF. Eremit. S. Pauli Primi Eremitae in Polonia professo, Editio secunda. Adiectae sunt sententiae a Sede Apostolica condemnatae et Bulla Coenae Domini per Fr. Ambrosium Nieszporkowitz Ordinis S. Pauli Eremitae S. T. D. Superiorum permisso*, Officina Francisci Cezary, Cracoviae 1686 [Estreicher, cz. 3, t. 20, Kraków 1936, s. 109-110].

<sup>60</sup> AACz, sygn. KKP 252: Wielgomłyn 1767, k 7, 9; Piotr Skarga, *Pro Sacratissima Eucharistia Contra Haeresim Zvinglianam... Libri Tres*, Vilnae 1576 [Estreicher, cz. 3, t 17, Kraków 1930, s. 139]; Jerzy Gengel, *Admiranda Jansenismi tribus exposita tractatibus [...]* Brunsbergae 1715; tenże, *Admiranda Zwingli et Calvinii tribus exposita Tractatibus [...]* [Estreicher, cz. 3, t. 6, Kraków 1899, s. 92].

Baptiste Taverne (Taberne), Juana de Caramuel, św. Tomasza a Kempis, Claude'a Lacroix i in. Byli to oczywiście paulini oraz dominikanie, franciszkanie, bernardyni, reformaci, kapucyni, jezuita, karmelici, trynitarze, księża diecezjalni, antyczni Ojcowie i Doktorzy Kościoła.



Frans Polygranus *Postillae sive Enarrationes Epistolarum Omnium* Coloniae 1570, Biblioteka Wyższego Seminarium Duchownego we Włocławku



Friedrich Nausea *Postiores Sermones Quadragesimales*, Muzeum Okręgowe w Sieradzu, Oddział w Tubądzinie

**Anna Michalska**

(Narodowy Instytut Dziedzictwa)

## Historia zespołu starej synagogi w Radomsku

### Wstęp

Radomsko jako miasto królewskie uzyskało w 1633 r. przywilej *De non tollerandis Judaeis*<sup>1</sup>, na mocy którego Żydzi przez kilkaset lat nie mieli możliwości osiedlania się na jego terenie. Od przełomu XVI/XVII w. starozakonni zamieszkiwali w pobliskiej wsi Bugaj. Przez dłuższy czas podlegali kahałowi z pobliskiego Przedborza a miejscem pochówków był cmentarz w Sulmierzycach. Posiadali jednak swoją świątynię *na Bugayu przy mieście Radomsku położoną*<sup>2</sup>. Działała także mykwa, mieszkańcy opłacali między innymi rzezaka i kantora.

Wydaje się zatem, iż przynajmniej od pocz. XIX w. społeczność żydowska była już w okolicach Radomska dobrze zorganizowana, w aktach miejskich stosowano nawet określenia *parafia radomszczańska*<sup>3</sup>. W 1816 r. wydano pozwolenie na założenie lokalnego cmentarza a władze miejskie już w 1826 r. planowały utworzenie rewiru żydowskiego, jednak zamiary te nie doczekały się realizacji<sup>4</sup>. W 1834 r. Bugaj został wcielony do Radomska. W tym samym roku społeczność żydowska zatrudniła rabina Salomona Rabinowicza sprowadzonego z Włoszczowy. Założył on w Radomsku dynastię cadyków, a miasto stało się ogólnopolskim centrum chasydy-

---

<sup>1</sup> Problematyką osadnictwa żydowskiego w Radomsku zajęła Martyna Musiał, *Zarys dziejów ludności żydowskiej w Radomsku w świetle księgi pamięci tego miasta i innych źródeł*, „Zeszyty Radomszczańskie”, 2014, t. VIII, s. 15-90; T. A. Nowak, *O najstarszych dziejach Żydów w Radomsku*, „Nasz Świat. Biuletyn Towarzystwa Przyjaciół Muzeum w Radomsku”, nr 23, 9 października 2002 r., s. 12-13.

<sup>2</sup> Archiwum Państwowe w Piotrkowie Trybunalskim (dalej APPT), Akta Miasta Radomska (dalej AmR), Rachunki kasy funduszów Bożniczych, sygn. I/ 281 brak paginacji.

<sup>3</sup> APPT, AmR, sygn. II/280, brak paginacji.

<sup>4</sup> Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej APŁ), Anteriora Rząd Gubernialny Piotrkowski (dalej ARGP), sygn. 1121, k. 57. Miał on znajdować się w pobliżu ul. Kaliskiej (obecnie Reymonta) i Brzeźnickiej. W późniejszym okresie rewir żydowski miał stanowić teren położony wokół ulicy Przedborskiej.

zmu. W celu uzyskania porad religijnych od osławionego cadyka i celebrowania w jego pobliżu dni świątecznych zjeżdżały do Radomska rzesze wiernych<sup>5</sup>. Zwiększenie liczby ludności żydowskiej nastąpiło także po przeprowadzeniu przez Radomsko linii kolei warszawsko-wiedeńskiej oraz dzięki założeniu fabryk oferujących miejsca pracy. Wpłynęło to pozytywnie na rozwój miasta, także kosztem okolicznych ośrodków takich, jak Przedbórz i Pławno<sup>6</sup>.

Żydowska gmina wyznaniowa rozrastała się, powstawały instytucje charytatywne, edukacyjne, organizacje syjonistyczne. Społeczność wyznania mojżeszowego wzniosła na terenie miasta grupę budynków, które umownie określa się obecnie jako zespół starej synagogi. W jej skład weszły stara i nowa synagoga, dom cadyka, mykwa, dawna szkoła oraz szkoła przy domu cadyka. Obszar u zbiegu Przedborskiej i Joselewicza, na którym usytuowano powyższe budynki, był centralnym punktem życia religijnego ludności żydowskiej całego powiatu radomszczańskiego. Z lokalnych publikacji prasowych wynika jednak, że już pod koniec XIX w. gmina nie dbała o budynki ani ich otoczenie w wystarczający sposób. Również w dwudziestolecium międzywojennym pojawiały się skargi na stan otoczenia najważniejszych dla Żydów budynków w mieście. Zwracano uwagę, iż ulica prowadząca do synagogi była nieuporządkowana; zły stan bruków, brudne rynsztoki, brak chodnika. Bożnica i okoliczne budynki wymagały otynkowania<sup>7</sup>. Po wybuchu II wojny światowej obszar został wcielony do terenu getta. Obecnie poszczególne działki mają różnych właścicieli.

### Stara synagoga

Jeszcze przez kilka lat po przyłączeniu terenu Bugaja do miasta, modły odbywały się w istniejącej tam od lat drewnianej bożnicy. 23 kwietnia 1842 r. uległa ona zniszczeniu w pożarze<sup>8</sup>. Wierni podzielili się wówczas na dwie grupy. Część osób uważała, że synagogę należy odbudować w tym samym miejscu. Opowiadał się za tym m.in. właściciel Bugaja i dziedzic okolicznych włości, Teodor Szczucki, który czerpał zyski z opłat wnoszonych przez gminę żydowską. Druga frakcja dążyła do umiejscowienia bożnicy na terenie Radomska. Usytuowanie obiektu na terenie miasta było bardziej nobilitujące i wygodniejsze dla wiernych zamieszkałych w mieście, zwłaszcza że ich liczba stale rosła. Przychylne takiej lokalizacji były władze miasta, bowiem wówczas dochód zasilałby kasę magistratu.

---

<sup>5</sup> Miejsce pochówku Salomona Rabinowicza na radomszczańskim cmentarzu stanowi do dziś cel pielgrzymek chasydów z całego świata.

<sup>6</sup> M. K. Ziemiński, *Księga Pamięci*, cz. VI, „Komu i Czemu”, 2008, nr 50, s. 6.

<sup>7</sup> „Gazeta Radomska”, 1928, nr 32, s. 4.

<sup>8</sup> APŁ, ARGP, sygn. 2559, s. 303.

Jako lokalizację dla nowo wznoszonego budynku zaproponowały pusty plac położony przy skrzyżowaniu ul. Przedborskiej (dawniej Kietlińskiej) i Joselewicza (dawniej Źródłana), oznaczony numerem 35. Przeciwnicy zmiany lokalizacji twierdzili, że zaproponowany teren ma podmokły, bagnisty charakter.



Fragm. mapy Radomska z 1818 r. z zaznaczonym obszarem, na którym powstał zespół starej synagogi, APŁ, Zbiór kartograficzny (dalej ZK), sygn. 226



Plan działki przy ul. Przedborskiej 11-13 z zaznaczonymi planowanymi do wnieścia budynkami, 1844 r., APŁ ARGP, sygn. 2559

Wieszczono też problem z przeniesieniem bonifikaty z ubezpieczenia za spaloną świątynię na rzecz budowy kolejnej w innym miejscu<sup>9</sup>. Spór dotyczył także materiału, jaki miał być użyty do budowy. Podmokły teren w Radomsku miał uniemożliwiać wzniesienie budynku murowanego<sup>10</sup>. Konflikt trwał dłuższy czas. Zastrzeżenia zwolenników lokalizacji bugajskiej zostały ostatecznie obalone. Kwestię wypłaty ubezpieczenia udało się załatwić pozytywnie po przedstawieniu odpowiednich dokumentów. Wykazano także, iż nie ma przeciwwskazań do wnieścia murowanej synagogi i domu - szkoły dla rabina w proponowanym rejonie ul. Przedborskiej, gdyż znajdują w pobliżu już trzy obiekty z tego materiału<sup>11</sup>. Można zatem założyć, iż budynki ceglane w tym kwartale miasta zaczęto realizować w latach 40. XIX w. Na początku XIX w. północna pierzeja ul. Przedborskiej zajęta była wyłącznie przez zabudowę drewnianą, co zostało zaznaczone na mapie z 1818 r.<sup>12</sup>

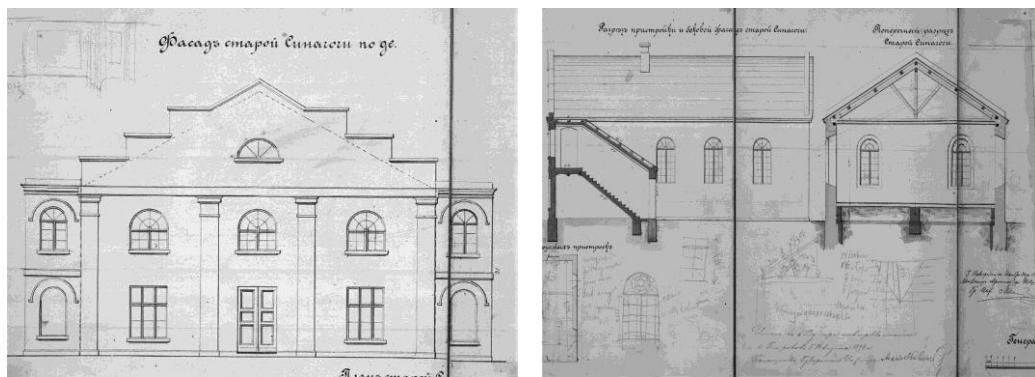
<sup>9</sup> APŁ, ARGP, sygn. 2559, s. 555.

<sup>10</sup> APŁ, ARGP, sygn. 2559, s. 566.

<sup>11</sup> APŁ, ARGP, sygn. 2559, s. 566.

<sup>12</sup> APŁ, ARGP, ZK, sygn. 226.

Planowana synagoga miała stać się największym kubaturowo budynkiem w okolicy. Zaplanowano, iż wzniesiona zostanie na rzucie prostokąta z dłuższym bokiem usytuowanym wzdłuż ulicy Źródlanej, w głębi posesji. Na froncie miał znajdować się dom rabina<sup>13</sup>. Prace budowlane prowadzono od 1846 r. W 1856 r. budowę zakończono<sup>14</sup>.



Fasada, elewacja boczna i przekrój pionowy Starej synagogi na projekcie z 1892 r. APŁ, RGP, WB, sygn. 18662

Po kilkudziesięciu latach użytkowania istniejący budynek stał się za mały, aby pomieścić wiernych. W 1891 r. powstał pomysł budowy nowej, większej świątyni. Wierni ponownie podzielili się na dwie grupy. Pierwszą która jest w większości, stanowią zacofańcy, projektujący pozostawienie dotychczasowego, zrujnowanego i ciasnego budynku, jako synagogi ogólnej, a wybudowanie nowego gmachu, który, według już zrobionego rysunku i anszlagu, kosztować ma około 8000 rubli, na pomieszczenie bet-hamidraszu, czyli szkoły (...) oraz drugie stronnictwo, pragnące zamienienia dotychczasowej synagogi na bet-hamidrasz, co kosztowałoby tylko przypuszczalnie 1500 rubli, a wystawienie w miarę funduszków, przyzwoitej i obszernej synagogi ogólnej, gdzieby już samo wejście nakazywało szacunek i cześć dla Stwórcy<sup>15</sup>. Problem stanowił dodatkowo zły stan techniczny budynku, o którym pisano (...) nasza synagoga znajduje się w bardzo złym stanie i może się w każdej chwili zawalić<sup>16</sup>. Ostatecznie, kierując się także opinią Gubernatora sugerującego po wizycie w mieście wystawienie nowej bożnicy, zdecydowano o przekształceniu istniejącego bu-

<sup>13</sup> APŁ, ARGP, sygn. 2559, s.1016.

<sup>14</sup> APŁ, ARGP, sygn. 956.

<sup>15</sup> „Tydzień” 1891, nr 21, s. 3.

<sup>16</sup> M. K. Ziemiński, *Księga Pamięci*, „Komu i Czemu”, 2009, nr 1, s. 5. Cytat zamieszczony z artykułu B. Sztetlera *O wojnie kultur w mieście* zamieszczonego w czasopiśmie „Świt” z 1893 r.

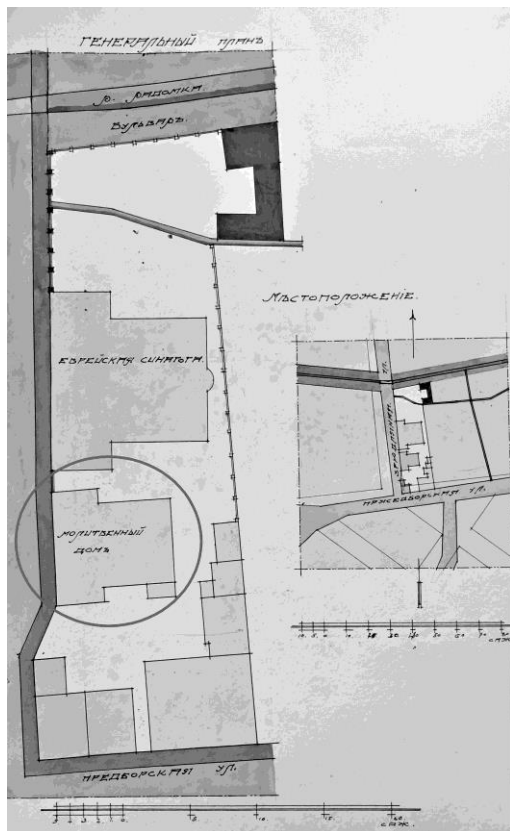


dynku w dom modlitwy i szkołę<sup>17</sup>. Na podstawie zachowanego projektu przekształceń, wiadomo, jak obiekt wyglądał w owym czasie.

Zrealizowany był na planie prostokąta, którego krótszy bok (pełniący funkcję fasady) usytuowany został wzdłuż ul. Źródlanej. Elewacja frontowa miała trzy osie, rozdzielone pilastrami. W centralnej osi mieściło się wejście główne. Otwory okienne na parterze były prostokątne, na piętrze zwieńczone półkoliście. Budynek posiadał

dwukondygnacyjną część frontową i jednoprzestrzenną salę modlitw w głębi, z bimą pośrodku. Całość wieńczył dwuspadowy dach oparty na prostej, klasycznej kratownicy, nakrywającej salę modlitw. W czasie przekształcenia w dom modlitwy, główne zmiany nastąpiły w części frontowej. Przesunięto ścianę działową, oddzielającą część z przedsionkiem od sali modlitw oraz wydzielono dwa pomieszczenia (przeznaczone prawdopodobnie na sale lekcyjne), które wyposażono w piece. Od północy i południa dobudowano dwie jednobiegowe klatki schodowe prowadzące na piętro. Kondygnacja ta miała prawdopodobnie podział analogiczny do parteru. Po budowie klatek schodowych w elewacjach pozostały po trzy otwory okienne. Elewacja tylna (wschodnia) posiadała dwa otwory okienne. Przebudowa została zrealizowana i na planie sytuacyjnym posesji z 1913 r. budynek był już określony

jako „dom modlitwy”. W późniejszym okresie budynek również podlegał przemianom. Na zdjęciu wykonanym wkrótce po II wojnie światowej<sup>18</sup> nie istnieją już zewnętrzne klatki schodowe, otwory okienne mają kształt prostokątny, zmieniła się także forma dachu, który obecnie ma trójspadową formę oraz rozkład i wielkość otworów drzwiowych i okiennych. Roze-



Plan sytuacyjny posesji przy ul. Przedborskiej 11/13 z r. 1913 z budynkiem domu modlitwy (dawnej synagogi), APŁ, RGP, WB, sygn. 18662

<sup>17</sup> APŁ, Rząd Gubernialny Piotrkowski, Wydział Budowlany (dalej RGP, WB), sygn. 18662.

<sup>18</sup> *Radomsko Memorial Book, Sefer- yizkor li-kehilat Radomsk veha- sevivah*, New York 1967, s. 160.

brano zewnętrzne klatki schodowe dobudowane w trakcie przekształcania synagogi na szkołę i dom modlitwy. Reliktem jednej z nich może być mała przybudówka przy narożniku południowo-zachodnim. Zachował się natomiast płytki ryzalit zwieńczony tympanonem, skromny gzyms wieńczący oraz lizeny w narożnikach w elewacji frontowej, a w elewacji tylnej (wschodniej) modernizujący portal.



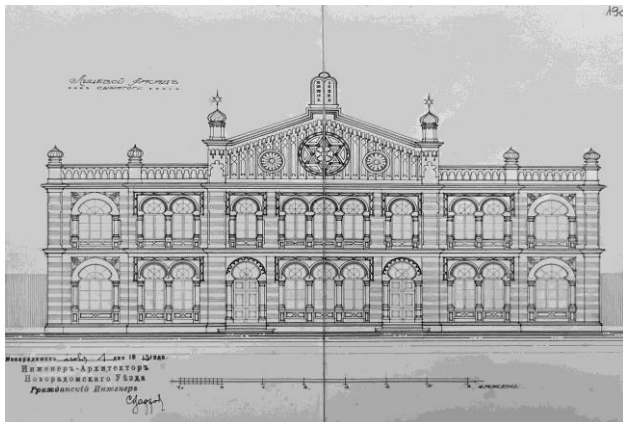
Widok starej synagogi od północy (na pierwszym planie miejsce po nowej synagodze) w latach powojennych, *Radomsko Memorial Book, Sefer- yizkor li-kehilat Radomsk vehase-vivah*, New York 1967



Stara synagoga, stan na 2022 r. Fot. W. Witkowski NID PT Łódź. Obecnie budynek pełni funkcję pubu

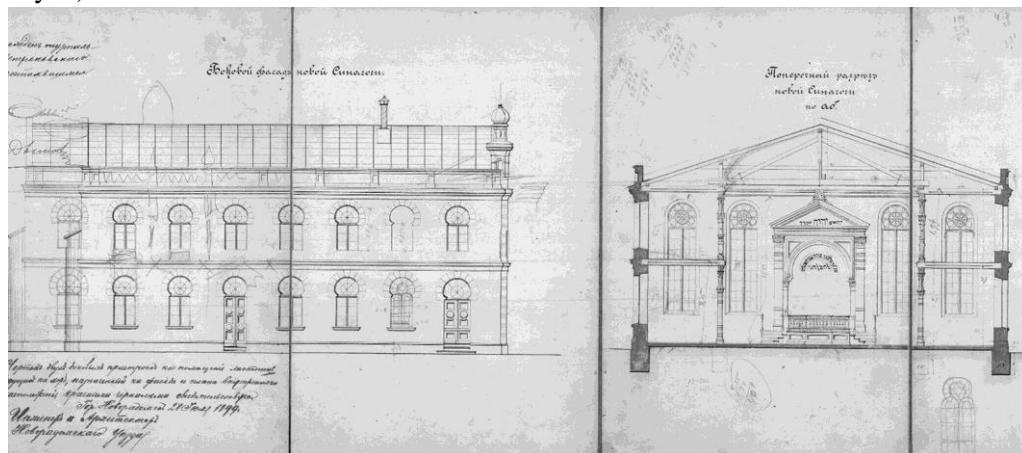
## Nowa synagoga

W 1891 r. ruszyły działania dotyczące budowy nowej, bardziej okazałej bożnicy. Prace budowlane i wykończeniowe trwały od r. 1894 do 1914 r. Budynek w stanie surowym wznoszono do 1902 r. W trakcie budowy kilkakrotnie zmieniano koncepcję wyglądu niektórych partii jak np. fasady<sup>19</sup>. Ostatecznie zyskała ona formę jedynastoosiową, z częścią centralną zaakcentowaną ozdobnym szczytem. Ściana fasady przeparta została rytmicznie rozmieszczonymi otworami okiennymi i drzwiowymi, była bogato dekorowana. Umieszczono na niej tablicę z dziesięcioma przykazaniami. Elewacje boczne były ośmioosiowe, kondygnacje rozdzielał gzyms. Przy-



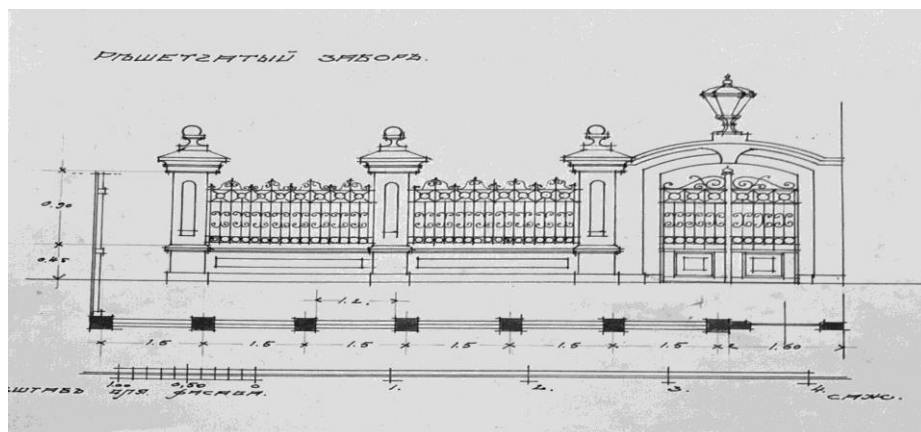
Widok fasady nowej Synagogi na projekcie, APL, RGP WB, sygn. 18662

legały do nich dwie zewnętrzne klatki schodowe. Budynek był duży i przestronny, mógł pomieścić ponad 600 osób. Posiadał cztery wejścia (po dwa dla kobiet i mężczyzn).



Widok elewacji bocznej i przekrój pionowy ściany wschodniej nowej synagogi na projekcie. APL, RGP, WB sygn. 18662

<sup>19</sup> APL, RGP, WB, sygn. 18662.



Projekt ogrodzenia przy nowej synagodze, APL, RGP, WB, sygn. 18662

Reprezentacyjne drzwi prowadziły do przedsionka, na umieszczonych w nich przeszkleniach wykonano grawerunki z postaciami lwów. Drzwi prowadziły do szerokiego korytarza a kolejnymi wchodziło się do synagogi.



Na środku sali ustawiona została scena, z sufitu zwisały piękne żyrandole. Każdy z nich wkomponowany był w gwiazdę namalowaną na suficie. Sufit pomalowano na kolor błękitny przypominający niebo a na nim rozsiane gwiazdy. Na jednej stronie namalowano noc z księżycem, po drugiej dzień ze słońcem i znakami zodiaku (...) z chwilą zapalenia lamp miało się wrażenie, że przebywa w innym świecie. Część dla kobiet była przestronna, zajmowała synagogę z trzech stron, aby kobiety modlące się mogły słyszeć rabina (...) <sup>20</sup>. Wnętrza były bogato zdobione - elementy wyposażenia wykonano z ogromną dbałością o szczegóły i wykorzystaniem kosztownych materiałów <sup>21</sup>. Fasada umiejscowiona została wzdłuż ulicy Źródlanej. Za nią, w kierunku północnym ciągnęło się ogrodzenie z wjazdem bramowym.

Widok fasady nowej synagogi, zdjęcie z lata 1910-1914.  
[https://fotopolska.eu/Synagoga\\_Radomsko?f=1437197-foto](https://fotopolska.eu/Synagoga_Radomsko?f=1437197-foto)

<sup>20</sup> M. K. Ziemiński, *Księga Pamięci*, „Komu i Czemu” 2009, nr 2, s. 8. Opis pochodzi ze wspomnień umieszczonych w *Księdze Pamięci Żydów Radomszczańskich*.

<sup>21</sup> M. Musiał, *Zarys dziejów ludności żydowskiej w Radomsku w świetle księgi pamięci tego miasta i innych źródeł*, „Zeszyty Radomszczańskie” t. VIII, 2014, s. 64.

Synagoga funkcjonowała do wybuchu II wojny światowej. Zachowały się lotnicze zdjęcia Radomska z 1939, gdzie widoczna jest ta okazała budowla<sup>22</sup>. W czasie okupacji została przez hitlerowców sprofanowana i splądrowana. Po założeniu w mieście getta, którego obszar był niewspółmiernie mały do liczby zgromadzonych w nim ludzi, część osób musiała zamieszkać w synagodze. Egzystowano w fatalnych warunkach sanitarnych<sup>23</sup>.



Widok nowej synagogi wraz z ogrodzeniem, po 1942 r., zbiory Muzeum Regionalnego im. S. Sankowskiego w Radomsku

Niejasna pozostaje kwestia terminu rozbiórki budynku. W większości publikacji używa się ogólnego stwierdzenia, iż została zniszczona przez Niemców w czasie wojny. W innych źródłach data ta jest przesuwana nawet na początek lat 60. XX w.<sup>24</sup>. Według relacji pochodzącej z Radomska Barbary Wizimirskiej, w latach 50. stały jeszcze mury synagogi. Synagogę rozebrano pod koniec lat 50. lub na początku lat 60. Pogłoski o tym jakoby została wysadzona za pomocą bomby zegarowej jeszcze w czasie wojny, są nieprawdziwe<sup>25</sup>. Obecnie na miejscu dawnej nowej synagogi umiejscowione są współczesne budynki PGE.

---

<sup>22</sup> Zdjęcia umieszczone na stronie : [https://fotopolska.eu/Radomsko\\_Z?f=16717-foto](https://fotopolska.eu/Radomsko_Z?f=16717-foto)  
[https://fotopolska.eu/Radomsko\\_Z?f=1272937-foto](https://fotopolska.eu/Radomsko_Z?f=1272937-foto)

<sup>23</sup> A. Misiak, *Życie codzienne w getcie radomszczańskim*, „Zeszyty Radomszczańskie”, t. X, 2014, s. 207.

<sup>24</sup> <http://radomsk.pl/stare-zdjecia-radomszczanska-wielka-synagoga-zdjecie-z-1930-i-po-zniszczeniu/>

<sup>25</sup> <http://radomsk.pl/radomszczanska-wielka-synagoga/>

## Mykwa

Budynek dawnej łaźni (nazywany niekiedy z rosyjskiego „banią”) wzniesiony został na planie prostokąta z dostawioną oficyną od strony północno-wschodniej. Jest to obiekt parterowy z użytkowym poddaszem, zwieńczony dachem dwuspadowym. Umiejscowiony został frontem do ul. Przedborskiej. Fasada ma charakter pięciosaowy, oś centralna (pierwotnie drzwiowa) zwieńczona jest prostym tympanonem. Zachowały się skromne podziały pionowe i poziome w postaci pilastrów i gzymsów. Pozostałe elewacje pozbawione są dekoracji. Zastosowane elementy konstrukcyjne stropów wskazują na to, iż budynek od początku miał pełnić funkcję łaźni<sup>26</sup>. Nieznana jest data budowy obiektu. W dostępnych materiałach podaje się najczęściej koniec XIX w.<sup>27</sup>



Budynek dawnej mykwy, 2 lutego 2021 r., fot. T. Nowak

Analiza dostępnych źródeł kartograficznych pozwala założyć, że powstał najpóźniej w połowie lat 70 XIX w. Na planie miasta sporządzonym w 1875 r. uwiidoczny jest murowany budynek na rzucie identycznym z istniejącą mykwą. W po-

<sup>26</sup> Nad częścią pomieszczeń widoczne stropy na łukach odcinkowych na belkach stalowych, co tłumaczyć można projektowaną większą od standardowej wytrzymałością związaną z funkcją budynku – na poddaszu znajdowały się zbiorniki na wodę potrzebną w łaźni rytualnej.

<sup>27</sup> Autor karty ewidencyjnej budynku zabytkowego nie wpisano do rejestru zabytków jako datę wzniesienia obiektu podaje w przybliżeniu koniec XIX w. Dotychczas nie znaleziono projektu budynku. F. Tomaszewski, Mykwa w zespole starej synagogi, Karta ewidencyjna zabytku nie wpisano do rejestru zabytków, 2018 r.

dobnej formie, choć zaznaczony mniej dokładnie (odsunięty od linii ulicy) widnieje na planie z 1879 r.<sup>28</sup>

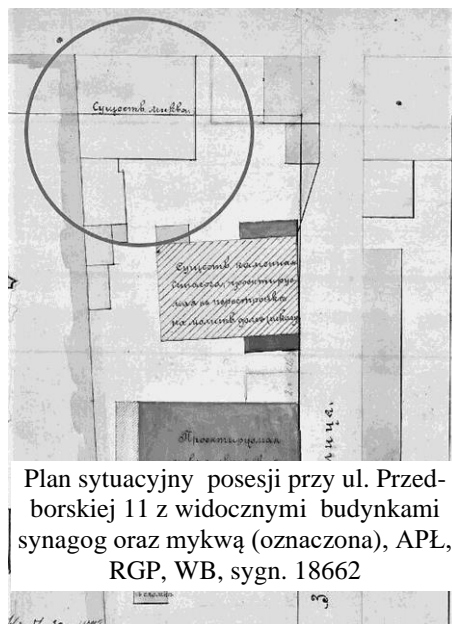
Poza partią frontową jego część stanowiła także krótka oficyna, która w późniejszym okresie została znacznie wydłużona w kierunku północnym. Na planie sytuacyjnym posesji z 1892 r. budynek jest zaznaczony i określony jako *istniejąca mykwa*<sup>29</sup>. W okresie tym łaźnia znajdowała się w nie najlepszym stanie. Pisano, iż *stwarza niebezpieczeństwo dla każdego, kto ma odwagę się w niej zanurzyć*<sup>30</sup>. Pierwszy szczegółowy dokument opisujący obiekt, dotyczy jego dzierżawy w r. 1904. Zamieszczono w nim rzut i przekrój oraz plan sytuacyjny posesji sporządzone rok wcześniej<sup>31</sup>.



Fragment mapy Radomska z 1875 r. z zaznaczoną zabudową na terenie zespołu dawnej synagogi, w tym budynkiem dawnej mykwy, APL, ZK, sygn. 2095

Frontowa partia podzielona była na stronę żeńską i męską. W obu częściach znajdowało się po sześć stanowisk z doprowadzaną rurami bieżącą (zgodnie z wymogami religijnymi) wodą zimną i podgrzewaną. Na poprzecznym przekroju przez korpus główny na poddaszu od strony podwórza (północny wschód) widoczny jest zbiornik z wodą zimną doprowadzaną ze studni usytuowanej na podwórku (przy ścianie podłużnej budynku). Drugi zbiornik z wodą zimną znajdował się na parterze w oficynie przylegającej do korpusu budynku głównego.

sytuacyjnym posesji z 1892 r. budynek jest zaznaczony i określony jako *istniejąca mykwa*<sup>29</sup>. W okresie tym łaźnia znajdowała się w nie najlepszym stanie. Pisano, iż *stwarza niebezpieczeństwo dla każdego, kto ma odwagę się w niej zanurzyć*<sup>30</sup>. Pierwszy szczegółowy dokument opisujący obiekt, dotyczy jego dzierżawy w r. 1904. Zamieszczono w nim rzut i przekrój oraz plan sytuacyjny posesji sporządzone rok wcześniej<sup>31</sup>.



Plan sytuacyjny posesji przy ul. Przedborskiej 11 z widocznymi budynkami synagog oraz mykwą (oznaczona), APL, RGP, WB, sygn. 18662

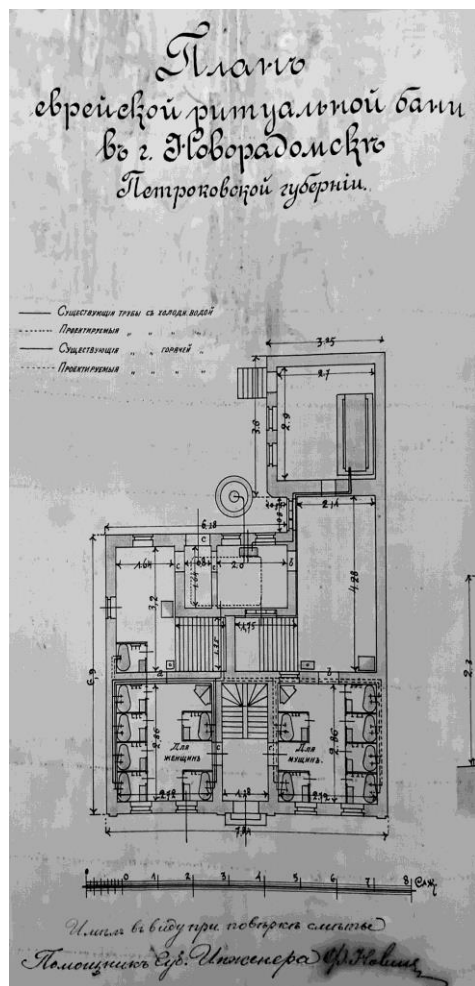
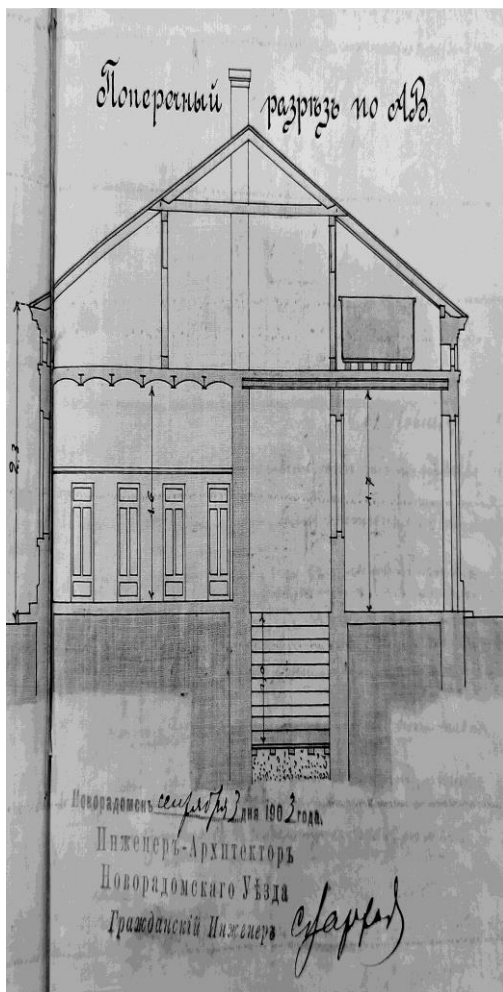
<sup>28</sup> APL, ZK, sygn. 2094. 2095

<sup>29</sup> APL, RGP, WB, sygn. 18662.

<sup>30</sup> M. K. Ziemiński, *Księga Pamięci*, „Komu i Czemu”, 2009, nr 1, s. 5. Cytat zamieszczony z artykułu B. Sztetlera, *O wojnie kultur w mieście*, „Świt” z 1893 r.

<sup>31</sup> APL, RGP, Wydział Administracyjny (dalej WA), sygn. 7108.

Do oficyny przylegały niewielkie obiekty drewniane, zapewne o przeznaczeniu gospodarczym. Łaźnia była dzierżawiona przynajmniej od 1894 r. i wówczas przeprowadzano prace remontowe. Przy okazji ustalenia warunków kolejnej dzierżawy w 1904 r. podkreślano, iż obiekt wymaga kolejnych prac. Dostępne materiały archiwalne nie pozwalają stwierdzić, do kiedy budynek pełnił swoją funkcję. Na podstawie zapisku umieszczonego na tzw. Mapie Kahla można przypuszczać, iż w latach międzywojennych miała tu siedzibę Żydowska Gmina Wyznaniowa<sup>32</sup>.



Plan mykwy z 1903 r., APŁ, RGP, WA, sygn. 7108

<sup>32</sup> Tzw. Geodezyjna Mapa Kahla, 1933 r.



Na zdjęciu z okresu II wojny światowej (lata 40 XX w.), ukazującym przemarsz wojska i orkiestry niemieckiej ul. Przedborską, widoczny jest budynek mykwy (widok od zachodu)<sup>33</sup>. W okresie tym podjęto próbę uregulowania hipoteki nieruchomości, ale na posiedzeniu sądowym z przyczyn oczywistych nie pojawił się żaden przedstawiciel gminy żydowskiej. Z powodu korzystnego położenia i braku właściciela ten „były dom żydowski” stał się obiektem zainteresowania, najpierw chciał przejąć go niejaki Mayer, zaś w 1944 r. nieruchomość próbowała nabyć Spółdzielnia Rolniczo- Handlowa<sup>34</sup>. Po zakończeniu okupacji dawna mykwa stała się własnością Skarbu Państwa, potem Gminy Żydowskiej, obecnie jest w rękach prywatnych.



Budynek mykwy, prawdopodobnie jesień 1939 r., zbiory MRR, AF, sygn. 2022/130/4

### Dawna szkoła

W narożniku skrzyżowania ulic Przedborskiej i B. Joselewicza usytuowany był drewniany parterowy budynek. Widniał na planach posesji z 1875, 1892 r. i 1904 r.<sup>35</sup> Na tym ostatnim określany był jako stara szkoła. Na zdjęciu (ok. 1900-1910) przedstawiającym perspektywę ul. Przedborskiej (widok w kierunku zachodnim na kościół św. Lamberta)<sup>36</sup> widoczna jest fasada drewnianego, parterowego do-

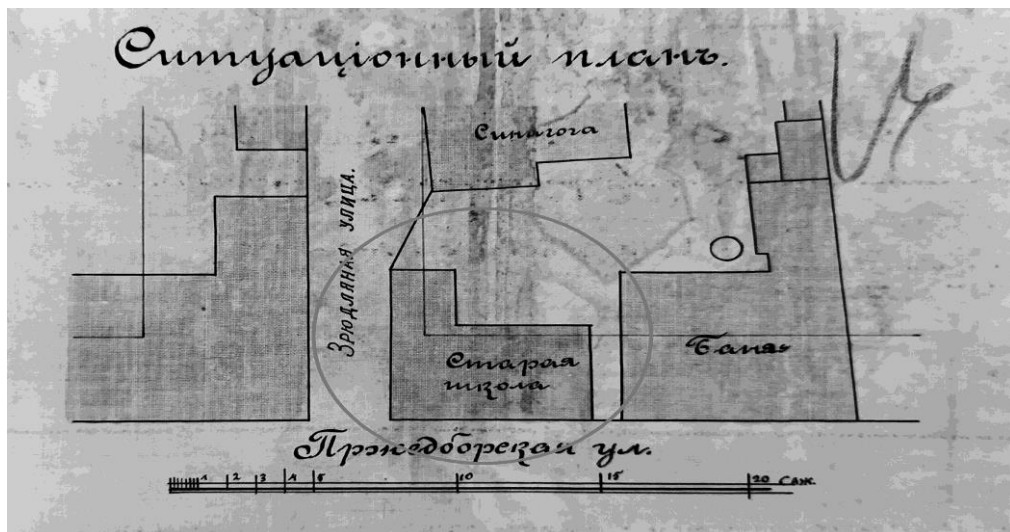
<sup>33</sup> Muzeum Regionalne im. S. Sankowskiego w Radomsku (dalej MRR), Archiwum Fotograficzne (dalej AF) sygn. 2022/130/4.

<sup>34</sup> APPT, Hipoteka Powiatu Radomszczańskiego (dalej HPR), sygn. VIII/162.

<sup>35</sup> APL, RGP, WA, sygn. 7108, ZK, sygn. 2094, 2095.

<sup>36</sup> MRR, Archiwum Historyczne (dalej AH), sygn. 669/2.

mu w nie najlepszym stanie technicznym. Był on otynkowany, czteroosiowy, z dobudówką od wschodu. Rozebrano go w okresie międzywojennym<sup>37</sup>. Na jego miejscu nie wzniesiono żadnego budynku.



Plan sytuacyjny działki przy ul. Przeborskiej 11 z 1904 r. z oznaczonym budynkiem starej szkoły, APŁ, RGP,WA, sygn. 7108

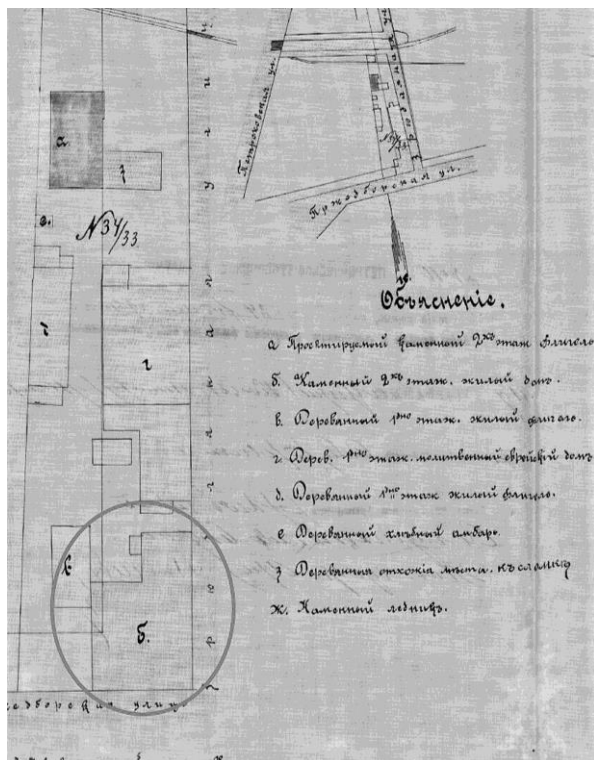


Dawna szkoła oraz dalej dom cadyka na pocztówce z l. 1900-1910, zbiory MRR, AH, sygn. 669/2

<sup>37</sup> Na tzw. Geodezyjnej Mapie Kahla budynek jest ujęty ale został przekreślony. Nie jest już widoczny na zdjęciu z 1940-1941 r. ukazującego mykwę.

## Dom cadyka

Po sprowadzeniu rabina Salomona Rabinowicza do Radomska przez dłuższy czas Dozór Bożniczy opłacał wynajem *lokalu dla rabina miejscowego*<sup>38</sup>. Pierwotnym zamiarem dozoru bożniczego było wzniesienie domu dla rabina na froncie nieruchomości, na której miała powstać synagoga - przy ul. Przedborskiej. Cadyk postanowił wprawdzie zamieszkać w pobliżu, ale nie w miejscu, które przewidziano na ten cel. Zakupił z własnych funduszy sąsiednią nieruchomość, oznaczoną wówczas numerem 34<sup>39</sup>. Rabinowicz nabył plac w 1861 r. Z zachowanej korespondencji, wynika, że w momencie zakupu stał tam już dom. Wzniesiony został po 1846 r., kiedy to front działki był jeszcze pusty<sup>40</sup>. Dwa drewniane obiekty na planie czworokątów znajdowały się wtedy w jej głębi. Wzmianka na temat powyższego zakupu jest lakoniczna i nie dostarcza informacji, na podstawie których można określić, czy był to obecnie istniejący budynek<sup>41</sup>. Na planie z 1875 r. uwzględniony został mурowany obiekt zrealizowany na rzucie identycznym jak obecne rozplanowanie. Można zatem uznać ogólnie, iż budynek powstał między 1846 a 1875 r. W obecnej postaci dom cadyka funkcjonował na pocz. XX w. Na planie z 1901 r. opisany jest jako *dwukondygnacyjny mурowany dom mieszkalny*<sup>42</sup>. Przylegała do niego drewniana oficyna mieszkalna.



Fragment planu sytuacyjnego posesji z 1901 r. z zaznaczonym domem cadyka. APL, RGP, WB, sygn. 8729

<sup>38</sup> APPT, AmR, Rachunki kasy funduszy Bożniczych, sygn. I/ 281 oraz APL, ARGP, sygn. 2559.

<sup>39</sup> APL, ARGP, sygn. 2559, s.1074.

<sup>40</sup> APL, ARGP, sygn. 2559, s.1016.

<sup>41</sup> APL, ARGP, sygn. 2559, s.1074. Informacja pochodzi z listu, w którym cadyk opisuje plan budowy szkoły na swojej działce.

<sup>42</sup> APL, RGP, WB, sygn. 8729.

Na zdjęciu (ok. 1900-1910) przedstawiającym perspektywę ul. Przedborskiej (widok w kierunku zachodnim na kościół św. Lamberta)<sup>43</sup> widoczny jest fragment fasady i elewacji wschodniej domu Rabinowiczów. Był on wówczas otynkowany, elewacje posiadały stosunkowo bogate dekoracje (zob. fot. na s. 30). Elewacja boczna widoczna jest też na fotografii zamieszczonej w biografii Radomska<sup>44</sup>. Dom pozostał w rękach rodziny do wybuchu II wojny światowej. Tuż przed jej rozpoczęciem bracia Izrael i Icek Rabinowiczowie uregulowali hipoteki posiadanych w spadku po rodzicach posesji<sup>45</sup>. Śmierć w 1942 r. Salomona Henocha ha Kohena położyła kres istnieniu dynastii cadyków. Obiekt również po wojnie stanowił własność prywatną.

Dom cadyka w obecnej formie składa się z frontowego budynku parterowego z podwyższonym poddaszem położonego od strony ul. Przedborskiej oraz piętrowej oficyny ciągnącej się wzdłuż ulicy Berka Joselewicza. Budynek jest pozbawiony detalu architektonicznego, znanego z archiwalnych fotografii.



Widok fragmentu elewacji wschodniej domu cadyka od ul. Joselewicza, S. Sankowski, *Z dziejów...*, s. 103

---

<sup>43</sup> MRR, AH, sygn. 669.2

<sup>44</sup> S. Sankowski, *Z dziejów miasta Radomska (do 1939 r.)*, Radomsko 1995 s. 103. W pozycji tej zdjęcie zostało błędnie określone, jako widok austerii przy klasztorze franciszkanów.

<sup>45</sup> APPT, HPA, sygn. VIII/128, sygn. VIII/125.



Dom cadyka - widok od ulicy Przedborskiej, stan na rok 2022. Fot. W. Witkowski, NID PT Łódź



Dom cadyka - widok od ulicy B. Joselewicza, stan na rok 2022. Fot. W. Witkowski, NID PT Łódź

Dalszego rozpoznania wymaga kwestia działania w budynku prywatnego domu modlitwy<sup>46</sup>. Podstawową funkcją domów modlitwy (nazywanych też bożniczkami, bet ha-midrash lub klojz, sztibl w przypadku modlitewni chasydzkich) były studia i dyskusje nad prawem żydowskim<sup>47</sup>. Poza wypełnianiem zadań sakralnych służyły też integracji określonych środowisk, jak np. zwolenników cadyków. Zazwyczaj zajmowały część pomieszczeń w budynkach mieszkalnych. Tak też wyglądał zapewne dom modlitwy przy ul. Przedborskiej 9. Można przypuszczać, że sława otaczająca Rabinowicza spowodowała, że chętni do wysłuchania jego nauk nie mieścili się w pomieszczeniach modlitewnych urządzonych w mieszkaniu i dlatego zdecydował się wznieść osobny budynek na swej działce.

### **Szkoła-dom modlitwy przy domu cadyka**

Cadyk Rabinowicz po zakupie w 1861 r. działki przy ul. Przedborskiej 9 miał zamiar na jej terenie wznieść szkołę. Obiekt został usytuowany wzdłuż ul. B. Joselewicza. Data jego powstania pozostaje nieznana. Drewniany budynek o bardzo zbliżonym rozplanowaniu jest widoczny na planie miasta z 1875 r.<sup>48</sup> W 1901 r. na posesji z tyłu działki oznaczony jest drewniany, parterowy dom modlitwy<sup>49</sup>. Swoją funkcję pełnił do wybuchu II wojny światowej. Po jej zakończeniu przez wiele lat niszczał, co uwieczniają fotografie z l. 80/ 90 XX w., znajdujące się w zbiorach Muzeum Regionalnego w Radomsku<sup>50</sup>. Istniał do ok. 1990 r. Obecnie teren, na którym się znajdował, pozostaje niezabudowany.

---

<sup>46</sup> F. Tomaszewski, Dawny dom i prywatna bożnica cadyków Rabinowiczów, Karta ewidencyjna zabytku nie wpisanego do rejestru zabytków, 2018 r.

<sup>47</sup> K. Grzesiak, *Co wiemy o żydowskich domach modlitwy na przykładzie Krakowa*, „Krakowskie Studia Małopolskie”, nr 4, 2000, s. 25.

<sup>48</sup> APŁ, RGP, Zb. Kart., sygn. 2094, 2095.

<sup>49</sup> APŁ, RGP, WB, sygn. 8729.

<sup>50</sup> MRR, sygn. AF-28/2018, AF-29/2018, AF 2019/135/8, AF 202/8/90, AF 2021/15/77.



Budynek dawnego domu modlitwy w latach 80 XX w. MRR, AF, sygn. 2018/28



Budynek dawnego domu modlitwy w latach 90 XX w., MRR, AF, sygn. 2019/135/8

### **Podsumowanie**

Określenie „Zespół starej synagogi w Radomsku” nie funkcjonuje w literaturze ani źródłach archiwalnych. Niemniej korelacje zachodzące między poszczególnymi obiektami pozwalają zaakceptować ten termin. Zajmowały one niewielki obszar złożony z dwóch narożnych działek, stanowiąc dość zwartą kompozycję przestrzenną. Łączyły je związki przestrzenne i przede wszystkim funkcjonalne, pozwalające zgrupować je w zespół o charakterze sakralno-rytualnym. Dawny dom cadyka

jako budynek o odrębnym, prywatnym przeznaczeniu, usytuowany został intencjonalnie w sąsiedztwie synagogi. Dodatkowo przez pewien czas funkcjonował w nim dom modlitwy, dlatego mimo podstawowej roli, jaką pełnił, stanowi integralną część zespołu. W kilku obiektach nastąpiła zmiana funkcji (choć zachowany został religijny charakter nowego przeznaczenia), która wymaga dokładniejszego rozpoznania. Doprecyzowania wymaga także datowanie kilku budynków. Dlatego też artykuł powyższy z pewnością nie wyczerpuje problematyki żydowskiego budownictwa sakralnego na terenie Radomska.



**Wiesław Jerzy Olczyk**

**Nasze korzenie. Wspomnienia z lat 20 i 30. XX wieku (cz. III)**

No i zaczął się następny rok, 1934. Bardzo ważny dla mnie, bo w tym roku kończyłem 10 lat, a więc zaczynałem wychodzić z wieku dziecięcego i wchodzić w wiek młodzieżowy. Zacząłem dorosnąć, patrzeć bardziej „dorosło” na życie i na rozgrywane się wokół wydarzenia. No i ten rok, jak się okaże, przyniósł mi wiele nowych wrażeń, nowych przeżyć i doświadczeń, często nawet bolesnych. W tych latach zaczął mi się kształtować charakter, o czym wtedy nie miałem pojęcia. Najważniejszym dla mnie i dla dalszego mojego dojrzewania było to, że w tym czasie przestałem wierzyć bezkrytycznie w to co mi dorosli do wierzenia podawali. Przestałem wierzyć dorosłym, nauczycielom, a nawet rodzicom - co w dalszej perspektywie miało ujemny wpływ na nasze stosunki, osłabiało powoli dawną miłość do rodziców i rozluźniało z czasem nasze więzi rodzinne. A na osłabienie tego dotychczasowego dzieciennego zaufania wpłynęło samo zachowanie dorosłych. Zacząłem ich traktować nieufnie, bo stale robili mi jakieś „kawały” ośmieszając mnie. Nabierali mnie, ufne go dzieciaka, a potem wyśmiewali się z mojej naiwności uważając to za wesołą dla nich zabawę. Ja to wszystko boleśnie przeżywałem, czułem się poniżany. Początkowo nie reagowałem z nieśmiałości, ale gdy już miarka się przebrała i straciłem cierpliwość - reagowałem agresją, często już bez powodu. W tym czasie tak bardzo obawiałem się ośmieszenia mnie, że nawet na normalne nawiązanie ze mną rozmowy przez dorosłego reagowałem ucieczką lub wybuchem złości. Dla rodziców była to zaskakująca zmiana. Uważali, że „zdziczałem” pod wpływem „łobuzerii” z podwórka. Moje zachowanie uważali za brak wychowania, za lekceważenie dorosłych i krzykiem oraz zakazami wychodzenia do kolegów próbowali wykorzenić ze mnie te „chamskie” nawyki. Przez te moje nieprzewidywalne dla nich wysoki rodzice bali się mnie zabierać ze sobą do znajomych - co jeszcze bardziej pogłębiało moją nieśmiałość i „dzikość” (jak to nazywali rodzice). Ten stan i te przeżycia zaciążyły na moim charakterze i trochę mi wypaczyły psychikę, co w przyszłości bardzo mi utrudniło start w prawdziwe samodzielne życie. Tak wczesną utratę zaufania do rodziców, jakie zwykle dzieci mają, spowodowali swym postępowaniem sami rodzice. Byłem często

oszukiwany przez nich. Wiele razy obiecano mi prezent lub pieniądze za jakąś pracę, którą mi zlecili, a bardzo rzadko dotrzymywali słowa. Po takim potraktowaniu, gdy zachęcony obiecaną nagrodą z entuzjazmem zabrałem się do zleconej pracy a nagrody nie dostałem, byłem bardzo zawiedziony i rozczarowany do rodziców. Głęboko to rozczarowanie przeżywałem i długo nosiłem w sobie osad żalu. A to rozluźniało moje przywiązanie do rodziców. Ale to jeszcze nie wszystko. Rodzice wpajali we mnie zasady życia, dużo mówili mi m.in. o konieczności mówienia prawdy, że godność człowieka nie pozwala na okłamywanie się, że mówienie nieprawdy jest wielkim grzechem, że Bóg się na kłamców gniewa i ukarze ich za to. Nawet się tymi naukami początkowo przejmowałem. Jednak gdy dojrzałem do krytycznego przyjmowania zdarzeń, wypowiedzi i nauk, zaobserwowałem że nauki które fundują mi rodzice nie mają pokrycia w ich zachowaniu. Wiele razy byłem świadkiem, gdy rodzice mówili nieprawdę o faktach, w których uczestniczyłem. Raz nawet w rozmowie rodziców z ciotkami usiłowałem sprostować ich wypowiedzi. Rozgniewałem tym rodziców i po wyjściu ciotek dostałem porządną burę za to i zakaz wtrącania się do rozmów dorosłych. Na moją reakcję, że przecież mówienie nieprawdy jest grzechem odpowiedzieli, że jeszcze za mało wiem o życiu i za mało rozumiem żebym się do takich spraw mieszał. Byłem tym wszystkim zaszokowany i długo nie mogłem się pogodzić z tą, jakbyśmy dziś nazwali, podwójną moralnością. Zwróciłem się nawet o wyjaśnienie tej sprawy do katechetki na lekcji religii pytając, czy zakaz mówienia nieprawdy dotyczy tylko dzieci czy też i dorosłych, czy Bóg za kłamstwa karze tylko dzieci czy dorosłych też. Z ulgą usłyszałem odpowiedź, że Bóg gniewa się za kłamstwa na wszystkich i wszystkich obowiązuje zakaz mówienia nieprawdy, i dzieci i dorosłych. Pomyślałem sobie, że w takim razie moi rodzice bardzo gniewają Pana Boga i nie są tacy kryształowi jak sobie dawniej wyobrażałem. Zmartwiłem się tym obawiając się, by Pan Bóg ich za bardzo nie ukarał. I znów straciłem dalszy „kawałek” miłości i zaufania do rodziców. Z takich właśnie powodów traciłem powoli zaufanie do tego co mówią i co robią dorośli. Do mej duszy wkradła się wielka nieufność do wszystkiego czego nie mogłem sam sprawdzić. I to mi do dziś pozostało. I teraz w zasadzie nie wierzę ludziom dopóki ich nie sprawdzę i do wszystkich spraw i zdarzeń podchodzę nieufnie i z rezerwą. A zaufanie do rodziców nie wróciło już nigdy. To co wyżej opisałem to były dygresje, refleksje, ale wróćmy do właściwego tematu, do obserwacji faktów z życia, tak jak się ono toczyło.

Wiem, że byłem ciekawym obserwatorem życia, choć nie uzewnętrzniałem tego z powodu swej wielkiej nieśmiałości. Wszystkie wydarzenia wokół interesowały mnie bardzo, ciekawiły i przeżywałem je głęboko na swój sposób. A dziesięcioletniego chłopca przecież wiele rzeczy ciekawi. Ówczesne wydarzenia, a właściwie ich przeżywanie, kształtowały mój charakter. Rodzice wtedy nie potrafili wpływać na

właściwy rozwój mej psychiki, na właściwe kształtowanie mego charakteru. Zmarowali wiele okazji by we mnie i siostrze wzbudzić jakieś wyższe uczucia, wpoić jakieś ideały - a ten okres to był najwyższy czas na wychowywanie swych dzieci. Rodzice tych okazji nie wykorzystali. Zresztą nie potrafili tego, sami będąc prostymi ludźmi, pochodząc z biednych prostych rodzin nie widzieli takiej potrzeby. Nie przekazali nam właściwych wzorców, bo sami ich nie otrzymali. A szkoda. Wiele straciłiśmy przez to, i oni i ja ze swoją siostrą. Właściwie w tym okresie wychowywała nas ulica i przypadkowe „dobre dusze” spotykane na naszej drodze.

W tym okresie, choć nieświadomie, zacząłem się interesować płcią piękną. Zacząłem chętniej przebywać ze swymi rówieśniczkami. Do tej pory preferowałem zabawy z chłopcami a dziewczyny ledwie tolerowałem. Przecież nie umiały chodzić po płotach, biegać po strychach, wychodzić przez „dymniki” na dachy kamienne. One wołały gry w klasy, lubiły bawić się skakankami, czy bawić się w chowanego. Czasem w tych zabawach i my chłopcy uczestniczyliśmy, ale poza grą w chowanego, bez większego entuzjazmu. Teraz zacząłem zauważać dziewczęta, chętnie się do ich zabaw przyłączałem, a nawet sam im proponowałem gry w klasy czy skakanke. I dziewczyny, chętniej niż przedtem, przyjmowały mnie do swych zabaw. Zaczęliśmy robić wspólne wypadki na inne podwórka, na strychy, na ostatnie podesty klatek schodowych gdzie dorośli nie docierali. Tam zaczęliśmy częściej przesiadywać gawędząc długimi godzinami. O czym wtedy rozmawialiśmy? Nie pamiętam. Wiem, że były to jednak interesujące spotkania. Tam właśnie, wśród tych spotkań i gawęd, zaczęliśmy się nawzajem interesować szczegółami budowy swego ciała, a raczej tymi szczegółami, które różnią chłopców od dziewczyn. Ale o tym później. Teraz zaczynamy rok 1934.

Stary rok rodzice zakończyli spotkaniem „karcianym” w stałym już komplecie. Po trzech czy czterech partiach preferansa mama zorganizowała kolację sylwestrową. Goście wesoło sobie gawędzili zakrapiając życzenia noworoczne alkoholem i mając nadzieję na ich pomyślną realizację w nowym roku. Ok. 23.00 rozeszli się do domów. Ja z Marynią już przed 22.00 zostaliśmy posłani do łóżek. Marynia mocno już spała a ja, trawiony ciekawością, starałem się nie zasnąć by nie uronić żadnego słowa z rozmów „dla dorosłych” prowadzonych przy stole. Po wyjściu gości rodzice uprzątnęli mieszkanie, rozłożyli jakieś papiery na stole i zniknęli w sklepie. Długo nie było ich widać, więc cichutko wstałem i zajrzałem do sklepu patrząc co oni w tym zimnym pomieszczeniu robią. Zobaczyłem, że chodzą po drabinie i liczą pudełka z butami na ściennych półkach i coś zapisują. Okazało się, że to był remanent, po którym orientowali się, czy rok który minął przyniósł jakieś zyski. Nie doczekałem końca. Cichutko wróciłem do łóżka i zasnąłem. Rano rodzice wstali wyjątkowo wcześniej jak na dzień świąteczny, coś podliczali na papierach leżących na stole i peł-

ni zadowolenia, z uśmiechami radości, zakończyli liczenie. Usłyszałem jak mówili do siebie, że ten ubiegły rok był bardzo udany, bardziej jeszcze niż poprzedni, który też należał do udanych. Ucieszyłem się i ja z tego faktu, ale też i z tego że rodzice byli tak radośni. W atmosferze zadowolenia jedliśmy śniadanie. Rodzice byli wyjątkowo rozmowni i rozpromienieni. Nawet nas dzieci zauważali. Mama w tej radości pochwaliła mi się, że rok ubiegły przyniósł nadspodziewane zyski i że teraz będziemy mogli sobie na wiele więcej pozwolić. Ojciec natychmiast zareagował zwracając się gniewnie do mamy, że za dużo mówi dzieciom. I sprostował, że mama jak zwykle przesadza i że tak dobrze to nie jest, bo przecież mamy jeszcze wiele długów do spłacenia - co było nieprawdą. Mama zakłopotana nie wiedziała co powiedzieć i zniechęciła się do dalszych wynurzeń. Potem zaczęła inaczej interpretować swoją wypowiedź, ale tak niezręcznie, że widać było że kręci. Mówiła tak, bo ojciec nie życzył sobie żeby dzieci wiedziały o ich dochodach. Od tej pory oboje będą przez następne lata narzekali przed nami, że ledwie wiążą koniec z końcem, że sklep nie przynosi zysku, że jest strasznie trudno żyć. Nie zdawali sobie sprawy, że nie jestem tak naiwny jak myślą, że nie mam tych trzech lat kiedy wierzyłem we wszystko co mi rodzice mówili. Przecież wiedziałem jakie obroty ma sklep, ile par butów dziennie sprzedają i że zatrudniają coraz więcej ludzi. A ten drugi sklep do spółki z wujem to z czego powstał? Przecież nie ze strat, które przynosi sklep. Rodzice narzekali, a w tym narzekaniu przed nami na biedę tak się zagalopowali, że narzekali też wtedy, gdy zaczęli budować dom. Ta hipokryzja i nieszczerłość wobec dzieci, a właściwie wobec mnie, bardzo mnie irytowała. Bolało mnie, że za takiego naiwnego mnie mają i sądzą, że nie orientuję się jaka jest rzeczywistość. Za brak szczerości odpowiadałem tym samym, bo tylko tym mogłem im się odplącić. Gdy dorosłem i zacząłem własne życie też im nic nie mówiłem o sobie, choć byli bardzo ciekawi i natarczywie się o to dopominali. Ja tylko też ogólnie narzekałem i z satysfakcją zauważałem, że ich, a w szczególności ojca, bardzo ta tajemniczość irytuje. Szczerych rozmów między nami już nigdy nie było. I to była moja „zapłata” za te czasy, które opisuję. To postępowanie nie było co prawda zgodne z nauką Chrystusa, ale wtedy na takie rzeczy nie zwracałem uwagi.

Pierwsze miesiące zimowe - styczeń i luty - to okres zastoju w handlu. Nie było chętnych do kupowania obuwia w tym czasie. Kto miał kupić buty to kupował je przed Bożym Narodzeniem, by ubrać się w nowe rzeczy na święto. W styczniu i lutym były dni, że żaden klient się nie pojawiał. A ja lubiłem tę porę. Wtedy w sklepie zostawał zwykle sam Tadzio na dyżurze. Mama odchodziła do swych zajęć domowych i przy okazji zajmowała się pięcioletnią Marynią. Ojciec zaszywał się na zapleczu, czyli w naszym pokoju, gdzie przy uprzątniętym stole obłożony stosami skór szykował dla pracowników „robotę”, tj. wykrawał elementy obuwia, z których

pracownicy w swych domach montowali obuwie. Teraz miał znacznie więcej pracy, bo szykując się do bliskiego sezonu musiał przygotować większą ilość obuwia. A w sklepie rządził sam Tadzio. Z Tadzciem zdążyłem się już wcześniej zaprzyjaźnić. Z przewijających się przez nasz dom pracowników ojca on jedyny traktował mnie poważnie, nigdy nie robił mi kawałów jak inni, nigdy nie żartował ze mnie i interesował się moimi sprawami rozmawiając jak równy z równym. Lubilem spędzać całe godziny w jego towarzystwie. Wiele skorzystałem z tych kontaktów. Tadzio lubił opowiadać, a opowiadał ciekawie. O harcerstwie, obozach, spaniu pod namiotami, o wycieczkach, grach harcerskich, podchodach, zdobywaniu sprawności. Słuchając jego opowieści w wyobraźni widziałem siebie w gronie tych harcerzy. Spałem z nimi pod namiotami i brałem jak gdyby udział w harcerskich gawędach przy leśnym ognisku, w leśnych podchodach. Te opowiadania bardzo rozwijały moją wyobraźnię i zachęciły do wstąpienia do harcerstwa. Tadzio ciekawie opowiadał też o swych szkolnych przygodach, nauczycielach, kolegach, no i o swym prawdziwym życiu. A miał je ciężkie. Był półsierotą, bo jego ojciec poszedł na wojnę z bolszewikami, gdy Tadzio miał 6 lat i już nie wrócił. Zaginął, prawdopodobnie dostał się do niewoli i został zamordowany. Jego matka musiała zarabiać praniem na utrzymanie rodziny, czyli Tadzia i jego siostry, więc wychowywany był w biedzie. Po skończeniu szkoły powszechnej wyuczył się kamasznictwa i pracował w warsztacie mojego ojca. Teraz został ekspedientem, a miał dopiero 20 lat. On też lubił jak przychodziłem do niego do sklepu na rozmowy, bo byłem dobrym słuchaczem. Słuchałem jego opowiadań z przejęciem. Tadzio też umiał słuchać. Interesowały go moje sprawy, ciekawiły go moje szkolne zajęcia, moje kłopoty - i te szkolne i te z rodzicami. Często usiłował mi pomóc i radził jak mam postępować w moich „trudnych” sprawach. Po prostu był w tym czasie nie tylko przyjacielem ale i powiernikiem, a praktycznie także wychowawcą. Przyjaźń nasza przetrwała do końca i choć dziesiątki lat mieszkaliśmy w różnych miejscach, zawsze byliśmy sobie bliscy. Zmarł 10 lat temu w Radomsku po dłuższej chorobie na raka żołądka. Cieszę się, że jeszcze zdążyłem się z nim spotkać dwa dni przed jego śmiercią. Byłem wtedy w Radomsku i odwiedziłem go, już nie wstającego z łóżka. Za parę dni przyjechałem na jego pogrzeb. Teraz przyjaźnię się z jego synem, którego jestem ojcem chrzestnym.

Wtedy najważniejszym dla mnie było, że znalazłem przyjaznego człowieka, życzliwego, który się mną i moimi sprawami chciał interesować, brał mnie poważnie, traktował jak równego sobie, jak kolegę i przyjaciela. Tadzio nigdy nie żartował z mych ułomności, nigdy nie wyśmiewał ani nie ganił jak zrobiłem coś złego, niewłaściwego lub kompromitującego. Zawsze wtedy usiłował wytłumaczyć mi w ogólny sposób niewłaściwość mego postępków, a z kłopotliwych i niezręcznych sytuacji sam mnie wyciągał. Nigdy nie powiedział mi nawet żartem, że jestem niedorajda

i nic nie potrafię dobrze zrobić, co często słyszałem od rodziców. Za to utwierdzał mnie w przekonaniu, że jestem taki sam jak inni, że mam duże zdolności i chwalił mnie jak mi się coś udało zrobić. Dodawał mi bodźców do nauki *bym wyrósł na mądrego człowieka i mógł zostać kimś w życiu*. To przekonanie do uczenia się Tazio wyniósł chyba z osobistych doświadczeń. Czasem ubolewał, że los nie pozwolił mu skończyć gimnazjum, co było jego marzeniem. Był w tym czasie moim powiernikiem, któremu zwierzałam się z moich kłopotów i planów. Pomógł mi też wybrnąć z wielu kłopotów np. gdy oberwałem dwóję radził, żebym w domu nic o tym nie wspominał, ale nauczył się tego przedmiotu i zgłosił się sam za jakiś czas do odpowiedzi żeby poprawić stopień. Gdy kiedyś coś poważnie zbroiłem w szkole i nauczyciel wezwał ojca do szkoły wpisując mi w zeszyt notatkę do ojca, ja podrobiłem podpis ojca na tym zawiadomieniu. Jednak gdy po paru dniach nauczyciel stanowczo mnie upomniął, by ojciec się ze mną zjawił w szkole, ja się załamałem i już chciałem ojcu to powiedzieć. Tazio mi to odradził i sam się ofiarował pójść w imieniu ojca do nauczyciela. Nie doszło do tego, bo sprawa w jakiś sposób „rozeszła się po kościach”, nie pamiętam dlaczego. Najważniejsze było to, że obaj byliśmy sobie bliscy i że ten czas przyjaźni z Taziem dodał mi wiary we własne siły, że uwierzyłem w siebie, uwierzyłem że jestem taki jak inni. Przyjaźń nasza trwała do końca.

Poza tym Tazio był wartościowym pracownikiem. Pracując w warsztacie cholewkarskim wykonywał swą pracę bardzo sumiennie. Był zdolnym rzemieślnikiem i miał dobrą rękę (jak mówili o nim moi rodzice) do swych wyrobów. Jego cholewki były starannie wykończone i miały swój smak, nadawały się do wyrobu eleganckiego obuwia. Tazio był też uczynny i starał się pomagać wszystkim. Z własnej inicjatywy pomagał mamie, gdy np. dźwigała jakieś cięższe paczki. Czasem, gdy mama nie mogła wyjść ze sklepu a miała coś kupić - Tazio chętnie ją w tym wyręczał. Pomagał też ojcu w cięższych pracach czy załatwianiu jakiś spraw urzędowych w mieście, a nie miał za to płacone - płacono mu tylko od zrobionej sztuki cholewek. Pomagał nie tylko „szefom”, ale także naszej służącej gdy dźwigała coś ciężkiego. Ciekawe, że do pomocy podrywał się tylko Tazio, choć w naszym domu pracowało trzech mężczyzn. Tazio przesiąknięty był duchem i ideami harcerstwa, w którym pomoc bliźniemu stawiana była na jednym z głównych zadań wychowawczych. Realizował w życiu wpojone harcerskie zasady. Z czasem Tazio stał się przyjacielem naszej rodziny, którą zresztą (co było widać) bardzo polubił. Myślę, że przebywaniem z naszą rodziną podświadomie rekompensował sobie okres swego półsierociego dzieciństwa, a w moim ojcu znalazł opiekuna i drugiego ojca. Obaj także związali się ze sobą na lata. Potem ojciec wziął Tazia jako współnika do rozwijającego się interesu. W 1938 r. Tazio już prowadził samodzielnie sklep w Piotrkowie.

Wracajmy do opisywanej terażniejszości. Poza rozmowami prowadzonymi w pustym sklepie atrakcją dla nas była wymyślona przez Tadzia zabawa. Wyglądaliśmy przez odmrożone chuchaniem kawałki szyby drzwi wejściowych i przyglądaliśmy się temu, co się na zewnątrz dzieje. Przyglądaliśmy się przechodzącym ludziom, obserwowaliśmy wrony żerujące na końskich odchodach na zaśnieżonej ulicy, bawiliśmy się licząc przejeżdżające dość rzadko chłopskie sanie. Robiliśmy różne zakłady dotyczące zdarzeń sytuacyjnych, np. ile w ciągu 5 minut przejedzie sań, jakiej maści koń trafi się pierwszy, kogo pierwszego zobaczymy, mężczyznę czy kobietę itp. A największą atrakcją było oglądanie samego rynku i wspólne komentowanie oglądanych obrazów. Okazuje się, że było co oglądać. Rynek w całej okazałości mieliśmy przed sobą. Teraz, przykryty bielą śniegu, wyglądał atrakcyjniej niż jesienią. Po lewej stronie od nas przyciągała wzrok wielka biała bryła kościoła farnego dominującego nad całym rynkiem swą wielkością. Kościół osadzony na skalistym wzgórku górował nad otoczeniem. Umieszczony w północno-wschodnim rogu rynku spinał jakby klamrą dwie jego ściany, północną i wschodnią. Trzy białe wieże wyrastały z frontowej ściany kościoła i nadawały mu smuklejszej sylwetki. Środkowa wieża była wysoka, dwie boczne znacznie niższe. Wszystkie przykryte czarnymi kopułami, zakończonymi smukłym zwieńczeniem i z zatkniętymi na szczycie krzyżami. Kontrastowały pięknie z zimową szarością nieba. Na wprost nas biała, przykryta śniegiem, pusta płaszczyzna rynku, wspinająca się powoli w górę, a przy końcu rynku wznosząca się już stromo - tworząc skarpe, jakby wał. Na szczycie tej skarpy widać było rząd ustawionych „twarzą” do nas kolorowych kamieniczek, przeważnie jednopiętrowych, które z naszej pozycji (z przeciwnego końca rynku) wydawały się znacznie mniejszymi niż w rzeczywistości. Ich kolorowe ściany, czarne dachy pokryte tylko miejscami białymi plamami śniegu, mrugające do nas wesoło okiennymi szybami stwarzały jakby malowany obraz. Domki robiły wrażenie tekturowych atrap, zabawek, które można by sobie dowolnie przestawiać. U stóp tych kamieniczek z rzadka przesuwali się przechodnie. Z tej odległości byli tacy mali, że nas to i dziwiło i trochę śmieszyło. Tylko mała grupka dzieci po prawej stronie, przy ostatniej kamieniczce, bawiła się zjeżdżaniem ze skarpy sankami. Po lewej stronie rząd jasnych od białego tynku kamieniczek, ustawionych do południowego słońca, tworzył północną ścianę rynku. Kamieniczki ozdobione od dołu pasem kolorowo pomalowanych frontów sklepowych i przyczepionymi do ścian balkonami wyglądały na większe - były dwupiętrowe i oglądane z bliższej niż poprzednie odległości. Tutaj widać było wyraźnie i przechodzących ludzi i sklepy. Widać było zamrożone szyby wystaw sklepowych i błyszczące dwa rzędy szyb okiennych, mieszkań pierwszego i drugiego piętra. Przed dwoma ustawionymi na chodniku koksowymi „piecykami”, koszami z metalowego drutu, wypełnionymi palącym się koksem, stały dwie grupki osób

grzejących wyciągnięte nad żarem ręce. Przecież dziś było poniżej 15 stopni mrozu, o czym informował umieszczony na budynku magistratu wielki, prawie półtora metrowy termometr.

Ozdobą tego fragmentu rynku był jednopiętrowy biały budynek, rozpoczynający od strony kościoła rząd kamienic. Radomszczanie nazywali go magistratem, bo w nim urzędował burmistrz miasta i władze miejskie. Był to budynek narożny, mający dwa skrzydła, jedno od strony rynku a drugie wzdłuż ulicy Piotrkowskiej, która zaczynała się od tego budynku i skierowana była w stronę północną. Okazały budynek ozdabiała duża, bo ponad trzypiętrowa wieża, szeroka od góry, na planie pięciobocznego prostopadłościanu. Wieża miała dach płaski, wykończona u góry ozdobnym gzymsem. Wyglądała jak baszta broniąca zamku, co nadawało budynkowi majestatyczny wygląd. Na szczycie miała umieszczoną małą wieżyczkę obserwacyjną. Na trzech bocznych ścianach, wysoko, umieszczono trzy wielkie cyferblaty zegara wybijającego donośnym dźwięcznym głosem nie tylko godziny, ale i kwadranse. A nad głównym wejściem, usytuowanym na samym rogu pod wieżą, wisiała płasko-rzeźba z herbem miasta Radomska. Prawej strony rynku nie mogliśmy z naszego punktu obserwacyjnego oglądać. Wejście do sklepu było umieszczone w dużym wgłębieniu, cofnięte około 1 m w głąb budynku i prawa ściana wgłębienia zasłaniała widok na prawą stronę.

To co teraz opisałem było przykładową lekcją obserwacji, której udzielał mi Tadzio Sokołowski. Poglądowo uczył mnie jak patrzeć na świat, jak dostrzegać także szczegóły w każdym obrazie czy zjawisku. Te „lekcje” zapamiętałem na całe życie. Dziś podziwiam, że Tadzio, dwudziestoletni wtedy młodzieniec, był tak duchowo wyrobiony i potrafił tak trzeźwo i interesująco patrzeć na świat. Po prostu był ciekawy świata i umiał swą ciekawością zarażać innych. Twierdził, że na wszystko co nas otacza, na cały świat, należy patrzeć z podziwem i przyjaźnie by umieć docenić to piękno. Przecież, mówił, to wszystko stworzył Bóg, a Bóg nie mógł stworzyć rzeczy brzydkich czy złych. Myślę że to przekonanie i takie podejście do życia wyrobiła w nim matka, wychowując go w wielkiej religijności. Wyższe wartości duchowe, umiejętność właściwego życia i właściwego spojrzenia na świat wpoilo mu i ugruntowało harcerstwo, kierowane w tych czasach przez światłych społeczników i działaczy, entuzjastów wychowywania młodzieży. Takim działaczem harcerskim był w owym czasie w Radomsku m.in. W. Wtorkiewicz „Harcercz Rzeczypospolitej”. Ich działania i przykłady trafiły u Tadzia na podatny grunt, toteż do końca życia był otwartym na świat, pogodnym i służącym bliźniemu człowiekiem, czyli był po prostu harcerzem. Tadzio i mnie usiłował wszczepiać swoje ideały, co mu się w dużym stopniu udało.



W połowie stycznia skończyły się ferie i niestety te częste spotkania „sklepowe” z Tadzkiem musiały się skończyć. Zaczęła się szkoła i do południa, wtedy gdy Tadzio był sam w sklepie, ja już nie mogłem przychodzić. Po południu, gdy wracałem ze szkoły, bardzo rzadko zaglądałem do sklepu. Po południu, oprócz Tadzka, dyżurowała w sklepie mama a czasem ojciec. Ojciec rzadko, bo był zajęty przygotowywaniem pracy dla pracowników, czyli wykrawał i szykował elementy skór do montażu obuwia, które to elementy zabierali do domu pracownicy. W obecności mamy czy ojca nie było mowy o szczerych, czasem intymnych rozmowach z Tadzkiem. Tadzio też był obecnością któregośkolwiek z moich rodziców skrępowany i nie wykazywał inicjatywy w rozmowie ze mną.

Ferie w tym roku trwały jeszcze do połowy stycznia, ale to był ostatni rok tak długich ferii. Od następnego roku ferie będą się kończyć tydzień wcześniej, będą trwały do święta Trzech Króli. Zaczęła się szkoła. Przez te trzy tygodnie odzwyczaiłem się od zajęć lekcyjnych i od ранnego wychodzenia z domu. Teraz trzeba było wcześniej wstawać, żeby o godzinie 7.30 wyjść z domu. No i teraz zimą spacer do szkoły o tak wczesnej porze nie był przyjemnością. Mrozy jeszcze trzymały, cały czas było poniżej - 10 stopni Celsjusza. Nawet dwa czy trzy razy, z powodu zimna, urzędowaliśmy na lekcjach w paltach. Wtedy kierownik zwalniał niższe klasy z ostatnich dwóch lekcji. I chyba jeden czy dwa razy w styczniu nie poszliśmy do szkoły z powodu obniżenia się temperatury w klasach poniżej +15 stopni. Przy mrozach poniżej - 15 stopni i gdy wiał silny wiatr piece kaflowe nie mogły ogrzać naszych dużych i wysokich na 4 m sal lekcyjnych. Nasza szkoła mieściła się w dawnych wojskowych (jeszcze carskich) koszarach, stąd te duże i tak wysokie sale.

Początkowo bardzo trudno mi było przyzwycząić się do wczesnego wstawania, a z dobudzeniem mnie mama zawsze miała kłopot. Po pierwszym budzeniu prawie zawsze natychmiast zasypiałem z powrotem i trzeba było mnie znów budzić. Dla mamy to moje wczesne wychodzenie do szkoły też było dużą niewygodą. Musiała wstać o 6 rano żeby rozpać w piecyku i nagrzać trochę pomieszczenie oraz przygotować mi śniadanie, które zwykle jadłem bardzo powoli, nie mając o tak wczesnej porze apetytu. Mama musiała dopilnować i mojego jedzenia, bo do szkoły nigdy nie dostawałem drugiego śniadania. Takie rodzice mieli zasady. A lekcje w szkole były początkowo bardzo nudne. Nie mogłem się na nich skupić, stale byłem rozproszony i po lekcji nie wiedziałem o czym nauczyciel zwracał nam głowę. Nie ja jeden byłem w takim nastroju, cała klasa przeżywała podobne trudności. Podejrzewam, że i nauczycielom też było trudno zabrać się na początku do pracy. I to było dla nas dobre, bo przez pierwsze dwa tygodnie mieliśmy mało zadawane do domu i przez pierwsze dni nie byliśmy odpytywani na stopnie. Dopiero po dwóch tygodniach wciągnęliśmy się w normalny szkolny rytm. W pierwszych tygodniach urozmaicano nam

trochę zajęcia. W styczniu i w lutym byliśmy trzy razy na całodziennych wycieczkach do parku, gdzie pod opieką wychowawcy mogliśmy się do woli wyhasać, a ci co mieli łyżwy mogli sobie pojeździć na zamarznętym stawie, zamienionym zimą na lodowisko. Uczniami jeżdżącymi na łyżwach opiekował się wychowawca, instruując jak należy jeździć, jak robić figury, jak hamować itp. Tym naukom i my nie jeżdżący chętnie się przysłuchiwalśmy. Ja należałem do grona niejeżdżących, nie miałem łyżew i zazdrościłem tym, którzy je mają. Rodzice uważali, że jestem na to za młody. Co prawda w następnym roku kupili mi łyżwy, ale po stawie nie jeździłem, rodzice nie dawali mi tych 20 groszy na bilet wstępu na lodowisko. Jeździłem na chodnikach, na ubitym śniegu, tam gdzie go nie uprzętnęli dozorca. Przyjemniejsze były dwie wycieczki poza miasto na sanki. Choć mniej niż połowa klasy miała sanki, to jednak jeździli wszyscy. Nauczyciele wynaleźli górkę do zjeżdżania i z tej góry kolejno zjeżdżaliśmy. Zabawa była wyśmienita. Zaskoczył nas sygnał do odejścia - byliśmy tam parę godzin a nam się wydawało, że to tak krótko trwało.

Jakoś niezauważalnie przeszedł mi w tym roku karnawał. Nie interesowałem się nawet „karcierzami”, którzy w niedzielę grywali u nas swego preferansa, czemu zwykle bardzo się lubiłem przyglądać. Dołączałem do grających dopiero po zakończeniu gry, gdy mama podawała kolację. Wtedy dopiero rozpoczynały się rozmowy towarzyskie, które mnie bardzo ciekawiły i którym się zawsze z zainteresowaniem przysłuchiwałem. Nawet ostatki, tak ważne dla nas dzieci wydarzenie, przeszły prawie niezauważalnie. Pamiętam tylko jak przez mgłę smażenie pączków przez mamę oraz tradycyjną kolację z pieczenią wołową i kluskami rurkami podlanymi obficie sosem z tej pieczeni. To danie miało specyficzny smak, bardzo je lubiłem i przez to danie zapamiętałem nasze ostatki. Tak pysznej pieczeni nikt poza mamą nie umiał przyrządzić. Nawet Wiesia, moja żona, pomimo wielu prób, nie umiała takiej pieczeni przyrządzić, takiego smaku z tej pieczeni nie udało się jej wydobyć. Nie pamiętam też zupełnie tegorocznych przebierańców, a była to dla nas dzieci duża atrakcja i przecież na pewno chodzili. Do naszego mieszkania od tego roku już ich nie wpuszczano. Pretekstem do tego był fakt, że Marynia mająca w ubiegłym roku cztery lata, bardzo się przestraszyła grupy przebierańców, którą rodzice wpuszcili do mieszkania żeby nam zrobić przyjemność. Był wśród nich diabeł i śmierć - wzbudzające grozę swym przebraniem. Marynia się ich przestraszyła, wpadła w szok i zaczęła krzyżeć. Rodzice przestraszeni jej zachowaniem czym prędzej przebierańców przepędzili i od tej pory nie wpuszczano ich do domu.

Na początku lutego sklep jakby się ożywił. Klienci jeszcze bardzo rzadko odwiedzali nasz sklep, ale na zapleczu był już duży ruch. Tu praca szła pełną parą. Ojciec ledwo zdążał z szykowaniem dla pracowników wykrawanych elementów skór do montażu obuwia. Ilość pracowników naszego sklepu wzrosła, bo ojciec przyjął

paru ludzi przygotowując się do większego sezonu. Przygotowywał zapas obuwia na sezon, który miał się zacząć jak co roku w połowie marca, na 2-3 tygodnie przed świętami. Na adres sklepu zaczęły przychodzić duże paki z dykty, powiązane metalową walcówką oraz duże tekturowe pudła powiązane sznurami, w których zapakowane było obuwie zamówione przez ojca w znanych w Polsce firmach produkujących eleganckie, luksusowe obuwie. Najbardziej znaną, produkującą eleganckie i modne obuwie, a zarazem cieszącą się dużą popularnością ze względu również na niezbyt wysokie ceny (choć znacznie wyższe niż dla normalnego obuwia), była firma „Tenis”. Od tej firmy ojciec sprowadzał największe ilości obuwia, więcej niż od innych firm, z którymi utrzymywał kontakty handlowe. Z tej firmy przychodziło do nas najwięcej przesyłek. Ojciec sprowadzał takie obuwie także z kilku innych firm, ale w znacznie mniejszych ilościach, gdyż nie było na nie takiego popytu jak na obuwie „Tenisa”. Jeszcze obuwie bydgoskiej „Salamandry” dorównywało obuwiu „Tenisa”, ale było znacznie droższe stąd dużo mniejszy popyt w takim Radomsku - głównie z chłopską i robotniczą klientelą. Było jeszcze obuwie znanej warszawskiej firmy „Struś i Kieliszek” a także 2 czy 3 innych, których nazw już nie pamiętam. I dzięki kontaktom z tymi firmami przychodziło do nas tyle pudeł. Bardzo mnie cieszyły te przesyłki, bo pozwalano mi brać udział w ich rozpakowywaniu, czym głównie zajmował się Tadzio, więc dla mnie była to dodatkowa frajda. Brałem udział w pracy dorosłych, więc byłem we własnych oczach ważną osobą, no i przebywałem parę godzin z Tadzio, a to było dla mnie dodatkową przyjemnością. Rozbijanie skrzyń, wypakowywanie z nich pudełek z butami i układanie ich w stosy, ten cały rozgardiasz panujący wtedy na zapleczu to była nie lada zabawa. Drugą przyjemnością był odzysk dykty i płatów tektury z opakowań, z których potem wycinałem i kleiłem swoje zamki, domy, szopki bożonarodzeniowe itp. Poza tym w każdej paczce znajdowały się kolorowe reklamy, duże arkusze tektury, na odwrocie białe. Część z nich pozwolono mi zabrać. Na odwrocie tych reklam malowałem wojsko, potem je wycinałem i razem z kolegami się bawiliśmy. Nie lubiłem tylko przesyłek skór podeszwowych. Były one produkowane w taflach o wymiarach około 1 metr na 0,5 metra i pakowane po 10 sztuk w worki przewiązywane grubym powrozem. Worki te były bardzo ciężkie i rozpakowywał je Tadzio z ojcem, a ja nie miałem z nich żadnego pożytku. Gdy przychodził transport towaru to w naszym mieszkaniu nie było już na nic miejsca i trzeba było być akrobatą żeby się w tym pomieszczeniu poruszać.

Sytuację mieszkalną pogorszył fakt, że ojciec zatrudnił dwóch kamaszników, ponieważ warsztat wuja Henryka nie mógł wyrobić tej ilości cholewek jaką potrzebował ojciec. I ci kamasznicy w naszym mieszkaniu wykrawali elementy cholewek, które potem zabierali do siebie do szycia. Ten zwyczaj wprowadził ojciec, gdy

stwierdził, że jak daje kamasznikom całe skóry to z nich dostaje 10% cholewek mniej niż gdy ci sami kamasznicy wykrawają elementy cholewek u nas. Taki kamasznik przychodził raz w tygodniu, rozkładał swój warsztat na stole w naszym mieszkaniu i pod czujnym okiem ojca wykrawał z przekazanych mu skór elementy cholewek według wskazówek ojca. Ale w ten sposób zablokowane były na cały dzień możliwości poruszania się po już i tak bardzo ciasnym pomieszczeniu. Kamaszników było dwóch, więc dwa dni w tygodniu mieliśmy całkiem sparaliżowane życie domowe.

Kamasznikami byli dwaj rzemieślnicy żydowski. Jeden nazywał się Prędkci, drugi Mitzenmacher. Prędkci - energiczny łysiejący brunet, mówiący dobrze po polsku, nie był podobny z wyglądu do Żyda. Wesoły z usposobienia, lubił opowiadać kawały. Był także muzykiem, grał na kilku instrumentach, nawet dorabiał sobie grywaniem z zespołem na weselach. Był bardzo dobrym, zdolnym kamasznikiem-moделarzem, umiał opracowywać własne wzory cholewek. Miał, jak mówił ojciec, lekką rękę i jego cholewki miały swój „smak” i „cieszyły oczy”. Z czasem tylko on dostarczał ojcu cholewki na eleganckie damskie obuwie. Mitzenmacher - niski, ryży, o typowo semickim wyglądzie. Zawsze był zaniedbany, niezbyt czysty, ze stale zasmarowanym nosem, który od czasu do czasu wycierał rękawem marynarki, co mamę przysparzało o mdłości. Nie miał on tych zdolności co Prędkci, cholewki zrobione przez niego nie miały tego „smaku” i nie bardzo nadawały się na eleganckie obuwie. Z tego powodu przeważnie robił cholewki na pospolite męskie i dziecinne obuwie. Po 1 września 1939 r., po spaleniu się naszego sklepu, straciliśmy z nim kontakt, gdyż ojciec nawet po otwarciu sklepu w 1940 r. nie prowadził już produkcji obuwia tylko handlował obuwem zakupionym w hurtowni. Stracił więc ojciec kontakt ze wszystkimi swymi pracownikami. W 1942 r., parę dni przed likwidacją getta w Radomsku, przyszedł do nas Mitzenmacher pożegnać się z nami. Przeczuiwał, że coś się z Żydami stanie. Na pytanie ojca dlaczego nie chce uciekać żeby się ratować (ojciec myślał o ucieczce do partyzantki, bo w tym mógłby mu pomóc), Mitzenmacher odpowiedział, że przecież nie opuści starej matki i chce pozostać z nią do końca. Mając łzy w oczach powiedział, że jest to ostatnie nasze spotkanie, bo wie jaki los spotka Żydów w najbliższym czasie. Usiłował żartować przez łzy mówiąc, że być może spotkamy się jeszcze, gdy go Niemcy przerobią na mydło. Może to mydło dostanie się w ojca ręce, wtedy się jeszcze spotkamy. Odchodząc, złamanym głosem powiedział *niech będzie pochwalony Jezus Chrystus* - co nas wszystkich zaskoczyło i wzruszyło. Gdy parę dni później, słysząc że wyprowadzają Żydów z getta, wyszedłem na ulicę i widziałem Żydów prowadzonych ulicami w kolumnach liczących po około 500 osób. Na czele każdej kolumny szedł gestapowiec, a po bokach żydowscy policjanci. W drugiej kolumnie w drugim rzędzie zauważyłem Mitzenmachera. Szedł wybladły,

ze ściągniętą twarzą, niewidzącymi i nieruchomymi oczami patrzył zrezygowany przed siebie. Nie mogłem na to patrzeć i szybko wróciłem do domu.

Parę tygodni przed Wielkanocą odwiedził nasz sklep jakiś elegancki jegoś, pachnący przyjemnie wodą kolońską i niosący ze sobą dużą walizkę. Po dłuższej rozmowie z ojcem został zaproszony na zaplecze. Okazało się, że jest komiwojażerem zbierającym zamówienia na dostawę obuwia z jakiejś warszawskiej firmy. Pierwszy raz słyszałem to słowo - komiwojażer. Dziwnie i tajemniczo brzmiało ono w moich uszach. Zapytałem Tadzia dlaczego tego pana tak nazywają i w ogóle co to słowo oznacza. Tadzio mnie uświadomił, że takich ludzi co jeżdżą po różnych miejscowościach, sprzedają jakieś towary lub zbierają zamówienia na nie nazywamy wojażerami lub komiwojażerami, bo stale są w podróży a wojażują zarabiając w ten sposób. Ten przybyły wojażer otworzył walizkę i wyjął z niej kolekcję damskich pantofli o różnych fasonach i w różnych kolorach. Kolekcję rozłożył na stole pozwalając nam przez dłuższą chwilę ją oglądać. Te rozłożone jakby na wystawie buty wyglądały naprawdę pięknie. Kolorowe, błyszczące, zgrabne - cieszyły oczy. Nałożone na celuloidowe formy, tzw. „kopyta”, imitujące damską stopę i podkreślające urodę obuwia, wyglądały jak nałożone na zgrabną nogę. Widziałem, że każdy but był w walizce otulony flanelową szmatką chroniącą obuwie przed uszkodzeniem. Widziałem też, że i ojcu i mamie to wystawione obuwie bardzo się podobało. Przewyższało elegancją sprzedawane u nas buty. Także i mnie i Tadziovi, który też przyszedł obejrzeć tę kolekcję, podobało się to obuwie. Po tej ogólnej prezentacji, która miała zachęcić rodziców do podjęcia rozmów handlowych z wojażerem, gość schował do walizki większą część kolekcji. Zostawił parę najatrakcyjniejszych modeli i spytał ojca, czy w ogóle interesuje go zakup takich butów i czy mogą na ten temat rozmawiać, czy mogą to zrobić teraz, czy może on przyjdzie o innej porze np. gdy ruch w sklepie będzie mniejszy i będzie można porozmawiać spokojnie. Ponieważ ruchu w sklepie zbyt dużego nie było i sam Tadzio wystarczył do obsługi przychodzących klientów, ojciec zaproponował natychmiastowe rozmowy. Z jednej strony stołu usiadł gość, a z drugiej ojciec z mamą. Teraz brali do ręki każdy model, oglądali ze wszystkich stron, naradzali się ze sobą, a przede wszystkim pytali o cenę, bo przedstawione modele miały różne ceny. To obuwie było droższe od sprzedawanego u nas, dlatego do wyboru modeli i zakupu rodzice podchodzili ostrożnie. Ostatecznie, po długich targach o cenę (cena nie była ostateczna i można ją było negocjować, wtedy mówiło się „targować”), wybrano modele do zakupu. Wtedy ojciec podawał im wymiary, czyli numerację wielkości jakie zamawia. Na zakończenie spisano formalne zamówienie - umowę i transakcja została zakończona. Mama nawet poczęstowała gościa herbatą, co było ewenementem, bo u nas nie było w zwyczaju częstować czymkolwiek gościa, który przychodził w sprawach handlowych. Gość musiał wyrzucić na мамie

pozytywne wrażenie skoro mama odstąpiła od tego zwyczaju. Nawiązała się rozmowa, która przerodziła się w przyjazną pogawędkę, co też było ewenementem. Z przyjemnością i zaciekawieniem przysłuchiwałem się tej rozmowie. Gość był rozmowny, wesoły, umiał mówić interesująco. Opowiadał wiele plotek, zdarzeń i ciekawostek z życia politycznego i towarzyskiego Warszawy. Mówił też o swojej rodzinie, żonie i dzieciach, przez co zadzierzgnął już w pierwszym spotkaniu przyjazne i bliskie stosunki z rodzicami. Nazywał się Aronfeld. Żydowskie pochodzenie zdradzało tylko jego nazwisko, bo wyglądał na typowego aryjczyka. Pracował od ponad 30 lat w handlu obuwem i uważał się za eksperta w tej branży. Nienagannie ubrany, w dobrze skrojonym garniturze, w białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem, w krawacie, przyjemnie pachnący wodą kolońską, niemal prowokujący swą przesadną czystością. Wyglądem i zachowaniem robił wrażenie człowieka swobodnie poruszającego się w inteligentnym środowisku. Wyglądem nawet nie pasował do pełnionego zawodu, bo był za elegancki i za „inteligentny” jak na komiwojżera. Pan w średnim wieku, około 50 lat, 10 lat starszy od mojego ojca. Był dość niski, korpulentny, a siwiejące szpakowate włosy uczesane gładko na bok niekorzystnie obniżały jego sylwetkę. Błada twarz z uśmiechniętymi i inteligentnie patrzącymi oczami nadawała jego postaci nobliwego wyglądu i zjednywała sympatię otoczenia. Łagodny, ale silny i sugestywny ton jego głosu powodował, że chętnie się go słuchało. Nic dziwnego, że od pierwszej chwili zdobył sympatię mamy i zaufanie ojca. Nawet ze mną zamienił parę słów, rozmawiając jak z dorosłym człowiekiem. I co dziwne, przed nim nie odczuwałem swego onieśmienia, które mi zawsze towarzyszyło w kontakcie z dorosłymi.

Tę pierwszą transakcję zakończono dla ojca korzystnie, bo ojciec nie musiał za towar zapłacić gotówką, ale weksłami płatnymi i to po 4 miesiącach od dostawy towaru. W tych dniach, przed sezonem, ojciec nie miał tyle gotówki by zapłacić od razu za zamówiony towar. Dlatego transakcja była dla ojca korzystna. Poza tym pan Aronfeld obiecał, że modeli które zakupił ojciec nie będzie w Radomsku nikomu sprzedawał oraz że będzie nas parę razy w roku odwiedzał, gdy będzie miał jakieś atrakcyjne nowości. I tak pan Aronfeld został naszym stałym dostawcą. Zaprzyjaźnił się nawet z naszą rodziną. A ojciec, który darzył go od początku dużą sympatią i zaufaniem, kupował u niego z czasem coraz większe partie obuwia. Pan Aronfeld wizytował nas 3-4 razy w roku. Przyjeżdżając do Radomska przychodził najpierw do nas. I dopiero po wybraniu przez ojca modeli z jego kolekcji, resztę sprzedawał innym radomszczańskim kupcom. Ciekawe, że ojcu dawał pierwszeństwo w zakupie nowych modeli, nie sprzedając ich innym kupcom w Radomsku i sprzedawał ojcu to obuwie po niższej cenie niż innym kupcom, choć pozostali kupcy byli jego (p. Aronfelda) pobratymcami. W tym czasie w Radomsku jedynym nieżydowskim sklepem z obuwem był sklep ojca.

Wizyty pana Aronfelda były dla nas dużą atrakcją, przeciągały się znacznie poza potrzeby handlowe, przeradzając się w przyjazne spotkanie towarzyskie. A ja mam temu panu do zawdzięczenia moją karierę życiową. Otóż rodzice zamierzali wykształcić mnie w zawodzie kupieckim i żebym kiedyś przejął po ojcu przedsiębiorstwo. W związku z tym zamierzali posłać mnie do szkoły zawodowej handlowej w Radomsku, szkoły zwanej „handlówką”. Do gimnazjum, które też było w Radomsku, przyjmowano uczniów po ukończeniu sześciu klas szkoły powszechnej a do handlówki po ukończeniu 7 klas. Więc chodziłem już do tej siódmej klasy szykując się wstępnie do handlówki, które to przejście miało nastąpić za parę tygodni. W tym czasie wizytował nas pan Aronfeld. W rozmowie z nim ojciec wspomniał, że niedługo pójdę do handlówki. Pan Aronfeld zdziwił się, że ojciec nie chce mnie posłać do gimnazjum, które daje znacznie większe możliwości dalszego kształcenia niż handlówka oraz większą możliwość wyboru zawodu, większe możliwości życiowe i, co najważniejsze, lepsze i staranniejsze wykształcenie ogólne, a to, jak mówił, najbardziej w życiu się przydaje. Odradził więc rodzicom posyłanie mnie do handlówki, namawiając na gimnazjum, po ukończeniu którego mogę także zostać kupcem lub dalej się kształcić. Ukończenie handlówki w tym czasie zamykało możliwość pójścia na uniwersytet czy politechnikę. I tak w ostatniej chwili rodzice zdążyli mnie zapisać do gimnazjum, gdzie (nie bardzo przygotowany) musiałem zdawać egzamin wstępny, z czym miałem trudności. No i niepotrzebnie straciłem cały rok chodząc do siódmej klasy. Ale to uratowało mnie od kariery kupieckiej która, jak się okazało po zawierusze wojennej, nie była by zbyt dobrą karierą. Parę miesięcy po przejściu burzy wojennej, w początku 1940 r., ojciec dostał od pana Aronfelda pocztówkę z pozdrowieniami, zawiadamiającą jednocześnie, że pan Aronfeld jest zamknięty w getcie, gdzie z rodziną przeżywają duże trudności. Niestety, nie wiem jak to się stało, ale na pocztówce nie było adresu nadawcy - a przecież wysłano ją oczekując od nas jakiejś pomocy. I ojciec, choć chciał, nie mógł pomóc tej rodzinie, choćby wysyłając paczki żywnościowe. I tak skończyło się dla nas jedno z wielu spotkań z przyjaznymi ludźmi. Napisałem tyle o panu Aronfeldzie ponieważ był on jedną z niewielu postaci, która przewijając się przez życie naszej rodziny pozostawiła w naszej pamięci i naszych sercach trwałe ślad.

Rozpoczął się Wielki Post - o czym stale przypominała nam na lekcjach religii nasza katecheta, pani Kryszczyńska. Okres ten wykorzystywała do intensywniejszej nauki, bo przecież był to okres przygotowania nas, czwartoklasistów, do pierwszej Komunii. Na lekcjach religii teraz wyjątkowo uważałem, chcąc jak najlepiej przygotować się do tej uroczystości. Pani Kryszczyńska dużo mówiła nam teraz o Chrystusie, Jego Męce i ofierze za nas. Pobudzała nas do odwzajemnienia tej Jego wielkiej do nas miłości, do intensywniejszej w tym okresie modlitwy, do powstrzy-

mywania się od grzechów i unikania nawet wszelkiej okazji do grzechu, by dobrze przygotować się do przeżycia bliskich świąt, pamiątki Jego Męki i do tak ważnego w naszym życiu momentu - połączenia się z Chrystusem w pierwszej Komunii. Pani Kryszczyńska potrafiła to wszystko mówić z przejęciem, od serca, nic dziwnego, że i my uczniowie słuchaliśmy jej słów z wielkim przejęciem, postanawiając stosować się do jej wskazań. A ja przejęty i wzruszony sugestywnie przedstawioną Męką i Ofiarą Chrystusa postanowiłem solidnie przygotować się do pierwszej komunii, odwołując się choć w ten sposób Chrystusowi.

Pani Kryszczyńska była kobietą głęboko religijną, promieniowała swą religijnością. Umiała porywająco mówić nam o Bogu, umiała przemówić do duszy słuchaczy. Toteż wywarła ona duży wpływ na wielu z nas. I ja zawdzięczam jej pierwsze głębsze spotkanie z Bogiem, zacząłem być bliżej Boga, odczuwać Jego obecność i „rozmawiać” z Nim. To jej zawdzięczam swoją późniejszą religijność, która z różnymi zachwianiami życiowymi przetrwała do dziś. Pani Kryszczyńska miała wielki kult do Matki Bożej i o niej nam często mówiła na lekcjach, zachęcała nas do oddania się Jej w specjalną opiekę. Zachęcony słowami pani Kryszczyńskiej oraz jej przykładem i ja powierzyłem się Matce Bożej - prosząc Ją o opiekę i obiecując być Jej rycerzem, starać się unikać grzechów, być posłusznym rodzicom, być uczynnym dla bliźnich. Zacząłem się dużo modlić z własnej inicjatywy wierząc, że modlitwą można wiele uprosić - a ja miałem przecież tak wiele spraw do „załatwienia”, sporo wielkich dla mnie kłopotów, z którymi nie miałem do kogo się zwrócić, no i miałem wiele pragnień. Z tym wszystkim zacząłem się teraz zwracać do Boga przez modlitwy do Matki Boskiej. Pamiętam też jedną z „ważnych” spraw, o które przez długi czas modliłem się do Boga. Były to prośby o zdrowie, długie życie, założenie kochającej się rodziny i by Bóg zechciał mi dać dobrą, kochającą żonę - zaznaczam, że miałem wtedy 10 lat! Co dzień idąc do szkoły, po drodze wstępowałem na krótką modlitwę do kościoła. To samo czyniło większość moich kolegów. Miałem o co prosić, bo jak zwykle byłem nieprzygotowany do lekcji, nie miałem odrobionych domowych zadań i szedłem do szkoły pełen strachu z tego powodu. Modliłem się, by nauczyciele nie odkryli mego nieprzygotowania i nie pytali mnie na lekcjach, żebym nie zarobił dwójki. Przyznam się, że bardzo rzadko nie zostałem wysłuchany.

Zaraz po feriach, na skutek rozmów z Tadzkiem, zapisałem się do harcerstwa i bardzo mi się to harcerstwo podobało. Atrakcją były popołudniowe zbiórki w szkole. O tej porze roku popołudnia były już ciemne i ze zbiórek wracaliśmy wieczorem, co było dodatkową atrakcją. Można było się powłóczyć bezkarnie wieczorem po mieście. Same zbiórki też były ciekawe. Na początku uczyliśmy się prawa harcerskiego, które miało być naszym drogowym wskazaniem życiowym i uczyliśmy się życiowych zasad właściwego postępowania, czyli zasad moralnych. Nie było to nudne jak nauki



w szkole, bo nasza nauka przeplatana była grami i zabawami. Początkowo na każdej zbiórce jakiś starszy druh opowiadał nam gawędę, zawsze ciekawą i związaną z przygodami harcerskimi lub ze zdarzeniami historycznymi. Były opowieści i o obozach harcerskich, spaniu pod namiotami, wieczornych ogniskach i wycieczkach. Rozpalały one naszą wyobraźnię. Słuchając tych opowieści czuliśmy się już uczestnikami tych obozów i uczestnikami tych przygód. Były też pogadanki o dobrym wychowaniu, o formach grzecznościowych, o formach zachowania się przy stole i w innych towarzyskich okolicznościach, o koleżeńskości. Raz nawet urządzono praktyczny pokaz, jak się zachować przy stole, organizując dla nas małe „przyjęcie”. Pokazywano jak nakrywać do stołu, jak ustawić talerze i sztućce, jak posługiwać się tymi sztućcami itp. I to nam się bardzo podobało. Podejrzewam, że wielu z nas o niektórych poruszanych sprawach po raz pierwszy się dowiadywało. Słowem - było fajnie. Tutaj spotkałem przyszłego mojego przyjaciela, Zygmunta Dudwała. Był on parę lat ode mnie starszy i był wielkim entuzjastą harcerstwa. Wtedy był on naszym drużynowym. Sam uczęszczał do gimnazjum, czym nam bardzo imponował. Imponował też wzrostem, bo był wysoki i potężnie zbudowany, czym budził respekt wśród podopiecznych. Zaprzyjaźniliśmy się dopiero po 30 latach, mieszkając w Warszawie.

Na jednej ze zbiórek składaliśmy uroczyste przyrzeczenie harcerskie w obecności komendanta naszego hufca. Było to duże przeżycie. Od tego momentu dopiero byliśmy prawdziwymi harcerzami i mogliśmy nosić zielone harcerskie czapki z przypiętą na froncie lilijką. Zakładaliśmy te czapki z dumą, mieliśmy czym imponować kolegom, poczuliśmy się wyróżnieni spośród innych uczniów. Zobowiązywało to nas, o czym przypominali stale nasi przełożeni, do odpowiedniego zachowania się w szkole, domu i na ulicy. Przecież byliśmy elitą i winniśmy stanowić wzór dla innych. I staraliśmy się sprostać tym zasadom. Ja nawet przez jakiś czas zacząłem odrabiać zadania domowe, co było z mojej strony dużym poświęceniem. Przecież harcerz nie może mieć nie odrobionych lekcji. Jednak dłużej niż parę tygodni w tym postanowieniu nie wytrwałem.

Niestety nigdy nie wyjechałem na żaden obóz wakacyjny, a było to moim wielkim marzeniem. Nie dane mi było przeżyć tych przygód, za którymi bardzo tęskniłem. Rodzice żałowali 10 złotych, bo tyle taki obóz kosztował i była to suma raczej symboliczna, gdyż obozy były (jakby dziś powiedzieć) sponsorowane przez państwo. Z zazdrością słuchałem opowiadań kolegów, którzy byli na obozie. Opowiadali o życiu obozowym, o ich wrażeniach, przeżyciach, o podchodach nocnych, wieczornych ogniskach, pełnionych wartach. Opowiadali swe przygody z wielkim entuzjazmem i radością, przeżywając je jeszcze raz podczas ich opowiadania. A mnie było żal, że nie mogłem tych przygód przeżyć. Było mi też wstyd, że przez skąpstwo rodziców nie uczestniczyłem w obozie harcerskim. Tylko ja jeden z naszego zastępu nie poje-

chałem na obóz, choć moi rodzice byli najbogatsi wśród rodziców kolegów z mojego zastępu. Ten żal do rodziców pozostał w moim sercu jak zadra na długie lata.

A co się działo w szkole, poza lekcjami religii? Lekcje polskiego, które prowadziła w tym roku młoda pani, nie zapisały mi się jakoś w pamięci. Przeszły bez wrażenia i z miernymi dla mnie rezultatami, ze względu na stałe nie odrabianie zadań domowych. Pani od polskiego od czasu do czasu to wykorzystywała i łapałem dwóje, co obniżało mi ocenę z tego przedmiotu. Klasówki wychodziły mi dobrze, choć zawsze się nimi denerwowałem. Matematyka, czyli ówczesne „rachunki”, już mi szła lepiej. Ten przedmiot był bardziej konkretny toteż z tego przedmiotu trafiały mi się często „czwórki”. Zadań domowych też nie odrabiałem, tyle że zdążałem je jakoś odrobić przed lekcjami lub na lekcjach poprzedzających „rachunki”.

Najbardziej mi „pasowały” przedmioty, których uczył nasz wychowawca pan Strzelichowski. Uczył on rysunków, śpiewu i robót. Śpiewu za bardzo nie lubiłem, gdyż nie miałem za grosz słuchu ani głosu. Przez parę lat nauki pan Strzelichowski nauczył nas wiele popularnych piosenek, ludowych i wojennych. Piosenki te pamiętam do dziś, śpiewało się je przez długie lata. Poza tym okresem szkoły powszechnej nie nauczyłem się w życiu żadnej nowej piosenki, tak że to co umiałem i umiem jeszcze dziś wyśpiewać jest zasługą pana Strzelichowskiego. Ciekawe jest to, że choć nie miałem głosu ani słuchu muzycznego, przez dwa lata należałem do szkolnego chóru, zorganizowanego i prowadzonego przez pana Strzelichowskiego.

Lekcje robót były natomiast dobrą rozrywką i bardzo te lekcje lubiłem. Na tych lekcjach nie było się pytanym, nie zadawano pracy domowej. Lekcje, a właściwie zajęcia, odbywały się w dużej pracowni przy warsztatach stolarskich i prowadzone były na luzie. Można było sobie spacerować po całej pracowni. Zajmowaliśmy się obróbką drewna, a więc piłowaniem, heblowaniem, wycinaniem i obróbką małych elementów drewnianych jak np. wiszące kwietniki, deski kuchenne do krojenia itp. Końcowym elementem zaliczającym te zajęcia na stopień było zbudowanie szopki bożonarodzeniowej lub jakiejś większej zabawki np. wózka. W następnej klasie mieliśmy naukę obsługi tokarki i toczenia elementów drewnianych. I to mi się najbardziej podobało. Mniej atrakcyjne były lekcje rysunków, ale też je lubiłem. Na lekcje trzeba było przynosić duże bloki z arkuszami specjalnego kartonu do rysowania, komplet kredek, farby i pędzle, a więc było się czym bawić. Rysowaliśmy stoliki, garnki, wazon-y według przedstawionego wzoru. Potem malowaliśmy małe krajobrazy z natury, pojedyncze budynki z pamięci i z natury. Początkowo nie bardzo mi się te rysunki szczególnie udawały, gdy przyszło malować farbami wodnymi. Z czasem wciągnąłem się i polubiłem te zajęcia do tego stopnia, że w gimnazjum zapisałem się na dodatkowe lekcje rysunku. niestety nie miałem talentu do rysowania i dałem sobie z tym spokój.

Przyjemnym przedmiotem, lubianym przez wszystkich, była gimnastyka. Dwa razy w tygodniu wychodziliśmy na podwórze, a gdy było zimno lub padał deszcz do sali gimnastycznej. Trochę się pogimnastykowaliśmy pod komendą nauczyciela, a potem były gry w piłkę nożną lub w „dwa ognie” (czyli w „chodesa”) lub inne zabawy ruchowe. W sali gimnastycznej gier z piłką nie było, za to można było poćwiczyć na drabinkach, na kozłach, materacach, zjeżdżać na specjalnych ławach zahaczonych o drabinki itp. To były fajne lekcje. Na tych lekcjach nie czekało się na upragniony dźwięk dzwonka oznajmiający koniec zajęć. To dzwonek nas zaskakiwał. I choć chciałoby się jeszcze - trzeba było kończyć zabawy.

W marcu zrobiło się już znacznie cieplej i zaczęło się „normalne” życie. Na podwórzu zaczęli się pojawiać moi rówieśnicy i ja zacząłem coraz więcej czasu spędzać poza domem. Zaczęły się spotkania z rówieśnikami, zabawy podwórzowe, bieganie po klatkach schodowych, zjeżdżanie po poręczach, chodzenie po strychach. A na rynku pojawiły się małe grupy robotników porządkujących rynek po zimie, przygotowując teren do dalszej modernizacji rozpoczętej w ubiegłym roku. W sklepie zaczął się coraz większy ruch. Coraz więcej klientów zaglądało do sklepu, czasem był ich pełen sklep. Widać było, że nadchodził oczekiwany sezon. Czym bliżej Wielkiej Nocy tym ruch w sklepie był coraz większy. Na dwa tygodnie przed świętami nastąpił szczyt sezonu. Tłum klientów prawie nie mieścił się w sklepie a lada była oblężona. Zniecierpliwieni klienci wrywali sobie buty z ręki, każdy chciał pierwszy otrzymać i przymierzyć obuwie. Rodzice i Tadzio uwijali się jak w ukropie, biegali co chwilę na zaplecze po następne pudełka z butami lub biegali z drabinkami, by sięgać buty z wyższych półek. Rodzice jednocześnie ubijali targ z dwoma, trzema klientami na raz, przekrzykując się wzajemnie.

Sklep pełen był gwaru od hałaśliwych rozmów prowadzonych jednocześnie przez kilkanaście osób. I taki rwetes trwał do późnych godzin popołudniowych. W tych dniach handel nie kończył się jak zwykle o godz. 19., ale czasem przedłużał się do 21. Oficjalnie sklep zamykany był o 19., ale tylko przez przymknięcie okiennicami drzwiowymi, bez ich zamykania na zamek. Przez uchYLENIE ich klienci mogli dostać się do sklepu. Po zakupie klient był wypuszczany ze sklepu bocznym wejściem od bramy. Takie zamykanie sklepów na niby i handel po ustawowych godzinach był w sezonie praktykowany przez wszystkich kupców, a w okresie przedświątecznym policja przymykała na to oczy. W tygodniu przedświątecznym sklepy ustawowo były otwarte do 21. Rodzice dwoili się i troili, biegając cały dzień w tym tłoku. Na pewno byli zmęczeni ale też szczęśliwi, że sezon się udał i że zarobią w tym sezonie dużą forszę. Wieczorem, dobrze po 22., mogli dopiero przystąpić do uprzątnięcia tego niesamowitego bałaganu jaki powstał po całym dniu w sklepie. Na zapleczu leżały stosy pustych pudełek po sprzedanym obuwiu, bo nie wszyscy klienci

zyczyli sobie zabierać zakupione buty z pudełkiem. Na stole i na podłodze leżały porozrzucane pojedyncze buty, które z ojcem dobieraliśmy w pary i pakowaliśmy do pudełek, które potem ojciec układał na półkach. Mama w tym czasie przygotowywała kolację. Po zjedzeniu kolacji wyganiano mnie do łóżka (Marynia już dawno smacznie spała), a sami zabierali się do liczenia utargu. Ojciec pieniędzy nigdy nie trzymał w kasie. Co pewien czas opróżniał sklepową kasę i pieniądze chował do pudełek z butami na zapleczu. Teraz opróżniali te pudełka wysypując pieniądze na stół. Następowo było pełne zadowolenia liczenie, układania według nominałów i znów chowanie do skrytek. Zwykle tego już nie doczekałem, zasypiałem przesycony wrażeniami całego dnia. Utargi były na pewno dobre, bo rodzicom humory dopisywały i nie czuli się tą uciążliwą pracą zmęczeni.

I tak nadszedł Wielki Tydzień. Jeszcze w Niedzielę Palmową w sklepie był ruch jak w dniu powszednim - w tę niedzielę sklepom wolno było handlować. Od poniedziałku ruch zmniejszył się znacznie, do 1/3 tego co było w ubiegłym tygodniu. Widocznie ludzie już kupowali zaplanowane na święta zakupy ubraniowe i przeczucili się na zakupy żywnościowe oraz przygotowywanie świąt. Nie było już tłoku i tej nerwowej bieganiny więc rodzice mogli na zmianę wychodzić ze sklepu - mama do zajęć domowych (trzeba było przecież szykować święta), a ojciec załatwiał sprawy na mieście lub rozliczał na zapleczu pracowników wypłacając im zarobione pieniądze już na początku tygodnia, a nie jak zwykle w sobotę - żeby i oni mogli wcześniej dokonać świątecznych zakupów. W Wielki Czwartek mama wstała o 5 rano i w wielkiej miednicy zarabiała ciasto, które według przepisu musiało być wyrabiane przynajmniej 3 godziny. Po wyrobieniu ciasto w miednicy przykrywane było kocem, żeby się nie „przeziębiło”, i dojrzewało do popołudnia. Gdy już ciasto „urozło” wylewając się z miednicy mama przekładała go do brytfann, posypywała kruszonką. Tak przygotowane brytfanny z ciastem zanosiliśmy do piekarza, który miał piekarnię w sąsiednim podwórzu. Brytfann było siedem. Wieczorem, po przyniesieniu upieczzonego na piękny brązowo-czerwony kolor ciasta, mieszkanie i sklep wypełniło się miłym zapachem świeżego świątecznego ciasta. I to był pierwszy znak zbliżających się świąt. W Wielki Piątek w sklepie już rzadko pojawiali się klienci, za to w domu był duży ruch. Mama pełną parą przystąpiła do przygotowań świątecznych. W naszej kuchence w podwórzu gotowała się w wielkim wysokim garnku - żelaźniaku ośmiokilowa szynka, która napełniała kuchnię miłym zapachem gotowanej wędzonki. Szynkę tę kupowaliśmy w środę u znajomego rzeźnika. Piszę „kupowaliśmy”, bo ojciec idąc po ten zakup zabrał mnie i Marynię ze sobą, żeby nam zrobić przyjemność. Rzeźnik zaprowadził nas na zaplecze do dużej komory, której sufit położony był na grubych belkach ułożonych równolegle blisko siebie. Do tych belek przymocowane były metalowe haki, a na nich wisiały wędzone szynki i boczek. Cały sufit był ustro-

jony rzędami zwisających szynek i boczków. Byłem tym widokiem zaszokowany. Rzeźnik z długim kijem w ręku, zakończonym haczykiem, wskazywał ojcu szynki. Gdy się któraś ojcu podobała zdejmował ją za pomocą kija i kładł na stojący w rogu komory stół z blatem wyłożonym blachą. Ojciec wybrał cztery szynki i na stole dokonywano szczegółowego ich przeglądu. Po radzie z rzeźnikiem ojciec wybrał jedną, ośmiokilową, która miała grubą warstwę tłuszczu - bo takie ojciec lubił. Transakcji dokonano, ojciec za szynkę zapłacił, a rzeźnik obiecał ją dostarczyć na jutro, czyli na czwartek. Ta ceremonia zakupu utkwiła mi w pamięci, bo widok tak wielkiej ilości szynek wiszących pod sufitem po prostu mnie zaszokował. Szynka gotować się musiała długo. Według przepisu na każdy kilogram szynki to godzina gotowania. Nasza szynka ważyła 8 kg więc musiała się gotować osiem godzin na wolnym ogniu, po czym musiała wystygnąć w garnku i dopiero po ostudzeniu można ją było wyjąć z wody. Na tej wodzie po świętach gotowany był pyszny barszcz, pachnący wędzoną szynką. W międzyczasie mama ugotowała jajka, z których miałem zrobić pisanki. Nie wyszło mi to malowanie, bo nie umiałem dobrze nakładać stopionego wosku patykami na jajka. Trzeba było te jajka zabarwić przez gotowanie w łupinach cebulowych.

W piątek rano ojciec namawiał mnie do suszenia, tj. do nie przyjmowania pokarmów i nie picia wody przez cały dzień, by w ten sposób złożyć Bogu ofiarę. Opowiadał przy tym jak to on w młodych latach każdy Wielki Piątek suszył. Przekonało mnie to i zachęciło. I tak obaj postanowiliśmy suszyć. Ja swój post ofiarowałem Matce Bożej. Przed południem, przez uchylone drzwi do zaplecza sklepu zauważyłem, że ojciec coś skrycie podjada. Okazało się, że ojciec po cichu kupił sobie szprotki i je sobie zajada. Poczulem się wystrychnięty na dudka, nie wytrzymałem i wygarnąłem ojcu jego nielojalność. Ojciec się głupio tłumaczył, a ja przestałem wierzyć w te bajki o jego suszeniu. Ale i mnie trudno było bez jedzenia tak długo wytrzymać. Wytrzymałem do kolacji. Mama szykując kolację namawiała mnie do jej zjedzenia, że jestem za młody na takie posty. Rzeczywiście, czułem się bardzo słabo, nogi mi nie chciały chodzić i zrobiłem się z głodu ociężały, więc uległem namowom mamy i zjadłem kolację. Po jej zjedzeniu miałem jednak wyrzuty sumienia, poczułem się winny niedotrzymania Matce Bożej obietnicy. Postanowiłem na przyszłość w dni szczególne, takie jak Popielec czy Wielki Piątek, suszyć, ale tylko do wieczora, żeby nie narazić się niedotrzymanie Matce Bożej obietnicy.

W Wielką Sobotę było już świątecznie. Klienci w sklepie prawie się nie pokazywali, więc mieliśmy spokój. Wielka Sobota była także dniem postu przez większość dotrzymywanym. W naszej rodzinie była inna tradycja. Ojciec był przekonany, że post obowiązuje w tę sobotę tylko do poświęcenia świątecznych jajek. Po ich poświęceniu post u nas nie obowiązywał. Naturalnie to przekonanie to był zwyczajny

wybieg, żeby uspokoić własne sumienie. Ale ta tradycja weszła do naszej rodziny na stałe. By „uwolnić się” od postu mama już z rana przygotowała koszyk ze święconym i wysłała mnie z siostrą Marynią do kościoła go poświęcić. Marynia dumnie niosła duży koszyk z wiktuałami, ozdobiony gałązkami bukszpanu i nakryty białą serwetką. Mama do koszyka włożyła parę gotowanych jajek, sól, pieprz, kawałek chleba, pół babki drożdżowej, kawał kielbasy, kawałek jakiejś pieczeni, no i baranka z cukru. Wtedy wierzono, że duża różnorodność potraw podanych do święcenia zapewni rodzinie dostatek przez cały rok. W kościele położyliśmy koszyk na specjalnie przygotowanym stole przykrytym białym obrusem, na którym stało już kilkanaście podobnych koszyków. Ksiądz wychodził do święcenia co pół godziny, więc musieliśmy poczekać kilkanaście minut. Nie było to uciążliwe, bo w międzyczasie obejrzeliliśmy sobie Grób Pański. Wreszcie zjawił się ksiądz. Pomodlił się chwilę i poświęcił ustawione na stole koszyki. Po poświęceniu zabraliśmy swój koszyk, wrzuciliśmy na leżącą na stole tacę 50 groszy, które nam mama dała, i zadowoleni ze spełnionego obowiązku wróciliśmy do domu. Oficjalnie dla nas z tą chwilą post się skończył. Ojciec mógł już bez przeszkód moralnych zajadać się wędliną. Czekał niecierpliwie na nasze przyjście, ponieważ przygotowywał się już do częstowania gości, którzy w tym dniu przychodzili złożyć ojcu świąteczne życzenia. Na zapleczu, na nakrytym stole, były już przygotowane nakrycia, kieliszki no i wódka z zakąską. Ojciec mógł już zacząć swe „urzędowanie” z gośćmi. Dla ojca był to ciężki dzień. Goście z życzeniami przychodzili pojedynczo w ciągu całego popołudnia. Ojciec z każdym wypijał kieliszek lub dwa wódki, więc już około południa był już dobrze wstawiony i nie nadawał się do żadnej pracy, ani w sklepie ani w domu. Mama nie znosiła tego zwyczaju częstowania gości wódką i głośno wyrażała swoje niezadowolenie, zresztą bezskutecznie.

Z tegorocznych świąt prawie nic nie pamiętam. Przypominam sobie tylko śniadanie, na którym poza nami był tylko dziadek i na którym, jako najatrakcyjniejsze danie, była podana odsmażana kaszanka. Taka specjalna, robiona tylko na święta przez zaprzyjaźnionego z ojcem rzeźnika Kalickiego, słynącego w Radomsku z wybornych wyrobów wędliniarskich. Jedną z cech tej kaszanki było to, że robiona była w specjalnym flaku, który dawał się odsmażać na krucho i był znacznie grubszy niż zwykły i dał się zjadać ze smakiem. A sposób wyrobu tej świątecznej kaszanki był tajemnicą mistrza. Mama, przygotowując tę kaszankę na śniadanie, wysmażyła najpierw słoninę pokrojoną w podłużne plasterki. Po wysmażeniu jej oddzieliła chrupiące skwarki, a na tłuszczu odsmażyła pokrojoną w grube plastry kaszankę. Smażyła z obu stron, a nawet podsmażała boki plastrów układając je „na sztorc” na patelni. Smażyła tak, żeby plastry się nie rozsypały. Po usmażeniu plasterki były „chrupiące”, miały z zewnątrz twardą przypieczoną „skórkę”, a wewnątrz plasterków kaszan-

ka była miękka. Po nałożeniu porcji na talerz mama obsypywała plasterki kaszanki wysmażonymi uprzednio długimi chrupiącymi skwarkami. To danie było pyszne, „miód w gębie”. Ono smakowało nam najbardziej ze wszystkich potraw przygotowanych na święta. Ta odsmażana kaszanka od Kalickiego była „bombowym” daniem świątecznym, podawanym także w Boże Narodzenie. Ostatni raz przysmak ten jedliśmy na Wielkanoc w 1939 r. Dziś nawet smaku tej kaszanki nie pamiętam.

Zapamiętałem z tego roku jeden z incydentów świątecznych. W drugi dzień świąt byliśmy zaproszeni na obiad do dziadka i cioci Reli (siostry mamy), mieszkającej z dziadkiem. Na śniadanie tego dnia przyszli do nas niespodzianie rodzinni goście złożyć życzenia. Wtedy był zwyczaj przychodzenia w święta bez zaproszeń. Gości trzeba było przyjąć śniadaniem. Długo jednak marudzili ociągając się z wyjściem, chyba liczyli i na obiad, ale rodzice dali im do zrozumienia, że jesteśmy zaproszeni na obiad do rodziny. Pomarudzili jeszcze trochę i wreszcie sobie poszli. Byliśmy już spóźnieni, więc ubraliśmy się szybko i wyszliśmy z domu. Wychodząc z bramy spotkaliśmy rozbawioną ciocię Cesię, drugą siostrę mamy, z mężem, którzy przyszli do nas też z życzeniami. Choć wiedzieli, że wychodzimy i rodzice nawet wspomnieli, że jesteśmy zaproszeni, upierali się, że wstąpią tylko na krótko i nie zabawią długo. Rodzice nie mieli wyboru i wróciliśmy do domu. Ponieważ nie było przygotowanego obiadu goście posiedzieli przy zakąskach do wieczora, co jakiś czas wspominając, że muszą zaraz wyjść. Zepsuli nam humory na kilka dni. Rodzice przez parę dni nieprzychylnie komentowali ich postępek. A ciocia Reli parę tygodni była obrażona, że nie przyszliśmy do niej jak zapraszała. I ja byłem niepocieszony, bo miałem nadzieję na podwórzu dziadka spotkać się z moimi kolegami, z którymi się przyjaźniłem. Do dziś dziwię się, że goście ci nie mieli taktu, ale też dziwię się ojcu, że nie splawił ich grzecznie, choćby zapraszając na inny dzień. Ale takie były obyczaje.

Dwa tygodnie po Wielkiej Nocy zachorowała mama. Miała silne bóle brzucha i bardzo obfite, krwawe i bolesne upławy. Była blada i bardzo osłabiona. Ojciec wezwał lekarza, doktora Oczkowskiego, który był dobrym chirurgiem i zarazem lekarzem chorób kobiecych. Dr Oczkowski wyprosił wszystkich z pokoju i zbadał mamę, jednocześnie wypytyjąc o przebieg choroby, jej objawy i czas trwania tych dolegliwości. Po zbadaniu mamy lekarz porozmawiał osobno z ojcem. Udało mi się tę rozmowę podsłuchać. Mówił, że sprawa jest poważna, choroba jest zaniedbana, ale jest jeszcze szansa na jej zupełne wyleczenie, choć chyba nie obejdzie się bez operacji. Zalecił używanie przepisanych leków i jak mama dojdzie do siebie i się wzmocni, kazał się zgłosić mamie do niego do szpitala na dokładne zbadanie i rozpoczęcie właściwego leczenia. I że jest to sprawa pilna, nie można jej lekceważyć. I coś jeszcze rozmawiali, ale zupełnie po cichu i tego już nie udało mi się podsłuchać. Po tej rozmowie ojciec wyglądał na bardzo zmartwionego. Okazało się, że ta

choroba trwa od bardzo dawna, silne krwawienia mamy powtarzały się regularnie od kilku lat, choć nie były tak osłabiające i bolesne jak obecnie. Nie były to normalne krwawienia miesięczkowe, były bardziej obfite i bolesne. Zauważyłem od dawna, że mama sypia na grubym piernacie położonym dodatkowo na materac i że często piernat i pościel są bardzo zakrwawione. Gdy kiedyś zajrzałem pod pierzynę to się prze-raziłem. Wszystko było we krwi. Trwało to parę lat. Do dziś nie mogę zrozumieć dlaczego ojciec nie zabrał mamy wcześniej do lekarza i nie zmusił jej do poddania się leczeniu. Wiem, że w owych czasach chodzenie do lekarza chorób kobiecych było krępujące i w ogóle ludzie bali się chodzenia do lekarzy. Mama po prostu bała się tych badań i wstydziła się im poddać. Ale ojciec, starszy i rozsądniejszy, powinien tę sprawę wziąć w swoje ręce. Po paru dniach leżenia w łóżku i zażywania leków przepisanych przez lekarza mama poczuła się lepiej. Co dzień do mamy przychodziła jej najmłodsza siostra Rysia. Przez parę godzin była przy mamie i zarządzała trochę domem, pilnując by służąca gotowała nam posiłki, a przede wszystkim obsługiwała mamę. Dwa razy dziennie odbywało się mycie mamy, w którym cioci Rysi pomagał ojciec. Mnie i Marynię na ten czas wypraszano na dwór. A mama, słaba i zmęczona, całe dni przesyiała. Myślę, że ten sen postawił ją na nogi, bo po paru dniach tego ciągłego spania mama poczuła się lepiej, zaczęły wracać siły, krwawienia ustały i nawet po trochu mama zaczęła wstawać z łóżka. Jeszcze po 3-4 dniach polegiwania w czasie dnia. Kiedy zaczęły wracać jej siły mama stwierdziła, że jej już wszystko przeszło i wróciła do normalnych zajęć. Ale błada i osłabiona była jeszcze parę tygodni. Jak wszystko wróciło do normy to oboje z ojcem zapomnieli o leczeniu, zapomnieli o badaniach szpitalnych, na które miała się zgłosić i wszystko rozeszło się po kościach. Wszystko, ale nie choroba. Krwawienia, choć znacznie mniejsze, zdarzały się regularnie. Po trzech latach zdarzył się podobny przypadek. Teraz interweniowała starsza siostra Kazia. Namawiała mamę do pójścia do lekarza i poddania się operacji. Z podsłuchanych rozmów między siostrami dowiedziałem się, że to wszystko co mamę spotkało było skutkiem wadliwie przeprowadzonej skrobanki przez akuszerkę, która przy tym zabiegu coś mamie uszkodziła. Ciocia Kazia wyznała, że sama miała podobną historię po źle przeprowadzonej skrobance i że w porę poddała się operacji, wycięli jej wszystko i teraz od kilku lat ma spokój. Co to znaczyło „wszystko” wtedy nie rozumiałem. Ciocia Kazia przekonała mamę do operacji. Już nawet rozmawiali z ojcem o terminie jej przeprowadzenia, żeby nie było w sezonie handlowym. Do dziś nie rozumiem dlaczego ta operacja nie doszła do skutku. A zaniedbanie to doprowadziło do rozwinięcia się raka, no i chyba rozdzwięku w małżeństwie nie mogącym normalnie współżyć ze sobą (co stwierdziłem dopiero gdy byłem dorosłym, żonatym mężczyzną). I tak rozwinął się rak, który przeżarł wszystkie wnętrzości. Gdy przyszło do operacji (jesienią 1951 r.) lekarze



otworzyli jamę brzuszną, ale gdy zobaczyli tam wszystkie organy przeżarte, zaszyli mamę z powrotem nic nie usuwając. Nie mogli już nic pomóc. Profesor, który mamę operował był jednocześnie wykładowcą mojej siostry, która wtedy u niego studiowała. Powiedział siostrze: *módlcie się by wasza mama nie przeżyła tej operacji, bo i tak będzie żyła najwyżej 3-4 miesiące, ale będzie strasznie cierpieć*. Bóg mamie oszczędził cierpień. Nie przeżyła. Zmarła mając 43 lata.

Wybiegłem trochę za daleko w przyszłość. Wracajmy do roku 1934. Jeszcze w czasie choroby mamy zmarł ojciec Anielki, mojej bliskiej koleżanki mieszkającej na sąsiednim podwórku w suterynie. Śmierć jej ojca przeżyłem boleśnie. Przecież Anielka była moją sympatią. Poszedłem, jak każe zwyczaj, pożegnać zmarłego. Bałem się iść sam, zabrałem więc Heńka mieszkającego na tym samym podwórku. Obok schodów prowadzących do sutereny, gdzie mieszkał zmarły, stało wieko trumny oparte o ścianę domu. Zgodnie ze zwyczajem, gdy zmarły był w domu, wieko trumny wystawiało się na zewnątrz mieszkania zawiadamiając tym o śmierci w rodzinie, a znajomi i sąsiedzi mieli obowiązek odwiedzić takie mieszkanie żegnając zmarłego. Zeszliśmy po stromych schodach do ciemnej izby, oświetlonej dwoma niewielkimi okienkami umieszczonymi pod sufitem, prawie nie dającymi światła. Z sufitu padały krople rosy rozbijające się o kamienną podłogę. Na stole pod ścianą stała trumna z leżącym nieboszczykiem. Trumna ubrana była gałązkami świerku. Zauważyłem, że nie było żadnego kwiatka. Dwie migające żółtym płomieniem gromnice oświetlały trochę twarz zmarłego. Widziałem woskowatą, przeraźliwie chudą twarz, wystające kości policzkowe i szpiczasty nos na tle ogromnych (jak mi się wydawało) wąsów. Był to niesamowity widok. Nieruchomej, zastygłej twarzy grozy dodawały cienie od poblasku migocących po obu stronach trumny świec. Nie zauważyłem ani Anielki ani Władki - córek zmarłego. Było tam jeszcze kilka osób i słychać było głuchy szept modlitw. Żona zmarłego, patrząca nieprzytomnym wzrokiem, robiła wrażenie chodzącego automatu. Zrobiło mi się niedobrze. Najbardziej przeszkadzał mi ten nieprzyjemny zapach unoszący się w mieszkaniu. Był to zapach wilgoci, stęchlizny, palonych świec i gałęzi świerkowych, czyli trupi zapach, jak mówili ludzie. Uciekliśmy z Heńkiem przestraszeni tym co oglądaliśmy.

Przez parę tygodni nie widziałem Anielki. Gdy się spotkaliśmy jeszcze płakała na wspomnienie ojca, którego bardzo kochała. Była bardzo wymizerowana. Potem już jej nie zobaczyłem. Zmarła parę tygodni po śmierci ojca, na dyfteryt Kruppa, który ją zadusił. Nie poszedłem jej zobaczyć, nie chciałem jej widzieć zmarłej. Tylko Marynia poszła pożegnać swą starszą koleżankę. I tak pożegnałem się z pierwszą moją dziewczyną, której jako 8-letni chłopiec obiecałem małżeństwo. Parę tygodni później matkę Anieli z jej siostrą Władką komornik wyeksmitował z tej nędznej suteryny wyeksmitował na bruk.

W połowie kwietnia ruszyły całą parą roboty ziemno-drogowe na rynku. Rynek zaroił się od kręcących się tu robotników, kopiących rowy, zrywających bruk nawierzchni i zwożących zwały piasku, którym podwyższano poziom istniejących jezdni. Znow pojawiły się sterty kostek nawierzchniowych przygotowanych do układania jezdni. Obrzeża placu zostały zryte wykopami przygotowanymi do układania dużych betonowych drenów kanalizacyjnych. Dreny te już zwożono i układano na placu. Było to dla nas bardzo atrakcyjne miejsce zabaw. Rury były duże, w takiej można było się zmieścić siedząc w niej w kucki. Świetne miejsca do zabaw w chowanego. Po zimowym uśpieniu rynek zatętnił nowym życiem. Znow zrobiło się tu gwarno i tłoczno, bo i gapiów chętnych do oglądania prowadzonych robót było wielu. A dla nas dzieci to prawdziwy raj. I ileż kopców piachu, po których można było się wspinać, ileż stert ułożonej kostki, stert kamieni z zerwanego bruku, dren porzucanych po całym placu. Ileż możliwości do zabaw i w podchody i w chowanego. My dzieci mogliśmy się bawić dopiero po południu, po powrocie ze szkoły. Ale za to mieliśmy do dyspozycji plac opustoszały. Robotników o tej porze już nie było i gapie też zaglądali wtedy rzadko. Toteż mieliśmy nie lada używanie.

Na rynku w pierwszym rzędzie pracowano nad poszerzeniem i podwyższeniem jezdni wokół rynku. Zerwano z jezdni stary bruk, poszerzono je znacznie, podwyższono grubą warstwą naniesionego piachu, obudowano z obu stron krawężnikami, wtedy je nazywano burtnikami, i zaczęto je wykładać betonową kostką. Po obu stronach jezdni układano nowe chodniki dla pieszych, które wtedy nazywano trotuarami. Do tej pory chodniki były wyłożone płytami i odgraniczone od jezdni krawężnikami ułożone były tylko po jednej stronie jezdni, od strony budynków. Druga strona jezdni ograniczona była płytkim brukowanym rynsztokiem, a dalej w głąb ciągnął się już zabrukowany teren placu. Przy okazji prac remontowych na rynku zniwelowano nierówności placu. Do tej pory teren rynku od jego ściany zachodniej wznosił się łagodnie w kierunku wschodnim, by w 3/4 długości wznieść się znacznie nad pozostałe. Stromizna była tak duża, że zimą wykorzystywaliśmy ją do zjeżdżania na sankach. Teraz zniwelowano trochę stromiznę obniżając chodnik ułożony przy budynkach tak, że do sklepów w tych budynkach trzeba było teraz wchodzić po schodkach. Część niższą stromizny oraz przylegającą do niej jezdnię podwyższono, pokrywając ją grubą warstwą piachu. Po tej operacji bardzo wygląd całego placu zyskał, zniknęła niewygodna stromizna a jezdnia i chodniki stały się wygodniejsze.

Przy okazji tych robót zetknąłem się pierwszy raz ze zjawiskiem niepokojów społecznych. Przy tej budowie, poza nielicznymi fachowcami, zatrudnieni byli bezrobotni - w ramach walki z bezrobociem, w ramach tzw. robót publicznych. Nie byli to, co można było zaobserwować, ludzie rwący się do pracy. Byli mało wydajni, a więc nie byli zbyt dobrze opłacani, choć panowała opinia, że za ich pracę i tak byli

dobrze opłacani. Ludzie ci często przerywali pracę, zbierali się w grupy i prowadzili stale jakieś narady, po których wysyłali do burmistrza petycje z żądaniem podwyżki płac. W kwietniu nawet dwa razy zastrajkowali przerywając na cały dzień pracę. Gromadzili się pod magistratem, który mieścił się na rogu rynku i wykrzykiwali groźnie jakieś hasła. Czasem śpiewali „Międzynarodówkę”. Gdy się burmistrz zdenerwował kazał policji rozpędzić bractwo. Wyszło kilku policjantów z pałkami a na ich widok grupa sama się rozchodziła, i tak kończyły się na razie te strajki. Ci strajkujący nie cieszyli się sympatią mieszkańców, wszyscy widzieli ich obijanie się. Nazywali ich nierobami mającymi dwie lewe ręce. W większości byli to ludzie z marginesu, wieczni bezrobotni, nie bardzo szukający pracy. W maju doszło nawet do większych awantur i obrzucania policji kamieniami wyrwanymi z bruku, a w sierpniu do uśmierzenia zamieszek musiał przyjechać „Golędzinów”, specjalna jednostka policji szkolona do rozpędzania demonstracji.

Miesiąc maj był okresem przygotowań do końca roku szkolnego, a więc miesiącem intensywnej nauki. Dla nas, czwartoklasistów, był okresem pierwszej komunii, do której przygotowywaliśmy się cały rok. Miesiąc ten zaczął się u nas wielką pierwszomajową manifestacją komunistów i socjalistów z wielkich radomszczańskich zakładów przemysłowych - „Metalurgii” i „Thoneta”, w których pracowało po kilka tysięcy ludzi. Pochód manifestacyjny, który przechodził przez ulice miasta liczył kilkaset ludzi. Wyglądał groźnie. Ludzie szli w milczeniu patrząc na otoczenie nieprzychylnym wzrokiem. Od czasu do czasu ktoś wznosił jakiś okrzyk w rodzaju: *precz z burżujami*, i cały tłum wtórował *precz!* Widziałem jak manifestanci przechodzili z ulicy Reymonta i wchodzili na rynek kierując się w stronę magistratu. Podobno mieli się zatrzymać przed magistratem i urządzić wiec, a potem mieli przejść z powrotem do swych zakładów ulicą Piotrkowską i Kościuszki. Przed magistratem z tłumu padły okrzyki: *precz z rządem*, *precz z kościołem*, okrzyki którym zawtórował chóralnie tłum. Na ten jakby sygnał z komisariatu policji, który mieścił się w budynku magistratu, wybiegła duża grupa policjantów i pałkami zaczęła rozpędzać pochód, aresztując bardziej krewkich manifestantów. Tłum po paru minutach się rozpierzchnął i rynek zrobił się pusty. Obserwowałem to wszystko początkowo z bliska, z samego rynku, ale gdy wybiegła policja na wszelki wypadek schowałem się do naszego sklepu, obserwując zajście przez szybę. Naturalnie nasza sympatia, jak większości mieszkańców, była po stronie policji *robiącej porządek z awanturnikami* policji, która przecież nie mogła spokojnie słuchać wywrotowych, antyrządowych i antyklerykalnych haseł wykrzykiwanych przez manifestantów. Tak, że z satysfakcją oglądaliśmy jak policja pałkami przywraca porządek i jak od czasu do czasu któryś z opiesziałych manifestantów, który nie zdążył w porę uciec, dostawał pałkami po plecach. I to było moje pierwsze spotkanie ze zdarzeniem ilustrującym w praktyce

ówczesną „walkę klas”, głoszoną przez komunistów. Na drugi dzień było co opowiadać w szkole na przerwach. Przecież byłem jednym z nielicznych uczniów, którzy mogli to wydarzenie obserwować z bliska. Przez cały dzień na przerwach miałem liczne grono ciekawych tych zajęć słuchaczy.

Jak zwykle w maju zacząłem się denerwować swoimi słabymi stopniami i zagrożeniem pozostania na drugi rok w tej samej klasie. To zdenerwowanie na razie przytłumione zostało bliskim przystąpieniem do pierwszej komunii. Pani Kryszczyńska, nasza katechetka, przepytывała nas już z wiadomości religijnych i z praktycznych przygotowań. Uczyła nas jak w praktyce do tej komunii przystąpić, jak odbyć spowiedź itp. Nawet dwa razy mieliśmy ćwiczenia praktyczne w kościele, przy konfesjonale. Przejmowałem się tym wszystkim bardzo nie będąc pewnym jak sobie dam radę. Bałem się, że stremowany pomylę się, że zrobię coś nie tak i narażę się na śmieszność, a tego bałem się najbardziej. Z wątpliwościami w tej materii nie miałem się do kogo zwrócić. Rodzice byli zbyt zajęci, by się takimi „drobiazgami” jak pierwsza komunika dziecka przejmować. Po sprawieniu mi komunijnego ubranka uważali, że na tym ich rola się skończyła. Z Tadzkiem nie chciałem na ten temat rozmawiać, bo i on nie miał czasu na takie rozmowy. Przecież trwał sezon i ruch w sklepie był zawsze duży.

Wreszcie nadszedł dzień spowiedzi. Ja, by o jakimś grzechu nie zapomnieć, wypisałem je wszystkie na kartce żeby użyć jej jako ściągki przy konfesjonale. Niestety przed wejściem do kościoła zacząłem ją przeglądać i wyrwał mi ją z ręki mój starszy brat stryjeczny, który z nami przystępował do tej spowiedzi. A do tego odczytał wszystko na głos, zawstydzając mnie okropnie. Pani Kryszczyńska zebrała naszą grupę i ustawiła nas po kilku przy konfesjonałach. Mnie trafił się ksiądz kanonik. Bardzo nieprzyjemny starszy pan, oschły, złośliwy, nie lubiący dzieci. Myślę, że spowiadanie nas uważał za nieprzyjemną i uciążliwą pańszczyznę. Podszedłem w wielkim strachu do konfesjonału, uklęknałem i .... zapomniałem jak tę spowiedź trzeba zacząć i zacząłem się jąkać. Ksiądz kanonik zdenerwował się, zaczął mi wymyślać i wyrzucił mnie spod konfesjonału. Przeraziłem się na dobre sądząc, że nie będę dopuszczony do komunii. Incydent ten zauważyła pani Kryszczyńska. Łagodnie uspokajając zaprowadziła do innego księdza, zakonnika z kościoła franciszkanów, ojca Hamielca<sup>1</sup>, bardzo miłego i lubiącego otaczać się dziećmi księdza. Ten kapłan, nie czekając na mój wstęp, zaczął ze mną przyjaźnie rozmawiać. Uspokoilem się, przestałem się bać i sam nie wiem jak skończyłem tę spowiedź. Szczęśliwy z tak łatwo odbytej spowiedzi, odszedłem od konfesjonału pomodlić się i podziękować za to Bogu przed ołtarzem. Tak nas uczyła nasza katechetka. Klęcząc przed ołtarzem

---

<sup>1</sup> Franciszkanin, o. Augustyn Hamielec (1888-1956).

wspominałem odbyłą spowiedź. Katechetka mówiła, że to będzie dla nas wielkie przeżycie - i spowiedź, i komunia. Po spowiedzi odczuwamy ulgę z pozbycia się grzechów, radość jak gdyby nam spadł ciężar z serca, że będziemy bliżej Boga i odczuwamy wyraźnie Jego obecność. Zdziwiłem się, że teraz nie odczuwam specjalnej radości, specjalnego uniesienia. Odczuwałem tylko zadowolenie i ulgę, że to wszystko mam za sobą, że już się nie muszę bać. I z tego powodu to mi ten kamień z serca rzeczywiście spadł. Ale nie czułem się bliżej Boga niż godzinę wcześniej. Nadal Bóg był dla mnie niedostępny, tajemniczy, nieznany i groźny. Może doznam czegoś po komunii? I z takimi myślami, trochę zawiedziony, wróciłem do domu.

Na drugi dzień, a był to dzień roboczy, wyznaczona była komunia. Mama rano ubrała mnie w granatowe ubranko i białą koszulę, dostałem do ręki grubą świecę-gromnicę i bez śniadania wyruszyłem na spotkanie pod kościół. Tutaj spotkali się wszyscy chłopcy z czwartych klas obu męskich szkół. Wszyscy w krótkich spodniach. Ustawiono nas w czwórki i ruszyliśmy do kościoła ze świecami w rękach. Towarzyszyła nam liczna grupa dorosłych, rodziców i opiekunów dzieci przystępujących do komunii. Należałem do bardzo nielicznych, którym nikt nie towarzyszył. W czasie mszy zapaliliśmy świece, które zgasiliśmy przy końcu nabożeństwa, a po jego zakończeniu przystępowaliśmy czwórkami do komunii. Podchodząc do balustrady przy ołtarzu zauważyłem, że tylko ja trzymam świecę w ręku, wszystkim chłopcom na czas komunii świece odebrali opiekunowie.



Ja nie miałem swojej komu oddać. Stałem bezradny, nie wiedząc co robić. Ulitowała się nade mną nasza sąsiadka, pani Kozłowska, matka mojego kolegi Heńka. Podeszła do mnie i zabrała mi tę nieszczęsną świecę. Odetchnąłem z ulgą i byłem jej za to wdzięczny. Po komunii rozbiegliśmy się wszyscy do domów na śniadanie. Uroczystości trwały dość długo, więc byliśmy porządnie głodni.

1934 r. Wiesław Jerzy Olczyk, pamiątkowe zdjęcie z I Komunii Świętej, wykonane 2 tygodnie po uroczystości. Widać też brudne kolana - szczególnie, na który mama nie zwróciła uwagi zabierając go do fotografa prosto z podwórka (fotografia z kolekcji Aliny Olczyk - córki autora)

W domu mama obejrzawszy mnie zobaczyła, że poszedłem do komunii z brudnymi kolanami i na przywitanie nawymyślała mi: *jakżeś ty mógł pójść do komunii z tak brudnymi kolanami?* A przecież to do obowiązków mamy należało sprawdzić czy jestem odpowiednio „wyszykowany”. Kazano mi przebrać się w zwykłe ubranie, dano śniadanie i więcej się mną nie interesowano. Nie było pytań jak się to wszystko odbyło, jak przeżyłem tę ważną przecież rodzinnie uroczystość. A ja miałem tyle do powiedzenia i opowiedzenia, ale nie miałem się z kim podzielić tymi wrażeniami. Wyszedłem na dwór. Na moim ani na sąsiednim podwórku nie było kolegów ani koleżanek, nie było więc komu opowiedzieć o przeżytych wrażeniach. Postanowiłem pójść do dziadka. Dziadek wysłuchał poważnie mego opowiadania, wypytał o całą uroczystość, spytał kto z rodziców był na mojej uroczystości. Pomiął milczeniem moją odpowiedź, że byłem sam. Dostałem od niego 20 groszy bym sobie kupił coś słodkiego dla uświęcenia tej uroczystości. A ja, zadowolony z tego że mogłem komuś opowiedzieć o swych przeżyciach, a jeszcze więcej z tych 20 groszy, powróciłem do domu. Po drodze kupiłem za 10 groszy małą chałwę, którą zjadłem natychmiast żeby nie dzielić się nią z nikim, a 10 groszy schowałem na później.

Dwa tygodnie po komunii rodzice przypomnieli sobie, że przecież nie mam z tej uroczystości pamiątkowego zdjęcia. Ponieważ nie wypadało nie mieć z takiego wydarzenia zdjęcia mama ubrała mnie w komunijny garniturek i poszedłem z ojcem do fotografa. Po zrobieniu zdjęć okazało się, że poszedłem do fotografii z brudnymi kolanami, bo wcześniej na ten szczegół mama nie zwróciła uwagi. I znów to ja byłem temu winien i znów spotkały mnie wymówki.

I tak się odbyła moje komunie. Najbardziej z tej ceremonii utkwiała mi w pamięci rozmowa z dziadkiem, brudne kolana i ta nieszczęsna świeca, z którą nie wiedziałem co robić. I został mi na całe życie uraz do księdza kanonika. Pozostało też trochę żalu, że nie doznałem zapowiadanych przez katechetkę wzniosłych przeżyć ani nie odczułem spotkania z Bogiem - ani po spowiedzi ani po komunii. Przeżyłem takie uczucia w tym kościele, ale dwa lata później.

Szybko zleciało te parę tygodni, które zostały do zakończenia roku szkolnego. Było dużo nerwów przed rozdaniem świadectw. Cały ten czas do końca zajęć szkolnych byłem w stresie bo mnie nauczyciele straszili, że zostanę na drugi rok w tej klasie. Przecież gdybym choć trochę czasu co dzień poświęcił na naukę nie przeżywałbym takiego strachu. Ale nie było siły, która by mnie do nauki zmusiła. Woląłem widocznie cierpieć te stresy i ciągłą obawę, że nauczyciele wykryją, że nie mam odrobionych lekcji i że spytają mnie z przerobionego materiału - a ja ani w ząb go nie znałem. Przez parę lat szkoły powszechnej ani razu nie usiadłem w domu do odrabiania lekcji czy do zajrzenia do książki by się cokolwiek nauczyć. Czasem domowe zadania odrabiałem przed lekcjami, przychodząc wcześniej do szkoły, lub na

przerwach lub po prostu na lekcji poprzedzającej tę, do której się przygotowywałem. Nie zawsze się to udawało i obrywałem wiele ocen niedostatecznych i to powodowało ciągle zagrożenie pozostania na drugi rok. Stąd też moje zdenerwowanie przy końcu roku szkolnego i pełne strachu oczekiwanie na cenzurę. Ciekawe, że rodzice nie wiedzieli że nigdy nie odrabiam lekcji lub może woleli nie wiedzieć. Przez te parę lat szkoły na wywiadówkach, które odbywały się co kwartał, byli może ze dwa razy. Co prawda nigdy ich nie informowałem o terminach wywiadówek, ale na kazaniu ksiądz to ogłaszał. Tego też woleli nie słyszeć.

Jakoś z roku na rok udawało mi się przechodzić do następnej klasy. W tym roku też mnie jakoś przepchnęli do piątej klasy. Na cenzurze, którą trzymałem w ręku, były dwie czwórki - z religii za regularne chodzenie do kościoła i z matematyki, którą lubiłem i dobrze rozwiązywałem zadania na klasówkach. Reszta same trójki - dostateczne, niektóre bardzo naciągane. Nawet z rysunków i gimnastyki też mi się poza „dostateczną” oceną nie udało wyjść. I teraz rodzice nie byli zachwyceni, gdy dałem im cenzurę do obejrzenia. Obyło się co prawda bez większych komentarzy. Mama wyraziła żal, że tak słabo się uczę. Ojciec skrzywił się tylko i poszedł do swych zajęć. Myślę, że byli zadowoleni, że choć tak słabo ale zdałem, nie zostawałem na drugi rok, bo to dopiero byłby dla nich wstyd. Nie było mi z tego powodu za wesoło w tych pierwszych dniach wakacji. Tadzio widząc to próbował mnie pocieszyć, że przecież będę mógł w przyszłym roku wszystko poprawić. I na tym się skończyło. Rodzice, zajęci sklepem gdyż sezon trwał, przestali się moimi „osiągnięciami” szkolnymi zajmować.

I tak zaczęły się dla mnie wakacje. Teraz mogłem znów częściej spotykać się z Tadzim. Ale te spotkania i nasze rozmowy były bardzo krótkie, bo sezonowy ruch w sklepie jeszcze trwał. Poza tym zawsze ktoś z rodziców był w sklepie i do swobodnych rozmów nie było okazji. Po paru dniach te możliwości wróciły. Sezon się skończył, część ludzi pojechała na urlopy - wywczasy, jak to się wtedy określało. A rolnicy, którzy stanowili większą część naszej klienteli, nie przyjeżdżali do miasta, byli zajęci pracami polowymi, gdyż był to okres żniw. Toteż klienci bardzo rzadko zaglądali do sklepu. Wtedy Tadzio przeważnie urzędował sam i już mogłem z nim do woli dyskutować. A mieliśmy zawsze dużo tematów do omówienia. Tylko z Tadzim mogłem szczerze porozmawiać, zwierzać się ze swych kłopotów czy radzić. Był on po prostu moim powiernikiem. A Tadzio, będąc samotnym, też o wielu sprawach nie miał się do kogo zwracać, więc zwierzał się mnie - ze swych kłopotów czy ze swoich planów, a ja z konieczności byłem jego powiernikiem. I tak zostaliśmy przyjaciółmi i to na zawsze. Z wielkim smutkiem dowiedziałem się w połowie lipca, że Tadzio jesienią odchodzi na całe dwa lata do wojska. Dostał właśnie kartę powołania. Bardzo mnie to zmartwiło, długi czas chodziłem jak struty. Z kim ja teraz będę

mógł dzielić się swymi przeżyciami, kogo będę mógł się radzić, z kim szczerze porozmawiać? Ta wiadomość zepsuła mi całe wakacje. Tadzio też był zmartwiony. Utrzymał starą matkę i martwił się, co z nią będzie jak pójdzie na 2 lata do wojska?

Teraz, w wakacje, ożywiły się nasze podwórka. Wyległa na nie cała ucząca się młodzież. Teraz mogliśmy się ze sobą do woli spotykać. Znow zaczęły się wspólne zabawy, wspólne spacerunki po mieście, oraz - co było nowością - wspólne rozmowy, w których znaleźliśmy upodobanie. Siadaliśmy w jakimś kącie w kilka osób i potrafiliśmy tak przegadać czasem całe przedpołudnie. Dziś nie pamiętam o czym mogliśmy tyle gadać. W tym roku zaczęliśmy się wypuszczać na dalsze spacerunki - wyprawy poza rynek. Włączyliśmy się po dalszych ulicach oglądając wystawy sklepowe i zaglądając na obce podwórka. Zachodziliśmy nawet do parku bawić się nad stawem, co nam nawet przypadło do gustu. W tym roku poczułem jakąś większą sympatię do koleżanek, patrzyłem na nie z innym niż dotychczas zainteresowaniem. Lubiałem z nimi przebywać, bawić się z nimi w

ich zabawy, a jeszcze bardziej włączyć się z nimi po ulicach, po parku, no i po klatkach schodowych, szczególnie tych mało uczęszczanych. Z przyjemnością i zaciekawieniem patrzyłem na ich nogi, gdy w ferworze zabawy unosiły wysoko sukienki. Korzystałem z okazji by w czasie zabawy wziąć dziewczynę za rękę lub dotknąć się do niej ciałem. Sprawiało mi to przyjemność. Dziewczyny nie stroniły od takich kontaktów, nie miały takich dotknięć i „przypadkowych” zderzeń za złe. Wtedy nie wiedziałem, że to są pierwsze oznaki dojrzewania i że to zaczynają się odzywać hormony. A w sprawach damsko - męskich byłem wtedy zupełnie zielony, jak i moi rówieśnicy. Zacząłem się ciekawić jak zbudowana jest dziewczyna, jak wyglądają te „różnice”, którym one różnią się od nas. Nie wpadło mi do głowy, żeby to sprawdzić na mojej siostrze Maryni. Ale ona była jeszcze wielkim dzieckiem, miała dopiero 5 lat i nie nadawała się jako kumpel do zabawy. Półtora roku temu, gdy przesiadywaliśmy na klatkach schodowych, będąc z Wigdą i Haliną na podeście strychowym wpadłem na pomysł obejrzenia sobie tych „różnic” u koleżanek. Namówiłem je do obejrzenia sobie wzajemnie naszych „przyrodzeń”. dziewczyny, po krótkiej namowie,



Tadeusz Sokołowski w wojsku,  
1934 r. (fotografia z kolekcji Jerzego  
Sokołowskiego, syna Tadeusza)



zgodziły się na to. Same były też pewnie ciekawe, co ja „tam” mam. No i pooglądaliśmy sobie. Wpierw ja im zademonstrowałem swoje klejnoty, potem one zsunęły majtki. Przyjrzałem się wpierw Halinie. Zobaczyłem brudne majtki i to trochę ostudziło moją ciekawość. A gdy zobaczyłem jej przyrodzenie czerwone, zaparzone i ob-sikane - odrzucił mnie ten widok. Wtedy nie chciałem już oglądać. Na długo straciłem chęć oglądania tych widoków. I tak niefortunnie skończył się dla mnie na razie pierwszy kontakt z pcią piękną, zostawiając na całe półtora roku tylko niesmak. Teraz, w czasie zabaw wakacyjnych, odżyła we mnie ciekawość „tych” spraw. Postanowiłem powtórzyć eksperyment z którąś z dziewczyn. Z Haliną nie chciałem tego robić po poprzednim doświadczeniu, nie miałem na to ochoty. Wybrałem sobie Stasię, o rok starszą ode mnie, córkę naszego dozorca. Wmanewrowałem ją w zabawie na ten pusty podest strychowy i zaproponowałem jej obejrzenie siebie nawzajem bez majtek. Ta oburzona i przestraszona moją propozycją nazwała mnie świntuchem, uciekła z klatki schodowej i od tej pory nie chciała chodzić ze mną w ustronne miejsca. W międzyczasie, podczas naszych wieczornych spotkań samych chłopców, gdy rozmowa zeszła na tematy damsko-męskie (prowadzone zresztą w dziecinny sposób) któryś z kolegów stwierdził, że Żydówki mają przyrodzenie „na poprzek” - w co mu wszyscy uwierzyli. Ja byłem zawsze sceptykiem i nie we wszystko co mi mówiono wierzyłem i wydawało mi się że to, co o Żydówkach mówił kolega jest nieprawdą. Żałowałem, że wtedy gdy miałem okazję oglądać Wigdę nie przyjrzałem się jej dokładnie, choć wydawało mi się że miała wszystko normalnie. Postanowiłem to jeszcze raz sprawdzić. No i udało się. Znow przy okazji spacerów po klatkach odłączyłem się z Wigdą od grupy i zaprowadziłem ją na ten pusty podest na strychu. Tutaj spytałem czy to prawda, że Żydówki mają przyrodzenie „na poprzek”. Wyśmiała mnie i przypomniała, że „przecież mnie oglądałeś”. Zapewniła, że w niczym nie różni się od polskich dziewczyn. Chętnie zgodziła się to zademonstrować, ale pod warunkiem że i ja jej swoje „klejnoty” pokażę. I stwierdziłem, że nic nie ma na poprzek, ma „wszystko” normalnie. Do tego była czysta i bieliznę też miała czystą, tak że z przyjemnością sobie popatrzyłem a nawet podotykałem, czego mi nie bronila. I ona dokładnie obejrzała moje klejnoty. Nawet spytała czy może dotknąć je ręką. Gdy głaskała mnie, trochę zażenowana, czułem jakieś dziwnie przyjemne doznanie. A gdy wzięła mego fiutka w rękę i zacisnęła go w dłoni, było jeszcze przyjemniej. Ze zdziwieniem zauważyłem, że mój fiutek zwiększył swą objętość i zrobił się trochę twardszy, sztywniejszy. Choć to wszystko było bardzo przyjemne przestraszyłem się tym zjawiskiem myśląc, że to jest na trwałe. Ale po paru minutach fiutek wrócił do normalnego wyglądu i strach minął. A my jeszcze po tym cztery razy sprawdzaliśmy nasze różnice na tym podeście, już nie krępując się ich dotykaniem. No i oglądaliśmy je długo i dokładnie. Szkoda, że wtedy nie miałem pojęcia co mężczyzna w ta-

kim przypadku powinien robić z dziewczyną. Gdy na obowiązkowej szkolnej spowiedzi wyznałem księdzu ten „straszny” grzech, dostałem od niego porządną burę. Ksiądz straszył mnie ogniem piekielnym za takie bezeceństwa i kazał mi przeprosić Boga, żałować za grzechy i obiecać że już nigdy tego nie popełnię. Przestraszyłem się tym ogniem piekielnym. Boga przeprosiłem, ale żalu za grzechy nie mogłem z siebie wydobyć, a obietnica nie robienia tego więcej też mi jakoś nie bardzo szczerze wyszła. Na jakiś czas jednak odechciało mi się przeprowadzać te eksperymenty. Wigda była pewnie zdziwiona, gdy zacząłem jej unikać. Gdy udało mi się zagłuszyć wyrzuty sumienia i strach przed piekłem osłabł i gdy już wiedziałem co się z dziewczyną w takich wypadkach robi - postanowiłem to z Wigdą zrobić. Ale gdy wszystko było na dobrej drodze zmarł ojciec Wigdy, rodzina zlikwidowała pracownię krawiecką i wyprowadziła się z naszego podwórka. W międzyczasie wyprowadzili się też rodzice Haliny i straciłem z nią na parę lat kontakt. Wyprowadziła się też rodzina naszego dozorczy z córką Stasią. I tak zabrakło mi dziewczyn chętnych do takich eksperymentów. Potem już ze względów religijnych unikałem okazji do popełnienia tych grzechów.

Wakacje spędziłem podobnie jak poprzednie. Dostałem propozycję pojechać na obóz harcerski i bardzo się do tego zapaliłem. Ale rodzice nie dali się przekonać i nic z tego nie wyszło. Szkoda im było 12 złotych, które obóz kosztował i wydatków na jakieś wyposażenie dla mnie - koc, menażka, plecak itp. Trochę byłem rozżalony, ale mi przeszło. W te wakacje dziadek częściej mnie zabierał na jarmarki do okolicznych wiosek. Byłem w Pławnie, Żytnie, Sulmierzycach, Kleszczowie, a nawet w małym pobliskim miasteczku Brzeźnicy. Te wyjazdy zawsze były dla mnie atrakcją. Lubiłem i samą długą jazdę furmanką, a jechało się dwie godziny, czasem dłużej. Przysłuchiwałem się z przyjemnością rozmowom moich stryjów, którzy z dziadkiem jeździli ze swymi straganami na handel, a którzy całą drogę wesoło gawędzili opowiadając różne zabawne zdarzenia i śmieszne kawały. Po dotarciu na miejsce lubiłem pomagać w rozłożeniu kramów, a potem wmieszać się w gwarny tłum przekrzykujących się ludzi, podsłuchiwać ich rozmowy, przyglądać się wystawionym na straganach towarom i oddychać atmosferą targową. Nie fascynowało mnie to już tak jak w pierwszym roku, ale było przyjemnym przeżyciem.

Trzy razy byliśmy na Topiszu, nad Wartą, tradycyjnie konną furmanką i w zwiększonym rodzinnym składzie. Przeważnie z nami wybierał się wuj Henryk z żoną, ciocią Zosią. Czasem jechała z nami też ciocia Rela. No i nieodłączny pan Stefan, który był zawsze obecny na wszystkich uroczystościach naszej rodziny, prawie codziennym był naszym gościem. Przychodził przeważnie przed zamknięciem sklepu i często zostawał na kolacji. W tym roku na Topisz zabraliśmy też raz ciocię Rysię, najmłodszą siostrę mamy, z jej narzeczoną a późniejszym wujkiem Heńkiem. Ni-

gdy nie zabieraliśmy cioci Kazi i jej męża wujka Jaśka. Rodzice nie darzyli sympatią wujka Jaśka, bo uważał się za kogoś ważnego, był wyniosły i odpychający. Lekceważył rodzinę swej żony jako pochodzącą z „szewców”, a on uważał się za „urzędnika”, choć był zwykłym sprzedawcą pracującym w sklepie. I stąd ta niechęć do niego.

Wybiegłem poza temat, wracajmy nad rzekę. Po przyjeździe na miejsce, ojciec z wujkiem Henrykiem i furmanem, który nas przywiózł, wybierali dogodne miejsce - jakąś polanę czy łączkę blisko plaży. W tych miejscach las dochodził do samej rzeki i nasz wóz przyjeżdżał w to miejsce. Po wyładowaniu się osób i bagaży woźnica odprowadzał wóz w miejsce ocienione, a mama z siostrami rozkładała na trawie zastawę. Stół zastawiony został kocem przykrytym obrusem i na niego wykładano zabrane wiktuały. Był obficie zastawiony, bo mama zadbała o dobre zaopatrzenie. Zwykle piekła gęś lub schab, który na miejscu dzieliła na porcje. Zabierała też parę pęt kiełbasy i tradycyjną kaszankę, która jednak w plenerze nie cieszyła się powodzeniem. Było mnóstwo gotowanych jaj, a nawet marynowane grzyby. Zabieraliśmy zawsze 40-litrowy miedziany syfon z wodą sodową, parę litrów herbaty z cytryną, a ojciec zadbał o kilkanaście butelek piwa i parę półlitrówek wódki. Już wtedy zauważyłem, że dla dorosłych głównym punktem tej naszej wyprawy było objadanie się przywiezionymi wiktuałami i picie wódki. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że ich takie atrakcje jak las, rzeka czy kąpiel nie zajmują. Towarzystwo męskie cały dzień nie odchodziło od zastawionego jedzeniem koca. Opróżniali przywiezione butelki piwa i wódki nawet nie spoglądając na rzekę. Panie od czasu do czasu odchodziły od towarzystwa, zdejmowały tylko buty i pończochy, spacerowały po piaszczystej plaży, niekiedy wchodząc do pół łydek do rzeki. I to była cała ich kąpiel. A ja z Marynią mieliśmy używanie. Przebrani w kostiumy kąpielowe prawie nie wychodziliśmy z rzeki. Woda była ciepła i w naszym miejscu kąpeli nie była głęboka. Na dużej przestrzeni woda nie przekraczała głębokości pół metra, więc nawet Maryni sięgała tylko do pasa. Można było się bezpiecznie kąpać, bez stałego nadzoru rodziców. A woda wtedy była kryształowo czysta, dno piaszczyste, na dnie liczne małże, które wydobywaliśmy i dla zabawy rzucaliśmy się nimi. Przy brzegu rzeki poza plażą, w miejscach porośniętych tatarakiem, widać było od czasu do czasu spacerujące po dnie duże brązowe raki, których baliśmy się dotykać bo miały groźnie wyglądające szczypce. W rzece było mnóstwo małych rybek, które zbliżały się do nas, dotykały nasze łydki i gdy się nie poruszaliśmy muskały przyjemnie ciało. Czasem w pobliżu kęp tataraku czy krzaków wikliny przemknął cień dużej ryby, ale te większe ryby nie dały się podejść bliżej. I tak pluskając się w wodzie, płosząc małe rybki, bawiąc się małżami i zbierając ładniejsze kamyki z dna rzeki zapominaliśmy z Marynią nawet o jedzeniu. Mama musiała nas siłą wyciągać z wody, by dać nam coś do zjedzenia.



Rodzina letnia wyprawa na Topisz nad Wartą w 1934 r. Od lewej: Roman i Janina Olczyk (rodzice autora) oraz Henryk Wojasz z narzeczoną, Ryszardą Dorozińską, siostrą Janiny (fotografia z kolekcji Aliny Olczyk - córki autora)

Niekiedy przyszło nam opłacać boleśnie nieostrożne korzystanie z wody i słońca. Pamiętam, że po pierwszej takiej wycieczce, już w drodze powrotnej, nasze poparzone słońcem plecy boleśnie dawały znać o sobie. Nie pomogło smarowanie oparzeń oliwą, dwa dni ja i Marynia musieliśmy spać na brzuchach, a każde dotknięcie pleców, nawet przy zakładaniu koszuli, wywoływało piekący ból. Przez następne parę dni goiły się pęcherze i potem płatami schodziła skóra. Po pierwszym takim doświadczeniu byliśmy już ostrożniejsi, nie wystawialiśmy gołych pleców na dłuższe działanie słońca, a mama przed wyjściem na słońce smarowała nas kremem. Pomimo takich zdarzeń wycieczki na Topisz były dla nas wielką atrakcją. I to podwójną, bo nie tylko kąpiele w rzece ale i sama długa jazda furmanką była dla mnie i dla Maryni wielką przyjemnością. Żałowaliśmy, że te wyprawy były tak rzadkie. W ciągu wakacji wyjeżdżaliśmy 3-4 razy.

W międzyczasie roboty ziemne i drogowe prowadzone na rynku przesunęły się także na ulicę Krakowską, wychodzącą z południowo-wschodniego narożnika,

a prowadzącą na południe. Tę ulicę modernizowano na całej prawie długości, od rynku, przez całe śródmieście, aż do zakrętu prowadzącego drogę w stronę wsi Folwarki. Prawdopodobnie już wtedy były plany budowy nowoczesnej (na owe czasy) drogi łączącej Warszawę z Katowicami, przechodzącej przez Radomsko. Ta obecna modernizacja ulic była fragmentem robót przygotowujących miasto do wkomponowania tej drogi w jego infrastrukturę. Ulica Krakowska, tak jak rynek, wymagała znacznego podniesienia dla zniwelowania występujących nierówności poziomów. Żeby tego dokonać trzeba było przywieźć znaczne ilości piasku. Transport takich ilości piachu furmankami przedłużyłby znacznie czas modernizacji. Zbudowano więc kolejkę szynową od rynku, wzdłuż ulicy Krakowskiej do zakrętu w stronę Folwarków i dalej biegnącą prosto ulicą Stara Droga daleko poza miasto, w pola, gdzie wydobywano piasek. Położono wąskie tory na drewnianych podkładach. Po tych torach jeździły drewniane wózki-skrzynie popychane ręcznie przez kilku robotników, które przywoziły na miejsce całe góry piachu. No, teraz to mieliśmy używanie! Mogliśmy baraszkować nie tylko na rynku ale i na całej ulicy Krakowskiej. I na tej ulicy, od czasu uruchomienia kolejki, najczęściej przebywaliśmy. Przypatrywaliśmy się jak robotnicy pchają te wagoniki z piachem, jak je rozładowują. Pchało taki wagonik 3-4 ludzi, a jeden stał na wagoniku wspierając się o długą drewnianą belkę. Nie wiedzieliśmy dlaczego on tam stoi. Myśleliśmy, że to ich dowódca. Tak jak oficer jedzie na koniu przed oddziałem maszerujących żołnierzy, którymi dowodził i podobnie ten na wózku jest też dowódcą tych, którzy go pchają i jako „dowódcy” nie wypada mu pchać wózka. Okazało się, że ten człowiek na wózku to hamulcowy. Gdy wózek z ładunkiem rozpędzi się z góry i szybka jazda grozi wyskoczeniem wagonu z szyn, to ten hamulcowy naciska belkę. Belka była tak osadzona, że drugim końcem dociskała koła wagonu, które już nie mogły się swobodnie obracać i wagon hamował. Zauważyliśmy, że ulica Krakowska biegnąca od rynku poza miasto wznosi się do góry, więc robotnikom pchającym obciążony piachem wózek w stronę rynku było lżej, bo wózki jadą „z góry”. Z powrotem, pod górkę, pchają już puste wózki więc i tak mają lżej. Sami to wypróbowaliśmy pchając we trójkę pusty wózek. Robotnicy czasem pozwalali nam wsiąść do pustych wagoników i kawałek nas pchali fundując nam przyjemną przejażdżkę. Czasem też pozwalali nam samym pchać parę metrów pusty wózek. W trójkę świetnie dawaliśmy sobie radę i jak byliśmy z tego dumni!

Kiedyś chcieliśmy sprawdzić skąd ten piasek się wydobywa. Całą gromadą wybraliśmy się po południu, gdy ludzie przy budowie już nie pracowali i wagony nie chodziły. Poszliśmy torami ulicą Krakowską i Starą Drogą. Minęliśmy opłotki Radomska, Stara Droga się skończyła, zaczęły się łąki i pola, a my przed sobą widzieliśmy nie kończącą się linię torów. Szliśmy jeszcze pół godziny i gdy nie widzieliśmy

końca tego torowiska, które parę razy skręcało w różne strony, wróciliśmy do miasta. I już nie próbowaliśmy więcej zaspokoić naszej ciekawości. Prace nad modernizacją rynku i ulicy Krakowskiej rozpoczęły wiosną i zakończyły się jesienią 1935 r.

W wakacje byliśmy świadkami paru incydentów, które zdarzały się na placu budowy na rynku, wywoływanych przez pracujących tu robotników. Dwa, trzy razy w miesiącu następowały jakieś przerwy w pracy, strajki, które trwały parę godzin. Robotnicy przerywali pracę, zbierali się w grupę, ktoś coś do nich mówił, padały różne okrzyki i grupa ruszała pod magistrat. Tu znów trochę pokrzyczeli, postali i na tym przeważnie się kończyło. Bez interwencji policji. Niekiedy, gdy tłum się nie chciał rozejść, wychodziło 2-3 policjantów i na ich polecenie ludzie się rozchodzili.

W końcu sierpnia jednak doszło do większych awantur. Strajk trwał dwa czy trzy dni i manifestantów tym razem było znacznie więcej niż robotników pracujących na rynku. Manifestanci nie chcieli się rozchodzić i przybierali groźną postawę. Podobno grozili wybijaniem szyb i zdemolowaniem magistratu. Wtedy burmistrz wezwał na pomoc policję z warszawskiego Gołędzinowa. Oddział policji specjalizujący się w rozpędzaniu manifestacji, słynny z brutalnego sposobu działania. Ale o tym, że przyjadą nikt nie wiedział. Policja ta przyjechała w nocy, zakwaterowała się w remizie strażackiej mieszczącej się też w budynku magistrackim. Rano rozpoczęły się manifestacje, tłum znów ruszył pod magistrat. Teraz burmistrz pewny siebie wysłał urzędnika do rozmów z manifestantami. Naturalnie ich żądania płacowe zostały odrzucone. Padły więc z tłumy wrogie okrzyki. A gdy na wezwanie urzędnika do rozejścia się tłum odpowiedział rzucaniem kamieniami, wyszło kilku radomszczańskich policjantów dając powtórne polecenie rozejścia się. Gdy słowa nie pomagały policjanci zaczęli okładać pierwszych z brzegu pałkami i zabierać do aresztu. Tłum uznał to za prowokację i ruszył na policjantów. Wtedy zjawił się kilkudziesięcioosobowy oddział policji w hełmach i z karabinami, ustawiając się w dwa czy trzy rzędy między magistratem a tłumem. Na chwilę zrobiła się cisza, tego tłum się nie spodziewał. Dowódca tej jednostki objął „władzę”, rozkazał manifestantom rozejść się i dał na to kilka minut. Po tym czasie ruszyła tyraliera policji w tłum. Każdego napotkanego, który nie zdążył uciec bili kolbami tak, że ludzie padali. Tłum spychany w stronę rynku rozrzedził się, a właściwie uciekł. W ciągu paru minut na rynku wiadać było tylko policjantów goniących pojedyncze osoby, które jeszcze nie zdążyły uciec, i bili je kolbami karabinów. Było już po wszystkim. Całe zajście obserwowaliśmy z okien naszego sklepu położonego w rynku. Wtedy ojciec, mając jakąś pilną sprawę do załatwienia w swym drugim sklepie po drugiej stronie rynku, zdecydował że ponieważ jest już po awanturze, to wychodzi do tamtego sklepu. Mama mu odradzała, prosiła by jeszcze się z tym wyjściem wstrzymał, ale ojciec był uparty. Mama prosiła żeby chociaż założył kapelusz, zamiast czapki z daszkiem jakie nosili też ma-

nifestanci. Tak, żeby choć po kapeluszu można było odróżnić, że nie należy do manifestantów. I tu ojca poniosła pycha. Uważał, że cała policja w Radomsku go zna, że komisarz policji jest jego dobrym znajomym, więc nie może mu się nic przydarzyć. A może chciał się popisać odwagą? Wyszedł w tej czapce „opruchówce” ze sklepu kierując się na drugą stronę rynku. Ledwie zrobił kilkanaście kroków przekraczając jezdnię obok naszego sklepu, gdy podbiegło do niego dwóch gołędziaków i zaczęli go okładać kolbami nie pytając o nic. Nie mógł nawet uciec. Na szczęście dla niego zauważył go znajomy, radomszczański policjant, i przerwał tę egzekucję. Ojciec jak niepyszny, pobity, wystraszony, poniżony i zawstydzony wracał do sklepu odprowadzany przez tego znajomego policjanta. I tak się skończył jego popis odwagi. O tym zdarzeniu nie wolno nam było w domu wspominać i, jak pamiętam, nigdy o tym nie mówiliśmy. Gdy się ojciec żalił znajomemu komisarzowi, ten mu tylko powiedział, że to było na własne żądanie ojca, a policji podczas jej działania wobec tłumu nie wolno wchodzić w drogę. Policja wtedy nie dyskutuje tylko każdego napotkanego, który nie ucieka bije. I dodał *niech będzie to dla pana nauczka na przyszłość, bo do Radomska ten oddział policji jeszcze nie raz zawita*. Nie musiał przyjeżdżać, bo po tej pacyfikacji aresztowano prowodyrów, zwolniono większość pracujących przy budowie ludzi, przyjęto nowych i już nie było chętnych do organizowania strajków czy manifestacji. Była jeszcze manifestacja, ale tylko 1-majowa.

Jeszcze jedno zdarzenie, o którym warto wspomnieć, a które było związane z modernizacją rynku i miało miejsce przy końcu sierpnia. Przy budowie wschodniej jezdni rynku jezdnię parę metrów przesunięto na czas remontu, robiąc objazd żeby nie utrudniać prac remontowych i nie utrudniać jazdy na tej przelotowej trasie. W tym celu obniżono występy niwelując to wzniesienie, zdejmując dużą warstwę ziemi. Pewnego dnia ciężarówka jadąca po tej prowizorycznej jezdni zapadła się. Musiano ją wyciągać z dołu przy pomocy drugiej ciężarówki i kilkunastu ludzi. Zapadająca się ciężarówka odsłoniła sklepienie jakiś piwnic i fragmenty murów z cegły. Nie mogły to być normalne piwnice domowe, bo zapadnięcie było odległe od ścian pobliskich budynków o 30 metrów. Wielu ciekawskich przychodziło tę dziurę w jezdni oglądać. Zapadnięcie się ciężarówki i odsłonięcie jakiś lochów było w Radomsku dużym wydarzeniem, które komentowano kilkanaście dni. Ja też poszedłem tę dziurę obejrzeć. Widziałem łukowate sklepienie z cegieł, częściowo zawalone, kawałek obmurowanego lochu i jakiś kawałek pomieszczenia - wszystko zasypane gruzem. Wyrwę tę szybko zasypano, zrównano z ziemią, szybko położono nawierzchnię, a samą prowizoryczną jezdnię przesunięto w stronę rynku, dalej od ścian domów. I na tym się skończyło. Jakiś czas po tym w rozmowie ojca z dziadkiem i innymi zebranymi u nas osobami poruszono sprawę tej wyrwy w jezdni. Wtedy usłyszałem, że starsi radomszczanie twierdzili, że pod rynkiem znajdują się lochy zbu-

dowane kiedyś dla ochrony ludności w czasie napadów Tatarów. Lochy te miały mieć dwa wejścia: jedno - z narożnej kamieniczki od strony północnej rynku, która miała numer administracyjny 17, drugie - dwa domy dalej na południe, w kamieniczce pod numerem 15. Lochy te podobno miały dwa wyjścia: jedno w klasztorze ojców franciszkanów, odległego od rynku o 400 metrów, a drugie gdzieś nad dawnym korytem rzeki Warty, która wtedy przepływała przez Radomsko. Paręset lat temu, po jakiejś większej powodzi, rzeka zmieniła koryto oddalając się do Radomska o 5 kilometrów. Po wydarzeniu z zapadnięciem się ciężarówki burmistrz podobno kazał natychmiast zasypać wyrwę, żeby nie było żadnego śladu. Obawiał się, by nie dowiedzieli się o tym archeolodzy z Warszawy. Jak mówił rozkopią nam rynek i wstrzymają odbudowę na kilka lat.

Po zburzeniu tych kamieniczek w czasie bombardowania 2 września 1939 r. ruiny zostały rozebrane, gruz wywieziony, a gdy odbudowywano tę ścianę rynku to domy przesunięto 20 metrów dalej na wschód poszerzając rynek. I tak praktycznie do ewentualnych lochów już się nie będzie można dostać. Pozostały jako legenda. Pamiętam, że przy tej ścianie wschodniej rynku były jakieś 2 czy 3-piętrowe piwnice wysunięte przed ścianę budynków ponad 20 metrów, z wejściem z budynków. W tym miejscu, nad piwnicami, była duża stromizna, nie było jezdni, powierzchnia była zabrukowana i tutaj w dni targowe ustawiali swe kramy szewcy, krawcy, sprzedający odzież, czapnicy i sprzedawcy zabawek. Wtedy chodząc między kramami widziałem szereg małych zakratowanych otworów na zboczu tego wzgórzka. Otwory bez szyb były zakratowane metalowymi grubymi kratami, chyba żeliwnymi, bo były zabrudzone, czarne i bez śladu rdzy. Otwory były w kształcie wycinka koła, miały wysokość około 15 cm, a u podstawy miały około 40 cm długości. Osadzone prostopadle do powierzchni, w równym szeregu, oddalone od siebie około 50 cm, robiły wrażenie małych okiennych facjatek. Gdy wkładaliśmy do tych otworów kije długości 1,5 metra nie natrafialiśmy na przeszkody, za otworami była pustka. Z tych otworów, gdy się podeszło bliżej i przyłożyło do nich nos, pachniało stęchlizną, zgniłymi kartoflami i jeszcze jakimś dziwnym zapachem. Piszę tyle o tych otworach, bo one były dowodem, że około 20-30 metrów od domów były jakieś piwnice, w co nie wszyscy chcieli wierzyć. A że przez wtajemniczonych były używane świadczy fakt, że po zbombardowaniu tych domów, jeszcze przed rozbiórką, Niemcy opróżniali z piwnic znajdujących się w ruinach jakieś ukryte magazyny. Niektóre z towarów były liczone komisyjnie z udziałem urzędników niemieckich i przedstawicielei samorządu polskiego. Jeden z członków komisji opowiadał ojcu, że Niemcy odkryli te magazyny na drugim poziomie piwnic i że nowych butów komisja przyjęła 20 tys. par. Było to zawrotną ilością jak na Radomsko, które liczyło wtedy około 25 tys. mieszkańców. A mój ojciec mający największy sklep z obuwem (jakby się wydawa-



ło) w Radomsku miał na składzie około 2 000 par. Ten członek komisji przyjmującej twierdził, że ktoś Niemcom o tych magazynach doniósł. Ale kto? Przecież to były żydowskie magazyny, kupców którzy mieli sklepy w pobliskich budynkach, z których było wejście do tych piwnic. Jednym ze sklepów narożnego domu tej ściany był mały niepozorny sklep z obuwem, żydowskiego kupca Bluma. I do niego ten magazyn prawdopodobnie należał. O innych towarach wydobytych z tych piwnic nic nie doszło do naszej wiadomości. Chyba nie wszystkie magazyny Niemcy odkryli. To tyle co wiedzieliśmy o tamtych piwnicach.

Rodzinnym wydarzeniem wielkiej wagi było kupno przez rodziców placu budowlanego. Rodzice prowadzili ze sobą długie wieczorne rozmowy o tym, że stać nas już na własny domek. Już marzyli jaki on będzie i jak go urządzić. Początkowo miała to być mała willa jednorodzinna, paroiżbowa, murowana, z tarasem i z jednym lub dwoma pokojami na pięterku. Miał być ogródek z kwiatami, ale trochę większy i jeszcze większy sad owocowy.

Dom miał być zbudowany na przedmieściu, z dala od wścibskich sąsiadów i hałaśliwych śródmiejskich podwórek. Miał mieć duże weneckie okna, by do mieszkania przez cały dzień zaglądało słońce. W każdym pokoju miało być dużo kwiatów i zieleni w doniczkach, a nawet palma lub dwie. Nie będzie tego przykrego zapachu skór i butów, towarzyszącego nam przez całe życie. Podśluchiwałem te rozmowy z wypiekami na twarzy, z ciekawością i radością. Cieszyłem się wraz z rodzicami słysząc jak ten mały dwuizbowy drewniany domek z kwiatowym ogródkiem z mamy marzeń rozrasta się do kilkupokojowej murowanej willi, z pokojami na pięterku, z dużym ogrodem i sadem. Nawet przyśnił mi się kiedyś taki domek i piękne nasze mieszkanie. Nie mówiłem nic o tym, nawet rodzicom, żeby się nie zdradzić że podśluchiwałem ich nocne rozmowy. Po serii takich nocnych rozmów plac został kupiony. Obwieścili o tym nam rodzice po powrocie od rejenta, gdy już mieli prawo własności. Przedtem chcieli to utrzymać w tajemnicy. Nie tylko przed nami, ale przede wszystkim przed rodziną - już trochę zazdrosną z powodu dobrze prosperującego sklepu, i przed znajomymi. W najbliższą niedzielę mieliśmy całą czwórką iść obejrzeć tę naszą nową posiadłość i zaraz po kościele poszliśmy zobaczyć ten „nasz” plac. Rodzice nie powiedzieli nam gdzie się on znajduje, miała to być dla nas niespodzianka. Z kościoła skierowaliśmy się w ulicę Strzałkowską prowadzącą na cmentarz. Wiedząc o tym, że nasz domek ma stanąć na peryferiach, myślałem że będziemy szli gdzieś daleko za stary cmentarz. Minęliśmy skrzyżowanie z ulicą Długą, dzisiejszą Fabiańskiego, minęliśmy budynek szpitala znajdujący się po przeciwnej stronie. Doszliśmy do dużego, dwupiętrowego budynku, z długą oficyną usytuowaną wzdłuż podwórka, stojącą po lewej stronie, a więc po tej którą maszerowaliśmy. I tu niespodzianka. Ojciec otwiera furtkę wysokiego drewnianego płotu odgra-

dającego jakiś wielki plac i wchodzimy do tej posesji. Graniczy ona z tym wielkim budynkiem, o którym wspomniałem. 30 metrów od ulicy stoi drewniany dwuizbowy domek, a obok ziemianka piwniczna, a wokół dwa hektary pustego placu porośniętego wysoką trawą, a na nim kilkanaście rzadko stojących drzew owocowych i w dali rząd jakiś krzaków. Okazuje się, że część tego wielkiego placu przylegającego do opisanej oficyny, placu szerokości 25 metrów i długości 120 metrów, czyli 3 000 m<sup>2</sup> z drewnianym domkiem - to nasza własność. Nie bardzo byłem tym pustym placem zachwycony, ale podobało mi się że jest blisko rynku i blisko naszego mieszkania. Plac był oddalony od rynku około 300 metrów. Rodzice pochodzili sobie po tym zarośniętym trawą placu delektując się posiadaną własnością i wróciliśmy do domu. Przez parę następnych dni tematem naszych rozmów rodzinnych był ten plac. Okazuje się, że jego kupno to była korzystna okazja, że jest położony w dobrym punkcie miasta, że trzeba go będzie ogrodzić i jakoś zagospodarować, czyli coś na nim posadzić - jakieś kwiaty i drzewa owocowe. A za dwa lub trzy lata trzeba pomyśleć o budowie domu. Atmosfera w domu zrobiła się pogodniejsza, rodzice częściej rozmawiali ze sobą, nie kłócili się (co ostatnio dość często się przydarzało), częstsze pogodniejsze i dłuższe były ich nocne rozmowy. Ojciec, który sypiał zawsze ze mną a mama z Marynią, przeprowadził się prawie na stałe do łóżka mamy, by móc swobodniej i dłużej z nią gawędzić. A ja, pod presją tych rozmów i atmosfery domowej wywołanej kupnem placu i przymiarkami, na razie w dalekich planach budowy domu, też się tym naszym domem (już istniejącym w marzeniach) przejąłem.

Rodzice cieszyli się tym nabytkiem i stale podkreślali, że zrobili dobry interes tak tanio kupując ten plac. Gdy z ciekawości spytałem ojca, ile konkretnie kosztował ten plac - ojciec powiedział tylko, że niedrogo. Nie chciał wymienić sumy. Chyba dlatego, by się to za moim pośrednictwem nie rozniosło dalej. Jednak ciekawość moje została zaspokojona. W rozmowie z mamą ojciec wymienił sumę 4,5 zł za metr kwadratowy. Znając powierzchnię placu wyliczyłem, że to ich kosztowało około 10 000 złotych, czyli połowę sumy jaką w danej chwili był wart towar w naszym sklepie. Na owe czasy była to jednak bardzo duża suma. Okazało się, że na tę kwotę ojciec ma pokrycie. Znalazł właśnie kupca na swoje pole pod Folwarkami i sprzedał je po 1,5 zł za metr kwadratowy, czyli wziął około 9 000 zł. A więc nie dużo dopłacił do nabytego placu, a sklep nie poniósł na ten wydatek prawie żadnych kosztów. Teraz rozmowy rodziców obracały się wokół planów budowy domu i gromadzenia na ten cel pieniędzy.

A ja zacząłem częściej robić wyprawy na ten plac. W drewnianym domku na placu mieszkało małżeństwo z synem Mietkiem, który był w moim wieku. Z Mietkiem zaprzyjaźniłem się do razu i rozpoczęliśmy wspólne penetrowanie przyległych parceli i ogrodów. Duża połać tych nie zabudowanych jeszcze parceli i ogrodów nie

była ogrodzona, mogliśmy więc bez przeszkód wałęsać się po okolicy. Początkowo ciekawiła nas ta zabawa. Potem już spowszedniała i zaprzestaliśmy tych spacerów, a ja chętnie zostawałem sam. Zabierałem ze sobą papierowe wojsko, które sam malowałem i wycinałem. Na placu (łące) kopałem rowki imitujące okopy i w nich ustawiałem swoje papierowe wojsko i tak mogłem długie godziny bawić się w wojny, przeżywać w wyobraźni wielkie bitwy - przeważnie wojsk polskich z bolszewikami. Te zabawy były wtedy moją namiętnością, a ani w domu, ani na podwórku nie mogłem się tak bawić jak na naszej łące.

Przy końcu wakacji odwiedził nas daleki kuzyn ojca z Częstochowy, Zygmunt Olczyk. Nawet nie wiedzieliśmy, że mamy jakiegoś kuzyna w Częstochowie. Zygmunt Olczyk - przystojny mężczyzna, blondyn o czerwonej i wiecznie uśmiechniętej twarzy, wesołych a nawet chochlikowatych oczach, z gęsto pofalowaną czupryną zaczesaną do góry odsłaniając wysokie i inteligentne czoło - zrobił na nas od razu pozytywne wrażenie. Był 15 lat młodszy od mojego ojca. Miał wesołe usposobienie, był osobą otwartą, budzącą zaufanie, promieniał jakimś ciepłem. Potrafił natychmiast zjednać sobie sympatię naszej rodziny. Tadzio i ja też z miejsca go polubiliśmy. Okazało się, że pracuje w tej samej branży co ojciec, ma też jak ojciec dwa sklepy, jeden z obuwiem a drugi, który jest hurtownią i sklepem detalicznym ze skórami i dodatkami szewskimi. Ponieważ usłyszał o ojcu i naszym sklepie przyjechał poznać bliżej kuzyna i jego rodzinę oraz nawiązać jakieś kontakty – na razie towarzyskie a potem, jak Bóg da, to i handlowe. Był on patriotą i uważał, że powinniśmy rozwijać polski handel, żeby odebrać Żydom monopol w handlu. Uważał, że polscy kupcy w tym celu powinni się zjednoczyć, żeby działać we wspólnym froncie. Na ten temat wiele rozmawiali z ojcem przy kolacji, na którą został zaproszony. Przysłuchiwałem się tym rozmowom z wypiekami na twarzy. Pierwszy raz uczestniczyłem w było nie było politycznej rozmowie. Żywy udział w tej rozmowie brał Tadzio, który też został na kolacji. Miał te same poglądy co Zygmunt Olczyk. Żegnając się z nami gość zaprosił ojca do siebie do Częstochowy, żeby z nim omówić dalszą ewentualną współpracę i nawiązać handlowe kontakty. Prosił by ojciec przez parę dni przemyślał jego propozycje i ewentualnie podał swoje pomysły na wspólne działanie, bo warto to przedyskutować i wprowadzić w życie. Przez parę dni byliśmy pod wrażeniem tej wizyty, a ojciec z Tadzkiem długo dyskutowali nad wysuniętymi przez gościa problemami. Tadzio usilnie namawiał ojca do współpracy z tym kuzynem. Wspominam teraz tego kuzyna, bo pierwsze spotkanie z nim wywarło na mnie wielkie wrażenie. Wspominam także dlatego, że zaowocowało wielką współpracą, która trwała aż do wybuchu wojny i odegrała dużą rolę w życiu naszej rodziny. Te sprawy opiszę później.

Wreszcie skończyła się labia i zaczął się rok szkolny. Było jak zwykle uroczyste, z wymarszem czterech szkół za sztandarami do kościoła na mszę świętą, klasa za klasą, w czwórkach. Po powrocie z kościoła, po odprowadzeniu sztandarów i bardzo krótkiej mowie naszego kierownika szkoły, pod opieką wychowawców poszliśmy do naszych klas. Naszej klasie, V B, dostała się sala poza terenem szkoły. Dostaliśmy klasę mieszczącą się na początku budynku szkół, na jego froncie, dalej mieściły się dwie szkoły żeńskie i dopiero za nimi dwie szkoły męskie. Byliśmy więc jedyną klasą wydzieloną z obszaru naszej szkoły i stanowiliśmy jakby enklawę w gmachu szkół żeńskich. Miało to tę zaletę, że dostaliśmy dużą salę i drugą przyległą do niej - pustą, w której wieszaliśmy nasze palta i w której mogliśmy przebywać na przerwach, służyła nam jako korytarz. Z tego pomieszczenia rzadko korzystaliśmy. Woleliśmy na pauzach wybiegać na główne boisko szkoły i tam spotykać się z kolegami z innych klas.

Naszym wychowawcą został znów pan Strzelichowski, ten od śpiewu, rysunku i robót. W pierwszym dniu zaprowadził nas do naszej sali i zaczęliśmy zajmować nasze ławki. Miejsca teraz zajęte były przydzielone na cały rok, więc znów były przepychanki o lepsze miejsca, ale do kłótni nasz wychowawca nie dopuszczał. W sprawach spornych sam decydował kto gdzie będzie siedział. Zamieszanie nie trwało więc długo. Innowacją w porównaniu z ubiegłymi latami było to, że ławki były ogromne, starego typu i trójmiejscowe. Ustawione w trzech rzędach bardzo zacieśniały salę, choć ta była duża. Żeby te trzy rzędy ławek jakoś umieścić jeden rząd musiał przylegać do ściany, co było bardzo niewygodne dla tych, co w tym rzędzie siedzieli - wejście do tych ławek było tylko z jednej strony. Ja na szczęście siedziałem w pierwszym rzędzie, który nie dotykał ściany. W pierwszym dniu lekcji właściwie nie było. Na trzech godzinach lekcyjnych opowiadaliśmy wrażenia z wakacji, podano nam wstępny program lekcji, rozkład zajęć i tytuły książek w jakie mamy się zaopatrzyć. Po trzech godzinach zwolniono nas do domu. I tak zostałem uczniem piątej, a więc już „starszej” klasy, te od piątej do siódmej nazywano „starszymi”.

W porównaniu do ubiegłego roku w naszej klasie prawie nic się nie zmieniło. Przybyło trzech nowych uczniów, dwóch którzy zostali na drugi rok nie przechodząc do szóstej klasy i jakiś nowy kolega. Reszta sami swoi. Zmieniło się też dwóch nauczycieli. Pana Pola od polskiego zastąpiła pani Malewiczowa - atrakcyjna kobieta w średnim wieku, zawsze elegancko ubrana - czym wyróżniała się w gronie nauczycielskim. Ale okazała się oschłą, nieprzystępną i nie bardzo lubiącą dzieci. Pana Cisia od matematyki zastąpiła młoda, sympatyczna nauczycielka, nie pamiętam już jej nazwiska. Dzięki niej zacząłem się lepiej uczyć matematyki. Potrafiła do nauki zachęcić swym zachowaniem, nie groźbami i stawianiem złych ocen, ale swoją otwartością i przyjazną postawą wobec nas. Ona nas lubiła i to dało się od razu odczuć.

Miała wesołe usposobienie, wesołe spojrzenie i była przystępna. Była też energiczna i umiała nas utrzymać w karchach. Jeszcze we wrześniu urządzono nam całodniową wycieczkę do lasu. I kto poszedł z nami? Nie wychowawca, jak się zwykle praktykowało, ale właśnie pani od matematyki. Bardzo przyjemna była to wycieczka. Czuliśmy się swobodnie i nieskrępowani. Panią od matematyki traktowaliśmy jak starszą koleżankę, przyjaźnie ale bez poufałości, skrupulatnie przestrzegaliśmy narzuconych przez nią ograniczeń - by nie łamać gałęzi, nie rzucać w lesie śmieci, nie hałasować i nie oddalać się. Bardzo ją lubiłem. Staralem się zawsze uważać na jej lekcjach, żeby jej nie przeszkadzać i często nawet odrabiałem w domu zadane przez nią prace (nie tak znowu często!). Była dla nas większym autorytetem niż nasz wychowawca, pan Strzelichowski, choć i on cieszył się wśród nas dużym uznaniem, ale był groźny i nieprzystępny.

Pana Strzelichowskiego też lubiłem, pomimo jego oschłości i nieprzystępności, ale znacznie mniej niż panią od matematyki. Trzymał nas w karchach swą groźną postawą i karami. Targał za uszy przeszkadzających mu na lekcjach uczniów, często „przyłożył” grubą linijką, którą w tym celu zawsze nosił ze sobą. Był surowy i groźny. Baliśmy się go wszyscy. Ale był sprawiedliwy. Miałem z nim dwa konflikty i oba właśnie w piątej klasie. Byłem agresywny i wybuchowy, a to wynikało z mojej nieśmiałości (teraz do tego doszedłem). Ponieważ byłem jednym z silniejszych w klasie to na zaczepki odpowiadałem w dwójnasób - i przez to wiele razy miałem z panem Strzelichowskim przepawy. Często za różne awantury i bitki zostawałem za karę po lekcjach, czyli „w kozie”. Często zdenerwowany mym zachowaniem przyłożył mi solidnie swą „linijką”. Przebrałem miarę, gdy wdałem się w awanturę z dziewczynami z żeńskiej szkoły, której byliśmy sublokatorami. Nie wiem już co było powodem, że się akurat do mnie przyczepiły i zaczęły się wyśmiewać ze mnie. Zawstydzony i wyśmiany (i to w obecności kolegów) zdenerwowałem się bardzo i przyłożyłem solidnie pięściami jednej z dziewczyn i wytargałem za warkocze. Drugą też solidnie wytargałem tak, że płakała z bólu. Zyskałem tym w oczach moich kolegów, bo dziewczyny były rosłe, ze starszej klasy. Dziewczyny przyszły do pana Strzelichowskiego na skargę i to całą grupą oskarżając mnie o zaczepki i pobicie. Moi koledzy w czasie „śledztwa” trochę mnie bronili stwierdzając, co było prawdą, że to one spowodowały zajście. Pan Strzelichowski bardzo się tym zajściem zdenerwował ponieważ działo się to na terenie szkoły tych dziewcząt i ukarał mnie „kozą”. Dwie godziny przesiedziałem za karę po lekcjach i dostałem ostrzeżenie bym się nie wdawał w awantury z dziewczętami na terenie ich szkoły, bo uznają nas za uciążliwe sąsiedztwo i odbiorą nam salę. Za parę dni te same dziewczyny znowu mnie przyczepiły. Wtedy tak się zdenerwowałem, że zapomniałem o ostrzeżeniach pana Strzelichowskiego i dałem im porządną nauczkę. Znowu poszły do pana Strzelichowskiego

na skargę, tym razem ze swoją nauczycielką. Ja nie miałem świadków, bo gdy mnie dziewczyny zaczepiały byłem sam. Pan Strzelichowski bardzo się zdenerwował. Dał mi porządną burę, wypomnił że jestem awanturnikiem i że pomimo jego ostrzeżeń pobiliem dziewczyny na terenie ich szkoły, czym stworzyłem trudną sytuację i dla niego i dla naszej klasy. Stwierdził, że powinien wezwać mojego ojca, by się ze mną rozprawił, ale nie wezwie i sam się ze mną rozprawi. W tym dniu na tym się skończyło. Myślałem, że awantura rozejdzie się po kościach. Niestety, na drugi czy trzeci dzień, gdy pan Strzelichowski miał z nami pierwszą lekcję, przyszedł do klasy z czterema dryblasami z siódmej klasy. Zamknął salę i w obecności całej klasy kazał mnie tym dryblasom rozłożyć na stole nauczycielskim stojącym na podwyższeniu, po czym sam zaczął mi wymierzać solidnie „sprawiedliwość” lejąc mi tego tyłek tą swoją grubą linią, która właściwie była kijem. A nie żałował ręki. Pomimo postanowienia, że nie będę krzyczał, po trzecim czy po czwartym kiju rozwrzeszczałem się na całą klasę, z potwornego (tak mi się wydawało), piekącego bólu. I cała klasa zatrzęsała się ze śmiechu. Nie wiem ile tych kijów dostałem, ale tyłek mnie piekł jeszcze dwa dni po egzekucji. Po tej egzekucji pan Strzelichowski zapowiedział klasie i tym dryblasom, że jeśli ktoś pisnie o tym co się tu wydarzyło kolegom, to i jemu zrobi to samo. A mnie zapowiedział, że jeśli nie przestanę wywoływać awantur i bijatyk to następnym razem dostanę podwójną porcję, ale już na goły tyłek. A ja, zawstydzony i poniżony na oczach całej klasy, przestałem być ich bohaterem. Za to zrobiłem się wobec kolegów bardziej agresywny, chodziłem rozdrażniony parę tygodni. Ze wstydu bałem się pokazywać na oczy kolegom z innych klas, przychodziłem do szkoły pół godziny wcześniej i wychodziłem pół godziny później, gdy już koledzy ze wszystkich szkół poszli do domów. Nie chciałem widzieć ich złośliwych uśmiezków, bo przecież fama o egzekucji tego awanturnika Olczyka, pomimo zakazu pana Strzelichowskiego, rozeszła się po wszystkich czterech szkołach natychmiast. Pocieszałem się, że nie byłem jedynym, który taką karę poniósł. Był jeszcze jeden, który w tym roku zasłużył na to, ale nie z naszej klasy. Właściwie nie miałem do pana Strzelichowskiego pretensji o tę egzekucję, bo w głębi duszy uznałem, że dostałem słuszenie. Zresztą i dziś tak sądzę. Przecież na zaczepki dziewczyn mogłem odpowiedzieć słownie, również wyśmiać się z nich lub je w ogóle zignorować. A ja się wdałem w bijatykę przynosząc sobie wstyd, że biję dziewczyny. Przyznam też, że nadużyłem w tym przypadku siły i trochę za mocno je poturbowałem. Dziewczyny potem bały się mnie spotykać. A ja unikałem spotkania z nimi. Kiedyś przypadkowo natknąłem się na jedną z nich, a ta ujrawszy mnie z wystraszonymi oczami wzięła nogi za pas. Przyznam, że ten fakt mnie usatysfakcjonował i poczułem się tym dowartościowany. Dziś pochwalam metody wychowawcze pana Strzelichowskiego, który w zarodku, nieraz uciekając się do niekonwencjonalnych metod, potrafił tłumić wszelkie objawy

niesubordynacji uczniów i potrafił utrzymać w ryzach nawet „awanturników” i rozrabiaków, czyli jakby to dziś powiedzieć - trudną młodzież. Szkoda, że dziś się takich metod nie stosuje.

Drugi incydent z panem Strzelichowskim był znacznie łagodniejszy. W każdej klasie podczas przerwy pełnione były przez uczniów dyżury. Dyżurny miał nad klasą władzę. Do jego obowiązków należało dopilnowanie, by wszyscy uczniowie wyszli po lekcji z klasy i żeby do niej nie wchodzili przed dzwonkiem na lekcje. On otwierał okna dla wywietrzenia sali i po przerwie je zamykał. Przed lekcją wycierał tablicę, sprawdzał czy jest obok niej kreda i wilgotna gąbka. Słowem: dyżurny był porządkowym. Był ważny. Być dyżurnym było zaszczytem, więc każdy chciał nim być. Na początku roku wychowawca zapowiedział nam, że dyżury będziemy pełnić według alfabetu i to zaczynamy od końca, czyli od litery „Z”. W naszej klasie było trzech Olczyków, poza mną dwaj moi bracia stryjeczni, Henryk i Stasiak. Kiedy dyżur padł na nas najpierw pełnili go Henryk i Stasiak. Gdy przyszła kolej na mnie pan Strzelichowski skreślił mnie z dyżuru twierdząc, że *za dużo tych Olczyków* i dał dyżur następnemu po mnie koledze. Bardzo mnie to zabolalo i o to miałem do wychowawcy pretensje do końca szkoły. Wszyscy trzej należeliśmy do chóru, który zorganizował i którym się opiekował pan Strzelichowski. Chór był jego oczkiem w głowie. Na początku roku, na apel pana Strzelichowskiego, zapisało się do niego wielu uczniów. Ale po paru tygodniach została nas garstka, z którą pan Strzelichowski ćwiczył popołudniami. Chcąc dokuczyć wychowawcy i zarazem zemścić się za skreślenie mnie z dyżuru postanowiłem wypisać się z chóru. Po dwóch tygodniach po incydencie z dyżurem zgłosiłem się do pana Strzelichowskiego z żądaniem wypisania mnie z chóru mówiąc, że już nie będę przychodził na te popołudniowe śpiewy. Pan Strzelichowski trochę się zdziwił i zapytał dlaczego chcę się wypisać? Odpowiedziałem, że w chórze jest *za dużo tych Olczyków* i skoro nie mogłem pełnić dyżuru z tego powodu, to z tego samego powodu nie mogę być i w chórze. Zaskoczony tą odpowiedzią pan Strzelichowski zmieszał się trochę i nic nie odpowiedział odchodząc ode mnie. Na zajęcia z chóru już nie poszedłem. Na następnej lekcji śpiewu, przy jej końcu, pan Strzelichowski spytał mnie czy podtrzymuję swoją chęć wypisania się z chóru. Miał pewnie nadzieję, że zmienię zdanie, bo chór panu Strzelichowskiemu ostatnio zaczął „topnieć”. Potwierdziłem. I zostałem wypisany. Byłem zadowolony z tej swojej małej zemsty, a panu Strzelichowskiemu chyba było głupio z powodu tego postępku z mym dyżurem. Muszę przyznać, że wypisanie się z chóru nie wpłynęło negatywnie na stosunek pana Strzelichowskiego do mnie (czego trochę się obawiałem), traktował mnie nadal przyjaźnie. Ale do jego lekcji śpiewu już nie miałem serca.

Wolałem prowadzone przez niego lekcje rysunku. Na tych lekcjach nie było za dużo „wykładów” i odpytywań. Rozkładaliśmy nasze bloki rysunkowe, i ewentualnie farby i pędzle, i rysowaliśmy całą godzinę. Rysowaliśmy albo coś z natury, np. jakiś wazon, garnek czy figurkę (które przynosił pan Strzelichowski) lub rysowaliśmy z pamięci, to co nam kazał zaobserwować, np. stary drewniany domek, wieżę strażacką stojącą w pobliżu szkoły czy aleję kasztanową, którą codziennie przechodziliśmy w drodze do szkoły. Pan Strzelichowski oceniał nas stosownie do wierności i staranności naszych rysunków. Nie wymagał teoretycznych wiadomości, choć nam wiele o teorii mówił, o horyzoncie, perspektywie, o technice rysowania i malowania. Umiejętności te sprawdzał w naszych rysunkach.

Najbardziej ulubionym przedmiotem były zajęcia z robót ręcznych prowadzone także przez pana Strzelichowskiego. W tym roku mieliśmy wiele zajęć z obsługi tokarki, dużej maszyny z wielkimi kołami napędzanymi pasami transmisyjnymi. Te lekcje z tokarką prowadzone były przez innego nauczyciela - pana Józwickiego, ale w obecności naszego wychowawcy. Początkowo, na pierwszych lekcjach uruchamiania i zatrzymywania tego urządzenia baliśmy się do tej maszyny podchodzić. Po oswojeniu się z jej hałasem i widokiem szybko obracających się kół napędowych polubiliśmy te lekcje. Początkowo każdy z nas musiał uruchomić kilka razy tę maszynę, nauczyć się przerzucania pasów transmisyjnych z jednego koła - większego na drugie - mniejsze, dla zmiany szybkości obrotów maszyny oraz przestawiać maszynę na wolne obroty i ją zatrzymywać. Gdy każdy z nas posiadał już te umiejętności przystąpiliśmy do toczenia różnych elementów. Dostaliśmy wałki drewniane i musieliśmy je zamontować w uchwytach maszyny, a po jej uruchomieniu wytaczać wskazane elementy. Było to ciekawe zajęcie, miło było widzieć jak spod noża który trzymało się w rękę i przykładało do wirującego wałka drewnianego wychodzą ładne elementy, np. pionki szachowe, elementy wirujących bąków - którymi później zabawialiśmy się na przerwach. Dla mnie było to ciekawe zjawisko, gdy widziałem jak spod noża, który przykładałem do drewna, wałek przeobraża się w jakiś ładny element i że to ja jestem tego sprawcą. Naprawdę była to duża satysfakcja. Żałowaliśmy, że robót mamy tylko jedną godzinę w tygodniu. W przeciwieństwie do innych lekcji, które dłużyły się czasem niepomniernie i nie mogliśmy się doczekać dzwonka kończącego lekcje - te lekcje trwały za krótko i zawsze dzwonek nas zaskakiwał, z żalem przerywaliśmy zajęcia.

Lekcje gimnastyki też były lubiane przez nas. I tu nie było zadań domowych, nie musieliśmy nic w domu odrabiać. Jedynie trzeba było pomyśleć o zabraniu z domu kostiumu gimnastycznego i pantofli gimnastycznych. Nie było także odpytywań na lekcji a oceny końcowe otrzymywaliśmy stosownie do swych umiejętności w skakaniu w dal, wzwyż, skakaniu przez kozła czy umiejętnym wykonywaniem figur



gimnastycznych na macie. A to prawie każdy umiał więc nie było na tych lekcjach nic stresującego. Lekcje były prowadzone na placu szkolnym lub w sali gimnastycznej. Te ostatnie najbardziej lubiłem. Nie tylko z powodu tego, że można było korzystać z przyrządów gimnastycznych, ale też ze względu na atmosferę samej sali. Salę gimnastyczną mieliśmy ogromną. Obsługiwała cztery szkoły, które mieściły się w tych pokoszarowych budynkach. Budynki miały wielkie i wysokie sale. Sala gimnastyczna była bardzo wysoka, zajmowała trzy kondygnacje - suterene, parter i piętro, chyba miała ponad 10 m wysokości. Schodziło się do niej w dół po schodach z klatki schodowej. Gdy wchodziliśmy do niej całą klasą znikaliśmy w jej ogromie, byliśmy jak garstka piłeczek rozrzuconych po sali. Samo wejście do niej zapierało z wrażenia dech w piersiach. Czułem się wtedy jak bym wchodził do wielkiego, pustego kościoła. Lewą ścianę sali ozdabiały rzędy mocowanych do niej drabinek pokrywających całą ścianę do połowy jej wysokości. Początkowo na tych drabinkach lubiliśmy przesiadywać i ćwiczyć indywidualnie różne wymyślane przez siebie figury. Rząd drabinek kończył się przy podium sceny wbudowanej w całą tylną ścianę.

Sala służyła także jako sala teatralna i potrafiła zmieścić dwie szkoły naraz, czyli ponad 800 osób. W niej odbywały się raz w miesiącu próby śpiewu kościelnego, w których uczestniczyły dwie szkoły razem. W prawej ścianie był rząd długich okien umieszczonych wysoko, prawie pod sufitem jak w kościele, które jasno oświetlały salę. Sala robiła przyjemne wrażenie. W tej sali można było z powodzeniem grać w piłkę nożną, co czasem próbowaliśmy robić a z czego nasz pan od gimnastyki nie był zadowolony (w obawie o całość okien). Sala była bogato wyposażona w sprzęt do gimnastyki. Były tam kozły gimnastyczne o różnych wielkościach, skórzane materace gimnastyczne, długie, niskie i wąskie ławy wyposażone w specjalne uchwyty do zamocowania ich do drabin - świetnie się po nich zjeżdżało. W prawym kącie sali, przy scenie, pod ścianą stały jakieś drążki i słupki. Z sufitu zwieszało się kilka grubych lin, niektóre z nich miały zamocowane jakieś pętle i kółka. Nie wiedzieliśmy do czego te urządzenia służą, ale skoro były to znaczy, że były potrzebne. Nam do tych rzeczy nie wolno było się dotykać. W naszej dyspozycji były drabiny na ścianach, ławy, materace i dwa mniejsze kozły. Ale to nam wystarczyło do świetnych zabaw. Pan od gimnastyki, po parominutowych ćwiczeniach gimnastycznych w szeregu, albo organizował wspólne gry w piłkę czy wspólne skoki przez kozły, albo pozwalał zajmować się dowolnym sprzętem, który był do naszej dyspozycji - pilnując byśmy się za bardzo nie rozbawili. Zauważyłem, że lubił patrzeć jak my się bawimy i czasem poddawał nam jakiś nowy sposób tej zabawy. Nigdy na nas nie krzyczał. Nawet jak coś zrobiliśmy, to tylko tłumaczył niewłaściwość naszego postępowania, ale nigdy nie przerywał nam zabaw. I na tych lekcjach dzwonek kończący zajęcia zawsze dzwonił za wcześnie, nie w porę. Nasza sala gimnastyczna miała

jeszcze jedną zaletę - była bardzo akustyczna. Ale ta akustyka była jakaś dziwna, inna. Podniesione głosy odbijały się miłym echem gdzieś od sufitu i w ułamku sekundy wracały ze zmodelowanym przyjemnie brzmieniem tworząc zestaw miłych dla ucha dźwięków. Z tego powodu w sali często zachowywaliśmy się głośno, by usłyszeć gwar naszych głosów stopiony z wywołanym ich echem. Było to bardzo przyjemne zjawisko. Jedynym mankamentem było to, że z tej sali mogliśmy korzystać raz na 2-3 tygodnie. Przecież obsługiwała cztery szkoły.

Lekcje gimnastyki w tym roku prowadził młody, chyba najmłodszy z całego grona nauczycielskiego „pan”. Szczupły, wysoki, trochę łysiejący szatyn o śniadej cerze. Z powodu tej cery wyglądał na trochę nieogolonego. Był energiczny, wesoły i świetnie sobie dawał radę z rozbrykaną często na tych lekcjach klasą. Widać było, że lubi swoją pracę i że lubi nas, naszą klasę. Odwzajemnialiśmy się tym samym. Nie zapamiętałem niestety jego nazwiska, bo uczył nas tylko jeden rok.

Zupełnie inna była pani Malewiczowa, którą już opisałem wcześniej. Nie bardzo nas lubiła, trzymała nas na dystans, chłód wiał od niej z daleka. Jej lekcje były nudne, beznamiętne i mało przystępne (jak ona sama). Nie wkładała serca w swoje zajęcia i to było widoczne. Nie lubiliśmy jej i nie lubiliśmy przedmiotów, których nauczała - ani polskiego ani historii. Ona to zauważyła i tym bardziej usiłowała nam czymś dokuczyć. Prawie nigdy nie odrabiałem domowych prac, które nam zadawała. Często otrzymywałem za to dwóje. A za mój „opór”, który, jak mówiła, stawiałem jej - zostawiała mnie często za karę po lekcjach „w kozie” (jak o tej karze się mówiło). Dobrze, że moi rodzice nie bardzo interesowali się tym, że od czasu do czasu wracałem ze szkoły później.

W gronie naszych nauczycieli była jeszcze pani od przyrody, ale nie pamiętam ani jej twarzy, ani nazwiska, ani tego czego nas uczyła. Pamiętam tylko niektóre jej lekcje, te prowadzone w sali przyrodniczej, gdzie pod mikroskopem mogliśmy oglądać budowę roślin. Pamiętam zarodniki paproci, które ciekawie wyglądały w powiększeniu. Pamiętam jakieś pleśnie, grzybki no i obrazy wyświetlane epidiaskopem - urządzeniem wtedy nowoczesnym i mało rozpowszechnionym. Wiem, że ta przyrodnicza pracownia była dumą naszych szkół. Co konkretnie było wyświetlane nie pamiętam. Pamiętam sam fakt wyświetlania, które było dla nas taką ciekawostką jak kino.

Z wielkim żalem dowiedzieliśmy się, że nasza katecheta, ulubiona pani Kryszczyńska, została zastąpiona w tym roku przez młodego księdza. Katecheta, która tak interesująco opowiadała nam o Matce Bożej, o małym Jezusie i która w wielu z nas zaszczepiła kult Matki Boskiej i nauczyła nas modlitwy (nie pacierzy!), rozmowy z Bogiem. Okazało się, że od klas V-tych religii prowadzi ksiądz. Z księdzem tym spotkałem się w życiu jeszcze parę razy. Początkowo byliśmy bar-

dzo zawiedzeni lekcjami z księdzem, ale szybko się przyzwyczailiśmy do tej zmiany. Ale pani Kryszczyńskiej nie zapomnieliśmy. Do dziś miłe ją wspominam.

I tak zaczęła się normalna nauka, normalne codzienne chodzenie do szkoły. Tą samą drogą od kilku lat. Wychodząc codziennie o 7.30 z domu przebiegałem rynek kierując się w stronę ul. Piotrkowskiej. Mijałem zamknięte jeszcze o tej porze sklepy północnej ściany rynku i majestatyczny budynek magistratu, a po przeciwnej stronie trzy strzeliste wieże kościoła farnego. Przechodziłem nad strumykiem ukrytym pod jezdnią, a przecinającym ulicę Piotrkowską, i już byłem przy wielkich wystawach księgarni pana Nowickiego - naszego stałego punktu spotkań w drodze do szkoły. Tu zbieraliśmy się w zaprzyjaźnione grupy 3-4 osobowe i wędrowaliśmy dalej. Zahaczaliśmy o kościół klasztorny oo. franciszkanów, z wielkim Chrystusem Ukrzyżowanym w głównym ołtarzu, ale modliliśmy się przed obrazem Matki Bożej przy ołtarzu bocznym. Pokrzepieni modlitwą wędrowaliśmy dalej ulicą Piotrkowską, mijaliśmy duży budynek kinoteatru „Kinema” i park strażacki szczelnie osłonięty płotem. Dalej skręcaliśmy w prawo w ulicę Staszica, naszą ulicę, i w aleję starych drzew kasztanowych. Aleję ograniczał z jednej strony wysoki płot parku strażackiego a z drugiej jezdnia ulicy Staszica, przy której mieściła się nasza szkoła. Ta aleja była dla mnie najważniejszym odcinkiem drogi do szkoły, z tą aleją związany jestem (byłem, bo tej alei już nie ma) sentymentalnie wieloma wspomnieniami. To było, po kościele oo. franciszkanów, drugie miejsce gdzie po wyjściu ze szkoły, idąc do domu, zatrzymywałem się przeżywając swoje radości. Częściej użalałem się starym drzewom na niepowodzenia lub oplakiwałem większe kłopoty. Wygląd tej alei odmierzał nam przez wiele lat czas dzielony porami roku. Teraz, w końcu września, aleja jeszcze w pełni zieleni wita uczniów rozpoczynających po wakacjach zajęcia. Po niewielu tygodniach będzie usypana opadającymi kasztanami - znak, że już jesień. Potem brązowiejące i opadające liście, tak przyjemnie szeleszczące pod stopami, będą zwiastować nadchodzącą zimę. A puste, pozbawione liści konary, smutno wznoszące się w szare niebo i dywan opadłych w zabłoconą uliczkę liści, zapowie (poza nadchodzącą zimą) koniec półrocza - a więc cenzury półroczne oceniające nas półroczny dorobek. To dla mnie było zawsze przykre przeżycie. Na półrocznej cenzurze miałem zawsze ze dwie oceny niedostateczne. Ale aleja kasztanowa była moją ukochaną. Z niej, przechodząc na drugą stronę ulicy, wchodziliśmy już bezpośrednio do naszej klasy, która mieściła się na początku budynku i miała okna wychodzące na ulicę Staszica.

O samej nauce nie będę pisał, było jak każdego roku. W tym roku szkolnym, poza dwoma incydentami z panem Strzelichowskim (jednym bardzo bolesnym, o którym wspomniałem wcześniej), miałem jedno bardzo miłe przeżycie. Dwa czy trzy tygodnie po rozpoczęciu nauki, wychodząc z grupą kolegów po zakończeniu

lekcji ze szkoły, spotkałem stojącą samotnie przed bramą ładną dziewczynę w moim wieku. Z miłym uśmiechem przyglądała się nam, czasem uśmiechając się do któregoś z nas. Uśmiechaliśmy się i my do niej, nawet rozmawialiśmy o tym między sobą, by ją zaczepić i porozmawiać, bo podobała się nam wszystkim. Ale do tego jakoś nie doszło. Nie było odważnego, który pierwszy chciał by odezwać do niej. Po kilku takich spotkaniach i ja zacząłem się jej bliżej przyglądać. Podobała mi się. Miała wdzięczny i miły wygląd. Dziwiłem się tylko dlaczego ona tak sama stoi i nie idzie z koleżankami do domu. Postanowiłem ją sam zaczepić. Ze trzy razy zostałem dłużej w klasie, by być sam, bez towarzystwa, by mieć samemu możliwość zaczepienia jej. Niestety za każdym razem gdy dochodziłem do niej - tchórzyłem. Wrodzona nieśmiałość hamowała moje chęci. Brakło mi odwagi. Bałem się ośmieszenia. Nie wiedziałem jak zacząć taką rozmowę, jakimi słowami ją zaczepić. Brakło mi konceptu i śmiałości. Nie miałem się kogo poradzić co w takiej sytuacji robić, o czym mówić żeby wypaść dobrze w jej oczach. Najbardziej obawiałem się tego, że dziewczyna mnie wyśmieje i wyjdę na nedorajdę. Tadzio, który mógłby mi teraz pomóc i coś poradzić, był już w wojsku. I tak zeszło ze dwa tygodnie i parę dalszych nieudanych prób nawiązania znajomości. Zrezygnowany zwróciłem się w tej sprawie do Matki Boskiej. Klęcząc przed Jej obrazem w naszym klasztorze prosiłem o danie mi odwagi do zaczepienia tej dziewczyny (którą w międzyczasie bardzo polubiłem) lub o sprawienie jakiegoś cudu byśmy mogli się spotkać. A dziewczyna wytrwale oczekiwała co dzień przy bramie i uśmiechała się do nas. A ja już nie mogłem od niej oderwać oczu, gdy przechodziłem obok. Wreszcie po paru dalszych dniach, gdy znów pełen postanowienia, że teraz ją zaczepię i znów ją mijałem tchórzliwie odstępując od powziętego zamiaru, doczekałem się cudu. Dziewczyna z figlarnym uśmiechem podeszła do mnie i nic nie mówiąc podała mi kolorową, zapisaną kartę pocztową z jakimś widokiem. Oniemiał z wrażenia nie wiedziałem co powiedzieć i gorączkowo szukałem odpowiednich słów dla nawiązania kontaktu. Trwało to kilka chwil. Za długo. Aż rumieńce wstydu wystąpiły mi na policzkach. Wreszcie wybąkałem: *jaka ładna pocztówka*. Dziewczyna wtedy także zaczerwieniła się, też była zmieszana, ale odpowiedziała: *podoba ci się?* I nie wiem kto za mnie odpowiedział: *bardzo, ale ty podobasz mi się bardziej*. Dziewczyna splonęła jeszcze większym rumieńcem, ale lody zostały przełamane. Mur nieśmiałości z obu stron pękł i zaczęliśmy rozmawiać jak starzy znajomi. Zaraz wybraliśmy się na spacer. Obeszliśmy całe szkolne podwórko gadając bez przerwy. Pokazałem jej naszą klasę, która jeszcze nie była zamknięta, i poszliśmy na pobliskie boisko, wchodząc tam przez dziurę w płocie. Usiedliśmy na jakiejś kupie piasku i zaczęliśmy się tym piaskiem bawić jak małe dzieci. Cały czas rozmawialiśmy. Nie wiem o czym, nie wiem skąd się u mnie wzięły te krasomówcze zdolności - przecież w towarzystwie byłem „milczkiem”. Długo

trwała ta nasza pierwsza randka. Dziewczyna pierwsza się poderwała i mówiąc, że musi już wracać do domu prawie biegiem odeszła. Ja, jeszcze oszołomiony tym zdarzeniem, zostałem trochę. Oprzytomniawszy zdałem sobie sprawę, że jest bardzo późno jak na powrót ze szkoły i też puściłem się pędem do domu. W domu była awantura, bo okazało się, że nasza randka trwała trzy godziny. Mama zagroziła mi, że nie dostanę obiadu za karę, bo już ten obiad kilka razy odgrzewała. Pytano co się stało, że tak późno wracam. Już chciałem powiedzieć, że za złe zachowanie zostałem ukarany „kozą”, ale w ostatniej chwili wpadł mi inny pomysł żeby wyłgać się grą w piłkę z kolegami na boisku szkolnym. *Zagraliśmy się i zapomnieliśmy o upływającym czasie, tak nam się dobrze grało.* Rodzice trochę podejrzewali, że zostałem „w kozie”, ale w kozie zostawiają na 1 lub 2 godziny, nigdy na 3. Więc w rezultacie „przeszła” wersja gry w piłkę, uwierzytelniona tym, że przyszedłem w ubrudzonym w piachu ubraniem. Po zakończeniu śledztwa i zatwierdzeniu mojej wersji gry w piłkę, mama podała mi obiad. Ale na tym najmniej mi zależało. Nasycony emocjami tego dnia nawet nie mogłem zjeść tego obiadu.

A z tą dziewczyną spotykaliśmy się przez pierwsze dni codziennie. Co dzień buszowaliśmy po pustych klasach aż woźny nas zaczął przepędzać. Chodziliśmy po okolicznych ulicach, ale najchętniej po strażackim parku, bo tam nie było ludzi i trzeba było do niego wchodzić przez dziurę w płocie. I tak spenetrowaliśmy całą okolicę. Staraliśmy się tylko, żeby te spacery nie trwały za długo, bo byłem pewny, że drugi raz rodzice w wersję gry w piłkę nie uwierzą. Dowiedziałem się, że moja dziewczyna także miała wtedy solidną przeprowadkę ze swymi rodzicami. Nie wiem jak się wytłumaczyła. Bardzo polubiłem tę dziewczynę. Dla niej zaniedbałem kolegów szkolnych i podwórkowych. Była miła, ładna, no i wyraźnie mnie adorowała co wbijało mnie w dumę. Czułem się dowartościowany, doceniony i imponowało mi, że mam „swoją” dziewczynę. Dla podkreślenia, że należymy do siebie i że lubimy się, często w czasie spacerów trzymaliśmy się za ręce. Przyznam, że było to przyjemne. Myślę że dla niej też, bo często ona występowała z tą inicjatywą. Szukaliśmy okazji by się niby przypadkowo dotknąć, pogłodzić po głowie czy plecach. Zachowywaliśmy się jak para zakochanych dorosłych, choć wtedy o miłości wiedzieliśmy niewiele. Mówiliśmy, że „lubimy się” i to że się lubimy wyznawaliśmy sobie parę razy. Gdy przyszły chłody nasze spacery stały się z konieczności krótsze. W czasie zimy spotykaliśmy się rzadko, raz lub dwa razy w tygodniu i też na bardzo krótko. Ale wzajemna sympatia była trwała. Dopiero wiosną wzajemne uczucie wybuchło z nową siłą. Ale o tym w następnym roku.

W końcu wakacji zaprzyjaźniłem się z kolegą z klasy - Jasiem Klufem. Do tej pory, chodząc do tej samej klasy nie zwracaliśmy na siebie uwagi. Obaj należeliśmy do innego grona kolegów. Klasa dzieliła się na 4-5 osobowe grupy bliżej zwią-

zanych ze sobą uczniów. Ja miałem kilku kolegów, których bardziej lubiłem i z którymi kontaktowałem się na przerwach, od których czasem odpisywałem prace domowe i z którymi czasem wracałem ze szkoły. Resztę kolegów traktowałem obojętnie, nie zwracając na nich szczególnej uwagi. Jasia zauważyłem tylko jako ucznia naszej klasy. Zauważyłem, że jako jeden z nielicznych przychodzi do szkoły bardzo zadbany, gładko uczesany, w bardzo czystym ubraniu i ma zawsze odrobione lekcje. Nie wdaje się też w częste w naszej klasie gonitwy i bijatyki kończące się wałkowaniem po brudnej podłodze. Stronił od takich zabaw. Był cichy, spokojny i wolał schodzić z drogi „awanturnikom”. Dlatego też nie miał przyjaciół. Zdziwiłem się, gdy w pewne słoneczne sierpniowe południe, bawiąc się na rynku z podwórkowymi kolegami, zobaczyłem Jasia jak przyglądał się robotnikom pracującym na rynku. Przecież nie mieszkał on w tej dzielnicy. Zaprosiłem go do wspólnej zabawy z nami, ale Jasia to nie interesowało. Powiedział, że musi już wracać do domu i zaprosił mnie do odprowadzenia go kawałek drogi, na co z przyjemnością się zgodziłem. Nawet odprowadziłem go do samego domu. Mieszkał na ulicy Kościuszki, a więc w „Alejach” na przeciw klasztoru, w zamkniętej posesji zajmowanej przez rodziny inżynierów i techników francuskich zatrudnionych we francuskich fabrykach - mebli „Thonet Mundus” i metalowej „Metalurgia”. Francuskie rodziny mieszkały w dużym, dwupiętrowym narożnym budynku. Na terenie posesji stał niski, parterowy murowany budynek, oddzielony od głównego budynku dużą bramą wjazdową. Ten budynek to chyba dawna portiernia lub „stróżówka”. I w tym budyneczku mieszkała rodzina Jasia. Jasio zaprosił mnie do środka, obiecał pokazać mieszkanie i zabawki, które posiadał. Okazało się, że rodziców nie ma w domu a on ma klucze do mieszkania. Skwapliwie skorzystałem z zaproszenia. Dom Francuzów był w zasadzie zamknięty, nikogo nie zapraszano na teren tej posesji i nie wpuszczano, a pilnował tego portier urzędujący w podwórku przy bramie. Mieszkańcy tego domu byli przedmiotem zainteresowania (i plotek) mieszkańców Radomska, choć unikali z mieszkańcami miasta kontaktów. Więc obejrzenie tej posesji, zobaczenie na własne oczy jak ona od środka wygląda, było dla mnie atrakcyjną okazją. Gdy wszedłem przez solidną bramę na to podwórze miałem wrażenie, że jestem na dziedzińcu średniowiecznego zamku. Budynek, w którym mieszkali Francuzi od podwórka wyglądał jeszcze okazalej. Do głównego budynku, po obu jego końcach, doczepione były skrzydła oficyny podobnej wysokości co budynek główny tak, że razem tworzyły jakby dziedziniec z trzech stron zamknięty ścianami budynków a otwarty od strony podwórza. Z przyjemnością i wielką ciekawością wszedłem za Jasiem do mieszkania. Wchodziło się do szerokiego przedpokoju, jakby sieni, która przepoławiała budynek. Mieszkanie miało cztery izby, do każdej prowadziły z przedpokoju drzwi. Po lewej stronie był pokój i znacznie mniejsza kuchnia, po prawej takie same dwa pomieszczenia - poko-

je. Pierwszy raz oglądałem takie ładne, jak mi się wtedy wydawało, przestronne i nie zagracone mieszkanie. Było w nim bardzo czysto, nawet pachniało przyjemnie. Pomalowane na orzechowy kolor podłogi pokojów aż biły w oczy swym blaskiem. W każdym pokoju był długi, kolorowy chodnik prowadzący od drzwi do tylnej ściany pokoju. Na ścianach jakieś fotografie i parę obrazów w złotych ramach. W jednym z pokoi, gdzie zaczęliśmy „urzędować”, stał duży koń na biegunach pokryty prawdziwą skórą ze żrebaka. Wyglądał na prawdziwego konia. Takiego konia, ale znacznie mniejszego i pokrytego zwykłą malowaną tekturą widziałem w sklepie z zabawkami naszego sąsiada - Szatza. I ten koń pana Szatza był bardzo długo przedmiotem moich westchnień. A tu Jasio miał dużego „prawdziwego” konia! Musiał on dużo kosztować. A przecież moi rodzice byli znacznie bogatsi od rodziców Jasia. Ale moi rodzice uważali, że nie stać ich na takie drogie zachcianki swych dzieci. Dowiedziałem się od Jasia, że ma starszą o pięć lat siostrę, że jego ojciec pracuje w „Metalurgii” i jest tam majstrem. Zrobiliśmy jeszcze przegląd Jasia zabawek. Były tam dwa karabiny z drewna, ale wyglądające na prawdziwe - większe i bardziej podobne do prawdziwych niż te, które sprzedawano w sklepach z zabawkami. Był duży wózek na czterech kołach, parę samochodzików różnej wielkości i czołg poruszający się po podłodze po nakręceniu go kluczykiem. Jasio miał 2 latarki na baterię, też przedmiot mych marzeń. Nie miał jedynie wojska, którym się można bawić - a ja miałem. Co prawda własnej roboty i nie takie ładne jak sprzedawane w sklepie, ale mogłem się chociaż tym Jasiowi pochwalić. Zachwycony byłem mieszkaniem Jasia, ładnym, przestronnym, miłym, przytulnym. Prawdziwym mieszkaniem, gdzie można było swobodnie biegać po pokojach i gdzie ściany nie były opakowane rzędami pótek z butami - jak u nas. Zachwycony byłem i jego zabawkami, których miał mnóstwo, które oglądałem i dotykałem z przyjemnością i zazdrością. Mógłbym tam siedzieć jeszcze długo, ale Jasio nie chciał by jego rodzice zastali nas w mieszkaniu. Wyszliśmy na dwór zabierając ze sobą, na moją prośbę, karabiny. Na końcu podwórza stała wielka drewniana szopa wielkości stodoły. Była ona pusta więc pobuszowaliśmy w niej trochę. Do podwórza przylegał duży ogród, zwany w mieście „ogrodami francuskimi”. Podobno były tam korty tenisowe, ale tam nie wolno nam było wchodzić. Obejrzelśmy tylko co się dało zobaczyć przez dziurę w płocie. W międzyczasie przyszła mama Jasia, która zaprosiła nas do mieszkania. Nie chciałem jednak zostawać tam dłużej, bo zniknąłem z domu prawie na pół dnia i obawiając się awantury wróciłem szybko do domu.

I tak zaczęła się nasza przyjaźń z Jasiem, która trwała kilka lat. Po tym pierwszym spotkaniu przypadliśmy sobie do gustu i zaczęliśmy się spotykać prawie codziennie. Po rozpoczęciu nauki spotykaliśmy się trochę rzadziej, bo ja zostawałem po lekcjach w okolicach szkoły, żeby spotykać się ze swoją dziewczyną. Do Jasia

przychodziłem dopiero po południu. Zorganizowaliśmy na jego terenie kilkunastoo-sobową grupę „żołnierzy” bawiąc się w „wojny”. Wojowaliśmy z innymi grupami chłopców w Jasia okolicy. Mieliśmy przewagę liczebną no i przewagę w „uzbrojeniu” - dwa karabiny Jasia dawały nam tę przewagę. „Panowaliśmy” więc nad całą okolicą, a cały splendor tego panowania spadał na Jasia, bo to on był „wodzem” jako gospodarz terenu. Jasio był z tego dumny, a ja że znacznie się przyczyniłem do jego sukcesu „organizując” mu najwięcej „żołnierzy” wśród swoich kolegów. Jasio jeszcze bardziej się do mnie przywiązał. Z końcem jesieni zabawy w wojny znudziły się nam i grupa nasza zaczęła topnieć, aż zostało nas tylko dwóch. Wróciliśmy do naszych spacerów po mieście i do naszych długich rozmów. A rozmawialiśmy o zdarzeniach, o różnych ciekawostkach, o naszym życiu rodzinnym, o nauczycielach, o dziewczynach, o wszystkim. Ciekawe, że mieliśmy sobie codziennie tyle do opowiedzenia! I to ja, nie lubiący się wywnętrzać przed nikim! Właśnie Jasio był tym, który mnie uświadamiał, który mi powiedział co można „robić” z dziewczynami, jak dochodzi do urodzenia dziecka. Co prawda zrobił to bardzo brutalnie, operując rynsztokowym słownictwem, co w jego ustach brzmiało bardzo nienaturalnie. Słuchałem tych informacji z wypiekami na twarzy, z przejęciem, ale i trochę z niesmakiem. Kiedyś podejrzwał swoich rodziców jak „to” robią i opowiadał mi ze szczegółami. Okazuje się, że rodzice, żeby się zabezpieczyć przed ewentualnym podglądaniem, robili „to” w kuchni. A że kuchnia była mała robili „to” na stojąco. Jasio myślał, że to jest normalny, właściwy sposób obcowania mężczyzny z kobietą i tak mi to przekazał. Dziwił się tylko dlaczego przy tej okazji tata bił mamę. Jak mówił, po pewnym czasie uprawiania miłości na stojąco tata przewrócił mamę na podłogę i chyba mocno ją zbił, bo mama zaczęła jęczeć. Ale tego nie mógł zobaczyć, bo z jego miejsca obserwacji podłoga była niewidoczna. Obydwaj dziwiliśmy się temu i stwierdziliśmy zgodnie, że gdy będziemy mieli okazję zrobić „to” z dziewczyną nie będziemy jej bili. Bo jak można bić kogoś, kogo się lubi. Przecież nie można tego robić z dziewczyną, której się nie lubi. Ale dla mnie najważniejsze, że wiedziałem już co można robić we dwoje z dziewczyną i że to trzeba robić na stojąco. Wieczorem, pod wrażeniem tej rozmowy, długo jeszcze leżąc w łóżku rozmyślałem na ten temat. Dziwiłem się dlaczego moi rodzice tego nie robią, bo przecież bym słyszał i widział jak wstają z łóżek. Widocznie, myślałem, za bardzo zajęci sklepem i handlem przestali się już lubić.

Nasze drogi z Jasiem rozeszły się gdy zacząłem chodzić do gimnazjum. Kontakty urwały się zupełnie w okupację. Ale ta przyjaźń, choć krótka, była jednak głębo-boka. Lubiłem bardzo Jasia, świetnie się rozumieliśmy, lubiliśmy ze sobą przebywać i mogliśmy godzinami rozmawiać. Ten epizod mego życia utrwalił mi się mocno w pamięci, jako jeden z nielicznych. Silnie go przeżywałem. Do dziś często wspomi-



nając tamte lata, wspominam z rozrzewaniem Jasia i nasze wspólne przygody. Wiem, że teraz jest w Warszawie, miałem nawet jego adres, ale nie odważyłem się na spotkanie z nim. Nie chciałem, po sześćdziesięciu paru latach, sprawdzać naszej przyjaźni. Bałem się rozczarowania, chciałem to zostawić w mej pamięci tak, jak to wtedy przeżyłem.

A co się działo po wakacjach w sklepie? Sklep rozwijał się nadspodziewanie dobrze. Nawet po sezonach, gdy był okres względnego spokoju, nasz sklep miał zawsze dużo klientów i stosunkowo duże obroty. Dobrze rozwijał się też drugi sklep ze skórami, prowadzony do spółki z bratem mamy. Towaru było w nim coraz więcej i znaczna część długów spłacona. Rodzice, mniej zapracowani niż w pełnym sezonie, mieli jednak sporo zajęcia i nie mieli czasu ani dla domu ani dla siebie.

We wrześniu Tazio musiał odejść do wojska, i to na dwa lata. Bardzo mnie to dotknęło. Czuję się opuszczony i samotny, jak sierota. Nie miałem z kim rozmawiać, komu się zwierzać, kogo radzić. Bardzo mi Tadzia brakowało. W sklepie zastąpił go najmłodszy brat ojca - stryj Felek. Nie zdał egzaminu. Stał za ladą jak słup, zachowywał się jak „malowana lala” - tak o nim mówili rodzice. Zupełnie nie umiał obsługiwać klientów. Nie zrywał się do nich, nie umiał uprzejmie z nimi rozmawiać, nie umiał doradzić, przekonać i nie starał się tego robić. Wyglądało na to, że klient go nie obchodzi i że klientowi robi łaskę że go obsługuje. Niekiedy bywał tak zamyślony, że nie słyszał co do niego się mówi. Po dwóch miesiącach rodzice podziękowali mu za pracę, czym był bardzo oburzony. Ojciec chciał go jeszcze zatrzymać, ale mama stanowczo się sprzeciwiła i stryj Felek musiał odejść. Ale tylko ze sklepu. Ojciec zatrudnił go do montażu obuwia, tak jak innych, i płacił mu za wykonaną pracę. I znów w sklepie rodzice zostali sami, więc obsługa klientów spoczywała głównie na barkach mamy. Ojciec miał swojej pracy też bardzo dużo i nie miał czasu na większe udzielanie się w sklepie. I tak się życie toczyło dalej. Rzadko teraz zachodziłem do sklepu, choć to mamie było na rękę, bo przy okazji pilnowałem towaru pokazywanego klientom. Zdarzały się bowiem przypadki kradzieży. Gdy mama wychodziła na zaplecze po nową parę obuwia klient korzystał z okazji, że nikogo w sklepie nie ma, zabierał przymierzane buty i znikał. Sama moja obecność odstraszała takich amatorów. To monotonne, choć intensywne, szare życie okraszone było od czasu do czasu jakimisź wizytami zaprzyjaźnionych osób. A to wpadał ktoś z ojca kolegów, często przychodził pan Stefan, dziadek lub ktoś z rodziny - przeważnie któraś z mamy siostr. Wpadali na krótkie pogawędki, bo rozmawiać można było tylko gdy klientów nie było w sklepie. Amator pogawędki musiał wczekać na odpowiednią chwilę. Dwa czy trzy razy przyszła najmłodsza siostra mamy ciocia Rysia, ze swym adoratorem panem Heńkiem, późniejszym jej mężem. Kiedyś przyszli w trójkę, z cicią Kazią. Zostali zaproszeni na zaplecze, bo zanosilo się na dłuższą pogawęd-

kę. Akurat nie było w sklepie klientów. Gdy pan Heniek musiał wyjść na dwór za swoją potrzebą siostry trochę go oplotkowały. Zresztą pozytywnie. Ale zarzuciły mu że jest mało poważny, za wesoły, taki „palastrancik”. Nie lubiłem pana Heńka, bo w czasie pierwszej wizyty naraził mi się - żartował ze mnie niesmacznie, czym upokorzył mnie publicznie. Teraz postanowiłem wziąć za to odwet. Gdy pan Heniek wrócił z podwórza przywitałem go słowami: *witam pana palastrancika*. Wszystkie siostry słysząc to powitanie zmieszały się bardzo i były na mnie oburzone. Najwięcej mama. Pan Heniek domyślił się, że to siostry tak go nazwały, ale przyjął to na wesoło. Po ich odejściu mama zrobiła mi awanturę, a ja, upojony zemstą, uśmiechałem się z zadowolenia.

Z końcem września ojciec wybrał się do Częstochowy z rewizytą do świeżo odkrytego kuzyna Zygmunta Olczyka. Wrócił bardzo zadowolony. Był przyjęty serdecznie, poznał rodzinę swego kuzyna, obejrzał jego dwa sklepy - jeden z obuwiem (podobny do naszego) i drugi ze skórami. Ten ze skórami był wielkim sklepem prowadzonym z rozmachem. Właściwie była to hurtownia prowadząca także sprzedaż detaliczną. Ale najważniejsze, z czego ojciec był najbardziej zadowolony, było to że nawiązali konkretne stosunki handlowe. Postanowili zawrzeć nieformalną spółkę, informować się o swych posunięciach, naradzać się przed podejmowaniem ważniejszych decyzji i część interesów prowadzić wspólnie - żeby bardziej agresywnie wejść na częstochowski i radomszczański, a w przyszłości i piotrkowski rynek obuwniczo-skórzany. Planowano stopniowo wypierać z rynku żydowskich kupców, którzy do tej pory byli monopolistami na tych rynkach. Planowano także akcję propagandową wśród bogatszych szewców, by zachęcić ich do otwierania własnych sklepów, choć to byłoby i dla ojca i dla Zygmunta Olczyka konkurencją, ale tak nakazywał patriotyczny obowiązek. Zygmunt Olczyk był działaczem Stronnictwa Narodowego i za główne swoje zadanie uznał odebranie Żydom monopolu w handlu obuwiem i skórami. Marzyło mu się zorganizowanie narodowego frontu do walki o polski handel. Uważał, że tylko zjednoczeni możemy tę sprawę wygrać. Ojciec był przejęty tymi sprawami i aprobeował je całkowicie. Trochę jednak studiował entuzjazm młodszego kuzyna zalecając rozważę i dyskretnie działanie, żeby się nie ujawniać za wcześnie i nie mobilizować przeciwników. I do takiego trybu działania przekonał swojego kuzyna. O tym wszystkim dowiedziałem się podsłuchując, jak zwykle, nocne rozmowy rodziców. To nawiązanie współpracy z kuzynem z Częstochowy zaowocowało bardzo w niedalekiej przyszłości, przyczyniając się do burzliwego rozwoju naszej firmy.

To wydarzenie zamknęło okres naszego życia opisany w tym rozdziale - opis założenia sklepu, walka o jego utrzymanie i nasze życie rodzinne, które toczyło się właściwie wokół sklepu i było mu podporządkowane. Sklep miał być tym czynni-

kiem, który pozwoliłby naszej rodzinie osiągnąć stabilizację, zapewnić byt i rozwój. A tak się nie stało. Ale to wydarzenie właściwie zapoczątkowało nowy rozdział naszego życia, burzliwego rozwoju naszego przedsiębiorstwa i rodziny - co będę starał się opisać w następnym rozdziale.

Nie będę więc już opisywał drobnych wydarzeń końcówki tego 1934 r. Była taka jak roku poprzedniego. Podobna zima, podobne święta, podobne zakończenie roku. Tylko jedno się zmieniło - rynek radomszczański przemienił się w ładny skwer. Prace modernizacyjne wokół rynku już prawie na ukończeniu. Zimą tego nie widać, ale zarysy skweru, jego ścieżki, klomby są już widoczne. Świeżo posadzone krzewy wystają na razie z ziemi jak gołe miotły. Piękno dawnego rynku okaże się dopiero wiosną. A o niej i o dalszych naszych losach w następnym rozdziale.

Rok 1935 był dla naszej rodziny rokiem przełomowym. Od tego roku nasza firma osiągnęła pełną stabilizację, wrosła w radomszczański rynek i mocno się w nim zakotwiczyła. Zdobyła dużą klientelę i wkroczyła w okres szybkiego dalszego rozwoju. W tym roku rodzice podjęli decyzję budowy dużego domu - dużego jak na warunki radomszczańskie. Ojciec w tym roku związał się ze swym kuzynem z Częstochowy i zaczęli część interesów prowadzić wspólnie, co znacznie przyczyniło się do rozwoju firmy.



Reklama z „Gazety Radomskowskiej” 1935, nr 51, s. 5

Od tego roku zaczęło się także zmieniać nasze życie rodzinne, które stało się już zupełnie podporządkowane interesom firmy. Rodzice zajmowali się już tylko sklepem i jego potrzebami, a życie rodzinne i wspólnotę rodzinną zostawiali na ubożu. Od tego roku stosunki między rodzicami zaczęły się jakby ochładzać. Teraz mniej mieli czasu na wspólne rozmowy, na intymniejsze kontakty i okazywanie sobie czułości. Pamiętam, że zawsze ogarniało mnie uczucie radości, gdy widziałem

jak czasem po kolacji rodzice rozmawiają nie o sprawach sklepu, ale o jakiś swoich zdarzeniach. Jak mówią na niezrozumiałe dla mnie tematy i jak ojciec gładzi rękę mamy, całuje mamę w policzek a mama odwzajemnia mu się pocałunkiem w czoło i głaszcze jego łysiejącą czuprynę, a oboje są tacy uśmiechnięci, wpatrzeni w siebie. Bardzo mnie to cieszyło i wzruszało. Teraz prawie nie miałem okazji cieszyć się z takich widoków. Rodzice prowadzili swoje rozmowy bez uśmiechów, poważnie i tylko na tematy sklepowe. Nie mieli już czasu ani ochoty na czulsze kontakty. Zajmowanie się sprawami sklepu, który rozwijał się coraz bardziej, zajmowanie się dodatkowymi interesami poza sklepem pochłaniało całą ich energię i odbierało chęci do normalnego współżycia w rodzinie. I my, dzieci, jeszcze bardziej pozostawieni byliśmy samym sobie. Ja tego specjalnie boleśnie nie odczułem, bo mną od dawna rodzice przestali się zajmować. Uważali, że jak dadzą dziecku jeść i poślą do szkoły to już wystarczy. Wystarczyło dla uspokojenia ich samopoczucia, ale nam dzieciom przyniosło dużo szkody. Przecież nie mieliśmy normalnego dzieciństwa i weszliśmy w dojrzałość wypaczeni psychicznie. Ojciec czasem w chwilach refleksji zagłuszał swoje sumienie opowiadając nam, że on miał jeszcze gorzej. Gdy skończył dziesięć lat musiał swojemu ojcu pomagać w warsztacie, a gdy miał lat czternaście został zupełnym sierotą i że w jego rodzinie nawet chleb był dzieciom wydzielany. W porównaniu z jego warunkami my mamy raj na ziemi. Mnie to nie przekonywało. Obserwując życie rodzinne niektórych moich kolegów, również z biednych rodzin, widziałem że może być inaczej, że są oni w rodzinie doceniani, kochani. Byli pełnowartościowymi członkami rodziny i nie byli „zbędną rzeczą”, mieli ze swoimi rodzicami kontakt i mogli w każdej chwili z nimi porozmawiać. Cóż - mogłem im tylko pozazdrościć. A do obojętności moich rodziców już się przyzwyczaiłem. W dalszym ciągu jednak czułem się silnie związany z rodziną. Jeśli już nie kochałem rodziców tak bardzo jak dawniej, to przecież ich lubiłem, solidaryzowałem się z nimi, uważałem interes rodziny za własny. Bolałem już wtedy nad rysującym się rozdźwiękiem między rodzicami. Jako dziecko potrafiłem to wyczuć instynktownie. Widziałem szczególnie u ojca to ochłodzenie uczuć do mamy. Jego coraz częstsze rozdrażnienie, te szorstkie odezwania się do mamy, rozmowy już tylko na tematy sklepowe i wybuchające coraz częściej kłótnie. Modliłem się wiele, żeby Bóg nie dopuścił do ochłodzenia uczuć między nimi, do oziębienia miłości, która ich kiedyś złączyła. Ciekawe, że mama nie zdawała sobie w pełni sprawy z tej sytuacji. Nieświadoma przyczyn rozdźwięku i ochładzania się uczuć często pogarszała sytuację, chcąc ją na swój sposób ratować. Prowokowała sprzeczki, odpowiadała na szorstkość ojca agresją, mając często niesłuszne pretensje inicjowała coraz częściej „ciche dni”. Czuła, że się zaczyna dziać coś złego, ale nie wiedziała dlaczego i nie umiała temu przeciwdziałać. Przecież kochała ojca. Nadal imponował jej swoją zaradnością, wyrobieniem życio-

wym, swoją postawą i męskością - ojciec był nadal przystojnym mężczyzną. Mama zdawała sobie sprawę, że jest zaniedbywana, że jej miłość jest niedoceniana. Buntowała się przeciw temu. Usiłowała z tym walczyć, protestowała na swój sposób, nie odzywając się do ojca, robiąc mu ostre wymówki nie w porę i nie mówiąc o co chodzi. Przynosiło to skutki odwrotne od zamierzonych. To wszystko na razie było zagłuszane przez sprawy sklepowe coraz bardziej obojga absorbujące, ale i przynoszące coraz większe zyski. A to się wtedy liczyło najbardziej.

Ale zacznijmy od początku. Nowy Rok zgodnie z ustaloną tradycją „przywitani” rodzice remanentem. Ten remanent miał ich zorientować jaki plon przyniósł ubiegły rok. Po pożegnaniu starego roku, jak zwykle w towarzystwie „karciarzy”, wyłamując się z dawnego zwyczaju zakańczania roku tylko kolacją, rozegrano z inicjatywy ojca dwie czy trzy partie preferansa. I dopiero po tym mama podała kolację, która w tym roku nie trwała długo. O mnie jakoś zapomnieli. Tylko Marynia została położona do łóżka o godz. 21., przed kolacją. Mnie się udało pozostać z dorosłymi chyba do 23. i dopiero po wyjściu gości kazano mi iść do łóżka. Pomimo usilnych starań by nie zasnąć, a chciałem doczekać do końca remanentu, zasnąłem. Okazało się, że nie straciłem wiele. Rodzice po zakończonym spisie byli tak zmęczeni, że nie podsumowali od razu wyników spisu i nie zestawili go z rokiem ubiegłym. Zrobili to dopiero w Nowy Rok do południa, po powrocie z kościoła. Tego dnia nie poszliśmy po mszy świętej na zwykły nasz spacer niedzielny „dookoła alei”. Rodzice spieszyli się do domu, żeby dokończyć sprawy remanentowe. Ze dwie godziny trwały rozliczenia, porównywania, zestawienia długów, weksli itp. Okazało się, że ten rok wypadł wyjątkowo korzystnie. Nawet rodzice nie mogli w to uwierzyć i jeszcze raz sprawdzali swe wyliczenia. Potwierdziły się. I znów po wybuchu radości i wspaniałych humorach rodziców zorientowałem się, że „stoimy” bardzo dobrze. Sklep z roku na rok przynosi coraz większe dochody i stajemy się coraz bogatsi. I ja cieszyłem się z tego, choć nie miałem się z kim podzielić swą radością. Maryni te sprawy nie interesowały, żyła jeszcze w swym dziecięcym świecie - miała przecież dopiero 6 lat. Z rodzicami nie miałem kontaktu, ich nie interesowały moje odczucia. Zresztą nie mogłem się zdradzić przed nimi, że to co chcieli ukryć przede mną ja z podsłuchu, z wypowiedzianych półsłówek i ich wesołego nastroju, domyśliłem się wszystkiego. Więc tylko wieczorami, leżąc w łóżku, mogłem sam ze sobą „rozmawiać” o tych sprawach. Marzyłem o tym jak będziemy żyli gdy już będziemy bardzo bogaci i nie będziemy musieli jak do tej pory wszystkiego oszczędzać. Może będziemy mogli co dzień na śniadanie pić kakao i jeść maślane bułeczki, które jadaliśmy w niedziele? Może rodzice będą nam co tydzień kupować chałwę, a w niedzielę czekoladę? Może mi kupią nowe ubranie, bo w tym starym wyrośniętym i z za krótkimi już rękawami wstydyłem się chodzić do szkoły? Może dostanę na Wielkanoc pantofle i nie będę

musiał stale chodzić w kamaszach? Po mym zniszczonym i wyrośniętym ubraniu moje otoczenie, łącznie z nauczycielami, zaliczało mnie do grupy dzieci najbiedniejszych, do których nawet nauczyciele odnosili się trochę lekceważąco. Nie domyślano się, że należę do najbogatszej rodziny w klasie. Bogatszej niż rodzina dyrektora francuskiej fabryki „Thonet”, uważanej za jedną z bogatszych rodzin w Radomsku, a ich syn chodził do naszej klasy i był specjalnie wyróżniany, cieszył się wielkim względem nauczycieli.

I marzyłem dalej. Może będę dostawać kieszonkowe jak wielu kolegów z mojej klasy? Ojciec nie dawał mi kieszonkowego mówiąc, że za mało zarabiamy i nie stać go na takie wydatki. Przecież wiedziałem, że to nie prawda, ale myślałem że jak ojciec się więcej wzbogaci, to może choć 20 groszy miesięcznie będzie mi dawał żebym nie był gorszy od biednych kolegów. Może mi kupią mechaniczną zabawkę? Marzyłem o samochodzie nakręcanym sprężyną, który stał od paru tygodni na wystawie sklepu pana Szatza. A może w tym roku pozwolą mi jechać na obóz? Dobrze byłoby też dostać taki wspaniały „korkowiec”, podobny do prawdziwego pistoletu. Zdobił on wystawę sklepu pana Nowickiego i na który co dzień idąc z kolegami do szkoły pożądliwie spoglądałem. Z takimi marzeniami, nigdy zresztą nie spełnionymi, zasypiałem przez pierwsze dni stycznia.

Rodzice przez parę dni po remanencie nie rozmawiali na temat nowego domu. Chyba byli zmęczeni i sezonem, i świętami, i samym remanentem. Zasypiali natychmiast, bez zwykłych wieczornych rozmów. Nie miałem więc okazji do podsłuchów. Któregoś wieczoru rodzice przerwali nocne milczenie i zaczęli swe „wieczorne rozmowy”. Zamieniłem się w słuch sądząc, że dowiem się ciekawych wieści. Naturalnie głównym tematem tych rozmów był sklep i zeszłoroczne zyski, które dla rodziców były nadspodziewanie duże. Rozmawiali o planach na bliski sezon, jak się do niego przygotować, jaki towar zamówić, co powinno być teraz modne itp. No i wreszcie niespodzianka. Stwierdzili, że teraz mogą zacząć budowę domu. I to dużego, dwupiętrowej kamienicy z mieszkaniami do wynajęcia. W tej chwili mają pokrycie na 1/3 takiego domu, ale licząc na sezon tegoroczny i w przyszłym roku, będzie ich stać na taką inwestycję. Zszokowała mnie taka wiadomość i bardzo ucieszyła. Wreszcie będziemy mieszkać jak ludzie. Będziemy mieć prawdziwe mieszkanie, którego nie będziemy się musieli wstydić i będę mógł zapraszać kolegów do siebie. Zelektryzowała mnie ta wiadomość. Natychmiast przestałem być śpiący i czujnie wsłuchiwałem się w dalszy ciąg rozmowy rodziców. Okazało się, że już wcześniej rozważali projekt budowy domu, co uszło mojej uwadze. Rozmowy te chyba prowadzili w sklepie gdy nie było klientów. Początkowo rozważali projekt zbudowania willi jednorodzinnej, paropokojowej, tylko dla naszej rodziny. Przeważała jednak kupiecka kalkulacja ojca żeby zbudować dom przynoszący dochód, żeby nie był

tylko lokatą kapitału, ale także przynosił zyski. Na starość będzie zabezpieczenie, jak renta - tak twierdził ojciec. Wyliczył, że taki dwupiętrowy dom z 6 - 7 lokatorami przyniesie dochód z komornego ponad 500 złotych miesięcznie. Taka kwota byłaby dobrym utrzymaniem dla całej rodziny. Urzędnik w Radomsku zarabiał 100 - 200 złotych miesięcznie, kierownik szkoły powszechnej 260 złotych, a starosta powiatu miał bardzo wysoką pensję - 500 złotych. Więc przychód z projektowanego domu byłby niezłą rentą „na starość”. Te argumenty przeważały szalę i projekt budowy dwupiętrowej kamienicy został zatwierdzony. Z podsłuchów następných rozmów dowiedziałem się, że ojciec w najbliższym czasie wybierze się do swego kuzyna do Częstochowy, który taki dom niedawno w Częstochowie wybudował i poradzi się go w tych sprawach. Rzeczywiście, w połowie stycznia ojciec wybrał się do Częstochowy. Wrócił bardzo zadowolony. Kuzyn (Zygmunt Olczyk) poparł projekt budowy dużej kamienicy i zachęcał ojca do szybkiego rozpoczęcia tej budowy. Stwierdził też, że poza dobrą lokatą kapitału i zabezpieczeniem na starość, posiadanie takiego domu zapewni ojcu lepszą pozycję w kupieckim świecie. Pod takie zabezpieczenie ojciec dostanie łatwiej większy kredyt niż obecnie. A poza tym, jako aktywny narodowiec, uważał że to przedsięwzięcie jest dobre ze względów patriotycznych. Trzeba dążyć do tego aby jak najwięcej domów miało polskich właścicieli, żeby Żydzi nie mogli się chlępić że „wasze ulice, nasze kamienice”. Kuzyn, jako już doświadczony w sprawach budowy domu, dał ojcu parę dobrych rad, m.in. od czego zaczynać taką budowę, jak starać się o zezwolenie, komu zlecić projekt itp. Ale najważniejszą jego radą było żeby ojciec nie wycofywał kapitału z obrotu, ale wykorzystał tę gotówkę jeszcze w tym sezonie żeby tanio kupić surowce do wyrobu obuwia. Teraz, zimą, jest martwy sezon dla garbarzy. Garbarze teraz nie mają prawie żadnych obrotów, sezon będzie dopiero za 3 miesiące. Gdy się teraz kupi skóry w garbarniach i to za gotówkę - można wynegocjować bardzo duży rabat. I Zygmunt Olczyk zaproponował ojcu, by zrobili wspólny interes. Obaj złożą się po kilka czy kilkanaście tysięcy złotych, objadą kilka garbarni i za te pieniądze zakupią skóry tam, gdzie dostaną największy rabat. W sezonie, tj. za 3 - 4 miesiące te pieniądze im się zwrócą z dużym zyskiem. Na przyszły rok powtórzą tę imprezę i ojciec będzie miał pieniądze na budowę domu bez uszczuplania kapitału obrotowego. Była to cenna propozycja. Poza samym interesem z tanim zakupem ojciec zostanie wprowadzony w grono kierujące hurtowym handlem skórami, co dla ojca planującego w przyszłości otwarcie hurtowni skór i to w Łodzi, było bardzo cenne. Ojciec do tej propozycji kuzyna podszedł z entuzjazmem i już wtedy zawarli ze sobą umowę o współpracy. I ta współpraca z kuzynem spowodowała burzliwy rozwój ojca przedsiębiorstwa. Zgodnie z umową obaj kuzyni cały styczeń i połowę lutego objeżdżali polskie garbarnie nawiązując kontakty z właścicielami garbarni i kupując zgodnie z planem skóry. Zygmunt Olczyk, znacznie

młodszy od ojca, ale dłużej pracujący w handlu i mający duże kontakty handlowe, był znakomitym negocjatorem i umiał uzyskać duże rabaty. Spotykając się z właścicielami garbarń zgłaszał propozycję zakupu dużej ilości skór z wpłatą 20% gotówki i resztę na weksle, po czym negocjował rabat. Zwykle dostawał 10 - 15% bonifikaty. Gdy już prawie doszło do transakcji proponował zwiększenie wpłaty gotówkowej do 40% kwoty w zamian za dalszy rabat. Przeważnie uzyskiwał dalsze 5 - 10% dalszego upustu. Potem jeszcze raz ponawiał zwiększenie wpłaty gotówkowej za dalszy rabat. I tak udało im się uzyskać niekiedy 40% obniżki, a więc kupowali skóry po kosztach wytwarzania, a nawet po nieco niższych. Właściciele garbarń, mając swoje zobowiązania finansowe, zgadzali się na takie transakcje chcąc „złapać” trochę gotówki w tym martwym sezonie i trochę oddechu finansowego, dlatego zgadzali się sprzedawać towar bez zysku. I właśnie takie sytuacje wykorzystywał kuzyn ojca. Trzeba przyznać, że obaj na tej współpracy dobrze zarobili. W swoich sklepach w sezonie sprzedawali skóry po znacznie niższej cenie niż konkurenci, a na wyprodukowanym z tych tanich skór obuwia zarabiali więcej o 1-1,50 zł na parze. Wynikły z tego zabawne sytuacje, bo u ojca te tanie skóry kupował sąsiad Lachman - właściciel hurtowni skór, u którego wcześniej zaopatrywał się ojciec. Sąsiad nie mógł się nadziwić jak ojciec przy tak niskich cenach sprzedażnych wychodzi na swoje. Na jego pytania ojciec żartobliwie odpowiadał, że takiemu dobremu sąsiadowi sprzedaje bez zysku. Na zakupie tanich skór zarobił także drugi sklep ojca, ten ze skórami. Ojciec sprzedawał swój towar najtaniej w Radomsku, więc skonkurował pozostałe sklepy. Zwiększył dwukrotnie swe obroty, pozyskując nową klientelę, ale i spowodował trochę nieporozumień między ojcem a żydowskimi (polskich nie było) kupcami branży skórzanej.

### Martwy sezon

Wracajmy do pierwszego wątku. Styczeń i luty były „martwym” sezonem. Nie było „ruchu” w sklepie. Były dni, że „pies z kulawą nogą” nie chciał wejść do sklepu. W sklepie wciąż dyżurowała mama, bo ojciec był na wyjazdach, załatwiał sprawy urzędowe albo przygotowywał firmę na nadchodzący sezon gromadząc surowce. Mama nie miała w tym czasie w sklepie specjalnego zajęcia. Nie było kupujących więc przeważnie przebywała na zapleczu - czyli w naszym pomieszczeniu mieszkalnym, zajmując się domowymi, gospodarskimi sprawami. Wychodziła do sklepu na odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Czasem po południu, po przyjeździe ze szkoły, i ja z nudów zaglądałem do sklepu. W piątki czyniłem to regularnie, w tym dniu „przychodziły” tygodniowe gazety, które studiowałem od deski do deski. Interesowało mnie wszystko, co się działo na świecie, co opisywały gazety. Lubilem czytać i wiadomości ze świata, i odcinkowe powieści gazet codziennych - te po prostu po-



chłaniałem. Ojciec kupował wiele gazet. Z dzienników codziennie były kupowane: łódzka gazeta „Dzień Dobry”, poznański „Orędownik” - gazeta prawicowa i czasem „Mały Dziennik” - ojca Kolbego. Z tygodników były kupowane: bogato ilustrowane „Na Szerokim Świecie” i poznański „Przewodnik Katolicki”, też ilustrowany. A także gazety: częstochowska „Gazeta Narodowa” - organ tamtejszego Stronnictwa Narodowego (ta gazeta często była pokryta białymi plamami, śladami interwencji cenzury), oraz „Robotnik” - organ partii socjalistycznej (też czasem pokrytej białymi plamami). Tę gazetę ojciec kupował ze względów taktycznych. Przynosili ją kolporterzy, klienci naszego sklepu, i ojciec nie chcąc ich zrażać nabywał ją. Obie te gazety były chowane pod ladą i nie wolno ich było czytać w obecności klientów, żeby nie drażnić ich ewentualnych przekonań. Reszta gazet leżała na ladzie. Kupowana była też „Gazeta Radomska” - dwukartkowy tygodnik, w którym właściwie nic nie było do czytania, ale przynosił ją któryś z członków redakcji i dla świętego spokoju była kupowana<sup>2</sup>. Gazety do sklepu przynosił „gazeciarz”, młody, może 12 letni chłopak, który był naszym stałym dostawcą. W Radomsku gazety sprzedawane były w zasadzie w kioskach, ale częściej kupowało się je u gazeciarzy - młodych chłopców, którzy rano przebiegali ulicę śródmieścia z plikiem gazet pod pachą i zachęcali przechodniów do kupna wykrzykując tytuły sprzedawanych gazet oraz tytuły najważniejszych wiadomości dnia. Same zawołania chłopców-gazeciarzy należały do folkloru miasta. Do dziś pamiętam melodię tych zawołań rozchodzącą się po murach miasta: „Eeeekspress Łódzki”, „Kurier Krakooooowski”, „gazeta Dzień Dobryyyy” wykrzykiwane melodyjnym tonem. Gdy sobie tę melodię gazeciarzy przypomnę to od razu staje mi przed oczyma radomszczański rynek budzący się do życia po nocnym odpoczynku, błyszczące w słońcu białe wieże kościoła farnego na tle białych obłoczków snujących się po błękitnie nieba i prawie puste jeszcze uliczki rozspanego jeszcze miasta. Oj! Te wspomnienia! ..... znów się zapędziłem.

Właśnie gazety były głównym motywem moich odwiedzin sklepu w piątki. Poza tym piątki miałem stałe zajęcie rozdawania biednym jałmużny. Piątek był w Radomsku dniem „dziadów” - tak nazywano wtedy żebraków. W piątki chodzili oni po domach i sklepach po tzw. „proście”. W inne dni nie dawano jałmużny, a usiłujących zebrać w inne dni odsyłano na piątek. Ten dyżur pełniłem zaraz po przyjściu ze szkoły i zjedzeniu obiadu. Dostawałem garść monet po 1 i 2 grosze, miałem obowiązek młodszym żebrakom dawać po 1 groszu, a starszym po 2 grosze. Po południu zebrzących nie było wielu, gross ich przychodziło do południa. Latem było ich więcej niż zimą. W letnie piątki przewijało się ich przez sklep kilkudziesięciu, zimą około dwudziestu, tak że ta jałmużna była raczej symbolem dla dającego.

<sup>2</sup> Ten opis nie może odnosić się do „Gazety Radomskiej”, ale raczej do jednej z mutacji, mającej w tytule nazwę miasta.

Od połowy stycznia głównym tematem rozmów między rodzicami był projekt budowy domu. Po wizycie ojca u kuzyna w Częstochowie projekt ten nabierał już realnych kształtów. O budowie domu i sprawach związanych z tym planem rodzice rozmawiali nie tylko wieczorami, ale i w czasie dyżurów w sklepie. Gdy ojciec nie wyjeżdżał i miał czas dyżurował razem z mamą. Wtedy rozmawiali tylko o budowie domu. Wtedy ja też przychodziłem do sklepu i udając zaczytanego w gazetach przysłuchiwałem się ich rozmowom. Z tych rozmów, uzupełnionych wiadomościami z podsłuchu wieczornych rozmów rodziców, dowiedziałem się, że realizacja budowy jest bliska. Z realizacją budowy ojciec trochę zwlekał nie mając pokrycia finansowego na tak dużą inwestycję i trochę się obawiał. Do przyspieszenia budowy namówił ojca zaprzyjaźniony z nim starszy pan Szwedowski, bardzo znana i szanowana w mieście osobistość. Pan Szwedowski był wielkim społecznikiem a zarazem wielkim patriotą działającym w czasie zaborów. Był kiedyś burmistrzem Radomska. Był też współzałożycielem i opiekunem Ochotniczej Straży Pożarnej w Radomsku, która za jego czasów była skupiskiem inteligencji radomszczańskiej i pod jej szyldem były organizowane patriotyczne imprezy w mieście. Był opiekunem rzemiosła, stąd taka zażyła znajomość z ojcem. Ojciec był starszym cechu szewców i miał przez to stały kontakt z panem Szwedowskim. Pan Jan Szwedowski był bogatym ziemianinem (poza majątkiem ziemskim pod Radomskiem miał też posiadłość w samym mieście), mieszkał w okazałym pałacu położonym na przedmieściu. Był właścicielem dużej cegielni i produkował bardzo dobrej jakości cegły, wykorzystując własne pokłady dobrej gliny. Miał dwóch synów - architektów pracujących w Radomsku. I on ze względów patriotycznych, pragnąc by jak najwięcej Polaków miało własne domy (w zażydzonej wiosce jakim było Radomsko) namawiał ojca do szybkiej realizacji planowanej budowy. Rozproszył obawy ojca, obiecując mu pomoc i doradczą, poprzez swoich synów architektów, i nawet w razie potrzeby materialną. Już na początku widać było tę pomoc. Jego synowie zrobili ojcu projekt za pół normalnej ceny, a on sam zapewniał ojcu dostawę cegieł na kredyt o 30% taniej. Jego pomoc i argumenty przekonały ojca i prace ruszyły. Zapoczątkowane były budową studni (dla zapewnienia budowie wody) i przygotowaniem jesienią wapna lasowanego. Właściwa budowa miała ruszyć wiosną następnego roku. Pan Szwedowski z synami pomagał ojcu ułożyć organizacyjny plan budowy, ułatwił zatwierdzanie projektu (z czym były zawsze kłopoty), pomagał znaleźć odpowiednich i sprawdzonych fachowców, wskazał właściwe źródła zakupu innych potrzebnych materiałów takich jak deski, belki, tregry itp. Jego pomoc była bardzo cenna, ułatwiała ojcu pracę. Nie musiał ojciec przecierać sam nieznanymi „ścieżek” i nie był narażony na różne nieprzyjemne dla nowicjusza niespodzianki. Przez te stałe kontakty zażyłość z panem Szwedowskim przerodziła się w długoletnią przyjaźń, którą ojciec sobie bardzo cenił.

Trochę za daleko odbiegłem w przeszłość, zbacząc z głównego tematu. Chciałem szerzej wspomnieć o panu Janie Szwedowskim, który wart jest choć tej mojej skromnej wzmianki ze względu na zasługi położone dla Radomska. Poza tym bardzo go polubiłem. W czasie realizacji budowy naszego domu pan Szwedowski zachodził często do ojca, interesował się postępami prac, podtrzymywał ojca na duchu dobrymi radami, pomagał w załatwianiu trudniejszych spraw mając duże stosunki i znajomości we wszystkich urzędach. Był naszym dobrym duchem. Przychodząc do nas zawsze znalazł chwilę żeby przyjaźnie porozmawiać ze mną, dzieckiem, jak równy z równym. I ja nieśmiały, uciekający przed towarzystwem dorosłych i nie umiejący się odezwać, w jego obecności zapomniałem o swej nieśmiałości i garnąłem się do rozmowy z nim.

Dla przybliżenia jego osoby przedstawię jego sylwetkę. Pan Szwedowski był starszym panem, chyba dużo po sześćdziesiątce (w tych czasach był to poważny wiek), ok. 25 lat starszy od mojego ojca. Był średniego wzrostu, średniej tuszy, ale bez brzuszka, wyglądał zgrabnie. Bładą i trochę ziemistą twarz pokrywały niewielkie zmarszczki. Głowę z wysokim czołem zdobiła jasno szpakowata i dość gęsta czupryna, zaczesana na gładko na bok. Podobnie szpakowaty, średniej wielkości podkręcony do góry wąs nadawał postaci nobliwego wyglądu. Szaroniebieskie oczy patrzyły ciekawie i przyjaźnie na świat, świadcząc o otwartości, dobroci i przystępności. I takim pan Szwedowski był rzeczywiście. Otwarty i przystępny dla wszystkich. Swoim zachowaniem nigdy nie dał odczuć swej wysokiej pozycji społecznej i swej zamożności. Ubrany był zawsze skromnie, często z odrobiną staroświeckiej elegancji. Chodził zwykle w szarym garniturze, przeważnie w skromnych butach z szerokimi cholewami, do których były wpuszczone nogawki spodni. Tak nosili się jeszcze starzy rzemieślnicy. Zawsze w szarym kapeluszu z wąskim rondem i z laską w rękę. Jak wspominałem należał do czołowej elity miasta i miał duże zasługi dla jego rozwoju. Był organizatorem lub współorganizatorem wielu instytucji użyteczności publicznej w Radomsku. Już w okresie zaborów był aktywnym propagatorem polskości, krzewicielem patriotyzmu walczącym z wynarodowianiem przez zaborcę. Był jednym z głównych opiekunów i założycieli Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, które za główny cel miało organizowanie elity i ochronę ludności przed wynarodowianiem, a działało pod osłoną ćwiczeń gimnastycznych. Towarzystwo to działało jeszcze w latach dwudziestych i w pierwszych latach trzydziestych XX w. Pan Szwedowski był także jednym ze współzałożycieli Ochotniczej Straży Pożarnej w Radomsku, której był długoletnim komendantem a potem Honorowym Komendantem. Organizacja ta, poza jej statutowym celem ochrony przeciwpożarowej, także walczyła o utrwalanie polskości. Po odzyskaniu niepodległości Ochotnicza Straż Pożarna, tak jak Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, była elitarną organizacją skupiającą inteli-

gencję miejską i światlejszych przedstawicieli rzemiosła. Szeregowi członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej w latach 20. i w początkach lat 30. to byli prawie bez wyjątku przedstawiciele rzemiosła. W tych latach członkostwo w Straży Pożarnej nobilitowało, więc Straż liczyła w tym czasie ponad 200 członków, wielokrotnie więcej niż wymagały potrzeby miasta. Prowadziła ona również działalność kulturalną i rozrywkową, jak organizowanie festynów i pikników z okazji rocznic narodowych, niedzielne parady połączone z pokazami musztry i gaszenia pożarów, niedzielne koncerty orkiestry strażackiej w parku strażackim, na które przychodziły tłumy ludzi. Te koncerty i pokazy odbywały się aż do końca lat 30.

Pan Szwedowski był zagorzałym opiekunem rzemiosła radomszczańskiego, opiekował się cechami rzemieślniczymi. Dzięki jego inicjatywie otwarty został dom rzemiosła „Resursa”, w którym poza salami przeznaczonymi na siedziby cechów i sprawy organizacyjne, były także sale przeznaczone na organizowanie większych spotkań i sale rozrywkowe, jak restauracja, kawiarnia i sale bilardowe. Tutaj odbywały się bale, na których spotykały się rodziny rzemieślnicze. W tych salach starano się gromadzić też młodzież rzemieślniczą, dać jej godziwą rozrywkę i w ten sposób integrowało się środowisko rzemiosła radomszczańskiego. Szkoda, że w początkach lat 30. działalność „Resursy” zanikła. Stało się tak chyba w związku ze zubożeniem rzemiosła po ogólnym kryzysie.

Pan Szwedowski usiłował działać także w okupację. W pierwszych dniach wojny był członkiem Komitetu Obywatelskiego, który zorganizował Straż Obywatelską chroniącą miasto przed rabunkami, a potem opiekującą się ludnością miasta i ułatwiającą ludności kontakty administracyjne z niemieckim okupantem oraz pomagającą biednej ludności poprzez organizowanie pomocy materialnej. Trwało to do czasu rozwiązania Komitetu Obywatelskiego. Szkoda, że miasto tak szybko zapomniało o tym społeczniku-patriocie, który tyle dobrego zrobił dla miasta, dla Radomska. Niestety po zmianie okupanta na bolszewickiego pan Szwedowski jako ziemianin, a jeszcze gorzej bo działacz polityczny, zaliczony do niebezpiecznej dla bolszewików klasy „krwiopicjów”, nie miał szans na kontynuowanie swej działalności. I tak został wymazany z pamięci następnego pokolenia. Zapomniano o zasłużonym Obywatelu Miasta. Niech choć ta wzmianka przywoła czytającemu w pamięci Jego Osobę.

#### Post Wielkanocny

A co się działo w sklepie? Pierwsze zimowe miesiące były nudne. Strasznie się dłużyły. Nie można było wychodzić z domu po południu, bo było za zimno na zabawy na podwórku. Nieatrakcyjne były też spacerunki po ośnieżonych pustych ulicach. Podwórkowi koledzy też nie mieli ochoty na zabawy na powietrzu, więc nie

miałem się z kim spotykać poza szkołą. Czasem zachodził pod nasz sklep Jasio Kluf i wywoływał mnie na dwór. Wtedy pospacerowaliśmy sobie trochę po rynku, poopowiadaliśmy sobie o różnych interesujących nas sprawach i odprowadzałem go do jego domu. Te spotkania były jednak rzadkie. Jedyną rozrywką były spotkania rodzinne. Od czasu do czasu wpadała do nas któraś z siostr mamy. Najczęściej najmłodsza, ciocia Rysia. Czasem przychodziła w towarzystwie swego adoratora „pana Heńka”. Goście siadali z mamą na zapleczu, na krawędzi łóżka (bo innego miejsca nie było), w kącie ogrzewanym żelaznym piecykiem i plotkowali sobie. Widziałem, że te wizyty sprawiały mamie przyjemność i zaraz poprawiał się jej humor. I ja cieszyłem się z tych odwiedzin, choć tylko ciocia Rysia ze mną rozmawiała, dla innych ciotek byłem „powietrzem”. Pomimo tego lubiłem być w ich towarzystwie i jak zwykle przysłuchiwałem się pilnie ich rozmowom. Przynajmniej dowiedziałem się o czym dorosli plotkują. Wieczorem te plotki były jeszcze komentowane przez rodziców w swych zwykłych wieczornych rozmowach.

W międzyczasie, z końcem lutego, ruch w sklepie zaczął się zwiększać. W miarę zbliżania się Wielkiej Nocy coraz więcej klientów odwiedzało nasz sklep. Widać było bliski sezon. Sklep z końcem lutego budził się z zimowego snu i zaczął nabierać życia. Rodzicom poprawił się humor i mogli już co wieczór podsumowywać kasę i cieszyć się, że handel ruszył i z dnia na dzień nabiera rozpędu. Na dobre ten niecierpliwie oczekiwany ruch zaczął się miesiąc przed świętami. Teraz już oboje musieli cały dzień dyżurować w sklepie. Całe trzy tygodnie sklep był pełen klientów, pełen gwaru, pełen przekrzykujących się nawzajem głosów wołających o podanie im butów do przymierzenia. W tym harmiderze, jak tę kakofonię głosów nazwali rodzice, trzeba było zwijać się jak w ukropie. Trzeba było jak najszybciej obsłużyć jak największą ilość klientów. Rodzice bez przerwy biegali na zaplecze i z powrotem, obładowani pudełkami butów. Biegali z drabinkami sięgając po pudełka z butami umieszczone na półkach pod sufitem. Już nie było czasu na rozmowy z klientami, na fachową ich obsługę czy doradzenie im przy wyborze obuwia. Wszystko odbywało się w tłoku, pośpiechu i hałasie. Nawet tak uciążliwe dla sprzedającego zwykle długie targowanie się o cenę, teraz przebiegało znacznie krócej. Klienci też byli zmęczeni tym tłokiem i hałasem, nie mieli ochoty zbyt długo uzgadniać ze sprzedawcą ceny. Nawet mnie zapędzono do pracy w sklepie. Zaraz po powrocie ze szkoły musiałem szybko zjeść podany przez służącą obiad i zaraz iść do sklepu na dyżur. Siadałem w kącie przy wejściu na małym stołku. Miałem za zadanie obserwować ten tłum i od czasu do czasu pokręcić się wśród klientów żeby sprawiać wrażenie, że sklep i od środka jest pilnowany. Miało to zapobiegać kradzieżom, które od czasu do czasu się zdarzały. Rodzice na wszelki wypadek podawali do miary tylko jeden, prawy but. Nigdy nie podawano lewego - tak było uzgodnione z kupcami sprzedają-

cymi obuwie. Dlatego żeby złodziej, który ukradł w jednym sklepie prawy but nie mógł w drugim sklepie ukraść lewego. Taki harmider kończył się około godziny 18., choć klienci jeszcze zostawali i do 20. po zamknięciu sklepu. Czasem nawet dłużej. Po oficjalnym zamknięciu sklepu wpuszczani byli tylnym wejściem od podwórza. Ale wieczorem tłoku już nie było. Po takim gorącym dniu rodzice ledwo stali na nogach, nie mieli sił ani ochoty nawet na zjedzenie kolacji. Szybko przeliczali kasę, wypijali szklankę herbaty i bez zwykłych rozmów kładli się do łóżka.

Taki ruch trwał do niedzieli palmowej włącznie, bo w tę niedzielę sklepy były otwarte jak w dzień roboczy. Od Wielkiego Poniedziałku ruch w sklepie jakby się ucinał. Tylko nieliczni klienci odwiedzali nasz sklep, a od Wielkiego Czwartku ruch zamierał zupełnie. Sklep opustoszał, a rodzice po tej trzytygodniowej „orce” mogli sobie trochę odetchnąć i podsumować rezultaty tego sezonu. Z ich rozmów, zadowolenia widocznego na twarzach i dobrych humorach widać było, że sezon się udał. W wieczornych rozmowach podsłuchiłem, że jeszcze nigdy takiego sezonu nie mieli i że sezon przyniósł nadspodziewane zyski. Ten sezon nawet nazwali „żniwami” i to słowo weszło do rodzinnego słownictwa określając udany sezon.

I tak bez większych wydarzeń nadeszła Wielkanoc, która dla nas dzieci była zawsze wyjątkowym wydarzeniem. Tegorocznej Wielkiej Nocy nie pamiętam dobrze, mało mi się utrwaliło w pamięci. Wiem, że w tym roku nie dałem się ojcu nabrać na wspólne suszenie w Wielki Piątek, co mi ojciec znów zaproponował. Odpowiedziałem, że na takie imprezy się nie piszę, bo ojciec znów będzie sobie po kryjomu podjadał i pościć będę ja sam. Więc po co w ogóle zaczynać?! Ale zgodnie z zasadami zachowałem ścisły post jedząc raz do syta - w obiad oraz mniej na śniadanie i kolację, bez podjadania między posiłkami. A ojciec, swym zwyczajem, podjadał wędzone szprotki schowane pod ladą. Ale chyba krył się przed mamą, bo mama jak i ja zachowywała ścisły post.

Zapamiętałem rekolekcje. Odbyły się w pierwszych trzech dniach Wielkiego Tygodnia. Były dla nas atrakcją ze względu na wolne od nauki dni. Przychodziliśmy dwa razy dziennie do kościoła, na godzinę 9 i na godzinę 14. Z miernym zainteresowaniem słuchaliśmy nauk wygłaszanych przez księży. Nie wchodziły nam one do głowy. Atrakcją tych dni były spotkania w gronie kolegów po tych naukach. Po 1,5 godziny nauki jeszcze z godzinę spacerowaliśmy sobie po mieście w grupach oglądając wystawy sklepowe. Wiem jeszcze, że tej Wielkiej Nocy nie dostałem pantofli, co mi wcześniej obiecywano i co było moim marzeniem. Dostałem, jak co roku, kamasze i poczułem się bardzo zawiedziony. Ojciec zmienił zdanie w sprawie pantofli. Uważał, że kamasze mi wystarczą i cały rok w nich przechodzę, i że na moje bieganie szkoda delikatnych pantofli, że nie muszę się modnie ubierać, bo jestem na to za młody. A większość moich kolegów wiosną chodziła w pantoflach. Tylko ci bied-

niejsi biegali cały rok w kamaszach. I ja także. Czuję się z tego powodu niedowartościowany. Same święta w tym roku przeszły prawie niezauważalnie i nawet z przyjemnością poszedłem po świątecznej przerwie do szkoły, żeby się spotkać znów z kolegami.

Nudne lekcje nigdy mnie właściwie nie interesowały. Na lekcjach puszczałem wodze fantazji i patrząc na świat przez okno naszej klasy snułem marzenia o podróżach, przygodach, zwiedzaniu dalekich nieznanych krajów. I teraz było to samo. Czasem zaciekawiły mnie lekcje geografii i opowiadania nauczycieli o innych krajach, o egzotycznych ludziach je zamieszkujących. Czasem była ciekawa lekcja historii. Słuchając opowieści o wydarzeniach z przed wieków, o losach naszego narodu, przenosiłem się wyobraźnią w tamte czasy. Mniej mnie interesowały wojny, które prowadziliśmy, i bitwy które najczęściej przegrywaliśmy. Grozą przejmowały mnie opowieści o najazdach Tatarów na nasze ziemie. Współczułem morderowanym przez nich ludziom, a jeszcze bardziej tym, których pędzono do niewoli w „jasyr” - o czym barwnie opowiadała pani od historii. Często na bazie tych opowieści snułem w wyobraźni swoje indywidualne opowieści nie zwracając już uwagi co się na lekcji dzieje. Te swoje opowieści w wyobraźni często przenosiłem na następne lekcje, na których już duchowo byłem nieobecny. Stąd te moje słabe oceny ze wszystkich przedmiotów. Moja „nieobecność” na lekcjach bardzo denerwowała nauczycieli, którzy nieraz kilkakrotnie na lekcji przywoływali mnie do porządku widząc mój kompletny brak zainteresowania prowadzoną przez nich lekcją. Często kończyło się to wpisaniem oceny niedostatecznej do dziennika. Ożywiailiśmy się za to na przerwach, na których zabawą, bieganiem i krzykiem rekompensowaliśmy sobie konieczność siedzenia na tych nudnych lekcjach. I tak było codziennie.

Czasem zdarzały się atrakcyjne wydarzenia. Jednym z takich atrakcyjnych wydarzeń była wycieczka do Metalurgii, wielkiego zakładu w Radomsku produkującego wyroby metalowe. Na tę wycieczkę poprowadził nas nasz wychowawca pan Strzelichowski. Metalurgia, wielka fabryka zatrudniająca ponad 4 000 ludzi, znajdowała się prawie w środku miasta, zajmując wielką powierzchnię, od strony miasta ogrodzoną szczelnym wysokim płotem. Francuski właściciel zatrudniał na kierowniczych stanowiskach inżynierów sprowadzonych z Francji, którzy wraz z rodzinami mieszkali m.in. w dużym piętrowym budynku, odizolowani od mieszkańców zamkniętą bramą wjazdową. I sama fabryka i ten dom „francuski” stojący na naszej drodze do szkoły zawsze wzbudzał naszą ciekawość swą tajemniczością. Teraz była okazja zaspokoić naszą ciekawość, więc cieszyliśmy się z tej wycieczki. Przy wejściu na teren fabryki oczekiwał na nas przewodnik, który nas oprowadzał po zakładach pokazując ciekawe oddziały i objaśniając nam, co się w nich produkuje. Zakład składał się z wielu oddziałów rozmieszczonych w kilku halach. Wszystkie były

w murowanych budynkach, z dużą bramą wjazdową każdy, z oknami umieszczonymi bardzo wysoko lub tylko ze świetlikami w dachu, przez które dochodziło do hali światło. Tych hal było wiele, ale nie wszystkie mogliśmy odwiedzić. Pierwsze wrażenie w zetknięciu się z fabryką to jej ogrom i straszny hałas w halach, półmrok i poruszające się hałaśliwie jakieś maszyny i urządzenia, którymi wypełniona była każda hala. Kręcący się przy tych maszynach ludzie, ubrani w ciemne i poplamione jakimś smarem robocze ubrania, błyskali groźnie w naszym kierunku białkami oczu odcinającymi się od prawie czarnych umorusanych sadzą twarzy. W kilku miejscach hali z maszyn tryskały co pewien czas snopy iskier, oświetlające na chwilę czerwonią całą halę. W kącie hali, z jakiejś większej maszyny, od czasu do czasu buchał płomień przysłaniany natychmiast syczącym obłokiem wydobywającym się z tej maszyny pary. W tym półmroku i powtarzających się błyskach czerwieni groźnie wyglądały sylwetki robotników o czarnych twarzach i groźnie świecących białą białek oczach. Widok ten wzbudzał we mnie niepokój. Nie wiem dlaczego, przyglądając się temu zjawisku z niepokojem i strachem, pomyślałem sobie czy przypadkiem nie tak wygląda piekło. Czy nie w takich maszynach usmoleni szatani męczą ogniem i torturami potępione dusze? Choć z wielką ciekawością oglądaliśmy prace w tej hali, to opuszczaliśmy ją z wielką ulgą, przestraszeni i pełni wrażeń. Z przyjemnością znalazłem się na powietrzu a widok błękitnego nieba, bo tylko skrawek nieba było widać spoza kompleksu budynków, pozwolił nam otrząsnąć się z wrażenia. Zaprowadzono nas do hali różniącej się do poprzedniej. Tu hałas był mniejszy i było jaśniej. Kilka rzędów maszyn ustawionych w szeregach znacznie od siebie oddalonych sprawiało wrażenie luzu i przestronności. Tu robotników obsługujących maszyny było znacznie mniej, byli mniej usmoleni, ich ubrania były bardziej czyste. To był dział produkujący druty. Mogliśmy oglądać jak z ostatniej w szeregu maszyny podawany z poprzedniego urządzenia gruby drut przechodzi przez jakby matrycę - metalową płytę z małym otworem w środku. Po przejściu przez ten otwór gruby drut staje się ciekim i nawijany na bęben jest prawie gotowym produktem. Taki zwój drutu, jak mówił nasz przewodnik, musi być jeszcze oczyszczony w specjalnych kąpielach zanim będzie gotowy do wysyłki. Ten wydział bardzo nas zainteresował. Ciekawa była także następna hala, z rozstawionymi gęsto mniejszymi maszynami stukającymi miarowo, co przy dużej liczbie tych maszyn sprawiało wrażenie jakby ciągłego grzmotu. Tutaj produkowano gwoździe. Z bębnow z nawiniętym drutem, umieszczonych przy maszynach, podawany został do nich drut. Maszyna cięła go na kawałki, potem ucięty kawałek został ujęty jakby w kleszcze i zostawał uderzony jednocześnie stemplem i tak powstawał gwóźdź, który maszyna wrzucała do specjalnego pojemnika. Każda maszyna wyrabiała inny rodzaj gwoździ. W tej hali było najprzyjemniej i najciekawiej. Tu zostaliśmy na dłużej. A wielką frajdą było, gdy



pozwolono nam zabrać po parę gwoździ na pamiątkę. Ta wycieczka była dla mnie wielkim przeżyciem i długi czas była tematem moich wieczornych marzeń. Przez długi czas trzymałem w moim schowku te pamiątkowe gwoździe. Rozentuzjowany przeżyciami tej wycieczki chciałem się z kimś podzielić swymi wrażeniami. Rodzice nie wykazali zainteresowania jak produkuje się gwoździe czy druty. Dla kolegów z podwórka też nie był to interesujący temat. Pozostała mi dziewczyna. Przy najbliższym spotkaniu zacząłem jej opowiadać swe wrażenia, ale przerwałem zawiedziony, że mnie nie słucha. I tak zostałem sam ze swymi przeżyciami. Szkoda, że Tadzio Sokołowski był już w wojsku. Z nim można było się tymi wrażeniami podzielić. Do dziś, po dziesiątkach lat, widzę w pamięci te hale i tych podobnych do diabłów ludzi obsługujących maszyny, ich umorusane twarze, błyszczące w mroku białka ich oczu oświetlone snopami isker.

Trzy tygodnie przed wakacjami nasz wychowawca zapowiedział, że w przyszłym tygodniu zabierze nas na całodniową wycieczkę do lasu. Na tę wiadomość cała klasa wybuchła gromkim krzykiem zadowolenia. Pod kierunkiem wychowawcy zaczęliśmy omawiać program tej wycieczki. Ustaliliśmy że pójdziemy plantami w stronę rzeki, ale do samej rzeki nie dojdziemy. Zatrzymamy się w pierwszym lesie i tam urządzimy sobie biwak. Nad rzekę, choć prosiliśmy o to pana Strzelichowskiego, nie zgodził się nas zabrać. Mówił, że to jest znacznie dalej a my nie będziemy mieli tyle czasu, no i nad rzeką las jest bagnisty. Choć to była prawda wiedzieliśmy, że nad rzekę nie chce nas zabrać dla naszego bezpieczeństwa. Takiej gromady rozbawionych chłopców sam jeden nie mógłby nad rzeką upilnować. Nie nalegaliśmy więcej. Nie mogliśmy się doczekać dnia tej wycieczki. Codziennie rozmawialiśmy tylko o niej i modliliśmy się żeby pogoda nie zepsuła nam planów. W przypadku deszczu byłyby nici z tej wycieczki. Na szczęście w tym dniu pogoda dopisała, dzień był piękny i słoneczny. Zebraliśmy się znacznie wcześniej przed klasą, każdy z wałówką i garnuszkiem, za to bez książek i zeszytów. Zjawił się pan Strzelichowski. Rozdzielił paru chłopcom przygotowane szpadle, a dwóch osiłeków wzięło na ramiona duży kocioł wypełniony mlekiem (na nasze śniadanie) i nieśli go na grubym drążku. Ruszyliśmy przez miasto dwójkami. Doszliśmy do torów kolejowych i dalej poszliśmy wzdłuż nich wąską ścieżką na nasypie ziemnym - wale powstałym przy budowie kolei. Tę ścieżkę nazywano „plantami”. I tak doszliśmy do skraj dużego lasu. Tutaj pan Strzelichowski wybrał na postój ładną polanę, podzielił nas na grupy i zagonił do pracy. Jedna grupa szpadlami wykopywała kolisty rowek i to miejsce miało nam służyć do wygodnego siedzenia przy jedzeniu. Druga grupa wykopała z daleka od miejsca biwakowania dołek na nieczystości. Inna grupa zbierała gałęzie na ognisko, a nie wolno było łąmac gałęzi z drzew. Następni rozpalili ognisko i umocowali kocioł gotując przyniesione mleko. Było to świetne zajęcie i zabawa dla wszystkich,

robiliśmy to z entuzjazmem. Po skończeniu tych prac był czas na zabawy, gonitwy i spacery po lesie. Potem na dany sygnał zajęliśmy miejsca w wykopanym ziemnym „stole”, rozłożyliśmy zabrane z domu jedzenie, a dyżurni nalewali nam do garnków ugotowaną w kotle kawę. I tak spędziliśmy następną godzinę, jedząc i wesoło rozmawiając. Na zakończenie pan Strzelichowski uciął nam interesującą pogawędkę na temat lasu, biwaków, zachowania się w lesie, szanowania lasu, przyrody itp. Była to pogawędka wychowawcza, choć bardzo ciekawa. Na zakończenie odśpiewaliśmy parę piosenek i trzeba było szykować się do powrotu. Zasypaliśmy wykopany rowek biwakowy, zabraliśmy śmieci i zakopaliśmy je w przygotowanym na początku dołku, zasypaliśmy ognisko. I tak zostawiliśmy las takim jak go zastaliśmy. To też była lekcja pogładowa zachowania w lesie. Pełni wrażeń, weseli, rozbawieni, choć trochę zmęczeni tym parokilometrowym marszem i bieganiną po lesie, ruszyliśmy wesoło gromadą w drogę powrotną. Dochodząc do pierwszej ulicy uformowaliśmy dwójkowy szereg i „grzecznie” dobiliśmy do szkoły. Wychowawca nie pozwolił nikomu na opuszczenie szeregu, choć kilku mieszkających „po drodze” chciało by się urwać. Musieliśmy solidarnie dojść do szkoły, zdać wypożyczony sprzęt, a przed tym umyć kocioł. Dopiero wtedy mogliśmy się rozejść. Ciekawe, że teraz nikomu się nie spieszyło do domu i jeszcze jakiś czas kończyliśmy swe rozmowy pozostając w szkole. Wyprawa nam się bardzo udała. Nawet spytaliśmy wychowawcy czy zaraz po wakacjach nie zechciałby nas na podobną wycieczkę zabrać. Powiedział że jest to możliwe, ale zależy to od naszego zachowania, bo przecież taka wycieczka jest dla nas nagrodą.

To był ostatni przyjemny akord naszej nauki w tym półroczu, nauki która zbierała się już ku końcowi - za 3 tygodnie koniec roku i wakacje. Świadomość tego, że za 3 tygodnie koniec roku i wakacje zepsuła mi humor. Pomyślałem o moich niezbyt dobrych postępach w nauce, o moim zagrożeniu pozostaniem w tej samej klasie i aż zaczęło mnie ścisnąć w gardle ze strachu. Ten półroczny okres nauki do wakacji, poza dwoma wymienionymi ciekawszymi wydarzeniami, nie odznaczył się niczym szczególnym. Co prawda jak zwykle nie interesowałem się nauką, więc nie mogłem nic ciekawego zauważyć. Bardzo niewiele z tego okresu pamiętam. Myślę, że stało się tak przez jedno najważniejsze dla mnie wydarzenie. Jak się zaczęło trochę ocieplać zacząłem się znów regularnie spotykać ze swoją dziewczyną. Te spotkania, które przerodziły się szybko w wielką wzajemną sympatię zdominowały i zagłuszyły wszystkie inne wydarzenia tego okresu. Zaczęły się długie spacery we dwoje. Po lekcjach, albo ona albo ja, czekaliśmy na siebie pod bramą szkoły i ruszaliśmy na spacer po okolicy. Z czasem nam to nie wystarczało. Spacerzy nie mogły trwać długo, bo przecież trzeba było o „ludzkiej” porze wrócić do domu na obiad, by nie wzbudzać podejrzeń rodziców. Zaczęliśmy się więc umawiać dodatkowo na popołudnie. A nie

było to takie proste. Trzeba było stale wymyślać jakiś powód, by rodzice zgodzili się wypuścić mnie z domu. Udawało się jakoś przez pewien czas mylić czujność rodziców i wymykać się z domu. Umawialiśmy się wtedy przeważnie pod bramą klasztoru i stąd ruszaliśmy w bliskie, a potem zapuszczaliśmy się w coraz dalsze okolice miasta, często do naszego parku. Wtedy musieliśmy tam iść bocznymi ulicami nie chcąc być zauważonym przez moich rodziców, którzy sklep mieli w rynku, a więc na trasie wiodącej do parku. W parku siadaliśmy sobie na ławeczce w ustronnej alejce, przytulaliśmy się do siebie - początkowo nieśmiało, potem coraz odważniej. W tych czasach, jak na 11-latków, było to dużym ewenementem. Dużą przyjemność sprawiało mi trzymanie jej dłoni, głaskanie po gołych rękach, po włosach i po twarzy. Było to dla mnie dużym, przyjemnym, nieznanym do tej pory przeżyciem. I ona lubiła te pieszczoty i czasem dopominała się o nie. A to mi sprawiało dodatkową przyjemność. Zasmakowaliśmy oboje w tych pieszczotach i teraz zamiast dłuższych spacerów po okolicy szukaliśmy ustronnych miejsc, gdzie z dala od ludzi mogliśmy sobie usiąść obok siebie, poprzytulać się. Idealnym miejscem na takie spotkania był zadrzewiony park z ławeczkami w bocznych alejkach, zaciemnionych krzewami bzu i jaśminu. Dobrym miejscem był dla nas też park strażacki z ławkami pod dużymi kasztanami. W dni powszednie ten park był zamknięty, więc pusty. A my wchodziliśmy tam przez dziurę w płocie. Dobre było też boisko sportowe, dostępne także przez dziurę w płocie. Nie gardziliśmy nawet klatkami schodowymi piętrowych domów. Tam, siedząc na ostatnim, strychowym, podeście schodów mogliśmy bez obawy o świadków przytulać się do siebie. Po paru takich spotkaniach głaskania rąk i dotykania twarzy przestało mi to wystarczać. Sprowokowany przypadkowym odsłonięciem się kolan dziewczyny zdecydowałem się na mocniejsze pieszczoty, gładząc jej kolana i trochę wyżej. To mi sprawiało jeszcze większą przyjemność. Dziewczyna była w pierwszym momencie zaskoczona, trochę zażenowana, nawet próbowała się bronić - niezbyt stanowczo zresztą. Widok jej zażenowania i zarumienione policzki też wywoływały we mnie jakieś dziwnie przyjemne uczucie. To było za pierwszym razem, później stało się to dla nas „normą”. Do dziś nie mogę zapomnieć przyjemnego wzruszenia i zachwytu jakiego doznałem, gdy w czasie takich pieszczot dziewczyna przytuliła się do mnie, pogłaskała moje włosy i przytuliła czule swą głowę do mej twarzy, przytrzymując ją trochę dłużej. W takiej chwili przeze mnie przeszedł jakby prąd. W tej chwili zrozumiałem, że ona mnie bardzo lubi, że jestem dla niej kimś ważnym, drogim. Ja, spragniony od dzieciństwa miłości, przytulania, pocałunków, których nie mogłem znaleźć ani u moich rodziców, ani u bliskich przez których czułem się odrzucony, teraz podświadomie czułem, że jest ktoś dla kogo nie jestem obojętny, ktoś kto mnie lubi. I to było wspaniałe uczucie. Podświadomie czułem się dowartościowany. A dotknięcie jej gorącego policzka, które mną tak wstrzą-

snęło, przez długi czas jeszcze czułem na twarzy. Zасыpiając w łóżku przez parę nocy rozpamiętywałem to wydarzenie, czując na twarzy ciepło jej gorącego policzka. To było jedno z największych emocjonalnych przeżyć mojego życia, choć zdarzyło mi się w wieku 11 lat, więc jeszcze z właściwym seksem nie miało dużo wspólnego. Gdy przypominam sobie to zdarzenie, jeszcze teraz po 67 latach ogarnia mnie wzruszenie. I nawet teraz wyobraźnia pozwala mi odczuć dotyk gorącego policzka tej dziewczyny i pełen czułości gest pogłaskania mych włosów. Wtedy wyznaliśmy sobie miłość. Na dziecięcy sposób. Po prostu powiedziałem jej, że ją bardzo lubię i że jak dorosnę i będę zarabiał, to się z nią ożenię. Ona odwzajemniła mi się wyznaniem, że mnie bardzo lubi - i na tym wyznania się skończyły. Ciekawe, że wtedy nie przyszło mi do głowy by ją pocałować. Do dziś nie mogę się nadziwić, że jej wtedy nie pocałowałem. Chyba oczekiwała tego?

Byliśmy jeszcze wielkimi dziećmi, nie to co dzisiejsze 10-latki, i nie mogliśmy przeżyć tej przygody właściwie. Choć byliśmy już nieco uświadomieni - na dziecienny sposób - teoretycznie wiedzieliśmy, co możemy wspólnie ze sobą zrobić. Ale wpojone pojęcie grzechu przed „nieczystym” dotykiem partnerów, jak nas ostrzegała nasza katechetka pani Kryszczyńska, i groźba kary Bożej, piekła itp. Skutecznie hamowała na razie moje zapędy. Pamiętam, że gdy na jednym ze spotkań, po dłuższej walce ze sobą, zacząłem głaskać kolana mej dziewczyny. Ręka sama wędrowała coraz dalej. Dziewczyna nie stawiała oporu, a nawet prowokowała ciałem przytulając się do mnie czule. Widziałem, że i ona chciałaby, by sprawy zaszły trochę dalej. Byłem bliski przekroczenia granicy „niewinnych” pieszczot, ale obraz pani Kryszczyńskiej, groźnie na mnie spoglądającej w mej wyobraźni, ostudził skutecznie moje zapędy. Przypomniałem sobie, że przecież za namową katechetki przyrzekałem Matce Boskiej, że nie będę „nieprzyzwoicie” dotykał dziewczyn i że do ślubu nie zbliżę się cieleśnie do żadnej dziewczyny. Chyba moja partnerka była zaskoczona, gdy w prawie kulminacyjnym momencie odsunąłem się od niej zasłaniając sukienką jej gołe nogi. Widząc jej zdziwiony wzrok powiedziałem, że przypomniałem sobie że obiecałem wcześniej wrócić do domu i odszedłem. I tak obraz pani Kryszczyńskiej nie pozwolił nam na pełne przeżycie naszej przygody.

Dziewczyna chyba miała żal do mnie. Nie powiedziałem jej przecież, że to wina mej katechetki. Gdy spotkaliśmy się na drugi dzień nie chciała siadać na ławce w parku ani nie pozwalała się przytulić. Po trzech czy czterech spacerach wszystko wróciło do normy. No nie zupełnie wszystko. Głaskałem jej ręce, twarz, włosy, ale pod sukienkę ręka moja już się nie zapuszczała. Tak spotykaliśmy się do wakacji. Dla mnie te spotkania były zawsze wielkim wydarzeniem i przyjemnością. Już wieczorem, leżąc w łóżku, myślałem o spotkaniu z tą dziewczyną następnego dnia, oczekując go z radością. Rano szedłem do szkoły z przyjemnością, wiedząc że po lek-

cjach ją spotkam. Ciekawe, że ja nie chciałem mej dziewczyny pokazać kolegom, a ona nie chciała mnie poznać ze swoimi koleżankami. Chyba tak objawiała się zazdrość. W tym czasie spotkań zapomniałem o zabawach podwórkowych i o kolegach, żyjąc tylko tymi spotkaniami. Były kłopoty z rodzicami, bo rzadko zaglądałem do sklepu, „ginąłem” z domu na całe popołudnia i nie wiadomo gdzie się podziewałem (jak mówili rodzice) i wykrętnie, niewiarygodnie się tłumaczyłem z nieobecności w domu. Dobrze, że rodzice zajęci sklepem nie zwracali na mnie za dużej uwagi.

Powoli zbliżał się koniec roku szkolnego. Jak zwykle przed zakończeniem nauki przechodziłem duży stres. Nie ucząc się i nie odrabiając domowych zadań zawsze byłem zagrożony pozostaniem na drugi rok w tej samej klasie. Teraz, zajęty dziewczyną, tym bardziej nie miałem czasu na naukę. Ten stres zaczął trochę zagłuszać uczucia do mojej dziewczyny. Po uroczystości zakończenia roku, po otrzymaniu cenzury (bardzo kiepskiej zresztą, ledwie przeszedłem do następnej klasy), byłem tak przejęty i do tego przestraszony czekającą mnie awanturą w domu i przeprawą z ojcem, że zupełnie zapomniałem o dziewczynie. Nie czekając na nią poszedłem zdruzgotany do domu. Po nieprzyjemnej przeprawie z ojcem doszedłem wieczorem do siebie i wtedy przypomniałem sobie o dziewczynie. Bardzo się zdenerwowałem tym, że nie czekałem na nią, że się z nią nie pożegnałem, nie umówiłem na wakacyjne spotkania. Zdałem sobie sprawę, że zrobiłem jej wielki afront, wyrządziłem jej przykrość. Do tego, na nieszczęście, choć byłem z nią tak emocjonalnie związany to nie zapytałem nawet jak się nazywa, jak ma na imię. Nie wiedziałem gdzie mieszka, bo spacerując po okolicy nigdy nie chciała mi pokazać gdzie mieszka. Może wstydziła się biednego mieszkania? I tak, ku mojemu wielkiemu żalowi, nie mogłem z nią w wakacje nawiązać kontaktu. Długi czas nie mogłem otrząsnąć się z żalu. Parę nocy nawet wybeczałem w poduszkę z żalu nad utratą kontaktu z dziewczyną i z żalu nad sobą. Miałem jeszcze nadzieję, że po wakacjach znów się spotkamy i tylko wakacje będą stracone. Przez wakacje, pochłonięty wydarzeniami rodzinnymi (sklep, budowa domu, wyjazdy na jarmarki z dziadkiem) zapomniałem trochę o niej. Z początkiem roku szkolnego tęsknota za nią wróciła. Zacząłem jej szukać. Czekałem na nią jak dawniej przed bramą szkoły po lekcjach, szukałem jej na pauzach. Nie znalazłem jej. Nie czekała na mnie przed szkołą, na co miałem nadzieję. Zniknęła. Nie wiem czy mnie tak skutecznie unikała nie mogąc mi wybaczyć afrontu, czy przestała chodzić do szkoły. Parę miesięcy chodziłem jak struty. Nie docierały do mnie wydarzenia dziejące się wokół, nie obchodził mnie świat ani dom. Czekałem na nią. Nie przyszła!

Tak straciłem swoją dziewczynę, swoją pierwszą miłość. Gdy ją straciłem dopiero wtedy poznałem, jak bardzo ją lubiłem i jak mi była droga. Tak straciłem kolejną dziewczynę, której w wieku dziecięcym obiecałem małżeństwo. Jednak

pierwszą, którą tak bardzo polubiłem i pierwszą, która tak silnie odwzajemniała moje uczucia i mówiła mi to. I pierwszą osobę przez którą byłem ceniony, dla której byłem ważnym i która (nie wiedząc o tym) była dla mnie podporą. Dla mnie, lekceważonego przez wszystkich, było to przecież cenną wartością. Ta przyjaźń i to przeżycie pozwoliło mi się dowartościować we własnych oczach. Miało to pozytywny wpływ na dalsze moje zakochania. Od tego czasu stałem się pewniejszy siebie. A to dla mnie, tak nieśmiałego chłopca, było wiele.

A swoją drogą był ze mnie kiepski adorator. Chodzić z dziewczyną parę miesięcy, darzyć ją tak wielką sympatią i nie spytać się o jej imię, nazwisko, nie zainteresować się gdzie mieszka, nie pożegnać się przed wakacjami i nie umówić się na wakacyjne spotkania - to rzeczywiście dziwne. Chyba głupota i lekceważenie odczucia drugiego człowieka, no i wielki egoizm. Była to bardzo bolesna lekcja na przyszłość, z której wyciągnąłem wnioski. Była to dla mnie także wielka przygoda. Wzbudziła we mnie pragnienie spotkania na swej drodze człowieka, dziewczyny, z którą mógłbym przeżyć głębszą miłość, z którą mógłbym założyć kochającą się rodzinę i przeżyć z nią życie. I to pragnienie zapadło mi głęboko w psychikę. Od tego czasu zacząłem tęsknić za przeżyciem takiej miłości i marzyć o spotkaniu tego jedyne go człowieka, z którym mógłbym związać swe życie. Trochę to dziwne jak na 11-letniego chłopaka. Od tego czasu zacząłem się modlić, by Bóg mi pozwolił spotkać właściwą dziewczynę, pozwolił związać się z nią na zawsze i przeżyć wielką miłość. Naturalnie o pośrednictwo w tej sprawie u Boga prosiłem Matkę Boską, bo do Niej miałem od dawna największe nabożeństwo. Tyle napisałem o tym wydarzeniu, bo było bardzo ważnym wydarzeniem mego życia i miało duży dodatni wpływ na dalsze moje losy.

A co po Wielkiej Nocy w rodzinie i w sklepie? Po zakończeniu tego niespodziewanie dobrego sezonu rodzice na długo odzyskali dobry humor. Wróciły zwyczajnie prowadzenia wieczornych rozmów w łóżku, ostatnio bardzo zaniedbane. Ojciec ukontentowany niespodziewanym dużym zyskiem, nabrał większej pewności siebie i już zaczął planować rozwój sklepu. spłacenie zaciągniętych przed sezonem kredytów poszło z łatwością. Poza tym, jak dowiedziałem się z rozmów rodziców, dużo gotówki zostało jeszcze w kasie i ojciec mógł śmiało powiększać interes. I robił to. Zakupił na następny tegoroczny sezon większą ilość towaru i rozszerzył asortyment sprzedawanego obuwia. Zaczął sprowadzać większe ilości luksusowego damskiego obuwia ze znanych firm, takich jak bydgoska „Salamandra”, warszawski „Tenis” czy „Struś i Kieliszek”. Było to drogie obuwie. Do tej pory ojciec kupował tylko wybrane tańsze modele tych firm, i to w symbolicznych ilościach obawiając się, że w Radomsku nie będzie na nie amatorów. Na ten drugi sezon w tym roku sprowadził duży asortyment letniego obuwia, czego do tej pory nie miał odwagi zrobić. Były to mod-

ne damskie pantofelki w jasnych kolorach, bez pięt, ażurowe, przewiewne, tzw. wtedy „gandówki”. Były też letnie sandały męskie i damskie tzw. „rzymki”, składające się z pasków, ale z zakrytą piętą oraz duży asortyment przewiewnego kolorowego obuwia młodzieżowego itp. Na takie zakupy przed sezonem trzeba było wyłożyć dużo pieniędzy. Naturalnie to wszystko ojciec brał przeważnie na kredyt płacąc za towar weksłami, wykupywanymi potem w sezonie. Kupując na kredyt płacił dużo drożej za towar. Siłą rzeczy przedtem robił takie przedsezonowe zakupy mniejsze i zawsze z obawą czy ten towar w sezonie znajdzie nabywców, czy „pójdzie”, czy będzie za co wykupić weksle. W tym roku mając znaczną część swojej gotówki mógł sobie pozwolić na większe ryzyko. Teraz przyjął też ojciec kilku nowych pracowników, zwiększając tym samym produkcję własnego obuwia.

Dobrym duchem dopingującym ojca do rozwijania firmy i brania na to dodatkowych kredytów był kuzyn z Częstochowy Zygmunt Olczyk. Ojciec zawsze bał się brać kredyty z obawy, że przy słabym sezonie może to doprowadzić do upadku firmy. Kuzyn Zygmunt Olczyk zaczął nas teraz latem często odwiedzać. Obaj z ojcem postanowili teraz powiększyć kapitał spółki, którą przed rokiem założyli. I ojciec i kuzyn wyłożyli na to znaczne sumy. Nie dowiedziałem się jakie, bo w rozmowach ze sobą rodzice nigdy tej sumy nie wymienili. Drugim dobrym doradcą był wspomniany już komiwojażer pan Aronfeld. Po Wielkiej Nocy znów nas odwiedził oferując, jak zwykle, nowe modele obuwia. I on kredytował ojcu zakupy, był przyjazny. Ojciec też zawsze go cenił i liczył się z jego zdaniem. On też zachęcał ojca do rozwoju firmy i podjęcia ryzyka brania na ten cel kredytów. Podsunął nawet myśl przeniesienia z czasem firmy do większego miasta np. do Łodzi lub do założenia tam filii. Poradził ojcu nawiązanie kontaktu z dużymi firmami produkującymi obuwie. Nawet pomógł nawiązać pierwszy kontakt ze znaną z produkcji eleganckiego obuwia firmą „Tenis”. Zaowocowało to w przyszłości ścisłą współpracą. Ojciec stał się kooperantem tej firmy. Przesyłała ona ojcu cholewki o nowoczesnych wzorach, a ojciec z tych cholewek produkował obuwie, powierzając tę produkcję najzdolniejszym pracownikom. Obuwie wykonywane u ojca było tak eleganckie jak produkowane w firmie „Tenis”. Do każdego buta wklejana była wyklejka ze złotym stemplem firmy „Tenis” i już jako w pełni firmowe sprzedawane były przez tę firmę innym odbiorcom, za cenę dwukrotnie wyższą niż kosztowały normalne buty sprzedawane w naszym sklepie. W Radomsku nie było kamasznika artysty, który potrafiłby opracować ładny wzór cholewki i wykonać po mistrzowsku cholewkę. „Tenis” miał takich cholewkarzy i było to tajemnicą powodzenia ich obuwia. Obuwie wykonane z takich cholewek miało elegancki wygląd, miało swój „smak”, jak mówili fachowcy. No i na każdy sezon opracowane były nowe, ładne i modne wzory, co też było powodem ich popularności.

Przy okazji wspomnienia współpracy z „Tenisem” wspomnę zabawne zdarzenie. Znajoma klientka kupowała u ojca buty dla siebie. Długo grymasiła, bo nic jej się nie podobało. Wreszcie ojciec już zdenerwowany podał jej drogą elegancką parę - podróbkę firmy „Tenis”, ale bez nadruku tej firmy. Buty klientce się spodobały, ale uznała że cena jest zbyt wysoka, bo ojciec wycenił te buty na 18 złotych, a poprzednio przez nią oglądane buty kosztowały 14 złotych. Klientka niezadowolona opuściła sklep. Za parę dni weszła zadowolona do sklepu i powiedziała ojcu, że w Częstochowie kupiła eleganckie buty „Tenisa”. Co prawda za 22 złote, ale są ładniejsze niż buty ojca, no i firmowe. Ojciec popatrzył na te buty, na oczach klientki odkleił wyklejkę z firmą „Tenis” i kazał jej przeczytać drugi stempel odbity pod wyklejką. A tam był stempel firmy ojca: „Roman Olczyk, magazyn i pracownia obuwia, Radomsko”. Teraz pani widzi, że buty, które pani kupiła są mojego wyrobu i u mnie mogła pani za taką samą parę zapłacić 18 złotych, czyli 4 zł taniej minus bilet kolejowy do Częstochowy. Skonfundowana klientka nie wiedziała co powiedzieć i uciekła ze sklepu.

Nie będę się dalej rozpisywał na temat sklepu. Wspomnę tylko, że i ten drugi sezon roku był udany. Towar przygotowany na letni sezon udało się przed wakacjami sprzedać w 90%. Ryzyko zakupu i brania kredytu opłaciło się. Nie był to co prawda tak wielki sezon jak ten sprzed Wielkanocy, ale i tak sprawił przyjemną niespodziankę. Z tego powodu ojciec zaczął się rażniej przygotowywać do budowy domu. Projekt był już zrobiony i ładnie opracowany, rozkładał się jak harmonijka. widzieliśmy na nim na pierwszej stronie fasadę „naszego” w niedalekiej przyszłości domu. Na następnych stronach były rzuty poszczególnych kondygnacji z wymiarami pomieszczeń. Nie bardzo się na tym wyznawaliśmy, ale rysunek fasady zadowalał zupełnie naszą wyobraźnię. Była to dwupiętrowa kamienica z płaskim dachem, tarasem dachowym z balustradą. Na parterze były dwa lokale sklepowe, w środku brama i piwnice pod całym budynkiem. „Marzenie” nie dom. Projekt ten był przez parę tygodni naszą lekturą i tematem naszych rozmów. „Naszych”, bo i mnie pozwolono włączać się do tych dyskusji.

Parę razy przed wakacjami poszedłem po południu na nasz plac umiejscawiając w wyobraźni projektowany budynek. Już widziałem siebie mieszkającego na I piętrze tej kamienicy, w trzypokojowym mieszkaniu z wygodami, z toaletą i łazienką i ciepłą wodą, co wtedy w Radomsku było wielką rzadkością. Szczyt naszych marzeń, bo jak wiadomo gnieździliśmy się w jednym kącie przysklepowej pakamery, wśród sterty butów, brzydko pachnących skór, bez żadnych wygod i nawet bez pieca. Teraz, niedługo, będziemy mieszkali jak bogacze.

Kiedyś nawet zabrałem dziewczynę na nasz plac, chcąc się z nią podzielić tą radosną dla mnie perspektywą niedługiego zamieszkania w luksusie. Tylko raz ją



tam zabrałem. Zauważyłem, że słuchając mej entuzjastycznej opowieści o budowie domu i niedługiej perspektywie zamieszkania w porządnym dużym mieszkaniu, dziewczyna bardzo posmutniała, całkiem straciła humor i nie podtrzymywała rozmowy. Wtedy uświadomiłem sobie, że zrobiłem jej przykrość. Przecież po jej ubraniu widać było, że pochodzi z biednej rodziny i mieszka też pewnie w nędznych warunkach. Z tym, że ona nie ma szans na poprawę swego bytu. Mówienie jej o naszym domu i przestronnym mieszkaniu to przechwalanie się zamożnością, to było jakby chęcią zaimponowania jej, a na pewno zrobiło jej wielką przykrość. Był to też z mojej strony duży nietakt, choć nieświadomie uczyniony. Szybko zmieniłem temat rozmowy i opuściliśmy natychmiast plac. Ale dziewczyna do końca spotkania nie odzyskała humoru. Nigdy już w rozmowach z nią nie poruszałem spraw naszego mieszkania, domu czy sklepu.

Zaczęły się wakacje. Ten ich początek nie był dla mnie za wesoły. Jeszcze nie mogłem przeboleć utraty dziewczyny, do której się tak przywiązałem. Z tego powodu wpadłem w jakąś apatię, ogarnął mnie melancholijny nastrój. Podwórko opustoszało i nie było się z kim spotykać. Nie było Wigdy, mej poprzedniej sympatii, miłej Żydówki i dobrej kumpelki do zabaw. Po śmierci jej ojca rodzina się wyprowadziła, nie wiedziałem dokąd. I kolejna, druga sympatia i kumpelka Hala też się wyprowadziła na drugi koniec miasta. Jej ojciec odstąpił sklep, wyjechał gdzieś na Śląsk, a reszta rodziny zamieszkała daleko na ulicy Przedborskiej. Byłem tam trzy razy, ale zrezygnowałem z tych wizyt, brutalnie przepędzony przez matkę Hali. Samo podwórko też stało się smutniejsze. Były wakacje, więc brakowało wesołego gwaru dziewcząt z gimnazjum, które na przerwy wybiegały radośnie na podwórze i samą swoją obecnością umilały jego wygląd. Z Heńkiem Kozłowskim, kolegą z sąsiedniego podwórka, oziębły się kontakty, bo w ramach jakiejś głupiej reformy przeniesiono go do innej klasy. Reforma polegała na tym, że nasze duże dwie piąte klasy A i B rozdzielono i w klasie A znaleźli się uczniowie o nazwiskach z początku alfabetu do litery M a w klasie B reszta uczniów. Kozłowski dostał się do klasy A, a ja zostałem w B. Nie wracaliśmy już ze szkoły razem i podwórkowe kontakty też się znacznie ostudziły. Został mi jedynie Jasio Klufta, który choć został przeniesiony do klasy A, to dalsze bliskie koleżeńskie kontakty utrzymywaliśmy nadal. I z nim od czasu do czasu spotykałem się przez całe wakacje. Po otrzęsieniu się z tej apatii, choć jeszcze obolały psychicznie, zacząłem się włączać w normalne życie. Zacząłem interesować się tym co się wokół dzieje, a działo się dość dużo. Na naszym placu wiercono studnię - jako etap przygotowawczy do budowy domu. Częściej więc zachodziłem na nasz plac przyglądając się tym czynnościom. Nie bardzo było co oglądać, bo cały czas grupa robotników stała pod wielkim trójnogiem z belek, podnosiła i opuszczała jakiś duży metalowy ostro zakończony kloc umieszczony w rurze. Oka-

zało się, że w ten sposób wiercą dziurę i w wywiercony otwór wkładają odcinki rury, które przykręcali na siebie. Ta wkręcona rura to właśnie studnia. Po paru tygodniach dowiercili się do wody na głębokości ponad 30 metrów. Założyli ręczną pompę i już była studnia i woda. Bardziej interesujące było lasowanie wapna. Z tym czekano na ukończenie studni, bo przecież do lasowania potrzebna była woda. Robotnicy wykopali przedtem duży głęboki dół w kształcie prostokąta. Na brzegu dołu ustawili dużą skrzynię o niskich bokach, otwartą do góry. Do niej sypano bryły palonego wapna, zalewano wodą i graczami osadzonymi na długich drągach rozbijano te bryły, mieszając dobrze całość. Po rozmieszaniu płynną masę wylewano przez otwór w skrzyni do przygotowanego wcześniej dołu i czynności te powtarzano. To było bardziej widowiskowe, bo stale się coś działo. Lubiłem patrzeć jak wielkie bryły wapna pod wpływem wody ogrzewały się, zaczynały dymić z sykiem i pękały na coraz mniejsze kawałki, aż do rozpuszczenia. Nalaszowano tak pełen dół tego wapna, które po paru dniach zestaliło się, jakby zsiadło się mleko. Wtedy to wapno przysypano grubą warstwą piachu i tak miało czekać do wiosny, a więc prawie rok. Był to, po studni, następny etap przygotowawczy do budowy domu.

Jeszcze w wakacje ojciec zawarł z poleconym mu zaufanym stolarzem-cieślą umowę zlecając wykonanie całej stolarki domu w przyszłym roku. Umowę zawarł z takim wyprzedzeniem, gdyż chciał u tego stolarza zmagazynować na rok drewno na budowę, żeby było dobrze wysuszone. Był to najważniejszy warunek jakości wykonanych okien i drzwi oraz innych elementów drewnianych. Po zawarciu tej umowy ojciec zakupił w tartaku potrzebny materiał: belki, krokwie, deski itp. Wszystko zostało zmagazynowane u tego stolarza, pod dachem, ułożone w sztaple i zabezpieczone dodatkowo papą. Układanie i zabezpieczanie drewna odbywało się pod okiem ojca. Ojciec dodatkowo zabezpieczył się, żeby stolarz nie wymienił suszących się desek na inne gorsze. Sztaple zostały powiązane sznurami, założono plomby itp. Raz lub dwa razy w miesiącu chodziliśmy do tego stolarza całą rodziną, w ramach spacerów niedzielnych. Ojciec sprawdzał czy wszystko jest w porządku, czy sztaple stoją na swoich miejscach i czy plomby są nienaruszone. I to był następny etap przygotowań do budowy.

W wakacje w sklepie nie było „ruchu”. Niewielu klientów odwiedzało w tym czasie sklepy. Był to tzw. „sezon ogórkowy”. W tym czasie był właśnie wysyp ogórków i dlatego tak nazwano ten wakacyjny zastój handlowy. Nie było też zbytu na produkty rolnicze. Rolnicy przywożący w czasie wakacji swoje produkty do miasta mieli wielkie kłopoty z ich sprzedażą. Często wracali z towarem do domów. W tym czasie bardzo spadły ceny produktów rolnych. Np. jajko, które kosztowało zwykle 5 - 6 groszy gospodyni wiejska oddawała za 3 grosze. To było naprawdę za pół darmo, jak twierdził mój ojciec. W tej samej cenie (3 gr za kilogram) były te nieszczęsne

ogórki. Rolnicy przywozili ich pełne furmanki, a kupujących nie było. Sam widziałem jak po południu na targowisku rolnik, który został z pełną furą niesprzedanych ogórków, zdenerwowany podniósł bok furmanki, wysypał wszystkie ogórki i ze złości zaczął je deptać. Potem zaprzągnął konia i odjechał. Przecież nie opłacało mu się ogórków zabierać z powrotem. Także inne płody bardzo potaniały. Znacznie staniały kureczaki, masło, sery itp. Tak, że zastój w handlu i pustki również w naszym sklepie w wakacje - to była normalka.

Rodzice mając teraz więcej czasu mogli zająć się sprawami domowymi. Mama robiła przetwory owocowe. Było więc smażenie, gotowanie różnych powideł, konfitur, galaretek, kompotów czy soków oraz ładowanie do słoików, pasteryzowanie itp. Ważną czynnością było robienie przecieru pomidorowego, bo z tym było najwięcej roboty i tego mama robiła najwięcej. Pomidory były krojone na kawałki i wkładane do dużego emaliowanego gara, który wielkością przypominał kociołek do gotowania bielizny. Po parogodzinnym gotowaniu masa była przecierana przez sito, a przecieranie tej czerwonej brei było czynnością żmudną i wymagającą dużej cierpliwości. Przecier gotowano dalej do otrzymania gęstej konsystencji. Przy końcu gotowania dodawano przyprawy (pieprz i sól) i środek konserwujący - wtedy używano benzoesu sodu. Podgrzewaną gorącą masę wlewano do wyparzonych półlitrowych butelek po wódce. Po zakorkowaniu napełnionych butelek zawiązywało się w specjalny sposób korki, mocując je do szyjki butelki tak aby korek nie mógł wyskoczyć pod ciśnieniem. Na drugi dzień butelki były pasteryzowane, gotowane w kotle wypełnionym wodą i wyłożonym warstwą siana. Po ostudzeniu butelki trzymano parę dni na wierzchu, dla sprawdzenia czy nie zachodzą jakieś procesy fermentacyjne. Na koniec przetwory składano w piwnicy. W mieszkaniu nie było miejsca, ale też było niebezpiecznie. Zdarzało się czasem, że z którejś butelki wystrzelił korek po zafermentowaniu i zawartość znalazła się w jednej chwili na suficie.

W tym też czasie rodzice przypomnieli sobie o mnie. Doszli do wniosku, że jestem za bardzo nieśmiały - w tym przypadku mieli rację - stroniący od ludzi, „dziki” z tej nieśmiałości. W rodzinie z tego powodu nazywano mnie „dzikiem” lub pieszczotliwie „dzikuluchna”. Ustalono, że trzeba coś z tym zrobić. I tu mieli rację, choć dużo za późno doszli do tego wniosku. By z tym jakoś walczyć, by mnie zmusić do nabrania odwagi i oswoić z kontaktami z ludźmi rodzice ustalili, że w wakacje to ja będę robił wszystkie drobne zakupy samodzielnie, a trudniejsze pod nadzorem mamy. I tak się stało. Pierwsze dni były dla mnie bardzo trudne. Musiałem walczyć ze sobą żeby wejść do sklepu. Wstydziłem się wejść do sklepu i wstydziłem się spytać o produkt, który miałem kupić. Ze strachu nie umiałem wykrztusić co chciałym kupić i brakowało mi właściwych słów, zapomniałem po co przyszedłem do sklepu. Dobrze, że trafiałem na bardzo wyrozumiałych sprzedawców, którzy widząc moją

nieśmiałość starali mi się pomóc, udając że nie zauważają mojej nienormalności. Po pewnym czasie oswoiłem się z tym i udało mi się opanować emocje. Zakupy zaczęły mi nawet sprawiać przyjemność i sam się wyrывałem do tego. Przy okazji przyzwyczaiłem się do kontaktu z ludźmi. Samodzielna rozmowa z obcymi ludźmi nie zatykała mi gardła, jak to było jeszcze niedawno. Zapytany o coś nie wpadałem w popłoch, jak dawniej i nie uciekałem, ale potrafiłem już odpowiedzieć na pytanie. Przy okazji poznałem wiele sklepów i wielu sprzedawców. Co mnie uderzyło to spostrzeżenie, że każdy sklep ma jakąś specyficzną atmosferę, jakby „duszę” odróżniającą go nawet od innych sklepów tej samej branży.

O „duszach” rzeczy materialnych przeczytałem kiedyś w jakiejś gazecie, w artykule o znanym artyście rzeźbiarzu. Autor artykułu zachwycił się dziełami tego artysty, jego rzeźbami. Pisał, że dzieła te same swym pięknem do nas „przemawiają”, bo mają „duszę”. Artysta tworząc je przelał na swe dzieła część swej duszy i że ta dusza przeniknęła to dzieło i stanowi o jego pięknie, wywołuje duchowe przeżycia oglądającego to dzieło. Szczególnie oddziałuje, gdy widz potrafi wyczuć tę duszę i nawiązać z nią kontakt. Tyle z tego, za mądrego dla mnie, artykułu dotarło do mojej świadomości, ale określenie o duszy przedmiotu materialnego bardzo mi się podobało i zapadło mi głęboko w pamięć. Początkowo dziwiłem się temu, że coś nie obdarzonego życiem może mieć duszę i że człowiek może przelać część swej duszy w materialny przedmiot, czyli jakby ożywić go. Przekonałem się z czasem do tego określenia i przez pewien czas obserwowałem przedmioty i obiekty, które mi się podobały. Wypatrywałem w nich duszy. Z czasem i ja utwierdziłem się w przekonaniu, że mogą one mieć jakąś duszę. Że możemy, jeśli bardzo chcemy, siłą swej woli, siłą wyobraźni czy choćby pragnienia przekazać jakąś cząstkę swojej duszy (dziś powiedziałbym - energii) ulubionemu przedmiotowi i że ta dusza może na nas w jakiś sposób oddziaływać. Przecież kiedy ksiądz poświęca obrazek święty czy medalik lub mieszkanie, to też nadaje tym przedmiotom jakiejś duchowej wartości. Ten przedmiot staje się już innym i może na nas oddziaływać, czyli posiada duszę. Rozumując w ten sposób i do tego mając wielką wyobraźnię zacząłem się doszukiwać dusz w obiektach i przedmiotach, z którymi się spotykałem. W ten sposób „poznałem” duszę naszego mieszkania, naszej klasy, duszę podwórka, rynku, parku i nawiązałem bliższy kontakt z tymi obiektami. Z czasem zacząłem odróżniać charakter tych dusz. Były obiekty o duszach smutnych, wesołych, groźnych, złośliwych, o duszach wspomagających itp. Nasz sklep np. miał duszę smutną, nie było w niej radości, i marzycielską, ale niespokojną i usposabiającą do marzeń, wyobraźni. Na lekcji religii dowiedziałem się, że Pan Bóg daje Aniołów Stróżów nie tylko ludziom, ale i krajom, obiektom. Że jest Anioł Stróż Polski, Anioł naszego miasta, że są Aniołowie strzegący kościołów, ważnych budynków i ważnych miejsc. Łącząc pojęcia Aniołów Stró-

żów obiektów z duszą tego obiektu wytworzoną w mojej wyobraźni, rozszerzyłem sobie bardziej i przyswoiłem pojęcie duszy przedmiotu czy obiektu. I od tego czasu stykając się z jakimś ważniejszym przedmiotem czy obiektem wyobrażałem sobie jego duszę, a nawet widziałem jej charakter i mogłem się z nim kontaktować w mojej wyobraźni.

Ale wróćmy do tematu, do zakupów sklepowych i sklepów, wśród których też poza zapachami rozróżniałem ich dusze. Najbardziej jednak do mych zmysłów wyobraźni przemawiał zapach sklepu. Pod kątem zapachów klasyfikowałem sklepy na te bardziej lubiane, chętniej odwiedzane, i te do których chodziłem bez entuzjazmu. Przyjemnie pachniała apteka. Wchodząc do apteki Jana Humbleta, tej obok kościoła farnego, po raz pierwszy zetknąłem się z przenikliwym zapachem, w zasadzie przyjemnym. Był to zapach mieszaniny ziół, w których prym wodził zapach rumianku i waleriany zmieszany z jakimś przenikliwym, ale dla mnie przyjemnym, nieznanym zapachem. Później dowiedziałem się, że to zapach środka dezynfekcyjnego na bazie karboliny. Uroku temu pomieszczeniu, poza zapachem, dodawało urządzenie wnętrza. Duże, widne, przestronne pomieszczenie, a wzdłuż ścian stały dwie ciemne lady stykające się pod kątem prostym. Za nimi ściany szuflad oparte o ściany pomieszczenia, także ciemnych, błyszczących, dekorowanych płaskorzeźbami z błyszczącymi ozdobnymi uchwytyami. Chyba to były bardzo stare meble, pamiętające niejednego właściciela. Te szafy sięgały aż do sufitu. W środku wysokości, nad paroma rzędami szuflad, szafy miały parę rzędów oszklonych półek wypełnionych kolorowymi pudełeczkami, butelkami i słoikami, które rozweselały to pomieszczenie. Uroku dodawało kilka pań obsługujących klientów, ubranych w białe fartuchy. Podobała mi się ta apteka, ale bardzo rzadko mogłem tam zachodzić. Na szczęście nie było takiej potrzeby. Bardziej niż apteka podobał mi się skład apteczny pana Henryka Madejskiego, mieszczący się w rynku, parę sklepów dalej od apteki. Wchodzącego tutaj także uderzał przyjemny, aromatyczny zapach. Była to mieszanina zapachów ziół, różnych mydeł toaletowych, perfum i wód kwiatowych ustawionych na półkach w dużych gąsiorach, z których były przelewane do butelek przynoszonych przez kupujących. Do tego bukietu zapachów dołączał się, na szczęście mało odczuwalny, kontrastujący zapach benzyny (też trzymanej na półce w dużym gąsiorze). Ten bukiet zapachów był wizytówką tego sklepu. Wchodziło się do długiego ciemnego pomieszczenia, obudowanego z trzech stron wysokimi szafami opartymi o ściany. Szafy, podobnie jak w aptece, miały u dołu rzędy szuflad, w których trzymano zioła i inne specyfiki. Nad szufladami były rzędy półek zastawionych wielką ilością kolorowych opakowań tekturowych i szklanych. W tym kolorowym i pachnącym świecie nie zauważało się w pierwszym momencie ciasnoty i półmroku tego lokalu. Królował tu pan Madejski, właściciel składu, prowizor - taki miał tytuł zawodowy upraw-

niający do prowadzenia składu aptecznego. Był to miły jowialny starszy pan, niskiego wzrostu, o pulchnej sylwetce, żywy, ruchliwy, o okrągłej rumianej twarzy ozdobionej resztką siwej czupryny i ciemnym małym wąsikiem. Robił sympatyczne wrażenie. Do tego wesoły i uśmiechnięty żartobliwie ironicznym uśmiechem. Małe niebieskie i wesołe oczka spoglądały trochę świdrująco na ludzi. Do jego składu lubiłem chodzić. Rodzice często mnie tam posyłali, przeważnie z butelką po benzynę, bo tej się u nas w sklepie dużo używało. Wtedy po rozpuszczalniki a nawet wody kolońskie można było chodzić z własną butelką i płaciło się za nalewany towar znacznie taniej. Gdy przychodziłem do tego składu pan Madejski zawsze ze mną przyjaźnie porozmawiał, czasem pożartował, ale nigdy w żartach nie ośmieszał rozmówcy - co lubili robić inni dorośli, a czego bardzo nie lubiłem. Najważniejszym jednak dla mnie elementem był zapach tego sklepu. Miła woń, mieszanina przyjemnych kwiatowych zapachów, aromatycznych ziół magazynowanych w otwartych szufladach, mydeł toaletowych, różnych wód kolońskich i perfum, zdecydowała o tym, że ten sklep mieścił się na pierwszym miejscu w mojej klasyfikacji. Być może do tego przyczyniła się i osobowość właściciela? Ciekawe, że inny skład apteczny - Miętiewiczza, mieszczący się także w rynku, większy, przestronny, widny, z dwoma dużymi oknami wystawowymi nie miał takiego uroku. Miał poza tym zapach ostry i trochę drażniący, miał mało przyjazną „duszę”. Nie chciałem tam chodzić po zakupy.

Z wielu sklepów, które w międzyczasie odwiedzałem najgorzej wypadły sklepy rzeźnicze. Poza jednym wyjątkiem. Prawie każdy z tych sklepów, poza przyjemnym zapachem wędzonych wędlin, miał w tle jakby zapach niezbyt świeżego mięsa pomieszany z zapachem krwi, czego nie znosiłem. I wszystkie, poza jednym, robiły wrażenie niezbyt czystych - choć ściany miały czyste, często wyłożone kafelkami lub pomalowane jasną olejną farbą. Gorzej od sklepów rzeźniczych wyglądały jatki, tj. małe sklepy sprzedające tylko surowe mięso. W Radomsku były jatki w dwóch miejscach, po kilka obok siebie w jednym budynku. Jedne były przy ulicy Przedborskiej, drugie przy ulicy Krakowskiej. I te i tamte pachniały bardzo nieprzyjemnie, a do tego były brudne. Miały malowane na czerwono ściany (do połowy wysokości) i lady, których blaty były pokryte blachą. Ale wszędzie, i na ścianach i na ladzie, było pełno plam krwi. Te plamy, choć mało widoczne na czerwonym tle, wydzielają nieprzyjemną woń - szczególnie latem. Do tego, letnią porą, roje much brzęczące w tych pomieszczeniach, chodzące po ścianach i po rozłożonym mięsie, zniechęcały do wizytowania tych sklepów i odbierały apetyt na jedzenie mięsa. Tam chodziłem zawsze z mamą, której ani wygląd tych jatek ani ich zapach widocznie nie przeszkadzał.

A ten wyjątek, o którym wcześniej wspomniałem, to sklep Kalickiego – mistrza rzeźniczego. Ten sklep miał we własnej kamienicy przy ulicy Reymonta, nie-

daleko rynku. Tutaj lubiłem chodzić. Był to duży, ba! wielki sklep, lśniący czystością. Białe kafelki na ścianach, ciemniejsze kolorowe płytki na podłodze. Tu sprzedaż wędlin była oddzielona od sprzedaży mięsa, oba te działy miały osobne lady. Wchodząc do tego sklepu miało się wrażenie, że wchodzi się do wielkiego salonu. Wędliny estetycznie wystawione na pierwszej ladzie, oddzielone od klientów wysoką szklaną przegrodą ustawioną na ladzie tak, że nie można było tych wędlin dotknąć ani na nie nachuchać (jak w innych sklepach). Dwie dziewczyny w białych fartuchach i czepkach obsługiwały uprzejmie kupujących. Największe dla mnie pozytywne wrażenie to zapach tego sklepu. Już w drzwiach uderzał miły zapach świeżej wędzonej szynki, nie tej dzisiejszej, niedomarynowanej i niedowędzonej, ale prawdziwej szynki z kilkucentymetrową warstwą tłuszczu, który mój ojciec lubił bardziej niż samą szynkę. Na stole przy ścianie, za ladą, leżało na widoku zawsze kilka dużych szynek i to ich zapach dominował w całym sklepie. Ciekawe, że nie wyczuwało się zapachu surowego mięsa, choć było też sprzedawane. Drugim wybijającym się zapachem był zapach samej czystości. Jeśli czystość może pachnieć, to w tym sklepie wyraźnie pachniała! Sklep nie tylko świecił czystością, ale i pachniał nią. Nie było tu woni ziół czy kwiatów, ale unosił się specyficzny „jadalny” zapach, z powodu którego sama ślina ciekła do ust a wyobraźnia już próbowała smaku tych wędlin. To był drugi w mej klasyfikacji sklep, do którego chodziłem z przyjemnością. To był sklep z przyjazną „duszą”. Zachodziłem tam często, bo rodzice chętnie jadali tam produkowane wyroby. Pan Kalicki był znakomitym mistrzem w swym fachu. Jego wędliny były znane w całym Radomsku. Np. jedna z piwiarni/restauracji, obok własnego szyldu, wywiesiła stałą informację: *Tutaj podaje się wędliny dostarczone przez zakład Kalickiego* - co miało być zachętą do odwiedzenia tego lokalu. W każdy piątek pan Kalicki wyrabiał kaszanki - wysmienite! Zawiadamiał swoich stałych klientów, o której godzinie będą te kaszanki wyjmowane z kotła. Na tę godzinę i mnie tam posyłano. Stałem w dość licznej grupie osób czekających na wyjęcie kaszanek z kotła. Gorące, ociekające tłuszczem pęta kaszanek pakowano w pergaminowy papier. Szybko szedłem z taką paczką do domu, żeby jeszcze gorące można było poprobować. W domu każdy dostawał swoją porcję (nie zapominając o służącej) i zjadał ją ze smakiem na gorąco. Reszta kaszanek zostawała do zjedzenia na zimno i też była pyszna. Trzecia porcja była zostawiana na niedzielne śniadanie i zjadaliśmy ją podsmażaną na słoninie, z chrupiącymi skwarkami na wierzchu. Było to „niebo w gębie”. Ciekawe, że żaden z wielu mistrzów rzeźniczych w Radomsku nie potrafił zrobić tak dobrej kaszanki ani tak smakowitej i pachnącej szynki.

Zapędziłem się we wspomnienia i zboczyłem z tematu. Zamiast opowiadać o sklepach i ich zapachach, robię reklamę nieistniejącej od kilkudziesięciu lat firmie

pana Kalickiego, który jako Volksdeutsch opuścił Radomsko z rodziną w 1945 r., przed wejściem bolszewików do Radomska<sup>3</sup>. A więc wracamy do tematu.

Na jednym z dalszych miejsc w mojej klasyfikacji był sklep spożywczy pani Hermanowej, sąsiadujący przez ścianę z naszym sklepem. Mały, ciemny sklepik, bez wystawy, z niewielką przestrzenią dla klientów (na 3-4 osoby), robił złe wrażenie. Ciemne worki z kaszą, mąką, cukrem, solą, grochem itp. umieszczone pod ścianami wąskiego lokalu skutecznie zmniejszały przestrzeń handlową. Przy samym wejściu wielka blaszana beczka z naftą, z pompką do nalewania umieszczoną na stojącej beczce, dwa wielkie syfony miedziane z wodą sodową, nalewaną tak jak i nafta do butelek, stwarzały wrażenie wielkiej ciasnoty, wielkiego bałaganu, nieporządku i po prostu brudu. To był sklep, gdzie sprzedawano wszystko, przysłowiowe „nafta, mydło i powidło”. Zapach też nie zachęcał do częstego zaglądania do tego sklepu. Pachniało naftą, kiszonymi ogórkami i stęchlizną. Sklep zresztą wyglądał jak sama właścicielka pani Hermanowa. Była to starsza pani, blada, zasuszona, o pomarszczonej twarzy, wyglądająca na bardzo zmęczoną. Szare wyblakłe oczy patrzyły groźnie i smutno na świat, jakby zrezygnowane, nie oczekujące już żadnej radości. Chora na nogi z trudem poruszająca się pani Hermanowa wyglądem, zachowaniem i obojętnością w stosunku do klientów, odstraszała kupujących, tak jak sam sklep. Sklep też wyglądał na wiekowego zasuszonego staruszka i taką miał duszę - pełną pesymizmu, smutku i rezygnacji. Nie lubiłem tego sklepu, choć musiałem tam chodzić czasem po kilka razy dziennie. Ale były jeszcze gorsze sklepy.

Powinienem tutaj wspomnieć o naszym sklepie, którego przecież lubiłem i w którym wyrastałem. Nie sklasyfikowałem go zbyt wysoko. Mieścił się w mojej średniej ocenie. Nie lśnił czystością, ale to było celowe zamierzenie, by nie odstraszać wiejskich klientów. Robił wrażenie trochę zagraconego przez półki wypełnione pudełkami z obuwem, ustawione wokół ścian i sięgające aż do sufitu i ciemną podłogą drewnianą, stale wilgotną od pyłochłonu, którym tę podłogę co drugi dzień smarowano. Pyłochłon był preparatem płynnym na bazie nafty, zatrzymujący kurz. Wtedy był powszechnie stosowany, nawet w szkołach. Sklep był trochę smutny. Stwarzał nastroj lekkiego niepokoju. Przy wejściu do niego uderzał dziwny, trochę ostry, zapach - a raczej przenikliwa mieszanina zapachów garbowanych skór, rozpuszczalników z preparatów używanych do „glazurowania” i lakierowania obuwia, zapach nafty unoszący się z posmarowanej pyłochłonem podłogi i trochę zapachu stęchlizny wydobywającego się z podsklepowej piwnicy. W sumie był to zapach niezbyt przyjemny, do którego my mieszkańcy przyzwyczailiśmy się nie reagując na niego, ale każdy wchodzący do sklepu go odczuwał. I duszę sklepu miał niewesołą, raczej

---

<sup>3</sup> Jan Rudolf Kalicki zmarł 18 września 1943 r. wskutek pobicia przez gestapo. Rodzina była po wojnie oskarżana o kolaborację i podpisanie volkslisty – przy. T.A. Nowak.



smutną, marzycielską, melancholijną, niespokojną i trochę pesymistyczną. Tę duszę mego sklepu i domu zawsze odczuwałem, miała ona duży wpływ na moje emocje i nastroje.

Nie będę nudził dalej o mych przeżyciach związanych z wizytowaniem sklepów i ich klasyfikacji zapachowej, która była moim wynalazkiem. Było tych sklepów zbyt dużo, każdy inny, każdy o innym zapachu, innej „duszy”, każdy miał inny wygląd i budził inne odczucia - aprobaty, obojętności czy niechęci. Każdy miał swoją atmosferę. Ja to wyczuwałem i wtedy na swój sposób przeżywałem. A przeżywałem bardzo silnie, bo do dziś te wyprawy, te zakupy i przeżycia, a nawet niektóre zapachy, pamiętam. Do dziś pamiętam także ceny wielu artykułów. I to będzie ciekawsze, więc je przypominę.

Ceny niektórych artykułów i usług w latach 1935 - 1938 w Radomsku: chleb żytni z mąki 40% (60% otrąb), bochenek okrągły 2 kg - 45 gr, chleb żytni z mąki 40% (60% otrąb), bochenek długi 1,2 kg - 25 groszy, chleb żytni sitkowy z mąki 60% (40% otrąb), bochenek długi 1 kg - 20 gr, bułka pszenna 1 szt. - 5 gr, bułka pszenna na wagę (20 bułek po 80 g) 1 szt. - 4 gr, bułka czerstwa, sprzedawana po południu 1 szt. - 3 gr, chałka 0,5 kg 1 szt. - 80 gr, ciastko cukiernicze 1 szt. - 15-20 gr, mąka pszenna 1 kg - 28 gr, cukier 1 kg - 1 zł, cukier w eksporcie 1 kg - 32 gr, czekolada Wedla, 100 g - 1 szt. - 70 gr, czekolada Wedla „Jedyna”, 100 g 1 szt. - 50 gr, mleko z mleczarni 1 litr - 15 gr, masło śmietankowe z mleczarni 1 kg - 1,80 zł, masło wiejskie w ośłkach na targu 1 kg 1,40-1,60 zł, jajka 1 szt. - 5-6 gr, jajka przed świętami 1 szt. 15-20 gr, kurczak 1 szt. - 1,40 zł, kura (zależnie od wieku) 1 szt. - 2,20 - 2,60 zł, mięso wołowe z kością 1 kg - 1-1,20 zł, żywiec wołowy 1 kg - 0,9-1,10 zł, kiełbasa zwyczajna 1 kg 1,40 zł, kiełbasa serdelowa 1 kg - 1,60 zł, szynka 1 kg 4-4,50 zł, „rozmaitości” (różne wędliny w plastrach razem) 1 kg - 2,60 zł, wódka czysta 1 litr - 4,10 zł, wódka czysta 1/2 litra - 2,10 zł, wódka czysta 1/4 litra - 1,10 zł, piwo 0,5 litra - 1 butelka 50-80 gr, jagody 1 litr - 20 gr, jabłka 1 kg - 20 gr, ogórki 1 kg - 5-8 gr, lody (zależnie od wielkości) - 5, 10, 15 gr, chałka mała (50 g) - 20 gr, cytryna 1 szt. - 10 gr, cytryna „do mycia włosów” - 1 szt. - 5 gr, bilet do kina parter - 50 gr, bilet do kina dla dzieci - 25 gr, materiał na ubranie „bielski” 1 mb - 20 zł, materiał na ubranie „zwykły” 1 mb - 5-10 zł, buty męskie - pantofle - 12-14 zł, buty męskie - kamasze - 14-16 zł, buty damskie - pantofle - 12-14 zł, buty damskie luksusowe (np. Tenis) - 18-22 zł, buty damskie letnie (gandówki) - 6 zł, buty damskie, sandały („rzymki”) - 6-8 zł; gazety - dziennik „Dzień Dobry” - 10 gr, „Orędownik” - 10 gr, „Orędownik” - wydanie niedzielne 15 gr, „Mały Dziennik” - 5 gr, tygodniki ilustrowane „Na Szerokim Świecie” - 35 gr, „Przewodnik Katolicki” - 20 gr. Pensje miesięcznie: najniższa pensja urzędnika skarbowego 100 zł, listonosze i urzędnicy pocztowi - 100 zł, listonosz wiejski - 60 zł, pensja nauczyciela szkoły powszechnej -

120-180 zł, pensja kierownika szkoły powszechnej - 240 zł, pensja nauczyciela gimnazjum prywatnego - ok. 500 zł, uposażenia służącej - dziewczyna dochodząca na pół dnia 8 zł, dziewczyna na cały dzień z mieszkaniem - 12-15 zł, dziewczyna na cały dzień z praniem - 15 - 18 zł, kucharka do dużego mieszkania ze sprzątaniami - 20-25 zł, pensja dozorczy z mieszkaniem - 50 zł, otwarcie bramy po godz. 22 - 20 gr, datki, które dawało się żebrakom -1-2 gr, chesne w gimnazjum prywatnym - od 1-3 klasy 60 zł, skóra podeszwowa - 1 kg 5 zł, skóra wierzchnia na cholewki 1 m<sup>2</sup> -1,80-2,40 zł, szycie garnituru - 60 zł, bilet kolejowy, pociąg zwykły III klasa, Radomsko - Warszawa - 4,20 zł, cena 1 dolara USA - 5,10 zł, cena 1 marki niemieckiej - 2 zł, zeszyty szkolne (w zależności od ilości kartek) -10-50 gr, cegła budowlana zwykła wypalana (1937 r.) 1 szt. - 3 gr, przyniesienie 2 wiader wody ze studni na 3 piętro - 15 gr, przejazd dorożką z rynku na dworzec kolejowy w Radomsku - 1-1,50 zł. Do dziś, tj. po 65 latach, zapamiętałem tylko te podane wyżej ceny.

A teraz jeszcze trochę o wakacjach. Jak ostatnio w każde wakacje i tym razem wybraliśmy się dwa razy nad Wartę na Topisz. Raz z ciotkami, a raz tylko z wujkiem Henrykiem i jego żoną ciocią Zosią. Naturalnie każdym razem z wałówkami i 40 litrowym syfonem wody sodowej, co było już tradycją. O wódce ojciec też nie zapominał. I naturalnie dla mężczyzn wyprawa kończyła się popijawą. Jak usiedli na trawie zaraz po przyjeździe nad rzekę i wzięli się za zakąski oraz opróżnianie flaszek, tak wstali dopiero, gdy furman zaprzęgał konia do wozu i zabieraliśmy się do powrotu. My dzieci mieliśmy jednak używanie, prawie cały dzień w wodzie. W te wakacje dziadek zabrał mnie parę razy za sobą na jarmarki, na które jeździł ze swym straganem i butami. Byłem więc na jarmarkach w Pławnie, Żytnie, Sulmierzycach i Brzeźnicy. Brzeźnica to nie wieś, ale małe miasteczko niedaleko Radomska, które nawet miało zabrukowany rynek. W tym roku mniej mnie te jarmarki interesowały. Wszystkie były jednakowe. Tłum ludzi, stragany, furmanki, gwar i szum taki sam wszędzie. Jedyne sama jazda konnym wozem była interesująca.

Pamiętam za to rodzinną przygodę wakacyjną związaną z wycieczką do Krakowa. Ojciec postanowił całej rodzinie zafundować wycieczkę do Krakowa. Ucieszyliśmy się z tego, bo i dla mnie i dla siostry Maryni jazda pociągiem była wielką atrakcją. Pewnej niedzieli, wczesnym rankiem, wyruszyliśmy we czwórkę pociągiem. Nie pamiętam z tej wycieczki prawie nic, ani samej jazdy ani zwiedzania Krakowa, a przecież chodziliśmy po jego ulicach cały dzień. Nie zapamiętałem żadnego oglądanego obiektu. Pamiętam, że późnym popołudniem, bardzo już zmęczeni ustaliliśmy, że idziemy już na dworzec i tam poczekamy na nasz pociąg. I tak zrobiliśmy. Ojciec kupił bilety i ponieważ zostało mu jeszcze 15 zł, za te pieniądze kupił bardzo ładną granatową poduszkę na tapczan. Poduszka była piękna. Zdobiona kolorowymi motywami góralskimi i potem przetrwała u nas kilkadziesiąt lat. Gdy się trochę

ściemniło wyszliśmy z poczekalni na perony. Ojciec złapał jakiegoś urzędującego na peronie kolejarza i wypytał go o pociąg do Radomska. Ten nas nawet podprowadził do stojącego już na peronie składu, zupełnie jeszcze pustego. Zmęczeni rozłożyliśmy się w pustym przedziale na ławkach i posnęliśmy (my, dzieci). Ojciec chyba czuwał. Nie wiem kiedy pociąg ruszył. Pamiętam, że obudziła nas nad ranem kontrola biletów. Nie był to zwykły konduktor, ale dwóch jakiś wyższych urzędników kolejowych kontrolujący konduktorów. Okazało się, że nasze bilety są nieważne. Wsiadliśmy do złego pociągu, który jechał do Warszawy przez Radom, a powinniśmy się zabrać pociągiem jadącym do Warszawy przez Częstochowę i Piotrków. Ten kolejarz, który nam wskazał pociąg, prawdopodobnie o Radomsku nie słyszał i pomylił Radomsko z Radomiem. Ojciec źle się w Krakowie spytał. Trzeba było pytać o pociąg na Częstochowę, bo to miasto wszyscy znali, a nie o Radomsko, o którym mało kto w Krakowie słyszał. Był duży kłopot, bo ojciec nie miał pieniędzy na zapłacenie kary i nowego biletu. Kontrolerzy zachowywali się bardzo niegrzecznie, upokarzając nas. Grozili jakimiś jeszcze konsekwencjami i zarządzili, że wysadzą nas na najbliższej stacji, którą było Skarżysko, i tam spiszą protokół i będą wyjaśniać sprawę. Jak ojciec usłyszał nazwę Skarżysko przypomniał sobie, że w tym mieście jego kuzyn jest zawiadowcą stacji. Gdy to powiedział głośno inspektorzy natychmiast zrobili się w stosunku do nas grzeczni i zaczęli się do nas odnosić przyjaźniej. Chyba ten zawiadowca był ich kolegą. A gdy na stacji spotkaliśmy tego kuzyna, a on poznał ojca i uradowany podszedł przywitać się z nami, kontrolerzy zrezygnowali z przesłuchania i z protokołu, a po przywitaniu się z zawiadowcą odeszli. U tego kuzyna zostaliśmy parę godzin, zjedliśmy u niego w domu obiad. A gdy zbliżała się pora odjazdu ten kuzyn pożyczył ojcu 20 zł na bilety. Okazało się, że w końcu nie potrzebujemy tych pieniędzy. Ojciec chcąc schować pożyczony banknot wyjął portfel i gdy go otworzył zobaczył, że tam jest jeszcze 20 zł, które w Krakowie się jakoś schowało. Wróciliśmy do domu za parę godzin, przed wieczorem. Mieliśmy jeszcze przesiadkę w Koluszkach, gdzie dość długo czekaliśmy na pociąg. I tak szczęśliwie dobiliśmy do domu, choć z jednodniowym opóźnieniem. Przez następne parę dni rodzice mieli co opowiadać swoim znajomym!

Któregoś dnia, wychodząc z domu na rynek, zauważyłem że ten rynek zrobił się jakiś inny, ładniejszy. Znikły stosy kamieni, płyt, rur i kupy piachu porozmieszczone wcześniej po całym rynkowym placu. Zniknęły wykopy, a ulice wokół rynku zrobiły się szersze, wyłożone kostką betonową. Skarpa na wschodniej stronie rynku zrobiła się niska i zostało po niej tylko lekkie podwyższenie terenu. Nie było też wagonów kolejki szynowej dowożących piasek i nie było już na ulicy Krakowskiej torów, po których ta kolejka chodziła. Nawierzchnia ulicy podniosła się kilkadziesiąt centymetrów i do sklepów przy ulicy Krakowskiej trzeba było schodzić po stopniach

w dół. Idąc dalej ulicą Krakowską zauważyłem, że szereg starych parterowych domków tworzących ścianę ulicy, jakby się zapadł w ziemię. Okna tych domków jakby się obniżyły, były bliżej chodnika tak, że z łatwością można było podglądać co się wewnątrz dzieje. I do tych domków schodziło się po schodkach w dół. Sama ulica dostała nową nawierzchnię, wybrukowano ją nowymi drobniejszymi kamieniami. Okazało się, że w czasie remontu przeprowadzono ciąg kanalizacyjny i ścieki już nie płynęły rynsztokami. Podniesiono poziom jezdni, żeby zmniejszyć różnicę jej poziomów. Chodnik wschodni jezdni poprzednio był ustawiony o metr wyżej od przeciwnego, teraz poziomy chodników wyrównano. Podniesiono też poziom jezdni w samym rynku, przechodzącej wzdłuż skarpy, a samą skarpe znacznie zniwelowano - łagodząc poprzednie nierówności i obniżając jej wysokość. Na placu rynkowym wytyczony został skwerek. Już widoczne były alejki i klomby. Zbudowano chodniki na obrzeżach skwerku i wyłożono je płytami betonowymi. Gdzieś posadzono już krzewy i młode drzewka, które teraz mizernie wyglądały, ale za parę lat skwer stanie się zadrzewionym, gęsto pokrytym zielenią miejscem - ozdobą miasta. Ciekawe, że przez parę miesięcy przechodziłem tędy co dzień i nie zauważyłem robót, które tu się odbywały ani ich zakończenia. Dopiero teraz wpadło mi to w oczy. Nie wiedziałem, że w ten sposób miasto przygotowywało się do budowy nowoczesnej drogi asfaltowej (mówiono o niej autostrada), łączącej Katowice z Warszawą, a której budowę rozpoczęto rok później (w 1936 r. – przyp. AO).

Skończyły się wakacje. Przeszły szybko i bez specjalnych wrażeń upamiętniających je. Zaczął się rok szkolny i trzeba było znów chodzić do szkoły. W tym roku nawet niecierpliwie czekałem na rozpoczęcie nauki, mając nadzieję że spotkam tę moją dziewczynę i że znów będziemy razem przeżywać nasze spacerki. Na rozpoczęcie roku była jak zawsze msza św., na którą poszły wszystkie szkoły z uroczystym wyjściem ze szkoły czwórkami. Wróciliśmy z kościoła w tym samym szyku, po czym przywitało nas na boisku szkolnym grono nauczycielskie. Kierownik szkoły coś nam na powitanie mówił, ale tego nie słuchaliśmy. Trwało to zresztą krótko i pod „komendą” wychowawców rozeszliśmy się parami do naszych klas. Dostaliśmy ten sam lokal, który zajmowaliśmy w ubiegłym roku - na froncie budynku, przed żeńską częścią, więc paradowaliśmy w parach przez dwa boiska, męskie i żeńskie. Jak zwykle, wchodząc do klasy na pierwszą w roku lekcję, była krótka batalia o lepsze miejsce. A miejsca zajęte na tej lekcji było przypisane do delikwenta już na cały rok szkolny. Nie udało mi się niestety zająć miejsca w którejś z ostatnich ławek ani miejsca przy oknie, które to miejsca uważane były za najlepsze. Musiałem się zadowolić miejscem środkowym w najlepszym rzędzie - miejscem przy oknie i to brzegowe w trójosobowych ławkach, ale od strony klasy nie okna. Przypadkiem w poprzedniej ławce zajęli miejsca moi dwaj stryjeczni bracia. Spotkałem się z tymi samymi kole-

gami, z którymi byłem w zeszłym roku. Brak było trzech, którzy zostali na drugi rok w piątej klasie, a przybyło dwóch, którzy nie zdali do klasy siódmej. W tym dniu właściwie lekcji nie było. Nauczyciele podali nam tylko w jakie książki i jakie zeszyty mamy się zaopatrzyć, potem poopowiadaliśmy trochę jak spędziliśmy wakacje i rozpuszczono nas do domów. Zostałem dłużej w szkole czekając aż wyjdą żeńskie klasy, chciałem spotkać moją dziewczynę. Nie spotkałem jej. Myślałem, że może jej klasa wyszła wcześniej od naszej. Czekałem jeszcze trochę pod bramą, na dawnym miejscu naszych spotkań, też na próżno. Trochę smutny wróciłem do domu. Po południu przesiedziałem cały czas w sklepie. Nawet nie wychodziłem na dwór, żeby się spotkać z kolegami. I tak rozpocząłem mój nowy rok szkolny. Byłem uczniem szóstej klasy i byłem z tego dumny. Po ukończeniu tej klasy można było przejść do gimnazjum i wielu kolegów to zrobiło. Ponieważ zdecydowano że będę chodził do „handłówki”, do której przyjmowano po ukończeniu siedmiu klas szkoły powszechnej, wiedziałem że jeszcze rok będę chodził do tej szkoły. Zmiana tej decyzji nastąpiła, gdy już byłem w siódmej klasie.

Właściwie na tym wstępie mógłbym zakończyć opis mych perypetii szkolnych z uwagi, że do końca roku kalendarzowego nic godnego uwagi się nie zdarzyło. Swojej dziewczyny, ku mojemu wielkiemu żalowi, nie spotkałem już więcej. Szukałem jej parę tygodni po żeńskich klasach, na boisku szkolnym, na przerwach. Zostałem też po lekcjach, wyczekując aż wszystkie dziewczyny opuszczą szkołę. Bez rezultatu. Dziewczyna zniknęła jakby zapadła się pod ziemię. Nie wiem, co się z nią stało, czy przestała chodzić do szkoły? Była taka możliwość. Były przypadki, że biedni rodzice, nie mając pieniędzy na książki i jakieś ubrania dla dziecka, przestawali dziecko posyłać do szkoły. Może i z nią tak było. Była bardzo biednie ubrana. Nie chciała pokazać mi gdzie mieszka, bo może wstydziła się swej biedy? A może potrafiła mnie tak zręcznie unikać? Była przecież na mnie obrażona. Stało się, przepadło. Ale szkoda i żal!

Z tego okresu szkolnego zapamiętałem trzy zdarzenia. Jedno to objazdowa wystawa techniki i nowoczesności, która była urządzona w kilku wagonach kolejowych i objeżdżała miasta. W Radomsku zatrzymała się jakiś czas i szkoła zrobiła dla starszych klas wycieczkę na tę wystawę. Nie wszyscy na tę wycieczkę mogli się wybrać, zabierano po połowie klas żeby nie robić tłoku. Ja się załapałem. Obeszliśmy parę wagonów tej wystawy, ustawionych za stacją na bocznym torze. Dla nas nie było nic ciekawego. Same fotografie, plansze i jakieś niewielkie urządzenia - nie wiem do czego, które nas nie interesowały. Nawet ich nie zapamiętałem. Po zwiedzeniu tej wystawy dostaliśmy po parę kolorowych reklam i zabawkę - tekturowy pistolet „strzelający”. Po powrocie do szkoły musieliśmy te prezenty oddać nauczycielowi. Złożono je na stole i potem rozdzielono między wszystkich uczniów, i tych

którzy na wystawie nie byli. Przypadła mi w przydziale jakaś broszura, którą natychmiast wyrzuciłem do kosza. Inni także to zrobili, czym bardzo zdenerwowaliśmy nauczyciela. W ten sposób straciłem atrakcyjną zabawkę - pistolet. Bardzo byłem rozżalony. Niektórzy sprytniejsi koledzy ukryli pistolety przed nauczycielem odbierającym nam „fanty”. Żałowałem, że nie wpadłem i ja na taki pomysł.

Drugie zdarzenie było mniej przyjemne. Pani od polskiego wpadła na pomysł, żeby nam na lekcji urządzić parę minut gimnastyki. Kazała nam zdjąć buty i w pończochach wejść na ławki i tak pod jej komendą gimnastykowaliśmy się parę minut. Nie zdjął butów kolega Kusiński i w kamaszach „tupał” po ławce. Pani to zauważyła i kazała mu natychmiast zdjąć buty. Po długich oporach Kusiński, czerwony jak burak, zdjął te buty. I wtedy się okazało, że jego pończochy nie mają stóp. Po prostu zniszczone stopy ucięto i chłopak tak chodził, a kamaszach tego nie było widać. I dopiero teraz się wydało. Pani na ten widok zrobiła się tak czerwona jak Kusiński. Przerwaliśmy gimnastykę i wróciliśmy do lekcji. Widzieliśmy, że Kusińskiemu pani zrobiła wielką przykrość, że go skompromitowała przed całą klasą odkrywając jego biedę. I nasza pani też zdawała sobie sprawę z popełnionego mimo woli nietaktu. Była tym zdarzeniem bardzo zmieszana. A Kusiński od tej pory miał u niej wielkie fory. W ten sposób chciała mu wynagrodzić zrobioną przykrość. Współczuliśmy Kusińskiemu i żaden z nas nigdy nie wspominał o tym incydencie.

Trzecie wydarzenie wiązało się ze śmiercią marszałka Piłsudskiego. Zmarł on wprawdzie w maju, ale dopiero w październiku były o tym w szkołach specjalne pogadanki. I znów pani od polskiego przypadł obowiązek wygłosić uczniom pogadankę na temat działalności marszałka. Ten temat nas nie za bardzo interesował, a mnie nawet denerwowało to uwielbienie Piłsudskiego. Ojciec był jego zagorzałym przeciwnikiem i bardzo nie lubił piłsudczyków. Mówił w domu, że to zwykły buntownik, awanturnik, który obalił legalny rząd i takiego winno się powiesić. I że Piłsudski nie był żadnym bohaterem, a zwykłym tchórzem. W przededniu bitwy sierpniowej o Warszawę, czyli cudu nad Wisłą, złożył rezygnację ze swych dowódczych funkcji na ręce Witosa, ówczesnego premiera, i uciekł przed odpowiedzialnością chowając się gdzieś. A tę bitwę wygrał generał Tadeusz Rozwadowski i późniejszy marszałek Francji Foch. Po wygranej bitwie przez wojska polskie Piłsudski natychmiast się znalazł, zaprzeczając o złożeniu rezygnacji i stwierdził, że to on był autorem planu tej bitwy i dowódcą zwycięskiej armii. Wiedząc o tych faktach nie miałem żadnego „nabożeństwa” do Piłsudskiego i tylko wrodzona nieśmiałość nie pozwoliła mi zaprzeczyć temu, co mówiła o nim pani - choć miałem na to wielką ochotę. Nasz kolega, Duczmalewski, chyba też był podobnego zdania, bo w pewnym momencie poderwał się z ławki i stwierdził, że pani opowiada bzdury i on tego słuchał nie będzie. Ku zdziwieniu całej klasy, wyjechał z ławki na łyżwach sunąc po drewnianej

podłozie do drzwi i coś tam jeszcze wykrzykując. Pani przerażona oniemiała. Klasa ryknęła gromkim śmiechem, bo widowisko było wesołe. Pani wykazała się w tym momencie refleksem natychmiast „karząc” winowajcę wyrzuceniem z lekcji. Rozkaz *wyłoś mi się za karę z klasy* padł wtedy, gdy Duczmalewski był już za drzwiami. Ale to jak się okazało uratowało całą sprawę. Po „wyjeździe” Duczmalewskiego nie było już gadki o Piłsudskim, wróciliśmy do polskiego. Gdy o tym wszystkim opowiedziałem w domu i pochwalilem się, że o mało co i ja bym pani zarzucił kłamstwo, ojciec powiedział, że całe szczęście że tego nie zrobiłem. Mogli mnie za to wyrzucić ze szkoły. Pouczył mnie, że w dzisiejszych czasach trzeba ukrywać swoje poglądy. Powiedział, że on nie lubi Piłsudskiego a przecież wystawił na wystawie jego portret z czarną wstęgą w dniach pogrzebu marszałka. Znajomy ojca, właściciel sklepu kolonialnego, nie chciał ubrać pogrzebowo wystawy i wystawił kartkę *zamiast ubrania wystawy 5 złotych dla najbardziej potrzebujących*. I po dwóch tygodniach odebrali mu koncepcję na sprzedaż wyrobów monopolowych - wódek i papierosów. Ojciec powiedział też, że chyba tego Duczmalewskiego wyrzucą ze szkoły. Nie doszło do tego. Sprawę wyciszono, a podstawą do tego było „ukaranie” go natychmiast po występku, a przecież dwa razy nie można karać za ten sam czyn. Dziś wspominając to zdarzenie, podziwiam refleks pani od polskiego, która potrafiła odpowiednio w porę zareagować. A ja dziwiłem się, po co ten Duczmalewski przyniósł latem do szkoły łyżwy i po co je zakładał przed lekcją polskiego. Przecież nie wiedział, że będzie mowa o Piłsudskim i nie miał zamiaru jeździć po klasie na łyżwach? Tylko ślady na podłodze, po tej jeździe po niej na łyżwach, jeszcze półtora roku przypominały nam o wyczynie Duczmalewskiego. Półtora roku, bo siódmą klasę też przechodziliśmy w tym lokalu. Duczmalewski stał się od tej pory naszym podziwianym bohaterem, a ja się z nim nawet zaprzyjaźniłem. Mieliśmy wspólną niechęć do Piłsudskiego i to wystarczyło do zacieśnienia się naszego koleżeństwa. Po wejściu bolszewików w 1945 r. spotkałem go w Radomsku. Opowiadał, że był za okupacji niemieckiej w Armii Ludowej, został oficerem, a teraz jest pracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa. Nie chciałem z tego powodu nawiązywać z nim kontaktu. Spotkałem go jeszcze w Łodzi, jako wyższego funkcjonariusza w Urzędzie Wojewódzkim UB.

Muszę opowiedzieć jeszcze o dwu pomyślnych dla mnie wydarzeniach, które zachęciły mnie trochę do nauki, a przede wszystkim podniosły mnie na duchu i dowartościowały mnie w moich oczach. Dzięki nim poczułem, że nie jestem taki niezguła i niedorajda, jak mi wmawiali rodzice. Jedno zdarzenie wiąże się z panią od polskiego. Zastąpiła ona nielubianą przez nas poprzedniczkę, panią Malewiczową, i z miejsca wszyscy ją polubili. Była wesołą, ładną kobietą, znacznie młodszą od swej poprzedniczki. Lekcje prowadziła interesująco, no i była bardziej wyrozumiała. Z tych powodów starałem się nie przeszkadzać jej na lekcjach, a czasem nawet za-

miast myślami bujać w obłokach słuchałem jej wykładów. Na pewnej lekcji w połowie półroczna pani zarządziła klasówkę specjalną mówić, że chce sprawdzić nasze umiejętności wypisywania się. Podała dwa tematy do wyboru. Tytuł jednego to: *Co wiem o pisarzach ...* i tu wymieniła nazwiska dwóch kobiet i jednego mężczyzny, ale tych nazwisk nie pamiętam. Drugi temat był „dowolny” - i pani wyjaśniła, że sami możemy sobie wybrać temat, może to być przygoda wakacyjna, jakaś ciekawostka z naszego miasta lub szkoły. Tematy napisała na tablicy i usiadła przy stole, obserwowała jak się zabieramy do tej klasówki. Bardzo się zdenerwowałem, bo o żadnej z wymienionych postaci nic nie wiedziałem. Musiałem więc wybrać temat dowolny. Ale co ja mam opisać, o czym? Wpadłem w panikę. Przypomniałem sobie, że w trudnych sytuacjach należy odwołać się do Boga i prosić o pomoc. Uchwyciłem się tej myśli i zacząłem modlić się żarliwie do Matki Bożej wierząc, że tylko Ona może pomóc. Gdy trochę ochłonąłem zacząłem wymyślać tematy, przypominając sobie jakieś ciekawe zdarzenie. Może pisać o wycieczkach rodzinnych na Topisz? Może o szkolnej pauzie? Może o jazdach z dziadkiem na jarmarki? Długo nie mogłem się zdecydować. Pani to zauważyła i spytała mnie dlaczego nic nie piszę. I wtedy nastąpiło olśnienie. Niedawno przeczytałem powieść o średniowiecznym rycerstwie. Nie pamiętam tytułu ani autora tej powieści. Bardzo mi się ta książka podobała. Niektóre jej fragmenty bardzo przeżywałem i w łóżku wieczorem dokomponywałem sobie własną wersję do nich, a także własną wersję innych podobnych zdarzeń. W mej wyobraźni zamki, postacie rycerzy, a nawet krajobraz nabierały realnych kształtów. Ponieważ pamiętałem dobrze te „swoje” opowieści postanowiłem jedną z nich opisać. Opowiadanie zatytułowałem *Uczta na zamku* i tę ucztę wydaną przez pana zamku dla zaproszonych okolicznych rycerzy postanowiłem opisać. Przywołałem w pamięci te obrazy, które w swej wyobraźni niedawno przeżywałem. Widziałem więc orszak rycerza wyłaniający się zza ściany lasu, wzniesający na piaszczystej drodze tuman kurzu, który jak wąż sunął drogą w stronę zamku. Wcielając się w jednego z pachółków towarzyszących rycerzowi, obserwowałem i sam orszak rycerza i okolice, którymi ten orszak przechodził. Na czele orszaku jechali konni woje uzbrojeni w długie włócznie. Wśród nich wyróżniający się bogatym strojem i ozdobnym pancerzem rycerz, dowódca całego orszaku a woje to jego drużyna. Za grupą konnych wojów jechało parę ciężkich wozów okrytych „budami” z płótna osadzonego na pałakach, chroniącymi podróżnych i ładunek przed słońcem i deszczem. Dawały one o sobie znać głośnym, miarowym skrzypieniem kół. Za wozami grupa pieszych pachółków uzbrojonych w krótkie dzidy i halabardy. Za nimi szło kilka osób bez broni, pewnie czeladź - służba do obsługi orszaku. Gdy orszak wyszedł zza ściany lasu, przed moimi oczami - bo ja tam przecież też byłem - rozpostarła się oświetlona słońcem zielona równina, w pewnej odległości przechodząca w dość wysokie wzgórze,



na którego szczycie czarno-brązową plamą na tle błękitu nieba ujawnił się zamek. Miał wysokie mury i oparte na stromej skale dachy budynków zamkowych wystające ponad mury. Wysokie baszty lustrujące okolice otworami strzelnic wyglądały majestatycznie i groźnie. Widok ten przyjęliśmy z radością, bo zwiastował rychły koniec podróży. Opuściłem orszak i przeniosłem się na dziedziniec zamku wcielając się w postać jednego z czeladzi zamkowej. W zamku wiedziano już o zbliżającym się orszaku. Dał znać o tym wartownik pełniący straż na szczycie najwyższej baszty umieszczonej nad bramą. Zawiadomiono już pana zamku. Krzątania i ruch na dziedzińcu, przy bramie i budynkach gospodarczych świadczyły o przygotowaniach do powitania i przyjęcia gości. W międzyczasie orszak przybył pod bramę, a po krótkiej wymianie zdań z dowódcą warty słychać było brzęk łańcuchów mostu zwodzonego (zamek otoczony był suchą głęboką fosą) i głośny skrzyp otwieranej przez kilku ludzi ciężkiej, wykonanej z grubych bali bramy. Głuche dudnienie końskich kopyt po drewnianych balach mostu zwodzonego, przechodzące w głośny stukot w tunelu bramy, dały znać że orszak wkroczył do zamku. W chwilę potem głośne miarowe uderzenie kopyt o bruk dziedzińca, pomieszanego ze stukotem kół wozów zlało się z gwarem osób zgromadzonych na dziedzińcu, na którym zrobiło się tłoczno. Służba zamkowa i czeladź gości zaczęła się krzątać wokół wozów i pozostawionych koni. Przybyli rycerze ze swą switą wolnym krokiem zbliżali się do oczekujących na przywitanie przez gospodarzy zamku. To wszystko widziałem jak w rzeczywistości. Widziałem osoby, słyszałem ich głosy, uczestniczyłem emocjonalnie w całym tym zdarzeniu. Nie zobaczyłem już powitania gości. Poczułem lekkie dotknięcie ramienia i głos pani przywołującej mnie do rzeczywistości. Znalazłem się w swojej klasie na lekcji polskiego, ale jeszcze przez parę chwil nie wiedziałem, który świat jest realny. Pani odebrała mi zeszyt mówiąc, że już dawno jest po dzwonku a ja marudzę z oddaniem zeszytu. Chyba dziwnie jeszcze wyglądałem, bo pani przyjrzała mi się uważnie i spytała czy nic mi nie jest, czy się dobrze czuję. Na dwóch następnych lekcjach tego dnia nie wiem co się działo, bo ja nadal przeżywałem swoją zamkową przygodę. Następną lekcję polskiego przeszła normalnie. Dopiero na jeszcze następnej pani przyniosła nasze zeszyty. Przed rozdaniem zeszytów powiedziała, że z tej klasówki jest zadowolona. W większości napisaliśmy ją dobrze, jest jedna piątka, dużo czwórek, i tym razem nie ma ani jednej dwójki. Pani rozdała zeszyty, mój zatrzymując. Bardzo mnie tym zaniepokoiła. Już myślałem, że coś jest źle z moim wypracowaniem i będzie pewno marudziła na mój temat. No i przecież nie dokończyłem opowiadania. Pani dziwnie na mnie spojrzała i powiedziała do klasy, że teraz przeczyta nam najlepsze wypracowanie, które napisał Wiesław Olczyk (wymieniła moje imię, bo w klasie było trzech Olczyków). Zwykle po klasówce, jedno lub dwa najlepsze wypracowania odczytują sami autorzy. Tym razem pani zrobiła wyjątek. Ładnym głosem

i modelując zdania pani powoli odczytała moje wypracowanie. Sam się dziwiłem słuchając mej opowieści przez nią czytanej. Nie chciało mi się wierzyć, że to ja napisałem. Zrobiłem dwa błędy stylistyczne, ale pani te zdania odczytała poprawnie. Kończąc pochwaliła mnie, kazała podejść żeby mi oddać zeszyt i powiedziała półżartem: *Masz dużą wyobraźnię i zadatki na pisarza, gdybyś ty chciał się choć trochę uczyć....* Dumny z pochwały i czerwony z emocji wróciłem do ławki. Pierwszy raz w życiu oglądałem piątkę w mym zeszytcie - co prawda z minusem, za te dwa błędy stylistyczne, które pani podkreśliła czerwonym atramentem. Ale była piątka! Dumny i szczęśliwy wróciłem do domu z postanowieniem, że od dziś będę się uczyć polskiego i co dzień odrabiać zadania domowe z tego przedmiotu. No, nie za długo wytrzymałem w tym postanowieniu, ale całe to wydarzenie pozostawiło ślad na całe życie. Pozwoliło mi to nabrać pewności siebie, poczuć się pewniejszym wśród kolegów, osłabiło to też moją nieśmiałość. Od tego czasu pani od polskiego zaczęła mi wyraźnie okazywać sympatię. Nawet złapany za nieodrobioną lekcję nie dostawałem dwójki w dzienniku jak zwykle, a tylko „groźne” upomnienie. Potrafiłem to docenić. Przrzekłem, że to się więcej nie powtórzy i do końca roku przyrzeczenia dotrzymałem. I nie zawiodłem pani, polski miałem zawsze odrobiony. Długi czas, zachodząc przed lekcjami do klasztoru, pamiętałem dziękować Matce Boskiej za tak skuteczną interwencję.

Dużo napisałem o tym wydarzeniu, może zbyt dużo, ale to wydarzenie było dla mnie bardzo ważnym, powiedziałbym „o przełomowym znaczeniu” w moim życiu. Pozwoliło mi uwierzyć w siebie i zrobić dalszy krok w zwalczaniu mej chorobliwej nieśmiałości. Pozytywnie odbiło się w moim życiu. Poza tym było to jedyne w mym życiu zdarzenie, że potrafiłem w wyobraźni wywołać prawie rzeczywiste obrazy, gdzie fikcja mieszała się z rzeczywistością i odczuwana była jak rzeczywistość. Dziś myślę, że przeżyłem wtedy coś w rodzaju halucynacji wywołanej wielkim napięciem psychicznym. Mam silną wyobraźnię od dziecka i już jako dziecko żyłem marzeniami. Dziś też potrafię żyć w stworzonym przez siebie świecie, tak jak w rzeczywistym, odsuwając rzeczywistość na bok. Szczególnie w okresach depresji czy niepowodzeń życiowych zawsze potrafiłem skutecznie uciekać od rzeczywistości, chroniąc się w piękny, radosny, przyjazny i kolorowy świat wyobraźni. I to pozwalało mi przetrzymać trudne momenty życiowe, bez załamań psychicznych. Dziś, czytając pisma ezoteryczne, dowiedziałem się że jest to metoda psychoterapii często stosowana w stanach lękowych, depresji itp. A ja ją stosowałem już jako dziecko - i stosuję zresztą do dziś.

Poza tym wydarzenie to utwierdziło moją wiarę w moc modlitwy i w jej skuteczność, pogłębiło moje nabożeństwo do Matki Boskiej zasiane jeszcze przez katechetkę, panią Kryszczyńską. Zresztą do dziś jestem przekonany, że w tym opisanym

zdarzeniu był palec Boży. W trudnych chwilach i dziś uciekam w modlitwę, bo to mi przynosi ukojenie i zawsze w trudnych sprawach proszę o pomoc Matki Bożej. I prawie zawsze zostaję wysłuchany. Na marginesie tego wydarzenia wspomnę, że to klasówkowe opowiadanie „sprzedałem” parę lat później, będąc w drugiej klasie gimnazjum. Wtedy też pisaliśmy klasówkę z dowolnym tematem i to dwugodzinną. Tym razem zdążyłem *Uczę na zamku* opisać w całości - na cztery z plusem, bo tyle wg profesora Goszczyńskiego było moje wypracowanie warte.

Drugim podobnym wydarzeniem, choć o znacznie mniejszej porcji emocji była klasówka z matematyki. Dostaliśmy pięć zadań do rozwiązania, w tym dwa z treścią. Jedno z nich bardzo trudne. Pan od matematyki zapowiedział, że będzie osobno klasyfikował pierwsze cztery zadania i osobno piąte. Z tym, że piątego możemy nie rozwiązywać - wtedy dostaniemy tylko jeden stopień. Za rozwiązanie piątego będzie piątka i o jeden stopień podwyższona ocena na cenzurze półrocznej. Matematykę lubiłem i zdaje mi się, że umiałem na czwórkę. Niskie oceny dostawałem za nieodrobione zadania domowe. Bez strachu więc zasiadłem do rozwiązywania tych zadań. Pierwsze cztery udało mi się rozwiązać bez kłopotów i dość szybko. Z piątym były kłopoty. Nie umiałem wpaść na pomysł jak je ruszyć. Pytałem się na migi kolegów, jak im to zadanie idzie. Wszyscy rozkładali ręce. Jak zwykle w trudnych sytuacjach prosiłem o pomoc Matkę Bożą, ale na razie nie mogłem „napocząć” tego zadania. Nauczyciel zapowiadał, że zostało jeszcze 10 minut do dzwonka i zabiera zeszyty. W desperackim wysiłku, spocony z wrażeń, zacząłem wreszcie rozwiązywać to zadanie. Składało się ono z 3 części. Z dwoma jakoś sobie poradziłem, a na pomysł jak ruszyć trzecią część wpadłem na dwie minuty przed dzwonkiem. Rozwiązałem zadania w terminie, ale nie byłem pewny wyniku. Nie martwiłem się tym, bo przecież cztery pierwsze rozwiązałem, więc i tak będę miał zaliczoną klasówkę. Bez emocji czekałem na wyniki. Na następnej matematyce nauczyciel rozdał zeszyty z klasówką i podsumował wyniki. Wszystkie zadania rozwiązałem tylko ja, z tym, że to piąte usiłowało rozwiązać jeszcze trzech kolegów, za co też dostali piątki. Oni dostali piątki z minusem, a ja pełną piątkę. W jednym z tych łatwiejszych zadań zrobiłem błąd. Za te zadania dostałem czwórkę z plusem. Radości było co niemiara, bo w klasówkach poza dostatecznym nie miałem lepszych stopni. Nauczyciel dotrzymał słowa i na półrocznej cenzurze miałem z matematyki czwórkę - choć zasługiwałem na marną trójkę, tyle miałem dwój za nieodrabianie zadań domowych. Ta piątka też dała mi wielką satysfakcję, zostałem zaliczony do dobrych matematyków w klasie i ta opinia przeszła za mną i do następnej klasy. Zyskałem także uznanie w oczach nauczyciela, który do tej pory mizernie mnie oceniał. Nawet sam mi powiedział, że do tej pory mnie nie doceniał - i to sprawiło mi największą satysfakcję.

I tak jakoś, bez większych wydarzeń, dobiliśmy do Bożego Narodzenia. Jak zwykle były rozdane cenzury półroczne i ja, jak zwykle, nie miałem się czym chwalić. Postępem było to, że już nie dwie dwójki były na cenzurze, ale jedna i to chyba z historii - przedmiotu który przecież lubiłem. Nie wiem jak to się stało! Obecna cenzura była jednak lepsza od poprzednich. Poza czwórką z religii, co było zasadą - nikt nie dostawał gorszego stopnia, cenzurę zdobyła czwórka z matematyki i czwórka z polskiego. Do tego doszła czwórka z gimnastyki, ale tu nie trzeba było odrabiać zadań domowych i nie „zarabiałem” dwójek. Fakt, że rodzice tym razem zostawili cenzurę bez komentarza.

W sklepie sezon jesienny nie był zły - od dwóch lat jakaś szczęśliwa passa spotykała rodziców i wszystko układało się pomyślnie. Spółka z kuzynem z Częstochowy też się pomyślnie rozwijała. Dobrze układała się ta współpraca dwóch Olczyków. Zygmunt Olczyk (ten wspólnik z Częstochowy) często do nas zaglądał i nad czymś ważnym naradzali się z ojcem. Nie rozmawiali o tym w domu, wychodzili porozmawiać do pobliskiej kawiarni. Mamie też ojciec za dużo o tych rozmowach nie mówił, nie było też o tym mowy w ich wieczornych rozmowach i z moich podsłuchów tych rozmów nic nie wychodziło. A byłem ich bardzo ciekaw, myślę że i mama też.

Przed Wszystkimi Świętymi Radomsko przeżyło niewesołe wydarzenie. Wielka fabryka mebli „Mazowia”, chluba Radomska zatrudniająca ponad 2 tysiące osób, zbankrutowała i wszyscy w niej zatrudnieni zostali bez pracy. Dla miasta był to wielki cios. 10% mieszkańców Radomska straciło pracę i to przed zimą, gdy rodziny mają zwiększone wydatki, na węgiel, ziemniaki, ciepłą odzież itp. Do tego bankrutująca firma wypłaciła swym pracownikom wynagrodzenia nie w pieniądzu (bo tych nie miała), ale w naturze - swoimi wyrobami. Pracownicy dostawali więc różne szcztoki, szufelki, wieszaki itp. przedmioty zbędne, na które nie było w ogóle zapotrzebowania. Rodziny, które to nieszczęście dotknęło, były naprawdę w tragicznym położeniu. Przez parę tygodni tematem rozmów radomszczan było bankructwo tak wielkiego zakładu i bezrobocie, którego się każdy pracujący zarobkowo obawiał. I u nas w domu przez wiele tygodni ten temat był wałkowany. Ludzi pracujących w innych zakładach ogarnął lęk przed bezrobociem. Miasto ogarnęła jakaś psychoza przed utratą pracy. Zaczynano żyć bardziej oszczędnie i zaprzestano zakupów. W handlu zrobił się zastój. Naszego sklepu jednak tak bardzo nie dotknął. Naszymi klientami jesienną porą byli głównie rolnicy z okolicznych wsi, którzy po żniwach i wykopkach, po sprzedaniu części zbiorów przyjeżdżali do miasta po zakupy - zwyczajowo przed Wszystkimi Świętymi. Tradycją na wsi było wystąpić na Święto Zmarłych w czymś nowym, czy to w nowym płaszczu, nowej sukience czy w no-

wych butach. Tak, że z tego nastroju spowodowanego bezrobociem wyszliśmy oborną ręką. To podsłuchałem z wieczornych rozmów rodziców.

Z tego czasu pamiętam incydent, którego byłem świadkiem. Któregoś popołudnia, gdy siedziałem w sklepie, przyszła klientka z 10-letnim chłopcem. Chciała kupić dla syna buty na zimę. Obsługiwał ją ojciec. Klientka wybrała czarne kamasze, przymierzała je chłopcu i okazały się dobre. Podobały się obojgu. Przystąpiono do ustalenia ceny. Jak wiadomo ceny w tym czasie nie były stałe i zwykle „targowano” się przy zakupie - dziś nazywałoby się to negocjowaniem. Wiem, że ojciec wycenił te kamaszki na 12 złotych i po targu ustalono cenę 11 złotych. Klientka wtedy ojcu zaproponowała, że gotówką da 8 złotych, a za pozostałe 3 złote da ojcu jakies wyroby ze zbankrutowanej fabryki, które zamiast pensji otrzymał jej mąż tam pracujący. Ojcu na nic nie były potrzebne oferowane wyroby i nie zgodził się na taką transakcję. Klientka prosiła mówiąc, że nie ma więcej pieniędzy, że mąż jest bez pracy, a chłopak nie ma w czym chodzić do szkoły. Ojciec uznał to za „naciąganie” go i nie ustąpił. Kobieta rozplakała się i wyszła ze sklepu. I w tej chwili ojciec uświadomił sobie, że ona nie jest naciągaczką, ale naprawdę nie ma za co dziecku kupić butów. Wybiegł za nią i przyprowadził z powrotem do sklepu. Przyjął za 3 zł jakąś szcztokę do ubrania i zmiotkę z szufelką do zamiatania okruszyn ze stołu. Te rzeczy były naprawdę ładne, tyle że nam niepotrzebne. Ojciec zapakował buty i opuścił jeszcze złotówkę. Kobieta dopłaciła więc 7 złotych. Widziałem, że ona ze wzruszenia nie potrafiła się odezwać. Nieswoim głosem podziękowała ojcu i wybuchając płaczem uciekła ze sklepu. Ojciec, mama i ja, którzy byliśmy świadkami tego incydentu, wzruszyliśmy się na ten widok. Ojciec skomentował to zdarzenie: *widzicie jak wielkim nieszczęściem jest bezrobocie*. Wieczorem jeszcze o tym rozmawiali i oboje byli zadowoleni, że ojciec tak postąpił. A ta zmiotka z szufelką przez wiele lat była nieuzwanym rekwizytem w naszym mieszkaniu.

We Wszystkich Świętych znów, jak co roku, odbyło się spotkanie rodzinne przy grobie babki Dorozińskiej. Tego dnia odbywały się sesje, na których spotykała się cała rodzina bez względu na wzajemne animozje. My co roku kupowaliśmy na grób babki cztery donice z chryzantemami. Białymi, bo w tych latach nie było modne stroić grób na kolorowo, więc i w sprzedaży kolorowych chryzantem nie było. Kupowaliśmy jeszcze cztery doniczki z chryzantemami na groby rodziców i rodziny ojca. Zanoszenie tych kwiatów na cmentarz od trzech lat było moim zajęciem. Zanośliem je do południa, a było to zajęcie dla mnie bardzo męczące. Musiałem obracać cztery razy z ładunkiem dwóch doniczek. Więcej na raz nie mogłem zabrać, a i tak z dwiema miałem kłopoty i po drodze musiałem parę razy odpoczywać. Niezbyt ochoczo zabierałem się do tego noszenia i z tego też powodu nie lubiłem Święta Zmarłych. Po wczesnym obiedzie, z ładunkiem świec, ruszyliśmy całą naszą czwór-

ką na stary cmentarz. Przy grobie babki zastaliśmy rodzinę mamy w komplecie: siostry z mężami (jedna niezamężna) i dziadek - w tym dniu bardzo poważny i milczący, nie brał udziału w towarzyskich pogaduszkach. Towarzystwo sobie poplotkowało dobre dwie godziny, aż zaczęło się ściemniać. Brakło tematów i rozmowy się urywały, ale nikt nie chciał dać pierwszy sygnału do odejścia. A było w zwyczaju, że pierwszy dający sygnał do odejścia zapraszał całe towarzystwo do domu na „mały kieliszeczek”. Tak się złożyło, że parę lat pod rząd ojciec zapraszał rodzinę do siebie. W tym roku ojciec się zawzięł i postanowił ich już nie zapraszać. Powiedział do mamy, że tyle razy zapraszaliśmy jej rodzinę a nikt nie pomyślał, żeby choć raz nas zaprosić - więc i my też nie będziemy się wychylać. Ojciec teraz „bawił” się z nimi udając, że mu się nie spieszy do domu. Towarzystwo było zawzięte i wszyscy twardo czekali na zaproszenie przez ojca. Gdy oczekiwanie się przedłużało i nikt nie kwapił się do dania sygnału do rozejścia, ojciec niespodziewanie zaczął żegnać się z towarzystwem i poszliśmy do domu. Towarzystwo obraziło się na nas, bo *jak ojciec śmiał ich nie zaprosić*. Ojca te dąsy tylko śmieszyły. Mógł sobie z nich nic nie robić i je lekceważyć. Jego pozycja towarzyska była już wysoka. To nie ten „Romek” - lekceważony szewczyk, pracujący u teścia, ale „pan Olczyk” - znany kupiec radomszczkański. Po paru dniach rodzinie humory przeszły i jeden po drugim, jak gdyby nigdy nic, wpadali do naszego sklepu na pogawędkę z ojcem. Ojciec widząc to żartował do mamy, że przecież niedługo święta, więc chcą się na nie do Olczyków „załapać”. A my, w drodze powrotnej z cmentarza do domu, odwiedziliśmy jeszcze groby żołnierzy z 1920 r. oraz groby powstańców z 1863 r. Zapaliliśmy im parę świeczek i tak zakończyliśmy w tym roku Święto Zmarłych.

9 grudnia wypadały moje imieniny. Nigdy wcześniej o nich nie wspomniano i nawet nie wiedziałem, że mam imieniny. W domu obchodzono tylko imieniny ojca. I tego dnia ja z Marynią musieliśmy rano, przed śniadaniem, pod nadzorem mamy, złożyć ojcu życzenia i to całując go w rękę (brrrr! jak ja tego od małego dziecka nie lubiłem!). Mama stawiała wtedy na stół wazon świeżych kwiatów, żeby było wiadomo, że dziś jest dzień uroczysty. Późnym popołudniem przychodzili goście, koledzy ojca w rozszerzonym składzie - „karciarze”. Grano w preferansa, a potem mama robiła uroczystą kolację. Wypijano parę kieliszków wódki, a na deser mama podawała upieczoną przez siebie pyszną szarlotkę. I to były ojca imieniny. Imieniny mamy wypadały 27 grudnia, następnego dnia po świętach, więc były jakoś zapomniane. Ja z Marynią, tak jak ojcu, składaliśmy rano mamie życzenia. Bez nadzoru ojca, ale on nam parę dni wcześniej o nich przypominał. Ze trzy razy zrobiłem nawet mamie laurkę. I na tym mamy imieniny się kończyły. Żadnych przyjęć i żadnych kwiatów od ojca nie było. O mamie pamiętał zawsze pan Stefan - podobno dawny adorator, który w ten dzień zawsze na krótko wpadał do nas i składał mamie życzenia. Na-

szych imienin, moich i Maryni, nie obchodzono ani nawet o nich nie wspomiano. Zdziwiłem się, gdy tego dnia wieczorem ojciec z mamą coś poszeptali i mama wyszła z domu. Wróciła do domu z tabliczką czekolady Wedla „Jedyna” (bo ta była najtańsza) i wręczając mi ją złożyli życzenia. Przyjąłem to ze zdziwieniem, bo i przy tej okazji musiałem ojca całować w rękę. No i musiałem podzielić się czekoladą, bo jak imieniny, to solenizant winien poczęstować składających życzenia. I tak odbyły się pierwsze od 11 lat moje imieniny.

Następne wydarzenie rodzinne to Boże Narodzenie. Nie odznaczyło się niczym szczególnym i upłynęło jak każde poprzednie. Nie będę więc tego święta szerzej opisywał. Tak samo jak w ubiegłym roku, z Marynią i ojcem poszliśmy do znajomego rzeźnika wybierać na Święta szynkę, spośród mnóstwa szynek wiszących pod sufitem. I podobnie jak w ubiegłym roku, ojciec zabrał nas do cukierni Glapińskiego, do której latem chodziliśmy na niedzielne lody. Teraz tutaj mogliśmy sobie wybrać po 10 sztuk czekoladowych bombek na choinkę, owiniętych w kolorową folię. Było to dla nas dużą frajdą. I podobnie odbyło się pieczenie ciasta, gotowanie szynki, ubieranie choinki (zawsze 22 grudnia). I podobnie uroczy zapach świąt, cudowna mieszanina zapachów gotującej się szynki, upieczonego ciasta, świeżo pastowanej podłogi i świeżo zawieszonych firanek. A wszystkie zmieszane z żywicznym leśnym zapachem jodły ustawionej w pokoju i gotowej do ubierania. Całość zwiastowała zbliżającą się Wigilię. Wigilię spędzaliśmy z dziadkiem, razem śpiewaliśmy kolędy. Punktem kulminacyjnym była pastorałka śpiewana przez dziadka *Anioł leci, leci, jasnością swą świeci* ..., który ją śpiewał jeszcze na ulicy, po wyjściu z Wigilii. I tak zakończyliśmy bardzo udany dla nas rok 1935.

Następny, 1936 r., zaczął się dla nas, jak zwykle, remanentem w sklepie w pierwszym dniu roku. Poprzedni rok skończył się dla nas jak w poprzednich dwóch latach, pomyślnie a nawet bardzo pomyślnie. Nie było to dla rodziców zaskoczeniem, bo trochę spodziewali się tego. Dobra dla nas passa trwała. Rodzice przyzwyczaili się do swych sukcesów tak, że nie było wybuchu entuzjazmu. Panował tylko nastrój radosnego podniecenia. Jeszcze przez parę dni były rozmowy na temat remanentu i planów przyszłościowych. A że „apetyt przychodzi w miarę jedzenia” rodzice snuli coraz śmielsze plany, wybiegające na kilka a nawet kilkanaście lat w przyszłość. Zgodnie z tymi planami-marzeniami miał być dwu lub trzypiętrowy dom przynoszący dochód (a więc kamienica z lokatorami), drugi sklep w Częstochowie, a może jeszcze jeden w Piotrkowie. W dalszej przyszłości miała być mała fabryczka obuwia w Radomsku, hurtownia w Łodzi, a potem może i garbarnia w Częstochowie? Słuchałem tych rodzicielskich marzeń z zapartym tchem, z wypiekami na twarzy i z wielkim przejęciem. Zauważyłem jednak, że o dzieciach, tj. o mnie i siostrze Maryni nie było w tych marzeniach miejsca. Byłem tym lekko zawiedziony. Za

to sam sobie „dopisywałem” resztę. W wyobraźni kończyłem studia na politechnice lwowskiej, ożeniłem się z ładną dziewczyną, założyłem moją kochającą się rodzinę z dwojgiem dzieci, które bardzo kochaliśmy. Mieliśmy własny dom, samochód i małą fabryczkę - o nieokreślonej jeszcze produkcji. Wyjeżdżaliśmy własnym samochodem na wakacje nad morze, gdzie rozkoszowaliśmy się słońcem, piaszczystą plażą, kąpielami w morzu i widokiem bezkresnego niebieskiego morza, które rozciągało się aż po horyzont. Byliśmy bardzo szczęśliwą rodziną, kochaliśmy się bardzo. W tych moich marzeniach, prawem retorsji, nie było miejsca dla rodziców.

Po paru dniach tematy przyszłościowe się wyczerpały i wróciliśmy do rzeczywistości. Rodzice wrócili do swych zajęć. Ojciec z kuzynem z Częstochowy, jak w ubiegłym roku, rozpoczął serię wyjazdów służbowych organizując zakup dostaw towarów na cały rok. Sklep pozostawał w wyłącznej opiece mamy. Wszystko układało się jak w ubiegłym roku - pomyślnie. Dobra passa dla rodziców trwała. Nie będę tego roku opisywał szczegółowo, bo nic specjalnego w nim się nie wydarzyło, poza jednym ważnym dla nas wydarzeniem - rozpoczęciem budowy domu, czyli realizacji pierwszego etapu marzeń rodziców. A moja edukacja? Nie ma o czym mówić. Jak zwykle nie przykładałem się do nauki. Do siódmej klasy zdałem z ledwością i bardziej była to zasługa ojca, który był już znaną w mieście postacią i moi nauczyciele nie chcieli mu robić przykrości każąc mi powtarzać klasę.

A życie rodzinne? W ubiegłym roku ciocia Rysia wyszła za mąż i urodziła ładnego chłopaka, Ryszarda. Mojemu ojcu, jak wspominałem, udało się nowego szwagra umieścić w „Metalurgii”, więc młode małżeństwo miało na razie zabezpieczoną przyszłość. Ciocia Rysia była najmłodszą siostrą mamy, młodszą o 7 lat. Mama bardzo ją lubiła, ja też. Była ode mnie starsza o 10 lat, więc nie było tak wielkiej różnicy wieku między nami. W pierwszych latach po zamążpójściu mojej mamy i po moim urodzeniu bardzo mamie pomagała. Zajmowała się mną chyba do 5 lat. Utrzymywaliśmy z nią serdeczne kontakty. W czasie narzeczeństwa i zaraz po ślubie oboje zachodzili do nas często na krótkie pogawędki. Teraz, mając niemowlę pod opieką, przychodziła rzadziej. Za to ja przychodziłem do nich często. Z czasem odwiedzałem ciocię coraz rzadziej, widząc że wujek Heniek nie bardzo lubi moje wizyty. Potem przychodziłem tylko w wakacje do południa, gdy wujka nie było w domu. Z ich powodu nawiązaliśmy kontakty towarzyskie z teściami cioci Rysi, ściślej z mamą wujka i jej mężem, ojczymem wujka. Teściowie nazywali się Węglewscy. Mieli duże parohektarowe gospodarstwo ogrodnicze pod Strzałkowem, wsi odległej ok. 3 km od Radomska. Mieli ładny parterowy wieloizbowy domek z dużą werandą - stylizowany na dworek. Przed domem był ładny ozdobny trawnik z kwiatkami i ładnymi krzewami. Z dala od domku były zabudowania gospodarcze: stodoła, wozownia, stajnia, a wokół gospodarstwo ogrodnicze - duży sad z wieloma gatunkami drzew owoc-



wych, duży warzywniak z łanem pomidorów podpartych tyczkami, mała szklarnia, skrzynie inspektowe itp. Sam właściciel tego gospodarstwa, pan Węglewski, był znanym i doświadczonym ogrodnikiem, lubił zajmować się ogrodnictwem.



U Węglewskich w Strzałkowie w 1936 r. Na balkonie od lewej: Leon Muszyński, pan Węglewski, Czesława Muszyńska (z d. Dorosińska), Henryk Dorosiński z żoną Zofią siedzącą przed nim, Adela Węglewska i Aurelia Dorosińska, dziecko z prawej – Andrzej Woźniak. W werandzie stoją od lewej: Kazimiera Woźniak (z d. Dorosińska) z Ireną Muszyńską, Jan Woźniak z córką Krysią. (fotografia z kolekcji Anny Wojtaś-Merker, wnuczki Czesławy i Leona Muszyńskich)

Latem w niedziele wyprawialiśmy się do Węglewskich do Strzałkowa całymi rodzinami. Na piechotę, bo nie było daleko, niecałe 3 km. A wybieraliśmy się dużym składem. Niekiedy wszystkie siostry Dorosińskie z mężami oraz my we czwórkę. Tam nas gościnnie przyjmowano. Po-

dobalo mi się tam. Można było sobie pochodzić po wielkim ogrodzie, pełnym drzew owocowych, krzewów malin, porzeczek i agrestu. W warzywniku rosły w wielkich ilościach warzywa. Główki kapusty i sałaty sterczące w równych rzędach, las krzaków pomidorów podpartych wysokimi palikami późnym latem czerwienił się z daleka oblepionymi do gałęzi owocami i pachniał wtedy przyjemnym ostrym zapachem. Były też pomidory żółte, co wtedy było nowością. Można było poszperać w zakamarkach wielkiej ciemnej stodoły pełnej pachnącego siana, a po żniwach pełnej snopków zżętego zboża, które młócono ręcznie cepami na klepisku stodoły. Obok

stała drewniana przybudówka - szopa spełniająca rolę wozowni. W niej stały dwa wozy, bryczka i parę jakichś narzędzi ogrodniczych. Z drugiej strony stodoły stała drewniana stajnia połączona z oborą. O przeznaczeniu tej szopy informował przyjemny dla mnie zapach przefermentowanego końskiego nawozu. W stajni rezydował kasztanowaty koń, a właściwie klacz nazwana przez gospodarzy Baską. Lubiała ona bardzo towarzystwo ludzi, była bardzo łagodna i lubiła gdy ją głaskano po szyi. I ja za każdej bytności u Węglewskich zaglądałem do Baški i też lubiłem ją głaskać. Lubilem te wizyty w Strzałkowie. W wakacje czasem wypuszczałem się tam samotnie i spędzałem tam cały dzień, wracając dopiero na wieczór do domu. Czasem zatrzymywali mnie na noc, co było dla mnie wielką frajdą. Wtedy wracałem drugiego dnia po południu, zadowolony i pełen wrażeń. Rewanżując się za gościnę w Strzałkowie rodzice zaprosili na przyjęcie Węglewskich i część naszej rodziny do nas. Raz to było późną jesienią, a drugi raz zimą tylko samych Węglewskich. Wtedy powiedziałem rodzicom, że mają trochę żalu do naszej rodziny. Całe lato prawie co niedzielę przychodzą do nich w goście i są gościnnie przyjmowani, ale gdy przyjdzie zima nikt nie pomyśli żeby ich zaprosić do siebie - a oni całą zimę spędzają czas samotnie i chętnie by od czasu do czasu spędzili parę godzin w towarzystwie. Rodzice nic nie wiedzieli, że nikt z naszej rodziny (poza nami) ich nie zaprosił. Uważali to za wielki nietakt i byli tym oburzeni. Komentowali ten fakt przez parę dni w wieczornych rozmowach.

W tym roku siostra Marynia ma już siedem lat, a więc od biedy nadaje się na partnerkę naszych podwórkowych zabaw. Zacząłem ją więc od czasu do czasu zabierać na wyprawy z moimi kolegami. Do tej pory bawiła się z rówieśnikami z okolicznych podwórek, których za wiele nie było. Teraz w wakacje często zabierałem ją ze sobą na wyprawy z grupą kolegów na sąsiednie podwórka, na włóczęgi po ulicach (połączone z oglądaniem wystaw) lub wycieczki do naszego parku. Marynia najchętniej chodziła z nami na trzecie podwórko. Było ono zabudowane tylko z jednej strony i to niską parterową oficyną, a po drugiej stronie była krótka ściana domu sąsiedniej posesji i wysoki gruby mur ceglano-parkanu - płasko zakończony, szeroki na ponad 30 cm. Po tym murze można było z powodzeniem biegać, a z niego miało się wgląd na pięć sąsiednich podwórek. Podwórko to było bardzo widne w dni słoneczne, gdyż od strony południowej nie miało prawie żadnych zabudowań. Żółte jasne ściany parterowej oficyny dodatkowo rozjaśniały przestrzeń podwórka, nadając mu radosnego wyglądu. Najatrakcyjniejsza była dla nas ogromna góra trocin, usypana przy ścianie sąsiedniej oficyny. Kryła ona zmagazynowane w jej wnętrzu bryły lodu, wyrąbane zimą ze stawów, przysypane grubą warstwą trocin umożliwiającą przetrzymanie lodu w ciepłe dni. Ten lód pobierany był latem do chłodzenia mięsa w sąsiedniej restauracji i do wyrobu lodów w cukierni mieszczącej się w tym po-

dwórku. Po tej hałdzie trocin biegaliśmy, urządaliśmy sobie różne zabawy zręcznościowe i podkradaliśmy kawałki lodu, które lizaliśmy z przyjemnością chłodząc się w upalne dni.

Jedną z atrakcyjniejszych zabaw dla nas chłopców w wakacje były wycieczki do kina. Naturalnie chodziliśmy bez biletów, na gapę, jeśli udało nam się przechytrzyć pilnujących porządku i sprawdzających bilety. Przecież nie dostawaliśmy na kino pieniędzy. Nie zawsze nam się to udawało. Wiele razy bileterzy złapali nas na próbie przedostania się do sali kinowej na gapę. Parę razy byłem wytargany za uszy, gdy bileterzy złapali mnie pod drzwiami sali lub gdy wyprowadzali mnie z sali kinowej. Stosowaliśmy różne metody wyprowadzenia w pole bileterów. Najlepsza była ta z pozorowanym wejściem. Radomszczańskie kino miało wejście na salę z holu, a na balkon prowadziły podwójne schody - jedne po lewej stronie a drugie po prawej stronie budynku. Wejścia na te schody były umieszczone przed holem. Dla bileterów sprawdzających widzom bilety było to niewygodne, dlatego było ich przeważnie dwóch. Jeden sprawdzał gości idących na parter a drugi tych którzy wchodziłi na balkon. Wykorzystując fakt, że na balkon były dwa wejścia dzieliliśmy się na dwie grupy. Jedna licząca 2-3 osoby powoli wchodziła na jedne schody omijając biletera, ale starając się jednocześnie zwrócić na siebie uwagę. Ten, zauważywszy ich ruszał za nimi w pogoń i łapał ich jeszcze na schodach. W momencie gdy bileter ruszał na schody za gapowiczami, druga grupa (3-4 chłopców) szybko wbiegała na drugie schody i wchodziła do sali kinowej. Złapani chłopcy z pierwszej grupy stawiali opór krzycząc i opierając się, żeby to trwało jak najdłużej, by dać możliwość drugiej grupie dostać się w tym czasie na salę. I tak przeważnie dostawaliśmy się do kina. Za parę dni powtarzaliśmy ten „zabieg” zmieniając się w grupach, żeby dać możliwość wszystkim obejrzeć dany film. Dwa czy trzy razy udało mi się nawet wprowadzić siedmioletnią Marynię, dla której obejrzenie filmu było wielkim przeżyciem. Z nią zająłem kiedyś miejsce w łoży balkonowej, bo była osłonięta od widowni dość wysoką ścianką i z widowni nie było widać siedzących w łoży osób. Po pierwszej części filmu, czyli po „nadprogramie”, przerywano projekcję. Zapalały się światła, żeby dać możliwość spóźnialskim zając miejsca na sali. Wtedy też wkraczali na salę bileterzy sprawdzając pobieżnie czy nie ma młodych gapowiczów. Często łapali 2-3 chłopców i wyprowadzali z sali. Bileterom nigdy nie wpadł do głowy pomysł, żeby sprawdzać łoże. Musieliby do nich przechodzić przez całą salę a światła paliły się krótko, więc i czasu na taką kontrolę nie było. Raz, gdy siedziałem sobie w łoży z Marynią, ona zamiast schylić głowę i zrobić się niewidoczną, wstała i zaczęła się przyglądać sali oraz komentować na głos swoje wrażenia. Przeraziłem się tym i ledwie zdążyłem ją przyduścić do krzesła, bo ta wcale nie chciała się chować. Przeżyłem chwile strachu, ale na szczęście bileterzy nie patrzyli w stronę łóż i mogliśmy bezpiecznie obejrzeć

film. Często i ja byłem w grupie pozorującej i wtedy dawałem się złapać. Wytarמושono nam uszy i wrzeszczących siłą wyrzucano z kina, obiecując następnym razem lanie. Wytarganie uszu to była cena wkalkulowana za wejście do kina. Zresztą nie bolało to tak bardzo, bo bileterzy robili to raczej „dla formalności”. Tak obejrzałem w ciągu 2 lat kilkanaście filmów: z Patem i Patachonem, Flipem i Flapem, Shirlejką, kowbojskie z Tomem Mixem i parę polskich filmów. Gdy zacząłem chodzić do gimnazjum i chodziłem już w mundurku nie chciałem już chodzić do kina na gapę. Uważałem, że gimnazjaliście nie wypada tego robić. Zerwałem też z tymi kolegami, „bandą łobuzów”, jak moich kolegów nazywała moja mama.

Z rozrzwieniem wspominam dziś te „kinowe” czasy. Oglądanie filmów było dla mnie, marzyciela o bujnej wyobraźni, ogromnym przeżyciem. Po obejrzeniu każdego filmu długo go przeżywałem. Wieczorami, leżąc w łóżku, na fabule oglądane filmu „dokręcałem” w wyobraźni dalsze jego części. I te moje „filmy” też mocno przeżywałem identyfikując się z bohaterami tych filmów.

Wyobraźnię moją rozbudzały także przeczytane książki. W tym roku poznałem smak czytania i rozpocząłem mą przygodę z literaturą. Zacząłem namiętnie czytywać książki pożyczane ze szkolnej biblioteki. Brałem je początkowo „jak leci”, bez szczególnego doboru i wszystkie na razie mi się podobały, wszystkie z przejęciem czytałem. Dopiero po długim czasie zacząłem je oceniać i wyrabiać sobie o nich zdanie. Wtedy zauważyłem, że jedne podobają mi się bardziej a inne mniej. Zacząłem je dobierać tematycznie i zwracając już uwagę na autorów. Po ochłonięciu z pierwszych kilku książek, wśród których były powieści Courths-Mahler, Rodziewiczówny, Marczyńskiego trafiłem na Trylogię Sienkiewicza, która na wiele tygodni mną zawaładnęła. Tę powieść najbardziej przeżyłem. Trylogię przeczytałem w tym roku trzy razy, a w późniejszych latach jeszcze cztery razy. W marzeniach wieczornych przeżywałem przeczytane rozdziały jeszcze raz, modyfikując trochę ich fabułę według własnej wyobraźni. Wcielałem się w bohaterów tej powieści przeżywając ich przygody. Byłem i Wołodyjowskim, Skrzetuskim, najczęściej Kmicicem i walczyłem kolejno ze Szwedami, Kozakami, Turkami, ratowałem z opresji Oleńkę itp. Z rozpędu przeczytałem *Wiatr od morza*, który mniej mi się podobał, ciekawszego *Farona*, no i zacząłem *Chłopów* Reymonta, ale ta powieść zmęczyła mnie już przy pierwszym tomie (przeczytałem ją znacznie później, i to dwa razy). Ta powieść trochę mnie zniechęciła do lektury klasyków. W międzyczasie wpadły mi w ręce książki przygodowe i te zacząłem łapczywie czytać. Tak połąkłem *Hrabiego Monte Christo*, książki Karola Maya, Coopera. *Ostatniego Mohikanina* czytałem dwukrotnie, przeżywając przygody bohaterów w wieczornych marzeniach. Dorwałem się też (przypadkowo) do gazetek obrazkowych dla młodzieży: „Wędrowca”, „Tarzana”,

„Buffallo Bill’a” i wyobraźnię moją miałem pełną przygód bohaterów tych obrazkowych opowieści.

Muszę jednak przyznać, że największe i najtrwalsze wrażenie wywarła na mnie Trylogia. Ona wzbudziła we mnie pasję czytania. To pasja czytania powieści i wieczorne ich marzycielskie komentowanie przez wiele lat pozwalało mi się bronić przed przykrą rzeczywistością, pozwalało zapominać o kłopotach życiowych, o szarzyźnie i brutalności życia. Jako wielki marzyciel o bujnej wyobraźni wielokrotnie uciekałem w przygodowe lektury, żeby zapomnieć choćby na chwilę o przykrej rzeczywistości. Gdy przychodziły większe kłopoty życiowe, niepowodzenia zawodowe, nieporozumienia rodzinne czy napotykając sytuacje trudne i zdawałoby się bez wyjścia - uciekałem w optymistyczne lektury przygodowe. Przeżywając je emocjonalnie zapominałem o rzeczywistości, budując na ich podstawie w swej wyobraźni „rzeczywistość” równoległą, dziś nazwałbym ją „wertikalną”. W tej „mojej” rzeczywistości poruszałem się jak w świecie realnym, traktując te marzenia jak rzeczywistość. To właśnie pozwalało mi przeżywać bez większych stresów trudne chwile. Nawet już w świecie dorosłym pozwalało mi uniknąć załamań. Zresztą i dziś, gdy nadchodzi trudne chwile, uciekam w świat marzeń budując tę swoją „wertikalną”, optymistyczną rzeczywistość - już bez pomocy lektur.

Ogarnięty pasją czytania zabrałem się też za gazety, które ojciec kupował do sklepu. Z codziennych gazet były to: „Dzień Dobry” - dziennik łódzki, „Mały Dziennik” z Niepokalanowa, poznański „Orędownik”. Tygodniki to: „Na Szerokim Świecie”, „Przewodnik Katolicki” z Poznania, częstochowska „Gazeta Narodowa”, socjalistyczny „Robotnik” i „Gazeta Radomska”. Interesowałem się bardzo bieżącymi wydarzeniami. Bolesnie przeżywałem wojnę domową w Hiszpanii czytając o okrucieństwach popełnianych przez komunistów, o mordowaniu niewinnych ludzi przez zbrodniarzy, którzy wtedy rządili Hiszpanią, o niszczeniu kościołów. Bardzo przeżywałem obronę Alkazaru, zamku w Sewilli, w którym po zajęciu miasta przez komunistów broniła się grupa kadetów. Modliłem się bardzo żeby obrońcy doczekali się odsieczy i jak się cieszyłem, gdy odsiecz zdążyła ich obronić. Cieszyłem się bardzo na zwycięstwo gen. Franco.

Codziennie czytanie gazet stało się moim nawykiem. Dzięki temu wiedziałem na bieżąco co się dzieje w Polsce i na świecie, wiedziałem jak nazywają się szefowie ważniejszych państw. Dowiadywałem się o klęskach głodowych pochłaniających miliony ludzi w Chinach czy w Indiach, gdy jednocześnie w tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych, Brazylii i Argentynie zatapiało w oceanie tysiące ton zboża i kawy z powodu nadmiernego urodzaju. Pewnego razu na lekcji pani zapytała jak się nazywa i jak ma na imię prezydent Stanów Zjednoczonych. Tylko trzech uczniów wiedziało, że nazywa się Roosevelt, ale tylko ja wiedziałem jakie ma imię-

na (Franklin Delano) - właśnie dzięki lekturze gazet. I od tego czasu odczułem, że pani do mnie inaczej podchodzi, zrobiła się znacznie przystępniejsza.

Z gazet zapamiętałem z tego roku jeszcze nominację Rydza Śmigłego na marszałka Polski 8 września 1936 r., i jego powitanie na dworcu w Radomsku, gdzie zatrzymał się na kilka minut będąc w przejeździe. Było to we wtorek 10 września. Marszałek zatrzymywał się we wszystkich miastach będących na trasie jego przejazdu. Z wiadomości prasowych tego roku pamiętam też wprowadzenie od 1 września 1936 r. nowej ortografii, którą wałkowaliśmy potem przez parę tygodni na lekcjach polskiego. Pamiętam wiadomość z „Gazety Radomskowskiej” o bezrobociu w Radomsku i powiecie, które też w rodzinie komentowano kilka dni. Okazało się, że w Radomsku i powiecie, wg stanu na dzień 17 marca 1936 r., było 1710 osób bez pracy na 23 tys. ludności. Wg informacji z tej gazety Polska na 1 stycznia 1936 r. liczyła 33 800 tys. osób, a w roku 1931 r. - 32 100 tys. osób. Z informacji ze zdarzeń lokalnych<sup>4</sup>. W dniu 21 czerwca 1936 r. w Radomsku nastąpiło otwarcie przystani Ligi Morskiej i Kolonialnej w Topiszu nad Wartą. Byłem na tym otwarciu „służbowo”, z naszą drużyną harcerską i nawet pełniłem przed wejściem na przystań wartę w mundurze harcerskim. Stałem tam z długim harcerskim kijem. Jaki ja wtedy byłem ważny!

Pierwsza połowa roku przeleciała mi szybko. Nawet nie pamiętam większości zdarzeń z tego okresu. Przeżywałem, jak zwykle, ze strachem zakończenie roku szkolnego i bardzo słabe świadectwo. Moja cenzura bardzo się rodzicom nie podobała i przyznam, że mnie także. Nie byłem nią zachwycony, choć cieszyłem się że jednak mnie przepuścili do ostatniej, siódmej klasy. W głębi ducha cenzurę uznałem za sprawiedliwą. Przecież nie uczyłem się, nie uważałem na lekcjach, nie odrabiałem nigdy zadań domowych więc na co mogłem liczyć? Na naukę nie miałem przecież czasu, pochłonięty byłem lekturami. I tak rozpocząłem wakacje.

W tym roku dziadek przestał jeździć na jarmarki, więc odpadły dla mnie atrakcyjne z nim przejażdżki. Dziadek teraz wystawiał swój stragan z obuwem na targach radomszczańskich, które odbywały się co tydzień w czwartki. Po przeniesieniu targowiska z Rynku, który teraz po założeniu na nim skweru nazwano placem 3 Maja, dziadek na nowym targowisku nie znalazł już klientów i przestał handlować. Pozostał bez zajęcia, bez źródła utrzymania. Pozostało mu jeszcze około 200 par obuwia, które od czasu do czasu sprzedawał po parze. Stanowiło to jego „kieszonkowe” do końca życia. Odejście z pracy zarobkowej dla około 60-letniego, a więc nie tak starego dziadka, wpłynęło ujemnie na jego psychikę. Dziadek długi czas chodził markotny i „osowiały”, jak mówiono w rodzinie. Szukał towarzystwa kolegów,

---

<sup>4</sup> „Gazeta Radomska” 1936, nr 14, s. 1, 3.

ale ci go jakoś unikali. Zaczął więc przychodzić do nas na niedzielnego preferansa. Wtedy mógł się spotkać z kolegami i porozmawiać. Wtedy się ożywiał. I tak dawny bogacz radomszczański, „pan” Doroziński i członek miejskiej elity został nieliczącym się, biednym bezrobotnym, na utrzymaniu niezamężnej córki Reli. Córki ubolewały nad losem swego ojca, zięciowie nie, gdyż uważali, że stało się to na jego własne żądanie. Przecież przez karty, hazard i hulanki przepuścił znaczny majątek, doprowadzając tym rodzinę do nędzy, a swoją żonę do śmierci. Babcia zmarła ze zgryzoty mając 47 lat. Tego mu nie mogli zapomnieć. A mnie szkoda było wakacyjnych wypraw z dziadkiem na jarmarki.

Najważniejszym wydarzeniem rodzinnym tego roku i chyba wydarzeniem życiowym dla nas była budowa domu, którą ojciec rozpoczął w tym roku. I o tym chciałbym trochę więcej napisać. Budowa domu zdominowała teraz nasze życie. W ciągu tych dwóch lat budowy wszystko kręciło się wokół niej. Budowa ta zabierała ojcu wiele czasu, którego przy tak wielu dotychczasowych obowiązkach nie miał zbyt wiele. Siłą rzeczy ojciec musiał znaczną część swych prac przekazać mamie i na mamę spadł obowiązek utrzymywania sklepu w ruchu. A nie było to łatwe. Teraz i mama i ojciec byli stale przemęczeni i rozdrażnieni, choć bardzo zadowoleni z tego wszystkiego. Sama budowa, tj. kopanie fundamentów, zaczęła się w końcu sierpnia, a ich zakładanie czyli „wylewanie” zacząć się mogło po uzyskaniu zatwierdzenia planów i zezwolenia na budowę wydanego przez budowlane władze miasta. A to uzyskaliśmy 5 września. Przed tym jeszcze trwały pertraktacje z architektem wykonującym dla nas dokumentację domu. Jak wspomniałem byli to dwaj bracia, architekci, synowie przyjaciela ojca pana Jana Szwedowskiego. Z nim ojciec z mamą ustalali swe życzenia, które w planach mieli uwzględnić architekci. I ja, mimo woli, uczestniczyłem biernie w ich rozmowach. Ustalano ilość pięter. Na początek miał być budynek dwupiętrowy, ale ojciec prosił o zaplanowanie fundamentów takich, żeby budynek z czasem można było podwyższyć o jeszcze dwa piętra. Byłby to wtedy najwyższy budynek mieszkalny Radomska. Byłoby to możliwe za 2-3 lata, gdy wybudowany dom zacznie przynosić dochody. Długość domu była limitowana szerokością posesji, więc tu nie było problemów. Dalej ustalono wysokość lokali, rodzaj okien - miały być szerokie, modne ostatnio tzw. „weneckie” okna dające lepsze oświetlenie lokali. Dyskutowano o rodzaju stropów, grubości murów na poszczególnych kondygnacjach, rodzaju dachu itp. Po kilku takich konsultacjach projekt był gotowy do zatwierdzenia. Plan tego domu, zatwierdzony przez wydział budowlany miasta, przechowuję do dziś jako pamiątkę rodzinną, choć dom już przed paroma laty sprzedaliśmy.

A więc w końcu sierpnia zaczęto kopać fundamenty. Naturalnie kopano ręcznie, łopatami, co kojarzyło mi się z kopaniem okopów. Kilku ludzi rozpoczęło kopa-

nia w 3 miejscach jednocześnie, w miejscach wyznaczonych palikami z rozciągniętymi na nich sznurkami. Po 3 dniach „okopy” były gotowe. Były one bardzo głębokie, ponad dwa metry. Początkowo przy wykopywaniu wybierano ziemię, a przy ok. 0,5 m głębokości natrafiono na jakąś zwirowato-gliniastą warstwę, czym majster nadzorujący budowę był bardzo zaniepokojony. Na szczęście po dalszych 0,5 m dokopano się do warstwy bardzo ładnego, jasno-żółtego, mocno ubitego piasku. I to był dobry znak, bo trafiono na stałe twarde podłoże, a wydobyty piasek mógł być użyty w budowie i nie trzeba go było specjalnie sprowadzać, czego obawiał się majster. Budowa oficjalnie ruszyła w dniu 5 lub 6 września. Otrzymaliśmy na rękę zezwolenie z urzędu i można było już kłaść fundamenty. Przy kładzeniu pierwszej warstwy fundamentów musiał być obecny inspektor nadzoru budowlanego i dokonać wpisu w księdze budowy o jej rozpoczęciu. Przy okazji odbyła się mała uroczystość, czyli poczęstunek. Składał się on z wódki i kiełbasy dla pracowników, a inspektor i majster poproszeni byli do naszego mieszkania „na kieliszeczek”, by budowa dobrze szła. Taka była tradycja.

Jako pierwszą warstwę fundamentów położono na twardym gruncie duże granitowe głazy. Jak twierdził majster nadzorujący kamienie te korzystnie będą wpływać na stabilność budynku i że budynek będzie zdrowszy dla mieszkańców. Dziś ezoterycy twierdzą, że takie głazy rozpraszają niekorzystne promieniowanie powodowane wodnymi ciekami podziemnymi i istotnie czynią budynek zdrowszym dla mieszkańców. Na warstwie głazów, wypełnionej i uszczelnionej drobnymi kamieniami oraz gruzem ceglanym, po zalaniu warstwą zaprawy cementowej, kładziono już warstwy cegieł spajając je zaprawą murarską. Czyli budowano mury. Z ogromną ciekawością i przejęciem przyglądałem się tej budowie. Kręciłem się po całym terenie wokół pracujących murarzy, podслушując ich rozmowy, śmiejąc się z nimi z opowiadanych kawałów i żartów, które sobie nawzajem robili, bo prace prowadzone były na wesoło. Dowiadywałem się przy okazji wielu ciekawostek. Po 2 czy 3 dniach mury zostały podciągnięte pod parter. Dla pracujących na budowie była to okazja do tzw. „glajchy”, czyli poczęstunku z okazji zakończenia jakiegoś rodzaju robót. Ojciec poinformowany o tym zabrał ze sobą 3 kg kiełbasy i litr wódki i poszedł na budowę stawiać tę glajchę. I przy tym też uczestniczyłem. Poczęstunek trwał krótko, pracujący byli zadowoleni, a praca trwała dalej, choć może w weselszym nastroju. Za parę dni podciągnięto mury do wysokości stropu nad parterem i teraz też była glajcha. Dalsza praca już odbywała się na rusztowaniach. Rusztowania budowano na grubych słupach drewnianych, związanych ze sobą przybitymi do nich grubymi deskami, na które nakładano cieńsze deski. W ten sposób cała budowa była otoczona drewnianym rusztowaniem. Teraz dopiero zauważyłem, że murarzy jest tylko trzech, a reszta to pomocnicy. Jedni pomocnicy przygotowują zaprawę murar-



ską, mieszając lasowane wapno z piaskiem, cementem i wodą w specjalnej dużej skrzyni. Z niej nabierali zaprawę do mniejszych skrzynek wyposażonych w drążki do noszenia. Po napełnieniu takiej skrzyni dwóch pracowników donosiło ją na stanowisko murarza i tam przelewali zaprawę do podobnej skrzyni, ale bez drążków. Z niej już murarz pobierał zaprawę kielnią i wykładał na budowany mur. Inni pomocnicy nosili cegły na specjalnych nosiłkach drewnianych zakładanych na plecy. Nosiłki stanowiła długa deska z dwoma krótkimi drążkami umieszczonymi w połowie deski oraz podstawką u dołu. Pracownicy te nosiłki nazwane „kozłem” zakładali na plecy opierając drążki na ramionach. Deska opierała się na plecach i wystawała wysoko ponad głowę. Drugi pomocnik układał cegły na podstawce aż po szczyt deski. Pierwszy pomocnik transportował je na stanowisko murarza, a tam kolejny pomocnik zdejmował je z nosiłek i układał obok stanowiska murarza polewając natychmiast ułożone cegły wodą. Po wymurowaniu każdej kondygnacji zakładano belki drewniane, na których miał być oparty strop i podłoga. Jedyne strop piwniczny miał belki żelazne tzw. tregry. Ten strop był betonowy ze wzmocnieniem z żelaznej walcówki. Wszystkie otwory okienne i drzwiowe były specjalnie wzmocnione u góry grubą żelazną walcówką i ceglami spajanymi wylewanym cementem. W miarę budowania ponad parterowych kondygnacji, w miejscu przyszłej klatki schodowej w budynku zbudowano prowizoryczne drewniane „schody”, czyli po prostu pochylnię z desek z poprzybijanymi poprzecznie co kilkanaście centymetrów drewnianymi listwami. I tak w niedługim czasie, chyba po 2 miesiącach oraz 3 czy 4 glajchach zbudowano drewnianą konstrukcję dachu. Drewniany dach i pokrycie papą robili już cieśle. Ten etap budowy też trzeba było uczcić specjalnie uroczystą glajchą urządzoną dla całej gromady budowniczych, łącznie z projektantem i inspektorem nadzoru. Tu już nie wystarczyła kielbasa. Była i ona, ale na gorąco, były też na gorąco serdelki, ogórki, wódka, piwo i nie wiem co jeszcze, bo nie uczestniczyłem w tym zgromadzeniu. I tak stanął nasz dom. Właściwie tylko mury, ale i to było dla nas wielką radością. Mamy własny dom, marzenie mamy. Jakże to nas cieszyło!

Wielka prostokątna bryła budynku, z równo ułożonych rzędów czerwonej cegły, jeszcze nie miała w sobie życia. Jeszcze straszyla ciemnymi oczodołami pustych otworów okiennych, które teraz kontrastowały z łagodną wesołą płaszczyzną frontowej ściany. Na nas takie odczucia nie robiły wrażenia. Ważne było, że to jest nasz dom. I choć jeszcze nie wykończony, ale już dający wrażenie swej wielkości. Na stosunki radomszczańskie to był duży budynek. Dwupiętrowych budynków mieszkalnych w naszym mieście nie było wiele, a trzypiętrowy tylko jeden, przy ulicy Żabiej. Były też 3 czy 4 domy mające na trzecim piętrze wygoszparowane ze strychów pomieszczenia mieszkalne z facjatkami. W takiej facjatce przecież przed paru laty i my mieszkaliśmy. Ale to nie były prawdziwe trzecie piętra. Nasz stojący

już budynek robił wrażenie dużego pudła. Pusty w środku, nie miał schodów, okien ani stropów. Nie miał klatki schodowej tylko prowizoryczne pochylnie z desek i rusztowania pozwalające na wejście do środka. Gdy się wchodziło do wewnątrz widać było pustą przestrzeń otoczoną czerwonymi ścianami i drewniane belki założone pod przyszłe stropy, na razie umownie odgraniczające przyszłe kondygnacje. Od wewnątrz budynek zdawał się być znacznie większy i wyższy niż oglądany z zewnątrz. Gdy wszedłem na belkę na ostatniej kondygnacji i spojrzałem w dół dostałem zawrotu głowy. Dopiero po paru próbach, zaczynając od niższych poziomów, udało mi się przejść po tych belkach. Doświadczyłem przyjemnych wrażeń dostając się na dach skąd rozpościerał się piękny widok na okolice i piękna panorama miasta widziana z góry od strony dachów budynków. Stąd widać było, że centrum miasta położone jest w dole, jakby w kotlinie, i wznosi się w miarę oddalania od samego rynku. Widać było, że miasto otoczone jest wieńcem lasów, których szaro-fioletową zamgloną wstęgę widać było na bliskim horyzoncie. Często tutaj wkradałem się, żeby oglądać tę panoramę miasta. Ten widok mnie fascynował więc przy każdej okazji wdrapywałem się na dach i mogłem się bez końca tej panoramie przyglądać.

Teraz, w każdą niedzielę po mszy świętej, zamiast na spacer „dookoła Alei” i wizyty w cukierni Glapińskiego paradowaliśmy całą czwórką na naszą posesję i cieszyliśmy się naszym domem. Parę razy przechodziliśmy w tę i z powrotem drugą stroną ulicy, żeby przyjrzeć się stojącym murom. Potem wchodziliśmy do wnętrza i chodząc po rusztowaniach zwiedzaliśmy każdą kondygnację. Zadowoleni, pełni wrażeń i w poczuciu, że teraz jesteśmy prawdziwymi obywatelami Radomska, wracaliśmy do domu. W tym czasie „obywatelem” miasta nazywano tylko tego, kto miał w Radomsku „kamienicę” lub większą posiadłość. Nie byli „obywatelami” właściciele parterowych domków czy małych działek. Posiadanie sklepu, choć wprowadzało ojca do radomszczańskich elit nie dawało tego honorowego tytułu „obywatela” i dopiero teraz, gdy Radomsko dowiedziało się że zbudowaliśmy kamienicę, ojciec mógł się czuć prawdziwym obywatelem miasta.

Z budynku zniknęli murarze, z którymi przez ten czas się zaprzyjaźniłem. Zaczęli się kręcić inni ludzie i na budowie zrobiło się trochę obco. Zaczęto przygotowywać budynek do zimy. Otwory okienne i drzwiowe zabijano deskami, przez co zrobiło się wewnątrz ciemno i ponuro. Teraz mniej chętnie wchodziłem do środka, wolałem do razu wdrapać się na dach. Jednocześnie zaczęto budować stropy. Do belek stropowych z obu stron przybijano wzdłuż drewniane listwy, do których przybijano drewniane deski prostopadle do belek. W powstałą między belkami pustą przestrzeń nakładano mokrą mieszaninę gliny i piasku, a następnie dokładnie ją ubijano. Nazywało się to układaniem polepy. Było to zabezpieczenie przeciwpożarowe, a zarazem stanowiło dobrą izolację termiczną i akustyczną. Była to ostatnia czynność

w budynku w tym roku. Teraz dopiero można było swobodnie chodzić po wszystkich pomieszczeniach, z czego ja z Marynią chętnie korzystaliśmy. Dla dobrego wysuszenia murów ustawiono w budynku kilkanaście koszyków z grubych żelaznych prętów. Były to piecyki koksowe, w których całą zimę bez przerwy palono koks.



Kamienica Romana Olczyka przy ul. Strzałkowskiej 25, obecnie ul. Kard. Wyszyńskiego 25) po wybudowaniu – stan z roku 1938 (fotografia z kolekcji Aliny Olczyk)

Budowa domu, plany związane z jego wykończeniem, no i nasze plany zamieszkania w nim, były w naszej rodzinie głównym tematem rozmów. Nie chcąc przedłużać tego tematu - na tym zakończę opowieść o wydarzeniach tego roku. Tym bardziej, że nie zapamiętałem prawie żadnych dalszych wydarzeń z drugiego półroczka. Nie interesowałem się ani szkołą, ani sklepem, bo przecież i ja żyłem budową domu i ona przesłaniała mi inne wydarzenia. Zaangażowany emocjonalnie w budowę domu nie zdałem sobie do tej pory sprawy, że jestem już w siódmej klasie, a więc ostatniej klasie szkoły powszechnej. Po ukończeniu jej czeka mnie nauka w szkole handlowej, popularnie u nas zwanej handlówką. Do tej szkoły przyjmowano bez egzaminów, tylko na podstawie świadectwa ukończenia szkoły powszechnej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że za siedem miesięcy będę musiał pożegnać szkołę

i klasę, z którą się zżyłem. Przyjdzie się pożegnać z kolegami, z którymi przez parę lat co dzień się spotykałem, a z wieloma bardzo się zaprzyjaźniłem. Zrobiło mi się smutno na duszy, gdy to wszystko sobie uświadomiłem. Przecież z większością z nich nie będę się już spotykał. Niewielu kolegów z siódmej klasy wybiera się do handlówki. Znaczna część kolegów po szóstej klasie poszła do gimnazjum. Byli to ci, których rodziców stać było na ich dalsze kształcenie. Do siódmej klasy poszli nieliczni. Byli to koledzy wybierający się jak ja do handlówki oraz większość to ci, których rodzice nie mieli zamiaru dalej kształcić - przeważnie synowie biednych rodziców. Teraz sobie przypominałem, jak przykro mi było w początku roku szkolnego, gdy w klasie nie zobaczyłem wielu bliskich kolegów, którzy przeszli do gimnazjum. Przez wiele dni przeżywałem boleść tego rozstania. Teraz przyjdzie mi znów przeżywać podobne rozstania, z kolegami i ze szkołą. Te smutne myśli zakłócały mi teraz radość z wybudowanego domu i radość ze zbliżających się świąt. Dobrze, że pozostała mi pasja czytania. Pochłaniając kolejne powieści (i naturalnie gazety!) powoli zapominałem o czekającym mnie smutnym końcu roku szkolnego. I tak zakończył się dla mnie rok 1936.

**Paweł Kulikiewicz**  
(Łódź)

### Wspomnienie o Franciszku Władysławie Kulikiewiczu

Mój dziadek, Franciszek Władysław Kulikiewicz, urodził się 22 września 1889 r. jako syn Ignacego i Tekli<sup>1</sup>. Był jednym z jedenaściorga dzieci rolnika z Opatowa. Ojciec utrzymywał się z własnej pracy na roli jako pierwszy od paru pokoleń w swojej rodzinie. Dziadek Franciszka ze strony ojca blisko 20 lat służył w Ingermarlandzkim Pułku Huzarów, z którym m.in. brał udział w wojnie krymskiej. Pradziadek był ekonomem. Z kolei ojciec i brat matki Franciszka byli pracownikami poczty w Opatowie. Mieszkali nieopodal kolegiaty, w której święte sakramenty przyjmowało kilka pokoleń Kulikiewiczów.



Franciszek ok. 1907 r. z orzełkiem w krawacie

Z kolegiackiej dzwonnicy widać było nie tylko ich dom rodzinny, ale także całe ośmiohektarowe gospodarstwo. Pod koniec życia ojciec rozdzielił je między synów, którzy postanowili zostać na roli. Rodzice Franciszka byli bardzo religijni. Ojciec był tercjarzem franciszkańskim. Musiał być dobrym człowiekiem, skoro – jak niesie rodzinny przekaz – został pochowany w habicie franciszkańskim, a nad jego trumną ksiądz Prygiel powiedział: *nie za niego się módlcie, ale do niego*.

Franciszek ukończył trzyklasową szkołę elementarną w rodzinnym mieście<sup>2</sup>. Był chorowitym dzieckiem i nauczyciel – co nie było wówczas częstym przypadkiem – odwiedzał chłopca w domu, aby ten mógł kontynuować naukę. On to właśnie przekonał rodziców Franciszka, że chłopak wyróżnia się bystrością z grona rówieśników i powinien się dalej uczyć. Jednak w Opatowie nie było wówczas szkoły

<sup>1</sup> Archiwum parafialne w Opatowie, akt urodzenia nr 162/1889.

<sup>2</sup> Archiwum Państwowe w Radomiu (APR), Radomska Dyrekcja Szkolna (dalej: RDS), sygn. 190 IX s. 34, 52. Z zachowanych w APR raportów kierownika szkoły dowiadujemy się, że mieściła się ona w małej i niskiej izbie wynajmowanej w domu mieszkalnym. W klasie uczyło się około 35 dzieci chrześcijańskich, prawosławnych i żydowskich.

średniej. Alternatywą mogła być tylko nauka w Kielcach lub Ostrowcu. Na to nie pozwalał mu stan zdrowia, jednak dzięki zapałowi i dyscyplinie cały program sześcioklasowego gimnazjum przerobił samodzielnie, a następnie eksternistycznie zdał maturę w Charkowie, w Rosji. Był to jednorazowy wyjazd na egzamin. Najstarsze zachowane zdjęcie mojego dziadka pochodzi właśnie z tego okresu. Na fotografii wykonanej około 1907 r. widzimy elegancko ubranego młodzieńca. Uważniejsza obserwacja pozwala dostrzec, że w krawacie ma wpięty mały znaczek z orzełkiem. Władze zaborcze nie tolerowały narodowej symboliki. Demonstracja taka nie była więc wcale powszechna, świadczyła o patriotyzmie i prawdopodobnie wymagała odwagi.



Rodzina Kulikiewiczów, w środku siedzą rodzice Franciszka – Ignacy i Tekla z Korzeniowskich, Franciszek stoi po prawej stronie, Opatów 1930 r.

W 1910 r. Franciszek został jednym z 27 słuchaczy seminarium nauczycielskiego w Solcu nad Wisłą. Warto podkreślić, że o przyjęcie do tej znanej wówczas szkoły razem z nim starało się 172 kandydatów<sup>3</sup>. W ciągu trzech lat słuchacze seminarium odbywali zajęcia z języka rosyjskiego i polskiego, metodyki nauczania, pedagogiki, arytmetyki, geometrii, religii, historii, geografii, przyrody, a także z kaligra-

<sup>3</sup> APR, RDS, sygn. 432 I, s. 608.

fii, kreślarstwa, sadownictwa oraz muzyki<sup>4</sup>. Szkołę sołecką z wyróżnieniem ukończył w 1913 r. Dobre wyniki w nauce chyba jednak nie znalazły uznania w oczach rosyjskich władz szkolnych, skoro w odpowiedzi na prośbę o przyjęcie go do pracy w jakiegokolwiek szkole w powiecie opatowskim został wysłany w przeciwną stronę zakątek radomskiej guberni<sup>5</sup>.

15 września 1913 r. został mianowany nauczycielem kierującym szkołą powszechną w Gielniowie. Spędził tam w sumie blisko trzy lata. Z Gielniowem wiązała go nie tylko praca zawodowa, ale i społeczna. Powołał do życia Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową, która funkcjonowała przez cały okres międzywojenny. Był jednym z założycieli Ochotniczej Straży Pożarnej, która w Gielniowie działa do dzisiaj. Propagował trzeźwość i robił to na tyle skutecznie, że miejscowy karczmarz i jego klienci wysłali prośbę do Naczelnika Radomskiego Okręgu Szkolnego o przeniesienie młodego nauczyciela z ich miejscowości. Zachował się list podpisany przez mieszkańców Gielniowa występujących w obronie Franciszka Kulikiewicza<sup>6</sup>.

W Gielniowie poznał również swoją przyszłą żonę, swoją babkę - Irenę Wiñarską, córkę młynarza. Ich pierwsze zapowiedzi miały miejsce w niedzielę 27 lipca 1914 r., dokładnie w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej. Ślub miał miejsce 24 sierpnia 1914 r. w kościele parafialnym w Gielniowie.

Rosyjscy żołnierze pojawili się w Gielniowie na jesieni 1914 r. Na kwatery dla wojska zajęto wszystkie dostępne pomieszczenia: domy, zabudowania gospodarcze, urzędy oraz szkołę. Franciszek musiał oddać wojsku nawet niewielką izbę, którą od paru miesięcy zajmował razem z żoną. Małżonkowie przenieśli się do małej kuchenki, ale i tam wlała się żołnierska masa zostawiając po sobie wszelkiego rodzaju nieczystości. Również pomieszczenie klasowe stało się ofiarą wojny – na podpałkę do pieca poszły ławki i dach szkolnej szopy. Franciszek stanął w obronie wyposażenia szkoły, ale został wyśmiany i zlekceważony. Po tym wydarzeniu złożył do Dyrekcji Szkolnej w Radomiu pełną oburzenia skargę na zachowanie rosyjskich żołnierzy<sup>7</sup>. W odpowiedzi został wezwany przed komisję wojskową w rodzinnym Opatowie, a następnie wysłany w głąb Rosji.

W połowie 1916 r. skomunikował się z Polskim Towarzystwem Oświaty w Jekaterynosławiu, które prowadziło liczne szkoły dla dzieci uchodźców z Polski<sup>8</sup>.

---

<sup>4</sup> APR, RDS, sygn. 432, t. 1 str. 609-610.

<sup>5</sup> APR, RDS, sygn. 953, s. 4.

<sup>6</sup> APR, RDS, sygn. 53, t. IV, s. 5-6.

<sup>7</sup> APR, RDS, sygn. 53, t. IV, s. 7-8, Raport Franciszka Kulikiewicza do Naczelnika Radomskiej Dyrekcji Szkolnej z dnia 2 stycznia 1915 r.

<sup>8</sup> Chodzi o uchodźców, którzy pojawili się na terenie Rosji w następstwie masowych wypędzeń ludności polskiej dokonywanych przez armię rosyjską w ramach realizacji strategii

Od 1 maja 1916 r. objął stanowisko nauczyciela kierującego taką szkołą w Szlachówce pod Jekaterynosławiem (obecnie dzielnica Dniepropietrowska na Ukrainie). Była ona finansowana z funduszy założonego przez Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny. Celem jej istnienia było niedopuszczenie do wynarodowienia rozproszonych grup uchodźców<sup>9</sup>. Temu właśnie, poza realizowaną pracą programową nauczania, służyło założenie i prowadzenie przez Franciszka Kulikiewicza drużyny harcerskiej. O tym jakże ważnym okresie swojego życia, po wielu latach, napisał lakonicznie w ankiecie personalnej: *Pracę moją w tej mierze zaliczam do bardzo twórczej pod względem rozwijania w dzieciach miłości do kraju ojczystego*<sup>10</sup>.

W ostatnim okresie pobytu Franciszka w Jekaterynosławiu dołączyła do niego jego żona. Babcia opowiadała mi o ich powrocie z ogarniętej wojną domową Rosji. W pamięci pozostały mi niektóre sceny: krwawe napady band łupieżczych na pociąg, rąbanie przez pasażerów w lesie obok torów drewna na opał do pieca lokomotywy, ciągnące się wzdłuż kolejowego szlaku mogiły tych, którzy nie wytrzymywali trudów podróży.

Po powrocie do kraju od 1 września 1918 r. Franciszek ponownie objął kierownictwo dwuklasowej szkoły w Gielniowie. Pracował w niej do 1919 r., po czym został przeniesiony do Przysuszy, z zadaniem przekształcenia istniejącej tam dwuklasowej placówki o czterech oddziałach w siedmioklasową o dwunastu oddziałach.

W rodzinnym archiwum zachowała się należąca do Franciszka Kulikiewicza legitymacja członkowska ZNP w Przysusze z numerem pierwszym. W tym czasie był przewodniczącym konferencji szkolnej w regionie. Z jego inicjatywy został zakupiony plac i rozpoczęła się budowa nowego budynku szkoły powszechnej. Za swoją pracę w tym okresie został nagrodzony listem pochwalnym Inspektora Opoczyńskiego Okręgu Szkolnego.



zostawienia nadciągającemu wrogowi spalonej ziemi. Pisze o tym np. Alicja Głaz, *Ewakuacja ludności cywilnej z Lubelszczyzny latem 1915 r.*, „Annales UMCS”, vol. LVI/2001, s. 114.

<sup>9</sup> A. Głaz, *Ewakuacja ...*, s. 123.

<sup>10</sup> Życiorys Franciszka Kulikiewicza napisany ok. 1936 r.; w posiadaniu rodziny.



W 1922 r. na wniosek inspektora szkolnego mianowany został nauczycielem wykwalifikowanym. W 1925 r. ukończył Wyższe Kursy Nauczycielskie w Warszawie. Ponieważ dzieci Franciszka i Ireny dorastały i należało posłać je do szkoły średniej - a takiej w Przysusze nie było – Franciszek Kulikiewicz stanął do konkursu na stanowisko kierownika siedmioklasowej szkoły powszechnej numer 1 w Rawie Mazowieckiej. Po wygraniu konkursu, od 1 lutego 1928 r. rozpoczął pełnienie obowiązków. W ciągu kilkuletniego pobytu w Rawie Franciszek dokończył budowę gmachu szkoły i uporządkował teren wokół niej. Był promotorem i opiekunem drużyny harcerskiej. Propagował ruch spółdzielczy.



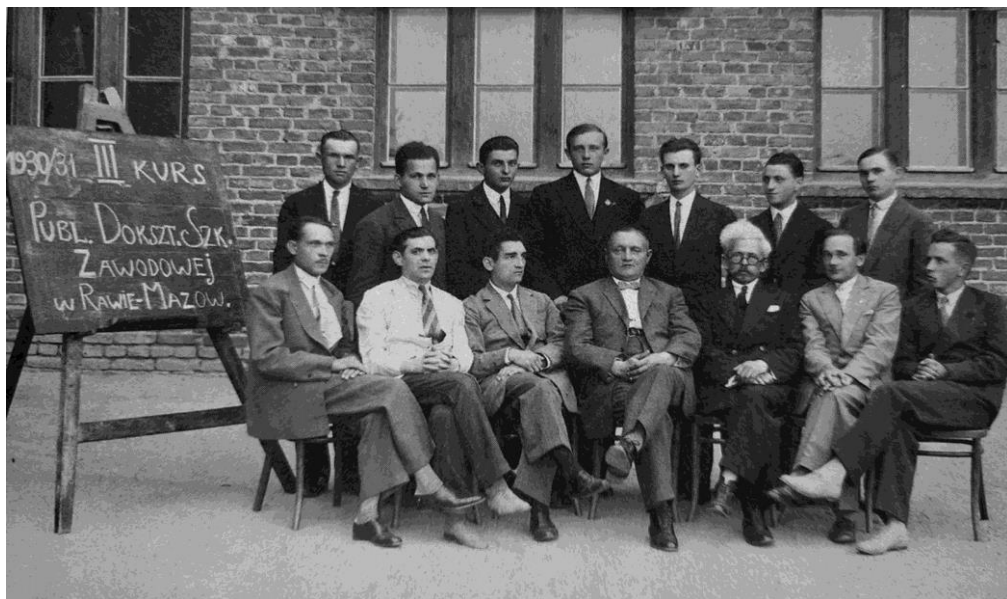
Rawa Mazowiecka, Franciszek Kulikiewicz z harcerzami

Pełnił funkcje: członka Państwowej Komisji Egzaminacyjnej dla nauczycieli powszechnych szkół publicznych, przewodniczącego komisji regionu, a także delegata kuratorium oświaty do czeladniczej komisji egzaminacyjnej. Z jego inicjatywy kursy rzemieślnicze zostały przekształcone w Publiczną Szkołę Doksztalającą Zawodową w Rawie Mazowieckiej<sup>11</sup>. Zajęcia odbywały się na terenie szkoły powsze-

---

<sup>11</sup> Eugeniusz Walczuk, *Zarys powstania i rozwoju szkolnictwa zawodowego w Rawie Mazowieckiej*, [w:] *Siedem wieków szkolnictwa w Rawie Mazowieckiej*, Łódź 2007, s. 172.

chnej, której był kierownikiem, co umożliwiło mu powołanie w szkole zawodowej właściwej obsady nauczycielskiej oraz ułatwiało zorganizowanie zajęć.



Grono pedagogiczne Publicznej Doksztalającej Szkoły Zawodowej w Rawie Mazowieckiej, Franciszek Kulikiewicz siedzi trzeci z prawej

W 1930 r. sejmik powiatowy w Rawie Mazowieckiej wycofał subwencję dla prywatnego gimnazjum państwa Kasprzyków, do którego miał uczęszczać najstarszy syn Franciszka. W konsekwencji gimnazjum zamknięto, a rodzina Kulikiewiczów, aby dzieci mogły kontynuować naukę, była zmuszona szukać nowego miejsca zamieszkania. Franciszek Kulikiewicz wystąpił więc do władz szkolnych z prośbą o przeniesienie go do miasta ze szkołą średnią. W sierpniu 1933 r., po wygraniu konkursu został mianowany kierownikiem szkoły powszechnej im. Stanisława Jachowicza w Radomsku. Do dnia dzisiejszego zachowała się kronika szkolna prowadzona osobiście przez mojego dziadka oraz protokoły posiedzeń rady pedagogicznej. Dokumenty te dają obraz trudnej pracy wychowawczej doby końca kryzysu gospodarczego lat 30., który szczególnie silnie dotknął uprzemysłowione Radomsko. Franciszek Kulikiewicz uruchamia świetlicę, współorganizuje dożywianie dla najbiedniejszych dzieci, zdobywa im podręczniki, organizuje świąteczne paczki żywnościowe i ubraniowe.

W warunkach materialnej mizerności – gdy finansowym problemem było, na przykład, zaopatrzenie klas w ręcznik i mydło – za duże osiągnięcie należy uznać ufundowanie sztandaru szkoły oraz zakup radia i głośników do poszczególnych pomieszczeń klasowych. Na pokreślenie zasługuje zaangażowanie całego zespołu nauczycielskiego: Zofii i Eugeniusza Mazurów, Reginy i Mariana Danków, Emilii Kosińskiej, Józefa Jaworskiego, Aleksandra Semkowa, Jana Nicpana i innych. Dziesięcioro nauczycieli opiekowało się wówczas grupą 700 dzieci. Jak wynika z protokołów posiedzeń rady pedagogicznej, praca Franciszka Kulikiewicza polegała nie tylko na dozorze poziomu nauczania i wychowania dzieci, ale czasami również na godzeniu napięć w gronie nauczycielskim. Dzięki lekturze protokołów możemy też zaznajomić się z jego poglądami na wiele aktualnych wówczas



Franciszek Kulikiewicz ok. 1931 r.

tematów, jak koedukacja w szkole, powody drugoroczności, a także poznać dylematy związane z wyborem określonej kolejności zaspokajania pilnych potrzeb (np. czy kupić książki do biblioteki, czy radiofonizować szkołę?). W 1938 r. został odznaczony srebrnym medalem za długoletnią służbę.

Na marginesie opisu życia Franciszka Kulikiewicza nie sposób uciec od pytania, jakim był człowiekiem. Z wielu różnych zachowanych dokumentów, pamiątek i wspomnień o nim, rysuje się obraz człowieka wymagającego od innych, ale przede wszystkim od siebie. To, co osiągnął jako chorowity chłopiec z niebogatej włościańskiej rodziny z prowincjonalnego miasteczka w guberni radomskiej, zawdzięczał swojej woli przezwyciężenia fizycznej słabości i samodyscyplinie. Prawdopodobnie w tej właśnie postawie należy szukać przyczyn surowości, jaka według relacji wielu znających go osób była jego charakterystyczną cechą. Tępił wszelkie przejawy nepotyzmu i protekcji niejednokrotnie nawet za cenę, pewnej uciążliwości dla najbliższych<sup>12</sup>. Poczynając od synów, wpajał młodzieży zasady, w które sam wierzył.

W protokołach posiedzeń rady pedagogicznej niemal nie widać oznak zbliżającej się wojny. Jedynie pod datą 3 marca 1939 r. znajdujemy zapis: *Pan kierownik*

<sup>12</sup> Pan Marian Chinowski, który w latach 1929-1930 uczęszczał z Jerzym Kulikiewiczem do klasy, w której nauczycielem był Franciszek wspomina, że ojciec wymagał od syna więcej niż od innych dzieci. Pan Marian pamięta wypadek, kiedy dzieci wstawiły się za Jurkiem u jego ojca, aby ten podniósł mu ocenę - zapis rozmowy odbytej w październiku 2004 r., w posiadaniu autora.

omówił obecną sytuację polityczną kraju, na skutek czego rada pedagogiczna zaofiarowała datki na Fundusz Obrony Narodowej. Ostatni protokół nosi datę 12 września 1939 r. Ze względu na zajęcie budynku szkoły im. St. Jachowicza przez Wehrmacht, zajęcia szkolne odbywały się w leżącej nieopodal szkole im. Mickiewicza. Franciszek Kulikiewicz pełnił formalnie funkcję kierownika szkoły aż do dnia zatrzymania go przez Gestapo. Jako nauczyciel był przedstawicielem inteligencji i krzewicielem patriotyzmu<sup>13</sup>. Poza sprawowaną funkcją kierownika szkoły Franciszek Kulikiewicz zwrócił na siebie uwagę okupanta między innymi tym, że znajdował się na liście członków Obozu Zjednoczenia Narodowego<sup>14</sup>.

Przebieg aresztowania Franciszka Kulikiewicza można odtworzyć szczegółowo na podstawie zachowanych wspomnień świadków tego wydarzenia – żony Ireny oraz jednego z synów. Był wtorek, 11 czerwca 1940 r. Zapowiadał się kolejny



piękny, czerwcowy dzień. Od paru tygodni Franciszek codziennie od piątej rano pielął grządki przed dopiero co wybudowanym przez siebie domem przy ulicy Stodolnej. Zawsze lubił pracę w ogrodzie. Odprężało go to po wielu godzinach spędzonych w szkole. A teraz te pięć arów grządek w coraz większym stopniu stanowiło o losie 5-osobowej rodziny. Miał na sobie szare, zniszczone i trochę przykrótkie spodnie, których używał do pracy w ogrodzie, szarą koszulę i starą marynarkę. Przyszli po niego po szóstej. Było ich dwóch: żandarm i cywil w skórzanym płaszczu i kapeluszu. Ten drugi dobrze mówił po polsku. Żandarm został przy furtce, a cywil śpiesznym krokiem podszedł do niego i sprawdził jego tożsamość. Franciszek powiedział, że chciałby jeszcze wziąć płaszcz i pożegnać się z rodziną. Weszli z nim do domu. Ciężkim krokiem wszedł po schodach do swojego pokoju, a za nim poszedł żandarm. Na dole pozostał cywil, razem z zapłakaną żoną, z tyłu za nią w drzwiach

Ogród przed domem Ireny i Franciszka Kulikiewiczów w Radomsku przy ul. Stodolnej – zdjęcie zrobione ok. 1938

<sup>13</sup> Jan Pietrzykowski, *W obliczu śmierci*, Katowice 1966, s. 36-37.

<sup>14</sup> Z informacji otrzymanej z Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża (nr ref. T/D – 1 823 525) wynika, że Franciszek Kulikiewicz był członkiem OZON od 1938 r., a aresztowanie nastąpiło na polecenie Gestapo. List z MKCK w archiwum autora.

pokoju stanął szesnastoletni Zbyszek – średni syn Franciszka. Cywil próbował nawiązać rozmowę: *Kierownik szkoły i tak wcześniej pracuje w ogrodzie?* Irena nic nie odpowiedziała. *Niech się pani nie martwi, przesłuchają go i jeszcze dzisiaj wróci.* Po chwili na schodach ukazał się Franciszek. Był w płaszczu, w ręku trzymał swój zniszczony kapelusz. Schodził pospiesznie. Najpierw podszedł do Ireny objął ją, przytulił i pocałował w rękę, potem przesunął dłonią po włosach Zbyszka, mówiąc: *Bądź ojcem dla matki.* Były to jego ostatnie słowa, jakie słyszeli. Irena odruchowo chciała pójść za nim, ale żandarm powstrzymał ją ruchem ręki, a cywil powiedział dobitnie: *Zabronione. Zostać w domu!* Oboje ze Zbyskiem podbiegli do okna. Zobaczyli, jak szedł między tamtymi w dół do bramy. Potem usłyszeli cichy trzask zamykanej furtki i po chwili zniknął im z oczu.

Franciszek Kulikiewicz trafił do aresztu w Radomsku. Tego dnia aresztowani zostali również inni nauczyciele z Radomska i okolic: Wacław Błada - kierownik szkoły w Hucie Drewnianej, Władysław Borczyk, Jan Pasikowski, inspektor szkolny Jabłoński<sup>15</sup>. Następnego dnia, około godziny piątej nad ranem, wywieziono ich ciężarówkami do więzienia na Zawodziu w Częstochowie<sup>16</sup>.

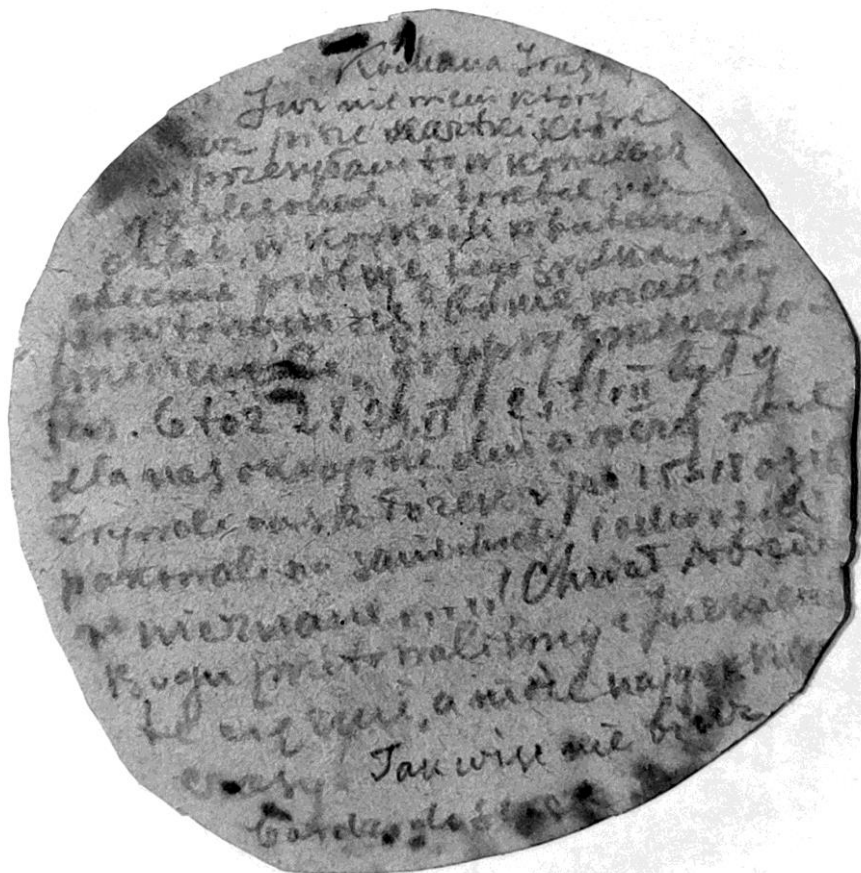
Nie był to jednak koniec nieszczęść, które w tamtych dniach spadły na rodzinę Kulikiewiczów. Najstarszy syn Jerzy przebywał wówczas w majątku w Żytnie niedaleko Radomska, gdzie pracował jako korepetytor. Niemcy poprzez zarządcę przekazali mu wiadomość o aresztowaniu ojca wraz z informacją, że jeżeli on sam zgłosi się na Gestapo, to ojciec zostanie zwolniony. Bezzwłocznie udał się na najbliższy posterunek i po kilkunastu godzinach trafił do tej samej celi częstochowskiego więzienia, w której osadzono Franciszka. Trudno sobie wyobrazić wstrząs, jaki przeżył Franciszek widząc, jak strażnicy wprowadzają Jurka do jego celi. Oczywiście żadnego z nich nie wypuszczono.

Franciszek spędził w częstochowskim więzieniu siedemdziesiąt dni. Kontakt z nim był możliwy poprzez polskich strażników, którzy, mimo zakazu władz niemieckich, przekazywali aresztowanym pożywienie i ubrania przynieszone przez rodziny. W zakamarkach bielizny, pod zakrętkami słoików przesyłano korespondencję między osadzonymi i światem zewnętrznym. Większość listów pisanych przez Franciszka na bibułkach od papierosów, kawałkach papieru pakowego, na skrawkach torebek została przechowana przez Irenę Kulikiewicz i znajduje się w rodzinnym archiwum. Na tej podstawie możemy dowiedzieć się nieco więcej o jego losie za kramami.

---

<sup>15</sup> J. Pietrzykowski, *W obliczu...*, s. 36-38.

<sup>16</sup> Archiwum IPN, sygn. IPN Ld 3/6, Wykaz z aresztu w Radomsku.



*Kochana Irucho! Jesteśmy zdrowi. Jurek w dobrym humorze. Dłuży mu się. Trafił do więzienia biedak niewinny i razem katusze cierpimy [...] Nie martw się Bóg dobry nie pozwoli nam zginąć. Napisz droga moja Iruś o wszystkim szczegółowo i tą samą drogą i sposobem lub gdzie w zakładce bielizny dostarcz mi wiadomości o was.*

Franciszek i Jerzy Kulikiewiczowie byli naocznymi świadkami selekcji i wywózki więźniów aresztowanych w ramach AB Aktion na rozstrzelanie w Olsztynie i przydrożnym lesie koło wsi Apolonka<sup>17</sup>.

W kolejnym liście pisał: *Kochana Iruś Już nie wiem który raz piszę kartki, które ci przesyłam to w koszulach, to w kalesonach, w torbach na chleb, w korkach od butelek. Obecnie próbuję tego środka, powtarzam się bo nie wiem czy przesłane „grypsy” przeczytałaś. Otóż 28, 29 VI i 2 i 3/VII były dla nas okropne dni, a raczej noce. Zrywali nas z łóżek i po 15-18 osób pakowali na samochody i odwozili w nie-*

<sup>17</sup> J. Pietrzykowski, *W obliczu...*, s. 10.

znane...! Chwała Dobremu Bogu przetrwaliśmy z Jurkiem te ciężkie, a może najgorsze czasy.[...]

Kolejny fragment listu dotyczy 16 lipca 1940 r. Wtedy z więzienia na Zawodziu wyruszył pierwszy transport więźniów z Częstochowy do obozu koncentracyjnego: *Właśnie we wtorek po otrzymaniu od Ciebie paczki. Załadowali do 50 osób na samochody między którymi z Radomska Surmackiego, Czarneckiego, Mazura, [...] no i naszego syna Jurka i zabrali na roboty rzekomo do Saksonii. [...]. Gdy go zabierano to raczej się ucieszył niż zmartwił. Próbował mię uspokajać ponieważ dostanie się poza kraty*<sup>18</sup>[...].

Początkowo więźniowie nie orientowali się, co to jest obóz koncentracyjny. Kiedy więc bezpośrednio przed wysyłką rozeszła się pogłoska, że transport ma być skierowany do Sachsenhausen, pomyłono tę nazwę z Saksonią<sup>19</sup>. Jerzy spędził w KZ Sachsenhausen blisko pięć lat. Franciszka wywieziono z więzienia na Zawodziu we wtorek 20 sierpnia 1940 r. o godzinie 12 w południe<sup>20</sup>. Celem był obóz koncentracyjny KZ Buchenwald koło Weimaru. Podróż w bydłych wagonach trwała blisko dwie doby. Jak wynika z wpisu w dzienniku służbowym obozu Buchenwald, pociąg zatrzymał się na stacji kolejowej położonej w północnej części miasta rankiem 22 sierpnia 1940 r.<sup>21</sup> Więżniowie drogę do obozu przeszli wśród ludności cywilnej, która przyglądała się im z zaciekawieniem. Więżniowie byli brudni, zmęczeni, w zniszczonych ubraniach. Po drodze byli bici<sup>22</sup>.

W połowie września do rodziny w Radomsku przyszła kartka z Buchenwaldu, w której więzień numer 4418 z bloku 27 pisał w obowiązującym w korespondencji języku niemieckim: *Droga żono i dzieci! Zawiadamiam Was, że przybyłem tu 22.08.40. Czuję się dobrze i mam nadzieje, że wy również. Listy, które od was otrzymam muszą być pisane po niemiecku.[...] Pozdrawiam was po wielokroć. Wasz mąż i ojciec. Franciszek Kulikiewicz.* Był to pierwszy i ostatni znak życia Franciszka po opuszczeniu więzienia w Częstochowie. Pod datą 23 października 1940 r. w dzienniku służbowym blokführera widnieje zapis: *O 2.30 na rewirze 33 zmarł więzień 4418*<sup>23</sup>. Ponieważ Franciszek zmarł w nocy, jego ciało, zgodnie z regulaminem, pod-

<sup>18</sup> J. Pietrzykowski, *Akcja AB w Częstochowie*, Katowice 1971, s. 100. Jerzy Kulikiewicz znajduje się na liście osób wywiezionych do Sachsenhausen w dniu 16 lipca 1940 r.

<sup>19</sup> J. Pietrzykowski, *W obliczu...*, s. 10.

<sup>20</sup> Archiwum Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Częstochowie, sygn. GK 171/9, k. 10 r, Wykaz więźniów z więzienia na Zawodziu w Częstochowie; J. Pietrzykowski, *Akcja AB ...*, s. 104.

<sup>21</sup> Diensttagebuch des Bleckfuerers vom Dienst 15.05.1940-4.07.1941, Buchenwald Archiv, s. 103.

<sup>22</sup> Waław Czarnecki, Zygmunt Zonik, *Walczący obóz*, Warszawa 1969, s. 29.

<sup>23</sup> Diensttagebuch ..., s. 164.

czas porannego apelu leżało na placu. Dopiero po zakończeniu apelu załatwiano formalności i przekazywano ciało do krematorium<sup>24</sup>. Urna z jego prochami przesłana rodzinie, została pochowana na cmentarzu w Opatowie.

W Radomsku Franciszek Kulikiewicz upamiętniony jest na tablicy z nazwiskami zamordowanych w czasie wojny nauczycieli na Domu Nauczyciela oraz na murze klasztoru franciszkanów.



Tablica na murze klasztoru franciszkanów, upamiętniająca nauczycieli zamordowanych w czasie II wojny światowej

<sup>24</sup> W. Czarniecki, Z. Zonik, *Walczący ...*, s. 41.





Tablica na Domie Nauczyciela w Radomsku

Podczas drugiej wojny światowej w niemieckich obozach koncentracyjnych zginął nie tylko mój dziadek, ale również jego młodszy brat Aleksander (w KZ Auschwitz). Również bracia mojej babci - żony Franciszka – zostali zamordowani w KZ Auschwitz i w KZ Gross Rossen. Ci członkowie rodziny, którzy przetrwali, do ostatnich swoich dni nie otrząsnęli się z koszmarnych okupacyjnych przeżyć<sup>25</sup>. A jednak pod koniec tej strasznej wojny wydarzyło się coś, co pozwala mi myśleć, że w pewnym sensie moi najbliżsi wyszli z niej zwycięsko. W styczniu 1945 r., kiedy oddziały niemieckie wycofywały się w bezładnej ucieczce przed nacierającą Armią Czerwoną, w stodole położonej na terenie należącego do rodziny młyna Tartak pod Gielniowem na Ziemi Opoczyńskiej, schronił się ranny i chory niemiecki żołnierz. Jego oddział dawno już odszedł, zostawiając swojego kolegę na pastwę losu i czerwonoarmijców. Nie miał sił iść dalej. Jego obecność na terenie gospodarstwa odkrył przebywający tam wówczas młodszy syn Franciszka – Zbigniew, jedyny z Kulikiewiczów, który uniknął obozu koncentracyjnego. W pobliskim Gielniowie byli już Rosjanie. Wystarczyło powiadomić ich, żeby po prostu zabrali jeńca i nie martwić się, co z nim zrobią. Takie były przecież prawa wojny, rozpętanej przez przywódców narodu, do którego należał nieproszony przybysz. Jednak w tamtej chwili Zbyszek nie znalazł w sobie ani chęci zemsty, ani potrzeby wyrównania rachunków. Zobaczył przed sobą człowieka wyniszczonego tym samym żywiołem, który zdziesiątkował jego rodzinę. Przyniósł jedzenie i wodę. Opatrzył mu rany. Opiekował się Niemcem tak długo, aż ten był w stanie o własnych siłach ruszyć dalej. Żołnierz ten nazywał się Heinrich Denkert. Przeżył wojnę i w latach 60. przez pewien czas trwała korespondencja między nim a Zbigniewem.

Nie sądzę, aby Zbigniew zastanawiał się długo nad tym, czy powinien pomóc wrogowi. Nie sądzę, aby widział w nim wroga. Po prostu był to odruch serca – życzliwość, współczucie, miłosierdzie - okazane cierpiącemu i śmiertelnie zagrożonemu człowiekowi. A przecież wartości te, miały zostać rozdeptane pod butami niezwycięzonej armii, rozjechane pod gąsienicami czołgów, wybite razami esesmańskich pejczy. Postąpił zgodnie z zasadami wpojonymi mu przez ojca, przez dom rodzinny i przez harcerstwo, w którego wychowawczą siłę tak bardzo wierzył Franciszek Kulikiewicz. Ten epizod to jakby symbol zwycięstwa tych wartości, a jednocześnie pomnik wystawiony przez syna swojemu Ojcu.

---

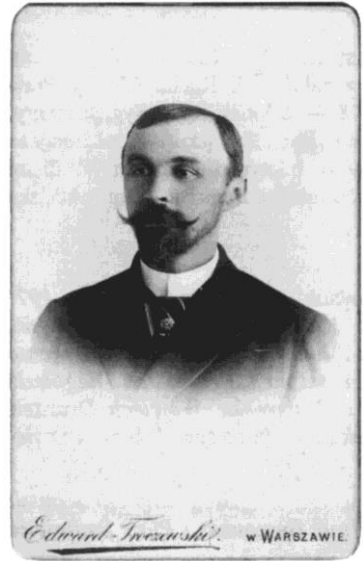
<sup>25</sup> Do obozu koncentracyjnego, oprócz najstarszego syna Jerzego, trafił również najmłodszy syn Franciszka – piętnastoletni Lechosław.

**Paweł Dudek**

(Polskie Towarzystwo Historyczne  
Odział w Radomsku)

### Pamiętnik Tomasza Buczyńskiego z Ciężkowic

Tomasz Buczyński urodził się 1 stycznia 1863 r. w Ciężkowicach jako syn Bolesława i Józefy z Nekanda-Trepków<sup>1</sup>. Miał dwóch młodszych braci. Pochodził z roku szlacheckiego herbu Strzeмиę z Buczyna<sup>2</sup>. Ukończył IV Gimnazjum Pijarów w Warszawie, a w 1887 r. został absolwentem wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Osiadł w rodzinnym majątku w Ciężkowicach (ob. gmina Gidle, powiat radomszczański). Działał w Stowarzyszeniu Rolniczym Guberni Piotrkowskiej, Kantorze Rolniczym w Radomsku, Towarzystwie Polska Sztuka Stosowana w Krakowie, Towarzystwie Opieki Szkolnej, Polskiej Macierzy Szkolnej<sup>3</sup>, Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym i innych organizacjach lokalnych i ogólnopolskich. Był głównym udziałowcem młyna w Borowej. Od 1912 r. był zastępcą prezesa Kółka Rolniczego w Gidlach. Od 1905 do 1914 r. prowadził w Gidlach wytwórnię przezroczy (razem z J. Cieślińskim) i wyświetlał pokazy obrazów dla okolicznej ludności<sup>4</sup>. W 1906 r. zo-



<sup>1</sup> Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej im. ks. Walentego Patykiewicza w Częstochowie, Gidle, Księga ur. 1849-1867, sygn. KM 385, akt 2/1863.

<sup>2</sup> *Szkic drzewa rodowego Buczyńskich z Buczyna herbu Strzeмиę*, Radomsko 2020, mps w zbiorach Muzeum Regionalnego im. S. Sankowskiego w Radomsku.

<sup>3</sup> Polska Macierz Szkolna - organizacja kulturalno-oświatowa założona w 1905 w Warszawie i działająca w latach 1905–1907 i 1916–1918 w Królestwie Polskim, a następnie w latach 1918–1939 w II Rzeczypospolitej.

<sup>4</sup> J.T. Malewski, *Pan Tomasz i jego kinematograf*, „Karta” 1996, nr 20, s. 108-116.

stał współzałożycielem koła Polskiej Macierzy Szkolnej w Radomsku. Publikował felietony w prasie lokalnej oraz ogólnopolskiej, m.in. w „Gazecie Radomskowskiej”. Udzielał się społecznie, działając na rzecz oświaty, kultury i wychowania patriotycznego mieszkańców Ciężkowic, Gidel oraz okolic. Po 1929 r. popadł w kłopoty finansowe, skutkiem czego majątek w Ciężkowicach wraz z dworem został objęty zarządkiem kuratora<sup>5</sup>. Zmarł 9 sierpnia 1940 r. i został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Gidlach<sup>6</sup>.

Tomasz Buczyński swoimi działaniami zapisał się jako człowiek niezwykle pomocny, zaangażowany w sprawy lokalne chłopów oraz w sprawy dzieci i młodzieży. Jedną z jego pierwszych decyzji, po powrocie ze studiów do rodzinnego majątku w Ciężkowicach, było rozdanie małorolnym chłopom ziemi. Dla siebie zostawił zaledwie kilkadziesiąt morgów z pałacem oraz tereny leśne. Początkowo taka decyzja dziedzica spotkała się ze zdziwieniem chłopów. Jak się potem okazało, takich ekscentrycznych, wyprzedzających epokę działań Buczyński miał na koncie znacznie więcej. Zaskarbił sobie tym przychylność i wdzięczność wielu osób, ale też został wykorzystany przez innych. W efekcie jego los stał się tragiczny.

Zaangażował się w organizowanie struktur Polskiej Macierzy Szkolnej i przeznaczał na ten cel duże kwoty pieniężne. Aby zachęcić miejscowych chłopów do wysłuchiwania jego pogadanek na tematy historii narodu zakupił rzutnik, nazywany wówczas „latarnią czarnoksiężką” wraz z okazałym zestawem przeźroczy. Po likwidacji Polskiej Macierzy Szkolnej i jednoczesnym wzmożeniu rusyfikacji zakupił urzędników, aby mógł dalej organizować swoje pogadanki. Docierał z nimi także w dalsze miejsca na terenie powiatu radomskiego. Aby jeszcze urozmaicić występy odtwarzał muzykę z gramofonu. Wkrótce potem sprowadził do Ciężkowic kinematograf i w planie miał wybudowanie świetlicy przeznaczonej na seanse kinowe. Dla tamtejszej ludności wiejskiej było to pierwsze spotkanie z tak nowoczesnymi sprzętami i należy wziąć pod uwagę, że w ogóle historia kina nie była wówczas zbyt długa<sup>7</sup>.

Wśród okolicznych właścicieli ziemskich Buczyński nazywany był przez całe życie, nawet w podeszłym wieku - Tomciem. Jan Tadeusz Malewski z Odrowąży

---

<sup>5</sup> *Jubileusz 25-lecia pracy oświatowo-kulturalnej i społecznej p. Tomasza Buczyńskiego na polu Polskiej Macierzy Szkolnej*, „Gazeta Radomszczańska” 1930, nr 37, s. 3-4; K. Wałaszczyk, *Ziemiańscy oryginałowie*, z. 9, Radomsko 1992, s. 15-24; E.A. Rejment, E. Duda, *A w Gidlach... rody, rodziny i obywatele*, nr 2, Warszawa, Końskie, Gidle, 2017, s. 55; tychże, *A w Gidlach... talenty, zamiłowania, pasje*, nr 5, Gidle 2019, s. 36-37

<sup>6</sup> Archiwum parafii rzymskokatolickiej Gidle, Księga zgonów, akt 44/1940.

<sup>7</sup> J.T. Malewski, *Pan Tomasz ...*, s. 108-116.

stwierdził, że Buczyński wysuwa się na jedną z czołowych ciekawych postaci jakie miał okazję poznać<sup>8</sup>.

W pamiętniku Tomasza Buczyńskiego odnaleźć można wiele odniesień i porównań do dokonań znanych Polaków. Na uwagę zasługuje dedykacja tego dokumentu Ignacemu Paderewskiemu, który był postacią współczesną dla autora. Nazwiska różnych muzyków, przedstawicieli sztuki pojawiają się w dokumencie dość często. Świadczy to o gruntowym wykształceniu Buczyńskiego i żywym zainteresowaniu szeroko pojętą sztuką. Odbił on podróż po Europie Zachodniej, odwiedził m.in. Wiedeń, Paryż, Genewę i Madryt, gdzie obejrzał liczne wystawy sztuki, muzea oraz wysłuchał koncertów i oper.

Zaznaczona w pamiętniku niechęć do Żydów wynikała z faktu zadłużenia się Buczyńskiego u nich, choć trzeba przyznać, że nie tylko Żydzi byli jego wierzycielami. W kwestiach finansowych oraz gospodarczych Buczyński nie miał szczęścia. Pasje związane z kinematografem oraz działalnością społecznikowską doprowadziły go do bankructwa i zlicytowania rodzinnego majątku. Do końca swych dni mieszkał jednak we dworze, bo nowy właściciel mu na to pozwolił.

Zawarte w pamiętniku osobiste zwierzenia tłumaczą, z jakiego powodu Buczyński nie założył nigdy rodziny. Trauma poniesiona w dzieciństwie sprawiła, że zniechęcił się on do nawiązania bliskiej relacji z kobietą. Trzeba jednak przyznać, że swoją potrzebę empatii skierował z dużym zaangażowaniem we wspieranie uzdolnionych dzieci oraz młodzieży wiejskiej.

Buczyński w swoim pamiętniku wydaje się osobą zdystansowaną wobec siebie. Śmiało opisuje intymne koleje swego losu, zdaje relacje z sytuacji, które nie stawiają go w korzystnym świetle, odkrywa nieznane dotąd wątki. Cytuje nawet wierszyki innych osób, w których z jednej strony tłumaczony jest ze swojej niefrasobliwości, a z drugiej nad wyraz wychwalany. Dostrzec można, że zależy mu na jak najobszerniejszym przedstawieniu swojej osoby, na zapamiętaniu go takim, jakim był.

W chwili spisывania pamiętnika Tomasz Buczyński miał 75 lat i zdawał sobie sprawę z przemijalności swojego życia, co zaznaczył zwłaszcza w ostatnich wersach pamiętnika. Już nieco wcześniej, w 1936 r. spisał testament, w którym przekazał Polskiej Macierzy Szkolnej teren swojego majątku (z wyjątkiem pałacu). Śmierć zaskoczyła Buczyńskiego, bo zmarł nagle w wyniku (prawdopodobnie) zawału serca w 1940 r. Nie pozostawił po sobie potomków, nigdy nie założył rodziny, co może być też motywem spisania wspomnień i myśli w postaci w miarę trwałego pamiętni-

---

<sup>8</sup> J. T. Malewski, *Przeminęło*, Warszawa 1989, s. 15.

ka pozostawionego w „pustym dworze”. Nie wiadomo czy celowe było pozostawienie pamiętnika wśród rzeczy osobistych, czy może planował go przekazać komuś zaufanemu. Nie da się odtworzyć dokładnych losów tego dokumentu, ale sam fakt przetrwania pamiętnika jest niezwykle, zwłaszcza, że aktualny właściciel tego dokumentu nabył go przypadkowo od nieznajomej osoby.

Tomasz Buczyński pozostawił po sobie liczne artykuły prasowe, listy, a także pamiętnik z życiorysem. Obecnie oryginał pamiętnika znajduje się w zbiorach prywatnych rodziny Flaszów, pochodzących z okolic Gidel. Kopia pamiętnika znajduje się m.in. w Gminnej Bibliotece Publicznej w Gidlach. Oryginał ma wymiary ok. 21,5 cm x 15,5 cm. Tekst jest napisany odręcznie, wiele fragmentów jest trudnych do odczytania. Wynika to zarówno z charakteru pisma Tomasza Buczyńskiego, jak i ze stanu zachowania tego materiału źródłowego, strony są pożółkłe, wyblakłe, a niektóre z nich naddarte. Pamiętnik pisany był na kartkach z ledwo już widoczną kratką w tle, co pozwalało Buczyńskiemu zachować odpowiednie rozmieszczenie tekstu. W sumie dokument składa się z 38 stron, w tym 36 zapisanych. Pierwsza strona stanowi swego rodzaju okładkę, druga jest pusta, a trzecia podpisana jest w nagłówku wstępem. Wprowadzona przez Buczyńskiego numeracja zaczyna się od liczby 2, choć jest to w rzeczywistości strona czwarta (po okładce, pustej stronie i wstępie). Strona numer 23 występuje dwa razy. Brak jest strony o numerze 32. Odręczna numeracja kończy się na stronie oznaczonej jako 35. Po niej następuje jeszcze jedna pusta strona<sup>9</sup>.



Tomasz Buczyński, „Gazeta Radomska” 1930, nr 37, s. 3

By oddać oryginalny układ rękopisu w nawiasach kwadratowych zostaną podane numery nadane przez autora. Poza tym tekst został uwspółcześiony pod kątem aktualnych zasad ortografii i interpunkcji.

---

<sup>9</sup> Autor dokonał bezpośredniej analizy pamiętnika dzięki uprzejmości państwa Michała i Lucjana Flaszów. Dokonano ponownego całościowego odczytania treści dokumentu, dzięki czemu poprawiono zapisy w stosunku do poprzednich wersji, które w wielu fragmentach zawierały skróty, uproszczenia i uwspółcześnienia tekstu. Ze względu na stan zachowania pamiętnika, a także charakter pisma odręcznego, nie da się nadal wykluczyć błędnie odczytanych pojedynczych wyrazów.

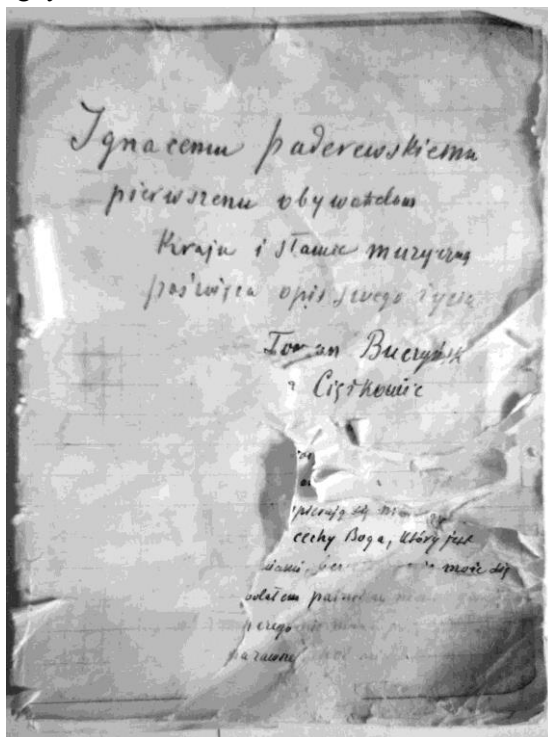
[2] *Ignacemu Paderewskiemu  
pierwszemu obywatelowi  
Kraju i sławie muzycznej  
poświęca opis swego życia  
Tomasz Buczyński  
z Ciężkowic*

[3]

### Wstęp

Zbliża się schyłek mego życia. Wypadnie zdać rachunek z dokonanych czynów. Popełniło się wiele omyłek, których było lepiej uniknąć. Lecz czuję, że innym być nie mogłem. Musiałem być optymistą, bo wiara w Boga i w dobroć Jego, do tego prowadzą. Przydałby mi się pesymizm, gdyż ludziom za wiele ufać nie można. Kto jednak obdarzony jest słuchem muzycznym, ten pójdzie za istotą piękną, które polega na harmonii, a w harmonii musi być zasadniczy ton, na którym opierają się melodie, co jest zarazem nutą dominującą cechy Boga, który jest twórcą pieśni nad pieśniami, bez czego nie może się obejść i piękno. Ja wolałem patrzeć w niebo i gwiazdy i być sługą piękna, bez czego nie można pojąć i Boga. Pozostaną przy nim na zawsze, choć miałbym nawet [4] i pocierpieć - co jest przeznaczeniem każdego.

Opowieść o mych przeżyciach pozostawiam w tych pamiętnikach w pustym dworze. Czytałem kiedyś „Głowy do pozłoty” Lama<sup>10</sup>. Utwór ten w swoim czasie wywarł na mnie duże wrażenie. Jest to talent prawdziwy. Przypomina mi Szchedri-



Okładka pamiętnika Tomasza Buczyńskiego, fot. Michał Flaszka

<sup>10</sup> Jan Lam (1838-1886) – polski powieściopisarz, satyryk. Autor m.in. powieści satyrycznej pt. „Głowy do pozłoty”.

na lub Gogola. Osobliwość Lama, że Lam pochodzenia Francuz z matki Irlandki katoliczki, których rodzice zamieszkali jako profesorowie na kresach w dawnej Galicji, wchłonęli pierwiastki kultury polskiej. Dla niej też syn ich pracował całe życie, pozostawiając wiele cennych prac, jak i pewna rodzina z dalekich stron, która zamieszkała również na kresach, która się rzetelnie spolszczyła, jak niejedno dobrze nam znane nazwisko, np. rodzina Platerów, [nieczytelne], i innych nazwisk dobrze znanych i zasłużonych naszej kulturze. Z autorem „Głów do pozłoty” łączy mnie wspólna dola. Zawistny los, który ściagał też za życia Lama. Gdzie znęcało się nad nim, jak i nade mną wszelkie szelmstwo, ażeby nam obrzydzić życie, tylko że Lam pozostał pomimo jednego [5] ze mną losu nadal humorystą. Gdyż w tym kierunku nigdy nie wykazywałem uzdolnień, a wręcz przeciwnie, jako z zawodu trochę dziennikarz więcej badając losy naszego narodu, badając przyczyny wzniesienia się i upadku jego - zdradzałem więcej dramatyczne usposobienie, a zdala trzymałem się od humorystyki. Piszę więc pamiętnik, w którym brak nawet erotycznych przygód, jaki w nasz zwykle [nieczytelne] w życiu człowieka, jak to zauważyła już pani Kamieniecka w wierszu poświęconym mojej osobie, *że ja nie mam w sobie nic z poety, gdyż jest on obojętny na kobiety.*

Pewnego razu kiedy wierzyciele zlicytowali mi meble i zabrali mi wszystkie szafy, wydane im przez hr. Sztyfnieckiego, który wtedy był zarządcą u mnie, wyrzucano z nich wszystko, a więc i zbiory numizmatyczne wielkiej wartości i drogocenną dla mnie pamiątkę - pamiętniki Matki mojej, o których istnieniu nic nie wiedziałem. A okazały się dla mnie bardzo cenną pamiątką, gdyż Matka moja opisywała starania się męża swego a mego ojca o nią w latach [6] 1861, a więc latach bardzo niespokojnych, co jak matka wspomina, mogło się odbić na usposobieniu moim na dziecku poczęty w tych niespokojnych latach.

Wzorując się na matce mej piszę i ja swoje przeżycia, jak by dalszy ciąg pamiętnika Matki mej. Czytelnicy mi darują, że nie wymyślam nic nowego, nie piszę bowiem powieści, a rzetelną prawdę, co może zrobić największe wrażenie. Pisząc o sobie muszę powiedzieć, że wychowanie w domu i w szkołach otrzymałem bardzo staranne. A także że wiele zawdzięczam profesorom, jak i prefektowi naszemu Franciszkowi Krupińskiemu, pijarowi profesorowi gimnazjum 4, który to ksiądz jeden wykładał religię w języku polskim. Przedtem bowiem w 5 gimnazjum musiałem słuchać religii w języku rosyjskim. I był to jedyny profesor, który oparł się Moskalom i prowadził wykład w języku polskim, cieszył się też nadzwyczajną powagą u Rosjan, bowiem też cieszył się nadzwyczajnym wpływem u nich i myśmy wiele mu zawdzięczali. A i ja dostałem wytyczne na całe życie i zrozumiałem jakim mam być w przyszłości [7] obywatelem kraju i rozpoznałem cel życia, który od tego czasu byłem wierny. Toteż wywdzięczając się mu ogłosiłem konkurs na życiorys tego zna-

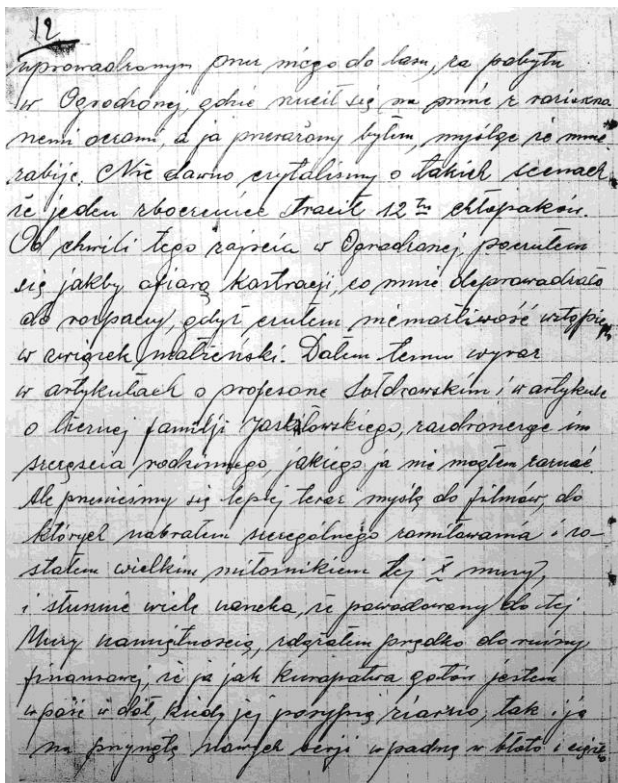


komitego pedagoga i złożyłem pewną sumę pieniędzy w redakcji „Tygodnika Ilustrowanego”. Niestety konkurs, nie wiem z jakich powodów, nie doszedł do skutku, a chciałem żeby kolega Chruszpiński, który miał zdolności literackie i żeby przystąpił do napisania życiorysu tego zasłużonego pedagoga. Drugim znakomitym profesorem uważam znów profesora Romana Plenkiewicza, któregośmy najęli ażeby słuchać literatury polskiej, [nieczytelne] ten przedmiot był zaniedbywany w szkołach rosyjskich. I tym profesorom zawdzięczam wiele, gdyż dali mi skarb nieoceniony, światły pogląd na zadania obywatelskie, które zachowałem na całe życie. A teraz rozpoczynam opowiadanie z mego życia.

Były to ostatnie dni grudnia 1862 r. Zima była dość sroga. Do Ciężkowic zjechali rodzice mej matki Seweryn Nekanda-Trepka z żoną [8] ze Zbiewskich Modestą. W tym bowiem czasie spodziewane było dzieciątko z ojca Bolesława herbu Strzemię Buczyńskiego, którego przodkowie wieźli Marynę Mniszek w poselstwie na Kreml do Moskwy, co jak wiadomo z historii nie uwieńczono było skutkiem pomyslnym i Maryna Mniszkówna nie została carycą w Rosji. Ojciec był przedtem współwłaścicielem dóbr Pławno, a nabył Ciężkowice od Rodryga hr. Potockiego z Chrząstowa w roku 1851. Pierwszego stycznia 1863 r. przybyło dziecko płci męskiej, które przedstawiało się bardzo słabo. Było bardzo wątłe i nie rokowało nadziei żeby się mogło ostać przy życiu. Dlatego też o godzinie 10 zabrali dziadkowie dzieciątko do chrztu i zabrali je do karety i zawieźli do Gidel do starego modrzewiowego kościółka, w którym podówczas odprawiało się nabożeństwo, dopiero później bowiem do obszernego kościoła pokartuskiego, w którym do tej pory mieści się parafia. Opisując starania męża swego Matka moja przedstawia zgodę swoją na poślubienie [przekreślenie] męża jako akt poddania się woli boskiej. Zupełnie jak to przedstawia [9] filozof Wincenty Lutosławski, nie jako upodobanie do samego męża, a jako sprawcy przyszłego jej dziecka.

Na chrzcie dano mi imię Tomasz, na pamiątkę bohatera narodowego, Błęszyńskiego Tomasza, który długi czas jako dezertier wojsk rosyjskich ukrywał się u nas w Ciężkowicach jakiś czas, aż w końcu zjechał oficer Kozacki z sotnią Kozaków i otoczyli dwór. Matka moja widząc grożące niebezpieczeństwo, ratowała Błęszyńskiego w przebraniu kucharza, a rzeczy i broń ukryła w mej kołysce i z góry wydawała rozporządzenia, jako do swego kucharza. Zabawne było jak Kozacy, zobaczywszy w spiżarni głowę cukru, przez okna pochwycili ją bagnetami za sznury, a oficer tej samej natury co prości żołnierze, zobaczywszy na toalecie biżuterię, zgrabnie schował ją do kieszeni i wtedy prędko [skreślenie] wycofali z dalszej rewizji unosząc wszyscy swe łupy. Niestety Tomasz Błęszyński żył już tylko 3 miesią-

ce przyłapany w Piotrkowie, gdzie został na miejscu rozstrzelany. [10] Dopiero po odzyskaniu niepodległości ekshumowany pochowany został ze czcią i wybudowano mu odpowiedni nagrobek.



Fragment pamiętnika

czali się do łamania drzew i zabierali gałęzie. Ojciec więc słusznie się bronił i nie dopuszczał do nadużyć. Rząd rosyjski umyślnie rzucił kość niezgody między strony, co mu się udało pozyskać dla siebie tłumy.

[11] Było to posunięcie nadzwyczaj dla rządu korzystne [nieczytelne], choć nie oddalała nas od siebie różnica rasy ani religii, rząd pozyskał dla siebie tłumy, które nawet dotąd odczuwają wdzięczność dla taty, pomimo, że nie ma go już dawno u nas. Ból ten, jaki wyniosłem wtedy w sercu doznałem, przetrzymał do dzisiejszych czasów i był przyczyną, że sprawę serwitutów załatwiłem jeszcze za czasów rosyjskich ogromnymi ofiarami z majątku, zwłaszcza że korzystało z serwitutów 6 wsi, a mianowicie: 1) Ciężkowice, 2) Młynek, 3) Zabrodzie, 4) Graby, 5) Spalastry, 6)

Z wypadków późniejszych w Ciężkowicach upamiętniło mi się na całe życie, gdy ludzie z naszej wsi przychodzili podczas cholery w 1866 r. grażującej u nas wtedy po lekarstwa. Mianowicie widziałem przed dworem gromady chłopów, biednie odzianych, przepasanych zaledwie powróżkami. W dwa lata później widzę znów te same gromady, na których ojciec mój, którego nadzwyczaj kochałem, bardzo się gniewał na nich. Co mnie mocno przejęło, a nie rozumiałem przyczyn tego zatargu, że tu w grę wchodziły serwituty<sup>11</sup>, które rząd moskiewski umyślnie zaprowadził po powstaniu, dla zjednania sobie masy włościańskiej. Włościanie mieli przyznane sobie tylko zbieranie posuszu, a ci dopusz-

<sup>11</sup> Serwituty – prawo chłopów do korzystania w dóbr dworskich – łąk, pastwisk i lasów.

Michałopol oraz liczni komornicy. Razem 240 gospodarstw całych, które razem dostały 960 mórg, tak że zostało przy majątku 220 mórg lasu tylko na piaszczystych górach, czego już włościanie dworowi nie zazdrościli, nie rosząc do reszty lasu żadnej pretensji. To też naprawdę włościanie uważają się za dobrze obdarowanych i nawet okazują mi przychylność, jak to doświadczyłem po półrocznej nieobecności w Częstochowie. Nie od razu jednak włościanie poczuli się Polakami.

To też kiedy po wojnie japońskiej, zelżały trochę łańcuchy niewoli i kiedy zatwierdzono [12] instytucję Macierzy Szkolnej, stałem się gorliwym pracownikiem tej instytucji i brałem czynny udział w wykładach, urozmaicając wykłady [skreślenie] przezroczami, a później filmami i cały majątek po śmierci Matki mej w 1929 r. zapisałem na cel tej instytucji. W tym celu założyłem fabrykę przezroczy, początkowo w Gidlach natrafiłem [nieczytelne] gorliwego działacza sekcji rolnej w Warszawie, który skłonił mnie do założenia tej fabryki. A później przenieśliśmy do Krakowa pod firmą Józefa Cieślińskiego na ulicę Krupniczą 10, który takie przezrocza wykonywał, gdyż musiałem ukryć swe stosunki z firmą dla osobistego bezpieczeństwa przed rządem, ówczesnym rosyjskim. Tam zainstalowałem personel składający się z 5 osób i zaczęła się robota. Dla zdobycia więcej materiału dałem w prezencie 2500 przezroczy dla instytucji pokrewnej TSL<sup>12</sup>, a za to miałem prawo korzystania z prawa fotografowania wszelkich zabytków tak licznych w Krakowie.

Stąd nagromadziły się liczne zbiory, na które zwrócił uwagę Naczelnik Państwa Józef Piłsudski i dostałem od niego wskazówkę, ażebym [13] przeniósł tę pracownię do Warszawy. Jakoś zastosowałem się do jego woli i pracownia moja przeniesiona została na ul. Wilczą 19, gdzie zajęła całe pierwsze piętro, w której pomieszczono chmarę fotografii pod kierunkiem Cieślińskiego. I tak trwała ta pracownia na Wilczej dopóki Marszałek Piłsudski pozostawał na swoim stanowisku. Z chwilą, gdy nim przestał być myśmy odkupili pracownię, za co Cieśliński dostał 25000 złotych i mógł sobie kupić willę w Zakopanem, a ja zabrałem wszystkie przezrocza do Ciężkowic, a negatywy zabrała pomoc szkolna na Krakowskim Przedmieściu 38, gdzie dotąd istnieje i gdzie parę lat jeszcze kompletowałem nowe serie o katakumbach i stąd jestem z nimi w stosunkach.

Z tego też czasu przypada druga scena, co niechętnie robię, gdyż wywarła na mnie duży wpływ na zdrowie i uczyniła na mnie skazę duchową, zupełnie jak i fizyczną. Byłem widać dość przystojnym chłopcem, tym gorzej dla mnie, bo 5-letnim

---

<sup>12</sup> TSL (Towarzystwo Szkół Ludowych) - organizacja której celem było szerzenie oświaty wśród ludu polskiego, najpierw w Galicji, a potem w południowej i wschodniej części II RP. Założył ją A. Asnyk w 1891 r., istniała do 1940.

malcem uprowadzonym [14] przez niego do lasu za pobytu w Ogrodzonej, gdzie rzucił się na mnie z [nieczytelne] oczami, a ja przerażony byłem, myśląc że mnie zabije. Niedawno czytaliśmy o takich scenach, że jeden zboczeniec stracił 12 chłopaków. Od chwili tego zajścia w Ogrodzonej, poczułem się jakby ofiarą kastracji, co mnie doprowadziło do rozpacz, gdyż czułem niemożliwość wstąpienia w związek małżeński. Dałem temu wyraz w artykułach o profesorze Szoldrowskim i w artykule o licznej rodzinie Jaskłowskiego, zazdroszcząc im szczęścia rodzinnego, jakiego ja nie mogłem zaznać.

Ale przenieśmy się lepiej teraz myślą do filmów, do których nabrałem szczególnego zamiłowania i zostałem wielkim miłośnikiem tej X muzy<sup>13</sup>, i słusznie wiele narzeka, że powodowany do tej Muzy namiętnością, zdążył do ruiny finansowej, że jak kuropatwa gotów jestem wpaść w dół, kiedy jej posypią ziarno, tak i ja na przynętę nowych serii wpadnę w błoto i ugrzęznę [15] mi też będzie potem wygrzebać<sup>14</sup>.

Z tego też czasu przypada druga scena, co niechętnie bardzo wspominam, gdyż wywarła na mnie bardzo zły wpływ fizyczny i moralny. Byłem widać dość przystojnym chłopcem, tym gorzej dla mnie, uprowadzonym przez lokajczyka do lasu za pobytu mego w Ogrodzonej u dziadków, bo 5-letnim malcem, gdzie rzucił się na mnie z [nieczytelne] oczami, a ja przerażony byłem, [nieczytelne] że mnie zabije lub udusi. Niedawno czytałem o podobnych scenach, które kończyły się śmiercią w Niemczech, od tego rodzaju zboczeńcach, który zgładził aż 12 malców. W tej chwili poczułem się jakby ofiarą kastracji, co mnie doprowadziło do rozpacz, gdyż czułem niemożliwość wstąpienia w związek małżeński. Dałem temu wyraz w artykułach o profesorze Szoldrowskim i o p. Jaskłowskim Janie ze Stobiecka, zazdroszcząc im szczęścia rodzinnego, jakiego czułem że zaznać sam nie mogę.

Ale przenieśmy się lepiej myślą do filmów, do których nabrałem szczególnego zamiłowania, gdyż zostałem wielbicielem [16] X muzy – o czym wiadano i upominano mnie, że powodowany do tego namiętnością zdążyć będę prędko do

---

<sup>13</sup> Dziesiąta muza – określenie twórczości filmowej.

<sup>14</sup> Strona oznaczona przez Buczyńskiego numerem 13 jest przekreślona niemal od góry do dołu dwiema krzywymi liniami. Przekreślony tekst jest w zasadzie powtórzeniem fragmentu z końca strony 11 oraz całej strony 12, zaczynającego od słów „Z tego też czasu przypada druga scena...”, a kończąc na „(...) tak i ja na przynętę nowych serii wpadnę w błoto i ugrzęznę”. Wydaje się to dziwnym zabiegiem, gdyż powinno być w właściwie odwrotnie – najpierw tekst nieprawidłowo napisany, a potem nowsza jego wersja. Ze względu na to, że fragmenty się nieco różnią i razem dopełniają całość tworząc bardziej klarowną i spójną treść, postanowiłem również ten przekreślony fragment zacytować.

ruiny finansowej i jak kuropatwa wpadnę w dół, gdy jej posypią ziarno na przynętę i ciężko będzie mnie potem wygrzebać z błota, w jakie się zapadam<sup>15</sup>.

Na usprawiedliwienie się moje jednak muszę dodać, że ja miewałem przy swoim gospodarstwie zawsze po 15 metrów pszenicy i po 10 żyta z morgi, więc mogłem sobie pozwolić na ten luksus, co przecież przyniosło korzyść dla polskiej Macierzy i dla Akcji Katolickiej, której cele zawsze popierałem i nie szczędziłem grosza. Wykształcił się też na prelegenta jeden z moich pupilów, o którym wspominam z wzruszeniem, jako wyspecjalizowany w swym fachu filmowiec i prelegent Aleksander Truchta. Przytaczam tu jego wiersz, który świadczy o jego zdolnościach. Oto próbka jego talentu:

*Gdybym był królem, to w dzień czy w nocy  
 Jeździłbym sobie w złotej karocy  
 Ale że jestem żołnierz ubogi  
 Świetnie mi służą piechura nogi  
 Ale żem prosty żołnierz jest tylko*  
 [17] *Cieszę się wolną po służbie chwilką  
 Gdybym był Turkiem, rzecz oczywista,  
 Miałbym kochanek co najmniej trzysta  
 Ale żem żołnierz z polskiej piechoty  
 Starczy mi serce panny Doroty  
 Gdybym hulaką był szalawilą  
 Milion by złotych by nie starczyło  
 Ale żem żołnierz dość mi rozkoszy  
 Daje mój dzienny żold – dziesięć groszy  
 Gdybym był władcą polskiej ziemi  
 Stu pułkom kazałbym strzec jej granicy  
 Ale że jestem tyko żołnierzem  
 Chronię ją własnej piersi puklerzem  
 Gdybym był wielki – to na mym grobie  
 płakałby cały naród w żalobie  
 Ale żem prosty żołnierz z piechoty  
 Dość jednej łezki panny Doroty.*

Z filmami miałem rozmaite wypadki, na których byłem niemiłosiernie oszukiwany. Na przykład chciałem mieć „Życie Kościuszki”. Jakoż znalazł się dostawca,

<sup>15</sup> W tym miejscu kończy się powtórzenie tekstu (wyrażone niekiedy odmiennymi słowami), dalej Buczyński kontynuuje wspomnienia.

który przywiózł mi ten film z reklamą i fotosami, [18] który to film jak się okazało później nie był jego własnością a wypożyczony w biurze w Warszawie. Nie mając prawa nabycia takiego przedmiotu, musiałem zwrócić właścicielowi jego własność. Innym razem zamówiłem „Życie św. Franciszka z Asyżu”, a tu zamiast spodziewanego filmu otrzymuję sławną kredkę z życia kurtyzany, która 2 razy powracała zamiast oczekiwanego Świętego. W ostatku przybyła wędrowna trupa, jakby z obozu cygańskiego, przybyła bowiem furą zaprzęgniętą w jednego konia gdzie siedziała cała rodzina i pilnujący bury pies lecący z tyłu za budą. Zaciekawiony tym prosiłem żeby się zatrzymali u mnie i sprzedałem im tanio film „Człowiek w żelaznej masce”, bo za 10 złotych. Widzów i dzieci zebrało się bardzo dużo, gdyż dawno nie oglądali tych rzeczy z powodu mego wyjazdu do Częstochowy, gdzie pół roku, a oni stęsknili się do przedstawień. Człowiek ten wędrowny na dobitkę złego, dał mi mylny adres i mylne nazwisko, tak że i policja nie natrafiła żadnych śladów, ażeby go złapać i dostarczyć mi. Na domiar mego nieszczęścia dzieci szkolne upatrzyły moment gdym otworzył składy z filmami [nieczytelne] i ukradły mi też 90 składów slajdów, wyciągając po jednym filmie [19] z różnych serii najpiękniejszych i w ten sposób dekompletując największe serie jak „Bartek zwycięzca”, „Arabella” i inne, a to w celu zrobienia sobie przyjemności jaką mieli paląc celuloid – co sprawiało im wielką radość.

Oprócz tego straciłem piękne filmy jak „Zakopane zimą” i „Podróże przyzenta do Krzemieńca”, który dałem do przejrzenia, gdyż [nieczytelne] nauczyciela pana Stemlera, brata dyrektora [nieczytelne] p. Józefa Stemlera, który pochodził z Krzemieńca dla pokazania okolicy, skąd pochodził nauczyciel. Jeszcze nie koniec o filmach. Tragedia zdarzyła się dopiero w Częstochowie za bytności mej u p. Ostoja-Rondlewskiej, którą muszę tu zarekomendować.

Urody niepospolitej, o pięknych oczach, powłóczyстым spojrzeniu, przypominającymi mi Matkę moją, choć w spojrzeniu swym nie miała łagodnego wyrazu, a przeciwnie jakiś wyraz drapieżny, którym potrafiła naginać do swej woli męzczyzn, ulegającym jej wdziękowi jak wosk. Kiedy zaprezentowany jej z okazji [nieczytelne] z niej dla omówienia warunków udziału mego w udźwiękowieniu filmu „Szaleńcy” na cześć Marszałka Piłsudskiego. Porównałem ją do [20] do Safo Słowiańskiej<sup>16</sup>, dostrzegłem ironiczny wyraz jej spojrzenia, który mnie przejął do szpiku, co mnie pochodziło z niezrozumieniem mego historycznego porównania, ale pomimo to zdecydowałem się tam pozostać. Pilnowałem tylko, żeby nie stała się krzywda mym zapisom testamentowym przy obietnicy sprzedania majątku mego tej osobie, gdyż majątek mój poprzednio zapisałem testamentem na rzecz fundacji imienia

<sup>16</sup> Safo (Safona) – grecka poetka z przełomu VII i VI w. p.n.e. Safo słowiańska (słowieńska) to bohaterka trenu VI Jana Kochanowskiego, będąca porównaniem do jego zmarłej córki, która miała odziedziczyć po ojcu talent poetycki.

Paderewskiego dla Polskiej Macierzy Szkolnej. To też pilnowałem tych zapisów, bo państwo ci chcieli zredukować te zapisy do tysiąca złotych. Warunki te jednak podpisałem, gdyż sam widziałem, że przy prowadzeniu mego gospodarstwa przez hr. Sztychnickiego, grozi mi zupełna ruina i że będę musiał iść o kiju żebraczym. To też warunki zaakceptowałem. Dawałem tam pół roku. Dopuszczony tym do [nieczytelne]. Między tym małżeństwem bywało różnie, to się kłócili, to się jednali. Chodziłem nawet do kurii biskupiej dla nich po rozwód, ale w gruncie rzeczy małżeństwo godziło się dawny stan. Dziwnie zgraną była tam i służąca, która [21] pomimo wyjścia za mąż trzymała się tej pary dotąd i dostawała rozmaite komplementy od państwa. W chwilach wesołych nazywał ją pan różą jerychońską, w chwilach gorszych przezywał ją „Ty krowo łaciata”.

Z pobytu mego w Częstochowie zachowałem na długi czas w pamięci sporo wiele dzielnych jednostek. Z pierwszeństwa i godności mamy oddać hołd zacnemu biskupowi ekscelencji księdzu Kubinie<sup>17</sup>, który za zorganizowanie na terenie Częstochowy okręgowego zarządu Macierzy Polskiej zaszczycił mnie audiencją i błogosławieństwem. Miałem przyjemność spotkania dawnego prezesa Polskiej Macierzy w Rudach, ks. Franciszka Mireckiego, gdyż po nim nastąpił ksiądz Dziennicki; ksiądz Teofil Jankowski, przeniesiony obecnie do Sosnowca, aż na końcu ksiądz Marceli Jankowski, dotychczasowy prezes Macierzy Polskiej w Radomsku, których wszystkich mile wspominam, gdyż współdziałali z całym zarządem Macierzy bardzo gorliwie. Otóż rozwinęliśmy zasoby pomocy naukowej do 5 tysięcy sztuk przeźroczy i do 50 sztuk serii filmów wartościowych, z których jednak parę uległo zniszczeniu. Z dygnitarzy kościelnych, oprócz księdza biskupa Kubiny, który wygłosił wspaniałe prelekcje, poznałem [22] Do Argentyny, ażeby wziąć udział w misji eucharystycznej poznałem księdza Alfonsa Jędrzejowskiego paulina, którego życiorys zamieściłem w Orędowniku poznańskim. Był to niestrudzony patriota zakonnik, który zachwyił mnie swym kazaniem na dzień 3 Maja, tak że miałem łzy w oczach i musiałem dobić się jego celi, ażeby mu złożyć me podziękowanie za rozkosz duchową, jaką mi i słuchaczom zgotował. Zyskawszy jego zaufanie, nawiedzałem go często. Skreśliłem z udzielonych mi notatek jego żywot. Później skreśliłem drugi artykuł o duszy Polaka, wychowanym w duchu narodowym i katolickim. Widząc 2 chłopców nędznie ubranych, stojących przed skrzynką z wywieszonymi fotosami kinowymi i żywo rozprawiających o filmach, stałych widocznie bywalców seansów, dających fachowe wskazówki o filmach, zrozumiałem potrzebę tego rodzaju specjalnych zakładów,

---

<sup>17</sup> Teodor Kubina (1880-1951) - pierwszy biskup diecezjalny częstochowski w latach 1926-1951.

jakie są w [nieczytelne] parafii św. Andrzeja, która dobiera odpowiednie filmy dla młodzieży.

Następnie poznałem profesora Jana Szoldrowskiego, który poprzednio pracował w Radomsku, a obecnie w Częstochowie, gdzie doznałem moc podniosłych wrażeń. Którego [23] sylwetkę postanowiłem naszkicować, gdyż uważam że potrzeba zaznajamiać się z takimi osobistościami. Otóż któregoś dnia nieznanemu nikomu, udałem się do jego mieszkania, gdyż zostałem przyjęty oddzielnie. Tymczasem wpadła do jego gabinetu dziewczynka może 5-letnia, zaciekawiona nowym dla niej gościem, siadła ojcu na kolanach i wprost dopytując się jakie ja mam dzieci? Co zna czyło, czy i panu tak dobrze, jak mnie? O droga dziecino dałaś mi obrazek prawdziwego szczęścia i nie mogłem ci dać żadnej odpowiedzi na razie, ale poraziłaś swym zapytaniem głębię mej samotności, jaką musi mieć 74 letni starzec. Człowiek ten uciułał 8 tysięcy złotych i dopomógł młodzieży do dźwignięcia swych sił i do służenia ojczyźnie. Najwięcej dopisała tu rodzina Steinhagenów, dała bowiem 3 tysiące złotych. Wspominam też o młodym p. Hurne, który też zbierał pewną sumę na tenże cel.

Obraz naszych mieszkańców nie byłby pełny, gdybym nie przestawił naszych współmieszkańców Żydów. Nic dziwnego, gdy jeden [24] z moich bliskich znajomych odwiedzał pewną rodzinę żydowską podczas tak zwanych [nieczytelne], że usłyszał z racji przybycia rasowego Polaka wśród 40 samych żydków, i usłyszał śpiewkę już czysto w czysto polskim języku dla tak niespodziewanego gościa, którą tu zamieszczam.

*Dziękuję ci panie Boże, żeś mnie nie stworzył koniem ani wołem, bo by mnie chłop bił dębowym kołem / Aj waj bum bum bum. Aj waj bum, bum!*

Pani Ostoja Randlewska udała się z zażaleniem do mej bratowej, pani H. Abczyńskiej do Okołowic, o której warto tu wspomnieć, jako o niezwykle zajmującej postaci. Jest to osoba, którą można nazwać opiekunką zwierząt. Dokąd zjeżdżają się liczni wędrowcy dla nabycia albo zamiany rasowych zwierząt, przedstawiając swoje propozycje. Osoba ta urodziła się niepospolitej, którą zachowała dotąd i widać, że uroda ta udziela się nie tylko otoczeniu ludzkiemu lecz i zwierzętom, kiedy formalnie odgadują jej myśli. [25]

Była to moja bratowa za Janem Buczyńskim, właścicielką Soborzyc a później Okołowic. Ma ona wprost za zadanie pielęgnowanie chorej istoty, jak konie, woły, owce i koty, a jedynie myszy, szczury i świnki jako nieczyste wymykają się spod jej opieki. Obraziła się na mnie, kiedy opisałem raz jej ekscentryczność i unikam zabawnych dykteryjek w opisie [nieczytelne]. Uważam ją za apostołkę swej misji, którą spotykamy u św. Franciszka z Asyżu. Dla mnie jej stanowisko lub jest czysto chrześcijańskie, lecz mi to nie wystarcza. Gdyż wolałbym żeby była przejęta myślą



więcej ograniczoną, np. o podniesieniu losu swego narodu, lecz tu napotykam silny opór z którym jednak dla jej wielkiej wartości moralnej, muszę się liczyć. Otóż ta pani musiała niedawno wysłuchać zażaleń na mnie od pani Ostoja Randlewskiej z Częstochowy na moją niewdzięczność. Teraz przestaję się już wszystkim dziwić, bo jak prawda moja dusza [nieczytelne].

[26] że gdyby powiedzieć jej, że papież uciekł w balety to i tej wiadomości przestałaby się dziwić, bo wszystko jest możliwe. Nie mogę tu pominąć zacnej sąsiadki pani Abczyńskiej, a żony pana Władysława Kamienieckiego z Pągowa, która wślawiła się w okolicy świetnymi wierszami, opisujące losy mego majątku, które tu zamierzam podać dla uwiecznienia ich na pamiątkę. Treści tych wierszy bało się wiele osób, jak mój administrator, p. hr. Sztychnicki, ale też bała się ich i pani Ostoja Randlewska z Częstochowy. To było też przyczyną przyjazdu tej pani do Pągowa, gdzie mieszkała pani Kamieniecka. Wiersze te odczytywała pani Kamieniecka z oryginału - przerabiając je coraz z punkta - gdy tego była potrzeba.

Wiersze pani Kamienieckiej

*Bije czwarta, kogut pieje  
Patrzcie, co się u nas dzieje  
Tomcio zrywa się z posłania  
I zasiada do pisania*  
[27] *On do pióra pociąg czuje  
Więc swe losy opisuje  
W prasie też pomocy szuka  
I do serca Wielkich puka  
Gdy się dobrą kawą skrzepi  
Zaraz trzy arkusze ulepi  
Już Mickiewicz opisuje  
Jak się Kawę preparuje  
Tomcia przepis jest też słynny  
Choć od zwykłych nieco inny  
Polak wielki i gorliwy  
Mógł wymyślić takie dziwy  
Precz! wyroby zagraniczne  
Lepsze nasze! bo pszeniczne  
Groch potrawa narodowa  
Niech się przed nią mokka schowa  
Grochy, pszenica to podstawa*

*Wysmienita jest z niej kawa  
Trzeba sparzyć je ukropem  
[28] Z rombarbarum<sup>18</sup> zmieszać potem  
Gdy człek łyknie kwartę tego  
To jest gotów do wszystkiego  
Paderewski gdy skosztował  
Zaraz koncert skomponował  
Do kieszeni sięga żwawo  
Splaca długi z wielką wprawą  
Bo nie czyny wielkie, dzielne  
Ale ciche nieśmiertelne  
Toteż z Tomcia Polak prawy  
Bo przyczynił Polsce sławy.*

A teraz drugi poemat tej samej pani Kamienieckiej

*Pan Tomasz czyli ostatni zajazd w Koronie  
O Ciężkowice! wiosko rodzinna!  
Tak byłaś piękna, a dziś tak inna!  
Gdzie się podziały [skreślenie] urodne!  
Łąki kwitnące, lasy pachnące?  
Wszystko to wszystko dłużnicy wzięli!  
[29] I mnie samego zaprzedać chcieli  
A więc was wzywam, duchy pokrewne  
Na moje modły czule i rzewne  
Niech tu się zjawią Maćki, Brzytewki  
Bo przecież wiecie jakim jest krewki?  
Jak tylko rapier<sup>19</sup> w ręce swe schwycę  
To zaraz zmienię żydów oblicze  
Jak tryumfator do swej ojczyzny  
Tak ja wrócę na swój łan żyzny  
Wśród takich pól zielonych  
Modrą Wartą okolonych  
Stoi dworzec tak wspaniały  
Bo go dziady budowały*

---

<sup>18</sup> Rombarbarum – dawniej korzeń rabarbaru.

<sup>19</sup> Rapier - długa, prosta i obosieczna biała broń z koszem osłaniającym dłoni.

*A w nim dziedzic Tomcio dzielny  
W którym mieszka duch niezmienny*

*Nie ma dzieci ani żony  
Bo Macierzy poświęcony  
Dochował się niejednego  
Ale syna duchowego*

[30] *On nie patrzy na kobiety*

*Nie ma w sobie nic z poety  
To społecznik znakomity  
I nie w ciemę on jest bity  
Do pomocy wziął Dunina  
Co za postać, co za mina  
Geniusze bije mu z oblicza  
Sama czystość jak u Znicza  
Tomcio chłopów uświadamia  
Dunin dziewczki znów zagania  
Aby w cnocie się ćwiczyły  
Na Virtuti zasłużyły  
Unikają żydów oba  
Boć to polski jest choroba  
Żydy to nieprzyjaciele  
Co na naszym tyją ciele  
Więc przed sobą w tajemnicy  
Piszą weksle bez różnicy  
Polakowi czy Żydowi*

[31] *Oto niech się inny głowi jak zapłacić*

*Aż tu rzecz niespodziewana  
Ciężkowice Bajgelmana  
Tomcio rozpacz w duszy tłumi  
Wie, że pomoc już nic nie umie  
Bierzmy sobie więc trzeciego  
Walmy do Kamienieckiego  
Kamieniecki tęga głowa  
Niech się Dunin przy nim schowa  
Zawezwany prosto zmierza  
Gdzie kałamarz do alkierza*

*Bo tam taki duch panuje  
Że wciąż każdy podpisuje  
Tyle weksli wysmarował  
Że Dunina zalterował<sup>20</sup>  
Nikt się dziwić nie ośmieli  
Że się kasą z Tomciem dzieli  
Tomcio filmy wciąż wzbogaca  
Dunin cnoty znów opłaca  
[32] Lecz że bieda, na czwartego  
Zawezwali Grabińskiego  
Jego koniec jest żalorny  
Nie doczekał do tej wiosny  
Ale ludzi nie brakuje  
Tomcio kobiet potrzebuje  
Z Grabińską zawarł przymierze  
Ona mi pomoże szczerze  
Jest to dama doskonała  
Już trzech mężów pochowała  
Potrzebuje więc czwartego  
P. Tomasza Buczyńskiego  
Śmiało gościa uprowadza  
I w siedzibie swej osadza  
Tomcio skromnie, ja za stary  
Ona grzecznie, nie do wiary  
Co tam robił pognębiony  
On do kobiet tak zrażony  
Wiem że filmy wciąż kręcili  
[33] Lecz co więcej tam robili  
Opisać się nie ośmielę  
Ale sądzę, że niewiele  
Aż on uciekł zatrwożony  
Do pradawnej swej znajomej  
Zieleniewska gniewem płonie  
Do Ciężkowic! Walczyć o mnie!  
Czterech mężczyzn uzbroidła  
Sznapsa z nimi wychyliła*

---

<sup>20</sup> Zalterować – tu: zmartwić, zasmucić.

*I z postawą swą zuchwałą  
Przed bramą staje śmiała  
Prosi by jej przejście дано  
I do dworu przepuszczano  
Lecz przed bramą hufiec stoi  
Zieleniewskiej się nie boi  
To duchowe stoją syny  
Walczyć chcą za Tomcia winy  
A Skrzypczyński im hetmani  
Walczyć chce za Tomcia swego*

[34] *Epitafium – nagrobek dla Tomasza Bucz.*

*Tu leży Tomcio  
Legł pełen chwały.  
Będą mu polskie drzewa szumiąły  
O wolnej Polsce cudowne pieśni  
O jej wolności i o jej chwale  
O wielkich ludziach. Ich poświęceniu  
O Polsko Polsko. Dla ciebie żyłem  
Byłaś jedynym jego uśmiechem.  
Odpowiedziano mu z nieba echem  
Co nie opuszczał Tomcia za życia  
I z nieba mu podał ojcowskie dłonie.  
Odpocznij Tomciu w mojej koronie  
A gdy poczciwy grób jego zoczy  
To wnet ociera zamglone oczy  
A gdy przejeżdża obok hołota  
To mówi tutaj leży Tomcio idiota*

piśla Kamieniecka

[35] To też z największą chęcią przyjąłem bardzo [nieczytelne] zaproszenie, gdyż byłem [nieczytelne] zaproszony. Łączy nas długoletnia przyjaźń z Matką moją, z domem państwa pan Obrąpalski był siostrzeńcem Henryka Siemiradzkiego, właściciela Strzałkowa spod Radomska. Pochodził on z kresów i wolał, dorobiwszy się znacznej fortuny, ulokować ją w ziemi, a że niedaleko nas mieszkał wziął, jakeśmy mu poradzili, znakomitego gospodarza Ksawerego Święcickiego i ten poprowadził mu [nieczytelne] majątek z czego był zupełnie zadowolony. Stosunki moje z jego

siostrzeńcem, Siemiradzkim, utrwalaliśmy. I przebywałem cały miesiąc u zacnych państwa Obrępałskich cały miesiąc w lutym 1936 r. i doznawałem takiej tam gościnności, że chyba brakowało mi ptasiego mleka u tych zacnych ludzi. Poznałem też wielu zacnych ludzi i miejscową pracę. Wyjechałem z rodziną na operę, kino i różne inne spektakle. Jako członek Polskiej Macierzy [36] korzystałem też z ciekawych miejscowych występów, jakie też odbywały w pięknym gmachu tego [nieczytelne] profesor uniwersytetu krakowskiego właśnie wygłosił ciekawe odczyty o historii dawnego Śląska, które wysłuchiwały tłumy widzów. Z tego okresu przytoczę parę nieudanych wierszyków, gdyż poezji nigdy nie uprawiałem<sup>21</sup>.

*I radę [nieczytelne] dać wam też chciałem [37]*

*Nie noś, broń Boże wekselków gdzieś*

*A gdy kto żąda, to powiedz precz!*

*Bo gdy podpiszesz*

*To wnet już będzie po twoim losie*

*Lepiej ze złości kup sobie bilet*

*I w samo serce wbij sobie sztylet*

*Więc drodzy chłopcy radzę wam szczerze*

*Przyjąć wskazania w mej tu ofierze.*

Dobiegam kresu mych przygód. A przede wszystkim zakończyć muszę najwyższym uznaniem dla osoby pana Władysława Kamienieckiego z Pągowa. Ziemia- nin, który z całym poświęceniem dźwiga ciężar z jakim na jego barki zwałłem się ze swoim nieuregulowanym majątkiem, który dźwiga wykupiwszy go kosztem 25000 złotych z rąk pani Zieleniewskiej. Powinno też nazwisko tego zacnego ziemianina być zapisane złotymi głoskami na liście synów naszej Ojczyzny drogiej.

Pisał Tomasz Buczyński kwiecień 1938 r.

---

<sup>21</sup> Część tej strony jest nieczytelna ze względu na charakter pisma i stopień zachowania dokumentu.

**Andrzej Grochowalski**

(Polskie Towarzystwo Historyczne  
Oddział w Radomsku)

**Antoni Zębik-konstruktor radiostacji powstańczej „Błyskawica”**

Antoni Zębik radiostację „Błyskawicę” budował w swoim życiu dwa razy. Pierwszy raz w Częstochowie w 1943 r. na zamówienie KG AK. Tu sam zgłosił taką propozycję, bo chyba jako jedyny w okupowanej Polsce dysponował odpowiednim zestawem podzespołów do skonstruowania fonicznej radiostacji. Drugi raz 60 lat później w 2004 r., kiedy mieszkał w Radomsku. Zbudował wtedy replikę zniszczonej po zakończeniu powstania warszawskiego „Błyskawicy”. Inicjatywa budowy repliki wyszła ze środowiska warszawskich krótkofalowców wspartych przez Muzeum Powstania Warszawskiego.

**Pochodzenie, lata szkolne**

Urodził się w Częstochowie w dzielnicy Ostatni Grosz 13 stycznia 1914 r.<sup>1</sup> Jego ojciec Antoni (1874-1948) posiadał na ulicy Prostej kamienicę, w której mieszkał z całą rodziną. Wywodził się z gminy Żarki, był starszym majstrem włókiennictwa i pracował w częstochowskich zakładach włókienniczych. Z żoną Karoliną z Lipińskich (1883-1968) mieli jeszcze syna Ryszarda (1907-2004) włókiennika i elektrotechnika oraz córkę Wiktorię po mężu Jadowską (1902-1964). Antoni po skończeniu szkoły podstawowej uczył się prawdopodobnie w zawodowej szkole włókienniczej znajdującej się przy zakładzie „Częstochowianka” w Częstochowie, gdzie zetknął się z podstawami elektrotechniki i elektroniki. W te zagadnienia wprowadzał go także jego starszy brat. Swe zainteresowania w tym kierunku mógł pogłębiać zdobywając wiedzę na kursach zawodowych lub uczęszczając do przyzakładowej szkoły

---

<sup>1</sup> Archiwum Państwowe w Częstochowie, akt urodzenia Antoniego Kazimierza Zębika nr 225/1914 z zespołu archiwalnego nr 8/56 Akta stanu cywilnego Parafii Rzymskokatolickiej św. Zygmunta w Częstochowie z lat [1808-1825] 1826-1938 [1946-2013].

kształcącej elektryków i elektrotechników na własne potrzeby<sup>2</sup>. Duże zakłady przemysłowe, które przechodziły z napędu parowego na elektryczny, budowały własne elektrownie i potrzebowały tych specjalistów. Wały napędowe zasilające jednocześnie wiele maszyn zastępowano indywidualnym napędem - silnikiem elektrycznym dla każdego urządzenia.



Polowa radiostacja w działaniu (ok. 1936/37), fot. z archiwum Lidii Seligi

1936 r. Po odbyciu ogólnego przeszkolenia wojskowego pełnił funkcję radiotelegrafisty. Wykazał się tu dużą znajomością obsługi radiostacji jak i jej konserwacji. Wprowadzał własne udoskonalenia techniczne i był instruktorem dla innych żołnierzy, a z czasem awansował na dowódcę stacji radio. W ocenie przełożonych był wybitnym radiotechnikiem<sup>4</sup>. Od 31 lipca do 14 września

### Służba wojskowa

Zdobytą wiedzę Antoniego Zębika postanowiło wykorzystać wojsko powołując go do odbycia służby zasadniczej w kompanii łączności 7 DP w plutonie radiowym<sup>3</sup>. Służbę odbywał w Częstochowie najprawdopodobniej od wiosny



Na manewrach w okolicach Działoszyna (sierpień/wrzesień 1937 r.). Na mostku drugi od prawej w przykleku A. Zębik, fot. z archiwum Lidii Seligi

<sup>2</sup> Nie wiadomo dokładnie w jaki sposób i gdzie Antoni zdobył wiedzę w zakresie elektrotechniki i elektroniki. Kursy uzupełniające dla młodych elektryków organizowali nieodpłatnie w Częstochowie: inż. elektryk Jan Hertz, inż. technolog Cyprian Marian Apanowicz, Antoni Grabowski. Na te kursy uczęszczali ludzie obsługujący urządzenia elektryczne w zakładach przemysłowych, elektroenergetyce oraz budujący instalacje elektryczne zatrudnieni w biurach technicznych. Kursy o instalowaniu radia (na początku powstania radiofonii w kraju) robili Błachowicze (ojciec i syn), potem (po powstaniu Związku Krótkofalowców) przejęli je krótkofalowcy - relacja dr. Aleksandra Gąsiorskiego z Częstochowy.

<sup>3</sup> W plutonie radiowym były 4 radiostacje RKD (Radiostacja Korespondencyjna Dywizji), jedna dla dowództwa dywizji a pozostałe przydzielone były do 3 pułków. Radiostacje posługiwały się między sobą zarówno łącznością telegraficzną (sygnałem Morse'a) jak i foniczną (z użyciem mikrofonu i głośnika) - źródło:

[http://www.szpzl-zegrze.waw.pl/pdf/publikacje/io/2014\\_5.pdf](http://www.szpzl-zegrze.waw.pl/pdf/publikacje/io/2014_5.pdf), dostęp 15.02.2023

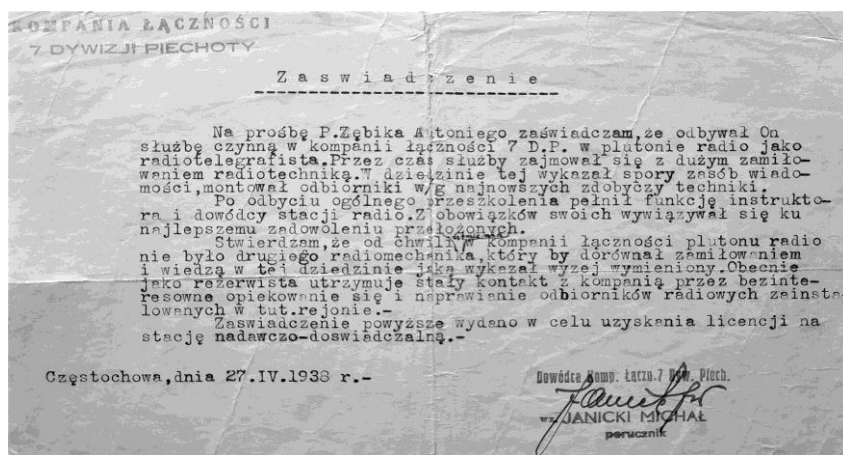
<sup>4</sup> Zaświadczenie-rekomendacja z 27 kwietnia 1938 r. wystawione przez por. Michała Janickiego dowódcę kompanii łączności 7 DP, znajdujące się w archiwum Lidii Seligi.



1937 r. oddziały wchodzące w skład 7 DP odbyły manewry terenowe w okolicach Pajęczna. Miały one za zadanie sprawdzenie wytrzymałości fizycznej i umiejętności żołnierzy w warunkach polowych. Wojsko przemieszczało się pieszo. Po osiągnięciu wyznaczonego miejsca poszczególne pododdziały wykonywały wcześniej wydane rozkazy. Manewry były ostatnim elementem szkolenia wojskowego. Po ich zakończeniu zwalniano żołnierzy do rezerwy.

### W rezerwie

W dwa miesiące po wyjściu z wojska poślubił Marię Anielę Janik z Częstochowy (ślub 22 listopada 1937 r.). Małżeństwo mieszkało w jednym z mieszkań rodzinnej kamienicy na ulicy Prostej. Rodzina utrzymywała się z dochodów uzyskanych z założonego wkrótce usługowego zakładu radiotechnicznego mieszczącego się w II Alei NMP pod numerem 32. Naprawiał m in. radia, wytwarzał „kryształki” do wkładek (główek) gramofonowych<sup>5</sup>. We współpracy z Franciszkiem Dyderskim produkowali tanie radia na słuchawki dla częstochowskich robotników<sup>6</sup>. W 1938 r. wstąpił do Polskiego Związku Krótkofalarskiego. Otrzymał licencję 10 czerwca 1938 r. nr 273 i znak wywoławczy SP1ZA. Pracował na własnej (wykonanej przez siebie) radiostacji zainstalowanej na ul. Narutowicza 164 w Częstochowie. Utrzymywał kontakty ze swoim byłym oddziałem łączności. Konserwował wojskowy sprzęt radiotechniczny i prowadził szkolenia. Na zamówienie dowództwa 7 DP zbudował dla wojska radiostację<sup>7</sup> (znak wywoławczy SP2KL).



Zaswiadczenie-rekomendacja z 27 kwietnia 1938 r. wystawione przez por. Michała Janickiego, z archiwum Lidii Seligi

<sup>5</sup> Relacja bratanka Zbigniewa Zębika z 14 lutego 2023 r.

<sup>6</sup> Relacja dr. Aleksandra Gąsiorzkiego z Częstochowy.

<sup>7</sup> Na podstawie niepublikowanego maszynopisu A. Zębika, *Radiostacja Błyskawica i jej dzieje*, znajdującego się w zbiorach córki Lidii Seligi.

### Okres wojenny

Przed wybuchem wojny został zmobilizowany. Objął dowództwo radiostacji dywizyjnej SP2KL (tę którą wcześniej zrobił). Po rozpoczęciu działań wojennych dostał rozkaz od szefa łączności kpt. Larysa, żeby zniszczyć zdeponowane amatorskie radiostacje znajdujące się w pomieszczeniach Poczty Polskiej w Częstochowie. Ze względu na schronienie się w budynku wielu cywilów, nie mógł użyć materiałów wybuchowych, ażeby zniszczyć radiostacje. Wraz z podległymi mu żołnierzami wymontował najważniejsze elementy z urządzeń i przewiózł je do swojego domu powierzając je matce. Zameldował dowódcy o przebiegu akcji, a ten zaakceptował to. Sytuacja na odcinku frontu wokół Częstochowy po pierwszych dwóch dniach, wymagała wycofania się Dywizji z przedpola i miasta w kierunku Janowa. Ponieważ radiostacja wojskowa SP2KL była stacjonarna, więc jej obsługa musiała ją zostawić i udać się z innymi pododdziałami w kierunku południowo-wschodnim<sup>8</sup>. W dniu 3 września 7 Częstochowska Dywizja Piechoty stoczyła swój ostatni bój. Z okrążenia w walce przebiło się w większych lub mniejszych oddziałach wielu żołnierzy, którzy brali udział w dalszych działaniach. Wśród nich był Zębik. Jego grupa została rozbita 14 lub 15 i wzięta do niewoli. Przetrzymano ich w parku nieznanego mu majątku. W nocy udało mu się zbiec i ukrywał się w miejscowości Nowa Wieś<sup>9</sup>. Powiadomił żonę o miejscu ukrycia i od niej dowiedział się o rewizjach przeprowadzonych przez Gestapo u wszystkich krótkofalowców w mieście. Skonfiskowano mu radiostację krótkofalową, wyposażenie warsztatu, dziennik stacji, korespondencję osobistą<sup>10</sup>. Do domu wrócił pod koniec roku. Wtedy też urodził się jego syn Andrzej. Wydobył ukryte części z wymontowanych radiostacji (przekazał je na przechowanie we wrześniu matce) i schował je na strychu nad swoim mieszkaniem. Zaczął kompletować podzespoły do nowej radiostacji w przeświadczeniu, że wojna się kiedyś skończy i będzie mógł znowu pracować na własnym sprzęcie. Dzięki pomocy kolegów krótkofalowców, zdobywał z narażeniem życia, poszczególne brakujące mu części<sup>11</sup>. Niektóre z nich przywoził z Warszawy w specjalnie skonstruowanej przez siebie skrytce umieszczonej w kuchence elektrycznej<sup>12</sup>.

W 1940 r. szkolny kolega Jan Guziuk poinformował go o powstałej lokalnej konspiracyjnej organizacji w Częstochowie – Związku Wojskowych Zawodowych, która po pewnym czasie podporządkowała się Związkowi Walki Zbrojnej<sup>13</sup>. Wstąpił do konspiracji, w której odpowiadał za techniczne sprawy związane z łącznością

---

<sup>8</sup> A. Janeczek, *Antoni Zębik SP7LA*, „Świat Radio”, 1999, nr 8, s. 20.

<sup>9</sup> Tamże,

<sup>10</sup> A. Zębik, *Radiostacja...*, s. 1.

<sup>11</sup> Tamże, s. 2.

<sup>12</sup> A. Janeczek, *Antoni Zębik ...*, s. 21.

<sup>13</sup> Tamże, s. 20.

w Okręgu Częstochowskim. Miał pseudonim „Biegly”. Wiosną 1940 r. przebywał w Krakowie, gdzie z grupą radiotechników zmontował radiostację. Z jej pomocą w miejscowości Biały Kościół nawiązano pierwszy raz łączność radiową z władzami polskimi we Francji<sup>14</sup>. W trakcie konspiracyjnych sesji nadawczych dochodziło w Polsce do wielu strat w ludziach i sprzęcie, ponieważ niemieckie służby goniometryczne namierzały punkty nadawcze i likwidowały je. A. Zębik opracował system dezinformujący niemieckie namierzanie, który skutecznie chronił sprzęt nadawczy i obsługujących go ludzi. Do nadawania używał 4 radiostacji oddalonych od siebie i usytuowanych w kształcie czworokąta. Nadawała tylko jedna z nich, a pozostałe były na nasłuchu. W momencie namierzenia nadającej stacji, Niemcy wysyłali w tym kierunku samolot wyposażony w sprzęt pozwalający na wykrycie nadajnika. Gdy obsługa radiostacji zauważyła samolot, zaprzestawała nadawania, a jej rolę przejmowała natychmiast załoga aparatu już w innym miejscu. Wymagało to od Niemców ponownego namierzenia. Tymczasem transmisja danych cały czas była kontynuowana przez kolejne nadajniki<sup>15</sup>.

#### **Budowa radiostacji w 1943 r.<sup>16</sup>**

W styczniu 1943 r. odbyła się okręgowa narada Częstochowskiego Inspektoratu AK z wysłannikiem z KG AK o ps. „Leon”<sup>17</sup>, dotycząca m.in. zabezpieczenia łączności w strukturach państwa podziemnego. W naradzie tej uczestniczył także jako zastępca szefa łączności 7 DP AK Antoni Zębik, który zaproponował kilka uwag dotyczących systemu zabezpieczenia pracy konspiracyjnych radiostacji. Po spotkaniu „Leon” poprosił Zębika o dodatkową rozmowę. Ze względu na zbliżającą się godzinę policyjną, Zębik zaproponował „Leonowi” przenocowanie go w swoim domu. W trakcie rozmowy na temat sytuacji w okupowanym kraju, obaj zgodzili się, że w przyszłości nastąpi zorganizowane powstanie podziemia konspiracyjnego przeciwko Niemcom. W czasie dyskusji Antoni Zębik stwierdził, że w celu lepszego przygotowania ogólnokrajowego zbrojnego wystąpienia i potem koordynowania jego przebiegu potrzebna by była radiostacja foniczna o mocy sygnału pozwalająca objąć cały kraj. Oświadczył „Leonowi”, że ma możliwości zbudowania takiej radiostacji, po-

---

<sup>14</sup> <https://www.youtube.com/watch?v=KfCktLrWBkE>, dostęp 15.02.2023.

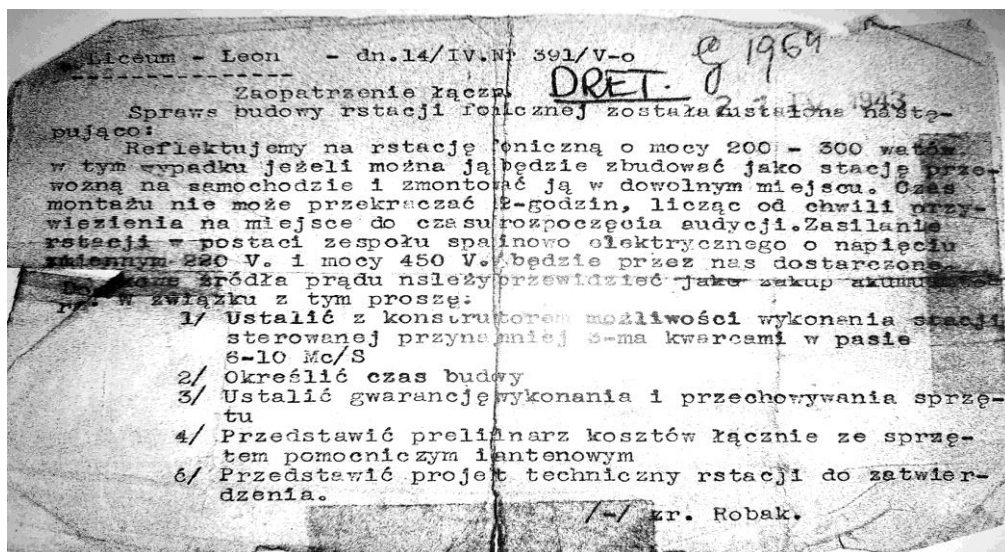
<sup>15</sup> Tamże,

<sup>16</sup> A. Zębik, *Radiostacja Błyskawica i jej dzieje*, s. 1.

<sup>17</sup> Według A. Zębika był to adwokat o nazwisku Korzeniowski- wywiad audio z A. Zębikiem przeprowadzony w 2004 r., <https://www.youtube.com/watch?v=p90H4O6cP4E&t=1680s>, dostęp 14.01.2023. Natomiast Adam Nogaj SP5EPP podaje, że to był kpt. inż. Leon Wierchowicz – A. Nogaj, *Krótkofalarstwo to całe moje życie, wspomnienia o Antonim Zębiku*, „Świat Radio”, 2009, nr 9, s. 58.

nieważ zgromadził i ukrył wiele części potrzebnych do jej budowy. Przez cały czas wojny gromadził, z narażeniem życia, części mogące służyć do budowy radiostacji. W akcji tej wspierali go znajomi krótkofalowcy (m.in. Czesław Brodziak, Władysław Jakubowski, Waław Musiałowicz, Waław Ponikowski, Antoni Znamierowski).

Wiadomość przekazana do Warszawy wzbudziła zainteresowanie KG AK. Przygotowywano wymogi jakie miała spełniać radiostacja. W międzyczasie „Leon” został aresztowany przez Niemców. Na szczęście udało mu się uciec, ale do Warszawy nie mógł już wrócić. KG AK nie mogła dostarczyć wytycznych do budowy radiostacji do Częstochowy, bo nie wiadano od kogo wyszła ta inicjatywa. Do Częstochowy został wysłany przedwojenny krótkofalowiec Czesław Brodziak ps. „Adler”. Przypuszczał, że osobą przez niego poszukiwaną będzie ktoś z krótkofalowców częstochowskich. W Częstochowie miał brata i z jego pomocą dotarł z pismem z dowództwa do właściwego adresata.



Wytyczne do budowy radiostacji fonicznej z 14 kwietnia 1943 r. przesłane przez płk. Tadeusza Pełczyńskiego „Robaka”, szefa sztabu KG AK. Oryginał przekazany został przez Lidę Seligę do Muzeum Powstania Warszawskiego

Radiostacja była wykonywana na strychu domu Bolesława Drózdza<sup>18</sup> znajdującego się na peryferiach Rakowa. Na strychu jako skrytkę, wybudowano dodatkowy komin, który nie wychodził na zewnątrz dachu. Prace wykonywał wyłącznie w nocy od maja do lipca. Nie obyło się bez utrudnień. Na skutek uszkodzenia jednej z lamp, której nie udało się naprawić (próbowano tego dokonać w Warszawie w Zakładach Philipsa), otrzymał inną o mniejszej mocy i w związku z tym musiał przekonstruować aparat.



Antoni Zębik „Biegły”, przy budowanej radiostacji w sierpniu 1943 r., fot. z archiwum Lidii Seligi

Do przeprowadzenia testów radiostacji potrzebna była antena, którą B. Drózdź wykonał w swoim warsztacie naprawczym łącząc kilka tyczek bambusowych do wędek, w które wsunął drut antenowy. W trakcie nadawanych 15-minutowych audycji antenę wysuwano z komina. Próbne audycje nadawane były w godz. 16.00-16.15. Emitowano muzykę z niemieckich płyt, ale zawsze w odpowiedniej kolejności. Testy miały za zadanie ustalenie najlepszych parametrów nadawania, na których radiostacja była najlepiej słyszana w kraju jak i za granicą. Umówione wcześniej drogą konspiracyjną osoby, w różnych częściach kraju i za granicą, po nasłuchu wysyłały raporty dotyczące jakości odbioru.

Ponieważ Niemcy wiedzieli, że Antoni Zębik jest radiotechnikiem, krótkofalowcem mieli go w swych rejestrach. W pierwszych latach okupacji dali mu wybór: albo pojedzie na roboty do Niemiec albo będzie naprawiał u nich sprzęt radiowy. Władze konspiracyjne zgodziły się, żeby pracował w niemieckich zakładach naprawczych. Liczyły, że może mieć dostęp do sprzętu i podzespołów, których nie można było pozyskać w inny sposób. Po pewnym czasie zwolnił się z tej pracy i założył własny zakład elektroinstalacyjny, który istniał tylko po to, żeby miał papier świadczący o zatrudnieniu<sup>19</sup>. W roku 1943 zajęty był sprawami budowy radiostacji dla KG AK. Podjęte próbne nadawania we wrześniu sprowadziły na Antoniego podejrzenia i inwigilację ze strony okupanta. Niemcy przeprowadzali niespodziewane rewizje

<sup>18</sup> Sportowiec, kolarz, nie należał do konspiracji i nie był początkowo wtajemniczony w sprawie budowy radiostacji. W czasie wojny prowadził zakład naprawy rowerów.

<sup>19</sup> A. Janeczek, *Antoni Zębik ...*, s. 21

w jego domu. Po ostrzeżeniu w końcu września przez Karla Königera<sup>20</sup> o namierzeniu przez Niemców w Częstochowie nieznanej stacji nadawczej, konstruktor został zmuszony do przedwczesnego zakończenia nadawania. Nim to nastąpiło, był wzywany i przesłuchiwany przez policję bezpieczeństwa jako podejrzany o nielegalne nadawanie. Wezwany został w czasie codziennego nadawania, a ponieważ wtedy radiostacja też nadawała (B. Drózd uruchomił aparat), Niemcy wykluczyli go z kręgu podejrzeń. Pomimo grozy sytuacji miał wtedy satysfakcję ze słuchania swego nadajnika w pomieszczeniach nasłuchowych niemieckiej stacji goniometrycznej. Radiostacja wkrótce została przetransportowana oraz ukryta w specjalnym schowku wybudowanym w szopie na posesji rodzinnej Zębików przy ul. Prostej. 31 grudnia 1943 r. została przekazana władzom Polski Podziemnej do Warszawy. Po wybuchu powstania warszawskiego i utraty podstawowej radiostacji, radiostacja skonstruowana w Częstochowie zaczęła nadawać od 8 sierpnia codziennie do końca powstania i nosiła nazwę „Błyskawica”.

W sierpniu i wrześniu 1944 r. słuchał nielegalnie komunikatów z walczącej Warszawy. Po parametrach nadawania rozpoznał swoją radiostację<sup>21</sup>. Miał dużą satysfakcję z wykonanego przez siebie sprzętu. Radiostacja foniczna o tak dużej mocy (ok. 250W) była ewenementem w skali okupowanej Europy. Przez dwa miesiące nadawała cykliczne codzienne audycje dla kraju i zagranicy. Z radiostacji korzystały dwie ekipy: Biuro Informacji Propagandy KG AK i Polskiego Radia. W komunikatach podawano aktualną sytuację militarną i cywilną w mieście, proszono o dostarczenie broni i amunicji.

W Częstochowskim Inspektoracie AK pełnił wówczas funkcję koordynatora łączności. Podpisywał rozkazy pseudonimem „Biegły”. Jeden z jego łączników wpadł i Niemcy przechwycili rozkaz z podpisem „Biegły”. Zaczęli intensywnie szukać osoby noszącej ten pseudonim. Aresztowanych zostało wtedy wiele osób a na początku listopada 1944 też Antoni Zębik. Wytrzymał kilkutygodniowe ciężkie śledztwo. Niemcom nie udało się dowiedzieć, kim jest „Biegły”<sup>22</sup>. W połowie grudnia został wysłany do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, następnie przebywał w Mittelbau Dora (koło Nordhausen) a na końcu w obozie Bergen-Belsen. Tam 15 kwietnia 1945 r. został wyzwolony przez wojska angielskie. Skrajnie wycieńczony,

---

<sup>20</sup> Antyfaszysta, Austriak w wojsku niemieckim, elektronik, kierownik Ortskommendantur w Częstochowie, umożliwił A. Zębikowi zdobycie brakujących mu części ze swojego służbowego magazynu.

<sup>21</sup> Radiostacja wykonana przez A. Zębika miała być radiostacją rezerwową dla KG AK. W wyniku utraty na początku powstania podstawowej radiostacji, wykonanej przez specjalistów warszawskich, uruchomiono nadajnik A. Zębika. Radiostację tę nazwano „Błyskawica”.

<sup>22</sup> J. Poprzeczko, *Chciałem zawiadomić świat*, „Polityka”, 1980, nr 30, s. 15.

przetransportowany został do szpitala wojskowego na terenie Niemiec, gdzie spędził 3 miesiące dochodząc do sił<sup>23</sup>.

### Powojenna rzeczywistość

Do Polski wrócił 24 sierpnia 1945 r. rejestrując się w Punkcie Przyjęcia Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Dziedzicach<sup>24</sup>. W domu czekała na niego żona, syn Andrzej i córka Lidia. Wkrótce wznowił działalność zawodową. Otworzył zakład rzemieślniczy w Częstochowie w Alejach NMP 28. Naprawiał radia i inne sprzęty elektryczne. W 1950 r. w wyniku upaństwowienia małych, usługowych, prywatnych zakładów, działał w ramach utworzonej przez grupę elektryków i radiomechaników, spółdzielni Pracy Elektro-Radio-Mechanika<sup>25</sup>. Zajmował się produkcją mikrofonów, naprawą urządzeń elektrycznych, wykonywał trudne prace radiowe. W radiach produkcji krajowej po cichu przewijał cewki, aby była możliwość odbioru Głosu Ameryki i innych zachodnich rozgłośni. Wrócił do krótkofalarstwa, był delegatem na zjazd założycielski PZK w 1946 r. Uczestniczył w reaktywowaniu po wojnie Częstochowskiego Towarzystwa Cyklistów i Motocyklistów (potem Zrzeszenie Sportowe „Włókniarz”). Był czynnym zawodnikiem, startował na swym motocyklu w rajdach terenowych, a także działaczem klubu, wchodził w skład zarządu klubu.



Antoni Zębik na pierwszym planie ze swoim motocyklem z numerem startowym „35” (ok. 1949), fot. z archiwum Lidii Seligi

---

<sup>23</sup> A. Janeczek, *Antoni Zębik ...*, s. 23.

<sup>24</sup> Na podstawie zachowanego zaświadczenia nr 244200 wydanego w Dziedzicach, z archiwum Lidii Seligi.

<sup>25</sup> A. Gąsior, *Oddział Częstochowski Stowarzyszenia Elektryków Polskich 2001-2006, organizacje techniczne i elektrotechniczne w kraju oraz rozwój elektrotechniki na Ziemi Częstochowskiej w XIX i XX wieku*, Częstochowa, 2006, s. 244 i 245.

Był współzałożycielem w 1951 r. oddziału Stowarzyszenia Elektryków Polskich w Częstochowie, członkiem zarządu Oddziału I kadencji. W II kadencji wchodził w skład Komisji Rewizyjnej<sup>26</sup>. W 1951 r. aresztowany przez UB za to, że twierdził, iż zbrodni katyńskiej jego zdaniem dokonali Sowieci. W czasie rewizji w domu znaleziono wydane za granicą wydawnictwo dotyczące zbrodni w Katyniu. Został skazany na 14 miesięcy. Wiosną 1953 r. zwolniony na podstawie amnestii<sup>27</sup>. Po wyjściu z więzienia nie dostał w Częstochowie pozwolenia na prowadzenie działalności zawodowej i założył zakład elektrotechniczny w Kamienicy Polskiej, oddalony ok. 15 km od domu. Oprócz działalności typowo zarobkowej związanej z radiotechniką lubił konstruować różne praktyczne rzeczy, np. zrobił dla żony pralkę automatyczną<sup>28</sup> co w owych czasach w PRL-u było nowością.

### Łódź-nowy etap

W 1957 r. rodzina Zębików przeprowadziła się do Łodzi. Jeden z kolegów krótkofalowców, łodzianin, zaproponował mu przewodniczkę i pomoc w adaptacji. Wkrótce stał się członkiem Cechu Rzemiosł w Łodzi i otworzył zakład usługowy radiotechniczny przy ulicy Więckowskiego, a potem przy ul. Nowotki 35. Naprawiał radia i telewizory. W związku ze zmianą zamieszkania otrzymał nowy znak rozpoznawczy SP7LA i zaczął aktywnie działać w środowisku łódzkich krótkofalowców. Był przewodniczącym Komisji Egzaminacyjnej PZK. W latach 1961-1964 był prezesem Zarządu Oddziału oraz członkiem Zarządu Głównego PZK<sup>29</sup>. Jako pierwszy krótkofalowiec w Polsce dostał zgodę na nadajnik o mocy 750 W. W 1959 r. zbudował lampowy nadajnik o mocy 1 kW, który wystawił na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Sprzęt cieszył się dużym zainteresowaniem. Aparat ten zakupiło MSW<sup>30</sup>. Wykonywane przez niego lampowe nadajniki i aparaty wzmacniające były jego autorskimi, oryginalnymi konstrukcjami. Tworzył także własne urządzenia pomiarowe, które pomagały mu dostroić poszczególne podzespoły, a tym samym polepszyć jakość nadawanego (odbieranego) sygnału. Konstruował aparaturę wzmacniającą dużej mocy dla polskich zespołów muzycznych. Wykonywał od podstaw nagłośnienia w kościołach. W 1965 r. zdobył I nagrodę za wykonanie odbiornika komunikacyjnego (model SP7LA-64) w konkursie ogłoszonym przez Izbę Rzemieślniczą w Łodzi. Uczestniczył w zawodach krótkofalarskich. W światowych zawodach

---

<sup>26</sup> „Gazeta Wyborcza”, częstochowski dodatek lokalny, z 2 sierpnia 2004 r.

<sup>27</sup> A. Nogaj, *Krótkofalarstwo ...*, s. 59.

<sup>28</sup> Relacja córki Lidii Seligi.

<sup>29</sup> Ryszard SP3CUG, <http://spotc.pzk.org.pl/sylwetki-sp/123-antoni-zebik-sp7la>, dostęp 23 X 2022.

<sup>30</sup> A. Janeczek, *Antoni Zębik ...*, s. 23.



z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego zajął pierwsze miejsce wśród stacji SP w kat. M/A1. Zwyciężył także w VI Zawodach Przyjaźni<sup>31</sup>.

Dzięki krótkofalarstwu poznał wielu ludzi na świecie, z którymi wymieniał się informacjami z zakresu nowinek w radiotechnice. Od zaprzyjaźnionych osób z zagranicy otrzymywał wiele materiałów opisujących najnowsze osiągnięcia w tej dziedzinie, a także mógł sprowadzać części i podzespoły niedostępne w kraju.



Antoni Zębik przy swej radiostacji w Łodzi (lata 60. XX w.), fot. z archiwum Lidii Seligi

Przybliżył i udoskonalił w Polsce antenę „Delta”, udzielał konsultacji, dzielił się swoją wiedzą z innymi. Przy Izbie Rzemieślniczej w Łodzi prowadził kursy zawodowe z dziedziny elektrotechniki i elektroniki. Wykonał kompletne wyposażenie techniczne dla studia nagrań księdza Lecha Gralaka i prowadzonego przez niego zespołu „Oratorium” w Augustowie koło Radomia<sup>32</sup>. Czas pobytu w Łodzi zakłóciło odebranie mu licencji krótkofalarskiej na około 10 lat w związku z wyjściem na jaw jego roli związanej z budową radiostacji powstańczej „Błyskawica”. Dopiero po reportażu Wiesława Machejko<sup>33</sup> w TVP 1 i otrzymanymi głosami poparcia od widzów,

<sup>31</sup> Ryszard SP3CUG, <http://spotc.pzk.org.pl/sylwetki-sp/123-antoni-zebik-sp7la>, dostęp 23 X 2022.

<sup>32</sup> Relacja córki Lidii Seligi

<sup>33</sup> W. Machejko, *Śladami Błyskawicy*, „Odgłosy”, 1978, nr 34, s.3. Reportaż był emitowany 26 sierpnia 1978 r.

ówczesne władze postanowiły zwrócić mu licencję<sup>34</sup>. Drugi raz zabrano mu sprzęt w czasie stanu wojennego. W Łodzi uczyły się i dorastały jego dzieci: Andrzej i Lidia. Oboje studiowali na Uniwersytecie Łódzkim. Andrzej ukończył prawo, a następnie uzyskał stopień doktora i został pracownikiem naukowym UŁ. Specjalizował się w prawie karnym. Zmarł w 1994 r. Lidia została polonistką. Wyszła za mąż za lekarza Franciszka Seligę i zamieszkali w Radomsku, gdzie mąż otrzymał pracę w tutejszej służbie zdrowia. W wieku 84 lat Antoni Zębik zamknął swój zakład i przeszedł na emeryturę, na której mógł się poświęcić swej pasji-krótkofalarstwu. W połowie 2001 r. Zębikowie przeprowadzili się do córki Lidii i jej męża do ich domu w Radomsku. Pod koniec roku zmarła mu żona Maria.

### Ostatnie wyzwanie

Swój kolejny etap życiowy zaczął od urządzenia swej pracowni na poddaszu domu w Radomsku, gdzie umieścił swój sprzęt nadawczy. W ogrodzie zostały rozmieszczone w kształcie trójkąta 3 maszty o wysokości ok. 7 m wykonane ze stalowych rur. Na tych masztach rozpięta została antena. Do anten przywiązywał konstruktor zawsze dużą wagę. Uważał, że o zasięgu decyduje nie tylko moc radiostacji, ale równie ważna jest też odpowiednia antena. Na przełomie 2003/2004 r. Wiesław Paszta SQ5ABG zwrócił się do Antoniego Zębika z zapytaniem, czy nie podjąłby się budowy repliki powstańczej radiostacji „Błyskawica”, jako eksponatu dla tworzonego Muzeum Powstania Warszawskiego. Propozycję przyjął z entuzjazmem pod warunkiem, że radiostacja będzie odtworzona z jak największą ilością starych oryginalnych części<sup>35</sup> i będzie aparatem działającym. Poprosił do współpracy Tadeusza Teperkiego SP9QMT z Imielina i Jana Szczepanka SP9GDI z Mysłowic. Posiadali oni zakłady z odpowiednimi urządzeniami, gdzie można było wykonać niektóre elementy potrzebne do radiostacji<sup>36</sup>. Dużą ilość części posiadał sam konstruktor. Pozostałe pozyskiwało środowisko krótkofalowców kupując je z własnych funduszy w kraju i za granicą<sup>37</sup>. Poszukiwano podzespoły z lat 40. XX w. Honorowy patronat nad tą inicjatywą objął Prezydent Miasta Warszawy Lech Kaczyński.

---

<sup>34</sup> A. Janeczek, *Antoni Zębik ...*, s. 23.

<sup>35</sup> Według szacunków Z. Seligi, replika składa się z ok. 60% oryginalnych podzespołów. Niektóre części nie były do zdobycia z uwagi na technologię ich wykonywania, której od wielu lat nie stosowano. Do ich zastąpienia użyto nowszych części. Relacja Z. Seligi z 2 III 2023.

<sup>36</sup> Z. Seliga, *Repliki powstańczych radiostacji „Błyskawica” i „Burza”*, „Powstaniec Warszawski” Biuletyn Związku Powstańców Warszawskich, 2006, nr 51 (rok XV), s. 85-89.

<sup>37</sup> J. Kucharski, *Stworzył Błyskawicę*, „Gazeta Radomszczańska”, 2004, nr 32, s. 1, 5.

Po odtworzeniu i rozrysowaniu schematu stworzonej w 1943 r. radiostacji przystąpił do realizacji pomysłu, tworząc z własnych zasobów niektóre podzespoły u siebie w Radomsku. Główne prace kontynuował wraz z T. Teperskim i J. Szczepankiem w ich pracowniach na Śląsku. W maju 2004 r. stacja była już gotowa. Na Śląsk przyjechała grupa krótkofalowców pomysłodawców budowy, by odebrać sprzęt. Zygmunt Seliga SP5AYY przewiózł radiostację do Warszawy nanosząc jeszcze korekty według zaleceń Antoniego. Uroczyste przekazanie radiostacji odbyło się 15 lipca w Pałacu Prezydenta Warszawy. Wykonawcy A. Zębik, J. Szczepanek, T. Teperski oraz pomysłodawcy, krótkofalowcy W. Paszta i Z. Seliga wręczyli Prezydentowi L. Kaczyńskiemu replikę „Błyskawicy”<sup>38</sup>. Swoją oficjalną audycję radiostacja nadała z pomieszczeń MPW 8 sierpnia w 60-tą rocznicę nadania pierwszego komunikatu z walczącej stolicy. Obecnie jest tam ekspozowana na stałe.



15 lipca 2004 r. u prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego. Antoni Zębik wraz z Zygmuntem Seligą i Wiesławem Pasztą, fot. z archiwum Stanisława Rodowskiego

---

<sup>38</sup> Zygmunt Seliga (SP5AYY), *Repliki radiostacji powstańczych "Błyskawica" i "Burza"*, <http://www.sppw1944.org/index.html?http://www.sppw1944.org/pamiec/repliki.html>, dostęp 17 II 2023.

## Zakończenie

Antoni Zębik podczas swojego długiego życia musiał stawiać czoła wielu przeciwnościom jakie niespokojne czasy mu przynosiły. Zawsze wychodził z nich cało. Dawał sobie radę w trudnych momentach, a w okresach spokojniejszych potrafił czerpać ze swej pasji konstruktorsko-krótkofalarskiej satysfakcję. Udzielał się także społecznie, biorąc aktywny udział w stowarzyszeniach, do których należał. Był przez wiele lat nauczycielem zawodu. Jego potencjał intelektualny nie był należycie wykorzystany. Lata wojny i czasy panowania ustroju socjalistycznego nie sprzyjały pełnemu rozwojowi jego talentu.

Zmarł w Radomsku 1 lipca 2009 r., pochowany jest na cmentarzu przy ul. Palmowej na Rakowie w Częstochowie w grobie rodzinnym. Żegnała go rodzina oraz władze miasta, harcerze, kombatanci i przedstawiciele krótkofalowców. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski - nadanym Uchwałą Rady Państwa 1 października 1980 r., Medalem „Pro Memoria” - przyznany przez Kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych 7 lipca 2005 r., Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski - nadanym przez Prezydenta Polski Lecha Kaczyńskiego (7 grudnia 2006 r.), Odznaką Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej (29 listopada 1978 r.), Medalem za udział w wojnie obronnej 1939 oraz Krzyżem Partyzanckim. Za wyjątkową działalność na rzecz krótkofalarstwa wyróżniony został Odznaką Honorową PZK nr 117, Złotą Odznaką Honorową PZK nr 08/Z (11 października 1997 r.). Uznany Krótkofalowcem 70-lecia PZK. Honorowy członek Światowego Związku Polskich Żołnierzy Łączności. Awansowany 15 września 2005 r. do stopnia porucznika rezerwy<sup>39</sup>.

---

<sup>39</sup> Spis odznaczeń i wyróżnień-na podstawie dokumentów zgromadzonych przez córkę Lidie Seligę.

**Krzysztof Kurkowski**  
(Częstochowa)

### **Z wojennych losów rodziny Pomorskich w Chełmie**

Jednym z wielu przykładów życia Polaków podczas okupacji niemieckiej jest historia rodziny Pomorskich, związana podczas wojny z miejscowością Chełm w powiecie radomszczańskim. Rodzina Pomorskich była rodziną wielodzietną mieszkającą przed wojną w Częstochowie. Mieszkali tam w małym domu na ul. Św. Jadwigi tuż przy cmentarzu Św. Rocha. Głowa rodziny, Jan Pomorski (ur.1877 r.) zarabiał na życie pracując jako cieśla. Był żonaty z Józefą z domu Patyk (ur.1881 r.), mieli siedmioro dzieci<sup>1</sup>.

Drugim dzieckiem małżeństwa Pomorskich był Stefan Pomorski, urodzony dnia 12 sierpnia 1906 r. w Częstochowie. W młodości wybrał drogę posługi kapłańskiej. Ukończył Państwowe Gimnazjum Męskie w Tarnowskich Górach w 1927 r. Następnie jako alumn Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Częstochowskiej rozpoczął studia na Wydziale Teologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończył z dyplomem magistra teologii. Święcenia kapłańskie przyjął na Jasnej Górze z rąk biskupa Teodora Kubiny dnia 29 czerwca 1932 r. Początkowo został mianowany wikariuszem pomocniczym w parafii w Żarkach. We wrześniu 1936 r. jako prefekt rozpoczął nauczanie religii w Kupieckim Gimnazjum Męskim w Sosnowcu. Rok później w tym samym mieście nauczał religii w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim im. H. Rzadkiewiczowej. W sierpniu 1939 r. zastępował księdza Lucjana Nowaka w obowiązkach proboszcza w parafii Psary, a 16 września 1939 r. został mianowany administratorem parafii Koziegłowy. Pełnił obowiązki wikariusza. Na własną prośbę przeniesiono go do parafii w Janowie a kilka dni później do Ostrów. Ostatecznie otrzymał 14 marca 1940 r. nominację do Chełma w powiecie radomszczańskim<sup>2</sup>, gdzie 25 stycznia zmarł proboszcz ks. Leon Zaremba<sup>3</sup>. Ksiądz Pomorski prze-

---

<sup>1</sup> Informacje zaczerpnięte z archiwum rodzinnego rodziny Kurkowskich.

<sup>2</sup> Archiwum Archidiecezji Częstochowskiej im. ks. Walentego Patykiewicza w Częstochowie, sygn. AP 170, Akta personalne ks. Stefana Pomorskiego.

jął obowiązki administratora parafii Chełmo z rąk księdza wikarego Antoniego Kańtocha<sup>4</sup>, który opiekował się parafią po śmierci dotychczasowego proboszcza.

Do Chełma ks. Pomorski zabrał ze sobą z Częstochowy część swojej rodziny. Najprawdopodobniej zdecydowano się wspólnie zamieszkać ze względu na łatwiejszy dostęp do żywności, o którą w Częstochowie byłoby trudniej. Do Chełma wyjechali rodzice Stefana, siostra Władysława (ur. 1909 r.) oraz dwóch młodszych braci Czesław (ur. 1922 r.) i Leon (ur. 1926 r.). Władysława niedługo wyszła za mąż za mieszkańca Chełma, Zenona Kowalewskiego<sup>5</sup>.

W czasie okupacji Chełmo znajdowało się w dystrykcie radomskim, powiecie radomszczańskim, gminie Masłowice. Na terenie Radomszczańskiego już w 1939 r. zaczęto organizować struktury konspiracji. Miejscowość ta podlegała pod Obwód Związku Walki Zbrojnej Radomsko, podobwód Rzejowice<sup>6</sup>. Bracia Pomorscy dosyć szybko zaangażowali się w tamtejszą działalność konspiracyjną. Pewne jest, iż ks. Stefan Pomorski był członkiem ZWZ, najprawdopodobniej został nim w pierwszych miesiącach pobytu w Chełmie. Niestety nie wiadomo jaki posiadał pseudonim<sup>7</sup>.

Ze wspomnień Czesława Pomorskiego wynika, że w czasie gdy Niemcy dokonywali rekwizycji dzwonów w 1941 r. (zabrano dwa o łącznej wadze 220 kilogramów<sup>8</sup>), ksiądz Pomorski doprowadził do ukrycia dzwonów przy pomocy sprytnego fortelu. Utrzymując swoje zamiary w tajemnicy Stefan Pomorski miał zaaranżować napad na plebanię. Nieznani sprawcy mieli wówczas związać kościelnego dozorcę, który zaczął krzyczeć. Wikariusz ks. Hereda<sup>9</sup> wyszedł z plebanii usłyszawszy hałas. Został upomniany i wycofał się. Dzwony zostały ukryte, wydobyto je po wojnie<sup>10</sup>.

---

<sup>3</sup> Leon Zaremba (1862-1940) proboszcz parafii Chełmo w latach 1920-1940 - T. A. Nowak, *Chełmo. Zarys dziejów do 1945 roku*, Radomsko 2005, s. 222-223.

<sup>4</sup> Antoni Kańtoch (1909-1975) – Świecenia kapłańskie przyjął w 1936 r. Wikariusz w Chełmie od 1938 roku - T. A. Nowak, *Chełmo ...*, s. 233-234.

<sup>5</sup> Informacje zaczerpnięte z archiwum rodzinnego rodziny Kurkowskich.

<sup>6</sup> T.A. Nowak, *Chełmo ...*, s. 171-174.

<sup>7</sup> J. Pietrzykowski, *Walka i męczeństwo. Z wojennych dziejów diecezji częstochowskiej*, Warszawa 1981 na str. 100.

<sup>8</sup> J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej (1939-1945)*, „Częstochowskie Studia Teologiczne”, t.2, Częstochowa 1974, s. 331-332.

<sup>9</sup> Emanuel Hereda (1906-1953) – Świecenia kapłańskie przyjął w 1937 r. Wikariusz w parafii Chełmo. Oficer rezerwy WP. Członek Armii Krajowej, ps. „Samson”. Został proboszczem w parafii w Dworszowicach Kościelnych - A. Wielowieyski, *Losowi na przekór*, Warszawa 2015, s. 32 –

<https://archiczesz.pl/kaplani,17/> [data dostępu: 15.03.2023.];

<https://www.ecmentarze.pl/parafia/slemien/grave/detail/1383061> [data dostępu: 15.03.2023.]

<sup>10</sup> J. Pietrzykowski, *Walka i męczeństwo. Z wojennych dziejów diecezji częstochowskiej*, Warszawa 1981, s. 100-101.

Wspomniany wcześniej brat proboszcza Czesław Pomorski już w połowie 1940 r. wstąpił do ówczesnego Związku Walki Zbrojnej. Został żołnierzem 63 plutonu w podobwodzie Rzejowice. Przysięgę składał przed dowódcą drużyny Edwardem Wilkiem ps. „Jastrząb”<sup>11</sup>, w obecności swojego brata ks. Stefana, Franciszka Olszewskiego, ówczesnego administratora majątku Wielowiejskich oraz felczera Kazimierza Warwasa z Rzejowic. Podczas przysięgi obrał sobie pseudonim „Allegro”. W tamtym czasie partyzanci z placówki w rejonie Rzejowic zajmowali się zdobywaniem i gromadzeniem broni, jak również odbywali wykłady z taktyki walki partyzanckiej oraz wykonywali różne akcje sabotażowe. Po rozbiciu więzienia w Radomsku w sierpniu 1943 r. przez oddział partyzancki pod dowództwem Stanisława Sojczyńskiego ps. „Zbigniew”<sup>12</sup>, utworzono grupę do zadań specjalnych podobwođu Rzejowice. Składała się ona z pięciu osób. Edward Wilk ps. „Jastrząb” był dowódcą grupy, pozostałymi żołnierzami byli: Wincenty Kluszczyński, Stanisław Kluszczyński, Czesław Pomorski ps. „Allegro” oraz Stanisław, nieznanego nazwiska. Cała pięcioosobowa grupa ponownie składała przysięgę w kościele parafialnym w Chełmie. Przysięgę odbierał ks. Stefan Pomorski w obecności wspomnianych już ludzi, tj. felczera Warwasa, Franciszka Olszewskiego, ks. wikarego Emanuela Heredy oraz Jana Sitarskiego, kierownika gorzelnii w Chełmie i innych osób z miejscowego dowództwa AK. Czesław Pomorski pod dowództwem „Jastrzębia” brał udział w akcjach dywersyjno-sabotażowych. Wymienić tutaj można następujące działania: zdobywanie i transport broni, likwidacja konfidentów, rozbijanie tzw. własowców i policji granatowej, niszczenie dokumentacji w gminach Masłowice, Kobile, Przerąb, Kodrąb, Wielgomłyny. Czesław Pomorski uczestniczył również pod koniec kwietnia 1944 r. w nieudanej akcji we wsi Antoniów<sup>13</sup> pod rozkazami Bronisława Skury-Skoczyńskiego ps. „Robotnik” przeciwko kolonistom niemieckim<sup>14</sup>.

---

<sup>11</sup> Edward Wilk (1912-2003) – żołnierz 1. Pułku Strzelców Konnych. Weteran kampanii wrześniowej 1939 r. Po ucieczce z radzieckiej niewoli powrócił do rodzinnego Chełma i wstąpił do ruchu oporu. Obrał sobie pseudonim „Jastrząb”; T. A. Nowak, *Chełmo ...*, s. 170; tenże, *Wilk Edward*, [w:] *Radomszczański Słownik Biograficzny*, t. I, pod red. Grzegorza Mieczyskiego, Radomsko 2017, s. 205 (dalej RSB).

<sup>12</sup> Stanisław Sojczyński (1910-1947) - Weteran kampanii wrześniowej 1939 r., zastępca komendanta Obwođu Radomsko Armii Krajowej i szef tamtejszego Kedywu, o pseudonimach „Zbigniew”, „Warszyc”. Twórca niepodległościowej organizacji Konspiracyjne Wojsko Polskie, rozstrzelany wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi w 1947 r.; *Sojczyński Stanisław* [w:] *Słownik biograficzny ziemi częstochowskiej*, t.1, pod redakcją A. J. Zakrzewskiego, Częstochowa 1998, s. 134-136; K. Jasiak, *Sojczyński Stanisław*, [w:] RSB, t. I, s. 173-180.

<sup>13</sup> Archiwum Państwowe w Częstochowie (dalej APCz), sygn. 1003/757, Akta personalne Czesława Pomorskiego.

<sup>14</sup> A. Surmacka, *Skura (Skóra) Skoczyński Bronisław*, [w:] RSB, , s. 169-171.

Tymczasem na plebanii u księdza Stefana Pomorskiego zorganizowano kurs podziemnej szkoły podchorążych. Odbywały się tam wykłady i egzaminy<sup>15</sup>. W 1943 r. do konspiracji wstąpił przyjmując pseudonim „Wir” Andrzej Wielowieyski<sup>16</sup>. Wspominał on, że ks. wikary Emanuel Hereda ps. „Samson” utworzył na terenie parafii pluton Narodowej Organizacji Wojskowej, która połączyła się już wtedy z Armią Krajową. W skład plutonu (100a) w liczbie około 50 osób wchodziłi mężczyźni z Chełma, Kraszewic i Zagórza. Dowódcą został pchor. Aleksy Rdesiński<sup>17</sup> ps. „Szary”. Rdesiński wkrótce został zdekonspirowany, przeszedł do innego oddziału partyzanckiego, a kolejnym dowódcą plutonu 100a NOW został Edmund Wrześniak ps. „Wierusz”. Członkowie tego plutonu przeprowadzili kurs podchorążówki, którego komendantem został wspomniany już wikariusz ks. Hereda. Szkolenie podczas kursu składało się z wykładów oficerów NOW z Radomska, zapoznawaniem się z regulaminami służby wewnętrznej, podręcznikami traktującymi o taktyce wojskowej a także ćwiczeniami w terenie. Pośród dziesięciu elewów, na ten sam kurs podchorążówki razem z Andrzejem Wielowieyskim uczęszczał Leon Pomorski ps. „Babinicz” - najmłodszy z rodzeństwa Pomorskich, który także był członkiem wspomnianego plutonu 100a.

Na początku 1944 r. uczestnicy kursu zdawali na plebani u ks. Stefana Pomorskiego egzamin na podchorążego. Komisji egzaminacyjnej przewodniczył dowódca Obwodu Radomsko major Franciszek Polkowski<sup>18</sup> ps. „Korsak”, zaś towarzyszy-

<sup>15</sup> T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 176.

<sup>16</sup> Andrzej Wielowieyski (ur. w 1927 r.) – syn właścicieli majątku Chełmo. Żołnierz Armii Krajowej. Prawnik, działacz polityczny i ekonomista. Absolwent Wydziału Prawa UJ. Od 1980 r. w zespole doradców Międzyzakładowego Kom. Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, następnie członek NSZZ „Solidarność” W 1981 r. kierownik Ośrodka Prac Społ.-Zaw. przy Komisji Krajowej, od 1983 r. doradca L. Wałęsy, uczestnik negocjacji Okrągłego Stołu. Później senator (1989-1991, 2001-2005), wicemarszałek Senatu i do 1990 r. wiceprzewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, poseł (1991-2001). Od 1991 r. w Unii Demokratycznej, następnie Unii Wolności. W latach 1992–1996 wiceprzewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy; w latach 2008–2009 deputowany do Parlamentu Europejskiego; W 2011 r. odznaczony Orderem Orła Białego; A. Wielowieyski, *Losowi na przekór*, Warszawa 2015.

<sup>17</sup> Por. Aleksy Rdesiński ps. „Szary” - Nauczyciel pochodzący z Wielkopolski. Został dowódcą IV plutonu (ckm) w kompanii „Buk” z Obwodu Radomsko w ramach batalionu „Tygrys” 74 pp. 7 Dywizji Piechoty Armii Krajowej; A. Wielowieyski, *Losowi ...*, s. 31; W. Borzobohaty, *„Jodła” Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK 1939-1945*, Warszawa 1988, s. 287.

<sup>18</sup> Franciszek Polkowski ps. „Jastrząb”, „Korsak”, „Stefan”. Od stycznia 1940 r. do 20 lipca 1942 r. był komendantem podobowodu II „Wschód” Obwodu Kozienice Armii Krajowej. Później po dekonspiracji został przeniesiony do Obwodu Radomsko AK na stanowisko komendanta obwodu. (od lutego 1943 r. do sierpnia 1944 r.) Potem dowódca 27 pp. AK w ra-



szyli mu: zastępca dowódcy obwodu do spraw szkolenia kapitan Antoni Mękwński<sup>19</sup> ps. „Działko” i kwatermistrz obwodu porucznik Jarosław Tymowski<sup>20</sup> ps. „Doliwa”. Egzamin trwał kilka godzin. Kursanci odpowiadali na pytania i rozwiązywali otrzymane zadania bojowe, organizacyjne bądź regulaminowe. Spośród dziesięciu elewów, czterech zdało egzamin i otrzymało stopnie st. strzelca podchorążego rezerwy. Pozostali zaś, włącznie z Leonem Pomorskim, otrzymali stopnie podoficerskie kaprali. Według wspomnień Andrzeja Wielowieyskiego, Leon Pomorski miał potem wejść w skład 3 kompanii 27 pp. AK z podobowodu brzeźnickiego i rzejowickiego razem z innym partyzantem z plutonu z Chełma – Konradem Balcerskim ps. „Czapla”. Kompanią tą dowodził ppor. Eugeniusz Tomaszewski ps. „Burta”, oficer marnarki<sup>21</sup>.

Więcej informacji o działalności braci Pomorskich dostarczył Leon Pomorski, ps. „Babinicz”, ostatni z rodzeństwa Pomorskich. Wspominał on, że Czesław Pomorski ps. „Allegro” podczas działań partyzanckich miał być egzekutorem, tj. osobiście wykonywał wyroki śmierci na konfidentach i folksdojcach, zaś Leon był w sekcji odpowiedzialnej za ubezpieczenie ludzi wykonujących wyroki. Poza tego typu działaniami Leon razem z oddziałem zajmował się „nakłanianiem” przy użyciu siły niemieckich urzędników lub osadników przyjezdnych z Rzeszy, aby wraz z rodzinami wrócili do Niemiec i zaprzestali szykanowania miejscowej polskiej ludności. Niekiedy takie akcje odstraszały bardzo skutecznie, gdyż Niemcy na drugi dzień po wizycie partyzantów pakowali swój dobytek i uciekali. Leon Pomorski razem ze swoim oddziałem uczestniczył również w akcji na umocniony dworzec kolejowy w Kamieńsku 20 września 1944 r. Relacjonował on, że w tamtym czasie miała tam przebywać grupa żołnierzy niemieckich, która przyjechała na miejsce ciężarówką. W budynku dworca miała się mieścić restauracja bądź bar. Niemcy spożywali jedzenie i alkohol, gdy zjawili się partyzanci. Po wymianie ognia partyzanci mieli otoczyć budynek. Wtedy jeden z partyzantów, z bronią w ręku wszedł do środka i oznajmił zgromadzonym Niemcom, że budynek jest otoczony i zaraz mogą wrzucić przez okna granaty. Niemcy poddali się, a partyzanci przejęli broń i skrzynię z amu-

---

mach 7 Dywizji Piechoty AK. Posiadał stopień majora - W. Borzobohaty, „*Jodła...*”, s. 138, 274.

<sup>19</sup> Antoni Mękwński ps. „Działko” – Posiadał stopień kapitana. Od listopada 1943 r. do 16 stycznia 1945 r. był szefem referatu III tj. operacyjno-wyszkoleniowego Obwodu Radomsko Armii Krajowej. Zastępca komendanta Obwodu Radomsko - W. Borzobohaty, „*Jodła*” ..., s. 276; A. Wielowieyski, *Losowi* ..., s. 32.

<sup>20</sup> Jarosław Tymowski ps. „Doliwa”, „Sas” – Ziemianin z Ulesia. Posiadał stopień porucznika. Kwatermistrz Obwodu Włoszczowa AK a potem kwatermistrz Obwodu Radomsko Armii Krajowej - A. Wielowieyski, *Losowi na przekór*, Warszawa 2015, s. 42 - W. Borzobohaty, „*Jodła*” ..., s. 256, 276.

<sup>21</sup> A. Wielowieyski, *Losowi*..., s. 31-32.

nicją wziętą z niemieckiej ciężarówki<sup>22</sup>. Straty hitlerowców podczas akcji wyniosły 5 zabitych i 2 rannych. Zdobyto wówczas 20 karabinów, 1 ciężki karabin maszynowy, 1 ręczny karabin maszynowy, 2 pistolety maszynowe i 4 pistolety. Akcją dowodził porucznik Eugeniusz Tomaszewski ps. „Burta”<sup>23</sup>.

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie oddziały partyzanckie w ramach akcji „Burza” miały iść na pomoc walczącej stolicy. Leon Pomorski wspominał, że po koncentracji oddziałów z Obwodu Radomsko, partyzanci przemieszczali się lasami w kierunku Warszawy. Dotarcie do stolicy stało się jednak niemożliwe. Według Leona Pomorskiego w tamtym czasie na miejsce stacjonowania oddziałów partyzanckich podprowadzono wozy konne, na które partyzanci zdawali broń, która następnie miała trafić do Powstańców Warszawskich. Leon Pomorski wtedy oddał dla Powstańców swój pistolet maszynowy<sup>24</sup>.

Latem 1944 r. nad Pomorskimi zawisło niebezpieczeństwo. 8 sierpnia 1944 r. ks. Pomorski był przy kościele w Chełmie naocznym świadkiem walki żołnierzy Armii Krajowej z trzema Niemcami, którzy jechali bryczką w kierunku Sokolej Góry. W wyniku strzelaniny partyzantom udało się wziąć dwóch Niemców do niewoli, zaś trzeci zdołał uciec. Nazajutrz Niemiec ten zjawił się z oddziałem na plebanii z zamiarem aresztowania ks. Pomorskiego pod zarzutem współpracy z partyzantami w czasie niedawnej potyczki. Ksiądz Stefan był wówczas nieobecny na plebanii, zdołał za-wczasu się ukryć. Niemcy w ramach odwetu dokonali aresztowania wikariuszy ks. Heredy i ks. Stefana Farysia<sup>25</sup> oraz kleroika Henryka Bąbińskiego, który gościł u ks. Pomorskiego oraz organistę Stefana Balcerskiego i sołtysa Franciszka Tomalkę. Zostali oni wywiezieni do Sokolej Góry a stamtąd do Majkowic i mieli zostać po kilku dniach wypuszczeni do domu. Według wspomnień Henryka Bąbińskiego wszyscy aresztowani mieli przebywać w obozie wojskowym a potem kilkanaście dni na Gestapo w Przedborzu. Niemcy mieli zamiar dokonać wymiany zakładników, lecz schwytani przez oddział AK dwaj Niemcy już nie wrócili. W obawie przed próbami odbicia zakładników przez partyzantów, hitlerowcy zwolnili zakładników po kilkunastu dniach<sup>26</sup>. Duchowni mieli przebywać w areszcie od 8 sierpnia do 10 września

---

<sup>22</sup> Ustna relacja Leona Pomorskiego.

<sup>23</sup> W. Borzobohaty, „Jodla”..., s. 363.

<sup>24</sup> Ustna relacja Leona Pomorskiego.

<sup>25</sup> Stefan Faryś (1916-1994) – Święcenia kapłańskie przyjął w 1942 r. Wikariusz parafii Chełmo, członek AK o pseudonimie „Alojzy”. Po wojnie prześladowany przez komunistyczny aparat władzy. Od 1960 r. był proboszczem w parafii w Chotowie – <https://wielun.naszemiasto.pl/ks-stefan-farys-odznaczony-posmiertnie-krzyzem-komandorskim/ar/c1-7284669> [data dostępu : 15.03.2023.]

<sup>26</sup> Henryk Bąbiński (1917-2003) – w 1942 r. jego rodzina została wysiedlona przez władze niemieckie. Henryk Bąbiński będący wówczas kleroikiem od tamtego czasu przebywał na

1944 r. Niekiedy podaje się, że ks. Pomorski również został aresztowany<sup>27</sup>. On sam napisał w kronice parafialnej, że ukrywał się tydzień u Wojciecha Trzeciaka w Biestrzykowie i dwa tygodnie u ks. L. Sośnierz w Radomsku. Ilekroć Niemcy zjawiali się w Chełmie poszukując ks. Pomorskiego, właściciele majątku obdarowywali ich kurami i kaczkami, co sprawiło, że zapomniano o całym zajściu i ks. Pomorski mógł wrócić do domu<sup>28</sup>.

Wspomnienia rodzinne opisują te zdarzenia nieco inaczej. Według relacji Czesława Pomorskiego ks. Stefan miał ukrywać na plebanii osoby poszukiwane przez niemiecką policję oraz utrzymywać kontakty z partyzantami. Natomiast Niemcy, którzy napotkali żołnierzy AK przy kościele w Chełmie, mieli być oficerami Wehrmachtu. Ten, który zbiegł w czasie potyczki miał widzieć ks. Pomorskiego rozmawiającego z partyzantami. Dlatego później starano się go aresztować. Nie udało się to, gdyż w porę został ostrzeżony przez matkę. Chcąc wydobyć informację na jego temat od rodziny, pobito ojca, Jana Pomorskiego, który niedługo potem zmarł (7 września 1944 r.) i został pochowany na cmentarzu w Chełmie. Nie wiadomo, czy młodszy bracia księdza, tj. Czesław i Leon również byli w tamtym czasie poszukiwani.

Chełmski proboszcz ostatecznie został kapelanem jednego z oddziałów partyzanckich. Nie nosił przy sobie broni. Żyjąc z partyzantami doczekał końca hitlerowskiej okupacji i powrócił na probostwo. W Chełmie wybuchła wtedy epidemia tyfusu plamistego. Ksiądz Stefan Pomorski odwiedzał chorych, spowiadał ich, a nawet przygotowywał posiłki. W czasie pełnienia posługi kapłańskiej zaraził się tyfusem i zmarł 9 maja 1945 r.<sup>29</sup> Został tymczasowo pochowany w kaplicy cmentarnej rodziny Siemieńskich na cmentarzu w Chełmie. Później ciała Jana i Stefana rodzina przeniosła na cmentarz w Częstochowie. Andrzej Wielowieyski napisał nieco o poglądach ks. Stefana Pomorskiego: [...] *proboszcz Pomorski pochodził z robotniczej rodziny częstochowskiej i nie był szczególnie wrażliwy na hasła narodowe. Miał za to – bez wrogości do miejscowego dworu i mojej rodziny – nastawienie społeczno-radykalne, był po stronie biednych. Po wojnie, bez sympatii dla komunistów, patrzył przychylnie na radykalne przemiany*<sup>30</sup>.

---

plebanii w Chełmie u ks. Stefana Pomorskiego do chwili Jego aresztowania latem 1944 r. Przeżył okupację niemiecką i przyjął święcenia kapłańskie w 1945 r. Ksiądz Prałat. W latach 1979-1993 proboszcz parafii św. Jakuba Apostoła w Częstochowie, wychowawca wielu pokoleń kapłanów.; <http://www.jasnagora.com/wydarzenie-4475> [data dostępu : 15.03.2023.]

<sup>27</sup> J. Związek, *Straty...*, s. 339-340.

<sup>28</sup> T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 177.

<sup>29</sup> J. Pietrzykowski, *Walka i męczeństwo...*, s. 100-101.

<sup>30</sup> A. Wielowieyski, *Losowi...*, s. 56.



Pierwszy z lewej ks. Stefan Pomorski, zdjęcie z Kroniki parafii Chełmo

Następcą ks. Pomorskiego został ks. Feliks Litewka. Nowy proboszcz zamieszkał na plebanii, w której wciąż mieszkali Pomorscy. Ksiądz Litewka nie mógł dojść do porozumienia z rodziną zmarłego ks. Pomorskiego w sprawie plonów rosnących na polu przy plebanii. Wedle przepisów diecezjalnych należały one do aktualnego proboszcza, jednakże Pomorscy z uporem nie chcieli przekazać płodów rolnych duchownemu. Przy zaangażowaniu ks. kanonika Mariana Jankowskiego, dziekana radomszczańskiego ustalono ostatecznie, że ksiądz Litewka zrzeknie się należnych mu plonów na rzecz rodziny zmarłego niedawno proboszcza. Pomorscy mieszkali na plebanii do czasu zebrania wszystkiego z pola i wyprowadzili się na początku listopada 1945 r.<sup>31</sup>

Po wojnie Czesław Pomorski został kościelnym organistą w Przyrowie. W 1958 r. powrócił do Częstochowy, gdzie pracował na kolei a potem w Hucie Częstochowa. Został odznaczony Krzyżem Partyzanckim oraz Medalem Zwycięstwa i Wolności. Nie należał do PZPR<sup>32</sup>. Zmarł w 1990 r. Jego brat Leon Pomorski zdał maturę jako ekstern i poszedł na studia na II Katedrę Fizyki Doświadczalnej na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie został potem członkiem zespołu naukowego profesora

<sup>31</sup> T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 223-224.

<sup>32</sup> APCz, sygn. 1003/757.

ra Henryka Niewodniczańskiego<sup>33</sup>. Zrobił doktorat, był wieloletnim pracownikiem Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego<sup>34</sup>. W związku ze swoją wojenną przeszłością i brakiem członkostwa w PZPR nie pozwolono mu na zdobycie wyższego stopnia naukowego. Zmarł w 2012 r. Niemalże wszyscy członkowie rodziny Pomorskich spoczywają na cmentarzu św. Rocha w Częstochowie.



Leon Pomorski razem ze swoimi dziećmi oraz matką Józefą Pomorską.  
(Zdjęcie z archiwum domowego rodziny Kurkowskich)

---

<sup>33</sup> Henryk Niewodniczański (1900-1968) - Profesor fizyki, specjalista w fizyce jądrowej, twórca i dyrektor Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie (od 1988 r. noszącym jego imię). Profesor fizyki na uniwersytetach: poznańskim (1937–1939), wrocławskim (1945–1946), Jagiellońskim (od 1946 r.), zaliczany do najwybitniejszych polskich fizyków. Członek PAU i PAN. ; <https://www.ifj.edu.pl/instytut/niewodniczanski/> [data dostępu : 15.03.2023.]

<sup>34</sup> <https://nauka-polska.pl/#/profile/scientist?id=50802&k=7qwidx> [data dostępu : 15.03.2023.]



Czesław Pomorski z żoną Władysławą. (1946 r.)  
(Zdjęcie z archiwum domowego rodziny Kurkowskich)

**Tomasz Andrzej Nowak**

(Muzeum Regionalne im. S. Sankowskiego w Radomsku  
PTH o. Radomsko)

### **Kronika szkoły powszechnej w Kraszewicach (1930-1969)**

#### Uwagi wstępne

Nikt do tej pory nie podejmował się opisanie historii szkoły w Kraszewicach. Prezentowana tu kronika szkoły jest najobszerniejszym źródłem wiedzy na ten temat. Składa się z dwóch części. Pierwsza to zeszyt w linie w twardej okładce (20x16 cm) i obejmuje okres od 1930 r. (opisano tu wydarzenia od 1913 r.) i poprowadzona jest do 1959 r. Kontynuacją (bez osobnej okładki czy tytułu) jest kolejny zeszyt w kratkę (bez okładki), który opisuje życie szkoły do wiosny 1969 r., kiedy szkoła przygotowywała się do przenosin do nowego budynku. Przez pół wieku była w rękach prywatnych, być może zawieruszyła się podczas przenosin szkoły do nowego budynku. Odnalazła ją Oliwia Dyktyńska z Kraszewic, która postanowiła mi ją przekazać.

Przez cały opisywany tu okres szkoła znajdowała się w starym domu, który społeczność szkoły w 1923 r. zakupiła, rozebrała i przeniosła na kupiony pod szkołę plac. Mimo tego jedna klasa uczyła się w pomieszczeniu, które wynajmowano w prywatnym domu. W szkole było ciasno i zimno. Przez lata myślano o budowie szkoły z prawdziwego zdarzenia, ale nie było w tej sprawie determinacji ze strony mieszkańców. Maria Janosik pisała wręcz, że nikomu na szkole nie zależało, bardzo trudno było namówić kogoś w ogóle na jakąkolwiek pomoc przy sprawach szkolnych. Zainteresowania nie przejawiały też władze gminne i szkolne aż do końca lat 60., kiedy szkołę wybudowano.

Na przestrzeni tych lat kronikę spisywało kilka osób, głównie byli to kolejni kierownicy szkoły, rzadziej nauczyciele. Tylko raz zdarzyło się, że rolę tę oddano uczniom. Nie jest to porywający czytelnika tekst, co jest głównie wynikiem mało urozmaiconego życia niewielkiej szkoły. Głównym celem było oddania najważniejszych wydarzeń szkolnych. Rytm szkoły był raczej monotony, przerywnikami były święta państwowe i kościelne, w których społeczność szkoły brała udział. Przed wojną celebrowano uroczystości związane z historią Polski, głównie był to 3 maja, rocznice Kościuszkowskie, powstania listopadowe i styczniowe, odzyskanie niepod-

leńności w 1918 r. Z czasami pojawił się kult Józefa Piłsudskiego, w mniejszym stopniu hołd oddawano prezydentowi Ignacemu Mościckiemu czy marszałkowi Edwardowi Rydzowi Śmigłemu. Ich rolę po wojnie przejęły święta typowo komunistyczne, z rocznicami Rewolucji Październikowej na czele.

Szkoła w ciągu kolejnych lat rozrastała się, podnoszono jej poziom organizacyjny o kolejne klasy. W latach 30. XX w. uczyło się tu 230-240 uczniów. Trudne warunki pracy i brak mieszkań dla nauczycieli powodował, że wśród kadry nauczycielskiej panowała ogromna rotacja. Mieszkanie przy szkole zajmował kierownik, pozostali nauczycieli wynajmowali mieszkania u któregoś z gospodarzy. Normą były zmiany nauczycieli po jednym roku pracy. W większości przypadków odchodzono na własną prośbę. Do wybuchu II wojny światowej przez szkołę przewinęło się 26 nauczycieli (nie licząc księży), w czasie okupacji 7, a po jej zakończeniu 43.

W latach 30. XX w. pracowało 4 nauczycieli oraz ksiądz uczący religii, a w czasie okupacji 3. W tym czasie w szkole pracowali: Jasiński (1913-1914), Wróblewska (1914-1916), Helena Zielińska (1916-1918), Wackówna (1918-1920-1921), Bładówna (1920), Helena Fijałkówna (1921-1923), Józef Skubisz (1922-1926), Antoni Wiśniewski (1924-1926), Teodor Kołodziejczyk (1926-1929), Helena Kołodziejczyk (1926-1929), Maria Turczyniakówna (1929-), Joanna Kozubówna (1929-1930), Joanna Habratówna (1931-1936), Zofia Szymczykówna (1932-1933), Zofia Bulikowska (1933-1935), Zygfryd Wojtysiak (1935-1936), Maria Rak (1936-1938), Witold Fryde (1936-1937), Jan Nerkiewicz (1937-1939), Maria Chorzelska (1938-1941), Stanisław Zatoń (1939-1940), Stanisław Szopa (1940), Bolesław Stankiewicz (1940-1944), Tadeusz Karczewski (1941-1945), Stanisława Grabowska (1944-1945), Maria Górka – nauczyciel kierownik (1945), Kazimierz Frań nauczyciel kierownik (1945-1947), Janina Franiowa (1945-1947), Witalisa Knasiówna (1945-1946), Z. Nebeska nauczyciel kierownik (1947-1949, Cz. Kubikówna (1947), Stanisław Pągowski (1947-1949), Kazimierz Szymanek kierownik (1949-1951), Lucyna Nadrowska (1949-1950), Maria Kortas/Janosik kierownik (1948, od 1951), Helena Bura (1950-1951), Bożenna Okoń/Kowalska (1951-1953), Eugeniusz Łyp (1951-1952), Czesława Szymanek (1951-1952), Marian Karaś (1952-1954), Grabowski Władysław (1952-1955), Stanisław Nowak (1953-1954, 1956-1959), Cecylia Rejzowicz (1954-1957), Teresa Borton/Zborowska (1955-1959), Jan Zborowski (1955-1956), Zdzisław Kruszyński (1957), Pelagia Cieślik/Kubiak (1957-1959), Czesław Grzegorzczak (1958-1959), Wacława Kęsy (1959-1960), Krystyna Jaślan (1959-1962), Leokadia Gajewska/Tomasik (1959-1963), Stanisław Boruta (1961), Jadwiga Witasik (1961-1962), Waleria Poborska (1962-1964), Stanisław Piotrowski (1963-1964), Irena Wlazlak (1964-1966), Halina Patek (1964-1965), Stanisław Biś (1964-1966), Grażyna Biś (1964-1965), Janina Lewandowska/Dzie-dzic (1965-1967), Halina Tkaczyk



(1966-1967), Jan Rogulka (1966), Adam Bobrowski (1966-1969), Czesław Mucha (1966-1967), Anna Lempart (1967), Bernard Zięba (1967), Wojciech Najmrocki (1967), Jadwiga Kozłowska (1968).

Spośród kierowników najdłuższy staż mieli: Józef Zatoń (1930-1939), Helena Zatoniova (1930-1945), Maria Janosik, która w szkole pracowała od 1948 r., a funkcję kierownika pełnił prawdopodobnie do 1975 r.

Szkoła była ważnym elementem życia miejscowej społeczności, choć mieszkańcy nie zawsze wykazywali nią tyle zainteresowania, ile kadra nauczycielska by oczekiwała. Powstawanie różnych inicjatyw społecznych i kulturalnych w szkole oddziaływało na wieś, co zresztą często było celem zamierzonym. Staraniem ks. Władysława Musielewicza wystawiono we wsi obelisk Józefa Ignacego Kraszew-



skiego, który z czasem stanie się patronem szkoły. Początkowo znajdował się koło kapliczki przy stawie, potem przeniesiono go w pobliże szkoły (1931 r.). W 1932 r. szkoła zakupiła sztandar (nie wiadomo, co się z nim stało). Józef Zatoń założył we wsi kółko rolnicze, jego żona Helena udzielała się w Kole Gospodyń, pracowano też na rzecz Koła Młodzieży Związku Młodej Wsi (1936 r.). ZHP założono po raz pierwszy w 1933 r. i ponownie w 1950 r. Działała też Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (1932 r.), Przysposobienie Wojskowe (1931 r.), Związek Strzelecki (1932 r.). Sferę kulturalną wypełniały przedstawienia szkolne, po wojnie często bezpłatne. W szkolnej świetlicy można było oglądać telewizję, która cieszyła się ogromną popularnością. Dzięki Kronice wiemy przykładowo, że elektryfikacja wsi miała miejsce w 1962 r.

Dzięki Kronice wiemy przykładowo, że elektryfikacja wsi miała miejsce w 1962 r.

Przygotowując teks do druku ujednoliciłem zapis dat, uwspółcześniłem pisownię, niekiedy korygując konstrukcję zdań. Kronikę spisywali przeważnie kierownicy szkoły, sporadycznie robili to uczniowie. W nawiasach kwadratowych podaję numery stron z oryginału.

## Kronika szkoły powszechnej w Kraszewicach (1930-1969)

[1] 3 XI 1930 r.

Szkoła w Kraszewicach została założona w roku 1913. Pierwszym nauczycielem, który tu został mianowany przez władze szkolne był p. Jasiński. Pracował do czasu wybuchu wojny światowej, to jest do roku szkolnego 1913/14. Szkoła mieściła się w budynku wynajętym od obywatela Świątkowskiego.

Od roku szkolnego 1914/15 mianowana została p. Wróblewska, która zajmowała to stanowisko do końca roku szkolnego 1915/16. Z nowym rokiem szkolnym 1916/17 została mianowana p. Helena Zielińska. Pracowała przez 2 lata, to jest do końca roku szkolnego 1917/18. W tym też roku szkolnym wstąpiła [2] w związek małżeński z p. Władysławem Śliwowskim, nauczycielem w Strzelcach Małych i na własną prośbę przeniesiona została do 2-klasowej szkoły powszechnej w Krzętowie, gm. Maluszyn. Od roku szkolnego 1918/19 do końca roku szkolnego 1919/20 pracowała p. Wackówna. W roku szkolnym 1920/21 pracowała p. Bładówna.

W roku szkolnym 1921/22 mianowana została p. Helena Fijałkowska, była nauczycielka w Łączkowicach, gm. Masłowice, która z nowym rokiem szkolnym 1922/23 przenosi się na własną prośbę do 1-klasowej szkoły powszechnej w Koconi, gm. Masłowice, gdzie pracowała do końca [3] roku szkolnego 1923/24. W następnym roku szkolnym przeniosła się na własną prośbę do Majkowic na stanowisko nauczyciela 1-klasowej szkoły powszechnej. W roku szkolnym 1922/23 nauczycielem był mianowany p. Józef Skubisz<sup>1</sup>.

Szkoła mieściła się jeszcze w budynku wynajętym. Ponieważ dzieci stale przybywało, a w wynajętym budynku nie można było ich pomieścić – postanowiono wybudować własny budynek szkolny.

- 1 -

1-1930 r. Szkoła w Kraszewicach została założona w roku 1913. Pierwszym nauczycielem, który tu został mianowany przez władze szkolne był p. Jasiński. Pracował do czasu wybuchu wojny światowej, to jest do roku szkolnego 1913/14. Szkoła mieściła się w budynku wynajętym od obywatela Świątkowskiego. —

Od roku szkolnego 1914/15 mianowana została p. Wróblewska, która zajmowała to stanowisko do końca roku szkolnego 1915/16. —

Z nowym rokiem szkolnym 1916/17 została mianowana p. Helena Zielińska. Pracowała przez 2 lata, to jest do końca roku szkolnego 1917/18. W tym też roku szkolnym wstąpiła [2] w związek małżeński z p. Władysławem Śliwowskim, nauczycielem w Strzelcach Małych i na własną prośbę przeniesiona została do 2-klasowej szkoły powszechnej w Krzętowie, gm. Maluszyn. —

Pierwsza strona Kroniki

<sup>1</sup> Wraz z ks. Zarembą w sierpniu 1923 r. oprowadzali po Górze Chełmo wycieczkę z Przedborza – „Gazeta Radomska”, 1923, nr 33, s. 3.



Siedzą od lewej: H Kołodziejczakowa (?), Katarzyna Wielowieyska, ks. Leon Zaremba, Teodor Kołodziejczyk, data nieznana, fot. ze zbiorów Ryszardy Macios

Obywatele wsi Kraszewice i Kolonii własnym kosztem kupili pół ha ziemi od obywatela Jana Łuszcza jako parcelę pod budowę szkoły. Budowę szkoły rozpoczęto w roku 1923. [4] Wieś z koloniami znów własnym kosztem kupiła gotowy dom, który został przeniesiony na plac szkolny i tam wybudowany. Przez rok prawie stał bez dachu. Kolonia Henryków sprzedała staw, który znajduje się obok placu szkolnego i pieniądze otrzymane za wydzierżawienie tego stawu przeznaczyła na pokrycie budynku szkolnego, który wykończono we wrześniu 1924 r. Z nowym rokiem szkolnym 1924/ 25 naukę rozpoczęto w budynku szkolnym. Jednocześnie stopień organizacyjny szkoły został podniesiony z 1 do 2-klasowej przez skasowanie 1-klasowej szkoły w Koconi. Z dniem 1 września 1924 r. pan [5] Inspektor mianował na stanowisko tymczasowego nauczyciela do 2-klasowej szkoły p. Antoniego Wiśniewskiego. Pan Skubisz i Wiśniewski pracowali do końca roku szkolnego 1925/26, a z nowym rokiem szkolnym przeniesieni zostali na własną prośbę do Rzejowic, gm. Przerąb, gdzie p. Skubisz został mianowany kierownikiem.

Na ich miejsce p. inspektor mianował p. Teodora Kołodziejczyka<sup>2</sup> i jego żonę p. H. Kołodziejczykową. Panu Kołodziejczykowi powierzył pełnienie obowiązków kierownika. Za p. Kołodziejczyka w roku 1928 kosztem gminy wybudowano szopę na drzewo i obórkę pod [6] jednym dachem. Jesienią 1928 r. p. Kołodziejczyk postrzelił się na polowaniu. Leczył się kilka tygodni w szpitalu w Częstochowie. Niby się wyleczył z tej rany, ale osłabiony przez duży upływ krwi i inne komplikacje, zapadł na gruźlicę i zmarł w marcu 1929 r. Przez czas jego choroby lekcje prowadziła tylko p. Kołodziejczykowa. Po śmierci p. Kołodziejczaka z dniem 15 kwietnia 1929 r. p. Inspektor mianował p. Marię Turczyniakównę tymczasowym nauczycielem w Kraszewicach. P. Kołodziejczakowa pracowała do końca roku szkolnego 1928/29, a od następnego roku szkolnego [7] przeniesiona została na własną prośbę do innej miejscowości.

Rok szkolny 1929/30 rozpoczęła sama p. Turczyniakówna i uczyła tak do 18 listopada 1929 r. Z dniem 16 listopada 1929 r. nr pisma 3406/29 została zatrudniona w charakterze kontraktowej nauczycielki miejscowej szkoły p. Joanna Kozubówna, która przystąpiła do pracy w dniu 18 listopada 1929 r. Z dniem 30 czerwca 1930 r. kontrakt się skończył p. F. Kozubównie. [podpis nieczytelny]

[9] Rok szkolny 1930/31

29 grudnia 1930 r. Z dniem 1 sierpnia 1930 r. zostałem mianowany w drodze konkursu kierownikiem dwuklasowej publicznej szkoły powszechnej w miejscu. Stanowisko kierownika objąłem w dniu 27 sierpnia b.r. Inwentarze szkoły odebrałem od p.o. kierowniczkę p. Marii Turczyniakówny 27 sierpnia r.b. Zapisy odbywały się 29,30,31 sierpnia. Zapisywał do szkoły sam kierownik. Liczba dzieci zapisanych do szkoły wynosiła 182. Z dniem 1 września p. M. Turczyniakówna została przeniesiona [10] na własną prośbę do jednoklasowej publicznej szkoły powszechnej w Kruszynie, gm. Wielgomłyny. Na miejsce p. M. Turczyniakówny została przeniesiona, także na własną prośbę, p. Helena Zatoniowa, nauczycielka szkoły powszechnej w Żytnie z dniem 1 września 1930 r. Rok szkolny rozpoczęto w dniu 1 września nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie. Nabożeństwo odprawił ks. proboszcz L. Zaremba<sup>3</sup>. Zebranie Rady Pedagogicznej odbyło się w dniu 2 września 1930 r. Na porządku dziennym omówiono między innymi: rozkład materiału naukowego, sprawę podręczników szkolnych, sklepik uczniowski, [11] podział oddziałów i wychowawstwo. Opracowany tygodniowy rozkład lekcji na bieżący rok szkolny.

---

<sup>2</sup> 11 listopada 1927 r. wygłosił przemówienie dla dzieci szkolnych w Chełmie – „Gazeta Radomska” 1927, nr 50, s. 4.

<sup>3</sup> K. Leon Zaremba, proboszcz parafii Chełmo w latach 1920-1940, zm. 25 stycznia 1945 r. - T. A. Nowak, *Chełmo. Zarys dziejów do 1945 r.*, Radomsko 2005, s. 222.

	Oddziały	I	II	III	IV	V
Przedmioty nauki w szkole	Religia	2	2	2	2	2
	J. polski	1,5	7	6	7	7
	Historia	-	-	1	2	2
	Geografia	-	-	1	4	4
	Przyroda	-	-	1	3	3
	Rachunki z geometrią	5/2	6	5	4	4
	Rysunki	1/2	1	1	1	1
	Roboty	1/2	1	1	1	1
	Śpiew	1/2	1	1	1	1
	Gry i gimnastyka	1/2	1	1	1	1
	Razem	12	19	20	26	26

Dnia 31 października obchodzono na terenie szkoły „Dzień oszczędności”. W dniu 9 listopada 1930 r. odbyło się zebranie rodzicielskie, na którym omówiono szereg spraw związanych. Między innymi poruszono sprawę sklepiku uczniowskiego, prenumeratę pisemka dla dzieci „Płomyk” i „Płomyczek”. Do zebranych rodziców wygłosiłem referat pt. „Współpraca szkoły z domem”. Dnia 11 listopada r.b. obchodzono uroczystość 12-lecia niepodległości ojczyzny. Obchód urządony był w Chełmie wspólnie z innymi szkołami i organizacjami. Na program obchodu złożyło się: 1) nabożeństwo, 2) przemówienie okolicznościowe, [13] 3) deklamacje, 4) śpiewy.

Od 15 listopada do 27 grudnia 1930 r. p. Zatoniova otrzymała urlop macierzyński. Na czas urlopu p. Zatoniovej począwszy od 20 listopada nauka w oddziałach II i III, IV i V odbywała się co drugi dzień. J[ózef] Zatoń

26 lutego 1931 r. W dniu 21 listopada przeprowadził badanie dzieci szkolnych rejonowy lekarz szkolny z Wielgomłyn p. Włodzimierz Wirko. Ogółem zbadano dzieci [wolne miejsce]. Wśród nich chorych na jaglicę było [wolne miejsce]. Dzieci chore na oczy posłano do Przychodni przeciw jagliczej w Wielgomłynach. Przychodnia ta istniała jednak bardzo krótko, gdyż [14] lekarz się wyprowadził.

24 stycznia 1931 r. odbyło się zebranie Rady Pedagogicznej w celu przeprowadzenia klasyfikacji za I półrocze bieżącego roku szkolnego. 2 lutego r.b. odbyło się przedstawienie amatorskie w sali szkolnej – odegrane zostały przez młodzież pozaszkolną: 1) obraz dramatyczny ze śpiewami i tańcami w 3 aktach pt. „Surdut

i siermięga<sup>4</sup> i krotochwila w jednej odsłonie pt. „Fatalna kielbasa”<sup>5</sup>. Z powodu małej frekwencji gości przedstawienie przyniosło deficyt, który musiało pokryć miejscowe nauczycielstwo.

[15] W dniu 8 lutego odbyło się zebranie rodzicielskie, na którym odczytano klasyfikację uczniów za I półrocze roku szkolnego. Na porządku dziennym zebrania była poruszana sprawa 1) boiska szkolnego, 2) sztandaru, 3) pomnika J. I. Kraszewskiego. 1) W krótkim przemówieniu wyjaśniłem rodzicom potrzebę i konieczność boiska przy szkole, następnie namówiłem ich do przeznaczenia dla użytku szkole placu znajdującego się obok szkoły po drugiej stronie drogi. Plac ten należy do [...] Marczyków – tu znajdowały się doły, bo prawie z całej wsi [16] brali piasek i glinę. Zgodzili się także dać pomoc przy zrównaniu tych dołów na boisku. Zastrzegli się jednak, że nie oddają szkole na własność. 2) Projekt nabycia sztandaru dla szkoły bardzo się spodobał. Tu też prawie wszyscy się zgodzili, aby go sprawić. Dla powyższego celu opodatkowali rodzice swoje dzieci po 30 groszy każde, gdyż przybliżony koszt tego został przedstawiony. Od 1 marca rozpoczęto zbierać składki. 3) Pomnik J. I. Kraszewskiego został przekazany przez ks. Musielewicz<sup>6</sup>, proboszcza parafii Chełmo, wsi Kraszewice w roku 1917. Osadzono go na kopcu przy stawie obok [17] kapliczki. Tam po kilku latach kopiec został zepsuty, gdyż [stał] przy drodze, jeszcze bez ogrodzenia. Nie było mowy, aby stał w porządku, bo samo bydło wchodzące do stawu po wodę go deptało. Ostatnio płyta poniewierała się to tu, to tam, ponieważ nierozumne dzieci, tutejsze podrostki, wrzucały ją do wody. Otóż na zebraniu rodzicielskim wygłosiłem referat pt. „J.I. Kraszewski”, po referacie postawiłem wniosek, aby pomnik ten przenieść na plac szkolny. Wniosek zebrani przyjęli, jak również zgodzili się pracować przy zwożeniu kamieni i budowie [18] kopca. Praca ta miała być wykonana w miesiącach wiosennych 1931 r. J. Zatoń

5 maja 1931. Dnia 19 marca 1931 roku urządzono obchód Imienin Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Na program obchodu złożyły się: 1) nabożeństwo w kościele parafialnym w Chełmie, 2) przemówienie okolicznościowe, 3) deklamacje, 4) śpiewy. Dnia 3 maja urządzony został przez wszystkie szkoły parafii Chełmo obchód rocznicy Konstytucji 3 maja. Obchód odbył się w Chełmie. Program obchodu: 1) nabożeństwo, przemówienie okolicznościowe [19], 3) deklamacje, 4) śpiewy, 5) defilada, 6) popisy. Nabożeństwo odbyło się w Chełmie, odprawił ks.

---

<sup>4</sup> Władysław Gutowski, *Surdut i siermięga. Obraz ludowy w 3 aktach ze śpiewami i tańcami oryginalnie napisany*, Warszawa 1882. Muzyka Augusta Balcarka. Po raz pierwszy grany w Warszawie w teatrze „Nowy Świat” 20 Lipca 1882 r.

<sup>5</sup> Joseph Löhr, *Fatalna kielbasa*, Poznań 1911.

<sup>6</sup> Ks. Władysław Musielewicz proboszcz w Chełmie od 1915 do 1919 r., kiedy zmarł - T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 222.

L. Zaremba. Reszta uroczystości, tj. następne punkty programu, odbyły się na Chełmskiej górze, dokąd zainteresowani się udali. [Podpis J. Zatoń]

5 lipca 1931 r. W dniu 10 czerwca stosownie do postanowienia na zebraniu rodzicielskim w lutym pomnik został przeniesiony i umieszczony na placu szkolnym. Przy budowie pomnika Kraszewskiego pracę zaoferowali: kierownik szkoły Zatoń, właściciel sklepu Józef Sikora, gospodarze Jan Nowak z Moczydeł i Franciszek Kaczmarek z Kraszewic. [20] Kamienie i piasek zwożono koniem gospodarza Wojciecha Myśliwca. Przy przewożeniu kamieni pomagali czynni członkowie Przystosobienia Wojskowego<sup>7</sup>. Od 18-22 czerwca prowadzony był zapis dzieci do szkoły na następny rok szkolny. Zapisano ogółem dzieci szkolnych 182. Zapisy sam prowadziłem. 22 czerwca odbyło się drugie szczepienie ochronne przeciwko ospie. W miesiącu czerwcu wykończono studnię i plac szkolny ogrodzono częściowo sztachetami, częściowo drutem kolczastym.

[21] Zakończenie roku szkolnego odbyło się 27 czerwca. Program tej uroczystości przedstawiał się następująco: 1) nabożeństwo, 2) przemówienie kierownika szkoły, 3) popis dziatwy szkolnej: a) deklamacje, b) śpiewy, 4) odczytanie klasyfikacji, 5) wystawa. W dniu tym nauczycielstwo i dzieci szkolne udali się do kościoła parafialnego w Chełmie na nabożeństwo. Nabożeństwo odprawił ks. L. Zaremba. Po nabożeństwie wszyscy wrócili do szkoły, gdzie czekali zebrani rodzice dzieci szkolnych. Do zebranych rodziców wygłosiłem dłuższe przemówienie, w którym scharakteryzowałem przebieg całorocznej pracy w szkole, a następnie [22] pożegnałem dzieci. 3) Dzieci z poszczególnych działów deklamowały wiersze i odśpiewały wspólnie kilka pieśni. 4) Wychowawcy odczytali w poszczególnych oddziałach roczną klasyfikację uczniów. 5) Z prac dzieci, tj. rysunków, robót ręcznych i kobiecych, urządzona została wystawa w jednej z klas, którą rodzice oglądali. J. Zatoń

[23] Rok szkolny 1931/32

1 listopada 1931 r. Pan Kurator Okręgu Szkolnego Łódzkiego podniósł z dniem 1 września 1931 r. stopień organizacji szkoły miejscowej z 2 do 3 klas. Jako trzecia siła na otwarty etat została mianowana p. Joanna Habratówna, kontraktowa nauczycielka w Rzerzęzycach, gm. Rzeki, pow. radomszczański. Rok szkolny rozpoczęto w dniu 1 września 1931 r. nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie. Dnia 4 września nauczycielstwo i dzieci szkolne wzięli udział w nabożeństwie żałobnym odprawionym za spokój duszy śp. [24] St. Czerwińskiego, MWRiOP<sup>8</sup>. 9 września odbyła się konferencja Rady Pedagogicznej z następującym porządkiem dziennym: 1) wybór sekretarza, 2) podział przedmiotów, 3) wychowawstwo klas,

---

<sup>7</sup> Młodzieżowa organizacja działająca w latach 1927-1939, mająca przygotować do służby wojskowej.

<sup>8</sup> Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

4) podział (przedmiotów) godzin, 5) dyżury szkolne, 6) rozkład materiału, 7) karność i higiena szkolna, 8) sprawa zaprenumerowania pisemka dla dzieci, 9) wolne wnioski.

Sierpień. Rada Pedagogiczna postanowiła prenumerować „Płomyk” i „Płomyczek”<sup>9</sup>. Na powyższy cel zostaną opodatkowane dzieci, jeżeli będzie to możliwe. Wrzesień. W bieżącym roku postanowiłem zebrać od dzieci resztę składek na sztandar szkoły.

[25] Tygodniowy rozkład lekcji w bieżącym roku szkolnym

	Oddziały	I	II	III	IV	V	VI
Przedmioty nauki w szkole	Religia	2	2	2	2	2	2
	J. polski	14/2	7	7	7	5	5
	Rachunki z geometrią	6/2	5	6	6	5	5
	Przyroda	-	-	3	3	3	3
	Geografia	-	-	1	4	4	
	Historia	-	-	2	2	3	3
	Rysunki	0,5	1	2	2	2	2
	Roboty	1/2	1	1	1	1	1
	Śpiew	1/2	1	2	2	2	2
	Ćwiczenia cielesne	1/2	1	2	2	2	2
	Razem	14	18	28	30	30	30

[26] Dnia 30 października obchodzono dzień oszczędności na terenie szkoły.

Wychowawcy wygłosili pogadanki w swoich oddziałach. J. Zatoń

20 lutego 1932 r. W dniu 5 listopada odbyło się drugie zebranie Rady Pedagogicznej, na którym omówiono postępy uczniów za I okres bieżącego roku szkolnego. 1) W wolnych wnioskach poruszono sprawę dalszego kształcenia się Grona. W tym celu zostało postanowione zaprenumerowanie „Ruchu Pedagogicznego”<sup>10</sup> i „Życia Szkolnego”<sup>11</sup>. 2) Wobec zbliżającej się rocznicy powstania listopadowego na wniosek p. Habratówny postanowiono odegrać obrazek [27] sceniczny „Powstanie listopadowe”, wyjątek z „Nocy listopadowej” St. Wyspiańskiego. Na program tej uroczystości złożyły się: 1) przemówienie okolicznościowe, 2) przedstawienie,

<sup>9</sup> Pisma dla dzieci i młodzieży wydawane przez Związek Nauczycielstwa Polskiego.

<sup>10</sup> „Ruch Pedagogiczny”, pismo ukazujące się od 1912 r. do dziś.

<sup>11</sup> „Życie Szkolne” pismo dla nauczycieli ukazujące się od 1922 r.



3) odśpiewanie hymnu i innych pieśni narodowych. Na wniosek p. Zatoniovej Hele-ny postanowiono założyć Szkolną Kasę Oszczędności. Omówiono także program uroczystości 11 listopada. Dnia 11 listopada nauczyciele i działwa szkolna brali udział w obchodach 13-letniej rocznicy Niepodległości ojczyzny, który został zorganizowany [28] wspólnie przez wszystkie szkoły. Na program tego obchodu złożyło się: 1) nabożeństwo w kościele parafialnym w Chełmie, 2) przemówienie okolicznościowe, 3) deklamacje i śpiewy, 4) defilada. W dniu 28 listopada poświęcona została ostatnia godzina ku uczczeniu 101. rocznicy powstania listopadowego. Program: 1) przemówienie, 2) przedstawienie, 3) deklamacje i śpiewy. Ten sam program został powtórzony na zebraniu rodzicielskim 29 listopada, które zostało zwołane w celu [29] odczytania postępow za I okres bieżącego roku szkolnego i poruszenia innych spraw związanych ze szkołą.

Od 9 do 11 grudnia starsze oddziały nie miały lekcji, ponieważ nauczycielstwo pełniło funkcje komisarzy spisowych przy „Drugim powszechnym spisie ludności”. Dnia 25 stycznia 1933 r. odbyła się konferencja Rady Pedagogicznej z następującym porządkiem dziennym: 1) zachowanie i postępy uczniów za I półrocze 1931/32 roku szkolnego, 2) frekwencja, 3) organizacja na leczenie (?) szkoły, 4) wolne wnioski. [30] 4. Od stycznia została zaprowadzona Szkolna Kasa Oszczędności, którą prowadzi p. Zatoniowa. W styczniu zawiązane zostało Szkolne Koło LOPP<sup>12</sup>, które sam prowadzi. Dnia 6 lutego zwołane zostanie zebranie rodzicielskie.

W dniu 2 lutego Grono urządziło przedstawienie amatorskie z członkami Związku Strzeleckiego<sup>13</sup>. Odegrano: „Surdut i siermięga”, „Rajcio” (?). Dochód przeznaczono na bibliotekę szkolną i oddział Związku Strzeleckiego. Staraniem p. Zatoniovej zostało odegrane w dniu 6 lutego przez dzieci szkolne dwie sztuki [31] pt. „Basia” i „Sen Józia”. Zysk z tej imprezy przeznaczono na bibliotekę szkolną. Przy urządzeniu przedstawienia pomagali: p. Habratówna i kierownik. J. Zatoń

20 czerwca 1932 r. W dniu 19 marca urządzono obchód Imienin Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Uroczystość odbyła się w Chełmie wspólnie z innymi szkołami i organizacjami. Na program złożyły się: 1) nabożeństwo, 2) przemówienie „Życie, czyny i zasługi P. Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego”, 3) deklamacje i śpiewy, 4) defilada. [32] Dnia 14 kwietnia odbyła się konferencja Rady Pedago-

---

<sup>12</sup> Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, organizacja mająca za zadanie promowanie lotnictwa, a później także zbiórki pieniędzy na rzecz dozbrojenia polskiej armii. Nie jest jednak znana żadna inicjatywa podjęta w Kraszewicach w tym zakresie - zob. T.A. Nowak, „*Nie szczędźmy ofiar na cele lotnictwa*”. *Ofiarność mieszkańców Radomska i powiatu na cele wojskowe w okresie międzywojennym*, „Zeszyty Radomszczańskie”, t. XVI, 2019, s. 199-269.

<sup>13</sup> Paramilitarna organizacja społeczno-wychowawcza dla młodzieży przedpoborowej, zajmowała się wychowaniem fizycznym i przysposobieniem wojskowym – G. Mieczynski, *Stowarzyszenia społeczne w Radomsku w latach 1918-1939*, Radomsko 2008, s. 64-65.

gicznej w celu przeprowadzenia klasyfikacji za III okres bieżącego roku szkolnego. 3 maja urządzony został wspólnie z innymi szkołami obchód rocznicy Konstytucji 3 Maja. Uroczystość odbyła się podobnie jak w roku ubiegłym. J. Zatoń

7 lipca 1932 r. Zapisy do szkoły na rok szkolny odbyły się 29, 30, 31 maja. W maju odbyło się szczepienie ochronne przeciw ospie. Miejskowa szkoła była przydzielona do rejonu w Strzelcach Małych, dokąd dzieci [33] były zaprowadzone.

Dnia 20 czerwca odbyła się konferencja Rady Pedagogicznej, na której przeprowadzono roczną klasyfikację i omówiono zakończenie roku szkolnego. Na zakończeniu roku szkolnego nie byłem, gdyż zostałem wezwany na dzień 27 czerwca do odbycia 4-tygodniowych ćwiczeń rezerwy. Zakończenie roku szkolnego odbyło się 28 czerwca. Program tej uroczystości: 1) nabożeństwo w kościele parafialnym w Chełmie, 2) przemówienie p. Zatoniowej, 3) popis dziatwy szkolnej [34] 4) wystawa prac dzieci. W bieżącym roku szkolnym zakupiono do biblioteki szkolnej 20 książek bardzo ładnych. Sprawiony został sztandar szkolny, do którego dołożyłem 12 złotych, gdyż nie wszystkie dzieci przyniosły składki. J. Zatoń

[35] Rok szkolny 1932/33

Z dniem 1 września Kuratorium podniosło stopień organizacyjny szkoły mieszanej z 3-klasowej do 4-klasowej. Mianowana została na stopień tymczasowej nauczycielki miejscowej szkoły p. Zofia Szymczykówna, która w ubiegłym roku pracowała w 2-klasowej szkole powszechnej w Grabowej, gm. Kruszyna. Rok szkolny rozpoczęto w dniu 1 września 1932 r. nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie, które odprawił ks. Bolesław Sokół<sup>14</sup>. [36] Konferencja organizacyjna Rady Pedagogicznej odbyła się dnia 10 września 1932 r., na której zorganizowano pracę na bieżący rok szkolny.

Dnia 20 września 1932 r. nauczycielstwo i młodzież szkolna wzięli udział w żałobnym nabożeństwie, które zostało odprawione za spokój duszy śp. Michaliny Mościckiej, prezydentowej Rzeczypospolitej w kościele parafialnym. Dnia 29 października szkoła obchodziła międzynarodowy dzień oszczędności, w związku z tym wychowawcy wygłosili odpowiednie [37] okolicznościowe pogawędki w swoich oddziałach. W dniu 11 listopada szkoła obchodziła 14-lecie odzyskania Niepodległości Polski. Młodzież szkolna wzięła udział w tym dniu w uroczystym nabożeństwie, które odprawione zostało w kościele parafialnym w Chełmie i w uroczystej akademii, zorganizowanej ku uczczeniu Święta Niepodległości. Dnia 5 grudnia 1932 r. szkoła obchodziła rocznicę 25-lecia zgonu śp. Stanisława Wyspiańskiego. Na program której złożyło się: 1. nabożeństwo, 2. akademii, [38]. Nabożeństwo odbyło się w kościele parafialnym w Chełmie. Po nabożeństwie odbyła się akademii w szkole. Sło-

---

<sup>14</sup> Wikariusz parafii Chełmo od 1931 do 1933 r. – T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 233.

wo wstępne wygłosiła p. Zofia Szymczykówna, nauczycielka miejscowej szkoły. Od 16 stycznia do 31 marca została zorganizowana dla młodzieży szkolnej świetlica, w której młodzież odrabiała lekcje ma dzień następny, czytała książki i czasopisma, bawiła się w różne gry, tak towarzyskie, jak i zawodnicze.

22 stycznia szkoła czciła pamięć bohaterów powstania styczniowego. [39] W związku z powyższym zostały wygłoszone pogadanki okolicznościowe w poszczególnych oddziałach. W dniu 1 lutego 1933 r. szkoła obchodziła uroczystości imieniny Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego. Na program tej uroczystości złożyło się nabożeństwo z akademią. 18 marca b.r. szkoła obchodziła imieniny Pierwszego Marszałka Polski p. Józefa Piłsudskiego. W dniu tym szkoły z parafii i organizacje wzięły udział w nabożeństwie w kościele parafialnym w Chełmie, gdzie po nabożeństwie odbyła się [40] druga część akademii, na program której złożyły się: 1. przemówienie, 2. deklamacje, 3. śpiewy, 4. defilada.

W dniu 6 kwietnia 1933 r. odbyła się spowiedź dzieci szkolnych, w związku z powyższym starsze oddziały nie miały lekcji w tym dniu. W dniu 3 maja obchodziła szkoła rocznicę Konstytucji 3 Maja. Uroczystość powyższa była obchodzona razem przez wszystkie szkoły i organizacje z całej gminy w Chełmie, dokąd wszyscy przybyli na nabożeństwo. [41] Dnia 19 maja 1933 r. odbyła się wizytacja religii przez ks. Kazimierza Secomskiego<sup>15</sup>.

3 czerwca 1933 r. odbyła się w naszej szkole konferencja rejonowa. Sekcję prowadziła p. Zofia Szymczykówna. Referat wygłosiła p. J. Habratówna, nauczycielka miejscowej szkoły. W dniu 8 czerwca wizytował naszą szkołę p. Józef Pruszyński, inspektor szkolny. Wizytowane były klasy I, II, IV. Po wizytacji odbyła się konferencja z wychowawcami nauczycielkami i kierownikiem.

[42] 14 czerwca 1933 r. odbyło się uroczyste (nabożeństwo) zakończenie roku szkolnego, na program którego złożyło się: 1) nabożeństwo, 2) przemówienie, 3) popis młodzieży, 4) odczytanie promocji, 5) wystawa prac uczniów i uczennic. W bieżącym roku szkolnym szkoła mieściła się w 3 klasach, z których jedna była wynajęta u obywatela Floriana Biesny (?)<sup>16</sup>. Sala ta jest oddalona od głównego budynku o 18 m. Dozór szkolny płacił czynszu dzierżawnego 135 zł. [43] Liczba dzieci w bieżącym roku szkolnym wynosiła 224-230. Przy końcu roku pozostało wszystkich uczniów 240. Z tego promowano do następnych klas 194, nie promowano 28 i nie klasyfikowano 2. Ogólny [...] promowanych w szkole 87 (?). Ogólny poziom

---

<sup>15</sup> Proboszcz parafii Bąkowa Góra (1919-1963), prefekt szkół w Radomsku, wicedziekan radomszczański, potem dekanatu Chełmo z siedzibą w Bąkowej Górze – P. Gola, *Kronika parafii Dobryczyce z lat 1918-1953*, „Zeszyty Radomszczańskie” t. XIII, s. 107; T. Nowak, *Wprowadzanie niepodległości*, „Gazeta Radomszczańska”, 2018, nr 45, s. 15.

<sup>16</sup> Być może chodzi tu o jednoizbową chałupę przy zakręcie drogi w kierunku Chełma. Budynek stał jeszcze w latach 90. XX w., wcześniej uczono się tam religii.

naukowy dobry, stan szkoły pod względem zaopatrzenia w pomoce naukowe marny. Tak się również przedstawia jeżeli chodzi o meble szkolne. Budynek szkolny marny, wszystko się rozsypuje, ciągle trzeba myśleć [44] o remontach, bo inaczej zawałiłoby się wszystko na łeb. Prócz ścian, które przedstawiają stan nędzy i rozpacz, w bardzo złym stanie z znajdują się podłoga i nie ma środków na sprawienie nowej. Bo w budżecie na tę pozycję nie ma, gdyż wydział automatycznie ją skreśla, robiąc w ten sposób oszczędności. J. Zatoń

[45] Rok szkolny 1933/34

Rok szkolny rozpoczęto 21 sierpnia uroczystym nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie. Zebranie organizacyjne miejscowej szkoły odbyło się w dniach 26, 28 i 29 sierpnia. Na powyższym podzielono się przedmiotami naukowymi, objęto wychowawstwo klas, zrobiono podział zajęć, podzielono się pracą i organizacją szkolnych i pozaszkolnych. Następnie omówiono szereg spraw innych, wiążących się ściśle z pracą szkolną.

[46] Tygodniowy rozkład lekcji na rok szkolny 1933/34

	Oddziały	I	II	III	IV	V	VI
Przedmioty nauki w szkole	Religia	2	2	2	2	2	2
	J. polski	14/2	7	7	7	5	5
	Historia	-	-	2	2	3	3
	Geografia	-	-	2	2	3	3
	Przyroda	-	-	1	3	5	5
	Rachunki z geometrią	6/2	4	4	4	5	5
	Rysunki	2/2	2	2	2	2	2
	Zajęcia praktyczne	2	2	2	2	1	2
	Śpiew	4/4	2	2	2	1	1
	Ćwiczenia cielesne	4/2	2	2	2	2	2
	Razem	18	21	26	27	30	30
	Liczba nauczycieli nauczających w klasie	1	1	3	4	4	4

[47] Miejsce na fotografię [pusta strona]

[48] W bieżącym roku szkolnym organizacje młodzieżowe powiększyły się przez założenie harcerstwa. Dnia 12 października 1933 r. została zorganizowana drużyna męska, a w kilka tygodni drużyna żeńska. Harcerstwo prowadzi pani Z. Szymczykówna – drużynę męską, p. J. Habratówna drużynę żeńską. Dnia 24 września powstało przy tutejszej szkole Koło Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych<sup>17</sup>. Koło liczy 12 członków, nr Koła to 144. Dnia 31 października 1933 r. w związku z „Międzynarodowym dniem oszczędności” zostały [49] ogłoszone okolicznościowe pogadanki. Dnia 11 listopada r.b. zorganizowano uroczysty obchód 15-letniej rocznicy odzyskania Niepodległości Polski. Młodzież szkolna i nauczycielstwo wzięli udział w tym dniu w nabożeństwie. Następnego dnia zorganizowano uroczystą akademię, według następującego programu: 1) przemówienie, 2) deklamacje i śpiewy, 3) przedstawienie „Dzwonie, hejnały Polsce graj”<sup>18</sup>. Na uroczystości tej były sprzedawane znaczki na TPBPSP.

[50] Dnia 21 stycznia 1934 r. staraniem pp. Bulikowskiej Zofii, Habratówny Joanny i Zatoniowej Heleny urządzona została Choinka w szkole dla dzieci szkolnych. W dniu 1 lutego 1934 r. obchodziła szkoła uroczystość Imienin Pana Prezydenta Rzeczypospolitej prof. Ignacego Mościckiego. Uroczystość rozpoczęta została nabożeństwem. Po nabożeństwie kierownik wygłosił odczyt pt. „Życiorys pana prezydenta Ignacego Mościckiego”. Następnie dzieci deklamowały wiersze, odśpiewały kilka [51] pieśni patriotycznych. Uroczystość zakończono hymnem narodowym. J. Zatoń

25 marca 1934 r. W dniu 19 marca 1934 r. szkoła obchodziła Imieniny Pierwszego Marszałka Józefa Piłsudskiego. W tym dniu działwa szkolna, nauczyciele i organizacje pozaszkolne wzięły udział w nabożeństwie i akademii wspólnej w Chełmie. Wieczorem w remizie strażackiej odbyła się akademie dla miejscowej ludności. Program akademii: 1) przemówienie, 2) deklamacje i śpiewy, 3) obrazek, 4) odśpiewanie I Brygady. Uroczystość rozpoczęto odśpiewaniem hymnu państwowego. Następnie kierownik [52] szkoły wygłosił dłuższe przemówienie „Marszałek Piłsudski Wskrziesiciel i Budowniczy Ojczyzny”. Po przemówieniu dzieci poszczególnych oddziałów deklamowały wiersze o marszałku, następnie odśpiewano kilka pieśni patriotycznych i odegrano obrazek pt. [nieczytelne]. Na zakończenie odśpiewano I Brygadę. J. Zatoń

---

<sup>17</sup> Do wybuchu wojny towarzystwo było zaangażowane w budowę 4 szkół na terenie powiatu radomszczańskie. W 1937 r. w powiecie działało 12 kół – G. Mieczyski, *Stowarzyszenia...*, s. 123.

<sup>18</sup> Stanisława Daszyńska, *Dzwonie, hejnały Polsce graj. Obrazek sceniczny ze śpiewami w 3 odsłonach na święto narodowe 11 listopada (dla dorastającej młodzieży)* z 1933 r.

15 maja 1934 r. W dniu 3 maja dziatwa szkolna i nauczycielstwo wzięli udział w nabożeństwie i akademii w Chełmie. Dzieci deklamowały wiersze i odśpiewały trzy pieśni. J. Zatoń

20 czerwca 1934 r. Dnia 15 czerwca 1934 r. odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego. W dniu tym młodzież szkolna wzięła udział w nabożeństwie, [53] które zostało odprawione w kościele parafialnym w Chełmie. Po nabożeństwie odbył się w szkole popis dziatwy szkolnej. Następnie przemówił do zebranych rodziców i dziatwy szkolnej kierownik szkoły. Następnie odbył się popis. Po popisie odczytano wyniki klasyfikacji rocznej i rozdano świadectwa. Urządzono wystawę z prac dzieci, którą rodzice po zakończeniu uroczystości oglądali. H. Zatoniowa

[54] Rok szkolny 1934/35

20 września 1934 r. Rok szkolny rozpoczęto nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie. Nauczycielstwo pracuje w tym samym składzie co w roku ubiegłym, to znaczy pp. Zatoń, Zatoniowa, Habratówna, Bulikowska i nauczyciel religii ks. Bienias<sup>19</sup>.

15 listopada 1934 r. Jedenastego listopada obchodziła szkoła 16 rocznicę odzyskania Niepodległości Polski. W dniu 10 listopada wieczorem odbył się capstrzyk. Przed szkołą zgromadziły się dzieci szkolne, Związek Strzelecki, Straż Pożarna [55] i miejscowe społeczeństwo. Uformowano pochód, który przeszedł ze śpiewem przez wieś, a następnie wrócił przed szkołę, gdzie na boisku rozpalone zostało ognisko. Przy ognisku wygłoszono krótkie przemówienie, dzieci deklamowały wiersze i odśpiewano kilka pieśni patriotycznych. 11 listopada dziatwa szkolna i organizacje zebrały się przed szkołą, skąd udali się na nabożeństwo do Chełma. W Chełmie odbyła się również akademie zorganizowana wspólnie przez szkoły i organizacje należące do parafii Chełmo. Na program akademii złożyło się: [56] 1) przemówienie, 2) deklamacje i śpiewy, 3) defilada dzieci i młodzieży zorganizowanej.

W dniu 1 lutego 1935 r. szkoła obchodziła imieniny Pana Prezydenta prof. I. Mościckiego. Nauczycielstwo i młodzież szkolna wzięła udział w nabożeństwie. Następnie w szkole odbył się poranek. Na program złożyło się 1) przemówienie, 2) deklamacje i śpiewy. Przemówienie wygłosiła pani Bulikowska Zofia. W przemówieniu omówiła zasługi pana Prezydenta prof. Ignacego Mościckiego na polu pracy naukowej, wynalazki i prace przy uruchomieniu [57] fabryk w Polsce. Następnie praca jako Głowy Państwa. Dzieci wygłosiły kilka deklamacji i odśpiewały 4 pieśni patriotyczne. W dniu 19 marca 1935 r. obchodziła szkoła uroczystość Imienin Wskrzesiciela i Budowniczego Pierwszego marszałka Polski J. Piłsudskiego. Tego dnia młodzież zgromadziła się przed szkołą, skąd wraz ze Związkiem Strzelec-

---

<sup>19</sup> Ks. Władysław Bienias, wikariusz w Chełmie od 1934 do 1936 r. – T. A. Nowak, *Chełmo.....*, s. 233.

kim udała się na nabożeństwo. Po nabożeństwie odbyła się akademie w Chełmie. Po południu odbyła się akademie dla ludności miejscowej w remizie strażackiej w Kraszewicach. [58] 7 maja 1935 r. Dnia 3 maja szkoła wzięła udział w obchodzie rocznicy Konstytucji 3 Maja w Chełmie, zorganizowanym przez szkoły i społeczeństwo parafii Chełmo.

W ciągu całego tygodnia żałoby, która okryła naród polski po zgonie Ojca Ojczyzny, Wskrziesiciela i Budowniczego Marszałka J. Piłsudskiego młodzież szkolna i pozaszkolna i starsze społeczeństwo słuchali w szkołach audycji radiowych pośmiertnych, siedzieli w nich aż do późna w nocy. Młodzież szkolna korzystała z audycji przy wyprowadzeniu zwłok z katedry św. Jana na Mokotów [59] i przy odjeździe zwłok do Krakowa. W dniu 18 maja 1935 r. nauczycielstwo i młodzież szkolna, organizacje i społeczeństwo wzięły udział w żałobnej uroczystości w Chełmie. Odprawione zostało żałobne nabożeństwo, w którym wzięła udział licznie zebrana publiczność, dziatwa szkolna i organizacje. Po nabożeństwie odbyły się przemówienia i przed portretem Wskrziesiciela spowitym kirem odbyła się pełna powagi tej smutnej chwili defilada. Młodzież szkolna bardzo odczuła zgon Tego, który jej wywalczył niepodległość.

W dniu 15 czerwca 1935 r. odbyło się zakończenie roku szkolnego. [60] Ze względu na żałobę narodową zakończenie roku szkolnego odbyło się bez popisu. Po nabożeństwie młodzież zebrała się w szkole, gdzie do niej i rodziców przemówił krótko kierownik szkoły. Odśpiewano hymn państwowy, a następnie rozdano świadectwa. J. Zatoń

#### Rok szkolny 1935/36

Rok szkolny rozpoczął się w dniu 3 września 1935 r. nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie. Nastąpiły zmiany w gronie nauczycielskim. Pani Buklikowska Z. na własną prośbę została przeniesiona do 2-klasowej publicznej szkoły powszechnej w Piaskach, gm. Garnek, pow. radomszczańskie. Na jej miejsce został mianowany [61] nauczyciel 3-klasowej szkoły powszechnej w Smotryszowie p. Zygfryd Wojtysiak.

W dniu 11 listopada 1935 r. w rocznicę odzyskania niepodległości odbył się uroczysty obchód. W wigilię tego święta odbył się wieczorem capstrzyk, w którym prócz dziatwy szkolnej wzięły udział organizacje miejscowe i starsze społeczeństwo. 11 listopada odbyła się w Chełmie ogólna akademie z udziałem wszystkich szkół. Wieczorem tego dnia odbyła się akademie w szopie strażackiej w Kraszewicach. Program akademii: 1) przemówienie, 2) deklamacje, 3) śpiewy, 4) przedstawienie pt. „Zasadzka”. [62] W dniu 25 listopada zostało zorganizowane Kółko Rolnicze. Założycielem Kółka był p. J. Zatoń. Prezesem tego Kółka został wybrany p. F. Cieciora.

5 lutego 1936 r. W dniu 1 lutego 1936 r. szkoła obchodziła Imieniny Pana Prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego. Młodzież i nauczyciele wzięli udział w nabożeństwie. Po nabożeństwie odbył się w szkole poranek. Na program złożyło się: przemówienie, deklamacje, śpiewy. Dnia 19 marca obchodziła szkoła Imieniny Marszałka Piłsudskiego. Działwa szkolna wzięła udział w nabożeństwie [63] i akademii. Na program złożyło się: odczytanie wyjątków pism Marszałka Piłsudskiego, deklamacje i śpiewy. Dnia 3 maja szkoła wzięła udział w nabożeństwie w kościele parafialnym w Chełmie dla uczczenia rocznicy Konstytucji.

Rok szkolny zakończono w dniu 2 czerwca. Program uroczystości: 1) nabożeństwo, przemówienie, popis, 3) rozdanie świadectw. J. Zatoń

Rok szkolny 1936/37

5 listopada 1936 r. Rok szkolny zaczęto w dniu 3 września nabożeństwem. W gronie nauczycielskim nastąpiły zmiany, a mianowicie: na własną prośbę zostali przeniesieni p. Habratówna na stanowisko nauczyciela do publicznej szkoły powszechnej w Cielętnikach, gm. Dąbrowa Zielona, p. Z. Wojtysiak na stanowisko nauczyciela do jednoklasowej szkoły w Gertrudowie, gm. Kamięnsk. Na miejsce tych nauczycieli zostali mianowani p. Rakówna Maria, tymczasowa nauczycielka szkoły w Bogumiłowicach, p. Fryde Witold, nauczyciel kontraktowy, który w ubiegłym roku pracował [65] w Zawadowie, pow. piotrkowski.

16 listopada 1936. W dniu 31 października szkoła obchodziła „Dzień Oszczędności”. W dniu 11 listopada szkoła uroczystie obchodziła Święto Niepodległości. 10 listopada odbył się capstrzyk. 11 listopada szkoła wzięła udział w nabożeństwie parafialnym w Chełmie. Wieczorem odbyła się w remizie strażackiej akademii. Program akademii: 1) przemówienie okolicznościowe, 2) deklamacja i śpiewy, 3) obrazki sceniczne.

W dniu 28 grudnia zostało założone Koło Młodzieży Wiejskiej Związek Młodej Wsi. [66] Zebranie, na którym wybrano Zarząd przeprowadził p. J. Zatoń.

Dnia 1 lutego 1937 r. odbył się obchód Imienin Pana Prezydenta prof. I. Mościckiego. Działwa szkolna wzięła udział w poranku. Dnia 19 marca 1937 r. szkoła wzięła udział w nabożeństwie odprawionym w kościele parafialnym w Chełmie. Lekcje w tym dniu się odbywały. 3 maja szkoła wzięła udział w nabożeństwie ku uczczeniu Konstytucji majowej. Dnia 12 maja, w rocznicę zgonu Pierwszego Marszałka szkoła, [67] wzięła udział w nabożeństwie żałobnym i akademii w Chełmie. Na program akademii złożyły się czytanie wyjątków z pism Marszałka, deklamacje stosownych wierszy i śpiew. Szkoła nasza odśpiewała pieśń pośmiertną „Niebo nad



Polską<sup>20</sup>. Szkoła wzięła udział w święcie Wychowania Fizycznego i [nieczytelne]<sup>21</sup> (?), które się odbyło w czerwcu na Chełmskiej Górze.

Rok szkolny zakończono w dniu 21 czerwca. Program zakończenia: 1) nabożeństwo, popis, przemówienie, rozdanie świadectw. Zatoń 5 VII 1937 r.

Przeglądałem 26 listopada 1937 r. [podpis nieczytelny]

[68] rok szkolny 1937/38

Rok szkolny rozpoczęto 3 września. W gronie nastąpiły zmiany, p. Fryde został przeniesiony do Kruszyny, miejsce jego zajął p. Jan Nerkiewicz, przeniesiony z Polesia. Prefektem był ks. Józef Brawata<sup>22</sup>.

31 października obchodzono Dzień Oszczędności. 11 listopada Święto Niepodległości. Program uroczystości: 1) nabożeństwo, 2) akademie. 1 lutego Imieniny P. Prezydenta – dziatwa wzięła udział w nabożeństwie i poranku. 18 marca obchodzono dzień imienin p. Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza przez ogłoszenie odpowiednich pogadanek. [69] 19 marca szkoła wzięła udział w nabożeństwie żałobnym w Chełmie, po czym nastąpiły normalne lekcje, w czasie których wygłoszono pogadanki o osobie Wielkiego Wodza. 12 maja szkoła wzięła udział w nabożeństwie żałobnym i akademii ku uczczeniu rocznicy zgonu Marszałka J. Piłsudskiego.

Rok szkolny zakończono 21 czerwca następującym programem: 1) nabożeństwo, 2) popis ćwiczeń cielesnych, gry sportowe, śpiewy, 3) rozdanie świadectw i pożegnanie dzieci. W roku szkolnym istniały następujące organizacje: Spółdzielnia Uczniowska – opiekun p. Narkiewicz, Szkolna Kasa Oszczędności op. P. Rakówna [70], Koło Uczestników TPPSP opiekun p. kierownik Zatoń. Bibliotekę prowadziła p. Zatoniova. Na terenie rejonu szkolnego istniały organizacje: Straż Ogniowa, Kółko Rolnicze, w którym pracował p. Zatoń, Koło Gospodyń – p. Zatoniova, Koło Młodzieży – współpracowali wszyscy. Koło b. Wychowanków prowadzono wspólnymi siłami. Kupiono w ciągu roku 31 książek za 58 zł 90 gr, mapę za 11 zł 40 gr oraz narzędzia stolarskie za 17 zł. Za kierownika Zatoniova Helena

[71] Rok szkolny 1938/39

5 września 1938 rozpoczęcie roku szkolnego nabożeństwem parafialnym w Chełmie. P. M. Rakówna przeniosła się na własną rękę do Chorzenic pow. Piotrków, na jej miejsce została mianowana p. Maria Chorzelka, nauczycielka z Maksy-

---

<sup>20</sup> Pieśń żałobna na pogrzeb J. Piłsudskiego.

<sup>21</sup> Być może chodzi o Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, który miał swoje struktury powiatowe.

<sup>22</sup> Wikariusz w Chełmie od 1936 do 1938 r. - G. Kośny, *Mieszkańcy parafii Chełmo w 1 połowie XX wieku*, Chełmo 2019 s. 85.

mowa, gm. Wielgomłyny, p. Radomsko. Skład grona: kierownik J. Zatoń, H. Zatoniowa, M. Chorzelska, J. Narkiewicz, ks. A. Kańtoch<sup>23</sup>.

31 października pogadanki okolicznościowe w związku z Dniem Oszczędności. 11 listopada Obchód Święta Narodowego, nabożeństwo w kościele parafialnym [72] akademia. 1 stycznia 1939 r. p. M. Chorzelska uzyskuje urlop zdrowotny do 1 maja 1939 r. W tym czasie praca w szkole została podzielona między pozostałych. 1 lutego obchód imienin p. Prezydenta I. Mościckiego. 19 marca dzieci wzięły udział w nabożeństwie żałobnym za duszę M. Piłsudskiego. 12 maja dzieci wzięły udział w nabożeństwie żałobnym, w rocznicę zgonu Marszałka J. Piłsudskiego.

21 czerwca zakończono rok szkolny programem: nabożeństwo w kościele parafialnym w Chełmie, rozdanie świadectw, pożegnanie dzieci, odśpiewanie [73] hymnu narodowego. Na terenie szkoły istniały organizacje jak w roku ubiegłym. Członkowie Spółdzielni Uczniowskiej urządzili choinkę. Zatoniowa H.

[74] Rok szkolny 1939/40

Rok szkolny rozpoczął się 18 września 1939 r. Z powodu brakujących sił nauczycielskich p. J. Zatonia, który został powołany do wojska i p. Narkiewicza, który nie powrócił z Wilna, wskutek wybuchu wojny 1 września 1939 r.<sup>24</sup> rozpoczęto naukę w czterech oddziałach. Po dłuższym oczekiwaniu brakujących sił (p. Zatoń został zajęty do niewoli rosyjskiej<sup>25</sup>) rozpoczęto naukę w klasie V i VI przy dwóch siłach. Kierownictwo powierzono p. Zatoniowej. 18 grudnia została przydzielona trzecia siła – p. Stanisław Zatoń. [75] Praca została podzielona pomiędzy 3 siły nauczycielskie. Z dniem 1 stycznia został przydzielony do szkoły p. Stanisław Szopa. Naukę rozpoczęto w pełnym gronie.

10 stycznia 1940 r. W skutek dużych śniegów i mrozów dzieci do szkoły nie uczęszczają. Frekwencja wynosi mniej niż 50%. 1 lutego następuje przerwa w nauce z powodu braku opału, która trwa do 1 kwietnia 1939 r. Z dniem 1 marca zostają zwolnieni p. Stanisław Zatoń i Stanisław Szopa. Naukę rozpoczęto 1 kwietnia znowu przy dwóch siłach nauczycielskich. Klasy I i II uczyły się codziennie, w klasach III i IV, V i VI co drugi dzień [76]. Z powodu słabej frekwencji i po porozumieniu z p. Inspektorem wykreślono dzieci nie uczęszczające i naukę ograniczono w sposób następujący. Połączono klasy I i II, III i IV, V i VI. Nauka w tych kompletach odbywała się codziennie. 28 czerwca zakończono rok szkolny nabożeństwem i rozdaniem świadectw.

---

<sup>23</sup> Ks. Antoni Kańtoch wikariusz w Chełmie od 1938 do 1941 r. - T. A. Nowak, *Chełmo....*, s. 234.

<sup>24</sup> Woryginale błędnie rok 1940, co świadczy o tym, że ten fragment spisywany był po jakimś czasie.

<sup>25</sup> Jego dalsze losy są nieznanne.

[77] Rok szkolny 1940/41

Rok szkolny rozpoczął się 19 sierpnia 1940 r. W myśl zarządzenia postanowiono rozpocząć naukę w 4 oddziałach przy dwóch siłach nauczycielskich. Od 21 września do 7 października trwają ferie jesienne. 7 października 1940 r. rozpoczęto naukę także w klasie V i VI i zorganizowano naukę w 6 klasach, łącząc poszczególne komplety klas I i II, III i IV, V i VI. 1 grudnia zostaje mianowany na stanowisko nauczyciela tutejszej szkoły p. Bolesław Stankiewicz<sup>26</sup>. Naukę zorganizowano według planu o 3 nauczycielach. Od 21 grudnia – 8 stycznia trwają ferie świąt Bożego Narodzenia. 9 kwietnia – 15 kwietnia ferie świąt Wielkanocnych. [78] 15 maja – 20 maja przerwa w nauce z powodu zajęcia sal przez wojsko. 28 czerwca zakończono rok szkolny. Zatoniova H.

[79] Rok szkolny 1941/42

Rok szkolny rozpoczął się 18 sierpnia nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie, które odprawił ks. Hereda<sup>27</sup>. Obowiązki kierownika szkoły pełni Zatoniova Helena, nauczycielkami są p. Chorzelska Maria i Stankiewicz Bolesław. Już od początku sierpnia na terenie szkoły panuje epidemia czerwonki. W szkole zachorowało kilkoro dzieci, o czym zawiadomiono Urząd Szkolny i Lekarza Powiatowego. Po zbadaniu stanu choroby przerwano naukę. Przerwa w nauce trwała od 6 września do 7 października 1941 r. Wśród dzieci szkolnych były dwa wypadki [80] śmiertelne. Zmarł uczeń kl. II Łuszcz Ryszard Paweł i uczeń kl. VI Boroniec Czesław.

Od dnia 1 listopada nastąpiły zmiany w gronie nauczycielskim. P. M. Chorzelska została przeniesiona na własną prośbę do Rzerzeczyc, pow. Radomsko. Na jej miejsce został mianowany p. Tadeusz Karczewski.

Ferie Świąt Bożego Narodzenia trwają od 23 grudnia 1941 r. do 4 stycznia 1942 r. włącznie. W styczniu został powołany na kurs zielarski p. Bolesław Stankiewicz. Kurs trwał od 19-24 stycznia 1942. Od 26 stycznia do 31 trwa przerwa w nauce z powodu silnych mrozów. [81] W lutym powołano p. B. Stankiewicza na kurs rolniczy. Kurs trwa od 9 do 14 lutego 1942 r. 1 marca została otwarta „Zawodowa Szkoła Rolnicza” dla młodzieży męskiej od 14 roku życia do 18-go. Do szkoły uczęszcza także młodzież z Sokolej Góry. Kierownikiem szkoły jest p. B. Stankiewicz, nauczycielem p. T. Karczewski i ks. E. Hereda. Wykłady odbywają się raz na tydzień po 6 godzin. Nauczyciele są płatni po 3 zł za godzinę. Ferie świąt Wielkanocnych trwają od 1 kwietnia do 7 kwietnia włącznie. [82] 11 lipca 1942 r. zakoń-

---

<sup>26</sup> Gdy pracował w Kraszewicach mieszkał u babci Stanisława Nowaka. Po wojnie był dyrektorem bursy szkolnej w Namysłowie. Nadal utrzymywał wtedy kontakty z Kraszewicami – Stanisław Nowak, *Z bandyckiej rodziny*, [w:] Marek K. Koprowski, *Żołnierze Wyklęci. I znów za kraty*, Zakrzew 2015, s. 158-159.

<sup>27</sup> Ks. Emanuel Hereda, wikariusz w Chełmie do 1945 r., T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 234.

czono rok szkolny nabożeństwem i rozdaniem świadectw. Zatoń H. kierownik szkoły.

[83] Rok szkolny 1942/43

Rok szkolny 1942/43 rozpoczął się 20 sierpnia 1942 r. W tym dniu dzieci wzięły udział w nabożeństwie w kościele parafialnym w Chełmie, które odprawił ks. Stefan Faryś<sup>28</sup>. Grono nauczycielskie pozostaje bez zmian.

20 sierpnia odbyła się konferencja Rady Pedagogicznej, na której opracowana została organizacja na bieżący rok szkolny: p. Zatoniova uczy w kl. II wszystkich przedmiotów prócz religii i jest wychowawczynią tejże klasy i kl. V, w której uczy arytmetyki, przyrody, śpiewu w kl. V i VI oraz zajęć praktycznych z dziewczynkami w V i VI i śpiewu w kl. IV. P. Stankiewicz ma wychowawstwo w kl. IV i VI, uczy [84] wszystkich przedmiotów w kl. IV prócz śpiewu i religii, języka polskiego w kl. V i VI, zajęć praktycznych w kl. V i VI z chłopcami i ćwiczeń cielesnych w kl. V i VI, razem godzin 30 tygodniowo. P. T. Karczewski ma wychowawstwo w kl. I i III, uczy w tych klasach wszystkich przedmiotów prócz religii i arytmetyki w kl. VI – 30 godzin tygodniowo. W tym samym czasie zaczyna się nauka w Obwodowej Szkole Rolniczej. Nauka odbywa się w dwóch kompletach, nauczycielami są p. B. Stankiewicz i p. T. Karczewski.

Ferie jesienne rozpoczynają się 22 września i trwają do 14 października. 16 października jest w szkole szczepienie tyfusu brzuszego dla dzieci szkolnych i od 1 roku życia do 65 roku życia. [85] 22 grudnia jest I półrocze szkolne, po lekcjach odczytano dzieciom stopnie za I półrocze. Ferie świąt Bożego Narodzenia trwają od 22 grudnia do 4 stycznia 1943 r. Od 19 stycznia trwała przerwa w nauce na skutek zarządzenia władz szkolnych. 30 marca odbyła się klasyfikacja dzieci, o wynikach powiadomiono rodziców. Od 22 kwietnia do 26 kwietnia trwają ferie wielkanocne. 14 maja nauczycielstwo przeprowadziło spis zasiewów rolnych. 10 czerwca odbyło się badanie dzieci przez lekarza rejonowego p. Dąbrowskiego. Rok szkolny zakończono 10 lipca nabożeństwem i rozdaniem świadectw. W ciągu całego roku dzieci zbierały różne [86] zioła lekarskie, przede wszystkim korę kruszyny. Zatoń H. kierownik szkoły

[87] Rok szkolny 1943/44

Rok szkolny 1943/44 rozpoczął się [nie wpisano] sierpnia 1943 r. nabożeństwem w kościele w Chełmie, które odprawił prefekt ks. Faryś Stefan. W gronie nauczycielskim nie nastąpiły żadne zmiany. Naukę zreorganizowano w następujący sposób: p. Zatoń uczy klasę I prócz religii i klasę III prócz religii i ćwiczeń cielesnych oraz część zajęć praktycznych z dziewczynkami w klasie V i VI, godzin 26 tygo-

---

<sup>28</sup> Wikariusz w parafii Chełmo w latach 1942-1945 - T. A. Nowak, *Chełmo...*, s. 234.

dniowo. P. Stankiewicz klasę V i VI prócz religii i śpiewu, ćwiczenia cielesne w klasie III. P. Karczewski klasę II i IV prócz religii i śpiew w klasie V i VI. Nauka odbywa się w 3 salach, w dwóch w budynku własnym i jednym wynajętym [88] u p. Nowak. Ferie jesienne trwają od 20 września do 4 października 1944 r.

Widziałem 22 maja 1944 r. [podpis nieczytelny] Rok szkolny zakończono 10 lipca 1944 r. Zatoń Helena, kierownik szkoły

[89] Rok szkolny 1944-45

Rok szkolny rozpoczęto nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie. W gronie nauczycielskim nastąpiły zmiany. P. Stankiewicz B. przeniósł się na własną prośbę na stanowisko kierownika szkoły w Garnku, gm. Garnek. Naukę zorganizowano przy 2 siłach: p. Zatoń klasa II i III z IV, p. Karczewski klasy I i V z VI. Od 2-10 października przerwa w nauce z powodu kopania ziemniaków. 7 listopada 1944 r. zostaje mianowana na stanowisko nauczycielki p. Grabowska Stanisława wysiedlona z Warszawy. Prace podzielono następująco: p. Grabowska klasa I, język polski klasa V i VI, arytmetyka V i VI, przyroda V i VI, zajęcia praktyczne i śpiew, rysunki V i VI [90] P. Zatoń klasa II język polski, rysunki i śpiew klasa III z IV. P. Karczewski przyroda III z IV, V z VI, zajęcia praktyczne oraz arytmetyka w III z IV.

Z powodu braku opału nastąpiła przerwa w nauce, postanowiono jednak, żeby każde dziecko codziennie przyniosło kawałek drewna. Nie wystarczało to na ogrzanie dwóch sal, uczono więc w jednej sali przy zmniejszonej liczbie godzin. Od godz. 8-11 kl. V i VI, od 11-13 klasy II z IV, od 13-15 klasy I z II. Ferie świąt Bożego Narodzenia trwały od 23 grudnia do 9 stycznia 1945 r. Od 15 stycznia 1945 r. nastąpiła przerwa w nauce wskutek działań wojennych. Po tygodniu naukę rozpoczęto już w oswobodzonej Polsce.

1 lutego p. Karczewski przeniósł się [91] na własną prośbę do Biestrzykówka gm. Dmenin, p. Grabowska wyprowadziła się do Sokolej Góry, tym samym zostaje zwolniona i wyjeżdża do Warszawy. W tym czasie naukę prowadziła sama p. Zatonniowa. Od 1 marca 1945 r. została przydzielona do szkoły p. Górka Maria, która dotychczas pracowała w Pratkowicach gm. Wielgomłyny. Naukę zorganizowano przy dwóch siłach nauczycielskich. Klasy I, III z IV objęła całkowicie p. Zatoń, klasy II i V z VI p. M. Górka. Z dniem 1 maja p. H. Zatoń przenosi się na własną prośbę do Gowarzowa. W Kraszewicach pozostaje sama i prowadzi wszystkie roczniki. Klasy V i VI oraz III i IV uczęszczają co drugi dzień. W ten sposób nauka trwała do wakacji, to jest do 10 czerwca. M. Górka, nauczyciel kierownik.

[92] Rok szkolny 1945/46

Z dniem 1 września 1945 r. zostają przydzielone do szkoły w Kraszewicach następujące siły nauczycielskie: Frań Kazimierz z pełnieniem obowiązków kierow-

nika, p. Franiowa Janina oraz Knasiówna Witalisa. Dotychczasowa jedyna siła nauczycielska p. Górka Maria została na własną prośbę przeniesiona do szkoły w Strzelcach Małych. Rok szkolny rozpoczął się nabożeństwem w kościele parafialnym w Chełmie, zaś po powrocie do szkoły i przemówieniu kierownika dzieci udały się do domów. Nauki nie można było rozpocząć z powodu opłakanego stanu budynku szkolnego. Dach został uszkodzony częściowo przez burzę, ściany w obydwu salach szkolnych znajdowały się tak podziurawione [93] i wybrudzone, że nie można było pogodzić się z myślą, aby w ten sposób mogła wyglądać szkoła. Z powodu tych braków przerwa w nauce trwała do 13 września, gdyż niełatwo było znaleźć murarza, który dziury w ścianach pokleił oraz ludzi, którzy po niewysłowionych zabiegach kierownika szkoły dach słomą podłatali. Ścian w salach szkolnych, tj. pomalować nie udało się, ponieważ zarządowi gminy nie opłacało się tego robić, a gdy malarz chciał przyjechać, to wyznaczona podwoda nie pojechała po niego. Kiedy znów podwoda pojechała, to malarza nie było. Zabiegając o zorganizowanie szkoły wydaje się, że mieszkańcom Kraszewic szkoła nie jest potrzebna. Chociaż nie [94], właściwie chcą szkoły, lecz aby Rząd i gmina szkołę wybudowały i o nią dbały, a mieszkańcy nie chcą słyszeć o żadnych obowiązkach względem szkoły.

Oprócz braków wyżej wymienionych było tu wiele innych. Brak zupełny biblioteki i jakichkolwiek podręczników nasuwał również ogromne trudności kierownikowi szkoły. Z pomocy naukowych znajdowały się: 1 mapa Europy, 2 globusy, 2 mapy, imadło (?), 1 ciężarek kilogramowy, miara 11,5 l oraz mało znaczące drobiazgi. Mimo wszystko przystąpiono do ofiarnej pracy. Ponieważ nie było trzeciej sali ani mieszkania dla nauczycielki, kierownik szkoły zasięgnąwszy rady wójta gminy p. Łuszcz Zygmunta, pojechał do Radomska [95] i postarał się w Urzędzie Ziemi o przydział dla celów szkolnych 5,08 ha ziemi oraz budynków gospodarczych pożydowskich. Lecz gdy o tym powiadomił na zebraniu gromadzkim mieszkańców, to ci oburzyli się przeciwko całkowitemu załatwieniu sprawy, mówiąc że oni budynku te oraz 2,31 ha ziemi przeznaczonej przez Urząd Ziemi pod szkołę, uchwalili dla stróża gromadzkiego, co też stróż ten używa. Wobec czego wszystkie trzy siły nauczycielskie zamieszkały w mieszkaniu kierownika, znajdującym się w budynku szkolnym. Ponieważ są tylko dwie sale, wobec tego na Radzie Pedagogicznej rozdzielono klasy następująco: I i II p. Franiowa Janina, III i IV p. Knasiówna Witalisa, V i VI p. Frań Kazimierz, z tym że nauka I i II klas odbywać się będzie [96] popołudniami.

Od 1 do 12 października nastąpiła ponownie przerwa w nauce z powodu braku okien i tym razem również kierownik szkoły miał pole do popisu, bo ustawicznie chodził od wójta do sołtysa, to zwoływał opiekę szkolną i z wielkim trudem zdobył dla jednej sali podwójne, a dla drugiej pojedyncze okna. Na marginesie zaznaczyć

należy, że praca taka i ustawiczna zależność od ogółu mieszkańców nie należy do przyjemności i zadowolenia nie daje.

20 października rozpoczęła się dalsza nauka, przy czym kierownik nadal czynił starania o uzyskanie w drugiej sali podwójnych okien, lecz wszystko to bezskutecznie. Wielką trudność i podwójną pracę gronu przyczynił brak dzienników [97] lekcyjnych w inspektoracie, które zostały nabyte dopiero z końcem lutego. Wiele czasu musiał poświęcić kierownik dla zdobycia opału dla szkoły oraz zapewnienie jako takiej egzystencji siłom nauczycielskim.

Na 6 grudnia w dzień św. Mikołaja urządzono z wielkim nakładem pracy w sali szkolnej przedstawienie z tym, że p. Franiowa zajęła się sporządzeniem podarków dla wszystkich dzieci, ponieważ rodzice oświadczyli, iż w Kraszewicach nie ma zwyczaju, aby dzieciom robić prezenty, bo „kto by tu dzieciom co dawał?”. Dekorację sceniczną wykonała p. Knasiówna, reżyserię objął kierownik, scenę zaś wykonali dwaj młodzi mieszkańcy Kraszewic, pp. Kluza Czesław i Gajda Teodor, przy czym ostatni z nich przyjął i wywiązał się doskonale z roli św. Mikołaja.

[98]. Wiele pracy włożył kierownik w zorganizowanie świetlicy wieczornej dla młodzieży dorosłej, lecz praca ta nie dała pożądaných wyników z powodu braku lokalu, a sala szkolna nie nadawała się do tego celu. Wśród ustawicznych trudności, jakie stawiało miejscowe społeczeństwo, kontynuowano naukę do Bożego Narodzenia. 8 stycznia rozpoczęła się normalna nauka, a brak zainteresowania szkołą objawiał się tym, że dzieci szkolne w czasie zajęć praktycznych musiały same rąbać drzewo do szkoły, bo ani wójt, ani sołtys nie przysyłałi potrzebnych ludzi, pomimo ustawicznych nalegań kierownika. Sołtysiem był w tym czasie Łopusiński Józef, a wójtem Łuszcz Zygmunt, obaj z Kraszewic.

[99] 9 lutego odbyła się rejonowa konferencja w Kraszewicach, przy czym lekcję praktyczną śpiewu prowadził kierownik. Dzieci oddziału I śpiewały z nim wywołując ogólne uznanie i zachwyty. 23 lutego odbył się uroczysty poranek ku czci 200. rocznicy urodzin Tadeusza Kościuszki. Słowo wstępne wygłosił kierownik. Od 18 do 23 kwietnia ferie wielkanocne. 1 maja święto pracy, 2 maja dzień wolny od nauki, 3 maja święto narodowe. Przemówienia 1 i 3 maja wygłosił kierownik.

Od 1 kwietnia p. Knasiówna z trudem odnalazła mieszkanie u Kaczmarka Jana<sup>29</sup>, płacąc z własnej kieszeni 300 zł miesięcznie. 2 i 3 kwietnia p. inspektor Król wizytował szkołę. Do zarządzeń pana inspektora tutejsze grono starało się zastosować. 14 kwietnia odbyło się zebranie gromadzkie, na którym uchwalono i wysłano podanie do Inspektoratu Szkolnego oraz Zarządu Gminy [100] w sprawie budowy

---

<sup>29</sup> Dom na rogu, na zakręcie drogi w stronę Chełma, na wprost obecnego sklepu.

nowej szkoły w Kraszewicach. Dnia 28 czerwca zakończono rok szkolny nabożeństwem w Chełmie oraz rozdaniem świadectw. Frań Kazimierz, kierownik szkoły

[101] Rok szkolny 1946/47

Rok szkolny rozpoczęto nabożeństwem w Chełmie dnia 3 września 1946 r. Nauczanie prowadzili: Frań Kazimierz oraz Franiowa Janina, natomiast Knasiówna Witalisa nie mogąc znaleźć mieszkania, została przeniesiona na własne żądanie do Konar. W tym roku również mieszkańcy gromady Kraszewice oraz Koconia nie wykazali zbytniego zainteresowania szkołą, dopiero po wielkich trudnościach uchwalono złożyć słomę na dach, który też naprawiono pod koniec października 1946 r. Pozostała jeszcze sprawa wymalowania sal szkolnych oraz mieszkania kierownika. Po usilnych zabiegach zdecydował się p. wójt gminy Łuszcz Zygmunt posłać malarzy w bardzo [102] odpowiedniej porze, bo 14 grudnia. Dzięki jednak wydajnej pracy p. Janiny Franiowej odnowienie wnętrza szkoły zostało przeprowadzone mimo nieodpowiedniej pory. W roku 1946/47 przy układaniu budżetu uchwalono na zebraniu Gminnej Rady Narodowej w Masłowicach wstawić pozycję na budowę nowej szkoły w Kraszewicach. Ziemia pożydowska, która była przydzielona przez Powiatowy Urząd Ziemski do tymczasowego użytkowania na rzecz szkoły w roku 1945/46, została przekazana spadkobiercom i obciążona dzierżawą, tak że kierownictwo szkoły traci prawo użytkowania z końcem roku szkolnego 1946/47. W roku 1946/47 z powodu braku odpowiedniego lokalu nie urządzono żadnego [103] przedstawienia, natomiast dwugłosowy chór szkolny wykonał pieśni w czasie akademii i uroczystości szkolnych. Rok szkolny zakończono nabożeństwem w Chełmie, popisami dzieci oraz rozdaniem świadectw 28 czerwca 1947 r. Frań Kazimierz, kierownik szkoły.

Rok szkolny 1947/48

6 września 1947 r. Rok 1947/48 przyniósł duże zmiany. Państwo Franiowie na własną prośbę zostali zwolnieni. Na ich miejsce przybyli: pani Z. Nebeska jako kierownik szkoły oraz p. Cz. Kubikówna i Stanisław Pągowski, nauczyciele kwalifikowani. [104] Z przybyciem większej ilości sił nauczycielskich podwyższono poziom naukowy szkoły do VI oddziałów. Z. Nebeska, kierownik szkoły.

10 października. Na przelomie miesiący września i października rozpoczęto prace przygotowawcze do budowy nowej szkoły. Mianowicie przystąpiono do lasowania wapna, którego sprowadzono 500 m. Wapno to przywiezione przez mieszkańców Kraszewic i Koconi zlasowano drogą szarwarku<sup>30</sup>. W dniu 29 września p. inspektor Król odbył krótką wizytację, badając organizację szkoły. Z. Nebeska, kierownik szkoły.

---

<sup>30</sup> Szarwark to przymusowa praca społeczna, głównie przy budowie i naprawie dróg. Zwyczaj zniesiono w 1958 r.



[105] 26 listopada. W dniu 22 listopada została staraniem grona nauczycielskiego komedyjka w 3 odsłonach pt. „Czarodziejska fujarka”<sup>31</sup>. Czysty dochód w sumie 4600 zł Rada Pedagogiczna postanowiła obrócić na dodatek do poborów nauczycielskich po 900 zł na osobę, co stanowi 2700 zł. Resztę obrócono na zakup książek do biblioteki. Z. Nebeska

21 grudnia. W sobotę dnia 20 b. m. w szkole odbyła się staraniem nauczycielstwa choinka, na którą złożyły się deklamacje i kolędy oraz Gwiazdor, rozdający dzieciom upominki. Z. Nebeska. [106] 29 kwietnia. W dniu 24 kwietnia szkoła wzięła udział w uroczystościach „Święto Lasu”. Po wysłuchaniu nabożeństwa w Strzelcach Małych dziatwa udała się do lasu, gdzie zwiedziła szkółkę i tereny zdewastowane przez Niemców. Z. Nebeska

[107] Rok szkolny 1949/50

Na własną prośbę Inspektorat Szkolny w Radomsku przeniósł pod Koniecpol ob. Michalskiego, który pełnił tu obowiązek kierownika szkoły oraz ob. Pągowskiego, tutejszego nauczyciela. Na ich miejsce przyszyły dwie nowe siły. Ob. K. Szymanek pełniący obowiązki kierownika szkoły i ob. Nadrowska Lucyna jako nauczycielka. Trzecia siła to ob. Kortasówna M., która uczyła tu w zeszłym roku szkolnym. Ob. Kortasówna i ob. Nadrowska uczą jako siły wykwalifikowane<sup>32</sup>. Ponieważ dawny kierownik wyjechał przed początkiem roku szkolnego, nie zdając szkoły swemu następcy i Zarząd Gminy Masłowice nie spieszył się z remontem szkoły, więc rok szkolny 1949/50 rozpoczął się dnia 7 września [108]. Lecz ten początek roku bardzo się różnił od początku pracy w szkole w roku ubiegłym. Nie było już uroczystego nabożeństwa w Chełmie, opierając się na dekrete Rządu o wolności sumienia i wyznania. Uroczystość otwarcia roku szkolnego miała następujący przebieg: 1) zbiórka dzieci koło masztu, 2) krótkie przemówienie ob. K. Szymanka, 3) odczytanie listu ob. Ministra Oświaty Skrzyszewskiego, 4) wręczenie przez dzieci flagi państwowej ob. po. Kierownikowi, 5) śpiew „Naprzód młodzieży świata” i jednoczesne wciąganie flagi na maszt wkopany przed szkołę, 6) przechód dzieci do klas.

Bardzo dużo mieliśmy trudności przy szukaniu mieszkania dla ob. Kortasówny i Nadrowskiej. K. Szymanek. [109] Dnia 6 grudnia. Staraniem kierownika szkoły ob. K. Szymanka została zorganizowana akademie w dniu 6 czerwca 1949 r. z okazji 32. Rocznicy Rewolucji Październikowej. Na wsi było to wielką nowością – przedstawienie, w dodatku za darmo. Ze śpiewem poszło nam bardzo łatwo. Trudniej było z inscenizacjami. Po wielu trudach i generalnej próbie, która trwała do godziny 11.30 w nocy, stworzyliśmy pewną całość. W niedzielę dnia 6 okazało się, iż sala szkolna nie zdoła pomieścić tutejszej ludności. Na skutek tłoku zgnieciona

---

<sup>31</sup> Poemat Marii Bartus z 1884 r.

<sup>32</sup> W tym miejscu w kilku kartach jest wypalona papierosem dziura.

została nasza apteczka szkolna, dzieło klasy VI i VII. Uczniowie klasy VI i VII bali się występować, gdyż nigdy nie przypuszczali, [110] aby przybyło aż tyle ludności. Program akademii był następujący: 1) odśpiewanie „Międzynarodówki”, 2) przemówienie kierownika szkoły, 3) odśpiewanie „Jeszcze Polska”, 4) przemówienie uczennicy klasy VII Kluzówny (?), 5) wiersz pt. „Lenino”, 6) przemówienie uczennicy klasy VII Łuszczówny, 7) odczytanie ucznia klasy VII pt. „Znaczenie Rewolucji Październikowej dla Polski i narodów całego świata”, 8) śpiew „Roty, 9) wiersz pt. „Rodowód”, 10) śpiew „My ze spalonych wsi”, „Idą partyzanci”, 11) wiersz pt. „Co mi tam poszli kolego” (?), 12) śpiew „Dwie matki”, „Gdy ruszał na wojenkę” (?), [111] 13) Inscenizacja pt. „Rzeczpospolita” klasa V, 14) śpiew „Sianokos” (?), „Wieczór na redzie” (?), 15) wiersz pt. „Pieśń o Stalingradzie”, 16) inscenizacja klas VI i VII, 17) śpiew „Gdy naród do boju”, „Już dopala się ogień”, „Pieśń partyzancka”, 18) wiersz pt. „Każdy twój brat”, 19) taniec Kujawiaczek, 20) Pieśni „Oka”, „Spoza gór i rzek”, „Ukraina”, 21) zakończenie „Naprzód młodzieży świata”. Kierownik szkoły K. Szymanek. 2 grudnia 1949 r. podinspektor szkolny [podpis nieczytelny] [112] Dnia 28 maja 1950 r. w związku z trzecią rocznicą zgonu Generała Karola Świerczewskiego grupa dziewczynek z klasy VII urządziła akademię, aby uczcić jego bohaterską śmierć.

Dzięki staraniom kierownika szkoły ob. Szymanka Kazimierza w miesiącu kwietniu cały plac obok szkoły został zasadzony drzewami, boisko zostało wyplanowane. Na boisku w ogrodzie są porobione ławki do siedzenia, aby żadne dziecko podczas przerwy nie stało tylko miało miejsce gdzie usiąść. Alejki obok szkoły również nie są zaniedbane, lecz odwrotnie, podczyszczone i poobkładane darniami. Pomnik Józefa Ignacego Kraszewskiego, [113] który był zaniedbany, został odnowiony i obsadzony kwiatami. Lecz nie tylko pomnik i plac obok szkoły jest odnowiony, również i sale szkolne też nie są opuszczone i wyglądają inaczej niż podczas innych lat. Przyjemnie jest w tym roku popatrzeć w salach i obok szkoły, chociaż szkoła stara i licha. W związku z czynem 1-majowym grupy z klasy VI i VII podjęły swoje zobowiązania, które do dnia 28 kwietnia wykonały w 100%. Dnia 1 maja grupa II klasy VI urządziła akademię, aby uczcić 1 maja święto pracy i pokoju na całym świecie. 21 maja w lokalu tutejszej szkoły odbyło się zebranie w celu [114] budowy nowej szkoły. Mieszkańcy wsi Koconi i Kraszewic chętnie wysłuchali prośb pana kierownika Szymanka i zgodzili się na budowę tej szkoły.

Dnia 4 czerwca uczniowie i uczennice wszystkich klas zorganizowali akademię w celu poświęcenia „Międzynarodowego Dnia Dziecka”. Na akademię tę ludności przybyło bardzo dużo i wszyscy z występów tych byli bardzo zadowoleni. Program był następujący: 1) odśpiewanie „Jeszcze Polska”, 2) przemówienie kierownika szkoły, 3) przemówienie uczennicy klasy VII Kluzówny, 4) inscenizacja kl. I, II, III,

5) inscenizacja klasy VI-VII pt., „Dzień dziecka”, 6) „Maciek Bzdura”, 7) inscenizacja klasy IV pt. „Jest drożyna jest”<sup>33</sup>, 8) „Młynarz” w klasie VI-VII, 9) „W Zaborowie jest kościółek” klasy IV-V, 10) „Pokłoń się Hanko” klasy IV-V, 12) Kujawiak.

W dniu 11 czerwca dzięki wielkim wysiłkom ob. Nadrowskiej Lucyny dzieci odegrały dwie komedyjki w trzech odsłonach pt. „7 Październik” i „Ciotka na wydaniu”<sup>34</sup>. Po wielu trudach i generalnych próbach odbywających się do godziny 11.30 lub do godziny 12 utworzyliśmy pewną całość. W dniu 4 czerwca mogliśmy już śmiało [116] występować bez jednej obawy. Ludności przybyłej na przedstawienie sala szkolna ledwie zdołała pomieścić.

Dnia 23 czerwca 1950 r. odbyło się zakończenie roku szkolnego. W dniu tym urządziliśmy akademię, aby uroczystie pożegnać szkolne mury, w których przebywaliśmy przez cały rok szkolny. W dniu tym wszyscy mile pożegnaliśmy się z naszymi wychowawcami i szkołą. Wielu z nas już do niej uczęszczać nie będzie, lecz pójdzie wyższych szkół, aby się kształcić w dalszym ciągu. Akademia nasza również bardzo zadowalała [117] zgromadzonych. Jednocześnie nie tylko ta ostatnia akademia sprawiła wszystkim przyjemność, ale wszystkie występy minione w ciągu roku, ponieważ przedstawienia były bezpłatne i wszyscy mieli dostęp w każdym czasie. Chociaż na każdy raz wraz z wychowawcami włożyliśmy dużo trudów, lecz mamy radość, iż wszyscy i z każdego występu byli zadowoleni. Ostatnia nasza akademia, tj. na zakończenie roku szkolnego miała program następujący: 1) ściągnięcie flagi, 2) przemówienie kierownika szkoły, 3) przemówienie członka Komitetu Rodzicielskiego, 4) odczytanie pożegnania przez ucznia klasy VII Toborka. [118] 5) odczytanie pożegnania przez ucznia klasy VI Dyktyńskiego, 6) rozdanie świadectw klasie VII, 7) inscenizacje i pieśni klas I, II i III, 8) inscenizacje klas IV-V, 9) inscenizacje klas VI-VII, 10) odśpiewanie „Międzynarodówki”, 11) odśpiewanie „Roty”.

Kronikarka szkoły w roku 1949/50 Kluzówna Anna.

Uczniowie, którzy ukończyli VII klasę w tutejszej szkole: Kluzówna Anna, Kurkówna Halina, Kopiecka Józefa, Stróżykówna Anna, Banszczyk Zofia, Zawadzki Tadeusz, Kaczmarek Zenon, [119] Wodnicki Stefan, Stelmaszczyk Jan, Toborek Mieczysław, Foksowicz Joanna, Tomalka Stanisław, Piech Henryk.

[120] Rok 1950/51

Dnia 27 listopada 1950 r. w Publicznej Szkole Podstawowej w Kraszewicach odbyła się uroczysta akademia ku czci 33. rocznicy Rewolucji Październikowej. Na tej akademii ludzi było dużo.

Na początku roku szkolnego 1950 r. został założony Związek Harcerstwa Polskiego. Do tego związku należą prawie wszyscy uczniowie klas V-VII. Przewod-

---

<sup>33</sup> Piosenka ludowa.

<sup>34</sup> Komedia Józefa Blizińskiego z 1883 r.

niczącym Drużyny jest Musiał Jan, natomiast zastępowym zastępu pierwszego jest Janocha Stefan, zastępowym drugim jest [121] Płóciennik Józef. Drużyna nosi imię gen. Świerczewskiego. W 1950 r. na miejsce ob. Nardowskiej Lucyny, która na własną prośbę została przeniesiona przez inspektorat z tutejszej szkoły, przybyła nowa nauczycielka ob. Bura Helena. W lutym 1951 r. ZHP wykonało gazetki (pt. Za wo) ściennie pt. „Za wolność naszą i za waszą”, „Lenin”, „Kobiety w pracy”, „Pokój zwycięża” i „Sport w ZSRR i w Polsce Ludowej”. W 1951 r. w tutejszej szkole podstawowej w Kraszewicach powstała świetlica, na którą uczęszczają uczniowie oraz [122] Zetempowcy. Braliśmy udział w festiwalu harcerskim w Bąkowej Górze i w Radomsku. 3 lipca obchodziliśmy akademię ku czci Międzynarodowego Dnia Dziecka, na której ludzi nie było dużo z powodu, że nadal padał deszcz. Wokoło szkoły zasadziliśmy 5000 drzewek. Oraz braliśmy udział w sadzeniu lasu, gdzie zasadziliśmy 5000 drzewek. Szkołę zakończyliśmy 23 czerwca. Kurek (?).

[123] rok 1951/52

Wrzesień. Rok szkolny rozpoczęto 1 września 1951 r. Otwarcia roku szkolnego dokonał kierownik szkoły ob. Szymanek Kazimierz. Rozpoczęcie było bardzo uroczyste. W gronie nastąpiły zmiany, na miejsce byłego kierownika szkoły Szymanka, który przebywał pół tygodnia, po czym wyjechał na studia do Warszawy, skąd zabrano go do wojska, została mianowana kierownikiem tutejszej szkoły ob. M. Kortas. Natomiast nauczycielka Bura została przeniesiona na własną prośbę. Natomiast przybyły nowe siły w składzie trzech osób. Ob. Okoń Bożena, Łyp Eugeniusz, [124] po kilku dniach nauki przybyła w zastępstwie za brata swojego ob. Szymanek Czesław. Mając pełen skład sił przystąpiono do podziału przedmiotów nauczania i wychowawstwa w poszczególnych klasach. Ob. M. Kortas została wychowawczynią kl. VIII i I, natomiast przedmioty prowadzi w poszczególnych klasach, w kl. VII matematykę, biologię, geografę, rysunek i roboty, kl. VI biologię i geografę, kl. IV roboty i rysunki, kl. I cała. Ob. Okoń Bożenna została wychowawcą kl. VI i III, a przedmioty ma następujące: w kl. VII fizyka, śpiew, WF, kl. II-IV polski, historia, rosyjski, śpiew, WF [125], kl. IV i V biologia, rosyjski, rysunki, śpiew, WF, kl. II i III polski i śpiew. Ob. Szymanek pełni wychowawstwo w kl. IV i II, a następujące przedmioty w kl. VII: polski i rosyjski, kl. IV cała, kl. II i III matematyka i WF. Ob. Łyp Eugeniusz wychowawstwo w kl. V, przedmioty prowadzi w kl. VII chemia i NOP, kl. VI matematyka, fizyka, rosyjski, roboty, kl. III geografia, historia, biologia, rysunki, kl. V polski, historia, geografia, matematyka, fizyka, kl. I i II rysunki i roboty.

[126] Październik. W październiku dzięki staraniom tutejszego grona pedagogicznego z ob. kierownikiem na czele i organizacją harcerską urządzono akademię poświęconą ku czci 33. rocznicy Rewolucji Październikowej. Ludności było bardzo

dużo, a program był obszerny. Ludność była zachwycona występami i werwą młodzieży, która brała udział w akademii.

Listopad. W listopadzie staraniem przewodnika Drużyny Harcerskiej Okoń Bożenny została zorganizowana zabawa harcerska.

Grudzień. W grudniu odbyła się uroczysta choinka Noworoczna, przy której dzieci otrzymały liczne podarki [127] od „Dziadka Mroza”. Podarki były szykowane przez tutejsze nauczycielstwo, co sprawiło im dużo pracy i kłopotu. Dużą pracą okazał się również kolega Łyp Eugeniusz, który wałkował ciasto.

Styczeń. W styczniu obchodziliśmy urodziny J. Stalina, którego urodziny przypadały 21 grudnia, a ponieważ były to święta Bożego Narodzenia, uroczystość ta została odłożona na styczeń.

Luty. W poranek lutowy nauczycielstwo wraz z młodzieżą złożyło życzenia kierownicze szkoły M. Kortas, za co kierowniczką się zrewanżowała, urządziła huczną zabawę.

[128] Marzec. W miesiącu tym szkoła obchodziła uroczysty Dzień Kobiet, w dniu tym koledzy składali serdeczne życzenia swoim koleżankom z wszystkich klas.

Kwiecień. Drużyna Harcerska urządziła uroczystą akademię ku czci 60-lecia urodzin Prezydenta RP B. Bieruta oraz złożyła przysięgę harcerską, na którym przewodnicząca Drużyny B. Okoń wręczyła legitymacje harcerskie i chusty. 20 kwietnia Drużyna Harcerska pojechała na festiwal do Bąkowej Góry z występami artystycznymi, na którym Drużyna zakwalifikowała się na festiwal powiatowy.

[129] Maj. Na 1 maja młodzież szkolna oraz nauczycielstwo pojechało do Strzelca, gdzie odbyła się część oficjalna, potem młodzież udała się w pochodzie do Masłowic, gdzie odbyła się część artystyczna, w której udział brała młodzież z wszystkich szkół gminy, a potem ekipa z Piotrkowa. 18 maja Drużyna Harcerska pojechała na festiwal powiatowy do Radomska.

Czerwiec. 1 czerwca obchodzono Międzynarodowy Dzień Dziecka. Drużyna przygotowała uroczystą zbiórkę harcerską. Dnia 7 czerwca zastęp I, II i III był z wycieczką na Chełmskiej Górze, gdzie bardzo miło spędzono [130] czas, na zabawach, grach oraz przy płonącym ognisku, z którego snuł się dym pełznął po zielonej murawie, mieszał się z pieśniami dziecięcymi i rozplątywał się wśród łez rosy.

25 czerwca odbyło się bardzo uroczyste zakończenie roku szkolnego. Odbyła się akademie z obszernym programem artystycznym, a potem zabawa dziecięca.

Grono tutejsze w całym roku szkolnym 1951/52 okazało się wielką pracą, a mianowicie: szkoła zdobyła 15 ławek nowych, tablicę, stół, krzesło, 16 nowych portretów z dostojnikami naszego Rządu, liczydło, globus fizyczny duży, globus inдукcyjny, przybory do geometrii, mapę fizyczną Polski i Ameryki Południowej oraz

wiele przyrządów do [131] fizyki. Zebrano ok. 5 metrów złomu, uporządkowano boisko szkolne i podwórko, założono 6 ogródków szkolnych, które dzieci pielęgnowały przez cały rok. 26 czerwiec 1952 roku. Nauczycielka B. Okoń

#### [132] Rok szkolny 1952/53

Wrzesień. Rok szkolny rozpoczęto 1 września 1952 r. Otwarcia roku szkolnego dokonała kierownik szkoły ob. Kortas M. Rozpoczęcie było bardzo uroczyste: 1) przemówienie kierownika szkoły, 2) odśpiewanie Międzynarodówki, 3) wiersze i piosenki o wakacjach, 4) taniec „Koziołwijka” (?).

Siły nauczycielskie były w następującym składzie: 1) Kortas Maria jako kierownik szkoły, 2) Okoń Bożenna (Kowalska) ponieważ w wakacje wyszła za mąż, 3) Karaś Marian, który zaczął tu pracować pierwszy rok jako nowy nauczyciel, 4) Grabowski Władysław, który przybył tu na równorzędne stanowisko ze szkoły w Ciężkowicach, pow. Radomsko. Karaś Maria i Grabowski Władysław pracowali na miejscu Łypa Eugeniusza, który na własne żądanie zwolnił się, udając się na wyższe studia do Łodzi i na miejsce Szymanek Czesławy, która również na własne żądanie uzyskała zwolnienie, przenosząc się do pracy biurowej w Łodzi.

Pracę w szkole oraz przedmioty nauczania podzielono w następujący sposób: klasę I uczyć będzie ob. Kortas M., klasę II ob. Grabowski Władysław, klasę II i IV ob. Karaś M. W klasach V, VI i VII podzielono się [134] przedmiotami: matematykę, biologię i geografii ob. Kortas M., język polski i rosyjski ob. Kowalska Bożenna, a pozostałe przedmioty w tych klasach ob. Grabowski Władysław.

Podczas całego roku szkolnego nauczyciele i kierownik szkoły włożyli dużo pracy. Urządzono przez ten rok kilka akademii związanych z uroczystościami i wydarzeniami szkolnymi i dwie zabawy dla dzieci.

W dniu 2 lutego 1953 r. urządzono przedstawienie pt. „Mundur swatem”<sup>35</sup>, gdzie za dochód z tego przedstawienia zakupiono zegar kredensowy dla szkoły za 550 zł i patefon oraz 9 płyt do patefonu [135] za 625 złotych. Następnie dzięki staraniom kierownik szkoły szkoła otrzymała 1 szafę na pomoce naukowe, 1 tablicę wieszaną dużą, która jest bardzo wygodna jako pomoc naukowa i 1 metr desek, z których zrobiono 4 okna do sali zachodniej, ponieważ te stare były w opłakanym stanie. Resztę desek zużyto na reperację podłóg, drzwi i budynków gospodarczych. Prace te odbywały się po południu, po lekcjach, wykonywane były przez członków Komitetu Rodzicielskiego. Pobrano również studnię, ponieważ w zimie i w lato nie było wody i trzeba było chodzić po wodę do wsi. Założono również nowe słupki do studni i nowe wiadro [136]. Pokryto całe ustępy papą i dorobiono drzwiczki, ponieważ stan ich był niemożliwy. Wszędzie podczas deszczu lała się woda do mieszkań kierownik

---

<sup>35</sup> Komedia Józefa Jar-Mirskiego.

szkoły, w następnych salach szkolnych i gankach. Wszędzie dach wyglądał jak przetak albo sito i w związku z tym trzeba było zakasać rękawy i wziąć się do pracy, aby wraz z dziećmi nie popłynąć. Kierownik szkoły ob. Kortas M. robiła w tej sprawie kilka razy zebrania z rodzicami i Komitetem Rodzicielskim, aby ludność tutejsza pomogła w pracy, aby już wreszcie dołożyć starań i szkołę doprowadzić do jakiego takiego wyglądu. I praca moja nie poszła na darmo, [137] bo materiał mimo wszelkich moich starań otrzymałam z Wydziału Oświaty w Radomsku i Prezydium Gminnej Rady Narodowej w Masłowicach, a ludność tutejsza drogą szarwarku pomogła tak dużo, że nawet pokryto dachy na szkole, ustępach i gankach, zabito cały szczyt od strony zachodniej szkoły i całą ścianę frontową obito nowymi deskami, a zimą ogazono szkołę ściółką, którą dzieci wyrobiły.

Jak na złość najwięcej pracy spadło na moje barki w tym roku szkolnym. Dwie trudności były na początku z klasą, którą trzeba było wynająć na salę szkolną, ponieważ trafiły się mieszkania, ale wymagały dużego remontu, ale jakoś wszystko udało się [138] zrobić. Ob. Kaczmarek Tadeusz zgodził się, że wypuści mieszkanie na salę szkolną, ale żeby dać mu materiał na wykończenie sufitu, podłogi i zrobienie okien i drzwi. Dużo było z tym kłopotu, ale materiał dostał z gminy Masłowice i wykończył na czas, tak że lekcje rozpoczęły się w nowej sali na czas. Tak że cały rok tylko była uciążliwa praca, ale koniec roku przyjemny i radosny z tych osiągnięć, że szkoła jakoś wygląda. 25 czerwca 1953 r. M. Kortas, kierownik szkoły.

[139] Rok szkolny 1953/54

Rok szkolny rozpoczęto uroczystie w dniu 1 września 1953 r. Na rozpoczęciu roku szkolnego złożyła się krótka akademie przygotowana przez kierownik szkoły ob. Kortas Marię. Kowalska Bożenna przeniosła się na własną prośbę do Gdyni na równorzędne stanowisko, ponieważ tam był jej mąż. Na jej miejsce przybył nauczyciel ze szkoły podstawowej w Płoszowie, pow. Radomsko, Nowak Stanisław, ale dopiero 14 września 1953 r. Do dnia 14 września pracowały tylko trzy siły w składzie następującym: Kortas M., Grabowski Władysław i Karaś Marian. Po 14 września zrobiono nowe [140] posiedzenie Rady Pedagogicznej i podzielono pracę w następujący sposób: klasę I ob. Kortas M., klasę II ob. Grabowski Władysław, klasę II i IV ob. Karaś M., klasy V-VII podzielono przedmioty między wszystkich nauczycieli.

W dniu 27 października urządzono akademię ku czci Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, połączonej z Miesiącem Odbudowy Warszawy i Miesiącem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. 8 stycznia urządzono choinkę noworoczną, gdzie świetną rolę „Dziadka Mroza” odegrał nauczyciel tutejszej szkoły ob. Karaś Marian, rozdając dzieciom liczne podarunki, przygotowane przez kierownik szkoły [141] ob. Kortas Marię. Z każdą uroczystością szkolną zmieniano przez cały rok dekorację, robiono nowe gazetki ścienne i hasła.

W ciągu całego roku ob. kierownik szkoły urządziła 5 zebrań z Komitetem Rodzicielskim w celu budowy nowej szkoły, aby się ludność opodatkowała, mając już wapno i zaczęła zwozić kamień na fundament oraz zbierać pieniądze. Wielu obywateli wyraziło zgodę i przyrzekało pomagać, ale sprawa ta zginęła bez echa, bo już brakło cierpliwości bez przerwy przypominać, a jeszcze do tego próżna mowa, gdyż budowa tej szkoły nie była ujęta w Planie 6-letnim.

Ob. Kortas M. ucząc śpiewu i zarazem [142] grając na skrzypcach wyuczyła dzieci pięknie śpiewać na Festiwal, gdzie był z dziećmi w Bąkowej Górze, a później w Radomsku i dostał nagrodę w sumie 200 zł za piękne wykonanie. Dnia 1 czerwca urządzono obszerną akademię na Dzień Dziecka, a na zakończenie roku szkolnego dzieci dały krótkie przedstawienie dla ludności, a dzieci które wykazały się najlepszymi postępami w nauce i wychowaniu dostały nagrody książkowe i pochwały. Zakończenie odbyło się 25 czerwca 1954 r. M. Kortas, kierownik szkoły.

[143] Rok szkolny 1954/55

Rok szkolny rozpoczęto 1 września 1954 r., ale był dzień przerwy ponieważ szkoła nie była dostatecznie wyremontowana i przygotowana. Przez całe dwa miesiące wakacji kierownik szkoły przypominała o remoncie szkoły sołtysowi ob. Łopusińskiemu Józefowi jako przewodniczącemu Komitetu Rodzicielskiego i członkom Komitetu, że szkoła wymaga gruntownego remontu i należy się wziąć wcześniej do pracy, aby na czas to zrealizować. Mimo nalegań i przypomnień nie miał kto wyznaczyć ludzi do pomocy i murarza oraz odpowiednich fachowców potrzebnych przy remoncie. Kierownik szkoły sama fachowców wynalazła, [144] lecz należało ich zgodzić, ile mogą zarobić, bo przecież nie wszyscy mogli robić przy szkole drogą szarwarku. A pracy było bardzo dużo, ponieważ było zaplanowane, że w tym roku podczas wakacji muszą być wykonane następujące roboty: 1) przestawić dwa piece, bo nie grzały, 2) poreperować olbrzymie dziury w ścianach, gdzie tynk odleciał zupełnie, 3) postawić ścianę przez środek sali zachodniej, celem przegrodzenia sali dużej na dwie małe.

Nie miał się kto wziąć, aby kierownik szkoły pomóc. Mimo nalegań częstych, 25 sierpnia 1954 r. remont szkoły był nie ruszony. Nie miał kto dać podwoły po [145] piasek do wapna, ani deski i cegłę do Przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Masłowicach. Dopiero dwa dni przed rozpoczęciem roku materiał zwieziono i zaczęto pracę. Gaik Kazimierz z Kraszewic za szarwark przegrodził szkolną salę dając ściankę z cegły, Kulawiak Józef zarepetował dziury w ścianach z pomocą Oleśkiewicza Stefana i Cyrana Wincentego z Koconi, również drogą szarwarku. Strużyk Stanisław zrobił drzwi, które są w tej nowej ścianie, a Ziętała Walenty zrobił drzwi frontowe za 150 zł z materiału przydziałowego, bo naprawdę takie były te drzwi, że psy wchodziły do klasy. A piece to były przestawione w czasie lekcji, jak



już dobrze zimno było [146] i trzeba było w nich palić. Piece przestawił Basiak z za Radomska, za które Prezydium Gminnej Rady Masłowice wypłaciło mu 900 zł. Malowanie szkoły odbyło się 3 września w nocy, aby jak najprędzej skończyć. Od 3 września lekcje trwały normalnie, a reszta remontu odbywała się po lekcjach. Kierownik szkoły powiadomiła o bardzo lichym stanie tutejszej szkoły Wydział świąty w Radomsku i Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Radomsku, więc zjechali na miejsce, obejrzeni i mimo domagań kierownik szkoły sprawa poszła w zapomnienie. Przecież to szkoda pieniędzy wykładać co roku do takiego remontu, lepiej budować nową szkołę.

[147] Prace rozpoczęto w takim składzie nauczycielskim: Karaś Marian na własną prośbę przeniósł się do szkoły jednoklasowej w Borzykówce. Na jego miejsce przybyła nauczycielka ze szkoły w Grabach, pow. Radomsk, ob. Rejzowicz Cecylia<sup>36</sup>. Pozostałe grono: kierownik szkoły ob. Kortas M., Grabowski Władysław i Nowak Stanisław. Pracę podzielono i przystąpiono do pracy: Klasa I uczy ob. kierownik szkoły, kl. II ob. Grabowski Władysław, kl. III Rejzowicz Cecylia. Od klasy IV do VIII podzielono przedmioty między całe grono.



Maria Janosik w 1967 r.,  
fot. ze zbiorów Dariusza  
Janosika

Dnia 10 października 1954 r. ob. kierownik szkoły wzięła ślub i przybrała nowe nazwisko Janosik. [148] Dnia 8 listopada ob. Nowak Stanisław odszedł do wojska, na jego miejsce w zastępstwie przybył nauczyciel kontraktowy Zborowski Jan, który uczył w Przybyszowie i niedawno wrócił z wojska.

10 stycznia 1954 r. urządzono choinkę noworoczną z podarunkami dla dzieci, gdzie „Dziadka Mroza” odegrał mąż kierownik szkoły, ob. Janosik Bolesław. 18 lutego dzieci były na festiwalu w Bąkowej Górze, a 14 maja na Igrzyskach Letnich w Strzelcach Małych. Przez cały rok szkolny urządzano często akademie na wszystkie rocznice i uroczystości szkolne.

[149] Od 1 stycznia 1955 r. powstała w Kraszewicach nowa Rada Gromadzka, do której powstania bardzo dużo przyczyniła się ob. Janosik M., kierownik szkoły i nauczyciel Nowak Stanisław nim poszedł do wojska uczęszczając na zebrania, ponieważ były duże zamieszki, gdzie ma powstać nowa

<sup>36</sup> Cecylia Rejzowicz potem Oleszkiewicz, pracowała w kilku szkołach, m. in. w Babczowie, Grabach, Kraszewicach, Zakrzewie, Radomsku. Brała również udział w nauczaniu dorosłych, a po zakończeniu pracy w szkole związała się z MDK w Radomsku - *50-lecie Publicznej Szkoły Podstawowej nr 8 w Radomsku. Wspomnienia nauczycieli*, 7.06.2019, s. 11-12; T. Nowak, *Analfabetyzm, smutna spuścizna II RP*, „Gazeta Radomszczańska” 2020, nr 38, s. 12-13.

Rada Gromadzka, w Chełmie czy w Kraszewicach. Dzięki wyżej wymienionym nauczycielom Rada Gromadzka powstała w Kraszewicach, której przewodniczącym został Stypa Szymon z Chełma, sekretarzem Chmielewski Józef z Kraszewic i Opic Franciszek z Koconi jako zastępca przewodniczącego. Jak się okazało Rada Gromadzka od 1 stycznia do 25 czerwca 1955 r. nic dla szkoły nie dała, nic nie pomogła, [150] a potrzeby i remonty są ciągle z roku na rok. Zobaczmy co pokaże się dalej.

Rok szkolny zakończono uroczystą akademią, nagrodami i rozdaniem świadectw w dniu 25 czerwca 1955 r. M. Janosik, kierownik szkoły

Rok szkolny 1955/56

Rok szkolny rozpoczęto 1 września 1955 r. na placu szkolnym w Kraszewicach. Na rozpoczęciu roku szkolnego wysłuchano przez radio przemówienia ministra oświaty Witolda Jarosińskiego, podano komunikaty i dzieci poszły do domu. Otwarcia roku szkolnego dokonała Janosik Zenona z Sokolej Góry, [151] która zastępowała kierownik szkoły przez miesiąc wrzesień 1955 r. Ob. Janosik M., kierownik szkoły, była chora przez całe wakacje i od 10 lipca była w szpitalu do 13 sierpnia, przechodząc bardzo poważną operację. Remontami szkoły przez wakacje zajmował się mąż kierownik szkoły, ob. Janosik Bolesław, który jeździł kilka razy do Wydziału Oświaty w Radomsku i dzwonił telefonicznie, że Gromadzka Rada w Kraszewicach nic nie robi dla szkoły, ani nic nie daje. Z trudem udało mu się wydebić z Wydziału Oświaty metr desek, to znowu nie miał kto przywieźć. Wydział Oświaty wzywał kilka razy, aby przyjeżdżać po deski i nie miał kto wyznaczyć podwozy, a Rada Gromadzka jak śpi, tak śpi. [152] Nareszcie pełnomocnik ob. Nabiałkowski Piotr wyznaczył podwozę. Były również przydziały szaf, tablic, krzeseł, stołów i innych sprzętów i pomocy naukowych dla szkoły Kraszewice w Wydziale Oświaty i połowa rzeczy przepadła, bo nie było podwozy. Należy przyznać, że zainteresowanie gromady szkołą jest bardzo słabe. Z przywiezionych desek teść kierownika szkoły, ob. Teofil Janosik z Sokolej Góry, zrobił 9 okien do szkoły i dwoje drzwi, podłogi porperował Stępień Józef, woźny tutejszej szkoły a mąż kierownik ob. Janosik Bolesław trzy dni zarzucał dziury w ścianach, gdzie tynk odlatywał. Ale na 1 września 1955 r. sale szkolne choć stare były czyste [153] i wyremontowane.

Grono nauczycielskie było w następującym składzie: ob. Grabowski Władysław przeniósł się na własną prośbę do Ochotnika na równorzędne stanowisko. Na jego miejsce przybyła ob. Borton Teresa, z którą ożenił się Zaborowski Jan, która pracowała już rok w Ochotniku. Więc grono nauczycielskie składało się: Zborowski Jan, Zborowska Teresa (Borton), Rejzowicz Cecylia i Janosik Zenona, zastępująca urlopowaną Janosik Marię.

Podział pracy na ten rok szkolny odbywał się w obecności kierownik szkoły ob. Janosik Marii mimo jeszcze słabego zdrowia. Kl. I uczy Janosik Zenona, kl. II

uczy Zborowska Teresa, kl. III uczy Zborowski Jan [154], klasy IV, V, VI, VII – podzielono się przedmiotami według zdolności i zamiłowania do przedmiotu. W dniu 11 września szkoła brała udział w dożynkach w Chełmie, dając część artystyczną. Po trzech miesiącach ob. Janosik Maria powróciła do pracy po urlopie zdrowotnym, a zastępująca ją nauczycielka Janosik Zenona została przeniesiona do VII-klasowej szkoły podstawowej w Makowiskach, gromada Makowiska.

W tym roku szkolnym po lekcjach dzieci szkolne kilka razy były przy zbiorze chmielu w PGR Chełmo, za co szkoła uzyskała 580 zł. Za te pieniądze kierownik szkoły zakupiła 10 sztuk płyt pilśniowych, z których [155] ob. Janosik Bolesław zrobił foszt (?) i powstała kancelaria szkolna, tak bardzo upragniona przez wszystkich nauczycieli. Urządzono też w tym roku bardzo dużo wieczorków dla dzieci i starszych, akademii i innych uroczystości. Urządzono też bogatą choinkę z podarunkami dla dzieci. Uroczyście też obchodzono zakończenie roku szkolnego, gdzie dzieci wyróżniające się dobrą pracą, nauką czy zachowaniem otrzymały nagrody książkowe. Kierownik szkoły M. Janosik

#### Rok szkolny 1956/57

Rok szkolny rozpoczęto 1 września 1956 r., którego dokonała nauczycielka tutejszej szkoły ob. Rejzowicz Cecylia i Nowak Stanisław. Nauczyciel [156] Zborowski Jan, który pracował tu przez dwa lata jako kontraktowy niekwalifikowany nauczyciel, został zwolniony z pracy z powodu braku kwalifikacji, a na jego miejsce przybył w/w nauczyciel Nowak Stanisław, wracając z wojska, który pracował już tu przed dwoma laty. Kierowniczką szkoły ob. Janosik Maria i nauczycielka Zborowska Teresa od początku roku szkolnego nie pracowały mając 3-miesięczny urlop macierzyński. Z początkiem września na zastępstwo ob. Janosikowej przybyła nauczycielka kontraktowa ob. Cieślak Pelagia, a ob. Zborowską zastępował od 19 września 1956 r. nauczyciel również kontraktowy, ob. Zuterek Witold. Po urlopie macierzyńskim obie nauczycielki przystąpiły do pracy, a ich zastępcy zostali [157] przeniesieni na dalsze zastępstwa, a gdzie dokładnie, to nie wiem. Więc do końca roku szkolnego 1956/57 pracowały następujące siły: kierowniczką Janosik Maria, Zborowska Teresa, Rejzowicz Cecylia i Nowak Stanisław.

Pewnej nocy marcowej był tak okropny wiatr, że przewrócił ganek przy szkole od południowej strony, który był szatnią dla wszystkich dzieci i poczekalnią dla dzieci młodszych czekających na drugą zmianę nauki. Bez tego ganku było okropnie, więc kierownik szkoły od razu wystąpiła do Wydziału Oświaty w Radomsku o przydział materiału na nowy ganek, jak również do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Kraszewicach. Kosztowało to dużo zdrowia ob. kierowniczkę, bo wielu ludzi nie chciało się zgodzić na budowę tego ganku, że od strony szkoły nowy ga-

nek nie pasuje. [158] Nawet nauczyciel Nowak Stanisław wiele się temu sprzeciwiał, że lepiej budować nową szkołę.



Jadwiga Witasik (?) z uczniami na tle ganku, który pełnił rolę przedsionka i szatni oraz pokoju nauczycielskiego, fot. ze zbiorów Dariusza Janosika

Były z tym wielkie tarapaty, nawet zrobiono zebranie i wybrano Komitet Budowy Szkoły i ustalono składki z hektara. Koniec końcem nic z tego nie wyszło, składek nikt nie dawał prócz kierowniczk, która zaraz na pierwszym zebraniu dała 50 zł na budowę szkoły, a budowa szkoły pozostała na szarym końcu. A ganek potrzebny, bo dzieci podczas burzy, śniegów i deszczy nie miały się gdzie schronić. Więc wielkim staraniem kierowniczk i jej męża Wydział Oświaty w Radomsku przydzielił 2 m<sup>3</sup> i 2300 sztuk cegły, Prezydium GRN w Kraszewicach przydzieliła 1600 sztuk cegieł i z początkiem października 1957 r. rozpoczęto budowę ganku. Nikogo nie kosztowało ani [159] grosza, bo ob. Gaik Kazimierz murował ganek na szarwark i pomoc murarska pracowała też drogą szarwarku. Jednak na zimę ganek nie stanął, ponieważ ludzie za szarwark niechętnie pracowali. Wybudowano go tylko do połowy. Ale w murach nowego ganku woźny ob. Stępień Józef i mąż kierowniczk ob. Janosik Bolesław zrobili prowizoryczny ganek z desek, który stał tylko przez zimę, a dokończenie nowego ganku pozostawiono na drugi rok. Jak co roku urządzo- no w tym roku szkolnym wiele akademii, choinkę i uroczyste zakończenie roku

szkolnego. Kierowniczką szkoły M. Janosik. Od półrocza roku szkolnego 1956/57 ksiądz Nicpoń Czesław<sup>37</sup> prowadził religię w tutejszej szkole ze wszystkich klasach.

[160] Rok szkolny 1957/58 rozpoczął się uroczyście w dniu 2 września 1957 r. Rozpoczęcia dokonała ob. kierowniczką Janosik Maria wraz z ob. Zborowską Teresą i ob. Nowakiem Stanisławem. Nauczycielka Cecylia Rejzowicz na własną prośbę przeniosła się do 7-klasowej szkoły w Zakrzewie, a na jej miejsce został przydzielony nauczyciel Kruszyński Zdzisław, który dotąd pracował w Kobielach Wielkich. Jeszcze przed rozpoczęciem roku szkolnego 1957/58 nauczyciel Kruszyński Zdzisław został zawieszony w czynnościach na czas nieograniczony, a na jego miejsce została przydzielona ob. Cieślik Pelagia. Więc skład nauczycielski z początkiem września był następujący: kierownik Janosik Maria, Cieślik Pelagia, [161] Zborowska Teresa, Nowak Stanisław. W dniu 4 września dokonano posiedzenia Rady Pedagogicznej, gdzie omówiono styl pracy na cały rok szkolny, przydzielono przedmioty nauczania i organizacje szkolne. Od tego dnia zajęcia w szkole prowadzone były normalnie według wariantu „A” o czterech nauczycielach. Od początku roku była prowadzona religia we wszystkich klasach przez ks. Fijołka Stefana.

W końcu października 1957 r. została zakończona budowa ganku. Murarkę dokończył ob. Dziedzic Piotr i ob. Wróbel Jan, a cały wierzeh zrobił i dach pokrył papą przywiezioną z Wydziału Oświaty woźny tutejszej szkoły ob. Stępień Józef. Bardzo dużą pomocą wykazywała się diatwa szkolna na przerwach podając cegły, kamień [162] i wapno. Wiele pracy włożyło też nauczycielstwo. Ganek ten przeznaczony był na szatnię i poczekalnię dla dzieci młodszych, przychodzących na drugą zmianę nauki, zwłaszcza wtedy, kiedy padał deszcz lub w czasie wielkiej burzy lub zawiei. Okna do tego ganku zrobił woźny tutejszej szkoły ob. Józef Stępień za sumę 600 zł na rachunek szkoły wraz z dachem. No i ganek, choć nie wykończony wewnątrz, służył już za szatnię, ponieważ wokół niego wisiały wieszaki i za poczekalnię.

W grudniu 1957 r. urządzono bogatą choinkę noworoczną dla dzieci z obszernym programem i podarkami dla dzieci. Zgromadzenie było tak wielkie, że ludność nie mogła się pomieścić, a rozdane było około 150 paczek jako podarunków dla dzieci. Urządzono w ciągu roku trzy wielkie akademie: 40. rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej, Dzień [163] Wojska Polskiego i na Międzynarodowy Dzień Dziecka. Koleżanka Cieślik prowadziła SKO przez cały rok szkolny, gdzie niektóre dzieci zaoszczędziły sobie około 200 zł. Za te pieniądze szkoła urządziła wycieczkę szkolną do Krakowa, Nowej Huty, Zakopanego. Składka od dziecka wynosiła 205 zł (słownie dwieście pięć złotych), a resztę dołożył Wydział Oświaty i szkoła, że koń-

---

<sup>37</sup> Wikariusz w parafii Chełmo.

cowa suma od dziecka wyniosła 300 zł. Wycieczka pojechała PKS z Kraszewic i trwała 3 dni, licząc 40 osób. PKS zamówiony był w Radomsku. Dochód na wycieczkę szkoła miała z loterii fantowej, która dała prawdopodobnie 400 zł dochodu. Fanty zbierali harcerze tutejszej szkoły z klas VI i VII, a kierował nimi kol. Nowak Stanisław, który był przewodnikiem drużyny harcerskiej, lecz na dochód z w/w loterii nie ma żadnych dokumentów, ponieważ kol. Nowak nie spisywał w ogóle fantów, co [164] bardzo źle z jego strony i sam urządził loterię i szkoła nie wiedziała kiedy. Nie wiadomo też, ile fantów i jakie były zebrane i jaki był prawdziwy dochód z loterii.



Zajęcia na placu szkolnym, w tle szkoła, lata 60. XX w., fot. ze zbiorów Krzysztofa Grabowskiego

Na koniec roku szkolnego nauczycielstwo wraz z uczniami klasy VII urządziło przedstawienie pt. „Powrót” i małą zabawę dla dzieci, która wraz z przedstawieniem dała 724,25 zł dochodu. Za sumę tę Komitet Rodzicielski po rozliczeniu i sporządzeniu protokołu polecił kierownicze zakupić potrzebne rzeczy do szkoły, co miało być dokonane po wakacjach.

W ciągu roku szkolnego odbyło się 5 zebrań rodzicielskich i 6 posiedzeń Rady Pedagogicznej. Klasyfikacja uczniów w tym toku szkolnym przedstawiała się następująco: w kl. I na 29 uczniów promowanych 21, niepromowanych 8, w kl. II na 21 uczniów promowanych 15, niepromowanych 6, [165] w kl. III na 22 uczniów promowanych 22, niepromowanych 15, niepromowanych 7, w kl. IV na 21 uczniów

promowanych 13, niepromowanych, w kl. V na 15 uczniów promowanych 12, niepromowanych 3, w kl. VI na 13 uczniów promowanych 9, niepromowanych 4, w kl. VII na 11 uczniów promowanych 11. Razem na 132 uczniów niepromowanych 36 uczniów. Przed końcem roku szkolnego postanowiono zrobić porządki wokół szkoły. Tak jak co roku już od 7 lat na wiosnę bielone są drzewka i obierane gniazda szkodników, obcinany jest równo żywopłot, odnawiane alejki i ulepszone ogródki szkolne. W końcu kwietnia kierownik szkoły sprowadziła 25 sztuk morwy, która została posadzona wokół szkoły, powiększając żywopłot. Przed wakacjami wytepiono wszystkie chwasty z obejścia szkolnego, wypielono ogródki szkolne i doprowadzono do porządku całe obejście szkolne, aby na czas wakacji wokół szkoły było pięknie. 26 czerwca 1958 r. kierownik szkoły M. Janosik

[166] Rok szkolny 1958/59

Rok szkolny rozpoczął się uroczystie dnia 2 września 1958 r. W gronie nauczycielskim nie nastąpiły poważne zmiany. Wszystkie siły zostały te same, tylko przybył młody kolega z Sokolej Góry, pracując pierwszy rok jako nauczyciel, ob. Grzegorzczak Czesław. Ob. Zborowska Teresa w ogóle pracy nie rozpoczęła, biorąc zwolnienie lekarskie do 15 września 1958 r. a od 16 września 1958 r. poszła na urlop macierzyński. Pracę w szkole rozpoczęto w składzie: kierowniczką szkoły ob. Janosik Maria, ob. Grzegorzczak Czesław, ob. Nowak Stanisław, ob. Kubiak Pelagia dawniejsza Cieślik, która wyszła za mąż. Pracą podzielono się w następujący sposób: kl. I uczył kol. Kubiak Pelagia, [167] kl. II ob. Janosik Maria, kl. III ob. Grzegorzczak Czesław, a klasy od IV do VII zostały podzielone według zamiłowania do przedmiotów: śpiew, w-f, fizyka, chemia, język polski w VI-VII kol. Grzegorzczak, j. rosyjski we wszystkich klasach, j. polski IV i V kol. Kubiak, biologia we wszystkich klasach matematyka, od IV do VI i geografia kol. Nowak, rysunki i roboty od IV do VII kol. Janosik i geografia z matematyką w kl. VII. Wychowawstwo w kl. II i VII oraz PCK i bibliotekę kol. Janosik, wychowawstwo w kl. V i VI oraz organizację harcerską kol. Nowak, wychowawstwo w kl. III oraz Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i SKO kol. Grzegorzczak, wychowawstwo w kl. I i IV oraz SKOW kol. Kubiak.

Praca ruszyła z miejsca na dobre. Dnia 5 września 1958 r. był już zrobiony tygodniowy rozkład zajęć, wszystkie zapisy koledzy prowadzili w zeszytach, bo dzienniki lekcyjne prowadzone były dopiero od 15 września, bo dopiero od tego dnia można je było nabyć w Inspektoracie Oświaty. Pracę zaczęliśmy w ładnie wymalowanej i naprawdę wyremontowanej i doprowadzonej [168] do wyglądu prawdziwej szkoły – szkole. W dniu 3 stycznia 1958 r. kierowniczką szkoły ob. Janosik Maria wraz z komisją składającą się z nauczycielstwa, członków Komitetu Rodzicielskiego, Dyktyńskiego Franciszka, Dwornika Antoniego, Tomalki Stanisława, Stępnia Józefa i przewodniczącego Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej ob. Łuszczka Zygmun-

ta i sekretarza prezydium ob. Borońca Władysława zgłosiła kapitalny remont szkoły do Wydziału Oświaty w Radomsku. Remont ten został przyznany i prowadzony przez inż. Jankowskiego z Piotrkowa Trybunalskiego, który przyjeżdżał tu przez 4 razy z finansistką Wydziału Oświaty ob. Kosiorek Stanisławą. Kierownikiem tej całej roboty był ob. Szwedowski Adam z Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego z Radomska. Na remont ten Wydział Oświaty przewidział 40 000 zł i miały być wykonane następujące roboty: 1) podniesienie lewarem całego sufitu, który groził zupełnym [169] zawaleniem, a szczególnie nad środkową klasą, gdzie było wprost wielkim problemem, aby w tej klasie mogły odbywać się lekcje. Sufit groził zawaleniem w każdej chwili. 2) zerwanie i danie nowych podłóg, bo były już tak podziurawione, że było bardzo zimno i dzieci mogły połamać nogi. 3) przestawić piece, 4) sprostować całą północną ściankę budynku, 5) poprawić sufity, 6) wyrznąć okno w jednej klasie, 7) podeprzeć sufit w klasie środkowej i przegrodzić jedną salę środkową na dwie, 8) wykończyć ganek, tj. dać beton albo podłogę, sufit pod przybitkę, otynkować ściany i poreperować ściany w całej szkole. Cały ten remont miał być wykonany przez firmę z Radomska i zakończyć się w wakacje 1958 r. do 20 sierpnia. [170] W końcu całe wakacje prawie zeszły i remonty stały nie zaczęte. Bez przerwy kierowniczką szkoły jeździła, przypominała i dzwoniła do Wydziału Oświaty i nic. Od 14 sierpnia 1958 r. przywieziono materiał, tj. wapno, deski, trociny, gwoździe i płyty pilśniowe, oczywiście wszystkiego na lekarstwo i każą robić remont kapitalny, no i oczywiście swoją siłą, bo firma może przyjechać dopiero w końcu października, a lekcje rozpoczynają się 2 września 1958 r. Jak rozpocząć w walącej się szkole? Pewno czekać zmiłowania albo niech się wali i zabije kilkoro dzieci, a nauczyciele i kierowniczką szkoły niech odpowiadają za to, „bo przecież od czegoś tam są”. I znowu wszystek kłopot na barki kierownika szkoły. Wtedy z wielkim trudem cały dzień szukać fachowców, którzy by tej pracy [171] podołali. Po wielkich trudach znalazłam cieślę Janosika Teofila z Sokolej Góry, murarza ob. Rejzowicza Waława z Kraszewic i mąż mój Janosik Bolesław do pracy z woźnym Józefem Stępnem. I te cztery osoby pracując od świtu do nocy, a nawet całe noce przy naf-towej lampie, wykonały ten olbrzymi remont za dwa tygodnie, które zostały do rozpoczęcia roku szkolnego.

Ale nie tak łatwo to było, jak się powie wykonały. Pomocy znikąd nie było, ani od ludzi, ani z Gromadzkiej Rady. Jediną pomocą, której należą się wielkie podziękowania ze strony szkoły, to był Nowak Eugeniusz, syn Jana, który naprawdę rozumiał potrzeby szkoły i na każde zawołanie odrywał się od pilnej roboty w polu i przez całe dwa tygodnie dopadkami [172] przywoził piasek, glinę, kamienie, cegłę i wszystko to, co było potrzebne do remontu. Razem po zliczeniu tego wszystkiego co wykonał, wypadło mu, że przeprowadził 6 dniówek konnych, za co dostał za-



świadczenie do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej celem potrącenia mu w funduszu gromadzkim. Jednak za swoją pracę musiał czekać dokąd się innym podobą, bo dopiero w październiku został załatwiony i wypłacono mu dniówki. Oprócz niego jeszcze czterech innych mieszkańców Kraszewic i Koconi przywiozło do szkoły materiały do remontu, ale ile trzeba było się utrudzić zanim znalazło się chętnego. A byli nimi: ob. Kruszewski Piotr, który jeździł do Chełma, bo tam miały być przysłane nowe drzwi i okna z [173] Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego z Radomska. On pojechał do Chełma i czeka do południa, a tu telefon, że rzeczy te będą przywiezione do Strzelec Małych, bo do Chełma nie ma okazji. I znowu wysyłam gońca żeby z Chełma jechał do Strzelec, ale tym gońcem jest kierowniczką szkoły. Pojechał do Strzelec i tu czeka prawie do wieczora i nic nie przywiózł. Takich wypadków było dużo, bo jeszcze był przysłany cement, kreda do malowania, farba, drzwiczki do pieców, szyby szklane, gwoździe, których najczęściej brakowało, a w okolicznych sklepach nigdzie nie było i trzeba było jeździć po całym powiecie za nimi. Po te w/w potrzeby jeździli też Nowak Waław, Chmielewski Józef i Ogłodziński Jan z Koconi, który nawet będąc w kościele [174] w Chełmie musiał po drodze przywieźć kredę do malowania, bo tam była przysłana. A ile materiału to nocowało na ulicy w Chełmie lub w Strzelcach, bo tam była okazja ich przywieźć i nie miał kto zameldować do szkoły, a kierowniczką nie mogła się podzielić na kawałki, aby dopilnować w urzędzie. Przywiezienie cementu jednego dnia miał załatwić przewodniczący Prezydium ob. Dąbrowski Stanisław, który był zostawiony w Strzelcach, to załatwiał cały dzień i w końcu na wieczór wrócił stamtąd i mówi, że zapomniał, bo miał dużo swoich spraw do załatwienia i dopiero mu się przypomniało jak zobaczył szkołę. I znów wieczorem trzeba było szukać kogoś, aby przywiózł, a przywiózł Nowak Eugeniusz. Taka była pomoc. To jest jeden z przykładów [175] pomocy, a było ich dużo więcej. Wyświadczyli się niektóry gębowaniem, *że po co te remonty, do starej szkoły dokładać, niech się zawali, to będzie nowa*. Ale nowej nikt nie chciał budować, bo *kto by tam dawał składki z hektara, nic tylko ma wszystko dawać, ale skąd brać*.

Ale nikt o tym nie pomyślał, że w szkole jest tak zimno, że trudno wytrzymać, bo piece nic nie grzeją, że wali się cały sufit i może być wypadek, że dziurawe podłogi, liche okna i drzwi, że są wielkie braki, które utrudniają pracę, że nauczyciele męczą się jak tylko mogą, że ganek nie wykończony i dzieci ich własne marzną i nie mogą się gdzie schować, kiedy czekają na drugą zmianę nauki. [176] Co to kogo obchodzi, że szyby w szkole wytłuczone albo zepsuta ławka szkolna, że w całym budynku szkolnym panuje bałagan, który musi być likwidowany? Grunt, że każdy ma ciepłe mieszkanie i swoje wygody, a co tam szkoła, może być i nie, nauczyciele tak samo, nie będzie ten, to na jego miejsce będzie drugi. Więc takie warunki wiej-

skiego nauczyciela i taka opieka i zainteresowanie miejscowego społeczeństwa, tak jakby to było tylko dla nauczyciela, a nie dla ich własnych dzieci. Ale już o tym koniec, można na ten temat pisać domy, ale czy to warto? Kto w tym otoczeniu nauczyciela zrozumie i oceni jego ciężką pracę, pewno tylko on sam.

Roboty przy tym remoncie były wykonane [177] wszystkie razem. W tym czasie kiedy zdun przestawiał piece, to murarz stawiał na dachu ganku komin i cieśla robił swoje: okna, drzwi i podłogi. Przez całe dwa tygodnie kierowniczką musiała gotować jedzenie dla tych osób, żeby zjedli na miejscu i szybko brali się do roboty, bo czas krótki, a zdun i malarz byli z Radomska, więc codziennie wyżywienie dostawali. Ale po wielkich trudach roboty były skończone, sale umalowane ładnie, nawet dany był wałek w desenie. Całe obejście szkolne doprowadzone było do należytego porządku, nie znalazło się jednego papierka. Został zrobiony śmietnik, przykrycie na studnię, poreperowany płot i wyczyszczone alejki. Wewnątrz szkoły w każdej klasie zawieszono firanki na oknach po dwoje i trzy kwiatki. Szkoła zdobyła staraniem [178] kierowniczki szkoły dwie nowe duże wieszane tablice, liczydło, 3 nowe szafy i wiele pomocy naukowych do różnych przedmiotów. Samych map szkolnych jest w tej chwili 15, globusów 5, w tym jeden indukcyjny, piłki 3, siatka, w każdej klasie ręcznik, wiadro, mydło, garnuszek i miednica. Na wszystkie stoły zakupiono ceraty do nakrycia, wieszak stojący do kancelarii, lusterko oraz 50 wieszaków z gałkami, które zostały przybite do dużego wieszaka dla dzieci. Po raz pierwszy w historii tej szkoły powstała prawdziwa kancelaria, szatnia i poczekalnia dla dzieci. Wszystkie w/w pomieszczenia znajdują się w nowo wybudowanym ganku. Po raz pierwszy nauczycielstwo i dzieci mają swój własny kąt, gdzie mogą się swobodnie czuć. Wiele jeszcze nowych drobniejszych rzeczy zrobiono, o których pisać nie warto.

Dalszy ciąg kroniki z roku szkolnego 1958/59 w drugiej, nowej księdze kroniki szkolnej.

Niniejsza kronika zawiera 178 stron. Kraszewice 25 czerwca 1955 r. M. Janosik Kierownik szkoły

[179] Rok szkolny 1958/59 dokończenie z kroniki pierwszej

13 września 1958 r. Wszystkie te rzeczy zostały zakupione za pieniądze uzyskane z zabawy i przedstawienia pt. „Powrót”, odbytego w końcu czerwca 1958 roku. M. Janosik

[180] Rok szkolny 1959/60

Rok szkolny rozpoczęto uroczystie. Na uroczystość tę złożyły się przemówienie kierownik szkoły ob. Janosik Marii oraz wiersze i piosenki wybrane przez tutejszą młodzież. W gronie nauczycielskim nastąpiły duże zmiany, gdyż pozostała tylko kierownik szkoły ob. Janosik Maria, a pozostali zostali przeniesieni na własną

prośbę, a mianowicie: ob. Nowak Stanisław do szkoły w Rudce, pow. Radomsko na stanowisko kierownika szkoły, ob. Zborowska Teresa do Zduńskiej Woli, ob. Grzegorz Czesław zapisał się na studia do Łodzi. Na ich miejsce przydzielono nowych nauczycieli: ob. Kęsy Waclawę, dotychczasową nauczycielkę w pow. Gostynin, woj. warszawskie, [181] ob. Jaślan (?) Krystynę, absolwentkę Studium Nauczycielskiego w Piotrkowie Tryb. oraz ob. Gajewską Leokadię, absolwentkę Liceum Pedagogicznego w Zgierzu k. Łodzi.

Przy szkole działają organizacje: PCK, SKO, SFOS<sup>38</sup>. Organizacjami tymi opiekują się tutejsi nauczyciele. Szkoła jak co roku urządza akademie związane z uroczystościami państwowymi: jak Wielka Rewolucja Październikowa, 1 maja, Dzień Dziecka, 22 lipca oraz uroczystości szkolne, jak Nowy Rok szkolny, choinka itp.

Warunki pracy w szkole słabe, ciasno w klasach, brak światła elektrycznego, brak pomocy naukowych, brak także mieszkań dla nauczycieli. Mimo braków szkoła wyniki nauczania otrzymuje pozytywne, a 90% absolwentów kl. VII idzie do dalszych szkół. W roku szkolnym 1959/60 zmian w gronie nauczycielskim nie było. Za zgodność kierownik szkoły M. Janosik.

[182] Rok szkolny 1960/61

Rok szkolny rozpoczęto dnia 1 września. Rozpoczęcie roku szkolnego ma charakter uroczysty. Przybyła nowa nauczycielka na miejsce ob. Janosik Marii, kierownik szkoły, która przebywa na urlopie macierzyńskim. Nauczycielka Sowińska Elżbieta pracowała od 1 września do 28 listopada 1960 r. z dniem 28 listopada przybyła do pracy ob. Janosik Maria, która pełni funkcję kierownik szkoły. Szkoła mała, ciasna, brak światła elektrycznego. Do szkoły uczęszcza 165 dzieci, nauka odbywa się na dwie zmiany, a mianowicie: rano klasy od IV-VII, a po obiedzie od I-IV.

Jedyna rozrywka na wsi, to zorganizowane przez szkołę występy artystyczne przy różnych uroczystościach, brak lokalu, w którym by można zorganizować [183] świetlicę gromadzką. Dużym postępem we wsi Kraszewice jest zorganizowanie Kółka Rolniczego, które liczy ponad 50 członków. Dysponuje także dwoma traktorami oraz jednym agregatem omłotowym.

Z dniem 1 stycznia 1961 r. została przeniesiona na własną prośbę ob. Kęsy Waclawa do szkoły w Zagórzcu, poczta Wielgomłyny, a na jej miejsce przybył nauczyciel Boruta Stanisław. W dniu 12 maja odeszła na urlop macierzyński nauczycielka Tomasik Leokadia (Gajewska), na jej miejsce skierowano ob. Lewandowską Janinę, absolwentkę Liceum Wychowawczyń Przedszkolnych w Radomsku, która uczyła

---

<sup>38</sup> Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy.

do końca roku szkolnego 1960/61. Klasę VII skończyło 9 uczniów, na ogólną sumę w klasie 10 uczniów. Za zgodność kierownik szkoły M. Janosik

Rok szkolny 1961/62

W roku szkolnym 1961/62 pracę rozpoczęli: Janosik Maria, kierownik szkoły, Tomasik Leokadia, Jaślan Krystyna oraz nowo przybyła absolwentka Studium Nauczycielskiego Witasik Jadwiga. Tomasik Jadwiga przebywała do dnia 30 września na urlopie macierzyńskim, a nauka odbywała się przy trzech nauczycielach.

Wiosną roku 1962 zaczęto instalować instalację elektryczną we wsi Kraszewice i Koconia. Dlatego też powstaje przy szkole zespół amatorski, który zamierza wystawić sztukę: Jaślan Krystyna, Witasik Jadwiga, Janosik Maria, nauczyciele tutejszej szkoły, Janosik Bolesław mąż nauczycielki oraz młodzież tutejszej szkoły.

8 maja 1962 r. zabłysło światło elektryczne. Światło elektryczne rozwiązało całkowicie problem pracy zespołu amatorskiego. Pod koniec roku szkolnego 1961/62 Komitet Rodzicielski przy szkole urządził zabawę taneczną, a zespół amatorski wystawił sztukę teatralną pt. „Dramaty Joli”. Zysk z występu przeznaczono na cele szkolne. Tutejszy nauczyciel bierze czynny udział w pracach kółka rolniczego, służy zawsze radą. Kółko posiada już 4 traktory i dwa agregaty omlotowe, a zysk za rok 1961 wynosi 17 tys. zł. Rozwija także swoją działalność OSP, a za pieniądze imprezowe (?) zakupiła auto, które pomoże szybciej dotrzeć do ognia. SKO w roku szkolnym 1961/62 zaoszczędziło 1270 zł. Prowadzona była także zbiórka na SFOS i 1000-lecie SFBS<sup>39</sup>, a pieniądze odsyłane na właściwe konto do Banku. Za zgodność M. Janosik

[184] Rok szkolny 1962/63

W roku szkolnym 1962/63 została przeniesiona na własną prośbę nauczycielka tutejszej szkoły ob. Jaślan Krystyna na równorzędne stanowisko do Przeręba pow. Radomsko, a na jej miejsce przybyła ob. Poborska Waleria, absolwentka Studium Nauczycielskiego w Piotrkowie Tryb. Nauka rozpoczyna się w dalszym ciągu w ciasnym budynku. Ogólna liczba dzieci 168. Komitet Rodzicielski zorganizował wspólną kawę dla nauczycieli z okazji Dnia Nauczyciela. Wieczór ten bardzo wesoło spędzili nie tylko nauczyciele, ale także rodzice, ponieważ jest już światło elektryczne, więc zorganizowano małą potańcówkę przy adapterze. Następnie bardzo uroczysto odbyło się powitanie [185] nowego roku, bogatą częścią artystyczną, wystawiono prace młodzieży szkolnej. Nie przestaje też pracować zespół amatorski i w lipcu 1963 r. wystawia sztukę pt. „Dramat Joli”. Dochód z imprezy przeznaczono na zakup telewizora.

---

<sup>39</sup> Prawdopodobnie chodzi tu o Społeczny Fundusz Budowy Szkół Tysiąclecia założony w 1959 r.



Rok szkolny 1962/63, kl. I



Kl. IV, rok szkolny 1962/63, za zgodność kierownik szkoły M. Janosik

### Rok szkolny 1963/64

Rok szkolny rozpoczęto bardzo uroczystie w dniu 1 września 1963 r. Na budynku było hasło „Witamy pierwszą klasę”. Cała uroczystość odbyła się przed szkołą. Uczniowie ustawieni w dwuszeręgu wysłuchali przemówienia kierownik szkoły M. Janosik, następnie odbyła się część artystyczna przygotowana przez tutejszą młodzież. Na koniec komunikaty dla uczniów, plan na następny dzień nauki i dwie godziny zajęć z wychowawcami na wolnym powietrzu.

Grono nauczycielskie rozpoczęło [188] pracę już 29 sierpnia posiedzeniem Rady Pedagogicznej. W gronie nastąpiły zmiany. Kol. Tomasik Leokadia przeniosła się na własną prośbę do szkoły w Rzejowicach, a na jej miejsce przybył nowy nauczyciel, Stanisław Piotrowski, który miał ukończone Studium Nauczycielskie – matematyka w Piotrkowie Tryb. Pracowało grono w następującym składzie: 1. M. Janosik – kierownik szkoły, 2. Joanna Lewandowska, Waleria Poborska, Stanisław Piotrowski. Przedmioty nauczania, wychowawstwo, organizacje szkolne i zajęcia pozalekcyjne zostały podzielone między cztery osoby. Praca [189] bardzo ciężka. Nauka odbywała się na dwie zmiany. W szkole jest ciasno, ciemno i okropnie zimno w okresie zimy. Przydział węgla mały, piece słabo grzeją a budynek stary, dziury w ścianach, że i największe ogrzewanie nic nie daje. Uczyć w takiej szkole to naprawdę poświęcenie ze strony nauczycieli i szkoda zdrowia. Mimo trudnych warunków pracować trzeba. Rada Pedagogiczna odbyła 5 zebrań, gdzie omówiono postępy w zachowaniu i nauczaniu uczniów, jak i strony ujemne, planowano pracę na cały rok i poszczególne okresy. Uczniów [190] dużo, klasy liczne i tak: kl. I - 24 uczniów, kl. II - 23, kl. III - 18, kl. IV - 24, kl. V - 35, kl. VI -24, kl. VII - 24, kl. VIII - 20. Razem 168 uczniów.

Odbyło się też w tym roku szkolnym zebranie rodziców informujące o pracy w szkole, potrzebach i brakach w ilości 5 razy. Na zebraniach tych poszczególni nauczyciele wygłaszali pogadanki dla rodziców w ramach pedagogizacji rodziców. Na zebraniu w dniu 25 listopada 1963 r. kierownik szkoły M. Janosik wygłosiła taką pogadankę o tematyce [191] „Jak należy przygotować dziecko do klasy pierwszej”. W pogadance przejawiały się zagadnienia: częste badanie dzieci przez lekarza, szczepienia, rozmowy z dziećmi, badanie czy dziecko rozróżnia kolory, czy potrafi odpowiadać na proste pytania, powtórzyć usłyszaną bajkę, czasopisma dziecięce, swoje zabawki, plastelina, kredki itp. Na zebraniach często poruszana była sprawa wycieczek, remontów szkoły, leczenie zębów. Ciągłą bolączką w tutejszej szkole jest ubezpieczenie dzieci od [192] następstw nieszczęśliwych wypadków. Na 168 uczniów ubezpieczonych tylko 124. Zainteresowanie rodziców szkoły jest bardzo słabe. Jedynie tylko na wywiadówki rodzice przyjdą, wysłuchają dane o swoich uczniach, a sprawy inne ich nie obchodzą. Tak samo przedstawiają się sprawy świadczeń na komitet

rodzicielski, połowa uczniów nie daje wpisowego, a potrzeby są ogromne. Szkołę ciągle należy remontować, psują się zamki, klamki, tłuką szyby, potrzebna kreda, atrament, materiały edukacyjne i do utrzymania czystości, a pieniędzy brak. W tym roku zakupiono radio dla szkoły i siatkę ogrodzeniową, za pieniądze uzyskane z zabaw i spisu.

[193] W tym roku odbyła się wizytacja szkoły przez inspektora Pełkę, która wypadła bardzo dobrze. Rok szkolny zakończono bardzo uroczyście. M. Janosik, kierownik szkoły



Kol. Leokadia Tomasik – nauczyciel, od lewej u góry: Gajda Krystyna, Stypa G., Kusińska, Kocińska, Nowak, Chmielewska, Lipińska, Kopiecka, Dziedzic, Cyran W.

[194] Rok szkolny 1964/65

Rok szkolny rozpoczęto uroczyście przemówieniem kierownik szkoły i wysłuchaniem przemówienia Ministra Oświaty Wacława Tułowieckiego. W gronie nauczycielskim zaszły poważne zmiany. Kol. Waleria Poborska przeniosła się na własną prośbę do Przedborza, pow. Końskie, a kol. Stanisław Piotrowski do Wikłowa, pow. Radomsko. Przybyli nowi nauczyciele: Irena Właźlak, Halina Patek i Biś Stanisław jako nauczyciel początkujący, wszyscy po Liceum Pedagogicznym. Praca odbywała się w 5 osób. Urządzono w ciągu roku wycieczkę krajoznawczą do Krakowa, [195] Ojcowa, Wieliczki. Rozliczenia z wycieczki dokonała kierownik szkoły M. Janosik na jednym z zebrań rodzicielskich.

Czynne też było od roku 1963 ognisko przedszkolne. W tym też roku szkolnym rozpoczęła się staraniem kierownik szkoły nauka gry na instrumentach, gdzie nauki udzielał ob. Józef Sobański, zamieszkały w Sokolej Górze. Po pół roku już zespół dawał występy na różnych uroczystościach. Uroczystości w ciągu roku było dużo: Dzień Nauczyciela, Dzień Wojska Polskiego, Rocznica Rewolucji Październikowej, Choinka szkolna, Dzień Dziecka, zakończenie roku szkolnego itp.

[196] Młodzież szkolna pomagała też przy budowie drogi z Kraszewic do Strzelec, sadziła drzewka koło szkoły, urządziła boisko. Pod koniec roku szkolnego odbyła się wycieczka uczniów tutejszej szkoły do Warszawy. Najmilszą imprezą co roku w szkole jest choinka szkolna z zabawą i podarkami. W tym też roku szkolnym miała odbyć się bogata uroczystość choinkowa z zabawą taneczną dla dzieci. Dwóch uczniów poszło do Zagórza zadatkować muzykantów na w/w imprezę. Gdy wychodzili była piękna zimowa pogoda. Po upływie godziny czasu powstała zawieja i silna wichura połączona z silną śnieżycą. Było to ok. 14 godz. [197] Nauka odbywała się jeszcze z drugiej zmiany, a było to w starej szkole. Kierowniczką szkoły przeżyła wtedy tyle strachu, którego nigdy pewno nie zapomni. Bałam się okropnie o tych uczniów, którzy wyszli zadatkować muzykantów i tych co zostali w szkole na lekcjach. Widok był okropny, ciemno, nie widać światu, szkoła grozi zawaleniem, dachu o mało nie zrzuciło. I w tej chwili kierowniczką pomyślała o uwolnieniu się od odpowiadania za tyle istnień ludzkich w szkole w razie zawalenia się szkoły. Postanowiła napisać do Wydziału Oświaty, że od dziś nie odpowiada za to, co może nastąpić, gdy szkoła się zawali, że ona [198] nie nadaje się do tego, aby mogły odbywać się tu lekcje. Po upływie dwóch tygodni przyjechała do szkoły komisja na czele z architektem i inżynierem budowy oglądać budynek. Był to rok 1965. Byli też przedstawiciele Wydziału Oświaty, straż pożarna i inni. Obejrzelni szkołę, zjedli obiad u kierownik szkoły i kazali dalej się starać gdzie można. Kierowniczką napisała do wiadomości jednej treści pisma do ośmiu instytucji o walącej się szkole, a mianowicie: PZPR, Rada Powiatowa, Wydział Oświaty, Architektura i Urbanistyka, Wojewódzka Rada Narodowa, Wojewódzki PZPR, Komitet Wojewódzki itp. I na rok 1967/68 szkoła była zaplanowana [199] do budowy. W tym roku budowała się też droga w Kraszewicach. Dzieci zbierały kamienie na polu SHR Chełmo, kamienie kupiła GRN na drogę, a za pieniądze była wycieczka dzieci do Warszawy.

Rok szkolny zakończono uroczystością z myślą i nadzieją o nowej szkole.  
M. Janosik, kierownik szkoły

[200] Rok szkolny 1965/66

Rok szkolny rozpoczęto z małymi zmianami. Kol. Patek Halina przeniosła się na własną prośbę do Częstochowy i tam wyszła za mąż, a na jej miejsce przybyła Grażyna Biś, siostra Stanisława, który też się ożenił. Wyszła też za mąż Janina Le-



wandowska i przybrała nowe nazwisko Dzedzic. Praca odbywała się w 5 osób: Janosik M., kierownik szkoły, Biś Grażyna, Biś Stanisław, Dzedzic Janina, Włażlak Irena. Tak jak co roku planowano pracę z początkiem roku, [201] organizowano wycieczki, lekcje, wycieczki po własnej okolicy i dalsze krajoznawcze. Przedmioty nauczania, wychowawstwa i organizacje podzielono między nauczycieli. Praca nie była łatwa, ponieważ wymagania rosły, w szkole była też wizytacja, rosły przygotowania do obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego, ale cieszyło to, że niedługo będzie nowa szkoła. Rok szkolny zakończono bardzo uroczystie. Na 148 uczniów pozostało tylko dwoje. M. Janosik, kierownik szkoły

[202] Rok szkolny 1966/67

W nowym roku szkolnym zaszły poważne zmiany w gronie nauczycielskim. Kol. Irena Włażlak przeniosła się na własną prośbę do szkoły równorzędnej koło Kobieli, Biś Stanisław otrzymał kierownictwo i przeniósł się z żoną do Pratkowic. Jako nowe siły przybyli: Halina Tkaczyk, Jan Rogulka, Adam Bobrowski, Czesława Mucha. Praca odbywała się na dwie zmiany o 6 nauczycielach. Z dniem 1 września 1966 roku wprowadzono 8-klasową szkołę podstawową i w związku z tym przybyło nauczycieli. [203] W ciągu roku zorganizowano wycieczkę do Łodzi na sztukę teatralną pt. „W pustyni i w puszczy” i dwugodzinne zwiedzanie miasta.

Budowa szkoły jest już w planie na wszystkich naradach i zebraniach w powiecie o tym się mówi. We wsi też ogromna radość, ale i nie wszyscy w to wierzą, ponieważ o budowie szkoły mówiło się w Kraszewicach przecież przed II wojną światową. Na każdym zebraniu rodziców mówi się i przypomina o wpłacie rolników i dzieci na SFBSiI<sup>40</sup>, bo od tego zależy też budowa tutejszej szkoły. Dużo mówi się też o placu pod budowę szkoły i jej lokalizacji. Są plany, że będzie [204] budowana na placu (boisko) koło starej szkoły. Jest to teren ogólny wsi i nawet rok temu jak geometra wymierzył to dla szkoły.



Wojciech Najmrocki w środku, z jego lewej strony Jerzy Janosik, z prawej Jerzy Zemsta

<sup>40</sup> Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów.

Są kłopoty w szkole z telewizorem, który ciągle się psuje i nie ma pieniędzy, bo świadczenia komitetu rodzicielskiego są słabe. Przez cały rok odbywają się w szkole uroczystości i różne imprezy. Kol. Bobrowski odchodzi do wojska i dalej pracuje 5 nauczycieli. W ciągu roku odbyło się 6 posiedzeń rady pedagogicznej i 5 zebrań rodzicielskich. Rok szkolny zakończono uroczyście. M. Janosik, kierownik szkoły.

[205] Rok szkolny 1967/68

Z nowym rokiem szkolnym znowu zmiany. Kol. Czesława Mucha została przeniesiona do Woli Malowanej ponieważ nie była to nauczycielka etatowa tylko na zastępstwie. Kol. Halina Tkaczyk na własną prośbę przeniosła się do Zagórza, a do tutejszej szkoły przybyli nowi: kol. Lemparta Anna – Liceum Pedagogiczne, kol. Bernard Zięba – starszy nauczyciel, kol. Najmrocki Wojciech – starszy nauczyciel. Rok szkolny rozpoczęto jak zwykle uroczyście. Przedmioty nauczania, organizację i wychowawstwo rozdzielono między nauczycieli. W ciągu roku kol. J. Dziedzic odeszła na urlop macierzyński [206] i na jej zastępstwo przybyła kol. Janina Baran, absolwentka Liceum Pedagogicznego w Wolborzu. W ciągu roku są problemy z audycjami telewizyjnymi, bo telewizor się psuje, ale są też kłopoty oglądania wieczorem. Bardzo dużo osób przychodzi, ponieważ jest to tylko jedyny telewizor we wsi. W szkole jest ciasno, nauczyciele przepracowani, trudno o dyżury i wszystko to spada na barki kierownik szkoły. Corocznym zwyczajem odbywają się szkolenia dla rodziców w ramach pedagogizacji. Omawia się niepowodzenia i trudności w nauczaniu i wychowaniu. Mówi się ciągle o dobrym odżywianiu dzieci, [207] wyspaniu i własnym kąciku do odrabiania lekcji.

Budowa szkoły została przyznana, ale stwierdzono, że placu jest brak. Ten koło starej szkoły należy niwelować i koszt niwelacji przekroczy kupno nowego placu. Postanowiono kupić plac pod budowę szkoły od ob. Stelmaszczyka Stanisława w ilości 60 arów. Częściowo zapłaciła GRN w Kraszewicach, a część pieniędzy jako dopłatę do ceny państwowej wieś zebrała przy podatku. Na zebraniach rodziców ciągle mówi się o tej dopłacie.

Przez cały rok szkoła organizuje imprezy szkolne i realizuje postęp pedagogiczny. Rok szkolny zakończono uroczyście. M. Janosik, kierownik szkoły

[208] Rok szkolny 1968/69

Rok szkolny rozpoczynał się przy nowym składzie nauczycielskim. Adam Bobrowski powrócił z wojska i przydzielono nową siłę nauczycielską, absolwentkę St. Nauczania w Piotrkowie Trybunalskim, kol. Jadwigę Kozłowską.

Pod koniec maja zaczęto zwozić pierwsze materiały budowlane na plac szkolny: cegłę, kamień, ob. Stelmaszczyk musiał odkosić żyto jeszcze zielone na zakupionej działce pod nową szkołę. W lipcu 1968 r. zaczęto robić wykopy

i przez cały rok budowa szła bardzo szybko. Budowę prowadziło Radomszczańskie Przedsiębiorstwo [209] Budowlane, inwestorem był ODJM Piotrków Trybunalski. Dzieci szkolne też pomagały przy budowie szkoły, przeważnie zbierać gruz i podawać drobne materiały.



Maria Janosik i Andrzej Nowak na drodze w Kraszewicach, początek lat 60 (?), fot. ze zbiorów Dariusza Janosika

Ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków podniesiono w tym roku z 15 do 35 zł, co wywołało niechęć ze strony rodziców. W tym roku szkolnym odbył się wybór nowego komitetu rodzicielskiego, jak również powołano nowy Komitet Budowy Szkoły, który miał myśleć o uroczystym przekazaniu szkoły do użytku, który planowany był pod koniec 1969 r. Przez cały czas [210] budowy nikt z rodziców ani mieszkańców wsi nie odwiedził placu budowy, nikt nie interesował się tym, jakby to nie było dla tutejszego społeczeństwa. Mimo, że szkołę budowało państwo, jednak kierownictwo szkoły miało z tym dużo kłopotu i trudności. Tyle, że GRN w Kraszewicach, gdzie przewodniczącym był ob. Bolesław Janosik, rozumiał kierowniczkę i pomagał, ile tylko się dało. W tym roku szkolnym kol. Zięba wyszła za mąż, zmieniając nazwisko na Obiałą (?). Rok ten szczególnie był pracowity, ponieważ oprócz stałej pracy w szkole doszły sprawy budowy nowej szkoły i przygotowanie się [211] do uroczystego jej przekazania. W dniu 13 kwietnia 1969 r. odbyło się zebranie rodzicielskie – wywiadówka, na którym dokończono wyboru komitetu do uroczystego

przekazania szkoły. Byli to: 1. Janosik Bolesław – przewodniczący, 2. Staszewski Jan – zastępca, 3. Dąbrowska Zofia – sekretarz, 4. Chmielewska Anna, 5. Stelmaszczyk Anastazja, 6. Nowak Zofia, 7. Piotrowska Krystyna, 8. Kocimska Krystyna, Janosik Maria, Gaik Kazimierz, Stępień Józef, Derlatka Maria, Kurek Zenona, Stypa Zofia, Dziedzic Józef, Klimczak Krystyna, Ogłodzińska Sabina, Cieciora Teresa, Krużewski Piotr, Gaik Janina, [212] Nowak Andrzej, Nowak E., Musiał J., Zemsta Maria. Po wyborze Komitet udał się na budowę wyszukać różne usterki, omówić część artystyczną i cały program uroczystości. Kierownik szkoły mówiła też o ogrodzeniu szkoły, zadrzewieniu i zakrzewieniu na jesień, co rzeczywiście zostało dokonane. Rok szkolny zakończony został bardzo uroczyście.

Kronikę zakończono na str. 112. Dalszy ciąg w nowej księdze. M. Janosik, kierownik szkoły



Miejsce, gdzie stała stara szkoła, obecnie na nowo zagospodarowane. Na placu odbywają się festyny wiejskie, postawiono altankę i grilla, stan na 2023 r., fot. T. Nowak

**Dariusz Zielonka**

(Ząbki k. Warszawy –  
przewodnik w Muzeum Powstania Warszawskiego)

### **Przygotowania do niemieckiej obrony Radomska w świetle raportu niemieckich władz wojskowych z 8 grudnia 1944 r.**

W ramach skutecznej operacji „Bagration” wojskom radzieckim na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. udało się osiągnąć Wisłę. Sowiecki front zatrzymał się jednak we wrześniu 1944 r. na wschodnim brzegu Wisły, pozwalając Niemcom na stłumienie powstania warszawskiego, przegrupowanie oddziałów i dając czas na przygotowanie obrony. Linia frontu wschodniego znacznie zbliżyła się do przedwojennych granic III Rzeszy i stwarzała coraz większe niebezpieczeństwo dla Berlina. Niemieccy sztabowcy na czele z generałem płk. Heinzem Guderianem i generałem Alfredem Jakobsem, szefem wojsk inżynieryjnych przy Naczelnym Dowództwie Wojsk Lądowych zaczęli kreślić niemieckie plany obrony na terenie między Wisłą i Odrą. Po objęciu przez generała Heinza Guderiana w lipcu 1944 r. stanowiska szefa Sztabu Generalnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (Oberkommando des Heeres, w skrócie OKH), w obawie przed dalszym postępowaniem Armii Czerwonej, przystąpiono do budowy ogromnego systemu fortyfikacji na zapleczu frontu wschodniego. Najwięcej linii obronnych zbudowano na obszarze okupowanej Polski, pomiędzy Morzem Bałtyckim a pasmem Karpat Zachodnich oraz pomiędzy Wisłą a Odrą. Niemcy ujęli w plan obrony również Radomsko.

W Niemieckim Archiwum Federalnym (Bundesarchiv, Abteilung Militärarchiv) we Fryburgu znajdują się niemieckie dokumenty dotyczące planów obrony niektórych miast w Generalnym Gubernatorstwie noszące tytuł „Stärkenachweisungen von Ortsstützpunkten” (Zestawienie sił miejscowych punktów oporu)<sup>1</sup>. Zbiór zawiera dokumenty wojskowe dotyczące obrony Krakowa, Myślenic, Wieliczki, Wolbromia i Radomska. Powstały między 7 a 10 grudnia 1944 r. Większość informacji zawarto w formie formularza, przesłanego do niemieckich lokalnych władz wojskowych w powyższych miejscach. Wypełniony formularz i ewentualne dodatkowe dokumenty zostały odesłane do sztabu woj-

---

<sup>1</sup> RH 53-23/139.

skowego Generalnego Gubernatorstwa, do oddziału IA (Abteilung IA) w Krakowie, gdzie znajdowała się siedziba niemieckich władz GG. Dokumenty są oznaczone jako tajne i posiadają charakter raportu o stanie przygotowań do obrony i posiadanych sił. Moją uwagę zwrócił jeden z nich dotyczący Radomska, ze względu na moje związki rodzinne z miastem i ziemią radomszczańską.

Dokument 4 zawiera informacje dotyczące obrony Radomska i przedstawia stan z 8 grudnia 1944 r. Został przyjęty 15 grudnia tego roku w kancelarii sztabu wojskowego GG w Krakowie. Niemiecki dokument dotyczący Radomska jest formatu A4, a dane statystyczne ujęte są w większości w formie tabularycznej z kilkoma dopiskami. Jego treść przetłumaczyłem i w formie artykułu przedstawiam zawarte w nim dane z krótkim komentarzem. Mam nadzieję, że stanowić będzie cenne uzupełnienie wiedzy na temat niemieckich przygotowań do obrony Radomska przed Armią Czerwoną. Informacje na ten temat znajdziemy w artykule Tomasza A. Nowaka<sup>2</sup>. Zawarte są tam także relacje naocznych świadków obserwujących niemieckie przygotowania do obrony miasta. Ciekawy popularyzatorski artykuł na temat niemieckich przygotowań do obrony Radomska wraz ze zdjęciami przygotowań i opublikował Jacek Kamieniak na portalu radomsk.pl<sup>3</sup>.

<b>Geheim</b>										
Stand: 8.12.1944		Ortsstützpunkt: Radomsko							Amt. <input type="checkbox"/> zu St. Offiz. d. P. b. <input type="checkbox"/> .Gen. Gouv. Nr. <input type="checkbox"/> v. 15.12.44	
	Abschnitt									
	Nord	Ost	Süd	West						Summe
<b><u>Fertige Anlagen:</u></b>										
a) le.M.G.-Stellung	31	54	35	25						145
b) s.M.G. -Stellung	8	10	8	7						33
c) Pak-Stellung	10	4	8	6						28
d) Flak-Stellung	-	-	-	-						-
e) B-Stellen	-	-	1	-						1
f) Unterstände	-	-	-	-						-
g) Gef.Stände	-	-	-	-						-
h) Drahthindernis in km	-	-	-	-						-
i) Graben in km	4,80	6,19	4,10	2,79						17,88
k) Panzerdeckungslöcher	72	235	150	148						605
l) Panzerabwehrgraben	0,09	0,10	0,01	-						0,20

Fragment niemieckiego raportu z 8 grudnia 1944 r. dotyczący Radomska

<sup>2</sup> T.A. Nowak, *Wyzwolenie Radomska w 1945 r. we wspomnieniach mieszkańców*, „Zeszyty Radomszczańskie”, t. XIV, 2018, s. 285-304.

<sup>3</sup> <http://radomsk.pl/niemieckie-przygotowania-do-obrony-radomska-w-1944-roku/> dostęp: 12. 03. 2023.

Podstawowy, niemiecki projekt obrony zakładał powstanie pięciu linii umocnień, oznaczonych literami od A do E. Główne pasy i linie obrony przebiegały zasadniczo w orientacji północ-południe z wieloma biegnącymi z reguły po osi wschód-zachód pozycjami ryglowymi. Taki rozczłonowany system umocnień typu polowego miał być oparty na przeszkodach naturalnych, jakie stanowiły linie rzek Nida, Pilica i Warta, biegnące w poprzek drogi nacierających wojsk radzieckich. Obok nich, oddzielnie lub w bezpośrednim połączeniu z resztą systemu umocnień tworzono inne formy fortyfikacji wokół miast, większych dzielnic lub obiektów strategicznych - m.in. Festung, Verteidigungsbereich, Ortstützpunkt. Pojedyncze pozycje wznoszone były także przez inne niż OKH organy wojskowe. Radomsko zostało nazwane w omawianym dokumencie Ortsstützpunkt, czyli miało stanowić miejscowy punkt oporu. Były one ważnym elementem wszystkich tych linii obronnych. W swej doktrynie generał Guderian zakładał, że nawet odcięta twierdza czy punkt obrony zaangażuje więcej sił wroga niż niemieckich żołnierzy ich broniących.

Głównym elementem rubieży obronnej na zachód od Wisły miała być Pilica. Na wschodnich terenach powiatu radomszczańskiego przebiegała linia umocnień Stellung A2, która biegła od Karpat poprzez Nowy Sącz, Bochnię, Proszowice, Słomniki, Miechów, Szczekociny, Koniecpol, Przedbórz, Sulejówek, Tomaszów Mazowiecki i dalej w kierunku północnym. Przedbórz miał być jednym z ważniejszych ośrodków oporu na przyszłej linii Stellung A2, odcinek „Merkur”<sup>4</sup>. Rzeka Pilica i wyżynne ukształtowanie terenów wokół tego miasta miało sprzyjać obronie. Budowę umocnień rozpoczęto w lecie 1944 r. i kontynuowano do stycznia 1945 r., jednak na niektórych odcinkach nie została ukończona<sup>5</sup>.

Radomsko jako stacja kolejowa była i jest bardzo ważnym punktem komunikacyjnym na linii Górny Śląsk - Częstochowa - Warszawa lub Łódź. Dla wojskowych władz niemieckich utrata miasta byłaby niekorzystna, bowiem ograniczałaby transport kolejowy i drogowy w kierunku północnym. Przykładano więc wiele wysiłku do przygotowań obronnych przeciw siłom radzieckim.

Z dokumentu dowiadujemy się o liczebności niemieckich sił w Radomsku. Na dzień 8 grudnia 1944 r. wojska niemieckie w mieście liczyły 52 oficerów, 1054 żołnierzy

---

<sup>4</sup> O umocnieniach nad Pilicą z sierpnia 1944 r. wspominał Jerzy Muskała ps. „Halicz”, którego oddział partyzancki w ramach akcji „Burza” podążał z pomocą walczącej w powstaniu Warszawie: *Obydwa brzegi rzeki, tak wschodni, jak i zachodni poważnie umocnione przez Niemców rowami strzeleckimi, zaporami przeciwczołgowymi i zasiekami z drutu. Dziesiątki tysięcy ludzi, chwytnych w łapankach ulicznych i ściąganych pod bagnietami z okolicznych wsi, budowały te umocnienia przeciw spodziewanej ofensywie sowieckiej, w najgorszych warunkach sanitarnych i aprowizacyjnych.* [w:] *Partyzanckim szlakiem*, Radomsko 2008, s. 155-156.

<sup>5</sup> Szczegółowy opis tych umocnień znajduje się w książce: R. Podsiadło, *Niemieckie fortyfikacje Stellung a2 i ich przełamanie w styczniu 1945 r. Na linii Raby, Szreniawy i Pili-cy*, Warszawa 2014.

i 19 urzędników. Niemcy mieli do dyspozycji 88 ciężarówek i 38 samochodów osobowych. Najliczniejsze były wojska lądowe (Heer), które liczyły 41 oficerów, 625 żołnierzy i 19 urzędników. W ich dyspozycji było 85 ciężarówek i 31 samochodów osobowych. Luftwaffe, czyli niemieckie siły powietrzne, liczyły 14 ludzi (1 oficer i 13 żołnierzy). Była to obsługa polowego lotniska, o którym wspominał Jerzy Konowałow: *Na Młodzowach urządzono polowe lotnisko samolotowe dla Storchów i Messerschmitów*<sup>6</sup>. Oddział SS liczył 6 oficerów i 15 żołnierzy, który posiadał 2 ciężarówki i 2 samochody osobowe. Policja liczyła 4 oficerów i 120 policjantów. Do dyspozycji mieli jedną ciężarówkę i 5 samochodów osobowych. W Radomsku stacjonował także oddział tzw. Hilfswillige, czyli byłych jeńców wojennych z Armii Czerwonej i sowieckich cywili w służbie Wehrmachtu, wykonujący czynności pomocnicze, który liczył 281 osób. Nazywano ich hiwisami i byli wykorzystywani jako siła robocza do budowy umocnień. We wspomnieniach mieszkańców Radomska ze względu na narodowość zwykle nazywano ich Ukraińcami.

W świetle przedstawianego dokumentu Radomsko zostało podzielone na 4 odcinki obrony, które zostały nazwane po niemiecku według kierunków geograficznych: Nord, Ost, Süd i West (czyli północ, wschód, południe i zachód). Niestety ich przebieg nie został szczegółowo opisany w dokumencie.

Przyjrzyjmy się bliżej stanowi niemieckich przygotowań do obrony Radomska na dzień 8 grudnia 1944 r. W mieście i najbliższej okolicy przygotowano 145 stanowisk lekkich karabinów maszynowych, 33 stanowiska ciężkich karabinów maszynowych, 28 stanowisk przeciwpancernych armat polowych i 1 punkt obserwacyjny dla artylerii tzw. B-Stelle. Ważne było, aby mieć z tego punktu dominujący widok głównej linii obrony w głąb pozycji wroga i dobry kamuflaż, aby uniknąć wykrycia i móc bezpiecznie kierować ogniem artyleryjskim.

Informowano także sztab wojskowy GG o wybudowaniu 2 nowych bunkrów na amunicję. Część amunicji złożono także w cegielni, która została otoczona podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczatego. Zatem amunicję rozdzielono w 3 odrębnych miejscach w Radomsku. Jednym z miejsc, gdzie składowano amunicję według świadków to Park Świętojański<sup>7</sup>.

---

<sup>6</sup> J. Konowałow, *Wspomnienia okupacyjne*, wydał na prawach maszynopisu Karol Walańczyk, Radomsko 1994, s. 38.

<sup>7</sup> Jerzy Konowałow wspominał: *Latem 1944 roku Radomsko zmieniło swój wygląd. ... W parku urządzono magazyn amunicji i paliw w ziemiankach, a teren ogrodzono i zaminowano (Wspomnienia okupacyjne..., s. 38). Ireneusz Solarz, który w czasie okupacji mieszkał od strony ulicy Targowej na terenie Parku Świętojańskiego, potwierdzał te informacje: Ze względu na gęste zadrzewienie, Park Świętojański był wykorzystywany przez Niemców na zmagazynowanie amunicji. Wybudowali tu około 10 bunkrów – oszalowanych drewnem ziemianek. Roboty te wykonali Ukraińcy wcieleni do armii niemieckiej. Umieszczono w bunkrach amunicję, tj. miny przeciwczołgowe, pociski artyleryjskie dużego kalibru, materiały wybuchowe:*



Na cały system obronny składały się umocnienia w postaci rowów przeciwczołgowych oraz całego systemu okopów i rowów strzeleckich. W świetle raportu przygotowano na terenie Radomska i najbliższej okolicy 17 kilometrów 880 metrów okopów i 605 ziemnych stanowisk dla żołnierzy do walki z czołgami (tzw. Panzerdeckungsloch). Był to otwór w ziemi zwykle dla jednego, czasem dwóch żołnierzy, który był tak zbudowany, aby chronić żołnierza przed przejechaniem przez czołg i z którego można było atakować czołgi pancerfaustem lub granatami. Otwór musiał być wystarczająco głęboki i zwykle wzmocniony drewnem. Wybudowano także 200 metrów rowów przeciwczołgowych w celu powstrzymania posuwania się jednostek pancernych wroga. Na ustalonych pozycjach obrony wykorzystano 11 000 sztuk drewnianych pali do budowy przeszkód, a 1500 sztuk drewnianych pali użyto w lesie. Jerzy Konowałow ocenił wysoko niemieckie przygotowania do obrony miasta: *Banditenstadt Radomsko jest tak umocnione jak mała „Festung”*<sup>8</sup>.

Spodziewano się ataku ze wschodu, stąd odcinek wschodni Ost, w świetle dokumentu, był najsilniej i najlepiej przygotowany do obrony. Znajdowało się tam 6190 metrów okopów<sup>9</sup>, 100 metrów rowów przeciwczołgowych, 235 pojedynczych stanowisk przeciwczołgowych, 54 stanowiska lekkich karabinów maszynowych, 10 stanowisk ciężkich karabinów maszynowych i 4 stanowiska armat przeciwpancernych. Rowy i liczne stanowiska przeciwczołgowe (tzw. Panzerdeckungsloch) miały zatrzymać jednostki pancerne Armii Czerwonej. Duża liczba stanowisk karabinów maszynowych świadczy, że zadaniem odcinka Ost miała być także eliminacja nacierającej piechoty przeciwnika. W budowie znajdowało się tu jeszcze 60 metrów rowów przeciwczołgowych i 200 metrów przeszkód z drutu. Odcinek Ost znajdował się na wschód od centrum miasta i łączył się z odcinkiem Nord i Süd. Głównym zadaniem tego odcinka była kontrola terenu i dróg dojazdowych ze

---

*kości trotylu i preksyliny, filipinki, dymne blitzbomby, pociski do ręcznych karabinów, splonki (detonatory do lontu Bikforda), rakiety sygnalizacyjne w kolorach czerwonym, zielonym i białym, granaty, szklane bomby chemiczne wypełnione dwoma substancjami płynnymi, które po rozbiciu łącząc się wytwarzały zasłonę dymną i rakiety oświetlające z małymi spadochronnikami. Bunkry te były strzeżone przez jednostkę niemiecką zakwaterowaną przy ul. Częstochowskiej naprzeciw parku w budynku niewykończonej szkoły. (...) cały teren był ogrodzony zasiekami z drutu kolczastego - I. Solarz, Powiew wolności, „Nasz Świat. Biuletyn Towarzystwa Przyjaciół Muzeum w Radomsku”, nr 8 (9.02.2004), s. 6. W dniach 4 i 5 lutego 2004 r. na terenie Parku Świętojańskiego w trakcie poszukiwania śladów po opisanych bunkrach prowadzonych przez członków Towarzystwa Przyjaciół Muzeum w Radomsku, a potem saperów, odnaleziono łącznie 81 sztuk ostrej amunicji: 28 szt. granatów moździerzowych, 7 pocisków artyleryjskich, 2 granaty ręczne, 29 granatów nasadkowych i 15 sztuk innej amunicji. D. Solarz, Zapomniany arsenał, „Nasz Świat”, nr 8 (9.02.2004), s. 9.*

<sup>8</sup> J. Konowałow, *Wspomnienia okupacyjne ...*, s. 43.

<sup>9</sup> Istnienie okopów od wschodniej strony miasta potwierdza M. Ciesielski, rozmówca Tomasza Nowaka. Rosjanie po zajęciu Radomska wykorzystywali je do grzebania trupów Niemców i ich kolaborantów. T. Nowak, *Wyzwolenie Radomska w 1945 r. we wspomnieniach mieszkańców*, „Zeszyty Radomszczańskie”, t. XIV, 2018, s. 300.

wschodu. Na peryferiach miasta poustawiano zasieki z drutu kolczastego<sup>10</sup>. Prawdopodobnie odcinek rozciągał się od drogi na Przedbórz (dzisiejsza Przedborska, wówczas Radomerstr. - przedwojenna ul. Limanowskiego) po drogę na Strzałków (dzisiejsza Wyszyńskiego - wówczas Spitalstr. - przedwojenna Legionów). Ze względu na brak dołączonej mapki i szczegółowego opisu odcinków istnieje trudność w dokładnym opisie przebiegu odcinków.

Zawarte przeze mnie opisy opierają się na niemieckiej mapie Radomska z 1944 r. i wspomnień powojennych świadków umieszczonych zwykle w przypisach. Jedną z pierwszych zapór przeciwczołgowych w mieście powstawała od lipca 1944 r. na ulicy Przedborskiej, prowadzącej do miasta od wschodu, nieopodal obecnego skrzyżowania z ul. Mickiewicza i Wilsona. Podobne umocnienia powstawały na głównych, wylotowych ulicach<sup>11</sup>.

Intensywnie przygotowywano także obronę odcinków północnego i południowego (Nord i Süd), ważnych punktów obrony w sytuacji oskrzydlenia. Co ciekawe znajdowało się w każdym z nich dwukrotnie więcej stanowisk artylerii przeciwpancernej od odcinka Ost. Zapewne chodziło o boczny ostrzał nacierających od wschodu jednostek pancernych wroga.

Odcinek północny Nord posiadał 4800 metrów okopów, 90 metrów rowów przeciwczołgowych, 72 pojedyncze stanowiska przeciwczołgowe (Panzerdeckungsloch), 31 stanowisk lekkich karabinów maszynowych, 8 stanowisk ciężkich karabinów maszynowych i 10 stanowisk armat przeciwpancernych. Odcinek Nord graniczył z odcinkiem Ost i West. Zadaniem tego odcinka była obrona Radomska od północy (prawdopodobnie rejony Miłaczki, Bartodzieje i Młodzowy). Prawdopodobnie chodziło także o obronę i blokadę drogi w kierunku na Piotrków (Warschauer Str. - przedwojenna ul. Narutowicza), drogi w kierunku na Dobryszycę (Dobryszycka Str. - obecnie Sucharskiego) oraz ochrona odcinka kolejowego od strony Piotrkowa.

Natomiast odcinek południowy Süd posiadał 4100 metrów okopów<sup>12</sup> i 10 metrów rowów przeciwczołgowych. Rowów przeciwczołgowych było tu stosunkowo mało, ale prawie dwukrotnie więcej od odcinka północnego znajdowało się tu pojedynczych stanowisk przeciwczołgowych (Panzerdeckungsloch), bo 150. Prowadzono jeszcze pracę nad 20 metrami rowów przeciwczołgowych, czyli finalnie miało być 30 metrów tych przeszkód na tym odcinku. Znajdowało się tu 35 stanowisk lekkich karabinów maszynowych, 8 stanowisk ciężkich karabinów maszynowych i 8 stanowisk armat przeciwpancernych. Odcinek południowy Süd graniczył z odcinkiem Ost i West. Znajdował się na południu miasta

---

<sup>10</sup> J. Konowałow, *Wspomnienia okupacyjne...*, s. 39.

<sup>11</sup> T. Nowak, *Wyzwolenie Radomska...*, s. 286.

<sup>12</sup> W okopach na ul. Piłsudskiego Niemcy zostawili uciekając mnóstwo broni przeciwpancernej. Zob. S. Fijałkowski, *Wyzwolenie Radomska*, „Tygodnik Piotrkowski”, 1989, nr 1, s. 7.

i prawdopodobnie rozciągał się także w rejonach Zakrzówka i Folwarków. Miał za zadanie blokadę i ochronę dostępu do miasta dróg i linii kolejowej od południa, od strony Częstochowy (ówczesne ulice: Górna Str., Kattowitz Str., Park Str. - dzisiejsze ulice Starowiejska, Krakowska, Piłsudskiego).

Najsłabiej ufortyfikowany był odcinek zachodni West, bowiem posiadał tylko 2790 metrów okopów. Nie miał w ogóle rowów przeciwczołgowych, ale dość dużo, bo 148 pojedynczych stanowisk przeciwczołgowych dla żołnierzy (Panzerdeckungsloch), 25 stanowisk lekkich karabinów maszynowych, 7 stanowisk ciężkich karabinów maszynowych i 6 stanowisk armat przeciwpancernych. Odcinek West był położony na zachód od centrum miasta i graniczył z odcinkami Nord i Süd. Prawdopodobnie znajdował się na zachód lub w okolicy dzielnicy Kowalowiec i głównym zadaniem była kontrola nad drogą w kierunku na zachód na Pajęczno (ówczesna Poststrasse, dziś ul. Brzeźnicka), ważna droga, którą można było się najszybciej ewakuować w stronę Niemiec.

Informowano dowództwo wojskowe Generalnego Gubernatorstwa o prowadzonych dalszych pracach budowlanych. Budowano jeszcze 80 metrów rowów przeciwczołgowych (60 metrów na odcinku Ost i 20 metrów na odcinku Süd), 200 metrów przeszkód z drutu kolczastego na odcinku Ost oraz 11 zapór z szyn na ulicach miasta, które miały zatrzymać lub spowolnić atak czołgów, a tym samym uczynić je łatwiejszym do zniszczenia. Zapory były zazwyczaj bronione ogniem broni maszynowej, granatników przeciwpancernych i artylerii z pobliskich okopów. Znajdowały się na głównych ulicach miasta m.in. na Kościuszki, Reymonta, Przedborskiej i Krakowskiej. Zbigniew Wtorkiewicz wspomina te zapory: *Jeszcze w 1944 roku Niemcy zbudowali wokół Radomska umocnienia do zapór przeciwczołgowych. Były to beto-nowe, dwumetrowej głębokości gniazda. O ile dobrze pamiętam sześć rzędów. Miały tam być zatknięte dwuteowniki i szyny kolejowe. Ustawione ukosem w kierunku Przedborza, stanowiłyby na pewno znaczną przeszkodę. Niemcy jednak nie zdążyli zasunąć zapór. Droga do Radomska była wolna*<sup>13</sup>. Większość zapór z szyn na ulicach miasta wybudowano w styczniu 1945 r. Również inni świadkowie wspominają o zaporach przeciwczołgowych z szyn usytuowanych na wylotach radomszczańskich ulic<sup>14</sup>. W trakcie budowy ronda na ul.

---

<sup>13</sup> Z. Wtorkiewicz, *Pamiętam jak dziś*, „Gazeta Wyborcza, Dodatek Gazeta w Częstochowie”, nr 15 (18.01.1992), s. 3 (wspomnień wysłuchała Barbara Chybalska).

<sup>14</sup> *W mieście buduje się zapory przeciwczołgowe (obok domu gdzie mieszkam też powstaje taka zapora)* - wspominał J. Konowałow, *Wspomnienia okupacyjne...*, s. 39. T. Nowak na podstawie wywiadów ze swoimi rozmówcami, świadkami tamtych wydarzeń, podaje miejsca występowania tych umocnień: *Wiadomo, że zapory były na ul. Krakowskiej niedaleko dzisiejszego ronda, na ul. Narutowicza, Przedborskiej i Brzeźnickiej, tu gdzie dziś pod wiaduktem skręca się do centrum handlowego. Na ul. Piłsudskiego (wtedy Parkstrasse) zapora znajdowała się na wysokości odlewni żeliwa Edwarda Tyjasa, tuż za ul. Pułaskiego. Zbudowano przy niej mały bunkier. Michał Ciesielski widział przy nim żołnierza z pancernym, który nie przejawiał ochoty do walki.*

Krakowskiej, w dniu 24 czerwca 2014 r., odkopano jedną zaporę przeciwczołgową z tego okresu<sup>15</sup>.

Wedle raportu w prace budowy umocnień w Radomsku zaangażowanych było 246 osób: 8 żołnierzy, 22 SA-mannów, 13 hiwisów i 203 robotników z pośród miejscowych mieszkańców. Do pracy nad budową pozycji obronnych przymusowo zatrudniano miejscową ludność cywilną<sup>16</sup>. Żołnierze i SA-manni pełnili zwykle funkcję dozoru. Najwięcej osób pracowało na odcinku Ost - 95 (2 żołnierzy, 7 SA-mannów, 8 hiwisów i 78 miejscowych mieszkańców). Na odcinku północnym Nord pracowały 63 osoby (2 żołnierzy, 6 SA-mannów i 55 miejscowych mieszkańców), a na odcinku południowym 73 osoby (2 żołnierzy, 6 SA-mannów, 5 hiwisów i 60 miejscowych mieszkańców). Najmniej zatrudnionych było na odcinku zachodnim West 15 osób (2 żołnierzy, 3 SA-mannów i 10 miejscowych mieszkańców). W ramach prac sprowadzono do miasta wiele materiałów budowlanych takich jak duże ilości drewna, cementu, drutu, stali zbrojeniowej i szyn kolejowych.

Na końcu dokumentu skarżono się, że budowa wewnętrznego systemu obronnego napotykała na trudności, bowiem nizinne łąki Radomska znajdowały się wówczas pod wodą. Śnieg musiał stopnieć i zalać teren. Część okopów bojowych udało się jednak naprawić i odwodnić poprzez rowy odpływowe.

W dokumencie również zaplanowano zaangażowanie niemieckiej załogi Radomska w obronę miasta. Informowano, że rozpoczęto już wystawianie wart. W przypadku pierwszego alarmu planowano skierowanie do obrony 7 oficerów, 28 podoficerów i 95 żołnierzy, którzy mieli mieć do dyspozycji 101 karabinów, 18 pistoletów, 14 pistoletów maszynowych, 11 lekkich karabinów maszynowych, 2 ciężkie karabiny maszynowe i 32 pancerfausty.

W sytuacji drugiego alarmu do walki obronnej miało być skierowanych 40 oficerów, 128 podoficerów, 310 żołnierzy, uzbrojonych w 338 karabiny, 183 pistolety, 35 pistolety maszynowe, 7 lekkich karabinów maszynowych, 2 ciężkie karabiny maszynowe i 95 pancerfausty.

Liczba przygotowanych stanowisk obronnych (np. stanowisk karabinów maszynowych czy artylerii) przekraczała liczbę posiadanego uzbrojenia niemieckich wojsk sta-

---

*Z wyjątkiem tej na Przedborskiej powstawały od początków stycznia 1945 r.* - T. A. Nowak, *Wyzwolenie Radomska...*, s. 287.

<sup>15</sup> Dokumentację fotograficzną i opis zapory zamieścił J. Kamieniak <http://radomsk.pl/niemieckie-przygotowania-do-obrony-radomska-w-1944-roku/> dostęp z dnia 21.03.2023.

<sup>16</sup> Świadek T. Nowaka Jan Urbański, mieszkający wtedy na ulicy św. Rozalii, zapamiętał, że w ich domu mieszkał młody inżynier z Warszawy, który nadzorował te prace. Pracowali przy nich starzy Niemcy, oczywiście w mundurach, ale też więźniowie i cywile z łapanki. Również Gizella Bober wspominała, że te prace w różnych częściach miasta bardzo tamowały ruch cywilom i wojsku – T. A. Nowak, *Wyzwolenie Radomska...*, s. 287.

cjonujących w Radomsku. Na podstawie tych informacji staje się jasne, że wybudowane umocnienia w mieście były przygotowane nie tylko dla załogi wojskowej z Radomska, ale miały być także wzmocnione i obsadzone wycofującymi się frontowymi jednostkami niemieckimi, w tym artylerii. Może kiedyś uda się dotrzeć do innych niemieckich dokumentów, które jeszcze szczegółowiej opiszą przebieg odcinków obrony Radomska. Pojawia się także pytanie, na ile niemieckie dane dotyczące zrealizowanych umocnień, przesłane z Radomska do sztabu GG, pokrywały się ze stanem faktycznym i czy czasem nie były zawyżone. Być może zachowały się jeszcze fragmentaryczne ślady okopów i rowów przeciwpancernych, wówczas miejscowi historycy i pasjonaci wojskowości byłiby w stanie ustalić częściowo przebieg odcinków obrony i zweryfikować dane zamieszczone w raporcie ze stanem faktycznym (np. istnienie prawie 18 km okopów).

Biorąc pod uwagę, że prace nad umocnieniami rozpoczęto w połowie lipca 1944 r., a ofensywa radziecka rozpoczęła się 12 stycznia 1945 r., budowę linii obrony jak i punktów oporu, można uznać za szybką. W ciągu 5-6 miesięcy udało się wybudować dość liczne umocnienia polowe (okopy, zasieki, rowy przeciwczołgowe), liczne pola minowe oraz w większości ukończyć budowę obiektów punktu oporu. Był to niewątpliwie sukces organizacyjno-techniczny Niemców. Raport z Radomska mógł uspokoić niemieckich sztabowców, jednak rzeczywistość okazała się dla Niemców mniej optymistyczna.

Armia Czerwona wznowiła ofensywę dopiero 12 stycznia 1945 r., w ramach operacji wiślańsko-odrzańskiej, zajmując cztery dni później m. in. Częstochowę i Radomsko. Wyzwolenie Radomska spod okupacji niemieckiej nastąpiło 16 stycznia 1945 r. We wczesnych godzinach popołudniowych żołnierze radzieccy z oddziałów 254 i 294 dywizji pancerniej 52 armii 1 Frontu Ukraińskiego wkroczyli do miasta, kończąc okres niemieckiej okupacji ziemi radomszczańskiej. Szybkie pojawienie się Armii Czerwonej na tym terenie kompletnie zaskoczyło Niemców. Nie spodziewali się, że tak szybko to nastąpi. Oddajmy ostatni raz głos naocznemu świadkowi: *Na ulicy Reymonta do zaporę przeciwczołgowej nie założono ani jednej szyny stalowej, leżą teraz na stosie obok. Na ulicy Kościuszki włożono tylko 3 szyny, ale za to leży na zaporze zabitych 6 Niemców. W całym mieście na killkunastu zaporach zostały założone tylko trzy szyny na ul. Kościuszki. (...) Z żadnego z budowanych bunkrów nie padły strzały (brak było łusek po wystrzelonych nabojach), walka rozegrała się na ulicach miasta*<sup>17</sup>. Wprawdzie przygotowywano się przez kilka miesięcy do obrony, jednak nie podjęto zdecydowanej walki obronnej. Okopy, pozycje przeciwpancerne i artyleryjskie nie zostały wypełnione niemieckim wojskiem. Nie stoczono zaciętej bitwy o Radomsko. Niemcy, żołnierze i cywile, uciekali w popłochu z Radomska. Wojska radzieckie nie napotkały tu zorganizowanego oporu niemieckiego, dochodziło jedynie do pojedynczych wymian ognia. Zajmując miasto wojska sowieckie poniosły

---

<sup>17</sup> J. Konowałow, *Wspomnienia okupacyjne...*, s. 39, 45.

niewielkie straty. Na terenie powiatu radomszczańskiego dochodziło do walk, w wyniku których śmierć poniosło szacunkowo około 200 żołnierzy radzieckich. Na Cmentarzu Nowym w Radomsku znajduje się kwatera wojenna żołnierzy radzieckich, na której, według autora artykułu „Gazety Radomszczańskiej”, spoczywa 26 wojskowych poległych w walkach na ziemi radomszczańskiej<sup>18</sup>. Natomiast ilu dokładnie zginęło bezpośrednio przy zajmowaniu Radomska nie jest do końca jasne. Zachowany wykaz poległych żołnierzy radzieckich na terenie powiatu radomszczańskiego w Archiwum Państwowym w Piotrkowie Trybunalskim obejmuje tych, którzy zginęli między 15-31 stycznia, jednak pod datą 16 stycznia, czyli w dniu wkroczenia wojsk radzieckich do Radomska, nie wymieniono żadnego poległego<sup>19</sup>. Natomiast według relacji świadków T. Nowaka w czasie zajmowania miasta zginęło 2 żołnierzy Armii Czerwonej (na ul. Sienkiewicza i w Stobiecku Miejskim)<sup>20</sup>.

W operacji styczniowej 1945 r. Rosjanie przyjęli taktykę, którą umożliwiały im spora przewaga w sprzęcie i w ludziach. Nie wdawali się w ciężkie boje i przewlekłe walki, silniejsze zgrupowania przeciwnika okrążano kierując się dalej na zachód i licząc na ich poddanie się, wynikające z beznadziejnej sytuacji, bądź powolną likwidację w późniejszym terminie. W wyniku szybkich postępów Armii Czerwonej umocnienia niemieckie nie spełniły swojego zadania. Pozycje obronne nie zostały obsadzone przez wojska niemieckie w odpowiednim czasie, zakresie i liczbie. Front został szybko przerwany w kilku miejscach, co wymusiło na niemieckim dowództwie odwrót na zachód. Ogrom ofensywy sowieckiej i jej siła ich przerosła. Dodatkowo morale wojsk niemieckich było bardzo niskie. Niemcy w obliczu ofensywy Armii Czerwonej w styczniu 1945 r. w zasadzie panicznie wycofywali się. Pomimo ogromnego trudu przygotowania umocnień w Radomsku nie zostały one właściwie przez Niemców wykorzystane do obrony miasta. Praktycznie w ogóle nie wykorzystali możliwości stworzonych linii obronnych, co doprowadziło do porażki militarnej. Do zaciętej obrony Radomska przez Niemców na szczęście nie doszło, bo-wiem krwawa i długotrwała bitwa wiązałaby się także z dużymi stratami ludzkimi wśród polskich mieszkańców i poważnym zniszczeniem zabudowy miasta.

---

<sup>18</sup> *Żądamy renowacji pomnika*, „Ziemia Radomszczańska. Nasz Dom”, nr 5, maj 2010, s. 2.

<sup>19</sup> K. Błaszczyk, T. A. Nowak, *Sprawozdanie z prac sondażowych przeprowadzonych na terenie Kwatery wojennej żołnierzy Armii Czerwonej na Nowym Cmentarzu w 2011 r.*, „Zeszyty Radomszczańskie”, t. VI, 2012, s. 217.

<sup>20</sup> T. A. Nowak, *Wyzwolenie Radomska...*, s. 302.

**Marta Koszacka**  
(Radomsko)

### **Działalność Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku w latach 2014-2019**

Od wielu lat muzycy zrzeszają się w amatorskich zespołach, aby móc aktywnie uczestniczyć w życiu artystycznym w swoim regionie. Takimi zespołami są towarzystwa śpiewacze, początkowo tworzone jako chóry kościelne. Zakładane jeszcze w XIX w. po legalizacji otrzymywały nowe prawa, dzięki którym mogły szerzyć pieśń chóralną po całej Polsce, a także zagranicą. Działalność towarzystw śpiewaczych największe znaczenie miała w dwudziestoleciu międzywojennym, kiedy kultywowali pieśń polską, chóralną, patriotyczną, w celu odbudowania życia artystycznego w Polsce.

Najstarsze chóry w województwie łódzkim powstawały w Łodzi (przełom XIX i XX w.)<sup>1</sup>, Zgierzu (1907 r.)<sup>2</sup>, nieco później w Radomsku. Chór w tym mieście działał od 1912 r., ale formalnie zarejestrowany został w 1923 r. Jego historię opisali Mirosława Łęska, dając zarys dziejów do 1998 r.<sup>3</sup> oraz Grzegorz Mieczynski, który skupił się na skrótowym omówieniu historii do 1939 r.<sup>4</sup>

---

\*Artykuł jest zmienioną wersją pracy licencjackiej napisanej pod kierunkiem dr Joanna Szejnabis-Zdyb na Wydziale Pedagogicznym i Artystycznym Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach w 2021 r.

<sup>1</sup> <https://moniuszkowcy.pl.tl/>, dostęp: 12.09.2021; *Wystawa o chórze FŁ i tradycjach chóralnych Łodzi*, Filharmonia.lodz.pl [https://filharmonia.lodz.pl/pl/wystawa-o-chorze-fl-i-tradycjach-choralnych-ldzi?fbclid=IwAR0h4SaK\\_PKQB9q9U3qvZRJceWJGK8dHz9s2NA6lkNavw4MIuJcxvsyqbkg](https://filharmonia.lodz.pl/pl/wystawa-o-chorze-fl-i-tradycjach-choralnych-ldzi?fbclid=IwAR0h4SaK_PKQB9q9U3qvZRJceWJGK8dHz9s2NA6lkNavw4MIuJcxvsyqbkg), dostęp: 12.09.2021; Bożena Pellowaska-Chudobińska, *130 lat Stowarzyszenia Śpiewaczego Harmonia*, „Kronika Miasta Łodzi” 2/2016, s. 143-152.

<sup>2</sup> *Sprawozdanie z działalności Towarzystwa Śpiewaczego Lutnia w Zgierzu za lata 1907-1932*, Wydawnictwo jubileuszowe. Nakładem Tow. Śpiew. Lutnia w Zgierzu, s. 6.

<sup>3</sup> M. Łęska, *Moniuszkowcy. 75 lat Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku*, Radomsko 1998.

<sup>4</sup> G. Mieczynski, *Stowarzyszenia społeczne w Radomsku w latach 1881-1939*, Radomsko 2008, s. 98-99.

Celem pracy jest poznanie środowiska chórzystów działających w Radomsku oraz analiza ich osiągnięć na tle działalności towarzystw śpiewaczych funkcjonujących w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Głównym problemem badawczym jest to, czy chór Towarzystwa, prowadząc działalność artystyczną w latach 2014-2019 kultywował tradycję chóralnego muzykowania. Poza rozwiązaniem głównego problemu badawczego postaram się również odpowiedzieć na pytania czy zespół prowadził aktywną działalność artystyczną, jaką rolę odgrywa dyrygent chóru w przygotowaniu do występów, czy chór pełni rolę kulturotwórczą i społeczną.

Według statutu za początek istnienia Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki przypada na 1 maja 1923 r. Jednak dzieje chóru są dłuższe. Dowodem na to jest kronika, zwana „Złotą Księgą”, przez lata prowadzona przez zasłużonego członka Towarzystwa Józefa Woźniaka. W czasach zaborów przy radomskich kościołach działały dwa chóry. Pierwszy prowadzony przez organistę Kajetana Fotygo w niedawno wybudowanej farze. Zaś w liczących kilkaset lat poklasztornym kościele franciszkanów drugim chórem dyrygował pan Borowski, profesor konserwatorium muzycznego<sup>5</sup>. Według fragmentu wspomnień chórzysty Edwarda Włodarczyka, chór przy kościele pofranciszkańskim w Radomsku istniał już w 1912 r. Rok później dyrygentem został pan Wesołowski, zajmujący się także nauką pieśni świeckich. W tym czasie organizował koncerty m. in. w sali straży pożarnej. Przed I wojną światową Wesołowski wyjechał do rodzinnej miejscowości i po zakończeniu wojny, już nie wrócił do Radomska<sup>6</sup>.

Nadszedł rok 1914 i pierwsza wojna światowa. Chór poklasztorny został bez dyrygenta. Z inicjatywy ks. Chwiłowicza, wymagającego znawcy i miłośnika śpiewu, śpiewacy zrzeszyli się w jeden chór, rolę dyrygenta przejął Franciszek Opolski<sup>7</sup>. W 1922 r. próbę prowadzenia chóru podjął organista Starostecki. Nie mogąc jednak poradzić sobie z młodymi chórzystami, zasięgnął pomocy Waleriana Derczyńskiego, pochodzącego z Częstochowy. Był zasłużonym członkiem chóru na Jasnej Górze, śpiewał także partie solowe oraz rozwijał umiejętności dyrygenckie. Z inicjatywy Derczyńskiego powstało Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku, w oparciu o statut częstochowskiego Rzemieślniczego Towarzystwa Śpiewaczego. Towarzystwo stworzono na bazie chóru z kościoła franciszkanów. W Komitecie założycielskim zajęli miejsce aktywnie działający społecznie obywatele Radomska: ks. Romuald Wojtała - gwardian klasztoru, Ludwik Warwasiński - przemy-

---

<sup>5</sup> Kronika Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku zwana Złotą Księgą s. 1 (dalej jako Kronika).

<sup>6</sup> M. Łęska, *Moniuszkowcy...*, s. 1.

<sup>7</sup> Kronika, s. 1.



słowiec<sup>8</sup>, Michał Świdorski – przedsiębiorca, strażak i wydawca „Gazety Radomskowskiej”<sup>9</sup>, Walerian Derczyński - przodownik Policji Państwowej, Aleksander Semkow - nauczyciel, Józef Kozakiewicz - urzędnik magistratu<sup>10</sup>, Julian Kaczyński - elektromonter, Józef Łęski oraz członkowie chóru: Edward Włodarczyk i Stefan Łęski. Prezesem Zarządu został ówczesny dyrygent - Walerian Derczyński<sup>11</sup>.

Ze wspomnień chórzysty Mariana Urbańskiego wiadomo, że chór w 1922 r. liczył ok. 30 osób. W tym roku w kinie w Radomsku oraz w Gidlach chórzysty wystawiali liczącą 3 akty krotoczwilę *Krajowe Wyroby* Jana Szczęsnego Pobratymca, powstała w 1920 r. we Lwowie. Wtedy też powstała myśl założenia towarzystwa śpiewaczego, został powołany komitet, a dyrygent Derczyński rozpoczął starania u władz o zatwierdzenie statutu. Statut Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku zatwierdzony został 1 maja 1923 r. przez Wojewodę Łódzkiego, tym samym zostało wciągnięte do Rejestru Stowarzyszeń i Związków pod nr 710, co ogłoszono w Dzienniku Urzędowym Województwa Łódzkiego<sup>12</sup>.

Pierwszy koncert odbył się w dniu 19 sierpnia 1923 r. w Gidlach przy akompaniamencie orkiestry dętej z fabryki mebli Wittego. W dniu 9 czerwca 1923 r., w sali Resursy Rzemieślniczej odbyło się pierwsze Walne Zebranie Organizacji. Na spotkaniu przy udziale 42 osób został powołany pierwszy Zarząd Towarzystwa Śpiewaczego. Przy chórze utworzono kwartet smyczkowy w składzie: Henryk Dawid - I skrzypce, Henryk Derczyński, syn prezesa W. Derczyńskiego - II skrzypce, Aleksander Dawid - wiolonczela, Marian Urbański - altówka<sup>13</sup>.

Najwięcej wydarzeń zostało zorganizowanych w 1926 r. Odbywały się poranki muzyczne, niedzielne koncerty, letnie zabawy w parku, wystawiono *Jaselka* oraz przedstawienie *Królowa Przedmieścia*. Miejscowe życie kulturalne wzbogacały występy zapraszanych gościnnie chórów. Ożywiona działalność Towarzystwa trwała do 1928 r. Do tego czasu Towarzystwo skupiało około 60 muzyków. Poza chórami: mieszanym, męskim oraz młodocianym, kwartetem smyczkowym, działały również: orkiestra symfoniczna, licząca około 20 osób oraz orkiestra dęta, składająca się z 12 osób<sup>14</sup>.

Podczas walnego zebrania w dniu 29 stycznia 1928 r. zdecydowano o chwilowym zawieszeniu działalności, z powodu małego zainteresowania Towarzystwem.

---

<sup>8</sup> Alicja Surmacka, *Warwasiński Ludwik (1879-1964)*, [w:] *Radomszczański Słownik Biograficzny* (dalej RSB), t. I, pod red. G. Mieczynskiego, Radomsko 2017, s. 205-206.

<sup>9</sup> Grzegorz Mieczynski, *Świdorski Michał (1882-1940)*, [w:] RSB, t. I, s. 198-200.

<sup>10</sup> Jadwiga Mamzer, *Kozakiewicz Józef (1886-1969)*, [w:] RSB, t. I, s. 93-94.

<sup>11</sup> M. Łęska, *Moniuszkowcy...*, s. 2.

<sup>12</sup> Kronika, s. 2-3.

<sup>13</sup> Kronika, s. 4; M. Łęska, *Moniuszkowcy...*, s. 2;

<sup>14</sup> M. Łęska, *Moniuszkowcy...*, s. 7.

Wznowiono ją po kilku miesiącach, jednak po śmierci prezesa i dyrygenta Aleksandra Dawida jesienią 1928 r. została ponownie zawieszona. W latach 1929-1932 działalność Towarzystwa ograniczała się do śpiewów religijnych. Walerian Derczyński przeprowadził się do Piotrkowa, w związku z czym nie był w stanie pomagać w prowadzeniu chórów, a Moniuszkowcy zostali bez dyrygenta. W roku 1933 kierownictwo muzyczne Towarzystwa objął Henryk Dawid, a tym samym działalność chórów i orkiestry została wznowiona. W tym samym roku na wniosek członka Towarzystwa A. Ortyła utworzona została sekcja sportowa piłki nożnej. Do roku 1936 sekcje Towarzystwa aktywnie brały udział w wydarzeniach kulturalnych. Odbywały się również zebrania zarządu i członków<sup>15</sup>.

Akta z lat 1937-1939 zaginęły w czasie okupacji niemieckiej. Jawna działalność Towarzystwa w okresie 1939-1945 została zakazana, lecz członkowie, którzy pozostali w Radomsku muzykowali w tajnym zespole śpiewaczym „Filharmonia radomszczańska” pod dyрекcją Jerzego Fotygi<sup>16</sup>. Ze wspomnień chórzysty Albina Mrówczyńskiego wiemy, że próby w tym czasie odbywały się na chórze, ponieważ salę prób, podobnie jak klasztor, zajmowali żandarmi. Chór liczył co najmniej 30 osób, a oprócz niego działał również chór ministrantów i chór młodociany. W roku 1943 chór wraz z chórem „Lutnia” z fary i solistami pod dyрекcją Jerzego Fotygi zorganizowali koncert muzyki religijnej. Odbył się on 17 września z okazji odpustu św. Lamberta i wizyty pasterskiej biskupa częstochowskiego ks. dra Teodora Kubiny w kościele parafialnym. W repertuarze znalazły się następujące utwory: *Requiem* Mozarta, *Psalm 136* Feliksa Nowowiejskiego oraz *Modlitwa o Pokój* Józefa Nowaka. Publiczne wykonanie *Psalmu 136* było szczególnie ryzykowne ze względu na jego patriotyczne przesłanie. Wśród solistów znaleźli się: Halina Hombekówna - sopran, Maria Mrówczyńska - mezzosopran, Albin Mrówczyński - tenor, Józef Nowak z Poznania - bas. Na organach śpiewakom akompaniował Henryk Fajt<sup>17</sup>. W związku z dużym powodzeniem koncertu, miał on zostać powtórzony 14 listopada, jednak okupanci dopatrzyli się związku z przypadającą 11 listopada 25 rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości, więc odbył się dopiero 2 lata później, 18 listopada 1945 r. w klasztorze franciszkanów. Program koncertu uległ zmianie, mianowicie *Modlitwę o Pokój* zastąpiono *Alleluja* Haendla. Partię basową *Requiem* zaśpiewał Stefan Czerkawski. Było to pierwsze wykonanie *Requiem* Mozarta w Polsce po wojnie<sup>18</sup>.

W dniu 24 lutego 1946 r. o godzinie 15:30 odbyło się pierwsze od wybuchu wojny zebranie członków Towarzystwa, które wówczas liczyło około 70 członków

---

<sup>15</sup> Kronika, s. 10-13, 15.

<sup>16</sup> Laura Normand, *Fotygo Kajetan Franciszek Jerzy (1904-1967)*, [w:] RSB, t. I, s. 50-51.

<sup>17</sup> Aleksandra Maria Walicka, *Fajt Henryk Michał (1912-1988)*, [w:] RSB, t. I, s. 49-50.

<sup>18</sup> Kronika, s. 15; M. Łęska, *Moniuszkowcy...*, s. 8-9.

i składało się z chóru mieszanego i męskiego. Na prezesa po raz kolejny wybrano Henryka Dawida, wieloletniego dyrygenta i prezesa Zarządu od 1934 r. Jesienią rozgłośnia katowicka Polskiego Radia nadała audycję regionalną z Radomska, w której znalazła się transmisja Mszy Świętej z kościoła franciszkanów z udziałem obu chórów, co skutkowało licznymi pochwałami w prasie. Od tego momentu Towarzystwo znów aktywnie działało organizując koncerty i biorąc udział w konkursach amatorskich, w których odnotowano liczne sukcesy<sup>19</sup>.

W 1953 r. Towarzystwo musiało się zmierzyć z ogromną stratą - 18 grudnia 1953 r. zmarł wieloletni prezes Zarządu oraz zasłużony dyrygent Henryk Dawid. 1 stycznia 1954 r. odbyła się uroczysta akademii dla uczczenia zmarłego. Po jego śmierci, jeszcze w 1953 r., kierownictwo nad chórem powierzono organiście klasztoru Albinowi Mrówczyńskiemu, wieloletniemu członkowi Towarzystwa. Prezesem Zarządu pozostał do 1961 r., ale funkcję dyrygenta pełnił aż do 1999 r., do momentu, kiedy zachorował. Był honorowym prezesem zarządu, jak i honorowym członkiem Towarzystwa. Z okazji pięćdziesięciolecia Towarzystwa (1974 r.) chór otrzymał specjalne błogosławieństwo od papieża Pawła VI, a dyrygent Albin Mrówczyński najwyższe odznaczenie papieskie, medal *Pro Ecclesia et Pontifice*<sup>20</sup>.

Aktywność chóru przez wiele lat skupiała się głównie na działalności religijnej, oprawie mszy świętych. Kilukrotnie witali papieża Jana Pawła II podczas jego pielgrzymek do Polski, śpiewali dla niego na Jasnej Górze, witali go na lotnisku. Poza działalnością religijną chór występował także m.in. na obchodach 550. rocznicy bitwy pod Grunwaldem w roku 1960, uroczystości oddania do użytku szkoły tysiąclecia w Radomsku w 1963 r., w Filharmonii Łódzkiej w 1974 r., zdobył II wyróżnienie na I Łódzkim Turnieju Chóralnym w 1978 r. Od 1994 r. uczestniczył także w uroczystościach inauguracyjnych radomszczańskiej filii Politechniki Częstochowskiej, wykonując *Gaudeamus igitur* i *Gaude Mater Polonia*. W 1998 r. Moniuszkowcy uroczystie obchodzili 75-lecie istnienia Towarzystwa. Uroczystości te trwały łącznie trzy dni (1-3 maja) i obejmowały msze święte, koncert uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej im. Grażyny Bacewicz oraz spotkanie z zaproszonymi gośćmi<sup>21</sup>. Z okazji jubileuszu wieloletni i zasłużeni członkowie chóru Mirosława i Jacek Łęscy wydali przez Fundację Inicjatyw Kulturalnych w Radomsku broszurę z historią Towarzystwa.

W marcu 1999 r. Albin Mrówczyński z powodu choroby zmuszony był zrezygnować z pełnionej przez 46 lat funkcji dyrygenta. Chór borykał się z trudnościami związanymi z brakiem kierownika muzycznego, jednak nadal odbywały się pró-

---

<sup>19</sup> Kronika, s. 15; M. Łęska, *Moniuszkowcy ...*, s. 9.

<sup>20</sup> Kronika, s. 17-19; M. Łęska, *Moniuszkowcy ...*, s. 9, 19.

<sup>21</sup> Kronika, s. 16-17, 44, 50.

by, a Towarzystwo brało udział w koncertach. Okazjonalnie chórem dyrygował członek chóru Edward Ciupa. W czerwcu 1999 r. Zarząd zaangażował na dyrygenta chóru nauczyciela muzyki Stanisława Zaskórskiego. 21 listopada 1999 r. Towarzystwo złożyło oficjalne podziękowania dyrygentowi Albinowi Mrówczyńskiemu za wieloletnią naukę i prowadzenie chóru z podkreśleniem jego wysokich walorów artystycznych. Za 54-letnią pracę z „Moniuszkowcami” otrzymał list gratulacyjny i kwiaty od prezydenta miasta. Długoletni dyrygent zmarł 14 marca 2001 r. Był honorowym członkiem oraz prezesem Towarzystwa i dyrygentem przez 46 lat. Pogrzeb odbył się 17 marca z udziałem kilkuset radomszczan, a także 60-osobowego chóru „Moniuszkowców” pod dyrekcją Stanisława Zaskórskiego<sup>22</sup>.

W 2001 r. chór znalazł się w trudnej sytuacji. Brak funduszy na opłacenie dyrygenta postawił dalszą działalność pod znakiem zapytania. Po zachorowaniu Albina Mrówczyńskiego stanowisko dyrygenta, za odpowiednim wynagrodzeniem, zgodził się objąć Stanisław Zaskórski, który zastąpił mistrza Mrówczyńskiego jako organista w klasztorze. Wynagrodzenie było wypłacane do końca roku z kasy Urzędu Miasta, a przez dwa następne miesiące z funduszy Towarzystwa. „Moniuszkowcy” od 1 marca 2001 r. pozostawali bez dyrygenta, a także bez stałego miejsca prób<sup>23</sup>.

W czerwcu 2001 roku chórem okazjonalnie kierował Marek Koper, który miał później zostać dyrygentem. Po przerwie wakacyjnej, w sierpniu, Stanisław Zaskórski ponownie objął stanowisko dyrygenta. Próby odbywały się dwa razy w tygodniu w sali Miejskiego Domu Kultury w Radomsku. W sierpniu odeszła przyjaciółka i fundatorka chóru pani Poteralska. Członkowie Towarzystwa pod dyrekcją Stanisława Zaskórskiego wzięli udział w uroczystości pogrzebowej w Warszawie. Syn zmarłej, Henryk Poteralski, we wrześniu 2001 r. zorganizował i ufundował „Moniuszkowcom” wycieczkę do Wilna, w której udział wzięło 33 członków. W dniach 21-24 września miały odbyć się trzy koncerty. Ostatecznie chór Towarzystwa zaśpiewał pięć koncertów<sup>24</sup>.

Przez cały 2001 r. Zarząd bezskutecznie starał się o dofinansowanie z Urzędu Miasta na wynagrodzenie dla dyrygenta<sup>25</sup>. W dniu 13 lutego 2002 r. nastąpiła zmiana dyrygenta. Stanowisko to objął nauczyciel muzyki w Szkole Muzycznej w Radomsku, Marek Koper<sup>26</sup>. W 2003 r., na który przypadło 80-lecie Towarzystwa, jego działalność ożywiła się. „Moniuszkowcy” zostali zaproszeni do udziału w *I Przeglądzie chórów parafialnych* reprezentując parafię Miłosierdzia Bożego w Radom-

---

<sup>22</sup> Kronika, s. 51-52; M. Łęska, *Pożegnaliśmy mistrza Albina*, „Gazeta Radomszczańska”, 23.03.2001.

<sup>23</sup> M. Łęska, *Co dalej z Moniuszkowcami*, „Gazeta Radomszczańska”, 15.03.2001.

<sup>24</sup> Kronika, s. 56.

<sup>25</sup> Monika Bednarczyk, *Śpiew to ich pasja*, „Komu i Czemu”, 23-29.01.2002.

<sup>26</sup> Kronika, s. 57.

sku. Przegląd odbył się 24 maja w Częstochowie w ośrodku Wychowania i Animacji prowadzonym przez salezjanów. W konkursie brało udział 18 chórów, a Towarzystwo zajęło II miejsce<sup>27</sup>. Dzięki wsparciu ze strony władz miasta chór wyjechał na Sycylię<sup>28</sup>. Od 19 do 24 października 2003 r. dali tam kilka koncertów. Pierwszy miał miejsce na Uniwersytecie w Katanii na Sycylii. Zaśpiewali w towarzystwie włoskich artystów. Wielokrotne bisy i niekończące się owacje publiki dowodzą, że odnieśli sukces. Kolejnego dnia odbyły się dwa koncerty. Pierwszy w ogrodzie prezydenta Katanii. Chór zaprezentował uniwersytecką piosenkę *Forca Catania*, której nauczył się specjalnie z okazji jubileuszowego wyjazdu. Drugi koncert miał miejsce w miasteczku położonym u podnóża Etny - Nicolosi, w zabytkowym kościele. Finałowym utworem był *Mazurek Dąbrowskiego*. Trzeciego dnia chórzystów spotkało ogromne zaskoczenie. Nikt nie spodziewał się, że będą mieli okazję wystąpić na deskach teatru Massimo Bellini – opery noszącej imię pochodzącego z Katanii wielkiego kompozytora Vincenzo Belliniego. Czwartego dnia koncertowano w Taorminie dwa razy, dla burmistrza oraz zaproszonych gości, a także na rynku dla turystów<sup>29</sup>. Koncert jubileuszowy dla mieszkańców Radomska dano 9 listopada w MDK<sup>30</sup>.

Od 1 czerwca 2004 r. stanowisko dyrygenta objął Maciej Salski, absolwent Łódzkiej Akademii Muzycznej. Dla Moniuszkowców i ich nowego dyrygenta pojawiła się nadzieja w dotacji ze strony Urzędu Miasta w ramach projektu *Opera na prowincji*<sup>31</sup>. Od tego czasu aktywność Towarzystwa cały czas rosła, coraz częściej chór był zapraszany zagranicę<sup>32</sup>. Jego ożywiona działalność pod dyrekcją Macieja Salskiego trwa do dziś.

#### **Członkowie chóru w 2023 r.:**

**Soprany:** Cykowska Zuzanna, Gajewska Anna, Grzybek Urszula, Horoszkiewicz Danuta, Kempaska Agata, Muszyńska Ewa, Perek Ewa, Ratecka Anna, Wasik Ewa, Woźniak Alina, Wtorkowska Aneta.

**Alty:** Ciosk Anna, Górecka Helena, Kołaczkowska Dorota, Koszacka Iza, Majdzik Grażyna, Mielczarek Elżbieta, Muszyńska Joanna, Sabady Grażyna, Siewierska Anna, Nowak Teresa.

---

<sup>27</sup> Kronika, s. 61.

<sup>28</sup> Maciej Konrad Ziemiński, *Ambasadorowie Radomska - nasi kochani Moniuszkowcy*, „Komu i Czemu”, 15-21 października 2003 r.

<sup>29</sup> Monika Bednarczyk, Justyna Broniszewska, *Moniuszkowcy na wyspie słońca*, „Komu i Czemu”, 29.10.-04.11.2003 r.

<sup>30</sup> Kronika, s. 62

<sup>31</sup> Monika Bednarczyk, *Młodość i nadzieja dla Moniuszkowców*, „Komu i Czemu”, 9-14.06.2004 r.

<sup>32</sup> Kronika, s. 63-65.

**Tenory:** Chybalski Arkadiusz, Dembowski Andrzej, Kempski Robert, Owczarek Janusz.

**Basy:** Horoszkiewicz Krzysztof, Kowalczyk Patryk, Nowak Zdzisław, Pietras Kazimierz, Stemplewski Marek, Tarnowski Jacek, Zygmunt Andrzej.

**Zarząd Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku:**

Danuta Horoszkiewicz – prezes, Agata Kempaska – wiceprezes, Andrzej Dembowski – wiceprezes, Dorota Kołaczewska – sekretarz, Alina Woźniak – skarbnik, Elżbieta Mielczarek – członek zarządu, Krzysztof Horoszkiewicz – członek zarządu.

**Honorowi członkowie chóru nagrodzeni w ostatnich latach:**

Janina Boczek, Roman Cieślak, Regina Ciupa, Bolesława Piekarniak, Barbara Dorozińska, Helena Jaguścik, Danuta-Maria Konieczna, Wiesław Konieczny, Lech Korzeniowski, Aleksandra Kowalska, Zofia Krawczyk, Janina Loszek, Jan Loszek, Krystyna Mielczarek, Czesława Mosińska, Romualda Smolec, Sabina Szczygłowska, Wacław Knapik, Jadwiga Nicerska, Jadwiga Zawada, Jan Zawada, Jadwiga Stefańczyk.

Przyglądając się liście członków od początku istnienia Towarzystwa można zauważyć częstą zbieżność nazwisk. W większości przypadków nie jest ona przypadkowa. Społeczność „Moniuszkowców” dzięki wspólnym wigiliom, wycieczkom i zabawom tworzyła pewnego rodzaju rodzinę. Od początku istnienia towarzystwa jego członkami, a później dyrygentami byli bracia – Henryk i Aleksander Dawid, którzy szczególnie przyczynili się do rozwoju chóru i innych sekcji. Na sali prób poznało się wiele małżeństw, między innymi Janina i Albert Urbańscy, Anna i Albin Mrówczyński – wieloletni dyrygent chóru, Róża i Lech Korzeniowscy, jako już drugie pokolenie, gdyż ojciec Lecha – Jan przez wiele lat był członkiem chóru oraz pełnił funkcję w Zarządzie Towarzystwa. Niektórzy od początku zasilali szeregi chóru jako rodzina, na przykład Helena i Mieczysław Jaguścikowie, którzy na próby zabierali syna – Zbigniewa<sup>33</sup>.

Aktualnie w zarządzie zasiada jako prezes Danuta Horoszkiewicz wraz z mężem, który jest członkiem zarządu – Krzysztofem Horoszkiewiczem. Przyjaciółmi towarzystwa byli Jacek Łęski – członek zarządu wraz z żoną - Mirosławą Łęską, członkinią chóru. Wspólnie stworzyli wiele artykułów oraz jubileuszową broszurę dla „Moniuszkowców”.

Wśród członków towarzystwa przewija się wiele pokoleń. Okazjonalnie z „Moniuszkowcami” występowała jako solistka Sylwia Nowak (nazwisko rodowe

---

<sup>33</sup> Łęska Mirosława, *Moniuszkowcy ...*, s. 26.

Koszacka), absolwentka Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Ignacego Jana Paderewskiego w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie dyrygent Maciej Salski prowadzi lekcje chóru. Wykonała z nimi między innymi w 2012 r. podczas koncertu inauguracyjnego Festiwalu Wschód-Zachód-Zbliżenia utwór *Oh! Darling* zespołu The Beatles. Niedługo potem, zauroczona atmosferą i działalnością towarzystwa, do chóru dołączyła jej mama – Izabela Koszacka, która obecnie należy do altów. Aktualnie w składzie chóru znajdują się dwie siostry, trzy małżeństwa oraz matka z córką<sup>34</sup>.

### Dyrygenci

**Walerian Derczyński** inicjator chóru, prezes, dyrygent (1923-1927), honorowy członek (1 marca 1925 r.). Podczas jego działalności powołano kwartet muzyczny, sekcję Orkiestry dętej oraz sekcję orkiestry symfonicznej. Dużym wydarzeniem podczas jego kadencji był również Wielki Koncert ku czci Fryderyka Chopina, który odbył się 7 września 1924 r. w Kinemie wraz z gościnnym udziałem Towarzystwa Śpiewaczego Lutnia z Częstochowy. Całkowity dochód z koncertu został przeznaczony na budowę pomnika Fryderyka Chopina w Warszawie<sup>35</sup>.

**Aleksander Dawid** wiceprezes (1925), prezes (1928), dyrygent (1927-1928), zmarł we wrześniu 1928 r.<sup>36</sup>

**Henryk Dawid** od roku 1933 do 1953, wiceprezes zarządu (od 1933 r.), prezes (1946), dyrygent (1933-1953), honorowy członek (1933 r.). Współpracował z Walerianem Derczyńskim, podczas jego działalności powołano sekcję sportową „Sparta”. Po wojnie jego zadaniem było odbudowanie aktywnej działalności towarzystwa. W 1947 r. chór zajął 7 miejsce w konkursie o szczyblu ogólnopolskim<sup>37</sup>.

**Albin Mrówczyński** absolwent Instytutu Muzycznego w Krakowie (1938 r.), dyrygent (1953 do 1999)<sup>38</sup>, honorowy członek zarządu i chóru. W 1974 r. z okazji 50-lecia Towarzystwa został odznaczony przez papieża Pawła VI najwyższym odznaczeniem - medalem *Pro Ecclesia et Pontifice*. Chociaż działalność chóru podczas jego kadencji dyrygenta skupiała się głównie w kościele, wystąpili na scenie Filharmonii Łódzkiej w 1974 r. oraz zdobyli II wyróżnienie na I Łódzkim Turnieju Chóralnym w 1978 r. Prowadził młodociany chór składający się z kandydatów do Towarzystwa.

---

<sup>34</sup> Wywiad z panią Danutą Horoszkiewicz - prezesem Towarzystwa z 14 września 2021 r.

<sup>35</sup> Kronika, s. 10.

<sup>36</sup> Kronika, s. 10.

<sup>37</sup> Kronika, s. 11, 17-18.

<sup>38</sup> Kronika, s. 19, 51.

Czasem prowadził próby w zastępstwie za dyrygenta Henryka Dawida. Rolę dyrygenta przejął po jego śmierci w 1953 r.

**Stanisław Zaskórski** dyrygent (1999 do 2001)<sup>39</sup>.

**Marek Koper** od roku 2001 do 2003<sup>40</sup>, opiekował się chórem przez 3 lata pomimo kryzysu finansowego. Podczas jego kadencji chór Towarzystwa zdobył II miejsce w przeglądzie chórów parafialnych. Pod jego batutą odbył się również bardzo ważny wyjazd na Sycylię do Katanii, gdzie wraz z chórem koncertował w wielu miejscach przez kilka dni.

**Barbara Miszczak-Matławska** od roku 2003 do 2004<sup>41</sup>,

**Maciej Salski** od 2004 r. do chwili obecnej. Jest absolwentem Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi na kierunku wychowanie muzyczne, specjalizacja dyrygentura chóralna. Ukończył również studia podyplomowe z zakresu dyrygentury chóralnej na Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku nie jest jedynym chórem, który prowadzi. Funkcję dyrygenta od 2009 r. pełni również w Państwowej Szkole Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie prowadzi chóry I i II stopnia. W 2012 roku stworzył *Jazzowy Chór Wytwórci* w Łodzi, którego szefem i dyrygentem jest do tej pory. Pełni również funkcję kierownika chóru Teatru Wielkiego w Łodzi. Na swoim koncie ma wiele osiągnięć z różnymi zespołami, w tym z „Moniuszkowcami”, między innymi zdobył nagrody *Srebrna Struna* na *XVII Ogólnopolski Konkurs Chórów o złotą strunę* w Niepołomicach oraz zagraniczne trasy koncertowe<sup>42</sup>.

## Rola dyrygenta

Próby odbywają się dwa razy w tygodniu, we wtorki oraz piątki w Miejskim Domu Kultury w Radomsku i trwają dwie godziny. Dyrygent rozpoczyna próbę od ćwiczeń rozgrzewających. Następnie chórzyści sekcyjnie zapoznają się z zapisem nutowym nowego materiału. Po opanowaniu swoich głosów następuje stopniowe połączenie sekcji w czterogłos, lub inny układ, w zależności od wymagań utworu. Po pierwszej godzinie następuje piętnastominutowa przerwa, w której „Moniuszkowcy” mają czas na omówienie spraw organizacyjnych. Druga część próby rozpoczyna się od doskonalenia opanowanego już wcześniej repertuaru. Następnie dyrygent w celu utrwalenia nowego materiału wraca do nowych utworów. Próba zazwyczaj kończy

---

<sup>39</sup> Kronika, s. 51, 55.

<sup>40</sup> Kronika, s. 56, 62.

<sup>41</sup> Kronika, s. 62.

<sup>42</sup> Wywiad z dyrygentem Maciejem Salskim przeprowadzony w dniu 13 września 2021 r.



się na śpiewaniu dobrze opanowanych pieśni, co sprawia, że śpiewanie jest dobrą zabawą, a chórzyci kończą lekcję z dobrym nastrojem.

Maciej Salski – dyrygent chóru zajmuje się przygotowaniem go do koncertów i konkursów pod względem technicznym, a także wybierając repertuar, organizując akompaniatorów, zespoły muzyczne i angażując solistów, zarówno wokalistów jak i instrumentalistów z różnych instytucji jak filharmonie, teatry, szkoły muzyczne.

Przed koncertami odbywają się też próby z orkiestrami poza Miejskim Domem Kultury w Radomsku, między innymi w Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia w Piotrkowie Trybunalskim lub w Filharmonii Częstochowskiej. Przed konkursami chórzyci uczestniczą w jedno lub dwudniowych warsztatach wyjazdowych, na których pracują z nami także inni instruktorzy śpiewu.

W repertuarze „Moniuszkowców” można znaleźć utwory z zakresu muzyki poważnej, ludowej i rozrywkowej. W okresie bożonarodzeniowym śpiewają również kolędy i pastorałki. Chór pomiędzy koncertami i konkursami doskonali repertuar i wokalne umiejętności. Członkowie spotykają się także towarzysko poza próbami, organizują spotkania nieoficjalne i wycieczki. Co roku, w listopadzie, towarzystwo obchodzi imieniny Św. Cecylii, patronki chórów, organizując uroczysty bankiet. Wtedy do chóru oficjalnie przyjmowani są nowi członkowie chóru. To spotkanie to także podsumowanie działalności chóru w danym roku, wspólne oglądanie zdjęć i nagrań z wydarzeń, w których brali udział<sup>43</sup>.

## Działalność Towarzystwa w latach 2014-2019

### Koncerty

#### Rok 2014:

- 5 stycznia chór wziął gościnny udział w wystawionej przez Teatr Źródło *Pastoralce* Leona Schillera. Spektakl odbył się w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury w Radomsku<sup>44</sup>.
- 9 stycznia występ na sali widowiskowo-teatralnej Miejskiego Ośrodka Kultury w Piotrkowie Trybunalskim w ramach Koncertu Karnawałowego. W programie znalazły się najpiękniejsze arie, chóry operowe i operetkowe. Oprócz Towarzystwa wystąpili również soliści Teatru Wielkiego w Łodzi: Olga Maroszek - sopran, Dominik

---

<sup>43</sup> Wywiad z członkinią chóru Izabelą Koszacką przeprowadzony w dniu 20 września 2021 r.

<sup>44</sup> nm, *Teatr Źródło zaprasza na Pastorałkę Leona Schillera*, Nasze Miasto, 30 grudnia 2013 r., [https://radomsko.naszemiasto.pl/teatr-zrodlo-zaprasza-na-pastoralke-leona-schillera/ar/c\\_13\\_2114998](https://radomsko.naszemiasto.pl/teatr-zrodlo-zaprasza-na-pastoralke-leona-schillera/ar/c_13_2114998), dostęp: 12.10.2020.

Sutecki - tenor oraz Piotrkowska Orkiestra Kameralna. Cały koncert odbył się pod batutą dyrygenta Macieja Salskiego<sup>45</sup>.

- 18 stycznia w Chełmnie odbył się IX Ogólnopolski Konkurs Kolęd i Pastoralek, w którym Towarzystwo zostało wyróżnione nagrodą *Srebrne Pasmo*<sup>46</sup>.

- 2 marca w ostatnią niedzielę karnawału chór świętował wraz z mieszkańcami Radomska w pubie Patio, gdzie zorganizowany został koncert muzyki rozrywkowej *W rytmie swinga*. W repertuarze znalazły się znane utwory rozrywkowe z lat 70. i 80. Chórowi na scenie towarzyszyli: Zbigniew Rymarczyk - instrumenty klawiszowe oraz Piotr Zygm - gitara basowa. Dyrygował Maciej Salski. Koncert *W rytmie swinga* został powtórzony z okazji Dnia Kobiet 7 marca w bibliotece w Ładzicach<sup>47</sup>.

- 27 kwietnia z okazji kanonizacji Jana Pawła II Miasto Radomsko wraz z Towarzystwem zorganizowali uroczysty koncert *Adoramus Te*, który odbył się po mszy świętej w Kolegiacie św. Lamberta w Radomsku. Chórowi towarzyszyli muzycy Filharmonii Częstochowskiej: Oleksandr Mazepa - I skrzypce, Agnieszka Luksza - I skrzypce, Katarzyna Cichońska - II skrzypce, Grzegorz Piętowski - II skrzypce, Artur Cichoński - altówka, Serhii Rysanow - wiolonczela oraz śpiewaczki Teatru Wielkiego w Łodzi: Agnieszka Białek - sopran, Sylwia Nowicka - Sopran. Muzykami kierował Maciej Salski<sup>48</sup>.

- X Międzynarodowy festiwal Chóralny Wschód-Zachód-Zbliżenia (28-29 czerwca). Koncert Inauguracyjny odbył się na sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury w Radomsku 28 czerwca o godzinie 18:00. W dziesiątej edycji festiwalu udział wzięli: Kameralny Chór „Adoramus” ze Słubic, Chór Akademicki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Męski Muncypalny Chór „Homin” z Lwowa, Chór Państwowego Liceum Muzycznego im. S. Ludkiewicza z Lwowa. Koncert poprowadził Krzysztof Zygm<sup>49</sup>.

---

<sup>45</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook 16 stycznia 2014 r. - <https://www.facebook.com/watch/?v=657858307606485>, dostęp: 12.10.2020.

<sup>46</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook 19.01.2014, <https://www.facebook.com/124428604282794/photos/a.124478294277825/659245650801084>, dostęp: 12.10.2020.

<sup>47</sup> M. Kulka, *Moniuszkowcy „w rytmie swinga”*, czyli koncert muzyki rozrywkowej w Patio w Radomsku, *NaszeMiasto*, 2 marca 2014 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/moniuszkowcy-w-rytmie-swinga-czyli-koncert-muzyki/ar/c13-2181796>, dostęp: 12.10.2020.

<sup>48</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook 18 kwietnia 2014 r., <https://www.facebook.com/124428604282794/photos/a.124478294277825/702729459786036>, dostęp: 12.10.2020.

<sup>49</sup> *X Międzynarodowy Festiwal Chóralny Wschód - Zachód - Zbliżenia Radomsko 2014*, TVP3 Łódź, 25 czerwca 2014 r. - <https://lodz.tvp.pl/15764266/x-miedzynarodowy-festiwal-choralny-wschod-zachod-zblizenia-radomsko-2014>, dostęp: 23.10.2020.

- 29 czerwca w ramach Festiwalu odbył się koncert muzyki rozrywkowej *Chóralne Zbliżenia*. Wydarzenie odbyło się na dziedzińcu Muzeum Regionalnego im. S. Sankowskiego w Radomsku. W koncercie uczestniczyły wszystkie chóry biorące udział w tegorocznej edycji<sup>50</sup>.

- W dniach 4-5 października Towarzystwo wzięło udział w 7. Międzynarodowy Festiwal Chóralnej Pieśni Maryjnej Częstochowa-Koziegłowy 2014. Przesłuchania odbyły się 4 października w Zespole Szkół w Koziegłowach.

W Festiwalu uczestniczyło łącznie siedem chórów: Chór *Cantabile* – Radomsko, Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku, Akademicki Chór Uniwersytetu Łódzkiego – Łódź, Chór mieszany *Canticum Iubileum* przy Bazylice Matki Boskiej Bolesnej – Limanowa, Grodziski Chór *Bogorya* - Grodzisk Mazowiecki, Chór Dziewczęcy *Akhremchik Art College* - Mińsk, Białoruś, Chór *Basove G* - Valasske Mezirici, Czechy.

Koncert finałowy wraz z ogłoszeniem wyników miał miejsce 5 października w Bazylice Klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze. Chór „Moniuszkowców” pod batutą Macieja Salskiego zdobył III miejsce<sup>51</sup>.

- 12 października z okazji XIV Dnia Papieskiego w Kolegiacie św. Lamberta w Radomsku odbył się koncert zatytułowany *Beati Omnes*, w którym udział wzięli: Duet instrumentalny z Piotrkowa Trybunalskiego: Weronika Kaźmierczak - skrzypce, Damian Kuśmierczyk - gitara, Chór Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki, dyrygent Maciej Salski<sup>52</sup>.

- 20 grudnia Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku zorganizowało *Koncert Świąteczny* z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Wydarzenie odbyło się w sali tanecznej Miejskiego Domu Kultury w Radomsku. Oprócz chóru pod kierunkiem Macieja Salskiego wystąpili także: Marta Owczarek - śpiew oraz Zbigniew Rymarczyk - akompaniament. Przybyli goście mieli okazję wysłuchać piosenek świątecznych, zimowych i biesiadnych, a także zostali zaproszeni do wykonania wspólnie z chórem kilku kolęd<sup>53</sup>.

---

<sup>50</sup> X Międzynarodowego Festiwalu Chóralnego Wschód – Zachód – Zbliżenia Radomsko 2014, Muzeum Regionalne im. S. Sankowskiego w Radomsku, <https://muzeum.radomsko.pl/zaproszenie-32/>, dostęp: 23.10.2020.

<sup>51</sup> o. Stanisław Tomoń, *FINAŁ FESTIWALU CHÓRALNEJ PIEŚNI MARYJNEJ*, Biuro Prasowe Jasnej Góry, 6 października 2014 r. - <http://www.jasna-gora.com/wydarzenie-8908>, dostęp: 23.10.2020.

<sup>52</sup> *Koncert z okazji XIV Dnia Papieskiego i Dni Kultury Chrześcijańskiej w Radomsku*, Czestochowskie24.pl, 12 października 2014 r. - <http://czestochowskie24.pl/kosciol/koncert-z-okazji-xiv-dnia-papieskiego-i-dni-kultury-chrzcijanskiej-w-radomsku/>, dostęp: 23.10.2020.

<sup>53</sup> Beata Januszewska, *Świąteczne koncertowanie*, Radomsko24, 21 grudnia 2014 r. - <https://radomsko24.pl/swiateczne-koncertowanie-7934>, dostęp: 26.10.2020.

- 28 grudnia w Kolegiacie św. Lamberta w Radomsku odbył się koncert świąteczny. Chór wystąpił z repertuarem w postaci tradycyjnych, polskich kolęd oraz utworów o tematyce świątecznej<sup>54</sup>.

**Rok 2015:**

- W dniach 25-26 kwietnia na Zamku Królewskim w Niepołomicach odbył się zorganizowany przez Centrum Kultury w Niepołomicach *XVII Ogólnopolski Konkurs Chórów o złotą strunę*. Chór wraz z dyrygentem Maciejem Salskim zdobyli nagrodę *Srebrna Struna*<sup>55</sup>.

- 27 czerwca koncert inauguracyjny rozpoczął XI edycję Festiwalu Chóralnego *Wschód-Zachód-Zbliżenia*. W Miejskim Domu Kultury wystąpili uczestnicy edycji: Kameralny Chór *Collegium Vocale* z Drohobycza – Ukraina, Chór *Camerata Musicale* z Wejherowa, Chór *Heavenly Voices* z Frankfurtu – Niemcy. W koncercie uczestniczyli także gospodarze. Kontynuacja Festiwalu odbywała się 28 czerwca. Podczas drugiego dnia festiwalu odbyły się trzy koncerty muzyki sakralnej z udziałem chórów gościnnych. Po południu miał miejsce finałowy koncert wszystkich uczestników festiwalu wraz z gospodarzami. Chóry zaprezentowały utwory z repertuaru muzyki rozrywkowej<sup>56</sup>.

- Obchody XV Dnia Papieskiego pod hasłem *Jan Paweł II - Patron Rodziny* odbyły się 11 października. Z tej okazji zorganizowany został koncert w Kolegiacie Św. Lamberta w Radomsku. Zespoły, które wzięły w nim udział: Chór Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku, Piotrkowska Orkiestra Kameralna, Śpiewaczki Teatru Wielkiego w Łodzi - Agnieszka Białek i Sylwia Nowicka, pianista - Zbigniew Rymarczyk. Dyrygował Maciej Salski<sup>57</sup>. Koncert został powtór-

---

<sup>54</sup> *Koncert kolęd w Kolegiacie Św. Lamberta w Radomsku*, 29 grudnia 2014 r. - <http://czestochowskie24.pl/region/koncert-koled-w-kolegiacie-sw-lamberta-w-radomsku/>, dostęp: 26. 10. 2020.

<sup>55</sup> *Przyznano Złote Struny 2015*, Centrum Kultury w Niepołomicach, 27 kwietnia 2015 r. - <https://www.kultura.niepolomice.pl/konkursy-i-festiwale/malopolski-konkurs-chorow/2015/508-pryznano-zlote-struny-2015>, dostęp: 26.10.2020.

<sup>56</sup> M. Kulka, *Koncert Inauguracyjny XI Festiwalu Wschód-Zachód-Zbliżenia Radomsko 2015*, radomsko.naszemiasto.pl, 27 czerwca 2015 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/koncert-inauguracyjny-xi-festiwalu-wschod-zachod-zblizenia/ar/c13-3434891?fbclid=IwAR1yxCwH-6fMeGJ3BxBxpyLMwxQem1VZRIG6AD3pg0jTyQN4TMp0Gxd2YDs>, dostęp: 27.10.2020.

<sup>57</sup> M. Kulka, *Koncert z okazji XV Dnia Papieskiego w kolegiacie św. Lamberta w Radomsku*, radomsko.naszemiasto.pl, 11 października 2015 r. - [https://radomsko.naszemiasto.pl/koncert-z-okazji-xv-dnia-papieskiego-w-kolegiacie-sw/ar/c13-3536393?fbclid=IwAR0lriD\\_\\_Jxk4OZqMaId8epVEGJHkbOSXcnhtT5IBXJEm69nbb4LGuG3UAM](https://radomsko.naszemiasto.pl/koncert-z-okazji-xv-dnia-papieskiego-w-kolegiacie-sw/ar/c13-3536393?fbclid=IwAR0lriD__Jxk4OZqMaId8epVEGJHkbOSXcnhtT5IBXJEm69nbb4LGuG3UAM), dostęp: 28.10.2020.

nie zorganizowany w Piotrkowie Trybunalskim w Kościele Akademickim Panien Dominikanek pw. Matki Bożej Śnieżnej 25 października 2015 r.<sup>58</sup>

- 12 grudnia Towarzystwo miało okazję wystąpić w ramach konkursu *Festiwal Pieśni Adwentowych i Bożonarodzeniowych* w sali koncertowej Galerii Porczyńskich w Warszawie<sup>59</sup>.

- 19 grudnia w sali tanecznej Miejskiego Domu Kultury chór „Moniuszkowców” zorganizował Koncert Świąteczny. W repertuarze znalazły się piosenki świąteczne, zimowe, a także wspólne kolędowanie z publicznością. Dyrygował Maciej Salski, akompaniatorem był Tomasz Gargól<sup>60</sup>.

- 27 grudnia koncert *Kolędy i Pastoralki* zorganizowany przez Towarzystwo w Kolegiacie Św. Lamberta w Radomsku. Repertuar zawierał tradycyjne, polskie kolędy oraz piosenki o tematyce świątecznej. Wystąpił chór pod dyrekcją Macieja Salskiego, pianistą był Tomasz Gargól<sup>61</sup>.

### **Rok 2016:**

- *Od Haydna do Haydna* to tytuł koncertu, który miał miejsce w Kolegiacie Św. Lamberta w Radomsku 17 kwietnia 2016 r. Wraz z Towarzystwem wystąpiła także śpiewaczka Teatru Wielkiego w Łodzi - Anna Bacciarelli oraz pianista - Zbigniew Rymarczyk. Dyrygował Maciej Salski<sup>62</sup>.

- XII edycja Międzynarodowego Festiwalu *Wschód-Zachód-Zbliżenia* rozpoczęła się 25 czerwca koncertem inauguracyjnym w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury w Radomsku. Podczas pierwszego koncertu wystąpili: Chór *Stawros* Lwowskiego Stauropigialnego Bractwa Św. Andrzeja Apostoła - Lwów, Galicki Kameralny Chór *Jevszan* Lwów, Jazzowy Chór *Wytwórni* z Łodzi, Chór Żydowski *Clil* z War-

---

<sup>58</sup> *XV Dzień Papieski*, 26 października 2015 r. -<http://www.archiwalna.piotrkow.pl/nasze-miasto/aktualnosci/xv-dzien-papieski>, dostęp: 28. 10.2020.

<sup>59</sup> Tadeusz Dąbrowski, *I WARSZAWSKI FESTIWAL PIEŚNI ADWENTOWYCH I BOŻONARODZENIOWYCH*, docplayer, <https://docplayer.pl/11245396-1-warszawski-festiwal-piesni-adwentowych-i-bozonarodzeniowych.html>, dostęp: 28.10.2020.

<sup>60</sup> M. Kulka, *Koncert Świąteczny Chóru Moniuszkowców w MDK w Radomsku*, radomsko.naszemiasto.pl, 19 grudnia 2015 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/koncert-swiateczny-choru-moniuszkowcow-w-mdk-w-radomsku/ar/c13-3604610>, dostęp: 28.10.2020.

<sup>61</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook, 25 grudnia 2015 r. - <https://www.facebook.com/124428604282794/photos/a.124478294277825/1028925903833055>, dostęp: 28.10.2020.

<sup>62</sup> M. Kulka, *Od Haydna do Haydna - koncert Moniuszkowców w kolegiacie św. Lamberta w Radomsku*, 14 kwietnia 2016 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/od-haydna-do-haydna-koncert-moniuszkowcow-w-kolegiacie-sw/ar/c13-3708436?fbclid=IwAR2y-X3hrQOvjL0bxCvuXOQyALyUhTd8Q5F0MAWMiUM7iT7Mg0JR7pub6q4>, dostęp: 28.10.2020.

szawy i Łodzi, Chór Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki z Radomska.

- 26 czerwca odbyły się koncerty muzyki sakralnej z udziałem uczestników Festiwalu. Na zakończenie XII edycji Festiwalu odbył się koncert wszystkich chórów biorących udział w edycji, a także gospodarzy. Na dziedzińcu Hotelu-restauracji „Zameczek” chóry zaprezentowały repertuar muzyki rozrywkowej<sup>63</sup>.

- Z okazji obchodów 750-lecia Miasta Radomsko Towarzystwo wraz z Miastem Radomsko zorganizowali uroczysty koncert w Kolegiacie Św. Lamberta w dniu 5 listopada. Uroczystość została podzielona na dwie części. W pierwszej publiczność mogła usłyszeć utwory klasyki światowej. Druga część to uroczyste prawykonanie kantaty *Clamor Meus* skomponowanej przez Sebastiana Kondratowicza specjalnie na jubileusz 750-lecia Miasta Radomska. Poza chórem Towarzystwa pod kierownictwem Macieja Salskiego w wydarzeniu udział wzięli: soliści: Joanna Markowska (sopran), Sylwia Złotkowska (mezzosopran) oraz *Piotrkowska Orkiestra Kameralna* pod dyrekcją Ewy Izydorczyk-Grzelak. Koncert poprowadził konferansjer Krzysztof Zygmunt, który opowiadał o historii Miasta Radomska<sup>64</sup>.

- 26 grudnia Towarzystwo zaprosiło słuchaczy na świąteczny koncert kolęd do Kolegiaty Św. Lamberta w Radomsku<sup>65</sup>.

#### **Rok 2017:**

- 1 kwietnia w kościele Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Radomsku chór „Moniuszkowców” miał możliwość kolejny raz przedstawić utwór Sebastiana Kondratowicza napisany z okazji jubileuszu 750-lecia Miasta Radomsko *Clamor Meus*. Koncert zorganizowany przez Towarzystwo odbył się z gościnnym udziałem śpiewaczek Teatru Wielkiego w Łodzi – Anny Baciarelli (sopran), Olgi Maroszek (mezzosopran), Zespołu Kameralnego Filharmonii Częstochowskiej oraz pianisty

---

<sup>63</sup> Janusz Taranek, *Święto muzyki choralnej rozpoczęte*, radomsko24.pl, 25 czerwca 2016 r. - [https://radomsko24.pl/swieto-muzyki-choralnej-rozpoczete-11076?fbclid=IwAR1zr7sl4dK6vPfJhmuUk\\_kJyCikl7\\_J-J\\_77XcOIvxUPZWXasYnUIFP-Q0](https://radomsko24.pl/swieto-muzyki-choralnej-rozpoczete-11076?fbclid=IwAR1zr7sl4dK6vPfJhmuUk_kJyCikl7_J-J_77XcOIvxUPZWXasYnUIFP-Q0), dostęp: 29.10.2020.

<sup>64</sup> *Kantata na 750-lecie Miasta Radomsko*, radomsko.pl, 6 listopada 2016 r. - [https://radomsko.pl/kantata-na-750-lecie-miasta-radomsko,ne,mg,1,9,971?fbclid=IwAR0qAFLoLxOJjOKz3KL5JezjxzA7mNttq-n8qnHNT\\_pL5BIIbKIDWRf1xg](https://radomsko.pl/kantata-na-750-lecie-miasta-radomsko,ne,mg,1,9,971?fbclid=IwAR0qAFLoLxOJjOKz3KL5JezjxzA7mNttq-n8qnHNT_pL5BIIbKIDWRf1xg), dostęp: 29.10.2020.

<sup>65</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook, 25 grudnia 2016 r. - <https://www.facebook.com/124428604282794/photos/a.124478294277825/1330030233722619>, dostęp: 29.10.2020.

Zbigniewa Rymarczyka. Dyrygował Maciej Salski. Koncert został zarejestrowany na płycie CD i DVD<sup>66</sup>.

- Kantata *Clamor Meus*, autorstwa Sebastiana Kondratowicza, 30 kwietnia zabrzmiała w Katedrze Lwowskiej. Towarzystwo zostało zaproszone do wspólnego koncertowania we Lwowie. W koncercie udział wzięli ponadto: Galicki Kameralny Chór *Jevszan* pod kierownictwem Igora Dankowskiego, chórmistrz Ira Kiselczuk, Kameralna Orkiestra Politechniki Lwowskiej *Polifonia* pod kierownictwem Romana Kreslenko. solistki: L. Kowacz – sopran, O. Gugi – mezzosopran. Dyrygent - Maciej Salski. Koncert prowadził Krzysztof Zygmunt<sup>67</sup>.

- Kolejna edycja Międzynarodowego Festiwalu *Wschód-Zachód-Zbliżenia* odbyła się w dniach 24-25 czerwca. Koncert inauguracyjny miał miejsce w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury 24 czerwca o godzinie 18:00, a w tegorocznej edycji udział wzięły chóry takie jak: Chór Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Narodowa Kapela Bandurystek *Galiczanka* z Lwowa, Zespół Wokalny *Bi-Bi Singers* z Bielska Białej, Orkiestra Kameralna *Polifonia* Narodowego Uniwersytetu *Politechnika Lwowska*, Chór Towarzystwa.

- 25 czerwca odbywały się koncerty po mszach świętych w kościele NMP Królowej Polski, Kolegiacie św. Lamberta i klasztorze Franciszkanów. O godzinie 15:30 na Dziedzińcu Muzeum Regionalnego w Radomsku odbył się finałowy koncert *Chóralne Zbliżenia* z udziałem wszystkich uczestników festiwalu<sup>68</sup>.

- 11 listopada chór Towarzystwa uczestniczył w uroczystej sesji Rady Miejskiej w Radomsku, gdzie wykonał pieśni patriotyczne dla uczczenia Święta Niepodległości<sup>69</sup>.

### **Rok 2018:**

- W dniach 14-18 czerwca 2018 roku *Moniuszkowcy* wyjechali na tournée po Ukrainie w ramach projektu *100-lecie Niepodległości – Polska Muzyka za Granicą*. Chór zaśpiewał pięć koncertów i odwiedził trzy ukraińskie miasta. Koncerty miały miejsce

---

<sup>66</sup> *Najpiękniejsza muzyka sakralna św. Janowi Pawłowi II*, czestochowskie24.pl, 15 marca 2017 r. - <http://czestochowskie24.pl/zap/najpiekniejsza-muzyka-sakralna-sw-janowi-pawlowi-ii/>, dostęp: 29.10.2020.

<sup>67</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook, 14.04.2017, <https://www.facebook.com/124428604282794/photos/a.124478294277825/1446310892094552>, dostęp: 29.10.2020.

<sup>68</sup> *jd, XIII Międzynarodowy Festiwal Chóralny Wschód - Zachód - Zbliżenia Radomsko 2017*, radomsko.naszemiasto.pl, 25 czerwca 2017 r., - <https://radomsko.naszemiasto.pl/xiii-miedzynarodowy-festiwal-choralny-wschod-zachod/ar/c13-4163160>, dostęp: 01.03.2021.

<sup>69</sup> M. Kulka, *Święto Niepodległości w Radomsku. Uroczysta sesja i wręczenie Medali Miasta Radomska*, radomsko.naszemiasto.pl, 11 listopada 2017 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/swieto-niepodleglosci-w-radomsku-uroczysta-sesja-i-ar/c4-4307744>, dostęp: 01.02.2021.

m.in. w Jużnoukraińsku w ramach *Festiwalu Polskiej Kultury*, w Wozniesieńsku razem z ukraińskimi artystami w ramach obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości oraz w Katedrze w Odessie, gdzie prezentowano utwory muzyki sakralnej<sup>70</sup>.

- Zaraz po powrocie z trasy koncertowej Towarzystwo po raz kolejny uczestniczyło w zorganizowanym przez siebie Festiwalu Chóralnym *Wschód-Zachód-Zbliżenia 2018*. Koncert inauguracyjny odbył się 23 czerwca w sali Miejskiego Domu Kultury w Radomsku. W już XIV edycji Festiwalu udział wzięły następujące zespoły: Chór Męski *Agricola* Krakowskiego Środowiska Akademickiego, Młodzieżowy Chór Kameralny *Collegium Vocale* z Drohobycza, Kameralny Chór *Renesans* z Jużnoukraińska, Chór i Orkiestra Kameralna *Nicolaus* z Kraczkowej.

- 24 czerwca chóry *Agricola*, *Collegium Vocale* oraz *Renesans* wraz z gospodarzami wystąpiły na dziedzińcu Muzeum Regionalnego. Zespoły podczas koncertu zaprezentowały utwory z repertuaru rozrywkowego<sup>71</sup>.

- Rok 2018 dla „Moniuszkowców” był rokiem jubileuszowym. Swoje 95-lecie chór świętował 20 października w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury w Radomsku. W koncercie gościnnie udział wzięli muzycy z Filharmonii Częstochowskiej oraz Państwowej Szkoły Muzycznej w Częstochowie. Podczas uroczystości prowadzący Krzysztof Zygmata oraz prezes Towarzystwa Danuta Horoszkiewicz przedstawili widzom historię miasta Radomska oraz Towarzystwa Śpiewaczego. W przedśionku Miejskiego Domu Kultury obejrzyć można było wystawę poświęconą historii chóru<sup>72</sup>.

- 30 grudnia chór Towarzystwa wystąpił z repertuarem świątecznym w koncercie *Kolędy i Pastoralki* w Kolegiacie św. Lamberta w Radomsku<sup>73</sup>.

---

<sup>70</sup> M. Kulka, *Pracowity czerwiec Chóru Towarzystwa Śpiewaczego im. S. Moniuszki w Radomsku*, radomsko.naszemiasto.pl, 31 maja 2018 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/pracowity-czerwiec-choru-towarzystwa-spiewaczego-im-s/ar/c13-4669798>, dostęp: 30.03.2021.

<sup>71</sup> jd, *Festiwal Chóralny Wschód-Zachód-Zbliżenia 2018 w Radomsku*, radomsko.naszemiasto.pl, 24 czerwca 2018 r. - [https://radomsko.naszemiasto.pl/festiwal-choralny-wschod-zachod-zblizenia-2018-w-radomsku/ar/c13-4701053?utm\\_source=facebook&utm\\_medium=przycisk-udostepnij&fb&fbclid=IwAR1NgBAYmqIoeBIGVggh04j4ynZfA-qwGpHADORoryAGAWnpkP2IDPfl2no](https://radomsko.naszemiasto.pl/festiwal-choralny-wschod-zachod-zblizenia-2018-w-radomsku/ar/c13-4701053?utm_source=facebook&utm_medium=przycisk-udostepnij&fb&fbclid=IwAR1NgBAYmqIoeBIGVggh04j4ynZfA-qwGpHADORoryAGAWnpkP2IDPfl2no), dostęp: 26.03.2021.

<sup>72</sup> Jacek Paszewski, *95 lat z Moniuszkowcami*, radomsko24.pl, 20 października 2018 r. - <https://radomsko24.pl/95-lat-z-moniuszkowcami-17054>, dostęp: 26.03.2021.

<sup>73</sup> Towarzystwo Śpiewacze im. S. Moniuszki w Radomsku, Facebook, 23 grudnia 2018 r. - <https://www.facebook.com/124428604282794/photos/a.124478294277825/2177090239016610>, dostęp: 26.03.2021.



**Rok 2019:**

- 20 stycznia „Moniuszkowcy” po raz kolejny gościnnie wystąpili w *Pastoralce* Leona Schillera wraz z *Teatrem Źródło*. Przedstawienie wyreżyserowała Danuta Zawadzka<sup>74</sup>.

- Z okazji 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki, przypadającą na rok 2019, w Muzeum Regionalnym 1 marca zorganizowano wystawę *95 lat Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku*. Wystawa została stworzona ze zbiorów Muzeum oraz prywatnych archiwów członków Towarzystwa z okazji ubiegłorocznego jubileuszu. Podczas otwarcia odbył się koncert chóru. Wystawę można było podziwiać do końca marca<sup>75</sup>.

- Z okazji 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki, chór Towarzystwa został zaproszony przez *Centrum Kultury Polskiej* na Litwie do Wilna, gdzie 5 maja odbył się uroczysty koncert w Kościele Uniwersyteckim Św. Janów. Oprócz „Moniuszkowców” w uroczystości udział wzięły: Chór młodzieżowy *Canto* zespołu Szkół Muzycznych im. Czesława Niemena z Włocławka oraz chóry polskich zespołów z Wileńszczyzny. Gala została poprowadzona przez Agnieszkę Skinder z zespołu *Wilia* wraz z dyrektorem kabaretu w Warszawie - Wojciechem Dąbrowskim<sup>76</sup>.

- XV edycja Międzynarodowego Festiwalu *Wschód - Zachód - Zbliżenia 2019* rozpoczęła się koncertem inauguracyjnym 29 czerwca w Miejskim Domu Kultury w Radomsku. Do udziału w Festiwalu zaproszeni zostali: Orkiestra Kameralna *Polifonia* Narodowego Uniwersytetu Politechnika Lwowska, dyrygent Roman Kreslenko, Galicki Chór Kameralny *Jewszan* Regionalnego Lwowskiego Państwowego Centrum Sztuki Ludowej, Twórczości Kulturalnej i Oświatowej w Lwowie, kierownik chóru: Ihor Dankovsky, dyrygent: Iryna Kyselczuk, Chór Mieszany Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia” w Zgierzu, dyrygent: Mariusz Lewy.

- 30 czerwca zespoły dawały koncerty muzyki sakralnej w radomszczańskich kościołach, a wieczorem zaproszeni goście wraz z gospodarzami wzięli udział w koncercie muzyki rozrywkowej na dziedzińcu Muzeum Regionalnego w Radomsku. Podczas

---

<sup>74</sup> M. Kulka, *Pastorałka 2019 Teatru Źródło w MDK w Radomsku*, radomsko.naszemiasto.pl, 20 stycznia 2019 r. - <https://radomsko.naszemiasto.pl/pastorałka-2019-teatru-zrodlo-w-mdk-w-radomsku-zdjecia-film/ar/c13-4961118>, dostęp: 26.03.2021.

<sup>75</sup> M. Kulka, *Jubileuszowa wystawa "95 lat Towarzystwa Śpiewaczego im. S. Moniuszki" w Muzeum Regionalnym w Radomsku*, radomsko.naszemiasto.pl, 1 marca 2019 r. - [https://radomsko.naszemiasto.pl/jubileuszowa-wystawa-95-lat-towarzystwa-spiewaczego-im-s/ar/c13-5017324?fbclid=IwAR1MN7i\\_rHAMqXxIRHs-NcD2oDaPla0nPX8-xo2PSoqhAS47CZ0eibgTugs](https://radomsko.naszemiasto.pl/jubileuszowa-wystawa-95-lat-towarzystwa-spiewaczego-im-s/ar/c13-5017324?fbclid=IwAR1MN7i_rHAMqXxIRHs-NcD2oDaPla0nPX8-xo2PSoqhAS47CZ0eibgTugs), dostęp: 26.03.2021.

<sup>76</sup> *Urodziny Stanisława Moniuszki w Wilnie*, zw.lt, 6 maja 2019 r. - [https://zw.lt/wilno-wilenszczyzna/urodziny-stanislaw-moniuszki-w-wilnie-2/?fbclid=IwAR3U6HsbNKWjYGwv9jI8xVsBv1Kii5Ru-\\_LS62rPoXmCA-9MbLTyzm85bA0](https://zw.lt/wilno-wilenszczyzna/urodziny-stanislaw-moniuszki-w-wilnie-2/?fbclid=IwAR3U6HsbNKWjYGwv9jI8xVsBv1Kii5Ru-_LS62rPoXmCA-9MbLTyzm85bA0), dostęp: 26.03.2021.

Festiwalu usłyszeć można było zróżnicowane utwory chóralne, a także instrumentalne, od pieśni cerkiewnych, po utwory współczesnych kompozytorów<sup>77</sup>.

- 4 października wzięło udział w koncercie *Dźwięki Polskiego Romantyzmu – Stanisław Moniuszko*, zorganizowanym przez *Stowarzyszenie Przyjaciół Ognisk Artystycznych*. Koncert odbył się w Sanktuarium Matki Bożej Trybunalskiej w Piotrkowie Trybunalskim. Głównym wykonawcą była Piotrkowska Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Ewy Izydorzycy-Grzelak. Poza chórem Towarzystwa w koncercie udział wzięli: chór Cantate Collective pw. Świętego Jakuba Apostoła w Piotrkowie Trybunalskim, orkiestra, chór i zespół wokalny-taneczny Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Piotrkowie Trybunalskim, Miejska Orkiestra Dęta oraz Magdalena Hudzieczek-Cieślak – sopran. Na fortepianie akompaniowała Anastazja Wilczkowska<sup>78</sup>.

- *Towarzystwo* zorganizowało koncert z okazji 200. rocznicy urodzin swojego patrona pt. *Moniuszkowcy – Moniuszce w 200. rocznicę urodzin*. Uroczystość odbyła się 19 października w Kościele NMP Królowej Polski w Radomsku. Gościnnie z chórem Towarzystwa wystąpili: solistka Olga Maroszek - mezzosopran, Piotrkowska Orkiestra Kameralna oraz pianista Zbigniew Rymarczyk. Dyrygował Maciej Salski, koncert poprowadził Krzysztof Zygmunt<sup>79</sup>.

- Kolejny koncert poświęcony polskiemu kompozytorowi w jego 200. rocznicę urodzin odbył się 27 października w Kościele Akademickim Panien Dominikanek w Piotrkowie Trybunalskim. Chór Towarzystwa Śpiewaczego im. Stanisława Moniuszki w Radomsku do współpracy zaprosił mezzosopranistkę Olę Maroszek, Piotrkowską Orkiestrę Kameralną oraz pianistę Zbigniewa Rymarczyka. Poza kompozycjami Stanisława Moniuszki artyści wykonali także dzieła: G. Verdiego, W. A. Mozarta oraz J. Haydna<sup>80</sup>.

---

<sup>77</sup> Beata Januszewska, *Międzynarodowy Festiwal Chóralny Wschód – Zachód – Zbliżenia. Koncert w Muzeum w Radomsku*, radomsko24.pl, 20 czerwca 2019 r. - <https://radomsko24.pl/międzynarodowy-festiwal-choralny-wschod-zachod-zblizenia-koncert-w-muzeum-w-radomsku-19426?fbclid=IwAR1E8ZhagiRgmbkTxMb-E8ftGg3zbKnaOW6velHAN6Htz9w22xkR9dXDgk4>, dostęp: 26 marca 2021 r. -

<sup>78</sup> Paweł Reising, *Moniuszko wypełnił sanktuarium*, e-klejdoskop.pl, <https://www.e-kalejdoskop.pl/muzyka-a212/moniuszko-wypelnił-sanktuarium-r8524>, dostęp: 26.03.2021.

<sup>79</sup> jd, *Chór Towarzystwa Śpiewaczego im. S. Moniuszki w Radomsku zorganizował koncert w 200. rocznicę urodzin swojego patrona*, radomsko.naszemiasto.pl, 19 października 2019 r. - [https://radomsko.naszemiasto.pl/chor-towarzystwa-spiewaczego-im-s-moniuszki-w-radomsku/ar/c1-7389062?fbclid=IwAR1rMGQDPhNPrUEN1G0am4\\_ETD-ktKSDBwkVQBtPnzWHOAWjeT5Hu\\_IyOps](https://radomsko.naszemiasto.pl/chor-towarzystwa-spiewaczego-im-s-moniuszki-w-radomsku/ar/c1-7389062?fbclid=IwAR1rMGQDPhNPrUEN1G0am4_ETD-ktKSDBwkVQBtPnzWHOAWjeT5Hu_IyOps), dostęp: 26.03.2021.

<sup>80</sup> kw, *Moniuszkowcy u Panien w Piotrkowie. Koncert Piotrkowskiej Orkiestry Kameralnej i Chóru Towarzystwa Śpiewaczego im. S. Moniuszki z Radomska*, radomsko.naszemiasto.pl, 27 października 2019 r. - <https://piotrkowtrybunalski.naszemiasto.pl/moniuszkowcy-u->

- Rok Stanisława Moniuszki chór zakończył 26 listopada, kiedy w Muzeum Regionalnym zorganizowano wykład, a następnie koncert z udziałem „Moniuszkowców” pod dyrekcją Macieja Salskiego. Wykład o życiu i twórczości kompozytora poprowadził Edmund Zawadzki<sup>81</sup>.
- Zgodnie z tradycją koncert świąteczny w Kolegiacie Św. Lamberta odbył się także w roku 2019. 29 grudnia w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Lamberta wybrzmiały tradycyjne polskie kolędy i pastoralki, a najbardziej znane utwory zostały wykonane z udziałem publiczności<sup>82</sup>.

Rodzaj aktywności	2014	2015	2016	2017	2018	2019
Koncerty odbywające się w Radomsku	8	3	5	3	3	6
Koncerty, które odbyły się poza Radomskiem	4	2	0	1	1	3
W tym wyjazdy zagraniczne	0	0	0	1	1	1
Zdobyte nagrody	2	0	0	0	0	0
Łącznie	12	5	5	4	4	9

Źródło: tabela powstała na podstawie badań własnych.

Łącznie w latach 2014-2019 Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku wzięło udział w 39 udokumentowanych wydarzeniach artystycznych. Prezentowany przez nich repertuar był różnorodny z przewagą muzyki klasycznej i kompozycji Stanisława Moniuszki. W repertuarze znalazło się też wiele utworów rozrywkowych oraz okolicznościowych. Ważnym elementem bogatego repertuaru „Moniuszkowców” jest kantata *Clamor Meus – Wołanie Moje* kompozycji Seba-

---

panien-w-piotrkowie-koncert-piotrkowskiej/ar/c1-7401298?fbclid=IwAR0h0mim\_f bq-mkIIE9ADRFuRf-vUxO-vIciinpEVfURvgHfDjV8V8UQZZI, dostęp: 30.03.2021.

<sup>81</sup> M. Kulka, *Radomsko: Koncert Moniuszkowców i wykład w 200. rocznicę urodzin Moniuszki*, radomsko.naszemiasto.pl, 26 listopada 2021 r. -

<https://radomsko.naszemiasto.pl/radomsko-koncert-moniuszkowcow-i-wyklad-w-200-rocznice/ar/c1-7443261>, dostęp: 30.03.2021.

<sup>82</sup> Janusz Taranek, *Kolędy i Pastoralki Moniuszkowców*, radomsko24.pl, 29 grudnia 2021 r. -

<https://radomsko24.pl/koledy-i-pastoralki-moniuszkowcow-21278?fbclid=IwAR1gveeTiLTePKV0eDp0z8xfwb20WXAHCW6rwtJyucFNqKGv2vw1wqkjgo8>, dostęp: 30.03.2021.

stiana Kondratowicza, który został napisany na obchody 850-lecia Miasta Radomska, a chór Towarzystwa wykonał go jako pierwszy, również za granicą.

Z 39 wydarzeń 20 z nich odbyło się w mieście powstania Towarzystwa – Radomsku, co daje ponad połowę ogólnej działalności. Można więc stwierdzić, że działalność Towarzystwa skupia się w większości w Radomsku. Przez 5 opisanych lat „Moniuszkowcy” koncertowali 11 razy poza Radomskiem oraz 3 razy wyjechali koncertować za granicą do dwóch różnych krajów. Z analizy można wywnioskować, że zdecydowaną przewagą odznacza się rok 2014, w którym chór dał 12 koncertów oraz 2019, w którym miało miejsce 9 występów. Najmniej aktywnym czasem były lata 2017 i 2018. W roku 2016 „Moniuszkowcy” koncertowali wyłącznie w Radomsku. W tym czasie Towarzystwo zdobyło dwie nagrody, obie w roku 2014.

### ***Clamor Meus* - Sebastian Kondratowicz**

Sebastian Jan Kondratowicz jest łódzkim kompozytorem współczesnym, skupiającym się na twórczości filmowej i ilustracyjnej. Ukończył Akademię Muzyczną im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów w Łodzi na wydziale Teorii Muzyki, Kompozycji, Rytmiki i Wychowania Muzycznego. Jego współpraca z Towarzystwem zaczęła się z inicjatywy dyrygenta – Macieja Salskiego, z którym kompozytor pozostaje w bliskiej, przyjacielskiej relacji. Nie jest on w żadnym stopniu powiązany z Radomskiem ani chórem.

Z okazji zbliżającego się jubileuszu 750-lecia Miasta Radomska w 2016 r. prezes Zarządu Danuta Horoszkiewicz wraz z mężem planowali repertuar na uroczysty koncert. Wtedy zrodził się pomysł napisania dzieła specjalnie na tę okazję. Podzielili się tym pomysłem z dyrygentem Maciejem Salskim, który zlecił to zadanie zaprzyjaźnionemu kompozytorowi. Proces tworzenia dzieła zajął twórcy około 2 miesięcy. W zleceniu nie było żadnych narzuconych elementów, więc panowała swoboda w doborze tekstu i twórczości. Kompozytor przez pewien czas bez powodzenia szukał inspiracji wśród zbiorów poezji. Inspiracją, na której oparł całe dzieło okazała się być *Modlitwa do św. Michała Archaniola* napisana przez Papieża Leona XIII w XIX wieku. Muzyka została napisana na podstawie tekstu. Tak powstała kantata *Clamor Meus – Wołanie Moje*. Liczy ona cztery części:

- I. *Sancte*
- II. *Contra Nequitiam*
- III. *Divina Virtute*
- IV. *Clamor Meus*

Trzy pierwsze części w całości składają się z *Modlitwy do św. Michała Archaniola* w łacińskim oryginale. Czwarta natomiast to sentencja kończąca *Domine ex*

*audi orationem meam. Et clamor meus ad te veniat.* skąd został zaczerpnięty tytuł kantaty. Wszystkie teksty wykorzystane w utworze pochodzą z liturgii kościoła rzymsko-katolickiego w języku łacińskim. Komponując kantatę Sebastian Kondratowicz miał na uwadze poziom zaawansowania chóru. Tworząc ją dostosował poziom zaawansowania specjalnie dla chóru amatorskiego.

Dzieło swoją premierę miało 5 listopada 2016 r. podczas uroczystego koncertu z okazji 750-lecia Radomska, zorganizowanego w Kolegiacie św. Lamberta w Radomsku. Partie solowe zaśpiewały Joanna Markowska (sopran) i Sylwia Złotkowska (mezzosopran), partię instrumentalną zagrała *Piotrkowska Orkiestra Kameralna* pod dyrekcją Ewy Izydorczyk-Grzelak. Następnym koncertem wraz z udokumentowaniem na płycie CD i DVD odbył się 1 kwietnia 2017 r. w kościele Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Radomsku. W nagraniu gościnnie udział wzięły śpiewaczki Teatru Wielkiego w Łodzi – Anna Baciarelli (sopran) i Olga Maroszek (mezzosopran), a także Zespół Kameralny Filharmonii Częstochowskiej oraz pianista Zbigniew Rymarczyk. Kompozytor Sebastian Kondratowicz był obecny na obu wspomnianych wydarzeniach. Jak sam stwierdził, spełniły one jego oczekiwania i był usatysfakcjonowany tym, jak zabrzmiało dzieło jego autorstwa.

*Moniuszkowcy* mieli okazję również zaprezentować kantatę *Clamor Meus* w Katedrze Lwowskiej, gdzie wspólnie z Kameralną Orkiestrą Politechniki Lwowskiej *Polifonia*, chórem *Jewszań* oraz solistkami L. Kowacz i O. Gugi koncertowali w dniu Kondratowicza 30 kwietnia 2017 r.<sup>83</sup>

### **Festiwal *Wschód – Zachód – Zbliżenia***

Inicjatorem i organizatorem Festiwalu *Wschód – Zachód – Zbliżenia* jest Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku. Jest to impreza cykliczna o zasięgu międzynarodowym. Głównym przesłaniem festiwalu jest prezentacja polskiego i światowego dorobku kulturalnego w dziedzinie chóralistyki, przybliżenie kultury innych narodów i pokazanie poprzez muzykę, że wspólną historię można budować od nowa, łamiąc wszelkie negatywne stereotypy. Uczestnikami festiwalu są więc m. in. chóry niemieckie, czeskie, żydowskie, litewskie, ukraińskie i polskie. Przyczynia się to w znacznym stopniu do budowania społeczeństwa otwartego. Zapraszane są zespoły na najwyższym poziomie wykonawczym, aby pokazać piękno zawarte w muzyce innych narodów, dając możliwość poznania ich bogatej, a często nieznannej kultury. Festiwal nie ma charakteru konkursu, jest to spotkanie chórów, prezentacja muzyki narodów, czerpanie radości ze wspólnego śpiewania.

---

<sup>83</sup> Wywiad z kompozytorem Sebastianem Kondratowiczem przeprowadzony w dniu 15 września 2021 r.

Pomysłodawcami festiwalu byli członkowie Zarządu: prezes Danuta i jej mąż Krzysztof (członek) Horoszkiewiczowie. Pomysł zrodził się z zamiłowania do muzyki chóralnej i chęci szerzenia tego zamiłowania na większą skalę. Sama idea festiwalu jest zawarta w jego tytule *Wschód – Zachód – Zbliżenia*. Radomsko to miasto położone w centralnej części Polski, pomiędzy wschodnią a zachodnią granicą kraju. Jego położenie wiązało się z licznymi migracjami ludności i przenikaniem kultur ze wschodu i zachodu, dzięki czemu zauważyć można podobieństwa kulturowe między naszym a sąsiadującymi państwami. Przesłaniem Festiwalu jest także pokazanie tych podobieństw mieszkańcom Radomska i okolic poprzez koncerty zespołów z różnych krajów, w których niejednokrotnie można zauważyć nawiązania do tradycji i folkloru.

Pierwsza edycja odbyła się w 2005 r. w Radomsku. Festiwal odbywa się co roku tradycyjnie w ostatni weekend czerwca. Koncerty inauguracyjne odbywają się w sali widowiskowej Miejskiego Domu Kultury w Radomsku. Jest ona wynajmowana na zasadzie umowy użyczenia, bezpłatnie. Koncerty muzyki sakralnej odbywają się w radomszczańskich kościołach, natomiast koncerty muzyki rozrywkowej i występy finałowe mają miejsce na dziedzińcu Muzeum Regionalnego w Radomsku. Po koncertach plenerowych, ostatniego dnia festiwalu, zespoły, publiczność oraz gospodarze wspólnie świętują zakończenie festiwalu.

Każdego roku organizatorzy starają się zapraszać do współpracy inne zespoły muzyczne, aby utrzymać różnorodność przekazu. Nie oznacza to jednak, że między chórami nie zawiązują się przyjaźnie. Towarzystwo ścisły kontakt utrzymuje z chórami z Lwowa: *Jewszań* i *Homin*, chórem *Adoramus* ze Słubic oraz z orkiestrą *Polidonia* z Lwowa. Z zespołami z Lwowa „Moniuszkowcy” spotkali się podczas zagranicznego prawykonania kantaty *Clamor Meus* w Katedrze Lwowskiej w 2017 r. W Frankfurcie nad Odrą wystąpili wspólnie z chórem *Adoramus*. Zespoły zaprzyjaźnione są również zapraszane do Radomska na różne koncerty.

Finansowanie festiwalu głównie pochodzi z dotacji otrzymywanych w ramach konkursów ofert ogłaszanych przez instytucje. Głównie są to: Miasto Radomsko, Województwo Łódzkie, Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej. Moniuszkowcy dodatkowo otrzymują wsparcie od Powiatu Radomszczańskiego. Co roku znajdują się również firmy i osoby prywatne, które chcą dofinansować wydarzenie. Na przykład w 2017 r. fundatorami festiwalu byli: Miasto Radomsko, Województwo Łódzkie, Powiat Radomszczański ESBANK Bank Spółdzielczy w Radomsku, Spółdzielcza Grupa Bankowa, PSS ZORZA, Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Radomsku, Szkołka Roślin Ozdobnych DĄBRÓWKA. W roku 2019 sponsorów było zdecydowanie więcej. Wśród nich znaleźli się: Miasto Radomsko, Powiat Radomszczański, Miasto i Gmina Kamieńsk, Związek Gmin Powiatu Radomszczańskiego,

ESBANK Bank Spółdzielczy w Radomsku, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Firma Meble Krysiak, PSS ZORZA, Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Radomsku, Szkoła Roślin Ozdobnych DĄBRÓWKA, Piekarnia Bart-Piek Grażyna, Franciszek Bartnik Lgota Wlk., Masarnia Marek Machura, Masarnia Władysław Szwedzik, Masarnia Gaik, Piekarnia Krzysztof Szwedzik, Piekarnia Zbigniew Łyczko, Hotel-Restauracja Zameczek, Firma Cateringowa Mezzo – Beata Kosmala, Hurtownia Mrożonek Augusto-Topaz Andrzej Ciszewski, Sklep warzywniczy Aleksandra i Sebastian Gliźniewicz, Agnieszka Niezabitowska.

Festiwal ten będący imprezą kulturalną o bardzo wysokim poziomie artystycznym przyczynia się w znacznym stopniu do zwiększenia znaczenia kultury w życiu mieszkańców Radomska, a także do budowania tożsamości kulturowej mieszkańców województwa łódzkiego poprzez prezentację polskiej muzyki w aranżacjach między innymi łódzkich muzyków, wybitnie prezentującej się na tle kompozycji innych narodów.

W Radomsku nie ma filharmonii ani teatru, dlatego mieszkańcy nieczęsto mają okazję posłuchać muzyki klasycznej. Stąd też pomysł, żeby choć raz w roku zaprezentować radomszczanom muzykę chóralną, pokazać, że nie jest to muzyka zapomniana. Poza tym festiwal to także nieoceniona promocja dla miasta. Jest on dobrze promowany w prasie i Internecie. Warto też zaznaczyć, że chóry, które dotychczas wzięły udział w festiwalu wystawiły pozytywne recenzje za organizację festiwalu oraz za atmosferę. Festiwal stworzony przez Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku cieszy się zatem dobrą opinią nie tylko w różnych miejscach w kraju, ale także zagranicą<sup>84</sup>.

Celem pracy było poznanie środowiska chórzystów działających w Towarzystwie Śpiewaczym im. Stanisława Moniuszki w Radomsku oraz analiza ich osiągnięć na tle działalności towarzystw śpiewaczych w dwudziestoleciu międzywojennym. Wykorzystane metody pomogły mi dowiedzieć, że w latach 2014-2019 chór „Moniuszkowców” prowadził aktywną działalność artystyczną, skupiającą się głównie w mieście jego powstania, kultywując tradycję śpiewu chóralnego, poprzez organizowanie koncertów w regionie radomszczańskim, branie udziału w wydarzeniach mających miejsce w całej Polsce, a także zagranicą, gdzie podtrzymywał tradycję szerzenia pieśni chóralnej różnego pochodzenia i gatunku.

Podobnie jak inne towarzystwa chór powstał by zrzeszać ludzi chcących szerzyć miłość do pieśni chóralnej. Szczególnie ważne, a zarazem trudne było to w czasie trwania II wojny światowej. Wtedy właśnie niezwykłą rolę odgrywały chó-

---

<sup>84</sup> Wywiad z panią Danutą Horoszkiewicz - prezesem towarzystwa przeprowadzony w dniu 14 września 2021 r.

ry, które legalnie funkcjonowały przy kościołach. Ich działalność, chociaż symboliczna, miała duży udział w podtrzymywaniu polskiego dorobku artystycznego.

Po wyzwoleniu głównym celem zespołów zrzeszonych w Zjednoczeniu Polskich Związków Muzycznych i Śpiewaczych była odbudowa życia artystycznego w Polsce. W regionie łódzkim w znaczący sposób przyczyniło się do tego Towarzystwo, między innymi poprzez wykonanie po raz pierwszy w powojennej Polsce *Requiem* Mozarta w 1945 r. Poprzez analizę dokumentów udało mi się opisać dokładną genezę oraz historię towarzystwa, a zarazem określić na czym aktualnie skupia się jego działalność. Niezwykle ważną rolę w życiu chóru i przygotowaniu do występów odgrywa dyrygent, który kształci członków chóru wokalnie, dobiera repertuar dostosowany do ich umiejętności, a także zaprasza do współpracy muzyków z innych środowisk, przyczyniając się do integracji członków towarzystwa z innymi artystami.

Towarzystwo Śpiewacze im. Stanisława Moniuszki w Radomsku kultywuje tradycje pieśni chóralnej nie tylko poprzez udział w koncertach i konkursach, ale także pełniąc rolę kulturotwórczą i prospołeczną, poprzez organizację własnych wydażeń. Największym z nich jest coroczny festiwal *Wschód – Zachód – Zbliżenia* organizowany od 2005 r. Przyczynia się on do zwiększenia znaczenia kultury w życiu mieszkańców Radomska, a także do budowania tożsamości kulturowej mieszkańców województwa łódzkiego. Daje on możliwość poznania bliżej kultury i muzyki innych narodów oraz integracji z artystami z innych części świata, promując przy tym Miasto Radomsko i województwo łódzkie.

„Moniuszkowcy” zainicjowali również stworzenie nowego dzieła muzycznego – napisanej przez Sebastiana Kondratowicza kantaty *Clamor Meus – Wołanie Moje*. Powstała ona z okazji 750-lecia Miasta Radomska i została zarejestrowana w wersji audio (CD) oraz audiowizualnej (DVD). Jej prawykonanie miało miejsce nie tylko w Radomsku, ale także zagranicą w Katedrze Lwowskiej.

Towarzystwo przez lata kultywuje tradycje chóralnego muzykowania w Polsce oraz zagranicą, aktywnie przyczyniając się do rozwoju świadomości kulturalnej mieszkańców województwa łódzkiego. Dzieło podjęte w 1923 r. trwale zapisało się na kartach historii i jest kontynuowane do dziś.





Chór podczas obchodów jubileuszu 100-lecia, 2023 r., fot. Wojciech Zając

I rząd od lewej: Zdzisław Nowak - bas, Jacek Tarnowski – bas.

II rząd od lewej:

Ewa Wasik - sopran, Elżbieta Mielczarek - alt, Zuzanna Cykowska - sopran, Ewa Perek - sopran, Grażyna Sabady - alt, Anna Ciosk - alt, Teresa Nowak - alt, Helena Górecka – alt.

III rząd od lewej:

Anna Gajewska - sopran, Anna Siewierska - alt, Alina Woźniak - sopran, Izabela Koszacka - alt, Danuta Horoszkiewicz - sopran, Dorota Kołaczowska - alt, Grażyna Majdzik – alt, Robert Kempski – tenor.

IV rząd od lewej

Krzysztof Zygmata - dyrektor MDK W Radomsku, Anna Ratecka - sopran, Ewa Muszyńska - sopran, Joanna Muszyńska - alt, Krzysztof Horoszkiewicz - bas, Arkadiusz Chybalski – tenor, Janusz Owczarek - tenor, Maciej Salski – dyrygent.

V rząd od lewej:

Agata Kempaska - sopran, Marek Stemplewski - bas, Andrzej Dembowski - tenor, Patryk Kowalczyk - bas, Kazimierz Pietras - bas, Andrzej Zygmata – bas.

**Paweł Dudek, Tomasz Andrzej Nowak**

(Polskie Towarzystwo Historyczne  
Oddział w Radomsku)

### **80. rocznica likwidacji getta wtórnego w Radomsku. Sprawozdanie z akcji czytania nazwisk zamordowanych w czasie wojny radomszczańskich Żydów**

W październiku 2022 r. minęła 80. rocznica likwidacji radomszczańskiego getta. Wówczas rozpoczął się proces wywożenia kilkunastu tysięcy mieszkańców Radomska i okolicy pochodzenia żydowskiego do obozu zagłady w Treblince. Kolejna okrągła rocznica tego dramatycznego wydarzenia zasługiwała na odpowiednie uczczenie niezawinionej śmierci znacznej części obywateli Radomska. Rodzinne miasto jest im to winne. Każda taka rocznica powinna być równocześnie lekcją historii.

Uroczystości z prawdziwym rozmachem w tym dniu przygotowała Rachel Lea Kesselman, prowadząca w Radomsku Muzeum Kesselman, pokazujące w formie tabliczek w chodnikach historię ludności żydowskiej. Zaprosiła szereg gości z zagranicy, przedstawiciele ambasad Izraela, Niemiec, Francji, Argentyny, przedstawiciele środowisk żydowskich w Polsce z naczelnym rabinem Polski, Michaeliem Schudrichem. Byli pracownicy m.in. Muzeum Getta Warszawskiego, prezes Stowarzyszenia Krzewienia Kultury Żydowskiej oraz reprezentacja władz Radomska z wiceprezydent Małgorzatą Kańską-Kipigroch.

Niestety uroczystość na placu 3 Maja straciła swój doniosły charakter i powagę w momencie, gdy pojawiły się oskarżenia Rachel Kesselman kierowane w stronę władz miasta o utrudnianie jej działalności w mieście<sup>1</sup>. W części uroczystości na centralnym placu miasta wzięła poza oficjelami udział młodzież szkolna. W kolejnym punkcie programu, czyli przejściu trasy, jaką 80 lat wcześniej przeszli Żydzi prowadzeni na dworzec kolejowy, uczestniczyła już tylko część zaproszonych gości z zewnątrz.

W naszym przekonaniu nie tak powinny wyglądać miejskie uroczystości rocznicy likwidacji getta. Powinny mieć charakter bardziej powszechny. Stąd pomysł, by przeprowadzić w radomszczańskich szkołach akcję odczytania wszystkich

---

<sup>1</sup> Andrzej Andrysiak, *Oskarżenia na obchodach rocznicy likwidacji getta*, „Gazeta Radomszczańska” 2022, nr 41, s. 14-15; Tomasz Nowak, *Sluchałem i patrzyłem jak urzędnicy z niedowierzaniem kręcą głowami* - <https://radomszczanska.pl/artukul/sluchałem-i-patrzyłem/914804> (dostęp: 15 kwietnia 2023 r.)

znanych nazwisk radomszczan pochodzenia żydowskiego, którzy zginęli w latach II wojny światowej. Kilka miesięcy wcześniej opublikowaliśmy listę tych nazwisk<sup>2</sup>. Za pośrednictwem Urzędu Miasta w Radomsku i Starostwa Powiatowego w Radomsku zaprosiliśmy do udziału szkoły podległe obu samorządom, a dzięki uprzejmości Muzeum Regionalnego im. S. Sankowskiego w Radomsku w tym samym dniu odbyło się czytanie nazwisk, w którym mogli wziąć udział wszyscy chętni. Do szkół wystosowaliśmy w listopadzie list:

*W październiku 2022 r. minęła 80. rocznica likwidacji getta w Radomsku. W nocy z 5 na 6 stycznia 1943 r. rozpoczęła się ostateczna likwidacja getta wtórnego. Kulminacja tej akcji miała miejsce 12 i 13 stycznia 1943 r. W konsekwencji śmierć poniosło 40% mieszkańców Radomska pochodzenia żydowskiego oraz mieszkańcy wielu okolicznych miejscowości, którzy trafili do getta. Winniśmy choć symbolicznie pamiętać o tragedii tych ludzi. Za liczbami, statystykami kryją się konkretne osoby, często znane z imienia i nazwiska.*

*Według tradycji żydowskiej człowiek umiera trzy razy. Pierwszy raz - gdy fizycznie umiera. Drugi raz - na pogrzebie. Śmierć trzecia następuje wówczas, gdy już nikt z żywych nie wypowiada jego imienia – napisali Ewa Teleżyńska-Sawicka i Paweł Sawicki publikując ponad 4300 nazwisk Żydów z Radomska, którzy zginęli w czasie II wojny światowej.*

*Chcielibyśmy zorganizować wspólną akcję odczytania wszystkich znanych nam nazwisk osób pochodzenia żydowskiego, które nie przeżyły wojny. Zapraszamy wszystkich chętnych do udziału, Was, nauczycieli i uczniów.*

*Po otrzymaniu zgłoszeń uczestnictwa w czytaniu podzielimy się listami z nazwiskami. Według naszego pomysłu w każdej szkole, która zechce się przyłączyć, na jednej z lekcji zorganizowane zostanie czytanie, w którym wezmą udział chętni uczniowie i nauczyciele. Taka forma nie zdeorganizuje pracy szkoły, pozwoli natomiast w ten symboliczny sposób przeprowadzić nietypową lekcję tolerancji i szacunku dla ofiar Holocaustu.*

*Przeprowadzenie czytania planujemy wstępnie na 5 stycznia 2023 r. W tym dniu zaprosimy również wszystkich radomszczan do wykonania tego samego gestu. Organizujemy czytanie w centrum miasta.*

Ten sam apel został powtórzony w mediach skierowany do wszystkich mieszkańców w mediach tradycyjnych<sup>3</sup> i internetowych<sup>4</sup>. Zgodnie z zapowiedziami czytanie

---

<sup>2</sup> Paweł Sawicki, Ewa Teleżyńska-Sawicka, *Lista żydowskich ofiar z Radomska w latach II wojny światowej*, „Zeszyty Radomszczańskie”, t. XX, 2022, s. 201-402.

<sup>3</sup> Tomasz Nowak, *Apel Polskiego Towarzystwa Historycznego*, „Gazeta Radomszczańska” 2022, nr 47, s. 17; *Wyczytaj nazwiska zamordowanych po nazwisku*, „Gazeta Radomszczańska” 2023, nr 1, s. 6-7.

<sup>4</sup> <https://www.lokalna.news/artukul/5248,radomsko-uchronilo-od-zapomnienia-4300-nazwisk->

nazwisk odbyło się 5 stycznia 2023 r., w rocznicę początku akcji likwidacji wtórnego getta w Radomsku. Szkołom, które zgłosiły swój akces rozesłano fragment obszernej listy, którą uczniowie na jednej z lekcji odczytali pod kierunkiem nauczyciela. Samo czytanie poprzedzono w poszczególnych szkołach stosownym wstępem, mówiącym o Holocauście, ale także prezentacją multimedialną i tematyczną wystawą prac uczniowskich (PSP nr 2). Z relacji nauczycieli wynika, że akcja spotkała się z pozytywnym odzewem. Była dodatkową i nietypową w szkole okazją do omówienia tematu Zagłady Żydów. Uczniowie bardzo często pierwszy raz mieli do czynienia z żydowskimi nazwiskami i imionami. Ich głośne odczytanie było dodatkową lekcją historii.

Relacje z akcji zamieszczano na profilach internetowych szkół.

W upamiętnieniu udział wzięły:

- Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 pod kierunkiem Magdaleny Piwońskiej i Małgorzaty Gołczyk,

- Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2, uczniowie klas 6a, 8b i 8c pod kierunkiem Sylwii Kuliś i Jolanty Staś,

- Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4, trzy klasy ósme pod kierunkiem Elizy Molik i Joanny Marczak-Burzyńskiej,

- Publiczna Szkoła Podstawowa nr 7 pod kierunkiem Igi Borowieckiej-Grzywacz,

- Publiczna Szkoła Podstawowa nr 8, uczniowie klas IV-VIII pod kierunkiem Edyty Wolskiej,

- I Liceum Ogólnokształcące pod kierunkiem Aleksandry Kędry,

- II Liceum Ogólnokształcące, klasy II B oraz IV A i C, pod kierunkiem Agnieszki Skury-Garbaciak,

- Zespół Szkół Drzewnych i Ochrony Środowiska, klasy III B i IV C, pod kierunkiem Andrzeja Baryły,

- Zespół Szkół Ekonomicznych w Radomsku, klasy I F, III C pod kierunkiem Ewy Żakowskiej i Agnieszki Kuligowskiej,

- Zespół Szkół Ponadpodstawowych nr 1, klasy pierwsze z III LO pod kierunkiem Anny Pichit i Pawła Dudka.

---

radomszczan-pochodzenia-zydowskiego?fbclid=IwAR3zCBCIaa0Oxr7o1b9IYdGmZIHf-RaZKHFyEL5XBT-i5fj0a6RBJNU-0SIM; <https://radomsko.naszemiasto.pl/radomsko-w-80-rocznice-rozpozecia-likwidacji-getta-czytali/ar/c1-9161859>;



Spotkanie tego samego dnia po południu w muzeum prowadził Paweł Dudek, członek Polskiego Towarzystwa Historycznego. W spotkaniu wzięło udział kilkanaście osób w różnym wieku. Wszyscy obecni odczytali po dwie strony przygotowanego tekstu z nazwiskami. Łącznie w ciągu półtorej godziny udało się odczytać ok. 2500 nazwisk. W sumie w szkołach oraz w galerii muzeum odczytano wszystkie znane imiona i nazwiska radomszczańskich Żydów, którzy zginęli w Zagładzie. Wydarzeniem zainteresowały się lokalne media, relację przygotowała telewizja Lokalna News<sup>5</sup> i TVP Łódź<sup>6</sup>, krótka relacja znalazła się też w prasie<sup>7</sup>.

Odczytywanie nazwisk Żydów zamordowanych w latach II wojny światowej nie jest czymś nowym, akcją tę propaguje m.in. Fundacja Pamięć Treblinki. Natomiast po raz pierwszy w ten sposób upamiętniono ofiary Holocaustu w Radomsku.



Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2, Jolanta Staś (druga z prawej) i uczniowie klasy 6a, 8b i 8c z PSP nr 2, fot. Sylwia Kuliś

<sup>5</sup> <https://www.lokalna.news/artukul/5248,radomsko-uchronilo-od-zapomnienia-4300-nazwisk-radomszczan-pochodzenia-zydowskiego?fbclid=IwAR3zCBCIaa0Oxr7o1b9IYdGmZIHf-RaZKHFyEL5XBT-i5fj0a6RBJNU-0SIM>

<sup>6</sup> <https://lodz.tvp.pl/65496734/80-rocznica-likwidacji-wtornego-getta-zydowskiego-w-radomsku>

<sup>7</sup> Andrzej Andrysiak, *Uczcili pamięć Żydów*, „Gazeta Radomszczańska” 2023, nr 2, s. 16.



Uczniowie II LO i nauczycielka Agnieszka Skura-Garbaciak, fot. Maja Bartoszevska



Uczennice Zespołu Szkół Ekonomicznych oraz nauczycielka Ewa Żakowska, fot. Edyta Smędzik





Uczniowie Zespołu Szkół Ponadpodstawowych nr 1



Uczniowie Zespołu Szkół Drzewnych i Ochrony Środowiska, fot. Agnieszka Majchrzak





Prowadzący spotkanie w galerii Muzeum Paweł Dudek, fot. Andrzej Grochowalski









Uczestnicy akcji czytania nazwisk w galerii Muzeum, fot. Paweł Dudek i Karina Wiatr-Dudek



Publikacja ukazała się dzięki wsparciu finansowemu otrzymanemu w ramach konkursów dla organizacji pozarządowych na 2023 rok organizowanych przez:



województwo   
**łódzkie** | **dotacje**  
**2023**

Zadanie finansowane z budżetu Samorządu Województwa Łódzkiego

**Miasto Radomsko**



**Starostwo Powiatowe w Radomsku**



Wsparcia udzieliła również:

**Gmina Masłowice**  
<https://maslowice.pl>

**Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego**  
- środki pozyskane w ramach odpisów z 1%.  
KRS 0000100740  
Prosimy o wsparcie naszej organizacji



Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Radomsku  
korzysta ze wsparcia  
Muzeum Regionalnego im. Stanisława Sankowskiego w Radomsku,  
które udziela bezpłatnie siedziby